

„

Najlepszy thriller spiskowy od czasów *Kodu Leonarda da Vinci!*

LEE CHILD

PETER JAMES

**ZABIJ,
ŻEBY GO ZDOBYĆ.**

**ZGIŃ,
ŻEBY GO OCHRONIĆ.**

NIEZBITY DOWÓD

ALBATROS



**PETER
JAMES**

**NIEZBITY
DOWÓD**

Z angielskiego przełożyła
Izabela Matuszewska

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
ABSOLUTE PROOF

Copyright © Really Scary Books/Peter James 2018
All rights reserved
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
2019
Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2019

Redakcja: Piotr Królak

Zdjęcie na okładce: Cristiano_Ronaldo/Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-774-9

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa
tel.691962519

www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny,
hachi.media

Spis treści

[O książce](#)

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Dedykacja](#)

[1. Styczeń 2005](#)

[2. Kwiecień 2005](#)

[3. Lipiec 2009](#)

[4. Lipiec 2009](#)

[5. Lipiec 2009](#)

[6. Dziewięć lat później. Środa, 1 lutego](#)

[7. Czwartek, 16 lutego](#)

[8. Czwartek, 16 lutego](#)

[9. Czwartek, 16 lutego](#)

[10. Poniedziałek, 20 lutego](#)

[11. Poniedziałek, 20 lutego](#)

[12. Poniedziałek, 20 lutego](#)

[13. Wtorek, 21 lutego](#)

[14. Wtorek, 21 lutego](#)

[15. Wtorek, 21 lutego](#)

[16. Wtorek, 21 lutego](#)

[17. Wtorek, 21 lutego](#)

[18. Wtorek, 21 lutego](#)

[19. Czwartek, 23 lutego](#)

[20. Czwartek, 23 lutego](#)

[21. Czwartek, 23 lutego](#)

[22. Czwartek, 23 lutego](#)

[23. Piątek, 24 lutego](#)

[24. Sobota, 25 lutego](#)

[25. Niedziela, 26 lutego](#)

[26. Czwartek, 23 lutego](#)

[27.](#)

[28. Niedziela, 26 lutego](#)

[29. Niedziela, 26 lutego](#)

[30. Poniedziałek, 27 lutego](#)

[31. Poniedziałek, 27 lutego](#)

[32. Poniedziałek, 27 lutego](#)
[33. Wtorek, 28 lutego](#)
[34. Wtorek, 28 lutego](#)
[35. Wtorek, 28 lutego](#)
[36. Wtorek, 28 lutego](#)
[37. Wtorek, 28 lutego](#)
[38. Środa, 1 marca](#)
[39. Środa, 1 marca](#)
[40. Czwartek, 2 marca](#)
[41. Czwartek, 2 marca](#)
[42. Czwartek, 2 marca](#)
[43. Czwartek, 2 marca](#)
[44. Sobota, 4 marca](#)
[45. Poniedziałek, 6 marca](#)
[46. Wtorek, 7 marca](#)
[47. Wtorek, 7 marca](#)
[48. Wtorek, 7 marca](#)
[49. Wtorek, 7 marca](#)
[50. Wtorek, 7 marca](#)
[51. Wtorek, 7 marca](#)
[52. Środa, 8 marca](#)
[53. Środa, 8 marca](#)
[54. Czwartek, 9 marca](#)
[55. Czwartek, 9 marca](#)
[56. Czwartek, 9 marca](#)
[57. Czwartek, 9 marca](#)
[58. Czwartek, 9 marca](#)
[59. Czwartek, 9 marca](#)
[60. Piątek, 10 marca](#)
[61. Piątek, 10 marca](#)
[62. Niedziela, 12 marca](#)
[63. Poniedziałek, 13 marca](#)
[64. Poniedziałek, 13 marca](#)
[65. Poniedziałek, 13 marca](#)
[66. Poniedziałek, 13 marca](#)
[67. Poniedziałek, 13 marca](#)
[68. Wtorek, 14 marca](#)
[69. Wtorek, 14 marca](#)
[70. Wtorek, 14 marca](#)
[71. Wtorek, 14 marca](#)
[72. Wtorek, 14 marca](#)
[73. Wtorek, 14 marca](#)
[74. Wtorek, 14 marca](#)

[75. Wtorek, 14 marca](#)
[76. Wtorek, 14 marca](#)
[77. Wtorek, 14 marca](#)
[78. Wtorek, 14 marca](#)
[79. Wtorek, 14 marca](#)
[80. Środa, 15 marca](#)
[81. Środa, 15 marca](#)
[82. Środa, 15 marca](#)
[83. Środa, 15 marca](#)
[84. Środa, 15 marca](#)
[85. Środa, 15 marca](#)
[86. Środa, 15 marca](#)
[87. Środa, 15 marca](#)
[88. Środa, 15 marca](#)
[89. Środa, 15 marca](#)
[90. Środa, 15 marca](#)
[91. Środa, 15 marca](#)
[92. Środa, 15 marca](#)
[93. Czwartek, 16 marca](#)
[94. Czwartek, 16 marca](#)
[95. Czwartek, 16 marca](#)
[96. Czwartek, 16 marca](#)
[97. Czwartek, 16 marca](#)
[98. Czwartek, 16 marca](#)
[99. Czwartek, 16 marca](#)
[100. Czwartek, 16 marca](#)
[101. Czwartek, 16 marca](#)
[102. Czwartek, 16 marca](#)
[103. Czwartek, 16 marca](#)
[104. Czwartek, 16 marca](#)
[105. Czwartek, 16 marca](#)
[106. Czwartek, 16 marca](#)
[107. Piątek, 17 marca](#)
[108. Piątek, 17 marca](#)
[109. Piątek, 17 marca](#)
[110. Piątek, 17 marca](#)
[111. Piątek, 17 marca](#)
[112. Piątek, 17 marca](#)
[113. Piątek, 17 marca](#)
[114. Sobota, 18 marca](#)
[115. Sobota, 18 marca](#)
[116. Sobota, 18 marca](#)
[117. Niedziela, 19 marca](#)

[118. Niedziela, 19 marca](#)
[119. Niedziela, 19 marca](#)
[120. Niedziela, 19 marca](#)
[121. Niedziela, 19 marca](#)
[122. Poniedziałek, 20 marca](#)
[123. Poniedziałek, 20 marca](#)
[124. Poniedziałek, 20 marca](#)
[125. Poniedziałek, 20 marca](#)
[126. Poniedziałek, 20 marca](#)
[127. Poniedziałek, 20 marca](#)
[128. Poniedziałek, 20 marca](#)
[129. Poniedziałek, 20 marca](#)
[130. Poniedziałek, 20 marca](#)
[131. Poniedziałek, 20 marca](#)
[132. Poniedziałek, 20 marca](#)
[133. Wtorek, 21 marca](#)
[134. Wtorek, 21 marca](#)
[135. Wtorek, 21 marca](#)
[136. Wtorek, 21 marca](#)
[137. Wtorek, 21 marca](#)
[138. Wtorek, 21 marca](#)
[139. Środa, 22 marca](#)
[140. Piątek, 24 marca](#)
[141. Piątek, 24 marca](#)
[142. Piątek, 24 marca](#)
[143. Piątek, 24 marca](#)
[144. Piątek, 24 marca](#)
[145. Piątek, 24 marca](#)
[146. Niedziela, 26 marca](#)
[Epilog. Niedziela, 26 marca](#)

[Podziękowania](#)

MANUSKRYPT, KTÓRY KRYJE ZASZYFROWANE
ODPOWIEDZI NA PYTANIA OSTATECZNE.

CZŁOWIEK, KTÓRY DOZNAŁ OBJAWIENIA.
DZIENNIKARZ, KTÓRY MUSIAŁ PODJĄĆ ŚLEDZTWO.
ORGANIZACJA, KTÓRA NIE SPOCZNIE,

PÓKI NIE WYDRZE IM...

NIEZBITEGO DOWODU NA ISTNIENIE BOGA.

Dziennikarz Ross Hunter położył na szali życie swoje, żony i ich nienarodzonego dziecka. Wszystko dlatego, że uwierzył człowiekowi, który twierdził, że wie, gdzie znaleźć... dowód na istnienie Boga. I że tylko on i Ross mogą uratować świat przed ostateczną katastrofą, która ma nastąpić wkrótce.

Ross widzi w tej historii materiał na artykuł, który przyniesie mu sławę. Ale niebawem dociera do niego, że tajemnice ukryte w przekazanym mu manuskrypcie ściągną na niego śmiertelne niebezpieczeństwo. Bo mogą zagrozić interesom miliardera proroka, zniweczyć dzieło słynnego ateisty i podważyć każdą z największych religii świata. Pytanie tylko, czy Ross przeżyje wystarczająco długo, żeby ten dowód ujawnić...

PETER JAMES

(ur. 1948 r.)

Angielski autor kryminałów, scenariuszy, sztuk teatralnych, odznaczony nagrodą Diamond Dagger za całokształt twórczości. Jest jedynym brytyjskim pisarzem, który regularnie towarzyszy oddziałom policji w przeprowadzanych akcjach i uczestniczy w konferencjach na temat technik śledczych. Wśród policjantów ma reputację człowieka, który doskonale wie, o czym mówi, a przez fanów został uznany za Najlepszego Autora Kryminałów Wszech Czasów.

James ma za sobą karierę producenta filmowego i scenarzysty, ale od kiedy powołał do życia postać Roya Grace'a, który stał się jednym z ulubionych bohaterów czytelników na całym świecie, zdecydował się na pełnoetatową karierę pisarską.

Peter James jest zdobywcą wielu ważnych międzynarodowych nagród, m.in. Prix Polar International, francuskiej Prix Coeur Noir, niemieckiej Krimi-Blitz i amerykańskiej Barry Award. Polscy czytelnicy nagrodzili jego powieść **Dom na wzgórzu** mianem najlepszego horroru roku 2016 w plebiscycie portalu **Lubimy czytać!**

peterjames.com

Tego autora

DOM NA WZGÓRZU
LUDZIE DOSKONALI
NIEZBITY DOWÓD

Nadinspektor Roy Grace

W GODZINIE ŚMIERCI
POPROSIŁ MNIE O ŚMIERĆ
TWOJA KOLEJ NA ŚMIERĆ

Świętej pamięci Harry'emu Nixonowi

1

Styczeń 2005

Bar w centrum Los Angeles wyglądał jak najgorsza speluna, czym zresztą wpasował się w nastrój Mike'a Delaney'a. Jedyne wolne stołki przy barze rozdzielał namiętnie całującą się parę w średnim wieku i pijanego gbura w kraciastej koszuli, dzinsach i butach roboczych, pochylonego nad kieliszkiem burbona.

Delaney przysiadł na popękany skórzany siedzeniu, uchwycił wzrokiem spojrzenie barmana i zamówił piwo. Na nieostrym ekranie telewizora nad barem leciał jakiś mecz, głos ryczał na cały regulator, chociaż nikt nie oglądał. Pijak spojrzał na niego oczami rozmokłymi jak dwa ślimaki.

– Ja ssie chyba znam – wybełkotał pijak. – Jesseś z tego programu, no nie? Co kiedyś leciał. To ty, no nie?

Barman postawił przed Delaneyem piwo.

– Płaci pan gotówką czy otwiera rachunek?

– Rachunek poproszę.

– Ma pan kartę kredytową?

To był właśnie tego typu lokal.

Delaney wyciągnął ze zniszczonego portfela kartę American Express i położył na barze. Barman nakrył ją dłonią.

– Magik Mickey, no nie? – ciągnął pijak. – To byłeś ty, w telewizji.

– Pamięta pan ten program?

– Jasne. Pamiętam. Byłeś do bani.

– Dzięki, stary.

– Serio mówię. Ile to lat? Dziesięć?

– Mniej więcej.

– Taaa... – Mężczyzna dopił resztkę burbona. – Jeden wielki szajs. Nic dziwnego, że ssie zwalili, sso?

Delaney pociągnął długi łyk piwa i zignorował pytanie. Nie tylko jego program zwalili. Godzinę temu zostawił go agent.

– Wiesz, stary? – powiedział Al Siegel przez telefon, siedząc w swoim luksusowym gabinecie w Wilshire. – Powinieneś w końcu zrozumieć, że jesteś dinozaurem. Wypruwałem sobie flaki, żeby ci coś znaleźć, póki nie zszedłeś na psy. Zapomnij o karierze. Spójrz wreszcie prawdzie w oczy, dobiegasz sześćdziesiątki. Idź na emeryturę, przenieś się do Palm Springs, zajmij się golfem czy coś. Mam telefon, muszę go odebrać. Słuchaj, stary, przykro mi, ale taka jest prawda. Z nami koniec, jesteśmy kwita, jasne?

Taka jest prawda.

Rety, Mike Delaney dobrze o tym wiedział. Tutaj, w Fabryce Snów, człowiek odchodzi do lamusa po czterdziestce. Kiedy występował w Magic Castle, mało który z magików skończył trzydziestkę. Spieprzył ostatni kontrakt, który zdobył dla niego agent, prezentując numer z mikroiluzją na przyjęciu słynnego gwiazdora w Bel Air. Spalił sztuczkę, potem stracił zimną krew i zaczął grozić jakiemuś aroganckiemu dupkowi, który się z niego nabijał przy stoliku.

– Słyszysz, sso mówię? – ciągnął z uporem pijak. – Musisz przyznać, że byłeś gówniany. – Znowu wlepił w niego zamglony wzrok. – I wiesz sso? Wyglądasz też gównianie.

I czuł się gównianie.

Pijak pstryknął palcami na barmana.

– Jeszcze jednego podwójnego jim beama z lodem. – Odwrócił się. – Pijesz piwo? Piwo jest dla frajerów.

– Tak?

Barman postawił na barze szklaneczkę napełnioną po brzegi burbonem i lodem. Pijak wziął ją do ręki i podniósł.

– Powinieneś przerzusić się na porządny alkohol, taki jak ten, panie Kiepski Magiku. Zrówko.

Przechylił szklanekę i łyknął potężny haust, po czym natychmiast go wypluł.

– Jezu! – wrzasnął na barmana. – Coś ty mi nalał, do cholery? Zamówiłem jim beama. To nie burbon, tylko pieprzone piwo!

Barman – wysoki, smutny mężczyzna po siedemdziesiątce, który pracował w tym miejscu od zawsze – pokręcił głową.

– Przykro mi, proszę pana, ale nie ma pan racji. Może ma pan już dosyć?

– Mówię ssi, że to cholerne piwsko! Chcesz mnie otruć czy so?

Barman pokazał mu butelkę do połowy wypełnioną alkoholem.

– Nalałem panu z tego.

– Tak? To nalej jeszcze raz.

Rozdrażniony barman wyjął nową szklanekę i nalał z butelki jim beama. Ze zdumieniem patrzył, jak naczynie napełnia się po brzegi piwną pianą, która przelewa się przez krawędzie i ścieka po ściankach na bar.

Mike Delaney uśmiechnął się do siebie, lecz nie odezwał ani słowem.

2

Kwiecień 2005

Piątkowy poranek Rossa Huntera rozpoczął się od kaca, chociaż obiecywał sobie, że więcej do tego nie dopuści. To samo obiecywał sobie tydzień temu i dwa tygodnie temu. A także każdego innego piątku od półtora roku, kiedy został stażystą w dziale wiadomości „Argusa”.

Nie podejrzewał jeszcze, jak bardzo dzisiejszy dzień będzie się różnił od innych.

Dobiegając dwudziestu trzech lat, Ross był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o ciemnych, krótko ostrzyżonych włosach i ładnej, lecz poważnej twarzy, jakby wiecznie wszystko analizował, co zresztą na ogół było prawdą. Ale nie teraz. Teraz z trudem mógł w ogóle myśleć, jakby w jego głowie tkwił wbity topór. Na oślepe wstał z łóżka, ziewnął i klnąc, że znowu to sobie zrobił, ruszył do łazienki w poszukiwaniu paracetamolu. Co tydzień w czwartek wieczorem pozwalał się wyciągnąć kolegom na jednego drinka do pubu Coach House w centrum Brighton, głównie po to, aby nie uznali go za nietowarzyskiego mruka, i co tydzień wracał do domu, zataczając się na nogach. Była też inna przyczyna jego regularnych piątkowych kaców – młoda dziennikarka kryminalna pracująca razem z nim w gazecie, Imogen Carter. Piekielnie mu się podobała, lecz ją najwyraźniej bardziej interesował jeden z zastępców redaktora naczelnego. Potrafiła też lepiej się kontrolować przy kieliszku niż jej koledzy. Mimo to Ross uważał, że pomalą dziewczyna zwraca na niego coraz więcej uwagi i nawet zaczyna z nim troszkę flirtować.

Dzięki za kolejnego kaca, Imo, i za okazję obserwowania, jak oddalasz się na postój taksówek z pieprzonym Kevinem Fletcherem.

Ross niedawno skończył dziennikarstwo na Goldsmiths w Londynie i rozpierała go ambicja. Codziennie rano aż palił się do pracy w dziale wiadomości. Jak to zwykle ze stażystami bywa, wysyłano go praktycznie do wszystkiego: wypadków drogowych, śmierci łóżeczkowej, pożaru, przesłuchań sądowych, prezentacji charytatywnej, a nawet tak beznadziejnie nieciekawych wydarzeń jak dzień otwarty w szkole – wszystko, żeby szlifować umiejętności dla tej szacownej lokalnej gazety.

Miał nadzieję, że ćwiczenia na siłowni, a potem długa jazda pod górę na rowerze pomogą mu otrząsnąć się z alkoholowego odurzenia. Wkładając spodnie od dresu i zawiązując buty, słuchał wiadomości płynących z włączonego radia w budziku i szukał materiału na wielką sensację, na artykuł, którym mógłby wyrobić sobie nazwisko i spełnić marzenia o pierwszej stronie ogólnokrajowego dziennika z dołączoną notką o autorze.

Połknął tabletki i popił je wodą w drodze do malutkiej kuchenki mieszkania na drugim piętrze przy Portland Road. Nudności ani łupania w głowie nie łagodziły zwietrzałe zapachy jedzenia gotowanego poprzedniego wieczoru w hinduskim barze mieszczącym się na parterze. Po kilku gryzach banana zrobiło mu się trochę lepiej. Popijając je sokiem jabłkowym, spojrział na przyklejoną do blatu karteczkę z przypomnieniem: *Kartka urodzinowa dla taty*. Później gdzieś ją kupi.

Zszedł na dół, minął swój rower przypięty kłódką w holu i wyszedł w wilgotną, deszczową ciemność.

Po dziesięciu minutach energicznego biegu dotarł do siłowni tuż po siódmej. W sali o lustrzanych ścianach, śmierdzącej potem i środkami czyszczącymi, było już kilkanaście osób. Większość ćwiczyła na orbitrekach, bieżniach i rowerach stacjonarnych, kilka wyciskało ciężary lub robiło brzuszki, ktoś miał indywidualne zajęcia z trenerem. Muzyka Queen dudniła zbyt głośno jak na bolącą głowę Rossa. Wszedł na orbitrek i włączył go, żeby rozpocząć swój dwudziestominutowy program ćwiczeń.

Przyspieszył kroku, obserwując rosnące tętno – sto dziesięć... sto dwadzieścia... sto trzydzieści... gdy nagle

przestraszony usłyszał głos swojego brata, wołający go po imieniu. Tak głośno i blisko, jakby Ricky stał tuż obok niego.

Tylko że to niemożliwe. Jego brat mieszkał w Manchesterze, czterysta kilometrów od Brighton, pracował jako asystent kierownika hotelu. Rzadko rozmawiali przez telefon, ale Ricky przysłał mu dzień wcześniej maila w sprawie prezentu dla taty na sześćdziesiąte urodziny, które obchodził za tydzień.

Nagle Ross poczuł, jakby z poruszających się ramion orbitreka wystrzelił prąd elektryczny, który od dłoni przebiegł przez całe jego ciało. Nie mógł się poruszyć. Stopy znieruchomiały na pedałach, zawirowało mu w głowie, jakby pędził po spiralnej zjeżdźalni w wesołym miasteczku. W przeblasku paniki przemknęło mu przez myśl, że traci przytomność wskutek gwałtownego spadku cukru we krwi.

A może to zawał?

Pokój zafalował, przed jego oczami rozmywał się obraz rzędów stalowoszarych urządzeń.

Wessało go w długi, ciemny tunel. Chwycił się rozpaczliwie ramion orbitreka, bo jego ciało zaczęło szaleńczo dygotać. W oddali przed sobą zobaczył światło, z sekundy na sekundę przybierające na sile. Przed oczami przebiegały mu obrazy. Płód. Niemowlę. Twarz mamy. Twarz taty. Piłka rzucona w powietrze. Biała tablica i nauczyciel wrzeszczący na niego z markerem w dłoni. To jego życie – uprzytomnił sobie. Przed oczami przewija mu się całe życie.

Umieram.

Kilka sekund później otuliło go światło na końcu tunelu. Było ciepłe, oślepiające. Unosił się na materacu dmuchanym na płaskiej powierzchni oceanu. Zobaczył nad sobą twarz Ricky'ego.

– Wszystko w porządku, Ross, no nie? Między nami wszystko gra?

Nie znosił swego brata, od kiedy pamiętał. Nie cierpiał tego, jak wyglądał, jak mówił, jak się śmiał, jak jadł. I wiedział dlaczego. Ponieważ Ricky był jego bliźniakiem. Za każdym razem, kiedy go widział, miał wrażenie, jakby patrzył w lustro.

Bliźniacy powinni się kochać. Powinna ich łączyć szczególna, nierozzerwalna więź, lecz Ross nigdy tego nie czuł. Przeciwnie, czuł tylko głęboką, przemożną niechęć. Główną

przyczyną był fakt, że rodzice zawsze bardziej hołubili Ricky'ego, a on nawet tego nie zauważał.

Kiedy Ross dorósł na tyle, by wyprowadzić się z domu, wyjechał tak daleko od brata, jak to tylko możliwe – na inną uczelnię, do innego miasta. W pewnym okresie kusiło go nawet, żeby zmienić nazwisko.

Teraz Ricky odpływał, stopniowo roztapiał się w białym świetle. Odwrócił się do niego i wyciągnął ramiona, jakby rozpaczliwie chciał dosięgnąć jego dłoni i uchwycić go, lecz Ross uciekał za szybko, niczym pływak wyciągany na pełne morze przez silny przybrzeżny prąd.

– Między nami wszystko gra, prawda, Ross?! – zawołał Ricky niemal rozpaczliwie.

– Wszystko gra – odpowiedział.

Światło połknęło jego brata i na moment go oślepiło.

Z góry patrzyły na niego twarze. Oświetlenie się zmieniło, Ross poczuł smród potu, dywanu, niemytych włosów. Słyszał dudniącą muzykę i łomotanie własnego serca.

Obok niego ktoś klęczał.

– Nic panu nie jest?

Rozejrzał się oszołomiony. W przypływie paniki przemknęło mu przez myśl, że umarł.

Czyjeś dłonie pomogły mu wstać, poprowadziły go do ławeczki i podtrzymały, kiedy siadał.

Nad nim stał muskularny mężczyzna z plastikowym kubkiem w dłoni.

– Proszę to wypić – powiedział i Ross uprzytomnił sobie, że to jeden z trenerów na siłowni.

Potrząsnął głową, odsunął od siebie kubek.

– Może przesadził pan na tym orbitreku? – zapytał jakiś głos.

– Nie, nie, ja...

Urwał zdezorientowany.

– Zadzwoń po lekarza? – zapytał ktoś inny.

Ross ponownie pokręcił głową.

– Nie, nic mi nie jest, naprawdę. Wszystko w porządku. Może potrzebuję cukru czy coś...

– Proszę jeszcze posiedzieć, dopóki nie poczuje się pan zupełnie dobrze.

Ktoś podsunął mu łyżkę z miodem i Ross wziął ją do ust.

– Jest pan cukrzykiem? – spytał inny pracownik siłowni, patrząc na niego z troską.

– Nie.

Minęło dziesięć minut, zanim poczuł się na tyle pewnie, by wstać o własnych siłach. Wkrótce potem, przekonawszy wszystkich, że nic mu nie jest, wyszedł z siłowni i oszołomiony ruszył z powrotem w stronę domu, nie zauważając deszczu, zimna ani niczego, co się wokół niego działo. Kiedy wchodził po schodach, miał wrażenie, jakby wspinał się na wielką górę.

Powiedział ludziom na siłowni, że nic mu nie jest, ale w rzeczywistości był skrajnie wyczerpany i czuł się okropnie. W chwili kiedy otwierał drzwi do mieszkania, zadzwonił jego telefon. Wyjął z kieszeni wibrującą komórkę i spojrzał na wyświetlony numer. Nie znał go.

– Halo? – odebrał.

W odpowiedzi usłyszał łamiący się kobiecy głos.

– Ross? O Boże, Ross?

To była dziewczyna Ricky’ego, Sindy.

– Sindy? – powiedział, cały czas trochę rozdygotany. – Cześć, co... co się dzieje?

Dziewczyna wybuchła płaczem. Przez kilka sekund słuchał jej szlochu, zanim w końcu wzięła się w garść.

– Ricky...

– Co się stało?

– Przed chwilą była policja. Ricky poszedł biegać do parku i... przewróciło się na niego drzewo. Pół godziny temu. Przygniotło go. O Boże, Ross, Boże, on nie żyje!

3

Lipiec 2009

Po latach bombardowań i nieustających walk na ulicach w Laszkargah nie ostał się ani jeden nietknięty hotel, a pracownicy tych, które tu kiedyś stały, albo zginęli z rąk talibów, albo dawno uciekli. Ze względów bezpieczeństwa, zwłaszcza z powodu porwań dziennikarzy, z których niemało stracono, miasto zostało uznane za strefę zagrożoną. Członkowie międzynarodowych ekip prasowych, którzy się tu zapuszczali, mieszkali w namiotach na obrzeżach miasta, na terenie ogrodzonym białym murem, stanowiącym bazę sojuszu w prowincji Helmand.

Wszystkim dziennikarzom radzono, aby w miarę możliwości wtapiali się w tłum – zapuścili brody, wkładali beżowe ubrania, nie wychodzili nigdzie w pojedynkę, a przede wszystkim nie nosili żadnych prasowych atrybutów, chodząc bez eskorty, ponieważ to by ich wystawiło na cel porywaczy.

„Bliźniaczy brat piekła”, napisał w SMS-ie do żony Ross Hunter wkrótce po przyjeździe. A właściwie próbował napisać. Trzeba tu było przez cały dzień nieustannie ponawiać próby, by w końcu za którymś razem udało się wysłać wiadomość. W odróżnieniu od wielu bardziej doświadczonych reporterów dla Rossa było to pierwsze doświadczenie w strefie wojennej i w chwili obecnej miał szczerzy zamiar, żeby pozostało ostatnim. Strach nie opuszczał go ani na chwilę, niemal przez cały dzień słońce zasłaniał gęsty dym ognia artyleryjskiego oraz płonących budynków. W powietrzu unosił się dławiący smród rozkładających się ciał, ścieków i kordytu, a wezwania muezinów na modlitwy, rozlegające się pięciokrotnie w ciągu dnia, tonęły w nieustannym łoskocie śmigłowców.

Ross usiadł na łóżku w sali sypialnej i drapiąc się po wiecznie swędzącej brodzie, przez satelitarne łącze komórkowe próbował dokończyć na laptopie ostatni artykuł dla „Sunday Timesa”. Na domiar złego czuł się trochę jak zdrajca. Rok temu napisał pochwalny artykuł o pewnym chłopcu ze swojej dawnej szkoły. Szereg lat temu chłopak stracił w bitwie rękę i oboje oczu, a mimo to zdołał odbudować swoje życie, ożenić się, spłodzić dwoje dzieci i nawet jeździć na nartach. Ross wychwalał w swoim tekście cichy heroizm walczących oddziałów.

Artykuł wywołał entuzjastyczną reakcję dowództwa armii, które zaprosiło go, aby na własne oczy zobaczył strefę działań wojennych i poznał walczących tam żołnierzy. Sprowokował jednak również lawinę maili od tych samych żołnierzy na różnych szczeblach drabiny wojskowej. Niektóre z listów podpisane były prawdziwymi nazwiskami, lecz większość przychodziła anonimowo i opisywała przerażające historie świadczące o tym, że rząd brytyjski lekkomyślnie szafuje życiem walczących i przyczynia się do wielu niepotrzebnych śmierci, wysyłając złej jakości sprzęt wojskowy lub wysyłając go za mało, rzecz jasna, z powodu oszczędności budżetowych.

„Sunday Times” zorganizował niezbędne dokumenty i opłacił Rossowi obowiązkowy trzydniowy kurs Przetrwania w Nieprzyjaznym Otoczeniu, po którym Ross przyleciał do Afganistanu okrężną trasą transportowym samolotem wojskowym C-130 Hercules. Zażądał od gazety, by nie drukowali żadnych krytycznych materiałów, dopóki nie wróci do kraju cały i zdrowy. Nie miał ochoty robić sobie wrogów z ludzi, którzy odpowiadali tu za jego bezpieczeństwo.

A szybko się przekonał, że jest o czym pisać. Całą prawdę o traktowaniu brytyjskich oddziałów przez ich własny rząd. Lista obejmowała zacinające się karabiny, wozy opancerzone ze słabym pancerzem, który nie chronił przed minami lądowymi, brak sygnałów świetlnych zabezpieczających przed ostrzałem własnych wojsk.

W swoim ostatnim doniesieniu Ross zacytował – anonimowo, na żądanie autora – jednego z wyższych rangą oficerów, który porównał dostarczany sprzęt do staromodnych telefonów komórkowych, które dawno wyszły z użycia. Czary

goryczy dopełniał fakt, że niewiele obecnie okazywano współczucia, wsparcia czy opieki poważnie rannym, a nierzadko dożywotnio okaleczonym żołnierzom po powrocie do kraju. Koncentrując się na pracy, Ross usiłował nie zwracać uwagi na daleki – a czasem niepokojąco bliski – terkot strzałów, brzęk łusek i sporadyczne wybuchy granatów, które nie cichły nawet w nocy.

Większość korespondentów sprawiała wrażenie starych kumpli, łącznie z fotografem, którego mu przydzielono. Czuł się przy nich jak obcy.

Kilku grało teraz w pokera kartami, które widziały lepsze dni. Ślamazarnemu sufitowemu wentylatorowi jakimś cudem udawało się miesić gorące, wilgotne powietrze w pokoju w taki sposób, żeby go nie schłodzić czy choćby poruszyć. Ross siedział spocony, ubranie się do niego kleiło, rozpaczliwie potrzebował kolejnego zimnego prysznicu, chociaż brał go kilka godzin temu. W ciągu tych dwóch ostatnich tygodni niewiele sypiał, chodził ciągle zmęczony, ze ściśniętym żołądkiem ze strachu podchodzącym pod gardło.

W tej chwili jednak wszystkie te odczucia zagłuszał gniew. Gniew na gwałty i masakry, dokonane przez talibów na kobietach i dzieciach. Gniew wywołany tym, co zobaczył wczoraj w domu, do którego weszli z oddziałem żołnierzy: starca powieszzonego na prowizorycznej szubienicy, nagie zwłoki młodej kobiety z poderżniętym gardłem, leżące pod nim na podłodze. Usłyszeli kobiecy płacz i znaleźli żonę mężczyzny ukrywającą się w szafie na piętrze. Powtarzała w kółko tylko jedno słowo, które przetłumaczył Rossowi afgański żołnierz.

Dlaczego?

Gdzie jest Bóg, zastanawiał się? Bawi się, obserwując tę jatkę?

Tu, w Afganistanie, patrząc na kolejne mrozące krew w żyłach okropności, można było naprawdę dojść do wniosku, że Bóg ma spaczony umysł. Że stworzył ten świat ku własnej perwersyjnej przyjemności, aby się przekonać, ile jeszcze pokładów człowieczeństwa może z siebie zedrzeć i odrzucić stworzony przez niego człowiek.

Leżąc w środku nocy w łóżku ze świadomością, że w każdej chwili w namiot dziennikarzy może trafić pocisk i roznieść ich

wszystkich na strzepy, Ross włożył w uszy słuchawki i słuchał muzyki, by zagłuszyć wszystkie inne odgłosy. Imogen, którą poślubił dwa lata temu, ułożyła mu na podróż playlistę z jego ulubionych zespołów – Maroon 5, The Fray, Kaiser Chiefs – oraz całe mnóstwo country: Davida Allana Coe, Williego Nelsona, Patsy Cline.

W nocy przed atakiem jak co wieczór wysłał do niej SMS.

Tak mocno Cię kocham, skarbie. Nie chciałbym, żebyś tu była, bo nikomu tego nie życzę, ale myśl o Tobie pozwala mi przeżyć dzień i noc. Próbowałem czytać tę poezję wojenną, którą mi dałaś, ale to za smutne. Zwłaszcza „Jeśli zginę, pomyśl o mnie tylko to jedno”. Bo on potem naprawdę zginął. Marzę, żeby znowu znaleźć się w Twoich ramionach. Widziałem prawdziwe potworności. Jak ludzka istota może robić takie rzeczy? Kocham Cię. XX

Ku jego radości SMS przeszedł za pierwszym razem, co zdarzało się wyjątkowo rzadko.

Następny dzień zapisze się na zawsze w pamięci Rossa. Piątek siedemnastego lipca. Siły sojuszu w końcu zwietrzyły zwycięstwo. Talibowie się wycofywali. Wysłano dwa oddziały do zabezpieczenia rejonów miasta, z których poprzedniego dnia wyparto wrogie siły. Dziennikarzom powiedziano na odprawie, że będą mieli okazję obejrzeć i sfotografować kolejne bestialskie akty talibów, ale ostrzeżono ich również, że w dalszym ciągu duże niebezpieczeństwo przedstawiają ukryci snajperzy.

Ross przedyskutował sprawę ze swoim fotografem, Benem Hainesem, dowcipnym twardzielem, weteranem kilku poprzednich wojen, i razem zdecydowali, że w towarzystwie dwudziestu żołnierzy Międzynarodowych Sił Wsparcia Bezpieczeństwa ONZ oraz kilkunastu miejscowych wraz z przewodnikami, ochraniających grupę dziennikarzy z całego

świata, niebezpieczeństwo jest stosunkowo niewielkie. Dla Rossa było to coś nowego, a udział w prawdziwej akcji to duża szansa na rozwój jego kariery. Potrafi szybko się uczyć.

O siódmej rano wyruszyli przez zrujnowane miasto; w wilgotnym powietrzu unosił się zjełczały odór rozkładających się ludzkich zwłok, śmigłowce wisiały nisko nad głowami niczym gigantyczne karaluchy. Ross i Haines szli w hełmach, mundurach polowych i kamizelkach kuloodpornych, na które nałożyli kamizele z napisem PRASA wydrukowanym na piersi i plecach. Ze wszystkich stron otaczały ich wyblakłe budynki usiane dziurami po kulach i bombach oraz zjeżone ruiny z agresywnymi graffiti.

Zaczął się bez ostrzeżenia, gdy tylko wyszli spod osłony wąskiej uliczki na centralny rynek – grad ostrzału zdawał się sypać ze wszystkich stron naraz.

Zasadzka.

Przez kilka sekund Ross stał jak wryty, jakby w pierwszej chwili ciekawość przewyciężyła strach. Potem rakietą zmiotła połowę głowy idącego przed nim Afgańczyka, w jego stronę poleciały rozbryzgi krwi i mózgu. Niedaleko wybuchł granat. Ross poczuł uderzenie eksplozji, zobaczył żołnierzy, dziennikarzy i fotografów padających na ziemię. Chwilę potem powietrze rozerwała kolejna eksplozja, po piaszczystej ziemi potoczyła się ludzka głowa z oczami i ustami otwartymi ze zdumienia.

Ben przykucnął z kamerą w rękach i kręcił wszystko, co się działo, lecz nagle wrzasnął z bólu i zaczął tarzać się po ziemi niczym obłąkany, wirujący derwisz.

Ross rozglądał się ogłupiały z przerażenia, dookoła widział tylko rozpryski ognia. Z dachów jednopiętrowych domów mieszkalnych. Z okien. Po lewej stronie stał wysoki, zbombardowany szkielet dawnego banku, pozbawiony nawet drzwi wejściowych. Ross popędził w tamtą stronę. Powietrze gęstniało od zaciekłych strzałów i wybuchów, pociski wzbijały fontanny piachu i odłamki kamieni. Wbiegł do ciemnego banku i zaczął się gorączkowo rozglądać.

Za jego plecami nadal szalała strzelanina.

Zatrzymał się i spojrzał za siebie... Prosto w oczy Bena Hainesa, który leżał na ziemi w kałuży krwi, płynącej

z przestrzelonego boku. Niedaleko leżała kamera, próbował się do niej doczołgać, ale nie mógł.

– Ross! Pomóż mi! Pomóż mi! Na miłość boską, pomocy! – krzyczał rozdierająco zrozpaczonym głosem.

Dookoła leżeli żołnierze, dziennikarze, kamerzyści. Niektórzy bez ruchu, inni skręcali się lub czołgali po ziemi.

Rozległa się głośna seria strzałów i kilku przestało się poruszać.

– Ross! – wrzasnął Haines. – O Boże, pomóż mi!

Ross wybiegł na dwór i ruszył zygzakami, tak jak go uczono na szkoleniach. Nie myślał o niebezpieczeństwie, myślał tylko o tym, żeby zrobić dla przyjaciela wszystko, co w jego mocy, zaciągnąć go w osłonięte miejsce. Lecz kiedy brakowało mu jeszcze kilku metrów, by dopaść do Bena, wybuchła następna eksplozja z karabinu maszynowego, Haines podskoczył jak szmaciana lalka, pociski rozerwały na nim ubranie, trafiony kulą hełm na głowie odleciał w powietrze, a ułamek sekundy później kolejny pocisk odstrzelił fragment czaszki i głowa fotografa opadła bezwładnie w piach.

Wstrząśnięty Ross odwrócił się i pognął z powrotem do budynku. Usłyszał kolejne strzały, następny brzdęk kul, seria z karabinu zryła przed nim bruzdę ziemi. Coś zadzwoniło o jego hełm. W prawej stopie poczuł ostry ból, a kiedy dopadł do wejścia, zatoczył się, jakby go ktoś młotem uderzył w głowę, kamienna podłoga rzuciła się na niego i grzmotnęła go w twarz.

Musi się podnieść.

Musi.

W jego kierunku biegli talibscy wojownicy w chustkach, ściskając w rękach rozbłyskające AK-47.

Dookoła brzęczały pociski.

Skulony wpadł do środka, zataczając się zygzakami w wyścigu ze śmiercią. Minął biurka, komputery pokryte kurzem i drobnym gruzem. Przeskoczył przez kontuar kasjera, przykucnął po drugiej stronie. Czekał. Bolała go prawa stopa, jakby ją przebił żelazny kolec, dudniło mu w głowie. Zgubił gdzieś hełm.

Usłyszał na dworze jeszcze jedną, ostrą, lecz krótką serię z karabinu, a potem zapadła nagle, cudowna cisza.

Nie dobiegał go żaden odgłos kroków.

Zakręciło mu się w głowie. Podniósł wzrok. Sufit wirował, kołysał się. Miał wrażenie, jakby z głowy odpłynęła mu cała krew. Znowu podłoga uderzyła go w twarz, lecz on już tego nie poczuł. Leżał bez ruchu.

Obudził go pisk. Nie miał pojęcia, ile upłynęło czasu. Otworzył oczy i w gęstym półmroku spojrział prosto w pysk szczura wielkości królika.

– Spieprzaj – syknął.

Zwierzę czmychnęło w mrok.

W oddali rozległ się potężny wybuch.

Kolejna bomba w samochodzie?

Łupało go w głowie, z pragnienia zaschło mu w ustach i gardle. Dźwignął się na kolana i zaczął nasłuchiwać. Przypomniawszy sobie: leży za biurkiem kasjera, przez które przeskoczył, uciekając. Teraz wszędzie panowała cisza. Spróbował wstać, ale stopę rozdarł okropny ból, cały but oklejała dookoła zaschnięta krew. Podniósł rękę, żeby odgarnąć włosy, i poczuł na palcach coś lepkiego – dłoń też miał zakrwawioną.

Dopiero teraz zaczął sobie wszystko przypominać i aż zadrżał z grozy.

Żyję.

Powoli, ostrożnie zaczął się podnosić, wyrzwał nad kontuarem. W oddali usłyszał wezwanie na modły. Za drzwiami majaczył słaby blask dziennego światła.

Spojrzął na zegarek. Dziewiętnasta trzydzieści. Jezu, było tuż po siódmej rano, kiedy... kiedy...

Z trudem dowlóknął się do drzwi i wyrzwał na dwór. Wszędzie na ziemi leżały ciała – kilku żołnierzy sojuszu, kilku dziennikarzy i kilkunastu talibów. Popatrzył na fotografa, który był jego partnerem w ciągu tego okropnego miesiąca.

Ben Haines.

Wokół ciał już roiły się muchy.

Właśnie miał wyjść z budynku, gdy nagle usłyszał głosy.

Zamarł.

Głosy przybierały na sile. Zbliżały się.

Wbiegł z powrotem do środka, minął puste stanowiska kasjerów, dotarł w głąb sali. Otworzył drzwi, za nimi kamienne schody prowadziły w dół. Przeszedł i po cichu zasunął za sobą ciężkie rygle, po czym szybko zbiegł na dół. Jedno piętro, dwa piętra. Upał stawał się tu mniej dotkliwy. Zatrzymał się przed dużym sejfem, drzwi z wielkimi obrotowymi uchwytami były lekko uchylone.

Prawie minutę zajęło mu otwarcie ciężkiego skrzydła na tyle, żeby mógł się wśliznąć do środka. Poświecił sobie komórką, szukając jakiejś klamki po wewnętrznej stronie drzwi, ale niczego nie znalazł. Przyciągnął więc je na tyle, na ile się dało.

Staął nieruchomo, na wszelki wypadek wyłączył w telefonie dźwięk, chociaż urządzenie i tak pokazywało brak zasięgu.

Serce waliło mu w piersi tak głośno, że chyba nie usłyszałyby żadnego innego dźwięku. Przytknął ucho do cieniutkiej szparki między drzwiami a futryną sejfu i nasłuchiwał odgłosów z góry. Czy ktoś nie wali do drzwi, które zaryglował dwa piętra wyżej?

Niczego nie słyszał.

Trzęsąc się, spojrzął na ekran komórki. Imogen nie odpowiedziała na ostatniego SMS-a. Czyżby wiadomość nie dotarła?

W głowie dudnił mu przeraźliwy głos fotografa wołającego o pomoc. Nie mógł odgonić sprzed oczu obrazu skręcającego się człowieka, próbującego się czołgać. A potem fragmentu czaszki zdmuchniętego przez pocisk.

Z trudem się powstrzymał, żeby nie zwymiotować. Ze wstrętu i strachu.

Usiadł na twardej, gołej podłodze pustego sejfu. Ból rozsadzał mu głowę, przeszywał prawą stopę. Męczyło go pragnienie, nie miał w ustach ani kropli wody od rana, odkąd wyruszyli.

Zdjął but i skarpetkę, przyciągnął do siebie nogę i poświecił komórką na stopę. W podbiciu, kilka centymetrów nad palcami, widniał poszarpany, zakrwawiony otwór, a drugi, jeszcze bardziej pokiereszowany, był w podeszwie, którądy

pocisk prawdopodobnie wyszedł. Podniósł dłoń do głowy i wymacał niewielkie wgłębienie, jakby rowek nad prawą skronią.

Musiał dostać dwa razy.

Gdzieś w budynku znajdują się pewnie łazienki i kuchnia, powinien znaleźć tam wodę i może jakąś apteczkę. Później pójdzie poszukać, kiedy uzna, że jest już dość bezpiecznie, by opuścić kryjówkę.

Zwinął się na podłodze w kłębek i zasnął.

Dziesięć minut później obudziło go coś pełzającego mu po twarzy.

4

Lipiec 2009

Czy przyjdzie mi tu umrzeć? W samotności, wśród szczurów?

Kiedy spał, śniło mu się jedzenie. I woda. Proste rzeczy: gotowane jajka, smażone jabłka, frytki, hamburger z serem, sosem warzywnym i ketchupem.

Zbudził się w kompletnych ciemnościach. Padła bateria w telefonie. Teraz mógł sprawdzić tylko godzinę na zegarku z podświetlanym wyświetlaczem. Czuł się rozpalony, jakby miał gorączkę.

Zaczął rozmyślać o bracie. O Rickym. Kiedy go wspominał, zawsze towarzyszyły mu żal i poczucie winy. Na jakimś ślubie, niedługo po śmierci Ricky'ego, spotkał starego kolegę ze szkoły, Jima Bantinga. Jim powiedział mu, że Ricky czuł, jaką niechęcią darzył go zawsze Ross. I nigdy nie mógł zrozumieć dlaczego.

Siedząc w ciemności wśród szczurów i nie mając do roboty nic poza rozmyślaniami, Ross przypominał sobie swoje relacje z bratem. Z wyrzutami sumienia uświadamiał sobie, jak źle go traktował.

Potem pomyślał o zwłokach Bena Hainesa, leżących przed wejściem, gnijących na piekącym słońcu. Mógł się znaleźć na jego miejscu. A może, gdyby zachował się inaczej, mógłby ocalić Bena? Jakimś sposobem?

W nocy zakradł się po schodach na górę, odsunął rygiel w drzwiach i usłyszał nad sobą głosy mówiące po arabsku. Rzucił się z powrotem na dół w takiej panice, że zapomniał zamknąć z powrotem drzwi. Dręczyło go pragnienie, wyschnięty język wydawał się obcym ciałem, wargi sklejały się aż do bólu. Trochę mniej mu dokuczała głowa, ale w bladej poświacie zegarka widział, że w ranie na stopie zbiera się ropa.

Wdało się zakażenie. Jeśli szybko jej nie opatrzy, wkrótce umrze tu na sepse. Musi się stąd wydostać i znaleźć jakieś środki medyczne, i to szybko.

Nagle poczuł ostry ból w prawej dłoni. Otworzył oczy i zobaczył w ciemności czerwone ślepia. Ugryzł go szczur.

– Spieprzaj stąd!

Machnął gwałtownie na zwierzę i wstał. Natychmiast zakreśliło mu się w głowie, aż się zachwiał.

Prawa stopa piekła go, jakby płonęła.

– Odpierdol się! – wrzasnął znowu na szczura.

Z góry dobiegły hałasy.

Kroki.

Zamarł.

Kurwa mać. Zdradził krzykiem swoją obecność.

Kroki się zbliżały. Ktoś schodził po schodach. Powoli, stopień po stopniu. Szuranie.

Bliżej.

Znowu szurnięcie. Jeszcze bliżej.

Rozpłaszczył się na ścianie.

Kolejne szurnięcie, znów bliżej.

Myśl! Zaskoczy sukinsyna. Rzuci się na niego.

Bliżej.

Usłyszał ciche stęknienie. Nieznajomy ciągnął za ciężkie drzwi. Skrzydło się poruszyło, otworzyło.

Ross dygotał ze strachu.

Wtedy rozległ się dziecięcy głos, nieśmiały, z obcym akcentem.

– Halo?

Ross wcisnął podświetlenie zegarka i w słabiutkiej poświacie zobaczył małego chłopca w ubraniu poszarpanym w strzępy, z ciemnymi włosami tak przysypanymi pyłem, że wydawały się szare. Patrzył na Rossa niepewnie.

– Wszystko dobrze, mały – powiedział Ross.

– Mówisz po angielsku?

– Mhm.

– Talibowie poszli – powiedział chłopiec. – Poszli. – Odwrócił się i uciekł.

Ross usłyszał, jak biegnie po schodach.

Odczekał dłuższą chwilę, po czym ruszył za nim, ostrożnie, zastanawiając się, czy to może być kolejna pułapka, ale prawie go to nie obchodziło. Rozpaczliwie potrzebował wody. Jedzenia. Na górze panował już dzień. Obserwował, jak chłopiec wybiega na dwór i wymachuje w górze rękami. Z wahaniem ruszył w jego stronę, starał się trzymać cienia, ale z braku sił wpadał niezdarnie na sprzęty, meble. W końcu wyrzwał na plac.

Ciała zniknęły. Słońce wysuszyło kałuże krwi. Po raz pierwszy, od kiedy tu przyjechał, w mieście panowała prawie kompletna cisza. Chwilę później usłyszał ryk silnika i metaliczny łoskot. Na plac wjechał czołg. Rozpoznał challenger 2. Jeden z niewielu porządných sprzętów, w jakie zaopatrzył swoje wojska rząd.

Wybiegł, potykając się, wymachując w górze chusteczką.

Czołg zatrzymał się przed nim, otworzył się przedni właz, w otworze pokazała się głowa.

– Podrzucić cię gdzieś, koleś? – spytał mężczyzna z wyraźnym angielskim akcentem.

– Jedziecie może do Londynu?

– Wskakuj na pokład, włączam licznik.

Ross zatoczył się w stronę czołgu, ale nie miał siły, żeby się wdrapać na górę. Ze środka wyszło dwóch żołnierzy, żeby mu pomóc.

– Dziennikarz? – spytał jeden.

Miał ogoloną głowę, a na prawym ramieniu tatuaż czaszki zwieńczonej orłem o rozpostartych skrzydłach.

– Aha... – sapnął Ross.

– Z której gazety?

– „Sunday Times”.

– Dawno przestałem je czytać. Szmatławce. Sterty gówna i tyle.

Ross tylko się uśmiechnął. Nie miał siły na kłótnie.

– Wszystkie te pismaki powinny tu przyjechać, kapujesz? Zobaczyc tę kloakę na własne oczy.

– Macie może trochę wody? – spytał Ross błagalnie.

5

Lipiec 2009

Dziesięć dni później, z czego cztery spędził w amerykańskim szpitalu wojskowym w Afganistanie, a następne sześć w oczekiwaniu na samolot, Ross wrócił wreszcie do Anglii wojskowym transporterem i wylądował na lotnisku RAF-u w Brize Norton w Oxfordshire. Wsadzono go do samolotu dzień wcześniej, niż zapowiedziano, więc postanowił, że zrobi niespodziankę Imogen, która spodziewała się go dopiero nazajutrz.

Kiedy wczesnym popołudniem przyjechał na stację w Brighton, padał lekki deszcz. Wziął taksówkę i kazał najpierw zatrzymać się przed kwiaciarnią, gdzie kupił wielki bukiet kwiatów, a potem wszedł jeszcze do winiarni po ulubionego szampana Imogen, Veuve Clicquot.

Tuż po trzeciej taksówka podjechała pod drzwi wysokiego, trochę zaniedbanego bliźniaka nieopodal Seven Dials, gdzie wynajmowali mieszkanie na ostatnim piętrze. Zapłacił taksówkarzowi, dodał napiwek, po czym wygrzebał się z samochodu razem z torbą, butelką oraz kwiatami i pokuśtykał do drzwi. Wszedł do holu, jak zawsze pachnącego stęchlizną i dudniącego od drażniąco głośnej muzyki dochodzącej z mieszkania na parterze.

Dziwnie się czuł, wracając do domu. Prawie surrealistycznie, jakby kilka minionych tygodni było tylko złym snem. Poza blizną na głowie i bolącą nogą, które przypominały mu o rzeczywistości. I koszmarnymi wizjami, które nawiedzały go za każdym razem, kiedy zamykał oczy.

Zerknął na zegarek. Imogen prowadziła stronę czasopisma internetowego z Brighton, wróci dopiero za kilka godzin. Ross zdąży przez ten czas wziąć prysznic, ogolić się, wstawić

szampana do lodu i kwiaty do wazonu. Tak niecierpliwie czekał, żeby ją zobaczyć, wziąć w ramiona, wrócić do normalnego, spokojnego życia. Kochać się z nią – Boże, minęło tyle czasu – i zwyczajnie porozmawiać, opowiedzieć o koszmarach, które przeszedł, i o tym, że myśl o niej pomogła mu przeżyć.

Może później pójdą gdzieś na curry, oboje uwielbiali indyjskie potrawy, a Ross stęsknił się za luksusem zwyczajnych restauracji.

Wszedł na trzecie piętro, wsunął klucz do zamka i otworzył drzwi. W zapełnionym książkami przedpokoju usłyszał muzykę, The Fray, zespół z jego playlisty. Zdziwił się – czyżby Imogen była w domu?

Wszedł do salonu i na stoliku do kawy zobaczył butelkę wina, do połowy opróżnioną, oraz dwa kieliszki z resztkami alkoholu. Na kanapie leżała duża męska kurtka.

Ross zmarszczył brwi.

Muzyka dochodziła z głębi mieszkania.

– Imogen?! Kochanie?! – zawołał.

Głos uwiązał mu w gardle, w żołądku poczuł lodowate zimno.

Położył na stole torbę, butelkę i kwiaty, po czym ruszył korytarzem, muzyka przybierała na sile, w miarę jak zbliżał się do sypialni. Usłyszał również inny dźwięk. Cichy jęk. Zawahał się na chwilę, po czym popchnął drzwi i otworzył je na oścież.

Jego żona, całkiem naga, z włosami odrzuconymi w tył, kołyszącymi się małymi piersiami i wyrazem ekstazy na twarzy siedziała okrakiem na nagim, brodatym mężczyźnie.

Dopiero wtedy go zauważyła.

6

Dziewięć lat później.

Środa, 1 lutego

Starzec brnął roztrzęsiony pod górę stromego wzgórza w Somerset, przygnieciony brzemieniem, które nosił w sercu. Brzemieniem całej historii ludzkości. Wieczną walką dobra ze złem. Miłością i gniewem Boga. Szyderstwem szatana.

Nieświadom wymierzonego weń noktowizora, ostrożnie stąpał po śliskiej trawie, kierując się wskazówkami GPS-u w telefonie, bladym snopem słabiutkiej latarki oraz poczuciem misji w sercu.

Przeznaczenie.

Brązowe półbuty całkowicie przesiąkły wodą, a przez cienki płaszczyk przenikał dotkliwy, zimny wiatr i szczypał go w plecy niczym kompres z lodowatych liści.

W rękach mężczyzna dźwigał ciężki szpadel oraz wykrywacz metalu.

Była trzecia nad ranem.

Po niebie przepłynęło pasmo chmur, przesywane od czasu do czasu smugami zimnego jak kamień księżycyca w pełni. Z każdym takim przebłyskiem na szczycie wzgórza po prawej stronie wyłaniała się ciemna sylwetka zrujnowanej wieży. Ta noc miała w sobie coś nadnaturalnego. Płynące chmury wyglądały jak nakładane zdjęcia w starych hollywoodzkich filmach. Jak w tej scenie z Carym Grantem i Grace Kelly, kiedy jechali kabrioletem, niby bardzo szybko, w tle przemykał z ogromną prędkością rozmazany krajobraz, lecz ich nienaganne fryzury pozostawały nietknięte.

Dzisiejszej nocy jednak nie w głowie mu były stare filmy, myślał tylko o jednej rzeczy.

Przeznaczeniu.

Dzisiejszej nocy, w tym miejscu rozpoczynała się podróż. Był słaby i nie miał pojęcia, ile mu jeszcze pozostało życia. Tak długo czekał na znak, że zaczął już wątpić, czy to w ogóle kiedyś nastąpi. Lecz w końcu nastąpiło i jak zawsze we właściwy dla Niego, niepojęty sposób.

Powiedziano mu, że jest ktoś, kto może mu pomóc, ale jak dotąd nie udało mu się go znaleźć, a ponieważ jego czas się kończył, postanowił działać sam.

Naładowane elektrycznością powietrze sprawiało wrażenie żywej istoty, czuł na skórze jego mrowienie niczym gęsią skórkę. Słyszał na wietrze szepty, których nie potrafił zrozumieć.

Pachniała cudownie trawa. Gdzieś niedaleko rozległ się przeraźliwy pisk. To pewnie lis dopadł królika, pomyślał. Pisk stawał się coraz bardziej rozpaczliwy, aż nagle ustał.

Porównał zmieniające się w telefonie współrzędne z tymi, które miał zapisane na kartce w górnej kieszeni. Zbliża się.

Już prawie jest na miejscu.

Zatrzymał się, wciągnął w piersi powietrze, spocił się mimo dotkliwego zimna. Miał za sobą męczącą podróż – najpierw dwie i pół godziny trudnej jazdy samochodem, potem wędrówka wokół ogrodzenia w poszukiwaniu przejścia. Zapomniał wziąć rękawice, ale za daleko już było do samochodu, żeby po nie wracać.

Rozwinął złożoną karteczkę, przyjrzał się współrzędnym zanotowanym jego starannym charakterem pisma.

51°08'40"N 2°41'55"W

Jest już blisko.

Poczuł nagły przypływ sił. Zrobił kilkanaście kroków w lewo, potem jeszcze kilka pod górę.

Chwilę później cyfry kompasu w jego telefonie pokazały idealną zgodność.

51°08'40"N 2°41'55"W

Był na miejscu. Dokładnie w odpowiednim punkcie. W tym momencie chmury nad jego głową odpłynęły i na ziemię padł blask księżyca. Ktoś tam na górze wskazywał mu właściwe miejsce. To był znak.

Jego przeznaczenie!

Ścisnął szpadel zmarzniętymi, powykręcanyymi artretyzmem palcami i wbił narzędzie w ziemię, potem oparł na nim stopę i nacisnął. Po chwili wydobył pierwszą partię ziemi. W rozkopanym podłożu zaczęły się więc dżdżownice. Opróżnił szpadel i wbił go ponownie. Nagle wokół niego zatańczył jasny snop światła. To nie był blask księżyca, tylko bardzo silna latarka. A właściwie dwie latarki. Usłyszał gniewny, męski głos.

– Hej, ty!

Odwrócił się. Na moment oślepiło go jaskrawe światło skierowane prosto w jego twarz. Zamrugał i odpowiedział własną, dużo słabszą latarką. Zobaczył najpierw młodą twarz policjanta w mundurze, a następnie, obok niego, mężczyznę w średnim wieku w parce.

– Jest tutaj – powiedział. – Dokładnie tu, gdzie kopię. Tuż pod moimi stopami!

– Zwariował pan? Co pan tu wyprawia?

– Ratuje świat.

– Narusza pan prywatny teren.

– Proszę, posłuchajcie mnie.

– Nie, to pan niech posłucha – odparł mężczyzna w parce. – Wtargnął pan na prywatny teren. Do diabła, kto panu pozwolił kopać w poświęconej ziemi i to w środku nocy?

– Bóg – odrzekł po prostu starzec.

7

Czwartek, 16 lutego

Na drewnianych drzwiach między krużgankami kartuzji Świętego Hugona w sercu hrabstwa Sussex, dwadzieścia kilometrów na północ od Brighton, wisiał łaciński cytat:

Mihi enim vivere CHRISTUS est, et mori lucrum.

W tłumaczeniu znaczyło to: „Dla mnie życie Chrystusem jest, a śmierć profitem”.

Za drzwiami, w samotności swej spartańskiej celi, siedział przy stoliku brat Angus pogrążony w lekturze. Od wielu lat wiódł żywot w odosobnieniu, każdego dnia spędzając długie godziny na klęczkach w maleńkiej modlitewnej kabinie.

W ciągu ostatnich miesięcy coraz częściej jednak opuszczał celę, szedł krużgankami do wielkiej biblioteki i tam, między galeriami i ścianami wyłożonymi dębową boazerią, pośród tysięcy oprawionych w skórę ksiąg, z których wiele pochodziło sprzed wynalezienia druku, systematycznie wyszukiwał odpowiednie woluminy, a następnie zanosił do celi tyle, ile mógł udźwignąć.

Każdy zakonnik w klasztorze mógł, jeśli taka była jego wola, żyć zamknięty w swej celi i nigdy jej nie opuszczać. Codziennie rano któryś z braci wsuwał mu jedzenie przez okienko w drzwiach. Brata Angusa trapiły wielkie troski i nie miał nikogo, z kim mógłby się nimi podzielić, przynajmniej przez kilka dni, do niedzielnego spaceru, gdy przez jedną godzinę wolno mu będzie mówić.

Za miesiąc skończy sześćdziesiąt trzy lata i nie wiedział, jak długo jeszcze przyjdzie mu służyć Panu. Niezbyt długo, co do tego nie miał wątpliwości. Z powodu choroby może nawet nie dożyć następnej zimy. Albo wręcz lata. Aż do niedawna z zadowoleniem myślał o życiu, jakie mu przypadło, choć nie

zawsze tak było. Jako dziecko lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku wiódł burzliwe życie i korzystał z niego do syta. Porzucił studia na uniwersytecie i został gitarzystą w zespole heavymetalowym, Satan's Creed. Przez wiele lat wiódł życie napędzane alkoholem, narkotykami i rock'n'rollem. Jeździł na koncerty, głównie po Niemczech, grywał w klubach i na wolnym powietrzu i uprawiał seks niemal bez ustanku.

Aż pewnego dnia ujrzał światło.

Ściślej mówiąc, wiele światła. Światła lekarskich latarek zagląających mu w źrenice po przedawkowaniu mieszanki, której nawet nie potrafił sobie przypomnieć. Światła na sali operacyjnej. I to najjaśniejsze światło ze wszystkich. Światło, które go wzywało.

Prawosławna pielęgniarka pracująca w szpitalu w północnym Londynie, gdzie go oczyszczono i uratowano mu życie, opowiedziała mu o swoim bracie, zakonniku, który mieszkał w zakonnej społeczności na Świętej Górze Athos. Angusa zawsze ciągnęło do Grecji, silnie działała na niego duchowość greckiego Kościoła prawosławnego. Przeszedł na to wyznanie, a następnie z pomocą brata owej pielęgniarki otrzymał wizę i zgodę, aby odwiedzić święty półwysep.

Pojechał tam na pięć dni i został na pięć lat, znajdując ukojenie w surowym rygorze modlitw, pracy, milczenia i niewielkiej ilości snu. Aż pewnego dnia Bóg wezwał go z powrotem do Horsham w hrabstwie Sussex w Anglii. Potrzebowała go matka, która starzała się i ciężko zachorowała.

Zajmował się nią przez siedem lat, dopóki nie umarła na chorobę Alzheimera. Zamierzał powrócić na górę Athos, lecz pewnego dnia, niedługo po pogrzebie mijając przypadkiem bramę kartuzji Świętego Hugona, znowu ujrzał światło, jaśniejsze niż kiedykolwiek. Zawrócił samochód, wjechał na teren klasztoru i oddał samochód przeorowi, żeby go sprzedał, a pieniądze przeznaczył na utrzymanie świątyni.

I pozostał tu aż do tej pory. I nigdy stąd nie odejdzie. To był jego dom, a przynajmniej tymczasowy dom, dopóki...

Dopóki nie wróci do prawdziwego.

Może.

Klasztor Świętego Hugona wzniesiono w czasach, gdy zakon kartuzów przeżywał dni świetności, pełniąc rolę azylu dla

francuskich zakonników uciekających przed rewolucją – lecz niewielu francuskich mnichów tu dotarło. Podobnie jak wiele innych klasztorów wzniesionych w ciągu ostatnich kilkuset lat, zaprojektowano go, by pomieścić ponad dwieście osób, lecz nowych zakonników przybywało niewielu i kiedy wymierali starzy, mało kto przychodził na ich miejsce. Aktualnie u Świętego Hugona mieszkało zaledwie dwudziestu trzech zakonników, łącznie z przeorem i jego zastępcą, a większość z nich przyjechała tu z innych stron świata. Cisza nie była w tym miejscu zjawiskiem sztucznie narzuconym, lecz wynikała najzupełniej naturalnie z niewielkiej liczby mieszkańców. Z owych dwudziestu trzech zakonników siedemnastu mówiło innymi językami. Kartuzja, podobnie jak wiele klasztorów w dzisiejszym świecie, z braku własnych kandydatów mile witała braci z innych zakonów.

Niewielu z tych, którzy tu przyjeżdżali, pozostawało na dłużej, dla większości tutejszy rygor i reguła były zbyt surowe. Zalecano kładzenie się do łóżka o ósmej wieczorem, lecz za dziesięć dwunasta trzeba było wstać na następne modlitwy, które odmawiano w samotności, w prywatnej kapliczce, albo w klasztornej kaplicy, gdzie modły odprawiał przeor.

Cela brata Angusa była bardzo przestronna jak na klasztorne standardy. Mieściła się na dwóch poziomach i miała własny, zamknięty ogródek, w którym mógł uprawiać warzywa. Na dole mieściła się jego prywatna kaplica z obrazem Pana Jezusa wiszącym ponad figurką Matki Boskiej na prowizorycznym postumencie wykonanym z kawałka pnia. Na krótkim korytarzu stał mały warsztat roboczy z narzędziami niezbędnymi do prac przy utrzymaniu celi i ogródka.

Na górze znajdowały się dwa pokoiki, jeden z łóżkiem, drewnianym stołem i krzesłem, drugi z kącikiem do modlitwy. Obok niewielkiej umywalni wisiał do góry nogami na haczyku turkusowy termofor, nieopodal zaś stał mały piecyk opalany drewnem, który stanowił jedyne źródło ciepła w ciągu długich zimowych miesięcy. Powinienem napalić, pomyślał, kiedy zadygotał z zimna. Habit z kapturem zapewniał niewielką ochronę przed chłodnymi przeciągami, ale Angusa za bardzo

pochłaniała księga napisana językiem staroangielskim, którą musiał odszyfrować.

Siedział przy biurku przed stertą bibliotecznych woluminów, Biblią, modlitewnikami oraz terminarzem modlitw, rozłożonym na środku, a przed nim rozciągał się widok na ogródek, mur i dalej tonący w ciszy cmentarz, otoczony neogotyckimi krużgankami klasztoru.

Rzędy prostych drewnianych krzyży oznaczały anonimowe miejsca pochówku braci, którzy odeszli przed nim. I pewnego dnia, całkiem niedługo, jego doczesne szczątki spoczną tu między nimi. Lecz gdzie będzie wtedy jego dusza?

Aż do niedawna to pytanie nie stanowiło dlań problemu. Ale przy kilku okazjach rozmawiał na ten temat z przeorem i za każdym razem coraz mniej go przekonywały zapewnienia przełożonego. Im więcej na ten temat czytał i rozmyślał, tym trudniejszą jego wiara przechodziła próbę. Coraz częściej nachodziło go pytanie: A jeśli niczego nie ma? Niczego w ogóle?

Co, jeśli spędził te wszystkie lata... zmarnował te wszystkie lata, modląc się w puste powietrze?

Wertował teraz stronicę księgi z nadzieją, że Bóg naprowadzi go na odpowiedni ustęp, ukryty głęboko między wersami, który mu da odpowiedź. Musiał go znaleźć. Nie znał już świata za murami. Tyle się zmieniło od czasu, gdy wstąpił do zakonu. Nawet kiedy opuścił klasztor, żeby zajmować się matką, trzymał się z dala od wszelkich nowoczesnych technologii. Przez minione dziesięciolecie świat tak bardzo poszedł naprzód. Rzadko używał telefonu, chociaż coraz sprawniej posługiwał się internetem.

Bał się, że wkrótce nic po nim nie zostanie – kupka gnijących kości pod anonimowym krzyżem, tak jak po wszystkich, którzy żyli tu przed nim.

Wtem, kilka miesięcy temu, otrzymał wiadomość, a jej możliwe konsekwencje przejmowały go jeszcze większym lękiem, ponieważ wiadomość była ogromnie niejasna.

Coś się działo. Świat pogrążał się w narastającym religijnym tumultie i ulegał coraz większej polaryzacji, co się nie zdarzyło do tego stopnia od wieków. Każdej nocy we śnie Bóg przekazywał mu znaki i wiadomości. Wydawał polecenia, by korzystał z internetu, by siedł z duchem czasu. Mimo to

zamiast widzieć rzeczy coraz jaśniej, czuł się coraz bardziej zagubiony.

Bywały dni, a nawet całe tygodnie, kiedy wiadomości i znaki splatały się w jeden rozmazany obraz i Angus z tekstów religijnych przerzucił się na naukowe. Większość zakonników w klasztorze żyła z dala od nowoczesnej techniki, lecz on zaczął nagle studiować jej odmienny sposób widzenia, jej bardziej twórcze wykładnie. Szczególnie jednego z naukowców czytał zachłannie – amerykańskiego profesora Danny’ego Hillisa, twórcy programowania równoległego oraz współzałożyciela firmy Thinking Machines. Jej motto brzmiało: „Budujemy urządzenie, które będzie z nas dumne”.

A niektóre wypowiedzi wynalazców poruszały w nim jakąś czułą strunę.

Najbardziej utkwiał mu w pamięci jeden fragment wypowiedzi Hillisa z połowy lat dziewięćdziesiątych: „Nie jestem pewny, czy powinniśmy szukać Boga pod sklepieniami gotyckich katedr; sądzę, że prędzej znajdziemy go w cyberprzestrzeni; to właśnie technika ma szansę otwarcia tej powitalnej częstotliwości”.

Angus postanowił zaryzykować, że ściągnie na siebie gniew przeora, a możliwe, że i wydalenie z klasztoru, i zaproponował, żeby każdy mnich, zamiast korzystać ze starego i powolnego urządzenia w bibliotece, dostał komputer z dostępem do internetu; lecz przeor nie chciał nawet o tym słyszeć. Odrzekł tylko:

– Bóg mówi każdemu z nas wszystko, co powinien wiedzieć. Dzień, w którym zaczynamy w to wątpić, jest dniem, w którym powinniśmy porzucić habit. Może przeżywasz kryzys wiary, bracie Angusie? Pamiętaj: wszystko, co kiedykolwiek istniało, istnieje nadal. W Bogu. Szukaj, a znajdziesz. Pytaj Go, a On ci odpowie.

W swoich modlitwach brat Angus pytał Go każdego dnia coraz żarliwiej. W odpowiedzi dostał wiadomość, że coś się niebawem wydarzy. Coś równie doniosłego dla świata chrześcijańskiego jak narodziny Chrystusa.

Ponowne przyjście?

Czy raczej pojawienie się wielkiego uzurpatora?

8

Czwartek, 16 lutego

Mało brakowało, a Ross Hunter nie odebrałby tego telefonu. Wyświetlacz w komórce poinformował go, że numer jest zastrzeżony. Pewnie znowu jakiś automatyczny marketing, który w ostatnich czasach stał się dla wszystkich prawdziwym utrapieniem. Ross miał umówiony termin ze swoją redaktorką, Natalie McCourt z przeglądu „Sunday Timesa”, która zamówiła u niego artykuł demaskujący czterech piłkarzy Premier League zamieszanych w oszustwo podatkowe. Termin upływał o czwartej po południu – dokładnie za dwadzieścia minut.

Na podłodze obok biurka leżał ich ciemnoszary labradoodle, Montmorency, skupiony aktualnie na dwóch palących terminach – czy uda mu się skończyć kość, którą chrupał irytująco głośno, zanim pan zabierze go na spacer; oraz czy wyjdą na spacer, zanim się ściemni.

W czasie, który miał nastąpić, Ross często będzie się zastanawiał, co go właściwie skłoniło do odebrania tego telefonu. Chociaż nawet gdyby wtedy nie odebrał, dzwoniący na pewno spróbowałby ponownie. A potem jeszcze raz. Ross był ostatnio dość znaną osobistością i wiedział, że nie należy lekceważyć żadnego telefonu. Jego pierwszy przełomowy artykuł sprzed wielu lat, kiedy był jeszcze nieopierzonym reporterem „Argusa”, powstał w efekcie takiego właśnie niespodziewanego telefonu. Naprowadził go na trop seksafery, w wyniku której miejscowy poseł musiał złożyć mandat.

– Ross Hunter – powiedział do słuchawki.

Z okna gabinetu na poddaszu popatrzył w dół na pogrążającą się w zmierzchu dzielnicę Patcham, gdzie przeprowadzili się z Imogen, aby rozpocząć wszystko od nowa

po tamtej okropnej historii, gdy po powrocie z Afganistanu zastał ją w łóżku z innym mężczyzną.

Błagała, żeby jej wybaczył. Opowiadała, jak ją przeraziła wiadomość z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, że jej mąż zaginął i być może nie żyje. Z rozpaczy szukała pocieszenia u starego przyjaciela. Ross tak bardzo potrzebował wtedy powrotu do normalnego życia, że przyjął to wyjaśnienie i wybaczył jej. Później odkrył, że kłamała, że romans ciągnął się znacznie dłużej. Ich związek nigdy potem nie był już taki sam. Bardziej przypominał sklejanie kawałków rozbitego szkła – niby cały, lecz miejsca pęknięć pozostały na zawsze obecne. Próbowali je zamaskować, przeprowadzając się do innego mieszkania. Teraz Imogen była w ciąży, lecz Ross nigdy nie pozbył się wątpliwości.

Po prostu nie potrafił jej zaufać. Niekiedy wracała po pracy późnym wieczorem z wyjaśnieniami, w które nie do końca wierzył. Niezręcznie kończyła rozmowy telefoniczne, kiedy wchodził do kuchni. W takich sytuacjach zawsze powracały wspomnienia. Jej nagie ciało na obcym, brodatym mężczyźnie, w ich małżeńskim łóżku.

Przed domem powoli przejeżdżał samochód firmy kurierskiej. Jedna z sąsiadek wróciła właśnie do domu swoim minivanem. Otworzyła drzwi i w świetle wylewającym się z kabiny Ross widział, jak pomaga odpiąć pasy swojemu synkowi – małemu, dokuczliwemu łobuziakowi, który wrzeszczał chyba całymi dniami.

W telefonie odezwał się pełen ogłady głos starszego mężczyzny.

– Czy rozmawiam z panem Rossem Hunterem, dziennikarzem?

– Tak, słucham, kto mówi?

– Dzięki Bogu, dotarłem w końcu do właściwego człowieka. Dość dużo czasu zajęło mi zdobycie pańskiego numeru. Dzwoniłem do każdego R. Huntera z książki telefonicznej hrabstwa Sussex.

– Mógł się pan ze mną skontaktować przez media społecznościowe. Jestem dość aktywny na Facebooku i Twitterze. Albo wysłać mi maila, mój adres znajduje się w każdej notce autorskiej.

Ross upił nieco herbaty z kubka na biurku.

– To nie jest sprawa na maile czy media społecznościowe, panie Hunter. Poczta elektroniczna nie jest bezpieczna, nie mogłem ryzykować. Czytałem wiele pańskich artykułów. Ogromne wrażenie zrobiła na mnie relacja z Afganistanu, którą napisał pan kilka lat temu dla „Sunday Timesa”, o zaniedbaniach rządowych wobec naszych wojsk.

– Interesuje się pan tymi sprawami?

– Mój syn zginął w prowincji Helmand od ostrzału wojsk sojuszniczych. „Niebiescy na niebieskich”, jak to zdaje się nazywają. Gdyby dostał w wyposażeniu sygnalizatory, może byłby dzisiaj z nami.

– Przykro mi.

– To nie jest powód, dla którego do pana dzwonię, ale dziękuję. Ja i moja żona dokładaliśmy wielu starań, by z tego powodu nie zgorzknąć.

Ross zaczął już dochodzić do wniosku, że to może być jednak strata cennych minut, które mu zostały na skończenie i korektę artykułu.

– Chciałbym, by nie uważał mnie pan za pomyleńca, panie Hunter.

– Nie szafuję takimi opiniami.

– Nazywam się Harry F. Cook. Mam tytuł doktora. Jestem byłym oficerem RAF-u, a także emerytowanym wykładowcą historii sztuki na Uniwersytecie Birmingham. Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale otrzymałem niedawno niepodważalny dowód na istnienie Boga i powiedziano mi, że jest pewien człowiek, szanowany dziennikarz, Ross Hunter, który mógłby pomóc, aby potraktowano mnie poważnie.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Zdaję sobie sprawę, jak dziwnie to brzmi.

– Owszem, bardzo dziwnie. – Ross zastanawiał się przez chwilę. – A mówiąc dokładniej, o którego boga chodzi?

– Istnieje tylko jeden Bóg, panie Hunter. Jest wielu proroków i wiele różnych wyznań, ale Bóg jest jeden.

Ross obserwował, jak jego sąsiadka prowadzi synka do drzwi swego parterowego domu.

– Czy mogę spytać, kto panu o mnie powiedział?

– On sam. Bóg – odparł prostolinijnie Harry Cook. – Czy mógłby mi pan poświęcić kilka minut?

Ross spojrział na zegarek, na upływające drogie minuty.

– Obawiam się, że musi się pan pospieszyć. Mam w tej chwili bardzo pilną pracę.

– Dobrze, postaram się ująć to jak najkrócej. A może woli pan, żebym zadzwonił później?

– Nie, proszę mówić.

Wziął długopis i zapisał nazwisko: „dr Harry F. Cook, RAF oraz prof. historii sztuki na Uniwersytecie Birmingham – na emeryturze”. Potem wziął kolejny łyk herbaty, która zrobiła się letnia.

– Rzecz w tym, panie Hunter, że muszę się z panem zobaczyć i wyjaśnić wszystko dokładniej. Zapewniam, że nie będzie to dla pana strata czasu. Nie wątpię, że codziennie dzwonią do pana różni pomyleńcy. Czy zechce pan się ze mną spotkać na pół godziny? Proszę wybrać miejsce, dostosuję się do każdej propozycji, która będzie dla pana wygodna. Mam też dla pana wiadomość, którą z pewnością chciałby pan usłyszeć.

– Jaką wiadomość? Od kogo?

– Od pańskiego brata, Ricky’ego.

Przez chwilę Ross siedział oniemiały, zastanawiając się, czy dobrze usłyszał.

– Ma pan wiadomość od Ricky’ego?

– Tak.

– Czy może mi pan ją przekazać?

– Nie przez telefon, panie Hunter.

Ross poczuł nagle w pokoju lodowaty powiew. Wydało mu się, że światła na ciemnej ulicy zamrugały niczym tysiące świec migoczących od gwałtownego podmuchu wiatru. Zadygotał i drżącą dłonią dopisał coś na kartce.

– Naprawdę ma pan wiadomość od mojego brata?

Zobaczył na ulicy migające niebieskie światło karetki pogotowia, usłyszał zawodzenie syreny. Przez moment zastanawiał się, czy ta rozmowa mu się nie śni.

– Kim pan właściwie jest, panie Cook?

Karetka minęła właśnie jego dom.

– Błagam, niech mi pan uwierzy, jestem zwyczajnym człowiekiem, który robi to, co mu powierzono. Bardzo pana proszę, spotka się pan ze mną?

Ross miał już do czynienia z wieloma wariatami twierdzącymi, że mają dla niego materiał, który wstrząśnie posadami świata. Wielu takich już w życiu odprawił. Lecz w głosie tego mężczyzny brzmiała taka szczerłość, że poczuł się zaintrygowany.

– Dam panu pół godziny. Możemy się spotkać na herbatę. Jeśli uda się panu mnie przekonać, że potrzebujemy więcej czasu, porozmawiamy dłużej. Zgoda?

– To przyzwoity układ. Jest pan bardzo uprzejmy. Tak jak powiedziałem, może pan wyznaczyć dogodnie dla siebie miejsce. Proszę mnie tylko poinformować gdzie i kiedy.

9

Czwartek, 16 lutego

Borys przysiadł na krawędzi biurka w swojej ogromnej klatce i kołysząc się prawie w powietrzu, niezdarnie walił w klawisze komputera. Chociaż mała kapucynka z okrągłą, pomarszczoną twarzą, kremową grzywą i długim brązowym ogonem była wyjątkowo inteligentna jak na małpę, nie miała pojęcia, co wystukuje na klawiaturze. Nie zwracała uwagi na bełkot, który się pojawia przed nią na monitorze, tylko wpatrywała się wyczekująco w wylot małej zjeżdżalni, skąd od czasu do czasu wypadały przysmaki, takie jak orzeszki ziemne w łupinie lub kawałki banana.

Wiedziała, że jeśli przestanie naciskać klawisze, przestaną też wypadać przysmaki. Odkryła już, że dopóki stuka w przyciski, dostaje smakołyki. W ciągu trzech tygodni nauczyła się również, że załatwianie się na klawiaturę nie przynosi pożądanego efektu. Jedyne efekty są takie, że przez długi czas nie pojawia się potem żadna nagroda.

Doktor Ainsley Bloor, były wykładowca biologii na Uniwersytecie Brighton, kilka lat temu zaprzedał duszę wielkiemu koncernowi farmaceutycznemu i był teraz dyrektorem generalnym jednego z najszybciej rozwijających się gigantów na tym rynku, Kerr Kluge. Najbardziej zażartym krytykom korporacji nie umknęło podobieństwo inicjałów jej nazwy do Ku-Klux-Klanu. Żartowali, i nie bez przyczyny, że jedyna różnica pomiędzy obydwiema organizacjami polega na tym, iż farmaceutyczny gigant dzięki swoim badaniom genetycznym wie, jak zmieniać ludzki kolor skóry.

Lecz Borys nie wiedział o niczym poza swoim najbliższym otoczeniem. Uderzał tylko w klawisze, a wtedy wypadały smakołyki, i nic go więcej nie interesowało.

Ainsley Bloor był od lat jednym z najbardziej znanych wojujących ateistów w Anglii. Pięćdziesięcioletni tryskający młodzieńczą werwą, z gładko przyczesanymi siwymi włosami, znacznie dłuższymi niż nakazywała moda wśród rekinów biznesu, o przenikliwych szarych oczach i o ostrych, jastrzębich rysach, był żarliwym wyznawcą grupy znanej w tym czasie jako Czterej Jeźdźcy Nieapokalipsy – Richarda Dawkinsa, Daniela Dennetta, Christophera Hitchensa i Sama Harrisa.

Wielu jego poprzedników z ruchu nowego ateizmu próbowało dowieść prawdziwości twierdzenia o nieskończonej liczbie małych, które miało odegrać decydującą rolę w wykazaniu, że świat powstał wskutek czystego przypadku, a nie dzięki jakiegokolwiek formie tak zwanego inteligentnego projektu.

Już jako dwudziestokilkuletni naukowiec Bloor opublikował trzy książki, które miały na celu ośmieszyć ideę Stwórcy: *Wielki bożek*, *Kim był ojciec chrzestny boga ojca?* oraz *Odróbcie matkę boską!* Zagadnienie to, jak również twierdzenie, które usiłował udowodnić, były stare jak świat i sięgały aż do Arystotelesa, Blaise'a Pascala, Jonathana Swifta, Émile'a Borela i Arthura Eddingtona. Wszyscy oni próbowali wytłumaczyć powstanie życia prawami matematyki i czystego przypadku.

Według Bloora jednak sposób, w jaki Antony Flew – a przed nim wszyscy inni – usiłował to uczynić lub przeprowadzić dowód za pomocą eksperymentu z małpami, był z gruntu błędny.

Przeoczyli oni bowiem jeden zasadniczy element.

Siedząc w swoim gabinecie z algorytmem komputerowym, który udoskonalał przez dziesięć lat, a od trzech tygodni zaczął wdrażać w życie w eksperymencie z małpami przy klawiaturze, zauważył wyłaniający się wzorzec.

To dopiero początek, ale zawsze jakiś postęp. Tak, stanowczo jest postęp! Z sześciu małych, które trzymał w oranżerii swojej rezydencji, w której mieszkał razem z żoną, Borys wyrastał na gwiazdę.

Podróż tysiąca mil, pomyślał. Jak powiedział Laozi: „Podróż tysiąca mil rozpoczyna się od jednego kroku”.

Albo jednego uderzenia w klawisz.

10

Poniedziałek, 20 lutego

O trzeciej pięćdziesiąt, dziesięć minut przed planowanym przyjazdem doktora Harry'ego Cooka, Ross wyglądał przez okno swojego gabinetu na piętrze i rozmyślał o artykule, który pisał dla „Sunday Timesa” i który sprawi, że pewien wysoki urzędnik Narodowego Funduszu Zdrowia będzie się wił jak piskorz. Zobaczył podjeżdżającego do krawężnika przed domem nieskazitelnie białego nissana micrę.

W jego komórce zadźwięczał sygnał SMS-a.

Spojrzał na telefon i zobaczył wiadomość od Imogen.

**Będę późno, ok. 7. Mam kupić coś na wynos? Może tajskie? Strzeż się tego świra – nie chcę Cię znaleźć pokrojonego na kawałki w lodówce!
Kocham Cię. XXXX**

Odpisał:

**Jasne! Poproszę kurczaka satay i rybę z zielonym curry. Jestem uzbrojony po zęby! Kocham Cię.
Buziaki. XXX**

Wrócił do pracy i próbował się skupić, ale na próżno. Gryzło go, że Imogen znowu wróci późno. Dlaczego? Co ona kombinuje? Z roztargnieniem patrzył na mężczyznę w małym nissanie.

Zszedł na dół i po chwili zadzwonił dzwonek. O czwartej zero zero z dokładnością do nanosekundy. Kiedy otworzył drzwi, w progu stał starszy mężczyzna w eleganckim

garniturze w prążki, z dobrze dobranym krawatem i chusteczką wystającą z kieszonki. W ręku trzymał wielką aktówkę. Ross ocenił go na jakieś siedemdziesiąt pięć lat.

– Pan Hunter? – spytał przybyły, wyciągając dłoń.

– Doktor Cook? Znalazł nas pan bez kłopotu?

– O tak, dzięki cudom nawigacji satelitarnej.

Kiedy ściskali sobie dłonie, Cook nachylił się i patrząc na niego błagalnie trochę załzawionymi, smutnymi oczami, powiedział:

– To niezwykle uprzejme, że zgodził się pan ze mną spotkać, panie Hunter. Zdaje pan sobie sprawę, że my dwaj mamy ocalić świat?

Ross uśmiechnął się trochę niepewnie.

– No cóż, zrobię, co w mojej mocy.

Widząc tak elegancko ubranego gościa, zrobiło mu się głupio, że ma na sobie stare džinsy, workowaty sweter i zniszczone kapcie.

– Nie umiem wyrazić, jakie to dla mnie ważne, panie Hunter. A także dla całej ludzkości.

– No tak, zobaczymy. – Uśmiechnął się. – Proszę wejść. Napije się pan czegoś?

– Bardzo chętnie. Poproszę herbatę.

Z kuchni dobiegło głośnie szczekanie.

– Monty, cicho bądź! – skarcił go Ross.

Pies wyszedł do przedpokoju i ze skulonymi uszami przydreptał po czarno-białej szachownicy, niezdarnie merdając ogonem. Ross poklepał go po głowie, po czym odwrócił się do gościa, który patrzył czujnie na kędzierzawe zwierzę.

– Łagodny jak baranek – uspokoił go Ross. – Do rany przyłóż. Lubi pan psy, panie Cook?

– O tak, jak najbardziej. Monty, powiada pan?

– Tak, zdrobnienie od Montmorency.

– Jeśli się nie mylę, tak się nazywał pies w *Trzech panach w łódce*.

– Stąd właśnie Monty wziął swoje imię. Właściwie to był pomysł mojej żony, uwielbia tę książkę.

Należała do zestawu lektur, które zabrali z Imogen w podróż poślubną do Włoch i oboje przeczytali – on po raz pierwszy, ona chyba trzeci. Mieli z niej mnóstwo uciechy,

szczególnie z pierwszego rozdziału, w którym bohater lamentował, że nie może w podróży niczego jeść z powodu choroby morskiej. Oboje z Imogen pojechali kiedyś na wyprawę, sfinansowaną przez dział turystyczny gazety, w której pracowała. Przez pierwsze dwa dni w Zatoce Biskajskiej panował sztorm, a oni leżeli plackiem na plecach i przeżywali prawdziwe katusze.

– My z żoną zawsze preferowaliśmy raczej koty – oznajmił Cook.

– My też mieliśmy kiedyś kota, przybłądę. Nazywał się Cosmo. Ale był dziwakiem, zniknął czasami na całe dni.

– Trudno zrozumieć umysły tych zwierząt.

– Tak. Któregoś dnia zniknął na dobre. Prawdopodobnie dostał lepszą propozycję.

Staruszek roześmiał się cicho.

– Kto wie.

Ross wprowadził Cooka do ich przestronnego, nowocześnie urządzonego salonu, po czym poszedł do kuchni. Najnowocześniejszy sprzęt, który wybrała Imogen, kosztował tyle co budżet małego państwa, znacznie więcej, niż mogli sobie pozwolić. Wstawił wodę w czajniku, zaparzył herbatę, po czym wyszukał w szafce herbatniki pełnoziarniste i wysypał je na talerzyk. Postawił wszystko na tacę i wrócił z nią do salonu.

Usiadł w fotelu naprzeciwko Cooka i zaczął mieszać herbatę, podczas gdy Monty obok niego nie odrywał oczu od nieznanego gościa.

– Powiedział pan, że ma dla mnie wiadomość od mojego brata – zagaił.

– Dojdę do tego w stosownym czasie. Pozwoli pan, że zacznę od początku.

Ross skinął głową.

– Moja żona, Doreen, pracowała na tym samym uniwersytecie co ja, wykładała fizykę. Pół roku temu zmarła na raka.

– Przykro mi to słyszeć.

– Dziękuję. Chodzi o to, panie Hunter, że tuż przed śmiercią, w hospicjum, poprosiła mnie, abym jej obiecał, że po jej śmierci pójdę do medium i postaram się z nią skontaktować. Bardzo na to nalegała. Szczerze mówiąc, jako praktykujący chrześcijanin

nigdy nie wierzyłem w te rzeczy, lecz Doreen tak bardzo to dręczyło, że w końcu jej obiecałem. I naturalnie kiedy umarła, musiałem spełnić jej życzenie.

– Naturalnie.

Ross zastanawiał się, dokąd to wszystko zmierza.

– Znalazłem miłą kobietę, która miała dobre rekomendacje i mniej więcej trzy tygodnie po pogrzebie żony poszedłem do niej na seans. Jednak w czasie seansu zamiast Doreen zjawił się mężczyzna, który twierdził, że ma bezpośrednią wiadomość od Boga. Powiedział, że Bóg martwi się sytuacją na świecie i gdyby ludzkość zdołała odzyskać wiarę w Niego, mogłaby podźwignąć się znad skraju przepaści. Na dowód swej *bona fide* mężczyzna ów dodał, że Bóg przekazuje mi trzy informacje, których nie zna żaden człowiek na ziemi, w postaci współrzędnych geograficznych. Powiedział mi również o pewnym szanowanym dziennikarzu, Rossie Hunterze, który może mi pomóc i sprawić, by świat potraktował mnie poważnie.

– Doprawdy? Nie miałem pojęcia, że cieszę się takim uznaniem.

– Mężczyzna ten oznajmił, że jest z nim ktoś, kto ma dla pana wiadomość, pański brat, Ricky. Ricky prosił, aby panu powiedzieć, że nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego pan go nie lubi, ale panu wybacza.

Ross wpatrywał się w staruszkę jak zahipnotyzowany.

– Czy powiedział coś jeszcze?

– Powiedział, że chce, by mi pan zaufał. Wymienił dwa słowa, zdaje się, że to jakieś imiona. Kogel i Mogel. Powiedział: Pamiętaj o Koglu i Moglu. Pamiętasz, kiedy Mogel cię ugryzł?

Ross w osłupieniu wytrzeszczył na niego oczy.

Kogel i Mogel były dwoma myszokoczkami, które dostali od rodziców na dziewiąte urodziny. Mogel ugryzł go w palec wskazujący, naprawdę mocno. Na miłość boską, skąd ten człowiek mógł się o tym dowiedzieć?

Doktor Cook spuścił wzrok na aktówkę stojącą obok niego na podłodze.

– Wszystko znajduje się w środku, panie Hunter.

– Rozumiem.

Starzec otworzył aktówkę i wyjął ze środka gruby plik kartek formatu A5, złączonych gumką recepturką.

– Myślę, że na początek powinien pan to przeczytać. To wszystko przekazał mi Bóg w ciągu kilku dni po mojej wizycie u medium. – Wręczył Rossowi plik. – Oczywiście zamazałem te współrzędne, na wypadek gdyby wpadły w niepowołane ręce.

Pakunek był całkiem ciężki. Na wierzchu leżała czysta, pomarszczona stronica o pozaginanych rogach. Ross szybko przewertował rękopis. Ciągły tekst, bez przerw ani rozdziałów, został zapisany na papierze w linie starannym, drobnym, lekko pochyłym pismem. Tu i ówdzie widniały plamki korektora, dopiski, strzałki i ramki. Strony były ponumerowane, na ostatniej widniał numer tysiąc dwieście czterdzieści siedem.

– Dobrze – powiedział. – Proszę mi to zostawić, przejrzę to w wolnej chwili.

Staruszek z żalem pokręcił głową.

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Widzi pan, to jedyny egzemplarz, jaki istnieje.

– Nie zrobił pan kopii?

Cook sprawiał wrażenie, jakby poczuł się urażony.

– Nie mogę ryzykować, że rękopis wpadnie w niepowołane ręce. Musi pan go przeczytać w mojej obecności.

Ross jęknął w duchu. Tak jak się obawiał, staruszek coraz bardziej wyglądał mu na lekko stukniętego. Mimo to nie mógł zlekceważyć tego, co usłyszał o Rickym. Skąd ten starzec mógł wiedzieć o dwóch myszosczkach? Nigdy o nich nie pisał, a jak sięgał pamięcią, również nigdy nikomu o nich nie mówił. Więc jakim cudem doktor Cook się o nich dowiedział? Wziął do ręki manuskrypt, przez chwilę ważył go w ręku, po czym zaczął wertować.

– Czytanie tego zajmie mi jakieś cztery dni.

Starzec podniósł palec.

– Mniej więcej.

Ross pokręcił głową i uśmiechnął się łagodnie.

– Zamierza pan tu siedzieć na kanapie przez cztery dni, kiedy będę czytał ten tekst?

– Nie mogę go spuścić z oczu.

Ross ponownie potrząsnął głową.

– Panie doktorze, to niemożliwe. Pomijając wszystko inne, nie mam wolnych czterech dni. Będzie pan musiał się zdobyć na wielki akt wiary. Albo mi pan zostawi ten rękopis, a ja go

przeczytam w wolnym czasie, albo zabiera pan go ze sobą. Zanim w ogóle zacznę, muszę się dowiedzieć znacznie więcej na temat tego, co się w nim znajduje. Jak również o tym „dowodzie na istnienie Boga”, który podobno pan posiada. Cóż to za trzy informacje, o których pan mówił?

– Otrzymałem trzy zestawy współrzędnych. Pierwszy dotyczy lokalizacji Świętego Graala.

– Świętego Graala?

– Tak jest.

– To wielka sprawa – zauważył Ross, notując to.

– Nie tak wielka jak następna, panie Hunter. Współrzędne miejsca, gdzie znajduje się ważny przedmiot związany z naszym Panem, Jezusem Chrystusem.

– Czy ma dołączone świadectwo pochodzenia?

– Proszę, panie Hunter, powiedziałem już panu, że nie jestem wariatem. Proszę mnie wysłuchać. Trzeci zestaw współrzędnych dotyczy czegoś tak ważnego, że wstrząśnie posadami świata, lecz wyłącznie w pozytywnym sensie.

– Czy powie mi pan, co to jest?

– W stosownym czasie, nie teraz, dopiero kiedy się upewnię, że jest pan odpowiednim człowiekiem. Powiem tylko, że trzeci zestaw współrzędnych dotyczy drugiego przyjścia.

– Ponownych narodzin Chrystusa?

– Tak.

Ross zastanawiał się przez chwilę i nagryzmolił na kartce aureolę.

– Rozumiem. Doktorze Cook, czy sprawdził pan któreś z tych współrzędnych? A może wszystkie?

Cook upił herbaty, po czym skinął głową w zadumie, jakby błądził we własnym świecie.

– Owszem. Sprawdziłem współrzędne Świętego Graala. Wskazują Chalice Well w Glastonbury.

– Chalice Well?

– Jak pan wie, to miejsce uważano od dawna za miejsce spoczynku Józefa z Arymatei. Chalice Well jest jedną z najstarszych studni w Anglii, w Dolinie Avalonu, między Glastonbury Tor a Chalice Hill.

– Tak się składa, że trochę na ten temat wiem. Kilka lat temu napisałem dla „Guardiana” spory artykuł o festiwalu

Glastonbury oraz mitach związanych z Glastonbury Tor. Z tych okolic pochodzą wszystkie legendy arturiańskie o Świętym Graalu.

– To dobrze, będzie pan zatem wiedział, o czym mówię. Rzecz jasna wokół tego tematu narosło całe mnóstwo fałszywych informacji, rozsiewanych przez nieprzyjaciół Naszego Pana. Mam nadzieję, panie Hunter, że jest pan człowiekiem, który potrafi je przejrzeć na wylot. To prawdopodobnie jeden z wielu powodów, dla których polecono mi pana jako osobę mogącą mi pomóc.

– Czy sprawdził pan te informacje?

– Pojechałem tam z różdżką radiestezyjną i wykrywaczem metalu, obszedłem teren o dużym promieniu wokół punktu wyznaczonego przez współrzędne i stwierdziłem, że na pewno coś się tam znajduje. – Oczy Cooka zaślniły niemal mistyczną żarliwością. – Całym Chalice Well zarządza fundacja. Udałem się wtenczas do członków zarządu i poprosiłem o zgodę na przeprowadzenie wykopalisk archeologicznych, ale mi odmówili, chociaż wyjaśniłem im przyczyny swojej prośby.

– Czy podali panu powód?

– Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby ich przekonać, lecz nie potraktowali mnie poważnie. Sądzę, że z panem byłoby inaczej, ponieważ cieszy się pan opinią człowieka uczciwego, z pewnością podeszliby do pana z większym zaufaniem.

– Pochlebia mi pan.

– To jest prawda, panie Hunter.

– Ta sprawa nie jest taka prosta – stwierdził Ross. – O ile pamiętam ze swoich poprzednich badań, Józef z Arymatei rzeczywiście mógł przyjechać do Anglii wkrótce po ukrzyżowaniu.

– Oczywiście – przytaknął Cook. – Najprawdopodobniej przybył przez tereny zalewowe Somerset Levels. Wiózł ze sobą kielich, w który zebrano krew Jezusa w czasie ukrzyżowania. Dotarł na legendarną wyspę króla Artura, Avalon, wzgórze znane obecnie jako Glastonbury Tor. Zakopał kielich w ukrytym miejscu. Siedemset lat po śmierci Chrystusa wzniesiono opactwo Glastonbury. W tysiąc sto dziewięćdziesiątym pierwszym roku zakonnicy z opactwa ogłosili, że odnaleźli groby króla Artura i królowej Ginewry.

O ile wiem, wszystkie tamtejsze archiwa uległy zniszczeniu w czasie reformacji Henryka Ósmego, kiedy kościół protestancki przeciwstawił się dominacji Rzymu i większość klasztorów zrównano z ziemią, a zabytki i dokumenty spalono albo zaginęły na dobre.

Ross napił się herbaty.

– Owszem, ale podczas badań, jakie przeprowadziłem do swojego artykułu, stwierdziłem, że znaczna część średniowiecznych mnichów była dość konsumpcjonistyczną zbieraniną, która ceniła sobie dochody czerpane od ludzi odwiedzających święte miejsca równie mocno jak dzisiejsze nadmorskie kurorty. Wielu naukowców twierdzi, że odkrycie tych grobów było wielką mistyfikacją, mającą na celu nakręcanie turystyki religijnej. Co pan wie na ten temat, panie doktorze?

– Wszystko. Świątynię nawiedzały tysiące pielgrzymów. Jej popularność ściągała szarlatanów wszelkiej maści, sprzedających rzekomo magiczne relikty. Lecz tak było w wielu klasztorach. Ma pan całkowitą rację, podważając wiarygodność tych informacji, panie Hunter. Po spustoszeniach, jakich dokonała reformacja, i po upływie tylu stuleci nie sposób ustalić prawdy.

– Właśnie. Czy zatem sprawdził pan pozostałe współrzędne?

– spytał Ross.

– Tak. Ale dopóki nie zyskam pewności, że jest pan gotów zaangażować się w tę sprawę całą duszą, nie mogę ich ujawnić.

Chociaż Ross nadal nie wyzbył się swojego sceptycyzmu, nie potrafił zlekceważyć tego, co Cook powiedział mu o Rickym. Poza tym było w tym człowieku coś wyjątkowo szczerego i uczciwego, co go głęboko poruszyło. Bez najmniejszych wątpliwości starszek wierzył w to, co mówił.

Mimo to...

– Panie doktorze, powiedział pan, że gdyby ludzkość na nowo utwierdziła się w wierze, udałoby się uratować świat stojący nad przepaścią. I że tak uważa sam Bóg, mam rację?

– Tak jest, panie Hunter.

– Tylko że ludzkość nigdy nie podążała prostą drogą. Proszę się cofnąć o parę tysięcy lat. W każdej kulturze w historii ludzie wierzyli w jakiegoś Boga lub bogów i oddawali im cześć. I przez

cały ten czas czynili na świecie tyle samo zła co dzisiaj. – Urwał i spojrzał na staruszkę, który przyglądał mu się w napięciu. – Doprawdy, jeśli On naprawdę jest Bogiem i chce, byśmy powrócili na prostą drogę, cokolwiek przez to rozumie, dlaczego sam do tego nie doprowadzi?

– Ponieważ Bóg dał nam wszystkim wolną wolę, panie Hunter. Zesłał swego syna, aby nas ocalił, a my go ośmieszyliśmy i zamordowaliśmy. Od tamtej pory cierpimy i ponosimy konsekwencje tego czynu. Teraz dostajemy jedyną w swoim rodzaju drugą szansę.

Instynkt podpowiadał Rossowi, że cała ta sprawa jest zbyt grubymi nićmi szyta. Zwykle wyszukiwanie w Google’u wyjawiliby każdemu, że Ross miał brata bliźniaka, który zginął w wypadku.

Ale Kogel i Mogel?

Postanowił zablafować. Zerknął na zegarek.

– Obawiam się, że kończy mi się czas, więc naprawdę nie wiem, dokąd nas to może dalej zaprowadzić. Proponuję, żeby zabrał pan swój rękopis, zrobił kopię, a potem wysłał ją do mnie, jeśli nadal zależy panu na moim udziale. Jeśli nie... – Wstał. – Było mi bardzo miło pana poznać.

Cook ani drgnął.

– Dobrze – powiedział, ściągając usta i kiwając z namysłem głową. – Ufam panu, panie Hunter, zostawię panu manuskrypt, jeśli obieca mi pan, że nie zrobi kopii.

Ross skinął głową.

– Bardzo proszę, żeby przeczytał go pan najszybciej, jak się da, potem znowu się spotkamy i ustalimy naszą strategię ratowania ludzkości.

– To już jest jakiś plan – odparł Ross. – Ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Poda mi pan wszystkie trzy zestawy współrzędnych, które pan otrzymał.

Oczy Cooka zwężyły się podejrzliwie. Milczał niezdecydowany.

– Do czego pan ich potrzebuje?

– Żąda pan ode mnie, bym zainwestował w pańską sprawę mnóstwo czasu. Chcę je sprawdzić osobiście.

– Dam panu pierwsze współrzędne, które dostałem, dla Chalice Well, na dowód mojej wiarygodności. Oczywiście to nie znaczy, że panu nie ufam, ale nie mogę ryzykować, że rękopis trafi do nieodpowiedniej osoby. – Znowu przeszył Rossa wymownym spojrzeniem. – Chyba pan rozumie, że wielu ludzi chciałoby go dostać. W niewłaściwych rękach może być bardzo niebezpieczny.

– O jakim niebezpieczeństwie pan mówi?

– Czy naprawdę muszę to panu tłumaczyć?

W tej chwili Ross zobaczył w doktorze Cooku zniecierpliwionego nauczyciela, wykładowcę, który nie ma ochoty wyjaśniać oczywistych rzeczy tępemu studentowi.

– Mówię o Lucyferze, panie Hunter. – Spojrzał na niego z wyrzutem. – O Szatanie strąconym z Nieba, który przyrzekł, że powróci, i tylko czyha na odpowiednią okazję.

– Dobrze – odparł Ross, starając się nie sprawiać wrażenia, że ustępuje.

– Kiedy uznam, że to bezpieczne, przekażę panu pozostałe współrzędne. Musi mi pan również dać słowo, że nie będzie próbował wydobywać niczego w Chalice Well, ani w żadnym innym miejscu, za moimi plecami.

– Ma pan moje słowo.

Ociągając się, Cook otworzył swój portfel, wyjął mały, prostokątny skrawek papieru i wręczył go Rossowi.

Dziennikarz z trudem mógł odcyfrować maleńkie litery i cyferki. Mrużąc oczy, przeczytał na głos:

– 51°08'40"N 2°41'55"W.

A następnie liczby wypisane pod spodem:

– 6 29 12 7 28 12 8 5 17 7 26 23 21 28 22 6 24 15.

Podniósł wzrok na Cooka.

– Co to jest? Te liczby to nie są współrzędne geograficzne.

– Nie.

– Czy to jakiś szyfr?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Kiedy pojechałem do Chalice Well, obejrzałem to miejsce bardzo dokładnie. Szukałem liczb, które mogłyby odpowiadać tym, które dostałem, ale na próżno. Najwyraźniej jednak znalazły się tu nie bez powodu.

Kilka minut później uściśli sobie dłonie przy drzwiach.

- Będzie pan uważał na mój rękopis, prawda, panie Hunter?
- Będę go strzegł jak oka w głowie.

Przez chwilę Ross stał i patrzył, jak Cook wsiada do samochodu, zapala światła i odjeżdża. Było kilka minut po szóstej.

Zamknął drzwi, wszedł na górę do swojego gabinetu i zaczął czytać.

W pewnej odległości od jego domu mężczyzna siedzący w ciemnoszarym vauxhallu sedanie opuścił noktowizor, wyłączył kamerę i zapisał coś w tablecie. Następnie uruchomił samochód i odjechał.

11

Poniedziałek, 20 lutego

Wszyscy byli szczęśliwi i pastorowi się to podobało. Lubił patrzeć na szczęśliwych ludzi. A nic nie sprawiało czterdziestosześcioletniemu duchownemu większej radości niż głoszenie słowa Bożego. No dobrze, ściślej mówiąc, słowa Bożego w jego własnej interpretacji. Interpretacji, która najwyraźniej trafiała do wielu ludzi. Było to szczęśliwe Słowo.

Z tygodnia na tydzień w kościołach Wesleya Wencesłasa przybywało wiernych. Od wielu lat jego świątynia w South Kensington na każdym nabożeństwie wypełniała się po brzegi – prawie dwoma tysiącami osób. Lecz kiedy kazanie wygłaszał osobiście pastor Wencesłas, czyli najczęściej w niedzielę po południu, przed budynkiem zbierało się nawet kilkaset osób więcej i oglądało przebieg ceremonii na wielkim ekranie, modląc się razem w objęciach miłości. Dokładnie tak samo było w pozostałych trzech kościołach Wencesłasa w Anglii – w Manchesterze, Leeds oraz Leicesterze. Do tego dochodziły trzy świątynie w Stanach Zjednoczonych, a planował wznieść w Ameryce dużo więcej swoich świątych przybytków. Kiedy masz Boga po swojej stronie, świat otwiera się przed tobą jak Sezam. A raczej, jak żartował Wencesłas, ponieważ lubił postawić kropkę nad „i”, jak Sezam Rockefellera.

Na jego kanale YouTube statystyki systematycznie rosły. Jego programy miały obecnie pięć milionów dwieście odsłon i były na głowę znaczną część innych religijnych kanałów, co uszczęśliwiało jego sponsorów. To z kolei sprawiało radość jego bankierom. Podobnie jak właścicielom sklepów z jego ulubionymi butami, biżuterią i ubraniami w Westbourne Grove w Londynie i na Rodeo Drive w Beverly Hills, gdzie lubił kupować prezenty dla swojej żony, Mariny, która spędzała

większość czasu w Anglii, z trójką ich dzieci. Zarówno z powodów religijnych, jak i ze względów bezpieczeństwa dzieci Wenceslasów uczyły się w domu, w ich majątku ziemskim w Gethsemane Park w Surrey, gdzie mieszkali i gdzie zarazem mieściła się siedziba główna Duszpasterstwa Wesleya Wenceslasa.

Szczęśliwy był również jego dealer Rolls-Royce'a w Sussex. Sportowy, platynowy phantom coupé, którym właśnie jechał, kilka tygodni temu opuścił salon. W jego garażu, mieszczącym dziesięć samochodów, stało jeszcze pięć innych rolls-royce'ów, wszystkie niespełna dwuletnie. Jezus był biedny, ale to było dawno temu, teraz jest teraz. Świat się zmienił, zmieniły się ludzkie ambicje, jak nauczał w kazaniach Wesley Wenceslas. Kto ma większe szanse, by dotrzeć do ludzi potrzebujących duchowego przewodnictwa? Jakiś ascetyczny mnich w sandałach na modłę Jezusa, jadący na rozklekotanym rowerze, czy mężczyzna w eleganckim garniturze i luksusowej bryce?

W całym zachodnim świecie kościoły chrześcijańskie traciły wiernych i zastanawiały się, dlaczego tak się dzieje. Niektórzy dochodzili do wniosku, że ich nauki nie przemawiają do młodego pokolenia, więc ściągali do siebie rockandrollowych pastorów, grających na gitarach elektrycznych i zamieniających hymny w koncert U2 dla ubogich, a mimo to nadal niczego nie osiągnęli. Nadal nie umieli przyciągnąć do siebie ludzi. Miał rację stary hollywoodzki potentat filmowy, Harry Cohn, kiedy powiedział: „Dajcie ludziom to, czego chcą, a będą walić drzwiami i oknami”.

– Hej – lubił żartować Wenceslas – przecież sam Bóg powiedział, że wielkie pożytki spłyną na ziemię, prawda?

Ludzie pragną kolorów, światła, śmiechu, piękna, kochają dramaturgię, pogoń za sensacją i cuda, lecz ponad wszystko potrzebują jednej rzeczy: pieniędzy. W gorącym kraju można być biednym i jeśli tylko ma się co jeść, można było wędrować boso, w łańchmanach i przeżyć bez dachu nad głową, lecz w zimnym i wilgotnym klimacie, takim jak tutaj, człowiek potrzebuje znacznie więcej. A wszystko to wymaga pieniędzy. Wenceslas wierzył w Ewangelię Dobrobytu: im wyższy stan konta bankowego, tym większe błogosławieństwo.

Wiedział to doskonale, bo sam zakosztował biedy, i to wcale nie tak dawno temu. To było proste równanie, lecz podobnie jak wiele tradycyjnych kościołów w Stanach Zjednoczonych, dawne, okrzepłe wyznania w Anglii od dziesiątków lat, a właściwie od stuleci tego nie rozumiały. Najlepiej dowodziły tego tłumy wiernych na jego kazaniach. Świątynie wypełnione po brzegi, rozpowszechniające przesłanie, miłość Boga. Prawdziwą interpretację nauk Jego Syna.

WSPÓŁCZUCIE. TOLERANCJA. SUKCES!

Ileż kościołów przez stulecia czyniło z tego ostatniego słowa tabu dla swojej trzódki, gromadząc zarazem wielkie bogactwa? Jak wygodnie im było pomijać milczeniem prostą prawdę, że to bogaci są ludźmi czynu, zdobywcami. Bogaci produkują lekarstwa, samoloty, samochody, jedzenie; budują szkoły, biblioteki, szpitale, drogi. Gdyby rzeczywiście było tak, jak według ewangelii synoptycznych głosił Jezus: łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogatemu człowiekowi wejść do Królestwa Niebieskiego, to jakimż miejscem byłoby to Niebo? Pastor Wesley Wenceslas miał na ten temat całkiem precyzyjne wyobrażenie.

Niebo wypełnione samymi biedakami byłoby głównianym miejscem, jakimś wielkim wysypiskiem nieudaczników, a kto by chciał spędzić wieczność z bandą frajerów?

Wesley zawsze miał problem z tym cytatem, ponieważ ze swoich badań nad Jezusem wiedział, że Pan był człowiekiem sprawiedliwym. Twierdzenie, że wszyscy bogacze są źli, a biedacy dobrzy, byłoby nie tylko zwykłym krytykanctwem, ale wręcz podżeganiem. Ponieważ Pismo Święte podlegało wielu marnym tłumaczeniom, zaczął się w nie osobiście zagłębiać, zwłaszcza w miejscach, które nie zgadzały się z jego poglądami. I dokopał się istoty rzeczy – w przekładzie syryjsko-aramejskiej Peszitty George’a M. Lamsy. Znalazł tam słowo „sznur” zastąpione w głównym tekście przez „wielbłąda”, z przypisem odsyłającym do Ewangelii według świętego Mateusza 19, 24, stwierdzającym, że aramejskie słowo *gamla* oznacza zarówno sznur, jak i wielbłąda.

Dla pastora Wesleya Wenceslasa to była prawdziwa eureka. Tak naprawdę Chrystus głosił, że jeśli bogaty człowiek chce wejść do Królestwa Niebieskiego, musi się skupić na swoim życiu tak mocno, jakby nawlekał igłę sznurem.

Oczywiście, to miało sens. Religie monoteistyczne, które wyznawały jednego Boga, zdobyły swoje znaczenie i wpływy dzięki surowemu systemowi kontroli. A pieniądze stanowiły ważną część tego systemu. Przez dwa tysiące lat Watykan gromadził swoje niezmierzone bogactwa, nie tylko sprawując kontrolę, ale tym jednym zdaniem rozniecając wśród ludzi zamożnych nieustanne poczucie winy. Poczucie winy oparte na błędzie translatorskim!

Czy był to celowy błąd?

Siedział w wygodnym kokonie skórzanego fotela i prowadząc samochód z jednym palcem na kierownicy, słuchał własnego głosu grzmiącego z radia, nastawionego na jego własną stację Radio Wesleya Wenceslasa.

– Mateusz w piątym wersecie piątego rozdziału ewangelii pisze: „Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię”¹. Dobrze, zastanówmy się nad tym wszyscy. Co to właściwie znaczy? Że jeśli przeciwstawicie się czemuś, zostaniecie przeklęci?

Otworzyły się skrzydła bramy z kutego żelaza i jadący przed nim czarny range rover z dwoma ochroniarzami wjechał na teren Gethsemane Park. Następnie wtoczył się rolls-royce, a za nim drugi czarny range rover z pozostałymi dwoma członkami ochrony. Kamery bacznie obserwowały cały konwój jadący długą, zadrzewioną aleją.

Wenceslas uśmiechnął się, patrząc na oświetlone tysiącem lamp zielone tereny rozciągające się po prawej stronie. Widok godny Pana. Hektary bujnej trawy opadające łagodnym stokiem w kierunku stawu z prywatną świątynią, otoczoną fontannami. Spędzał tam regularnie długie godziny, modląc się żarliwie i medytując nad Pismem Świętym, i od czasu do czasu zerkając na komputer oraz tygodniowe przychody, żeby sprawdzić, czy jego trzódka odpowiednio hojnie wspiera boskie powołanie swojego kapłana.

Trawa była odpowiednio zielona, taka jak lubił. I powinna, po kilku miesiącach obfitych deszczy. Czasem jednak, kiedy

latem przez długi czas nie padało i system zraszaczy nie wystarczał, żeby nie zbrązowiała, kazał ją zabarwiać chemicznie. Przyjeżdżali tu ważni i wpływowi goście, wszystko musiało wyglądać perfekcyjnie. A perfekcja wymagała bujnej, soczystozielonej trawy. Co mogło być w tym złego? Każdy potrzebuje czasem w życiu pomocnej dłoni, nawet sam Bóg Wszechmogący. Zwłaszcza w tych ponurych i burzliwych czasach.

I zwłaszcza po tych niepokojących wieściach, które dzisiaj otrzymał.

12

Poniedziałek, 20 lutego

– Stoi na stole i stygnie! – zawołała ze zniecierpliwieniem Imogen.

– Już idę! – odkrzyknął Ross.

– To samo mówiłeś pięć minut temu!

– Przepraszam! Idę!

Ostrożnie odłożył na bok gruby plik luźnych kartek rękopisu, który powierzył mu Harry Cook. Jedyne istniejące egzemplarz. Na szczęście, pomyślał. Ponieważ dzięki temu żaden inny biedny skurczybyk nie będzie musiał tracić bezpowrotnie całych godzin, usiłując go przeczytać.

Szybko sprawdził na komputerze Facebooka i Twittera, lecz nie znalazł niczego szczególnie ciekawego i pędem zbiegł na dół.

– Co się dzieje? – spytała Imogen, kiedy wszedł do kuchni, skąd rozciągał się panoramiczny widok na zabudowania Patcham.

– Przepraszam, już miałem zejść, kiedy wołałaś za pierwszym razem, ale zobaczyłem fragment, który wyglądał ciekawie. Niestety, fałszywy alarm.

Usiadł przy małym drewnianym stoliku, gdzie Imogen postawiła kurczaka satay i rybę w zielonym curry z sałatką pomidorową.

– Wspaniale pachnie – zauważył. – Rany, muszę się czegoś napić.

Otworzył lodówkę i wyjął piwo.

– Ech, chętnie bym ci potowarzyszyła – powiedziała Imogen, podnosząc szklanę z wodą mineralną.

Obok niej na stoliku leżał plik rachunków.

– Od czasu do czasu możesz się napić.

– Poradzę sobie bez tego. Odbiję sobie, kiedy urodzi się Kaligula.

Ross nie odpowiedział, nie miał co do tego wątpliwości.

Kiedy USG zrobione w trzecim miesiącu ciąży wykazało, że to chłopiec, żartobliwie nadali mu przydomek po okrutnym rzymskim cesarzu z powodu okropnych nudności, które męczyły Imogen każdego ranka. Poza tym, jak zapowiedziała Imogen, nie będzie jedną z tych rozlazłych mamusiek, jakich oboje nie znosili. Mowy nie ma! I przezwisko przylgnęło.

Kiedy brali ślub, powiedzieli sobie, że nie chcą mieć dzieci, a w każdym razie nieprędko. Większość ich przyjaciół i znajomych również nie planowała powiększać rodziny, i jak dotąd, z wyjątkiem jednej pary, wszyscy pozostawali przy swoim. Po powrocie z Afganistanu Ross utwierdził się w swoim stanowisku. Martwiła go sytuacja na świecie i bardzo się obawiał, jaka przyszłość mogłaby czekać ich dziecko. Na domiar wszystkiego coraz poważniej się zastanawiał, czy rzeczywiście chce spędzić resztę życia z Imogen, kobietą, której nie potrafił do końca wybaczyć ani w pełni zaufać. Dziecko poważnie skomplikowałoby sytuację.

W ciągu pierwszych miesięcy po powrocie do domu Ross bardzo jej potrzebował, a ona zachowała się cudownie, prawdopodobnie z powodu wyrzutów sumienia. Po wszystkim, co przeszedł w Afganistanie, miał nerwy w strzępach, prawie nie sypiał, a kiedy udawało mu się zasnąć, męczyły go koszmary. Imogen opiekowała się nim, robiła, co mogła, żeby wynagrodzić mu swoją zdradę i pomóc mu zaleczyć rany. Lecz w ciągu następnych miesięcy Ross czuł narastającą między nimi pustkę. A potem zaszła w ciążę.

Nawet kiedy go zapewniała, że nie zapomniała wziąć pigułki, nie bardzo jej wierzył, co tylko świadczyło o tym, jak mało jej ufał. Podejrzewał, że zrobiła to celowo, może w obawie przed tykającym zegarem biologicznym, a może w ostatniej rozpaczliwej próbie ratowania ich małżeństwa. Chociaż od długiego czasu prawie się nie kochali, może raz na miesiąc, a może jeszcze rzadziej.

Imogen uniosła szklankę z wodą mineralną.

– Zdrowie – powiedziała.

Stuknęli się, patrząc sobie w oczy – Imogen zawsze na to nalegała. Potem ponownie wzniosła szklanke.

– I za uratowanie świata – dodała.

– Nie jestem pewny, czy gdyby Bóg chciał ratować ludzkość, wybrałby do tego zadania emerytowanego doktora historii sztuki.

– Ostatnim razem wybrał skromnego syna stolarza.

Uśmiechnął się.

– Teraz wybrał do pomocy również ciebie. Może nie jesteś skromnym synem stolarza, ale na pewno tak samo nie dbasz o pieniądze jak on.

To mówiąc, wskazała głową rachunki.

– Jakież przykre niespodzianki?

– Co miesiąc dostajemy przykre niespodzianki, Ross. Chyba uważasz, że umiem robić magiczne sztuczki i sprawić, że po prostu znikną. Nie umiem. Umiem tylko świetnie nimi żonglować między naszymi kartami kredytowymi. Potrzebujesz lukratywnej roboty, musimy odłożyć pieniądze na czas, kiedy urodzi się dziecko, a ja nie będę mogła pracować.

– Jasne. Myślę, że w tej historii drzemią spore możliwości.

– Ross Hunter, człowiek, który ma zbawić świat?

– To duże wyzwanie.

– Ale mój mąż potrafi mu sprostać?

– Owszem, twój mąż potrafi mu sprostać.

Zastanawiał się, czy powiedzieć jej o tym, co usłyszał od Cooka o Rickym, ale w końcu postanowił zachować to dla siebie. Powiedział jej kiedyś o niezwykłym zdarzeniu na siłowni w tej samej chwili, kiedy umarł jego brat, lecz Imogen okazała tylko niedowierzanie. Zdziwił się, zważywszy na tradycjonalistyczne, religijne wychowanie, jakie odebrała. Ale może właśnie dlatego jej reakcja nie powinna była go zaskoczyć.

– I jak idzie mojemu mężowi praca nad rękopisem, dzięki któremu ma ocalić świat od zagłady?

– Niestety doszedł do pięćdziesiątej trzeciej strony z tysiąca dwustu czterdziestu siedmiu i traci wolę życia.

– Wytrwałości, dzielny żołnierzu!

– Aha. – Wziął kolejny łyk piwa. – Może to ty powinnaś go przeczytać, to ty się uważasz za chrześcijankę.

– Trochę trudno mnie uznać za wzór osoby wierzącej. Ale gdybyś znał Biblię, wiedziałbyś, co Bóg myśli o spirytystach. Nie wolno wierzyć w nic, co wychodzi z ich ust.

– A można wierzyć czemuś, co wychodzi z Biblii?

Imogen zgromiła go spojrzeniem.

– Przepraszam. Ta cała historia jest taka dziwaczna.

– Otwiera twój umysł czy stare rany?

– Mówisz o Rickym?

Kiwnęła głową.

– Nie wiem. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Mam... mam otwarty umysł, wiesz o tym. W ciągu ostatnich kilku dni dużo myślałem o Bogu, religii, wyszukałem w Google’u trochę rzeczy, prześledziłem kilka dyskusji Dawkinsa z ludźmi, którzy są wierzący. Z jednego powodu żał mi Boga, jeśli istnieje.

– Z jakiego powodu?

– Sama pomyśl: jak on może wygrać, jeśli z jednej strony ma pastora, który modli się do Niego o słoneczną pogodę, żeby deszcz nie popsuł miejscowego święta, a w tym samym czasie chłop modli się o deszcz, żeby nie uschły jego plony. Jak Bóg może cokolwiek zdecydować?

– Musi kierować się większymi potrzebami.

– Doprawdy? Ośmioletnia dziewczynka umiera na raka mózgu. Kto ma większe potrzeby? Dziewczynka, która pragnie żyć, jej zrozwinięte rodzice, którzy chcą, by ich dziecko przeżyło, czy guz, który chce ją zniszczyć? Czy to szatan podłożył jej nowotwór dla zabawy? Czy może Bóg zrobił to w jakimś „wyższym” celu?

– Kochanie, nie możesz patrzeć na to w ten sposób.

– Ale patrzę. Wszyscy zadają sobie to pytanie: Jeśli Bóg istnieje, jak może pozwalać na cierpienie?

– Czy zamierzasz właśnie rozpętać długą teoretyczną debatę?

Ross uśmiechnął się szeroko i potrząsnął głową.

– Nie. Mam do przeczytania książkę i to tak egzaltowaną, że instrukcja obsługi mojego samochodu wydaje się przy niej thrillerem z Jackiem Reacherem. Księga, która uratuje świat, czy raczej rękopis z piekła?

– Jeśli została przekazana przez medium, to prawdopodobnie to drugie. Jedziesz jutro do Bristolu na ten

wywiad radiowy?

– Tak.

– To może byś pojechał pociągiem zamiast samochodem. Miałbyś kilka godzin na czytanie.

– Chcę wpaść w drodze powrotnej do Chalice Well. Potrzebuję do tego samochodu.

– To pojedź w jedną stronę pociągiem, a z powrotem wynajmij samochód. Przecież gazeta pokrywa ci koszty podróży, prawda?

– Dobry pomysł. Rzeczywiście tak zrobię. Szkoda, że Bóg nie dał Harry’emu Cookowi książki w formie audiobooka, mógłbym jej słuchać w samochodzie.

Imogen pokręciła głową.

– To zbyt niebezpieczne. Jeśli prawdą jest to, co mówiłeś, to mógłbyś zasnąć za kierownicą.

– Fakt – roześmiał się Ross.

– Musiałam odrzucić zlecenie marzeń – oznajmiła Imogen. – Wszystko przez Kaligulę.

– Jakie zlecenie?

– Tydzień nurkowania na Malediwach dla dwóch osób. Musiałabym tylko napisać artykuł dla nowego magazynu turystycznego. Lot pierwszą klasą, pełny pakiet.

Nurkowanie było jedną z ich wspólnych pasji. Oboje mieli patenty PADI i najchętniej spędzali urlopy z butlami tlenowymi na grzbiecie. Ze względu na dziecko przez jakiś czas nie będą mogli sobie na to pozwolić, pomyślał z żalem Ross.

– Szkoda. Dopilnujemy, żeby pętał wiedział, ile przez niego straciliśmy!

Imogen roześmiała się i podniosła telefon.

– Patrz, sto dziewięć polubień na Instagramie.

Podawała mu komórkę, a w niej zdjęcie Monty’ego. Pies siedział ze zrezygnowanym wyrazem pyska obok fotela, na którym Ross czytał rękopis. Pod spodem widniał podpis: „Montmorency cierpliwie czeka, aż jego pan skończy czytanie manuskryptu i zabierze go na spacer”.

– Super! – odparł.

Po posiłku, zwieńczonym oprócz piwa połową butelki niezłego i całkiem mocnego australijskiego shiraz, Ross wrócił z butelką do swojego gabinetu. Usiadł w fotelu, napełnił sobie

kieliszek i zaczął z powrotem czytać. Jeden cytat biblijny po drugim.

„A dla tchórzy, niewiernych, obmierzłych, zabójców, rozpustników, guślarzy, bałwochwalców i wszelkich kłamców: udział w jeziorze gorejącym ogniem i siarką. To jest śmierć druga”.

Pół godziny później odłożył manuskrypt na podłogę, żeby zrobić sobie przerwę, bo od maleńkiego pisma z mnóstwem adnotacji pęczniała mu głowa. Podszedł do biurka i zalogował się na Twitterze. Napisał:

Każdy, kto ma pogląd na temat tego, co może stanowić dowód absolutny na #IstnienieBoga #CzyBógIstnieje.

Wysłał tweeta, otworzył Facebooka i powtórzył wiadomość, po czym ją również opublikował. Potem wrócił do czytania rękopisu. Ziewnął zmęczony. Coraz trudniej było mu się skoncentrować. Znowu ziewnął. Opadły mu powieki.

13

Wtorek, 21 lutego

Głośny łomot wyrwał Rossa ze złowieszczego snu, w którym demony w zwiewnych, białych szatach rzucały się na niego niczym człekokształtne samoloty odrzutowe, wrzeszcząc z furią jak opętane. Poderwał się oszołomiony i wyprostował, mrugając oczami, nie wiedząc, co się wokół niego dzieje. Zobaczył światło lampy kreślarskiej i kartki rękopisu Cooka rozsypane na podłodze.

Cholera. Która to godzina?

Spojrzał na zegarek i z przerażeniem stwierdził, że jest dwadzieścia po drugiej w nocy. Zasnął na fotelu.

Niech to szlag!

Z samego rana ma pociąg do Bristolu. W południe udziela wywiadu w BBC Radio Bristol na temat bezprawnego wpływu politycznych lobbystów na decyzje Parlamentu. Wywiad był następstwem artykułu, który Ross napisał dla „Sunday Timesa” i który wzbudził mnóstwo kontrowersji, do tego stopnia, że gazeta zamówiła następny tekst. Ross zastanawiał się nawet nad napisaniem książki na ten temat i wywiad z szanowanym dziennikarzem radiowym stanowiłby dodatkowy argument, by wydawnictwo podpisało z nim umowę. Musi być w najwyższej formie. Do Bristolu jest dwieście siedemdziesiąt kilometrów, z przesiadką na Victoria Station. Co najmniej trzy godziny czytania, jeśli się spręży, może przebrnąć przez kilkaset stron rękopisu Cooka. Jeśli to znieśie.

Coraz bardziej tracił przekonanie, czy warto poświęcać Harry’emu Cookowi więcej czasu.

Zostawił wszystko na biurku, zgasił światło, wszedł po cichu do sypialni, rozebrał się, umył zęby i wśliznął do łóżka obok Imogen śpiącej kamiennym snem.

Niekiedy brał wieczorem tabletkę na sen, lecz było już za późno. Gdyby łyknął teraz środek nasenny, przez cały ranek chodziłby śpiący. Oparł się na poduszkach i zaczął sobie przypominać spotkanie z dziwnym doktorem.

My dwaj mamy ocalić świat.

To, co do tej pory przeczytał, wyglądało raczej na bełkot zmaconego umysłu – fragmenty Biblii przetykane nabazgranymi uwagami, podkreślone słowa i zdania. Czy brakowało mu w tym wszystkim jakiegoś decydującego elementu?

Jako młody nastolatek próbował przeczytać całą Biblię, ale nie dał rady; nauka religii w szkole koszmarnie go nudziła, ale nie aż tak jak ten rękopis, nad którym prześlęczał wczoraj cały wieczór. Osiemdziesiąt pięć stron z tysiąca dwustu. Czy dalej może być lepiej? Nie bardzo w to wierzył. Mimo to czuł jakąś potrzebę, żeby dobrnąć do końca, choćby szybko i pobieżnie.

Trzy godziny podróży pociągiem spędzone na czytaniu piekielnego rękopisu.

Czy to droga do piekła wybrukowana dobrymi chęciami?

14

Wtorek, 21 lutego

Oranżeria stała na tyle daleko od domu, żeby hałasy ani zapachy sześciu małych zamkniętych w klatkach nie zakłócały życia Ainsleya Bloora i jego żony.

W każdej klatce znajdował się komputer podłączony do drukarki z wydrukiem ciągłym. Codziennie po powrocie do domu, a także rano przed wyjściem do pracy Bloor sprawdzał postępy swojego eksperymentu.

Jak dotąd, czyli po trzech tygodniach, pięć małych w ogóle nie zrozumiało, o co chodzi, pomimo bodźców motywacyjnych, czyli smakołyków wydzielanych automatycznie po naciśnięciu kilku klawiszy. Darły papier, żuły go i wypluwały, a klawiatury używały albo jako toalety, albo zabawki, którą rzucały po całej klatce.

Szósta mała jednak, Borys, była jego gwiazdą na firmamencie. Jego wielką nadzieją!

Dyrektor generalny farmaceutycznego giganta Kerr Kluge w dresie i adidasach pędził bez tchu, ściskając w ciemności kawałek papieru. Minął betonowe lądowisko i ciemny kadłub swojego dwusilnikowego śmigłowca Augusta i pobiegł dalej przez pole do gry w krokieta. Wszedł przez boczne drzwi i pokłusował dalej korytarzem, a następnie po schodach do sypialni.

– Cillo, patrz, patrz! – zawołał. – Kochanie, popatrz tylko na to!

Przestraszony jego głosem biały shih tzu, Yeti, zerwał się i zeskoczył z łóżka.

Była szósta czterdzieści pięć. Cilla nigdy nie należała do rannych ptaszków i Ainsley wiedział, że jeśli ją zbudzi przed

ósmą, będzie chodziła burkliwa przez cały dzień. Lecz wiadomość warta była tego ryzyka.

Zapalił lampkę nocną i wyciągnął rękę z wydrukiem, po czym z triumfalnym uśmiechem czekał na jej reakcję.

Cilla zamrugła i popatrzyła na papier, wypełniony rzędami liter przeplatanych cyframi i symbolami.

– Na co właściwie mam patrzeć, kochanie? – spytała z właściwym sobie sarkazmem.

– Na to!

Postukał palcem w otoczone czerwonym długopisem litery „Ia”.

Cilla podniosła na niego wzrok i zmarszczyła czoło.

– Coś mi umknęło?

– „Ja”.

– Piłeś coś, kochanie?

– O tej godzinie? Raczej nie.

– Obudziłeś mnie, żeby mi pokazać litery „ia”?

– Nie rozumiesz, kochanie, prawda?

– Widzę dwie nic nieznaczące litery. Przepraszam, czy jestem jakaś nierozgarnięta?

– Nie widzisz liter „ia”, tylko słowo „ja”.

– Gdzie?

– Wymówione razem „ia” brzmi tak samo jak „ja”. Nie rozumiesz? To jest słowo.

– Jakoś mnie to nie przekonuje.

Ainsley zacisnął dłonie w pięści.

– To jest przełom. To wielka chwila. Początek niepodważalnego dowodu, że Bóg nie istnieje!

Cilla popatrzyła na niego zaspanymi oczami.

– Dwie przypadkowe litery? Na pewno nie zaglądałeś do kieliszka?

– Nadal nie rozumiesz, prawda?

– Nie, i byłabym wdzięczna, gdybyś w końcu przestał gadać zagadkami.

– Dobrze już, dobrze. To Borys!

– Twoja mała?

– Tak! Borys! Borys to napisał! Nadal nie pojmujesz?

– Nie. Przykro mi, ale nie pojmuję. To dwie przypadkowe litery „i” i „a”.

– To jest słowo, kochanie. Czytelne, znaczące słowo. Zajęło mu to trzy tygodnie, ale udało się! Małpa napisała słowo!

Cilla popatrzyła z powrotem na papier.

– I uważasz, że ona wie, co to znaczy?

– A czy to ważne? Nie wierzę, że w ogóle możesz o to pytać! To prawdopodobnie najbardziej podniecająca rzecz, jaka mogła się wydarzyć! Nikt nigdy przedtem tego nie osiągnął.

– Kiedy Borys udowodni twoją tezę i napisze dzieła zebrane Szekspira, wtedy zrobi to na mnie wrażenie.

– Ależ tu zupełnie nie o to chodzi!

– A czy wiesz na pewno, o co chodzi?

– Przyjaciel znanego ateisty, Antony’ego Flew, przeprowadził taki sam eksperyment z małpą i maszyną do pisania. W ciągu dwudziestu ośmiu dni małpa napisała czterdzieści stron kompletnego bełkotu. Nie było w nim ani jednego czytelnego słowa, nawet rozdzielonego spacjami. Wyliczył matematycznie, że na Ziemi wyczerpałyby się wszystkie zasoby naturalne, zanim małpa napisałaby coś, co miałoby sens, i użył tego jako dowodu istnienia Boga. Ale się pomylił! Zaznacz sobie tę datę w kalendarzu. Dzień, w którym narodził się rozstrzygający dowód, że Bóg nie istnieje.

– Rzeczywiście, to zasługa „ia” – odparła Cilla ironicznie, zawołała psa i znów pogrążyła się we śnie.

15

Wtorek, 21 lutego

– Dziękuję, Ross – powiedziała prezenterka BBC, Sally Hughes, po czym pochyliła się do mikrofonu. – Jeśli chcą państwo przeczytać fascynujący artykuł Rossa Huntera o politycznych lobbystach, znajdziecie go na stronie „Sunday Times”. – Przeczytała adres internetowy, wzięła oddech i mówiła dalej: – Słuchacie radia BBC Bristol. Dochodzi pierwsza, a w studiu jest teraz Rory Westerman, który przedstawi państwu najnowsze wiadomości turystyczne oraz prognozę pogody. Po wiadomościach czas na przepisy kulinarne z laureatem *MasterChef*, Charliem Bouvierem. A ja powrócę do państwa o czternastej w rozmowie z moim następnym gościem, którym będzie powieściopisarka Val McDermid.

Wcisnęła guzik, a wtedy zgasła czerwona lampka informująca, że są na antenie. Sally uśmiechnęła się do Rossa.

– I jak poszło? – spytał.

– Doskonale! – odrzekła.

Dopił ostatnią kropelkę zimnej kawy z kubka, który dostał przed wejściem do studia, i wziął do ręki swój plecak z rękopisem Cooka.

– Masz tu w okolicy jeszcze jakieś wywiady? – spytała.

– Nie. Wynająłem samochód i wracam do Sussex przez Glastonbury – powiedział. – Muszę tam coś obejrzeć i potrzebuję do tego dziennego światła.

– W Glastonbury?

– Tak.

– Byłeś już tam kiedyś?

– Kilka lat temu.

– Powinieneś przy okazji obejrzeć Chalice Well. Fascynujące miejsce, przesiąknięte specyficzną atmosferą, bardzo duchową.

– Powiedziałaś „Chalice Well”?

– Tak.

– To niesamowite, że akurat o nim wspomniałaś, bo właśnie tam jadę. Co o nim wiesz?

– Szczerze mówiąc, niewiele. Mój wujek jest członkiem zarządu fundacji, która opiekuje się tym miejscem.

Spojrzał na nią osłupiały.

– Twój wujek? W zarządzie Chalice Well?

– Tak, Julius Helmsley, szwagier mojej mamy. Czemu tak cię to dziwi?

– Bo to niezwykley zbieg okoliczności.

– Zbieg okoliczności?

Spojrzał na zegarek, potem na zegar wiszący na ścianie w studiu.

– Masz trochę czasu na szybką przekąskę? Wracasz na antenę o drugiej, tak?

– Niedaleko stąd jest bar szybkiej obsługi, muszę sobie kupić coś do zjedzenia.

– Ja też.

Dziesięć minut później siedzieli przy stoliku, Sally z zieloną herbatą i kanapką z tuńczykiem, a Ross z podwójnym espresso, colą dietetyczną oraz panini z serem i szynką. Sally Hughes była kobietą po trzydziestce z gęstą czupryną ciemnych, kręconych włosów okalających twarz i niezwykle miłym, ciepłym sposobem bycia, dzięki któremu Ross szybko się rozluźnił w czasie rozmowy w studiu. Podobał mu się jej chropawy głos. Nie była piękna w żadnym konwencjonalnym sensie, ale emanowała żywą inteligencją i energią, które dodawały jej atrakcyjności.

Sprawiała teraz wrażenie bardzo wyluzowanej, miała na sobie czarny golf, długi złoty łańcuszek, dzinsy i czarne wysokie buty. Nosila kilka pierścionków, ale Ross zauważył, że nie ma wśród nich obrączki.

– No więc? O jakim zbiegu okoliczności mówiłaś?

Opowiedział jej całą historię swojego spotkania z Harrym Cookiem. Kiedy skończył, Sally przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu.

- I co o tym sądzisz? – spytał w końcu.
 - A ty? – natychmiast odpowiedziała pytaniem.
 - Sądzę, że jednak jest jakimś świrem. W każdym razie tak sądziłem, dopóki nie wspomniałaś o Chalice Well.
 - Jesteś wierzący?
 - Powiedzmy, że jestem kimś w rodzaju agnostyka. Jako nastolatek skłaniałem się raczej do ateizmu, potem coś się wydarzyło...
 - Co takiego?
 - To trochę, hm, zbyt osobiste, żeby o tym opowiadać.
 - Oślepiające światło w drodze do Damaszku?
 - Mniej więcej. A ty? Jesteś wierząca? – spytał.
 - Nie wierzę w biblijnego Boga, ale uważam, że coś istnieje. Jakaś forma wyższej inteligencji. Moim zdaniem to byłby dla ludzkości bardzo ponury dzień, gdyby ktoś ostatecznie udowodnił, że Bóg nie istnieje, że nie ma żadnego życia po śmierci, nie ma nagrody ani kary. Zostałaby nam czysta rozpacz i bezcelowość naszej egzystencji, nie sądzisz?
 - Nie wiem. Dobrze się czułem jako niewierzący, dopóki...
 - Dopóki nie zdarzyło się to coś w twoim życiu?
 - Tak. A twój wujek? Jak on się nazywa?
 - Julius Helmsley. – Potrząsnęła głową. – Jest dyrektorem w firmie farmaceutycznej, nie wyznaje żadnej wiary.
 - Ale zarządza Chalice Well, to święte miejsce.
 - Wszedł do zarządu głównie dlatego, że ma niedaleko dom letniskowy, a jego firma dofinansowuje utrzymanie Chalice Well, z obywatelskiego obowiązku. Mają w Somerset zakład produkcyjny instytutu badawczo-rozwojowego.
 - Myślisz, że twój wujek zgodziłby się ze mną porozmawiać?
 - O Harrym Cooku?
 - Tak. I o Chalice Well.
 - Zorientuję się, co o nim wie, i odezwę się do ciebie.
- Uśmiechnęła się jakoś zagadkowo. Było w niej coś niezwykle pociągającego, lecz Ross wolał nie wysyłać żadnych dwuznacznych sygnałów. Wkrótce miał zostać ojcem, bez względu na to, co czuł do Imogen, miał wobec niej zobowiązania. Spojrzał na zegarek.
- Ile czasu potrzebujesz, żeby wrócić do studia?

– Dwadzieścia minut, zanim producent zacznie się gorączkować. Nie powiedziałaś mi jeszcze, co myślisz o tym rękopisie, który dostałaś od doktora Cooka.

– Jak dotąd to prawdziwa męczarnia. Na razie wydaje mi się jednym wielkim stekiem bzdur.

– Poza współrzędnymi geograficznymi Chalice Well?

– Może.

– A pozostałe współrzędne, te, których jeszcze nie dostałaś? Nie intrygują cię?

– Jestem dziennikarzem śledczym, jasne, że mnie intrygują. Znowu się uśmiechnęła.

– Miło się z tobą gawędziło.

– Z tobą również.

– Daj mi znać, gdybyś się wybierał w te strony.

– Na pewno.

– Masz jakąś wizytówkę? Zapytam wujka, czy mógłby do ciebie zadzwonić albo wysłać ci maila.

Ross wręczył jej swoją wizytówkę. Potem, kiedy skończyli lunch, pocałował ją niezręcznie w policzek.

– Będę cię informował na bieżąco.

– Super. Może kiedyś mógłbyś wpaść i opowiedzieć w moim programie o Harrym Cooku?

– Człowieku, który ratował świat?

– I gwieździe dziennikarstwa, która mu pomagała.

Ross poklepał swój plecak, który leżał obok na podłodze.

– Może wszystko znajduje się tutaj?

– Całkiem nieźle znosisz brzemię odpowiedzialności. To nie była ironia.

Kiedy Sally pobiegła z powrotem do studia, Ross zamyślony podszedł do baru, żeby zapłacić. To był dziwny zbieg okoliczności. Bardzo dziwny. Nagle, w ciągu dwóch dni w jego życiu dwukrotnie wypłynęła na powierzchnię sprawa Chalice Well. Czy to znak? Czy zwykły przypadek?

16

Wtorek, 21 lutego

Na czterdziestym czwartym piętrze siedziby KK, w szklanym gabinecie nazywanym przez pracowników „ampulą”, Ainsley Bloor z zimną krwią i jeszcze bardziej lodowatym sercem zarządzał nieustannie powiększającym się imperium Kerr Kluge. Z usytuowanego na południowym brzegu Tamizy budynku rozpościerał się wspaniały widok na szklane monolity londyńskiego City, a wśród nich Gherkin.

Dział Badań i Rozwoju KK ulokowany w wiejskich okolicach Somerset mieścił się w znacznie mniej okazałym budynku, za to zajmował niezwykle rozległy teren, lecz tylko trzy piętra wznosiły się nad ziemią, w pozostałych siedmiu, ukrytych głęboko pod powierzchnią, działał tajny zakład badawczo-produkcyjny. Część prowadzonych tu prac obejmowała eksperymenty na zwierzętach, trzymanyh z dala od wścibskich oczu oraz obrońców praw zwierząt. Jeszcze większa część nieoficjalnych przedsięwzięć naukowych firmy dotyczyła sekwencjonowania DNA. W tym bunkrze działał największy instytut genetyczny w Anglii.

Zarówno Bloor, jak i wszyscy członkowie jego zarządu wierzyli, że najlepszą, dalekosiężną strategią KK powinno być opracowywanie patentów na sekwencje genetyczne pozwalające kontrolować choroby chroniczne, takie jak cukrzyca, łuszczyca, artretyzm czy depresja, a także leczenie podtrzymujące w przypadkach chorób śmiertelnych, takich jak parkinson, demencja czy nowotwory.

Jeszcze kilka minut temu Bloor był w świetnym humorze. Właśnie podpisał umowę z największym importerem leków w środkowej Afryce, dzięki czemu KK będzie mogła się pozbyć wszystkich przeterminowanych środków zalegających im na

półkach, a w dodatku ich kontrahent zobowiązał się do sprzedaży na tym kontynencie najpopularniejszego i najbardziej dochodowego produktu KK ostatnich lat, leku przeciwhistaminowego, zakazanego przez Agencję Żywności i Leków z powodu stwierdzonego niepożądanego działania na serce. Jeszcze tydzień temu wydawało się, że zakaz Agencji może poważnie zaszkodzić rocznemu bilansowi firmy. W tej chwili sytuacja przyjęła całkiem nowy obrót i przedstawiała się dokładnie odwrotnie.

Cieszył się na uroczystą kolację ze swoimi współpracownikami, którą zamierzali uczcić zawarcie umowy.

A do tego wszystkiego mógł również świętować swój prywatny sukces – wielkie postępy Borysa.

Pewien młody lekarz, który świeżo po studiach rozpoczął pracę w KK, będzie przez całe lata opowiadał o swojej rozmowie z dyrektorem generalnym.

– Steven, musisz wiedzieć o Kerr Kluge tylko jedną rzecz – powiedział Bloor, tutaj, w tym gabinecie. – Działamy w branży, która ma zarabiać pieniądze, i tylko to się dla nas liczy. Jeśli przypadkiem dzięki naszym produktom pomożemy komuś w chorobie, to nie jest mój problem. Rozumiesz?

W chwili obecnej jednak dyrektor generalny miał na głowie coś całkiem innego.

Siedział przy biurku z telefonem przy uchu, obserwując holownik ciągnący barkę po rzece. Dzień był ładny, w każdym razie po drugiej stronie okna. W takie słoneczne, zimowe poranki Londyn pokazywał swe najładniejsze oblicze, wtedy naprawdę stawał się najpiękniejszym miastem na świecie. Na świecie obfitującym w niezliczone szanse dla jego firmy. Niezdobyte dotąd rynki. Nowe patenty, czekające na opracowanie. Patenty już przyznane na leki przechodzące ostatnie etapy wieloletnich testów.

Czasem, kiedy na przyjęciach poznawał nowych ludzi, którzy pytali go, czym się zajmuje, odpowiadał z przewrotną przyjemnością, że jest dilerem prochów.

Lecz ten telefon nie sprawił mu żadnej przyjemności.

U samego podłoża, uzasadniającego istnienie jego firmy, podobnie jak wszystkich innych koncernów farmaceutycznych, zarówno wielkich, jak i małych, leżał jeden jedyny fakt: że nikt

nigdy nie wynalazł cudownego lekarstwa, które leczy szybko, skutecznie oraz bez efektów ubocznych którąś z tych najpowszechniejszych ludzkich dolegliwości. Istota ich zysków tkwi w produktach, które przedłużają życie cierpiących najbardziej, jak się da, i łagodzą objawy, ale nie uwalniają ludzi od choroby.

Warknął do telefonu i wydał odpowiednie polecenia.

17

Wtorek, 21 lutego

Kierując się nawigacją Google Maps w telefonie, Ross mijał małą, wynajętą toyotę przedmieścia Bristolu. Wjechał na rondo z drogowskazami do Bath, Shepton Mallet i Wells i zjechał z niego w kierunku Wells, po czym zgodnie ze wskazówkami nawigacji ruszył dalej trasą A37. Aplikacja informowała, że dotrze na miejsce za czterdzieści cztery minuty.

Ulewa ustała i przez chmury przedzierały się skrawki błękitnego nieba. Ucieszył się, że nie przemoknie do suchej nitki, włączając się po Glastonbury. Zarazem jednak miał dziwne uczucie, że czegoś mu brakuje.

Pochylił się i zaczął gmerać w radiu, dopóki nie znalazł stacji Heart i nowej piosenki Passengera. Lubił jego muzykę.

Kiedy słuchając piosenki, przypominał sobie rozmowę z Sally Hughes, uczucie, że czegoś nie zauważa, uporczywie narastało, niczym cień siedzący obok niego w samochodzie.

Nagle go olśniło.

– Kurwa mać! – zaklął na głos. – Niech to wszyscy diabli!

Zostawił w barze plecak z rękopisem Cooka!

Jak to możliwe? Jak mógł coś takiego zrobić? Pewnie dlatego, że był przemęczony.

Gorączkowo zaczął szukać miejsca, gdzie mógłby zawrócić. W obydwu kierunkach ciągnął się prawie nieprzerwany sznur samochodów. Po drugiej stronie drogi zauważył wjazd do przydrożnego sklepu. Z walącym sercem, spocony ze zdenerwowania, włączył kierunkowskaz, odczekał na dłuższą przerwę między pojazdami i skręcił, po czym natychmiast zahamował. Obejrzał się, odczekał na kolejną okazję, wycofał z powrotem na drogę, przeciął pas przed pędzącą ciężarówką,

która zatrąbiła gniewnie, po czym ruszył na pełnym gazie z powrotem w stronę Bristolu.

Jezu, jedyny istniejący egzemplarz! A jeśli ktoś ukradł plecak, bo pomyślał, że w środku jest laptop? Jak to wyjaśni Cookowi?

Człowiek, któremu powierzono ratowanie ludzkości, przewrócił się na pierwszym płotku.

Niech to cholera jasna!

Przed nim jechał ciągnik z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę.

– No dawaj, dawaj!

Wychylił się, żeby zobaczyć, co się dzieje przed nim, ale z naprzeciwka cały czas nadjeżdżały samochody, a kawałek dalej zaczynało się wzniesienie.

Wszystko mu się w środku skręcało. Jak mógł być taki nierozgarnięty?

Co zrobi, jeśli rękopis zniknie?

Udało mu się przejrzeć tysiąc stron. Gdy tylko się zatrzymywał, żeby wczytać się głębiej, okazywało się, że tekst jest kompletnie hermetyczny. Mógłby go w tej chwili spokojnie odesłać Cookowi, czuł się jednak zobowiązany wobec staruszka, żeby przeczytać manuskrypt do końca. Miał zobowiązanie wobec ludzkości, prawda? Może?

Chociaż nie był o tym przekonany. W najmniejszym stopniu.

Z drugiej strony zbieg okoliczności spotkania z Sally, której wujek pracuje w Chalice Well, wydawał się zbyt osobliwy, by Ross mógł go z czystym sumieniem zlekceważyć.

Bądź tam, proszę, bądź tam nadal. Proszę!

Dwadzieścia minut później zatrzymał się przy podwójnej żółtej linii przed barem i wpadł do środka. Lokal był prawie pusty. Pobiegł prosto na drugi koniec sali, gdzie siedzieli przy stoliku z Sally, i zajrzał pod krzesło.

Plecak zniknął.

Ścisnęło go w żołądku.

Nagle usłyszał za sobą wołanie. Odwrócił się. Poznał kobietę z jaskrawymi rudymi włosami, która ich obsługiwała.

– W czym mogę panu pomóc?

– Byłem tu jakieś czterdzieści minut temu. Zostawiłem na podłodze plecak.

– A tak. Ma pan szczęście, że są na tym świecie uczciwi ludzie. Oddał go nam jakiś mężczyzna.

Schyliła się za bar i po chwili wyłoniła się z czarnym nylonowym plecakiem w rękę.

– Czy to ten?

Ross odetchnął z ulgą.

– Rany, jest pani prawdziwym aniołem – powiedział.

O mało jej nie ucałował.

Otworzył plecak, żeby sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu, po czym wrócił do samochodu.

Aż do samego końca ruch był duży i Ross dotarł do Glastonbury tuż przed czwartą. Zostało mu pół godziny do zamknięcia Chalice Well. Wzdłuż wąskiej drogi do miasta po lewej stronie tuż przy jezdni ciągnął się rząd brzydkich domów, po prawej żywopłot, tak że z trudem mogły się tu wyminąć dwie ciężarówki. Żywopłot kończył się przy ścieżce, za którą wznosił się wysoki, szary mur z biało-zielonym znakiem i strzałką.

FUNDACJA CHALICE WELL

Pięćdziesiąt metrów dalej mur kończył się większym znakiem, a za nim Ross zobaczył wjazd na parking, gdzie stały tylko dwa samochody przed rzędem ładnych wiejskich domów. Mogłyby się w nich mieścić herbaciarnie, pomyślał.

Zauważył kilka tablic.

WITAMY W SANKTUARIUM I OGRODACH CHALICE
WELL

CHALICE WELL JEST MIĘDZYNARODOWYM
USTRONIEM

PARKING TYLKO DLA OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH

Mniejsza tabliczka pod spodem informowała, że dwieście metrów dalej znajduje się ogólnodostępny parking.

Zawrócił, wyjechał na główną drogę i prawie natychmiast zobaczył znak parkingu oraz dwupiętrowy sklep fabryczny, opatrzony szyldem z białym napisem R.J. DRAPER. Na pustym parkingu widniała tabliczka z informacją, że opłata za parkowanie wynosi dwa funty i należy ją uiścić w sklepie.

Ross wziął plecak i założył go na plecy. Nie chciał go zostawiać w samochodzie. Zapłacił, po czym ruszył na piechotę w stronę Chalice Well. Na parkingu dla niepełnosprawnych przystanął, rozejrzał się. Wszedł na brukowaną ścieżkę biegnącą pod górę, minął budynki, które przypominały mu herbaciarnię, a następnie bramę z trelią. Zobaczył tabliczkę ze zdjęciem telefonu przekreślonego czerwonym krzyżykiem i podpis ZAKAZ UŻYWANIA TELEFONÓW KOMÓRKOWYCH.

Posłusznie wyciszył komórkę i podszedł do drewnianej kasy biletowej, gdzie zapłacił cztery dwadzieścia za wstęp, a uczynna kobieta w okienku wręczyła mu folder z mapą.

– Czy tą ścieżką dojdę na wzgórze Glastonbury Tor? – spytał.

– Nie. – Kobieta wskazała w lewo. – To po drugiej stronie. Jak pan pójdzie tędy, to zobaczy pan znak.

Podziękował i zaczął oglądać mapę. Miejsce było znacznie bardziej zadbane i lepiej zorganizowane, niż to sobie wyobrażał. Można się było tu poczuć jak w dobrze utrzymanym parku miejskim. Ruszył przed siebie drogą między niskim żywopłotem po prawej stronie i rabatą kwiatową po lewej. Dalej wznosiło się porośnięte trawą zbocze wzgórza, upstrzone tu i ówdzie drzewami i dużymi krzewami. W dole po prawej stronie w otoczeniu ślicznej zieleni zobaczył okrągłą kamienną sadzawkę wypełnioną wodą, która wypływała z fontanny, a potem płynęła wąziutkim strumyczkiem przez wybrukowany kanalik, pod kamiennym mostkiem. Sadzawka Vesica, informowała mapa.

Przed nim rosły dwa wspaniałe cisy. Nieco dalej na wzgórzu stała ozdobna brama zwieńczona małą tarczą i wytłoczonymi słowami CHALICE WELL.

Zrobił zdjęcie telefonem.

Starszy mężczyzna w stroju ogrodnika pchał w jego stronę taczkę; mijając go, życzył mu miłego popołudnia. Kilka kroków dalej Ross zobaczył kolejny znak wskazujący drogę do studni. Spojrzał w tamtym kierunku, ale początkowo widział tylko

nisko wiszące konary wielkich drzew oraz masę zaskakująco dziko rosnących krzaków, domagających się przystrzyżenia.

Po chwili jednak, kiedy podszedł bliżej do miejsca, gdzie ścieżka biegła pod górę i na drugą stronę do ogrodzenia, za którym wznosiło się Glastonbury Tor, ujrzał okrągły murek, a w nim dwa równoległe ciągi schodków.

U ich podnóża leżała studnia.

Zajrzał do środka i poczuł lekkie rozczarowanie. Była mniejsza, niż sobie wyobrażał, miała nie więcej niż metr średnicy. Nie wiedział zbyt dobrze, czego się właściwie spodziewał, lecz na pewno czegoś efektowniejszego. Zszedł po trzech dużych stopniach, odwrócił się i przyjrzał studni z dołu. Teren dookoła wyłożony był nierównymi kamieniami, otwór studni zasłonięty kratą, żeby nikt przez przypadek nie wpadł do środka. Obok, oparta o kamienny słupek, stała przymocowana łańcuchem pokrywa, ozdobiona wyszukаныmi symbolami.

Według przewodnika czerwonawy kolor wody, która nigdy nie wysychała, symbolizował krew Chrystusa.

Ross zrobił kilka zdjęć, po czym sprawdził współrzędne, które dostał od Cooka i wprowadził w telefonie. Wskazywały inne miejsce, nieco oddalone, więc zostawił studnię i ruszył w tamtym kierunku, najpierw przez piękny ogród, potem na lewo poza jego teren, na strome, trawiaste zbocze. Mniej więcej dwieście metrów od Chalice Well znalazł się dokładnie w punkcie wyznaczonym przez współrzędne.

51°08'40"N 2°41'55"W

To tutaj przyjechał Cook z wykrywaczem metalu i stwierdził, że coś znajduje się pod ziemią.

Najwyraźniej ktoś próbował już tu kopać.

Przyjrzał się ziemi i poczuł gęsią skórkę na całym ciele. Ślady po kopaniu były bardzo świeże i obejmowały powierzchnię pół metra na półtora. Dół z powrotem zasypano, a na wierzchu posiano trawę, która właśnie zaczynała kiełkować.

Kto to zrobił?

Harry Cook. To na pewno on.

Ogarnęło go dziwne, trochę niesamowite uczucie. Słońce świeciło mu w twarz, gdzieś w oddali becząła owca.

Niesamowite, a jednak...

Mapa pokazywała w pobliżu sklep z pamiątkami. Czy średniowieczni mnisi naprawdę sprokurowali mit, że w tym miejscu został pochowany Józef z Arymatei, żeby ściągnąć pielgrzymów? Cyniczna teoria?

Według legendy Święty Graal miał być kielichem, z którego Jezus pił podczas Ostatniej Wieczerzy, albo naczyniem, w które zebrano jego krew w czasie ukrzyżowania. Albo jednym i drugim.

Z tego, co Ross wyczytał w internecie, Józef z Arymatei był bogatym człowiekiem, dość żarliwie pragnącym wstąpić do Królestwa Bożego. Należał do najbliższych uczniów Chrystusa, lecz nie otwarcie, ponieważ nie należało to do roztropnych rzeczy. Później jednak poprosił Piłata o zgodę na zabranie ciała Chrystusa i złożył je w okazałym grobowcu, który przygotował dla siebie.

W jednym z bardziej zrozumiałych fragmentów bełkotliwych wywodów Cooka Ross wyczytał, że z niewiadomych przyczyn Józef musiał w pośpiechu opuścić swój kraj. Zabrał kilka pamiątek, między innymi kielich, uciekł i przyjechał do Anglii, gdzie ufundował kościół Chrystusa, zgodnie z niektórymi przekazami właśnie tutaj, w Glastonbury.

Ross stał bez ruchu, rozmyślając. No dobrze, więc jestem Józefem. Musiałem uciekać z ojczyzny po złożeniu Syna Bożego do grobu, który przygotowałem dla siebie. Dotarłem na tę nieprzyjazną, pogańską ziemię, w to dziwne miejsce z tym dziwnym wzgórzem i głęboką studnią. Wiozę ze sobą pamiątkę po moim wielkim nauczycielu, Synu Bożym. Jest ona jedynym dowodem, jaki noszę ze sobą, że w ogóle istniał. To niewiele. Zwykły kielich, z którego pił lub do którego zebrano jego krew. Ale stanowi więź. Muszę go chronić i zachować dla przyszłych pokoleń.

A więc muszę go gdzieś ukryć, żeby nie znaleźli go i nie zniszczyli poganie.

Gdzie?

Ross rozejrzał się wokół siebie. Gdybym znalazł się na jego miejscu, czy wykopałbym dół w tym zboczu? Raczej nie. Byłbym znacznie sprytniejszy.

Może Cook rzeczywiście coś odkrył w tym miejscu za pomocą wykrywacza metalu, ale to może być mnóstwo różnych rzeczy. Nie ma nawet dowodu, że naczynie, z którego pił Chrystus podczas Ostatniej Wieczerzy, w ogóle było metalowe. Równie dobrze mogło być drewniane, mniej wspaniałe i ozdobne, za to bardziej prawdopodobne u skromnego człowieka. Jeśli tak, to nie mógł go zlokalizować wykrywacz metalu.

Myśląc intensywnie, Ross spojrzał w dół, w kierunku studni, ale krzewy zasłaniały jej widok. Rozejrzał się, popatrzył na drzewa, zarośla. Próbował cofnąć czas o dwa tysiące lat. Co tu się mogło znajdować w tamtych czasach? Co by było najbardziej oczywistą rzeczą?

18

Wtorek, 21 lutego

Ross wrócił do ogrodu wokół Chalice Well i wszedł do sklepu z upominkami, żeby zobaczyć, czy mógłby coś kupić do pokoiku dziecięcego. Rozejrzał się po półkach wypełnionych miksturami leczniczymi, replikami kielichów oraz świecami, ale nie znalazł niczego atrakcyjnego dla malutkiego dziecka.

Rozczarowany, kupił tylko przewodnik i wyszedł z powrotem na ulicę. Skierował się w stronę ścieżki, która biegła po drugiej stronie ogrodzenia. Minął dom w stylu New Age z wielkim kwiecistym muralem, potem kamienną świątynię zbudowaną wokół źródła. Nieco dalej na wzniesieniu ciągnął się drewniany płot, który otaczał Chalice Well i który widział poprzednio z drugiej strony. Oceniał, że studnia znajduje się za ogrodzeniem dokładnie naprzeciwko niego. Płot stał na kamiennym fundamencie, najwyraźniej po to, by powstrzymać osoby próbujące dostać się do środka bez biletu.

Przed nim znak drogowy informował, że w prawo biegnie ścieżka dla pieszych w kierunku wzgórza oraz niewielkiej zatoczki, gdzie mogło zaparkować kilka samochodów. Poszedł dróżką i po kilku minutach jego oczom ukazało się Glastonbury Tor. Aż mu dech zapało.

Wzgórze o zboczu poprzecinanym siedmioma regularnymi tarasami miało tyle mitologicznych związków z królem Arturem i Avalonem, że Ross poczuł prawie namacalnie powiew historii. Roztaczał się przed nim niezwykły widok, przypominający krajobraz Nowej Zelandii, po której podróżowali kilka lat temu z Imogen.

Podniósł wzrok na wieżę Świętego Michała, po czym ruszył w jej stronę. Kiedy dotarł na szczyt, obszedł ruiny dookoła,

a potem spojrział w dół na otaczające pola i porozrzucane bez ładu i składu zabudowania Glastonbury. Zauważył owcę, której beczenie dobiegło go jakiś czas temu. Słońce stało już bardzo nisko, pomału zapadał zmrok. Spojrział na zegarek. Piąta dziesięć. Czeką go jeszcze długa droga do domu w małym wynajętym samochodzie, dobre trzy i pół godziny jazdy. Widział już wystarczająco dużo, by utwierdzić się w swoim przekonaniu.

Ruszył w drogę powrotną ścieżką, która biegła po długim frontowym grzbiecie wzgórza. Kiedy znalazł się na samym dole, przystanął, by wysłać Imogen SMS, że będzie w domu przed dziewiątą.

Ze szczytu Glastonbury Tor, z ciemnego wejścia do ruin wieży Świętego Michała, z odległości wykluczającej przypadkowy odbłask popołudniowego słońca, w jego kierunku błyskały dwa obiektywy lornetki.

19

Czwartek, 23 lutego

Ross Hunter poznał wielbnego Benedicta Carmichaela, kiedy duchowny sprawował funkcję pastora w kościele Świętego Piotra w Brighton. Z jego pomocą zdemaskował satanistyczną sektę zamieszana w rytualne znęcanie się nad dziećmi w podmiejskiej miejscowości. Sprawa ta zaowocowała pierwszym wielkim artykułem Rossa w ogólnokrajowym dzienniku oraz wieloletnią przyjaźnią z Carmichaeliem. Zaskoczyło go wówczas spostrzeżenie, że tego na pozór pobożnego mężczyznę nurtują wątpliwości.

Któregoś dnia w czasie niezobowiązującego lunchu w Lewes, kiedy toczył się proces głównych członków sekty, Carmichael zaczął mu się zwierzać. Wyznał, że ma trudność z dosłownym interpretowaniem Biblii. Jest człowiekiem silnej wiary, lecz jednocześnie ma poważne zastrzeżenia co do wielu nauk Kościoła oraz bezkrytycznego podejścia do Pisma Świętego.

Ross niezmiernie się ucieszył, kiedy kilka miesięcy później Carmichael otrzymał nominację na biskupa Reading, a jeszcze bardziej, kiedy rok temu Benedict przysłał mu wiadomość, że został biskupem Monmouth. Na szczęście biegle władał walijskim.

Chociaż nie widzieli się od wielu lat, natychmiast po powrocie z Chalice Well Ross zadzwonił do Carmichaela i zapytał, czy mógłby się z nim jak najszybciej spotkać na rozmowę.

Dwa dni później wjechał swoim ciemnoszarym audi A4 na brukowany mały parking przed elegancką rezydencją w sercu Monmouth. Wysiadł, przeciągnął się w słońcu po długiej podróży, po czym wszedł do budynku. Po krótkiej chwili

czekania wyszedł do niego uśmiechnięty mężczyzna w średnim wieku, który pełnił funkcję sekretarza biskupa, i zaprowadził go na piętro, a następnie wąskim korytarzem do przytulnego, lecz mocno zagraconego gabinetu.

Carmichael był ubrany w czarną marynarkę z fioletową koszulą i koloratką. Na piersi nosił wielki złoty krzyż na złotym łańcuchu. Przybrał na wadze, od kiedy Ross go ostatnio widział, włosy mu posiwiały i zrzedły, lecz na twarzy nadal wyglądał młodo, a oczy lśniły tą samą żarliwą wiarą.

Usiedli na dwóch fotelach i przez chwilę gawędzili, wymieniając się informacjami, co u kogo słychać, dopóki sekretarz nie przyniósł na tacy kawy i ciastek.

– A więc, Ross, powiedziałaś, że chcesz porozmawiać o jakiejś pilnej sprawie – zagał Carmichael.

Miał głęboki, przyjazny głos, głos, którym potrafił z łatwością przykuć uwagę katedry pełnej wiernych, ale też stawić czoło napastliwym dziennikarzom programu *Today* na antenie Radio 4, nie tracąc ani na moment zimnej krwi.

Ross otworzył plecak i wyjął rękopis Harry'ego Cooka.

– Napisałaś książkę?

– Nie. Wygląda na to, że Bóg to zrobił – odparł Ross z uśmiechem.

Carmichael spojrzał na niego zaintrygowany.

Wtedy Ross opowiedział mu całą historię, poczynając od telefonu Cooka i kończąc na swoim lunchu z Sally Hughes oraz wizycie w Chalice Well.

Kiedy skończył, biskup w zadumie zamoczył w kawie ciasteczko owsiane.

– Hm – mruknął po dłuższej chwili. – Znając ciebie, zakładałam, że bardzo skrupulatnie sprawdziłaś doktora Cooka?

– Owszem. Wszystko się zgadza. Był pilotem RAF-u, potem wykładał historię sztuki na Uniwersytecie Birmingham. Jego zmarła żona, Doreen, pracowała na tej samej uczelni. Syn, jednak, zginął w Afganistanie pod ostrzałem sojuszniczych wojsk. Kartoteka policyjna czysta, wygląda na zwyczajnego faceta. W młodości grał amatorsko w szachy. Prawie człowiek renesansu, o zainteresowaniach w dziedzinie antropologii i biologii. Parę lat temu napisał kilka prac naukowych,

w których kwestionował przyjęte teorie Darwina i popierał Lamarcka.

– Jean-Baptiste’a Lamarcka?

– Tak.

Carmichael spojrzał rozdrażniony na ciastko, które się odkruszyło i wpadło mu do kawy. Wyłowił je łyżeczką i położył kawałeczki na spodku.

– Ciekawe. Mnie również Lamarck zawsze bardzo intrygował. Pewnie o tym wiesz, ale o ile Darwin głosił, że organizmy ewoluowały wskutek doboru naturalnego, Lamarck uważał, że robiły to z konieczności. Jeśli wyjmiesz żabę z wody, w ciągu kilku pokoleń straci błony pławne, a zamiast tego wykształci opuszki.

– Ale nie stał się przez to ani trochę mniej deistą niż Darwin, prawda?

– No cóż, z tym bym podyskutował. Gdyby Lamarck wiedział o genach, być może powiedziała by, że żabi mózg wysyła do swoich genów polecenie, aby wyprodukowały opuszki zamiast błon pławnych. Tylko co dokładnie wysyła taką informację do mózgu? Lub kto? Ale nie po to tu przyjechałeś, prawda? – Wyciągnął rękę, postukał palcami w manuskrypt i zapytał nieco podejrzliwie: – Chcesz, żebym to przeczytał?

Ross pokręcił głową i natychmiast zobaczył ulgę malującą się na twarzy biskupa.

– Nie. Chcę, żebyś mi powiedział, co myślisz o tym, co ode mnie usłyszałeś. Co ja usłyszałem od doktora Cooka.

– Szczerze?

– Oczywiście, po to tu przyjechałem.

– Dobrze. Według słów tego człowieka Bóg uważa, że gdyby ludzkość zobaczyła potwierdzony dowód jego istnienia, dałaby się zawrócić znad przepaści. I oferuje ci trzy zestawy współrzędnych geograficznych jako rzeczony dowód, tak? Miejsce ukrycia Świętego Graala, jakiś ważny przedmiot związany z osobą Jezusa oraz prawdziwe miejsce drugiego przyjścia Mesjasza, tak?

– Tak.

– A więc po pierwsze takie podejście stoi w sprzeczności z faktem, że dowód jest wrogiem wiary. Albo przynajmniej stawia go w innym świetle.

– Co masz na myśli, Benedykcie?

Biskup na moment zamknął oczy.

– Widzisz, ja na przykład potrzebuję czegoś więcej na dowód istnienia Boga niż trzy współrzędne geograficzne. Szczerze mówiąc, gdybym był Bogiem i chciał zaoferować komuś dowód swojego istnienia, zdobyłbym się na coś więcej niż współrzędne geograficzne. Osobiście chciałbym zobaczyć coś bardziej przekonującego.

– Interesujące – odrzekł Ross. – Kilka dni temu opublikowałem w mediach społecznościowych pytanie: Co ludzie uznaliby za niepodważalny dowód istnienia Boga.

– Wyobrażam sobie, że dostałeś ciekawe odpowiedzi. – Benedict uśmiechnął się zaciekawiony.

– No cóż, sporo przekonujących mnie, że będę się smażył w piekle za samo pytanie. Ale było też kilka, które uważam za całkiem błyskotliwe.

– Na przykład?

– Na przykład znalezienie śladu podwójnej helisy DNA w głębi grobowca Chrystusa.

Spojrzał na Carmichaela, lecz najwyraźniej pomysł ten nie wywarł wielkiego wrażenia na biskupie.

– Zbyt łatwo można by to zdyskredytować jako mistyfikację, Ross.

– Pewnie masz rację. Następną odpowiedź mi się podobała: rozwiązanie jednego z nierozwiązanych problemów matematycznych, na przykład istnienia pola Yanga-Millsa i luki masowej. Może nawet wszystkich siedmiu.

– To fajny pomysł, lecz sceptycy przypisałiby to zaawansowanym algorytmom komputerowym.

– No dobrze – uśmiechnął się Ross – więc co by przekonało ciebie, Benedykcie? Gdybyś był Bogiem i chciał udowodnić ludzkości, że istniejesz, co byś zrobił?

Ross wziął do ręki ciastko. Przez dłuższą chwilę ciszę rozpraszał tylko odgłos chrupania. Biskup odchylił się na oparciu fotela i splótł palce.

– Potrzebowalibyśmy czegoś, co przekonałoby zatwardziałyach ateistów, czegoś, czego nie mogliby zbagatelizować ani wyjaśnić. Czegoś, co zaprzecza prawom fizyki i wszechświata. Innymi słowy cudu. I to dużego.

Ross rozmyślał nad tym przez chwilę.

– Czegoś w rodzaju rozstąpienia się morza?

– Żyjemy w dużo bardziej sceptycznym świecie niż Jezus – powiedział Carmichael. – Większość z nas widziała Davida Blaine’a, Dynama, Derrena Browna, a także setki innych magików i iluzjonistów. Myślę, że potrzebowalibyśmy czegoś naprawdę spektakularnego, czegoś, co zobaczyłby cały świat i nie mógłby tego lekceważąco zbyć ani wyjaśnić żadnymi prawami naukowymi.

– Żeby słońce weszło na zachodzie zamiast na wschodzie?

– Czegoś na tę skalę.

– No dobrze, powiedzmy, że ktoś mógłby dokonać takiego cudu, co wtedy?

Carmichael uśmiechnął się do niego ze smutkiem i goryczą.

– Wiesz, co tak naprawdę szczerze myślę, Ross? Gdyby człowiek cieszący się poważaniem i autorytetem ogłosił, że ma dowód absolutny istnienia Boga, szybko by zginął.

20

Czwartek, 23 lutego

Może to podziałała wyobraźnia Rossa, lecz wydało mu się, że niebo za oknem pociemniało. Stał tyłem do szyby i wcale nie miał ochoty się odwracać.

– Zginął? Chcesz powiedzieć, że zostałby zamordowany? Czemu tak uważasz, Benedykcie?

Biskup uniósł dłonie.

– Nie jestem wcale przekonany, czy niepodważalny dowód istnienia Boga, zakładając, że coś takiego jest możliwe, rzeczywiście przywróciłby na świecie równowagę. Obawiam się, że efekt byłby odwrotny do tego, co twierdzi twój doktor Cook. Sam pomyśl o konsekwencjach. Wśród wielu religii doszłoby do wrzenia, zapanowałaby chaos. Desperacja. Ilu ludzi przez całe stulecia głosiło, że ich wiara jest jedyną ścieżką wiodącą do Boga? Woda na młyn dla fanatyków wszelkiej maści. Panika wśród tych, których życie opiera się na jakimś systemie wierzeń. W jakiej sytuacji znalazłyby się wszystkie religie abrahamowe? Czy to Bóg katolicki? Anglikański? Bóg judaizmu? Islamu? A co z hinduizmem? Sikhizmem? Wśród wielu fundamentalistów zapanowałoby oburzenie, nazwaliby to bluźnierstwem. Scjentolodzy również nie wypadliby przy tym zbyt inteligentnie, prawda?

Ross wlepił w niego oczy, Carmichael zaś ciągnął z cierpkim uśmiechem:

– Wielu ludzi byłoby bardzo nieszczęśliwych, Ross, ponieważ zostaliby wysadzeni z siodła.

– Poczynając od Watykanu, prawda?

– Tak. Watykan poczułby się wyjątkowo niekomfortowo. Uważają siebie za jedyny prawdziwy Kościół chrześcijański, musieliby w trybie pilnym znaleźć sposób na potwierdzenie

swojego prymatu. Dowód na istnienie Boga mógłby uprawomocnić roszczenia Żydów do Ziemi Obiecanej, co miałyby poważne następstwa dla Palestyny i Iranu. W Rosji, gdzie wprowadzie toleruje się religię, ale by tak rzec, z zaciśniętymi zębami, Putin również dostrzegłby zagrożenie dla swojej władzy, gdyby Kościół zyskał na znaczeniu. Tym bardziej w Chinach. Ten kraj walczy o supremację na świecie. Znajduje się w stanie kruchej równowagi pomiędzy procesem otwierania się na kapitalizm a pragnieniem utrzymania niezależności. Owszem, działa tam silny podziemny Kościół, ale oficjalnie Chiny są krajem ateistycznym. Gdyby ktoś udowodnił, że Bóg istnieje, okazałoby się, że ludzie są winni posłuszeństwo istocie wyższej, a to podkopałoby pozycję rządu w tym kraju.

Ross milczał. Starał się zachować spokój, lecz miotały nim skrajne emocje na myśl o tym, jakie reperkusje mogłaby pociągnąć za sobą ta historia, jeśli w deklaracji Cooka tkwi ziarno prawdy.

A może nawet jeśli go nie ma.

– Muszę przyznać, Benedykcie, że nie przyszły mi do głowy tak poważne konsekwencje, o jakich mówiłeś. Ale to brzmi bardzo przekonująco.

Carmichael uśmiechnął się do niego w jakiś nieodgadniony sposób, po czym szybko spowaźniał.

– Większość światowych religii jest w równym stopniu systemem wiary co biznesem, Ross. Dowód absolutny wytrąciłby im władzę z ręki. Wzbudziłby niezadowolenie mnóstwa ludzi. A jest jeszcze coś, o czym powinieneś pomyśleć, coś niezwykle istotnego.

Urwał zakłopotany. Ross czekał cierpliwie.

– Martwi mnie to, że część informacji doktora Cooka pochodzi od spirytystów. To są niebezpieczni ludzie. A jeśli to robota Antychrysta? Biblia ostrzega, że diabeł jest przebiegły, to prawdziwy mistrz iluzji, Ross. Znajdziesz wielu ludzi, którzy podzielą mój pogląd, i to w bardzo niebezpieczny sposób.

– W niebezpieczny sposób? – Ross patrzył na niego i próbował to wszystko ogarnąć. – Chcesz powiedzieć, że Cook się pomylił? Że jego wiadomość nie pochodzi od Boga, tylko od Szatana?

– No cóż, istnieje w Piśmie Świętym przypadek, w którym wydaje się, że Bóg ze względu na wyjątkowe okoliczności dopuścił, by zmarły przemówił do żyjącego. Kiedy król Saul radził się wiedzmy w Endor, pojawił się prorok Samuel i oznajmił, że Saul wkrótce umrze. Tak dramatyczna sytuacja jak ta, o której powiedziałaś, może oznaczać, że Bóg dopuścił do kolejnego wyjątku. – Uśmiechnął się, po czym ciągnął: – Próbuję ukazać ci różne punkty widzenia na tę sprawę oraz różne konsekwencje. Taki rodzaj dowodu jak ten, z którym przyszedł do ciebie doktor Cook, nie zjednoczyłby świata. Nie ocaliłby ludzkości. Takie jest moje zdanie. Doprowadziłby do jeszcze większych rozłamów na całej kuli ziemskiej niż te, z którymi już się borykamy. Jako stary przyjaciel radzę ci: oddaj rękopis Harry’emu Cookowi i powiedz mu, że bardzo ci przykro, ale nie jesteś człowiekiem, którego szuka.

– Czy to ci podpowiada Bóg, Benedikcie? A co z powtórny przyjsciem, które zostało zapowiedziane w Nowym Testamencie?

– W ewangeliach Jezus mówi, że przed jego powtórny nadejściem pojawią się fałszywi prorocy, wielkie katastrofy, wojny, głód, trzęsienia ziemi, nieszczęścia i okrutne prześladowania. Apokalipsa świętego Jana idzie jeszcze dalej i głosi, że przed nadejściem Chrystusa zjawi się Antychryst.

– Nie pamiętam Biblii aż tak dobrze. Zdawało mi się, że powtórne narodzenie miało być wielkim zdarzeniem, kiedy Jezus powróci, by sądzić żywych i umarłych, by uratować świat przed zagładą, oraz by ustanowić nowe Niebo i Ziemię.

– Owszem, tak uważa większość chrześcijan. Wiarę w powtórne przyjscie Chrystusa w jakiejś formie podtrzymują wszystkie wyznania chrześcijańskie i muzułmańskie.

– Ale żydzi nie.

– Ortodoksyjni żydzi wierzą w nadejście Mesjasza.

– Lecz nie jest nim Chrystus, prawda?

– Tak. Żydzi uważają, że Chrystus był fałszywym mesjaszem. Ale powtórne przyjscie nie nastąpi ni stąd, ni zowąd. W Biblii w wielu miejscach mówi się o prekursorze, który ma je poprzedzić, takim jakim dwa tysiące lat temu był Jan Chrzciciel. Żydzi wierzą, że przed Mesjaszem pojawi się Elias, aby

zapowiedzieć Królestwo Boże. Jezus z całą pewnością sugerował, że na ziemi zjawi się Eliasz.

Ross zmarszczył brwi.

– To wszystko jest bardzo zawikłane.

– Owszem. Ale ma to być również bardzo spektakularne wydarzenie.

– A jaki jest twój osobisty pogląd na temat powtórnego przyjścia?

Carmichael odpowiedział kolejnym uśmiechem, którego Ross nie potrafił odczytać. Odezwał się dopiero po długiej chwili.

– Ross, teraz mówię do ciebie jako przyjaciel, który się o ciebie troszczy. Stąpasz po bardzo niebezpiecznym terenie i nie czujesz gruntu pod nogami. Nie tylko ty, w takiej samej sytuacji znalazłby się każdy na twoim miejscu. I nie chodzi tylko o skomplikowany system wyznaniowy na świecie ani o fanatyków, którzy roszczą sobie wyłączne prawo do jednej wiary albo jej odłamu. To bezlitosny świat ścierających się interesów handlowych, zarówno w łonie wszystkich wielkich religii, jak i na świeckiej arenie rynków finansowych, które mogłyby doznać poważnego uszczerbku. Jak na przykład twoim zdaniem poczułby się sprzedawca cudownego leku na wieść o istnieniu jeszcze cudowniejszego panaceum?

– Czy prawdziwy powrót Chrystusa nie dostarczyłby niepodważalnej odpowiedzi?

– Kiedy się poznaliśmy, powiedziałeś mi, że byłeś niewierzący, ale po śmierci brata twój umysł się otworzył, przynajmniej troszeczkę, tak?

– Tak.

– Więc jesteś przygotowany, by zaakceptować fakt, że Jezus istniał naprawdę?

– Bardzo możliwe – odparł Ross. – Ale tego, czy był rzeczywiście Synem Bożym, czy tylko zwykłym człowiekiem, mój wewnętrzny sędzia jeszcze nie rozstrzygnął.

– Zabito go, kiedy się zjawił ponad dwa tysiące lat temu. Uważasz, że tym razem byłoby inaczej?

– Harry Cook uważa, że tak.

– Powrotowi Chrystusa musiałoby towarzyszyć niezwykle zdarzenie, Ross, jakiś cud i znak, coś uniwersalnego, co

mogłoby wszystkich zjednoczyć.

– Na przykład co?

– Nie wiem. Coś, czego nikt nigdy nie widział i może nawet nie potrafiłby sobie wyobrazić. Ale nie wiem, co by to mogło być.

I znów się uśmiechnął, tym samym, nieodgadnionym uśmiechem.

21

Czwartek, 23 lutego

Pastor Wesley Wenceslas dokładał wszelkich starań, by w tygodniu spędzać dwie noce w swojej rezydencji, w prywatnym skrzydle Gethsemane Park. Pomagał Marinie kąpać i układać do snu ich trójkę dzieci – ośmioletniego Matthew, sześcioletniego Marka i czteroletnią Ruth, a następnie czytał im krótki fragment Nowego Testamentu. Potem klękał i razem z nimi odmawiał modlitwę, prosząc, żeby Bóg pomagał im być dobrymi i podążać ścieżką Pana oraz by zsyłał im liczne błogosławieństwa. Następnie jadł razem z żoną kolację przygotowaną przez ich pełnoetatowego kucharza. Zaczynali od kieliszka kruga, potem wino z bogatej piwniczki Wenceslasa, białe lub czerwone, w zależności od tego, czy jedli mięso, czy rybę. Po posiłku udawał się do swojego gabinetu, by sprawdzić w Excelu codzienne zestawienia przychodów w każdym kościele, sprzedaż jego książek i produktów, jego internetowych i telefonicznych usług „modlitwa na telefon” oraz wszelkie inne źródła przychodów.

W pozostałe dni tygodnia, kiedy sypiał poza domem, w jednym ze swoich kościołów w Anglii lub Stanach Zjednoczonych, prowadził identycznie skrupulatną kontrolę dochodów.

Ogarniało go przerażenie na myśl, że mógłby znowu stać się biedny.

Ojciec, którego nie znał, porzucił jego mamę, kiedy była w ciąży. Pracowała na nocce, sprzątając biura, żeby mieli co jeść, a także by zapłacić za bingo, w które grywała obsesyjnie w ciągu dnia. Była głęboko wierzącą kobietą, prawie w każdą niedzielę dwa razy zabierała go do tradycyjnego kościoła anglikańskiego, ponieważ z najwyższą wzdrganą patrzyła na

tych klaszczących i głupio rozśpiewanych ewangelików, chociaż małemu chłopcu wydawali się o całe niebo weselsi. Zakazała trzymania w domu telewizora, a spośród książek pozwalała tylko na Biblię oraz komentarze do niej. Kiedy podrósł i nauczył się czytać, i co wieczór zostawał w domu sam, przeczytał Biblię od deski do deski i to kilka razy. Jej opowieści go intrygowały, ale też przerażały.

Najbardziej utkwilo mu w pamięci wyjątkowe okrucieństwo Boga ze Starego Testamentu. Małemu chłopcu wydawał się jakimś maniakiem oszalałym na punkcie swojej własnej ważności. Człowiek go czcił albo umierał; poświęcał kogoś, kogo kochał, albo spadało na niego inne nieszczęście. Albo, jak w przypadku Hioba, cała masa nieszczęść.

No dobrze, pomyślał sobie chłopiec, skoro Bóg stworzył świat, to ma prawo z nim robić, co mu się podoba, w tym również gniewać się, kiedy ludzie go nie doceniają.

Nie domyślał się wtedy, bo jak się mógł domyślać, że jego dogłębna znajomość Biblii dobrze mu się kiedyś przysłuży.

Poza Biblią interesowały go wówczas tylko dwie rzeczy – samochody i muzyka, szczególnie reggae. Najmocniej działały na niego piosenki Boba Marleya i The Wailers. Ponieważ jednak nie miał w domu radia, mógł ich słuchać tylko w szkole na walkmanie swojego kolegi.

Znacznie łatwiej było oglądać samochody. Mieszkali z matką na pierwszym piętrze w Southwick, przy jednej z głównych ulic Brighton, Old Shoreham Road. Ich mieszkanie pełne było dewocjonaliów, a dzwonek wybijał Anioł Pański trzy razy w ciągu dnia – o szóstej rano, o dwunastej i szóstej wieczorem. Chłopiec wyglądał przez okno na przejeżdżające samochody i oddawał się marzeniom. Marzył o czasach, gdy będzie jeździł porsche, lamborghini, ferrari i aston martinem.

Wiedział, ile kosztuje każdy z pojazdów, jak szybko przyspiesza do setki, jaką rozwija prędkość, jaką ma moc i pojemność silnika.

Kiedy miał czternaście lat, matka wygrała dużo pieniędzy w bingo. To była naprawdę wielka wygrana. Przyjechała do domu z błyszczącymi oczami, wyjęła z torebki plik pięćofuntowych banknotów i rozrzuciła je po dużym pokoju niczym confetti.

We śnie Bóg powiedział jej, jak ma wygrać, ponieważ, jak oznajmiła, pragnęła, żeby sprawiła swojemu wyjątkowemu chłopcu prezent jako zadośćuczynienie za wszystkie smutne i biedne święta Bożego Narodzenia, kiedy nie stać jej było na ładne podarunki. W tym samym śnie Bóg powiedział jej, aby za wygrane pieniądze zabrała syna do Disney World. Z początku miała wątpliwości, bo Disney World stał w sprzeczności z jej przekonaniem, ale w dwóch kolejnych snach Bóg z nieugiętą stanowczością powtarzał, że powinna sprawić synowi tę przyjemność, ponieważ jest grzecznym dzieckiem.

Pod koniec roku szkolnego polecili do Orlando. W samolocie w czasie lotu leciały filmy, ale mama nie pozwoliła mu ich oglądać. Zamiast tego dała mu do czytania Biblię, żeby w ten sposób podziękował Panu za prezent. Oraz Świętej Pani, której imię nosiły linie lotnicze, jakimi lecieli. Chłopiec próbował czytać, ale nie mógł skupić uwagi, bo tak był podniecony podróżą. Jeszcze bardziej nawet niż atrakcjami Disney World cieszył się na myśl, że zobaczy mnóstwo amerykańskich samochodów. Na czytaniu nie pozwalał mu się również skupić film lecący na ekranie przed mężczyzną siedzącym po drugiej stronie przejścia. Mężczyzna miał na uszach słuchawki, więc chłopiec nie mógł słyszeć, co mówią ludzie na ekranie, ale wpatrywał się jak urzeczony w kobietę z ogromnym biustem, która czasem pojawiała się nawet w kostiumie bikini. Kiedy na nią patrzył, rosło w nim podniecenie. Wiedział, że to obraźliwe, ale cieszył się, że Biblia na kolanach zasłania wybrzuszenie w spodniach.

Kiedy jechali taksówką z lotniska, oczy wychodziły mu na wierzch na widok tych wszystkich lśniących samochodów osobowych i ciężarowych. Najbardziej wypatrywał starych i nowych „mięśniaków”: camaro, corvetty, mustanga i firebirda, a także potężnych ciężarówek Mack. Po raz pierwszy widział macki na własne oczy, zachwycał się ozdobami, które montowali sobie kierowcy: ogromnymi rogami albo śmiesznymi maskotkami.

W hotelu stał obok mamy przy kontuarze recepcji i cierpliwie czekał, aż pokaże paszport, a następnie wpisze swoje nazwisko, Marigold Smith, a także jego, Thomas Smith, ponieważ tak się wtedy nazywał. Obserwował, jak boy

hotelowy w uniformie pcha przed sobą błyszczący wózek bagażowy załadowany czymiś walizkami. Zastanawiał się z nadzieją, czy po ich bagaż też przyjdzie boy z takim wózkiem, lecz matka oznajmiła recepcjoniście, że nie potrzebują pomocy w niesieniu bagażu, po czym ciągnąc bagaż obok biurka konsjerża, powiedziała szeptem do syna:

– Musielibyśmy mu dać napiwek!

Słowo to zabrzmiało w jej ustach, jakby mówiła o łapówce dla samego szatana.

Kiedy w końcu znaleźli się w hotelu, a Thomas naoglądał się już trochę samochodów, zaczął niecierpliwie wyczekiwać wyprawy do osławionego parku rozrywki i kolejek, o których opowiadali mu koledzy. Lecz jego matka miała inne plany. Najpierw muszą się udać do kościoła, by poprosić Boga o wybaczenie za wizytę w parku rozrywek.

– Czy może nam pan wskazać jakiś stosowny dom boży? – zapytała konsjerża. – Czy są w pobliżu tradycyjne kościoły anglikańskie?

– Och, zjawiliście się w samą porę, jeśli życzy sobie pani czegoś wyjątkowego – odparł wysoki, promiennie uśmiechnięty mężczyzna w ciemnym garniturze. – Jutro na stadionie Orlando będzie nauczał pastor Drew Duane!

Matka zmarszczyła czoło.

– Drew Duane?

– Zapewniam panią, że pastor Drew Duane jest wyjątkowy. Jeśli go jeszcze nie widzieliście, nie powinniście przepuścić takiej okazji.

– Czy to tradycyjny anglikanin?

– Nie wiem, proszę pani, ale jest nadzwyczajny. Najlepszy duchowny, jakiego słyszałem. Będzie wygłaszał kazanie do osiemnastu tysięcy ludzi. Wszystkie miejsca są zajęte, ale przy odrobinie szczęścia może uda mi się zdobyć dla państwa bilety. Rozumie pani?

Matka zawahała się, nieprzekonana.

– No cóż, przyjechaliśmy tu jakby na wakacje. – Odwróciła się do syna. – Jak myślisz? Spróbujemy czegoś amerykańskiego, skoro już tu jesteśmy?

Chłopiec z powątpiewaniem skinął głową.

– Chyba Bóg nam wybaczy, jeśli skorzystamy z innego Kościoła w ramach wakacyjnego urozmaicenia.

– Na pewno wybaczy! Nie będzie pani żałować. Sam się również wybieram.

Matka otworzyła portmonetkę i położyła na biurku dziesięciodolarowy banknot.

– Chwała Panu – powiedziała.

– Uprzejmie pani dziękuję. – Mężczyzna wsunął banknot do kieszeni. – Przyślę państwu do pokoju potwierdzenie. Zaiste, chwała Panu.

Nazajutrz po odczekaniu w ogonkach rzeczywiście dostali się na kilka karuzeli i kolejek, a Thomas rozmawiał z Kaczorem Donaldem, Myszką Miki i Psem Pluto. Następnie po zjedzeniu lunchu o drugiej pojechali taksówką na stadion. Pastor Drew Duane miał się zjawić dopiero o szóstej, lecz jak oznajmiła matka, powinni być dużo wcześniej, by zająć miejsca jak najbliżej wielkiego duchownego, w przeciwnym razie mógłby ich nie zauważyć, a gdyby ich nie zauważył, to pewnie i Bóg też by ich nie zobaczył.

Zajęli miejsca w dziesiątym rzędzie, ale pastor przybył na stadion dopiero o siódmej. Z nabożnym podziwem Thomas wpatrywał się w ogromne ekrany wokół stadionu, na podjeżdżającego białego rolls-royce'a, witanego przez machające pałkami cheerleaderki śpiewające hymn *Tell Me the Old, Old Story!*

Młody Thomas niewiele jednak widział poza samochodem. Obserwował, jak otwierają się tylne drzwiczki, jak pastor wysiada z pojazdu, wzbudzając w tłumie zachwycone okrzyki.

Chcę mieć taki samochód, pomyślał. Bardzo chcę.

22

Czwartek, 23 lutego

Droga powrotna od Benedicta Carmichaela była bardzo męcząca, przez ostatnie dwie godziny Ross walczył z korkami, deszczem i gęstniejącą ciemnością. Miał za to mnóstwo czasu, by rozmyślać o spotkaniu z biskupem, a choć był zmęczony, w głowie aż mu huczało.

Imogen leżała na sofie przed telewizorem z wielkim kubelkiem lodów karmelowych, które były ostatnią z jej ciążowych zachcianek. Monty siedział obok z wywieszonym jęzorem i oblizywał się, patrząc na nią wyczekująco. Na wchodzącego pana ledwo rzucił okiem.

Ross pocałował Imogen na przywitanie.

– Jak ci minął dzień?

Wzięła do ręki pilota i włączyła pauzę.

– Trochę... bleee! – Skrzywiła się. – Rano po twoim wyjeździe czułam się tak fatalnie, że zostałam i pracowałam w domu. Teraz już lepiej. A jak wypadło twoje spotkanie?

– Bardzo ciekawie!

– Szczęściarz. Ponieważ nie poszłam do pracy, ugotowałam obiad. Zjesz niedługo?

– Możesz mi dać pół godziny? Muszę coś sprawdzić, dopóki mam to świeżo w pamięci, potem ci wszystko opowiem. – Spojrzał na znieruchomiałą obraz telewizora. – Co oglądasz?

– Stary odcinek *Frasiera*. Śmieszna scena z bratem.

Ross udał się do kuchni, żeby zrobić sobie szybkie espresso, po czym poszedł z nim na górę.

W skrzynce znalazł jak zwykle dziesiątki maili. Przebiegł je wzrokiem, ale nie znalazł niczego, co nie mogło poczekać. Upił kawy i wrócił myślami do swojej rozmowy z biskupem.

Potrzebuję czegoś więcej na dowód istnienia Boga niż trzy współrzędne geograficzne. Czegoś, co zaprzecza prawom fizyki i wszechświata. Innymi słowy cudu.

W porządku, to jest uczciwe postawienie sprawy.

Dowód jest wrogiem wiary.

To nie było dla Rossa nowe stwierdzenie, już je kiedyś słyszał i mocno go ono nękało, ponieważ nie potrafił zrozumieć jego logiki. Z pewnością dostarczało argumentu wszelkim religiom przeciwko wątpiącym. *Wierzcie we mnie, o wy, ludzie małej wiary*. Tylko że według Harry'ego Cooka to właśnie z powodu „małej wiary” Bóg wybrał Rossa i kazał staruszkowi się z nim skontaktować. Właśnie dlatego zesłał mu tak zwany dowód.

Wstukał w Google słowa „dowód jest wrogiem wiary”. Wyskoczył mu cytat Thomasa Jeffersona, więc go pominął. Następnie słowa Anaïs Nin: „Kiedy ślepo przyjmujemy religię, system polityczny czy dogmat literacki, stajemy się automatami. Przestajemy się rozwijać”.

Włączył jeszcze raz wyszukiwanie i znalazł osiemnastowieczny cytat Henry'ego Adamsa: „Nawet teolodzy, nawet najwięksi, trzynastowieczni teolodzy, nawet sam święty Tomasz z Akwinu, nie ufali samej tylko wierze, nie przyjmowali z góry istnienia Boga”.

Tomasz z Akwinu był filozofem i teologiem, który zmarł w 1274 roku. Napisał: „Dla człowieka wielkiej wiary żadne wyjaśnienia nie są konieczne. Dla człowieka bez wiary żadne wyjaśnienia nie są możliwe”.

Ross znał filozofię Akwinaty, natknął się na jego nauki po śmierci brata, kiedy rozpaczliwie szukał wyjaśnienia tego, co przytrafiło mu się tamtego ranka w siłowni.

Święty Tomasz głosił, że wszystko – narządy zmysłów, łańcuch pokarmowy, to, co dzisiaj znamy jako obieg azotu w przyrodzie, i tak dalej – ma swój określony cel. Twierdził, że porządku wszechświata nie da się wyjaśnić działaniem przypadku, lecz tylko jako produkt wyższej inteligencji. A zatem naturą kieruje albo Boska Inteligencja, albo Wielki Projektant.

Z rozmyślań wytrącił Rossa dzwonek telefonu. Spojrzał na numer na ekranie, ale go nie rozpoznał. Zawahał się, czy to nie

telemarketing, po czym odebrał.

– Ross Hunter.

– Cześć, Ross, mówi Sally z BBC Bristol.

– Cześć! – zawołał. Od razu poweselał, słysząc jej głos. – Miło, że dzwonisz. Jak leci? To było naprawdę bardzo ciekawe spotkanie.

Szczerze mówiąc, zaskoczył go jej telefon. Przypuszczał, że po przeprowadzeniu kolejnych dwudziestu wywiadów zwyczajnie o nim zapomniała.

– Tak, mnie też było bardzo miło. Jak poszedł rekonesans w Glastonbury? Trafiłeś bez kłopotu?

– Tak, to fascynujące miejsce.

– Obiecałam ci, że porozmawiam z wujkiem, który siedzi w zarządzie Chalice Well, Juliusem Helmsleyem.

– Tak, pamiętam. Rozmawiałaś z nim?

– Spytałam go o twojego znajomego, Harry’ego Cooka.

– Dziękuję, to bardzo uprzejme z twojej strony.

– No cóż, obawiam się, że nie mam dla ciebie najlepszych wieści. Mój wujek wie wszystko o tym człowieku i uważa, że to zwyczajny paranoik. Kilka tygodni temu złapano go w środku nocy, jak kopał szpadlem ogrodowym w Chalice Well. Nasłali na niego policję. Potem wziął się na członków zarządu. Zdobył ich telefony i wydzwania do nich w środku nocy, obrzuca ich obelgami, woła, że powinni mu pomóc w ocaleniu świata, a nie ciskać mu kłody pod nogi. Podobno tydzień temu nazwał mojego wujka Antychrystem.

– Żartujesz!

– Nie, wcale nie żartuję. On jest naprawdę pomyłony. Ma nierówno pod sufitem, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Rozumiem.

– Na twoim miejscu zapomniałabym o tej historii. Myślę, że to zwyczajny pieniacz.

Ross poczuł, jakby uszło z niego całe powietrze. Podziękował Sally za telefon i zakończył rozmowę, obiecawszy, że odezwie się, jeśli będzie się kiedyś wybierał w okolice Bristolu.

Imogen zawołała z dołu, że kolacja gotowa, lecz on jej nie słyszał. Wpatrywał się w rękopis leżący na biurku obok klawiatury. Na wierzchu widniał adres i numer telefonu Cooka.

– Ross! – krzyknęła znowu Imogen. – Kolacja stoi na stole. Chodź już, umieram z głodu!

– Daj mi jeszcze dwie minutki, Imo!

Wziął telefon i wybrał numer do Cooka. Po kilku sygnałach usłyszał głos staruszka.

– Pan Hunter?

– Nie powiedział mi pan, że był w Chalice Well – powiedział.

– A także że prawie pana aresztowano. I że obrzucał pan obelgami członków zarządu fundacji.

– Rzeczywiście – odparł doktor Cook z wyraźną skruchą w głosie. – Zachowałem się wyjątkowo nierozsądnie. Rozpaczliwie chciałem znaleźć jakiś dowód, więc pomyślałem, że zacznę tam kopać, ale ledwo zdążyłem wbić szpadel w ziemię, a już mnie złapano.

– Wbić szpadel? Nie kopał pan dłużej?

– Absolutnie nie – odrzekł głęboko poruszony. – Nie pozwolili mi. Zjawił się policjant i jeszcze drugi mężczyzna, chyba jeden z członków zarządu. Był bardzo rozgniewany, straszył mnie pozwem do sądu za zniszczenie mienia.

– Nie kłamie pan? – zapytał Ross, myśląc o półorametrowym dole, który ktoś tam niedawno wykopał.

– Mówię prawdę. Przyznaję, że to była głupota, straciłem zimną krew. Ci ludzie nie chcą uwierzyć, a może w ogóle nie chcą wiedzieć, na czym siedzą. Błagam, niech mi pan uwierzy. Nie jestem wariatem, za jakiego oni próbują mnie panu przedstawić. Musi mi pan uwierzyć, panie Hunter. Ci ludzie z jakiegoś powodu nie chcą mnie tam wpuścić.

– Panie doktorze. Byłem w Chalice Well. Ktoś niedawno kopał w miejscu, które wskazały pańskie współrzędne geograficzne.

– Co? – zapytał wyraźnie wstrząśnięty. – Jak to wyglądało?

– Jak rów, jaki kopią archeolodzy. Został z powrotem zasypany.

– Ależ to okropna wiadomość.

– Jeśli to nie pan tam kopał, to komu jeszcze podał pan te współrzędne?

– Nikomu. Musi mi pan uwierzyć, panie Hunter. Absolutnie nikomu. Jest pan jedyną osobą na całym świecie.

– Czy to możliwe, że inne osoby dostały tę samą wiadomość?

Przez dłuższą chwilę Cook milczał.

– Myślę, że zostałam o tym uprzedzony.

– No cóż, w każdym razie najwyraźniej ktoś jeszcze o tym wie – zauważył Ross. – Domyśla się pan, kto to może być?

– Nie zdradziłem tych współrzędnych żywej duszy, daję panu słowo – zapewnił starzec.

Jego głos brzmiał szczerze.

– Ale powiedział pan, że przyłapała pana policja i jakiś człowiek z zarządu Chalice Well. Musieli wiedzieć, że pan tam poszedł.

– Nie podawałem tych współrzędnych żadnej osobie z zarządu.

– Nie musiał pan tego robić, skoro złapali pana na miejscu.

Ross zastanawiał się, kto z tych ludzi kłamie: zarząd Chalice Well czy Harry Cook. A może po prostu te współrzędne nie były wcale ani takie tajne, ani wyjątkowe, jak to sobie wyobrażał. Wszyscy wiedzieli, że Józef z Arymatei prawdopodobnie odwiedził Glastonbury i mógł mieć ze sobą kielich Chrystusa.

– Myśl, że Święty Graal mógł wpaść w niepowołane ręce, jest dla mnie nie do zniesienia – powiedział Cook. – Czy po to pan zadzwonił? Żeby mi o tym powiedzieć?

– Nie. Dzwonię, żeby panu powiedzieć, że nie jestem osobą, której pan szuka.

Cook odpowiedział natychmiast i bez wahania.

– Ależ oczywiście, że pan jest, zapewniam pana. Proszę posłuchać, od naszego ostatniego spotkania odkryłem coś, co sprawi, że zmieni pan zdanie. Błagam, niech mnie pan nie bierze za starego wariata. Proszę mi dać szansę, a wyjaśnię panu, czego się dowiedziałem.

– Dobrze, słucham.

– Nie chcę mówić tego przez telefon, to zbyt niebezpieczne. I zbyt ważne. Musimy się spotkać. Niech mi pan da szansę. Jeśli wysłucha pan, do czego doszedłem w związku z tymi współrzędnymi i następnymi liczbami, zrozumie pan. To musi mieć związek z miejscem wykopalisk, które pan odkrył. Proszę, niech mi pan wyświadczy tę łaskę.

W głosie starca brzmiało coś, co przebiło się przez pokłady sceptycyzmu Rossa. Nie przekonało go, ale sprawiło, że się zawahał. Dziennikarska intuicja podpowiadała mu, że w tej

historii kryje się dobry materiał, prawdopodobnie nie taki, o jakim myśli Cook, ale może jednak warto jeszcze się z nim spotkać. Może powstanie z tego opowieść, którą „Mail” puściłby na pierwszą stronę w jakiś spokojny dzień? „Mężczyzna, który tak mocno wierzył w swoją zbawczą rolę, że rozkopał Chalice Well”.

Otworzył w komputerze swój kalendarz i spojrzał na jutrzejszy dzień. Piątek. Pusto, żadnych planów. Może warto odwiedzić staruszka w domu? Zrobić kilka zdjęć.

– Dobrze – powiedział. – Mogę jutro do pana przyjechać. Przed południem.

– Nie pożałuje pan tego, panie Hunter, zapewniam pana. Czy przywiezie pan ze sobą rękopis?

– Tak.

23

Piątek, 24 lutego

Tuż po jedenastej, kierując się wskazówkami nawigacji satelitarnej dla kodu pocztowego Cooka, Ross jechał główną ulicą ładnego, małego miasteczka mniej więcej piętnaście kilometrów na zachód od Birmingham. Kiedy poprzedniego wieczoru opowiedział Imogen przy kolacji o wizycie u biskupa Monmouth, następnie o telefonie Sally Hughes i rozmowie z Cookiem, jego żona stanowczo kazała mu zostawić tę sprawę w spokoju. Stwierdziła, że starzec jest zwyczajnym świrem i Ross traci tylko na niego czas.

GPS poinformował go, że za dwa kilometry ma skręcić w prawo.

Minął pub, stację benzynową oraz brzydki teren z jakimś zakładem przemysłowym. Kilka minut później zobaczył znak drogowy zasłonięty częściowo przez krzaki. Skręcił w prawo w jednopasmową drogę, przejechał przez garbaty most nad wąską rzeczułką, obok warsztatu mechanicznego oraz gospodarstwa ze sklepikiem oferującym jajka i sery domowej roboty, a następnie przez las porastający łagodne zbocze wzniesienia. W aplikacji GPS rozpoczęło się odliczanie, po chwili pojawiła się flaga z szachownicą, a kobiecy głos oświadczył niemal triumfalnie: *Jesteś na miejscu!*

Po prawej stronie na końcu krótkiego podjazdu stał zadbanej parterowy domek z garażem i nienagannie skoszonym trawnikiem. Trawa wyglądała niczym pole golfowe. Na samym środku podjazdu stał biały nissan micra, którego Ross pamiętał z wizyty Cooka. Samochód lśnił czystością, jakby wyjechał prosto z salonu.

Ross zaparkował swoje audi tuż za nissanem i wysiadł. Zrobił sporo kilometrów w ciągu ostatnich kilku dni. Było

dotkliwie zimno, skądś dochodził żywiczny zapach płonącego drewna. W wanience dla ptaków pluskał się wróbel. Ross pogratulował sobie ciepłej parki i butów zimowych, zamknął samochód, zarzucił sobie na ramię ciężki plecak i zadzwonił do drzwi. Rozległ się delikatny dwutonowy gong. Lecz nikt się nie pojawił.

Odczekał dłuższą chwilę i zadzwonił ponownie.

I ponownie nikt się nie zjawił u drzwi.

Spróbował jeszcze raz, po czym mocno zapukał.

Drogą nadjeżdżał samochód, słychać było charakterystyczny, daleki warkot diesla. Po krótkiej chwili posiadłość Harry'ego Cooka minął ubłocony land rover defender z przyczepą do przewozu koni. Ross uchylił klapkę otworu na listy i zajrzał do środka. Zobaczył wąski, pusty hol. Jeszcze raz zapukał.

Cook wiedział o jego przyjeździe, miał jego telefon, chyba by zadzwonił, gdyby zamierzał gdzieś wyjść?

Wyjął komórkę, wybrał numer Cooka i czekał. W głębi domu rozległ się dzwonek telefonu.

Komórka dzwoniła i dzwoniła. Po dziesiątym sygnale usłyszał w głośniku dobitny głos doktora: „Halo, mówił Harry Cook, niestety nie mogę teraz odebrać telefonu. Proszę zostawić wiadomość oraz numer, a ja oddzwonię najszybciej, jak będę mógł. Bardzo dziękuję”.

Ross rozłączył się bez zostawiania wiadomości. Zaczął się niepokoić.

Samochód Cooka stał przed domem.

Uchylił otwór na listy i zawołał głośno:

– Halo! Panie doktorze! Doktorze Cook!

Nikt nie odpowiedział.

Postanowił obejść dom z drugiej strony. Przeszedł nad niskim krzakiem lawendy, doszedł do okna w bocznej ścianie budynku i zajrzał do środka. I osłupiał.

Zobaczył salon ze staromodnym telewizorem, kompletem wypoczynkowym, zdjęciami na kominku elektrycznym i orzechową serwantką pełną figurek z porcelany Capodimonte. Lecz pokój wyglądał, jakby uderzyła w niego bomba. Wszystkie poduszki poniewierały się na podłodze, porozrzucone i rozdarte, rozcięte były również siedzenia i oparcia foteli

i kanapy. Drzwiczki serwantki były otwarte, a na dywanie leżały potłuczone porcelanowe szcłatki. Na drugim końcu stał mały drewniany sekretarzyk z powyciąganymi szufladami, których zawartość też leżała rozrzuciona na podłodze.

Mieszkanie zostało okradzione i musiało to nastąpić bardzo niedawno, prawdopodobnie dziś rano. Ale gdzie jest Harry Cook?

Przez głowę przemknęła Rossowi mrożąca krew w żyłach myśl, że złodzieje mogą nadal ukrywać się w domu.

Czy powinien zadzwonić na policję? Jeśli się na to zdecyduje, będzie musiał wyjaśnić, co tu robi, a to może pociągnąć za sobą ujawnienie tajemnicy doktora Cooka.

Chwycił mocniej plecak, przygotowany, by w razie potrzeby posłużyć się nim jako prowizoryczną bronią, i ruszył na tyły domu. Minął trzy kontenery na śmieci z różnokolorowymi pokrywkami i zobaczył małą oranżerię dobudowaną do kuchni, wychodzącą na ogród, tak samo starannie wypielegnowany jak teren od frontu. Na rabatach po obu stronach długiego trawnika rosły ozdobne krzewy, w głębi mieniło się oczko wodne, a na samym końcu stała letnia altanka.

Podszedł do tylnego wejścia i zapukał głośno w oszklone drzwi, jeszcze mocniej ściskając plecak. Odczekawszy chwilę, sprawdził drzwi przesuwne. Otworzyły się bez trudu. Nagle przed oczami mignęła mu rudobrązowa smuga i z domu jak wystrzelony z armaty wyskoczył kot, przemknął mu między nogami i po chwili zniknął w głębi ogrodu.

Ross wszedł do oranżerii. Zobaczył dwa wiklinowe krzesła i stół z kilkoma czasopismami o ogrodach, rozłożonymi równiutko na szklanym blacie.

– Halo! Doktorze Cook! Halo! – zawołał.

Usłyszał głośne tykanie, a po chwili podskoczył przestraszony, bo zegar podwójnym dźwiękiem wybił wpół do dwunastej.

Zawołał jeszcze raz, gotowy odeprzeć ewentualny atak ciężkim plecakiem.

Ale odpowiedziała mu tylko cisza, przerywana tykaniem zegara.

Ostrożnie ruszył dalej w stronę kuchni, gdzie jego oczom ukazały się dalsze świadectwa barbarzyńskiego włamania.

Wszystkie szafki i szuflady zostały otwarte. Na wyłożonej linoleum podłodze leżały filiżanki, miseczki, wazony oraz wysypana herbata, kawa, cukier i mąka.

Zatrzymał się niepewnie.

Na środku stołu, w podstawce do czytania stała gazeta, „Daily Telegraph”, a obok niedojedzone śniadanie – paczka płatków kukurydzianych, dzbanek z mlekiem i miseczka z łyżką w środku. Na stole wokół miseczki widać było ślady rozlanego mleka z płatkami. Na talerzyku obok, w podstawkach tkwiły dwa ugotowane jajka z odciętymi wierzchołkami, lecz poza tym nietknięte. Z jednej strony obok talerzyka z jajkami stały sól i pieprz, z drugiej leżała czysta łyżeczka. Filiżanka z herbatą pozostała nietknięta, drewniane krzesło odsunięte pod kątem, jakby Cook podrywał się w pośpiechu od śniadania, do którego już nie wrócił. Z niejasnych powodów Ross odniósł wrażenie, że po drugiej stronie stołu powinno stać jeszcze jedno krzesło.

Coraz bardziej się denerwował, zaczął się rozglądać za przedmiotem, który lepiej niż plecak mógłby posłużyć za broń. Zauważył na podłodze ciężką mosiężną blokadę do drzwi, wziął ją do ręki i wyprostował się, nasłuchując, gotowy w każdej chwili zamachnąć się, gdyby zaistniała taka potrzeba. Podeszedł do stołu, zanurzył palec w herbacie. Była całkiem zimna. Dotknął jeszcze jajka i stwierdził to samo. Żeby herbata aż tak wystygła, Cook musiał wstać od śniadania dużo ponad godzinę temu, najpewniej dwie lub trzy, może nawet więcej.

Wyszedł do holu, który widział poprzednio przez otwór na listy, i znowu zawołał, jeszcze głośniej:

– Doktorze Cook! Halo!

Na ścianie wisiał duży zegar szafkowy i jego głośnie tykanie było jedynym dźwiękiem, jaki mu odpowiedział. Po przeciwnej stronie oprawiony w ramkę, wyhaftowany cytat głosił:

„Zatrzymajcie się i we Mnie uznajcie Boga”. Psalm 46, 11.

W powietrzu unosił się lekko stęchły zapach, charakterystyczny dla domów zamieszkałych przez starych ludzi i koty. Przypominał mu dom jego dziadków.

W holu znajdowały się trzy wyjścia. Jedne do sypialni z podwójnym łóżkiem, gdzie całą pościel ściągnięto na podłogę,

a materace rozdarto w kilku miejscach. Z szaf wbudowanych w ścianę powyrzucano ubrania i wysunięto szuflady.

Za następnymi drzwiami znajdował się mały gabinet. Na biurku leżał kabel zasilający do maca, lecz komputer zrzucano na podłogę obok routera wi-fi i kosza na śmieci. Trzy metalowe szafki na dokumenty również zostały otwarte i opróżnione z papierów.

Poza kablem na biurku Ross zobaczył mysz, okrągły pojemnik z kilkoma długopisami i ołówkami oraz nieduży bloczek z kartkami. Domyślił się, że to na jednej z nich Cook zapisał mu współrzędne geograficzne Chalice Well. Na pierwszej kartce z wierzchu widniały ledwo zauważalne odciski znaki, a pod spodem długa, załamana kreska w kształcie kija hokejowego. Znaki wyglądały na cyfry. Ukłękął i zajrzał do kosza na śmieci. Znalazł tylko jeden, pognieciony skrawek papieru. Stwierdził, że musi to być ta właśnie brakująca kartka oderwana od bloczka, ponieważ u dołu ciągnęła się taka sama złamana linia, która pasowała do odcisniętego śladu. Liczby bardzo przypominały ciąg, który dostał wraz ze współrzędnymi geograficznymi Chalice Well, chociaż nie mógł być tego pewien.

6 29 12 7 28 12 8 5 17 7 26 23 21 28 22 6 24 15

Wszystko razem wyglądało na dziwne bazarzgroły i zaintrygowało Rossa. Złożył karteczkę, wsunął ją do portfela i ponownie rozejrzał się po gabinecie. Potem wyszedł z powrotem do holu, minął zegar i skierował się do ostatnich, trzecich drzwi po prawej stronie. Za nimi znajdowała się skromnie urządzona jadalnia z czteroosobowym stołem, dębową komodą oraz wiszącą na ścianie grafiką z Pałacem Dożów w Wenecji. Szuflada w środku komody została otwarta, podobnie jak dwoje drzwiczek po bokach, gdzie znajdowały się szklanki i kieliszki oraz obrusy z serwetkami.

Ross wyczuł jakiś cień poruszający się za jego plecami i obrócił się na pięcie, ściskając mocno mosiężny ogranicznik, ale niczego nie zauważył. Wyszedł i zajrzał do splądrowanego salonu. Na kominku, nad fałszywym elektrycznym paleniskiem

stało czarno-białe zdjęcie ślubne młodego Harry'ego Cooka w ciemnym garniturze, trzymającego się za rękę z uroczą, dość pruderyjnie wyglądającą kobietą o ciemnych, falistych włosach.

Z walącym sercem wrócił do kuchni i rozejrzał się. I dopiero wtedy zobaczył zamknięte drzwi, które wcześniej przeoczył.

Przekręcił gałkę i zajrzał na drewniane schody prowadzące do piwnicy. Zawołał.

– Doktorze Cook? Halo? Jest tam kto?

Jego głos zabrzmiał dziwnie piskliwie, jakby przechodził przez ściśnięte gardło. Zauważył na ścianie włącznik i zapalił światło. Goła żarówka wisząca na brązowym kablu rzucała ostre cienie. Na dole też było widno, co znaczyło, że świeci się tam druga żarówka. Postanowił, że sprawdzi jeszcze w piwnicy, a jeśli i tam nie znajdzie ani śladu Cooka, zadzwoni na policję.

Zaczął schodzić po schodach, powoli, zaciskając mocno dłoń na prowizorycznej broni. Kiedy zbliżał się do gołej betonowej posadzki, stwierdził, że piwnica stanowi rodzaj graciarni. Dookoła wałały się rozrzucone papiery z katalogów i kilka otwartych walizek, wywróconych na bok.

I... O Chryste!

O cholera!

Nie.

Nie!

Nagle zrozumiał, dlaczego przy kuchennym stole brakowało krzesła. Ponieważ zniesiono je tutaj. Siedziało na nim kościste, nagie ciało Harry'ego Cooka unieruchomione szarą taśmą naprawczą, która zasłaniała mu również usta. Ramiona miał rozpostarte na boki, a dłonie przybite gwoździami do ściany.

Ross obejrzał się nerwowo za siebie, po czym podszedł do zwłok. W otwartych, niewidzących oczach starca czaiła się groza. Twarz i reszta ciała upstrzone były śladami, jakby po przypalaniu papierosem. Na piersi zebrała się stężala krew wyciekająca z poderżniętego gardła.

Ross odwrócił się i wbiegł na schody, po czym przez tylne drzwi wypadł na dwór. Zwymiotował na trawę. Potem wyjął komórkę i drżącymi palcami zaczął wciskać numer pogotowia. Trzykrotnie wybrał błędnie, zanim w końcu z ulgą usłyszał w telefonie sygnał, a po chwili głos operatorki.

24

Sobota, 25 lutego

– Czy wszyscy państwo już wybrali zamówienie?

W zapełnionej po brzegi restauracji Curry Leaf w Lanes w Brighton stał przed nimi uśmiechnięty kelner.

– Nigdy nie możemy się u was zdecydować – odpowiedziała po dłuższej chwili Imogen. – Proszę nam przynieść jakieś zakąski, a potem danie główne według własnego uznania.

Spojrzała na pozostałą trójkę przy stoliku. Jej przyjaciele pokiwali głowami, Ross siedział zatopiony we własnym świecie.

– Ross? – powiedziała.

Drgnął i uniósł głowę.

– Przepraszam. Myślałem... myślałem o wczorajszym... Ja...

– Zamawiam po prostu zestaw przekąsek, może być?

– Świetny pomysł – odparł.

– Doskonale – powiedział kelner. – Czy ktoś z państwa jest na coś uczulony lub nie jada jakichś potraw?

Popatrzył na Imogen, Rossa i dwójkę ich przyjaciół.

– Niemowląt – odparła Helen, chiropraktyczka o błyskotliwym poczuciu humoru.

– To wszystko?

– Zdrowego jedzenia – dodał Hodge, dyrektor finansowy wielkiego sklepu fabrycznego. – Proszę nie serwować żadnych zdrowych potraw.

Kelner złożył dłonie.

– Bardzo dobrze! Mogę państwu obiecać, że nie mamy w dzisiejszym menu żadnych niemowląt ani niczego nadmiernie zdrowego, tylko odrobinę.

Kiedy kelner odszedł, Hodge wzniósł szklanę z piwem cobra.

– Zdrowie.

Wszyscy czworo stuknęli się szkłem.

– Przeżyłeś wczoraj prawdziwą traumę – zauważyła Helen.

– Można tak powiedzieć – odparł Ross.

– Wyglądasz blado.

– Źle spałem.

– Nic dziwnego, stary – stwierdził. – Podziwiam cię, że w ogóle wyszedłeś dzisiaj z domu.

– Fakt. Ale miło wrócić do normalności po tym, co widziałem, i po przesłuchaniach na policji.

– Jak te zwłoki w Afganistanie? – zapytała z wahaniem Helen. – Przepraszam, to było niedelikatne.

– Nic nie szkodzi. Po tym, co tam przeżyłem, myślałem, że nic mnie już nie zszokuje, ale nie miałem racji. Nigdy przedtem nie widziałem morderstwa popełnionego w Anglii, *in situ*.

– Jakie to uczucie? – spytała Helen z nagłym zaciekawieniem.

– Szczerze mówiąc, gówniane. – Ross dopił piwo i rozejrzał się za kelnerem, żeby zamówić następne. – A jeszcze gorsze później, kiedy trzymali mnie trzy godziny w komisariacie i przesłuchiwali jak podejrzanego. – Wzruszył ramionami. – Tym lepszy materiał do mojego artykułu.

– Jakiego artykułu? – spytał Hodge, mężczyzna ze sterczącymi włosami i przystrzyżoną brodą.

– O poszukiwaniu dowodu na istnienie Boga. A raczej o człowieku, który wierzył, że takowy posiada.

– I ty go masz? – dopytywał się Hodge.

– Jeszcze nie. I wcale nie jestem przekonany, że on istnieje.

Hodge uśmiechnął się kpiąco.

– Biblia została zasadniczo napisana pod dyktando Boga, zgadza się? Dla wielu wierzących jest to niekwestionowane słowo Boże, tak?

– O ile dobrze pamiętam z lekcji religii, a rzadko na nich uważałem, to tak – odrzekł Ross.

– Przeczytałem ją kiedyś od deski do deski, Stary i Nowy Testament. Mgliście pamiętam, że opisywał ziemię jako płaską i wspartą na piedestale, a w Apokalipsie ma ona cztery rogi. „Ujrzałem czterech aniołów stojących w czterech narożnikach ziemi, powstrzymujących cztery wiatry ziemi”. – Hodge uniósł brwi. – Jeśli Bóg stworzył świat, to nie wiedział, że jest okrągły

i bynajmniej nie siedzi na piedestale? Wygląda na to, że musimy go uczyć wielu rzeczy.

Ross się uśmiechnął.

– Zdaje się, że Biblia jest pełna metafor.

– Wiele bajek dla dzieci też jest pełnych metafor – odparł Hodge.

– Czy ten doktor Cook miał dzieci? – spytała Helen.

– Jego syn zginął od ognia sojusznicznych wojsk w prowincji Helmand. To chyba jeden z powodów, dla których coś mnie do niego ciągnęło.

Kelner przyniósł kolejne piwa.

– A co z motywem? – spytał Hodge. – Policja coś mówiła na ten temat?

Ross pokręcił głową.

– Nie.

– Wygląda na włamanie i rabunek, tylko coś nie poszło zgodnie z planem – zauważyła Helen.

– Rabunek o tej porze? – spytała Imogen i popatrzyła na Rossa. – Powiedziałeś, że wyglądało, jakby Cook był w środku śniadania. Ranek to dziwna pora na włamanie.

– Szczerze mówiąc, całkiem normalna – odrzekł Ross. – Tak twierdzi policja. Ktoś, kto krąży w nocy po okolicy furgonetką, wzbudza podejrzenia, ale rano nikt nie zwraca uwagi na takie samochody.

– Co ukradli? – spytała Helen.

– Właśnie tego chcę się dowiedzieć.

Ross opróżnił kolejną szklankę. Nadal czuł się roztrzęsiony.

– Jeśli chcesz jutro odwołać golfa, to nie ma sprawy, stary, nie przejmuj się – powiedział Hodge.

– Nie, nie, myślę, że kilka godzin na świeżym powietrzu dobrze mi zrobi. Prognoza pogody jest optymistyczna.

– Jeśli jesteś pewien...

– Już się nie mogę doczekać wielkiej wygranej.

– Możesz sobie pomarzyć.

Ross wyszczerzył zęby. Hodge zawsze z nim wygrywał.

– O dziesiątej, pasi?

Ross skinął głową.

– Dobrze ci to zrobi – zgodziła się z nim Imogen.

Ross spojrział na nią i kiwnął głową, ale jego podejrzenia powróciły ostatnio ze wzmożoną siłą. Nie potrafił się ich wyzbyć nawet mimo ciąży. Cztery lub pięć godzin poza domem – czyżby zamieniła się nagle w dobrą, opiekuńczą i bezinteresowną żonę? Czy może raczej kierowały nią inne motywy?

– I to wszystko się zaczęło od momentu, kiedy ten człowiek zadzwonił do ciebie ni stąd, ni zowąd z tą dziwną wiadomością? – ciągnęła Helen. – Dlaczego nie odłożyłeś po prostu słuchawki?

– Jestem dziennikarzem, zawodowo szukam sensacji.

– I nie boicie się po tym, co się z nim stało?

– Ja się boję – powiedziała Imogen. – Mówiłam Rossowi, żeby zostawił tę sprawę w spokoju. Kiedy człowiek babra się w religii, to nigdy nie wiadomo, jakich świrów i fanatyków ściągnie sobie na głowę.

– Helen ma rację, to mógł być zwykły rozbój, tylko coś się gościom spieszyło – próbował ją pocieszyć Hodge.

– Jasne – wypaliła Imogen. – To był emerytowany doktor z uniwersytetu, a nie diler narkotykowy. Oni go torturowali! Szukali czegoś, na czym im piekielnie zależało.

– Rękopisu? – podsunął Hodge.

– Niekoniecznie – odrzekł Ross. – Zdarzają się złodzieje sadyści, niezbyt często na szczęście, ale się zdarzają. To był stary człowiek, mieszkający samotnie na uboczu. Może myśleli, że ma gdzieś ukryty sejf?

– Aż mnie dreszcz przechodzi na myśl, że mogli tam być, kiedy przyjechałeś. – Imogen wzięła swój kieliszek i wyciągnęła rękę po wino, ale zaraz szybko ją cofnęła. Hodge wyjął butelkę z wiaderka i skierował w jej stronę. – Ciągle zapominam, że jeden kieliszek to teraz dla mnie maksymalny limit. A wypiłabym całą butelkę. Aż trudno uwierzyć, że ten biedak był u nas w poniedziałek w domu, a teraz nie żyje. Torturowany i zamordowany. To zbyt duży zbieg okoliczności, żeby nie miało to związku z rękopisem. Tym podyktowanym przez Boga, o którym powiedziałeś, że jest kompletną bzdurą.

– Bo jest – stwierdził Ross.

– Jeśli to jego szukali, to najwyraźniej ktoś wcale nie uważa go za bzdurę – zauważyła Imogen.

– Powiedziałeś o nim policji? – spytał Hodge.

– Nie.

Imogen odwróciła się do niego gwałtownie.

– Co? Zataiłeś taką informację? Wiesz, że to przestępstwo?

– Gdybym im o tym powiedział, chcieliby go dostać w charakterze dowodu.

– I co w tym złego?

– Co z nim zrobiłeś? – spytał Hodge.

Ross nie odpowiedział.

– Tylko mi nie mów, że cały czas go masz! – oburzyła się Imogen.

– Nie chciałem go oddawać, dopóki nie zrobię kopii, Imo.

– Więc gdzie teraz jest? – spytała.

– Bezpiecznie ukryty.

– Gdzie? – naciskała.

– W garażu, w porządku? W poniedziałek zaniosę go do naszego prawnika i każę złożyć w skrytce.

– Rany boskie, powiedziałeś mi, że to stek bzdur. Na co ci te śmieci? Komu to będzie potrzebne?

– Ludziom, którzy torturowali i zamordowali Harry'ego Cooka – podsunął usłużnie Hodge.

– Nie wiadomo, czy to rękopis był motywem zabójstwa. Nikt nie miał pojęcia o jego istnieniu – odparł Ross. – O ile wiem. Poza dziennikarką z BBC, z którą rozmawiałem w Bristolu, a nie sądzę, żeby ona była zabójczynią.

– Oczywiście – mruknęła Imogen. – Tak ci powiedział Cook: że nikt inny o nim nie wie. Może chciał, żebyś w to uwierzył.

– Powiem ci, w co naprawdę wierzę. – Ross zerknął na swoich przyjaciół. – Wierzę, że Cook był szaleńcem, który miał dobre intencje, ale żył złudzeniami. Ale... i jest to bardzo duże „ALE”... co, jeśli tak nie było? Co, jeśli miał rację?

– A ty zamierzasz nadstawić za to karku? – spytała napastliwie Imogen.

Ross nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Może to piwo dodawało mu odwagi, a może zobowiązanie wobec starego człowieka. Wiedział tylko, że na razie nie jest gotowy, by oddać policji rękopis.

– Imo, wiesz, na czym polega moja praca. Kopię głęboko i piszę rzeczy, które nie podobają się wielu ludziom. Wiesz, że

spotykałem się już z groźbami. Gdybym uważał, że twoje życie i życie naszego dziecka jest w niebezpieczeństwie, zachowałbym się inaczej. Wtedy bym o tym zapomniał.

– Miejmy nadzieję, że przynajmniej zarobek będzie tego wart – odparowała ze złością jego żona.

25

Niedziela, 26 lutego

W niedzielę pastor Wesley Wenceslas wygłaszał zwykle dwa kazania, jedno Powitalne i Zaranne, a wieczorem drugie, Pochwalne, każde w innym kościele, w zależności od tego, czy był akurat w Anglii, czy w Stanach Zjednoczonych. Krążył cyklicznie między siedmioma świątyniami, w których wypasał swoje owieczki, kursując przez ocean albo śmigłowcem należącym do jego Duszpasterstwa Wesleya Wenceslasa, albo boeingiem 737. Obydwie maszyny nosiły barwy DWW – biel z eleganckim logo w postaci skrzydlatej ryby owiniętej wokół krzyża.

Ze wszystkich rzeczy, jakie lubił robić Wenceslas, najwięcej radości sprawiało mu wygłaszanie kazań, szerzenie słowa Bożego wśród swojej pełnej uwielbienia trzódki. Czuć i słyszeć ich miłość – to było dlań największą rozkoszą. Prawie równie wielką jak wejście do garażu w jego angielskim lub amerykańskim majątku i oglądanie stojących tam, błyszczących superbryk. I nawet prawie równie wielką jak wybieranie Anielskiej Pomocnicy, a czasem kilku Anielskich Pomocnic, które dzieliły w nocy jego łóżko.

Tego ranka jednak mimo oszałamiająco błękitnego nieba roztaczającego się za oknem śmigłowca oraz pięknego, czystego widoku Tamizy pastor nie czuł w sercu tej samej radości co zwykle.

Tym razem dręczyło go ponure, złe przeczucie. I rosnący, złowieszczy gniew.

Pojawiło się bowiem zagrożenie, na razie wprawdzie bardzo znikome, lecz nawet znikome zagrożenie mogło wyrządzić niepowetowane szkody, mogło nader szybko przerodzić się w ogromne niebezpieczeństwo. Jedno z kazań, które lubił od

czasu do czasu wygłaszać, zawierało słowa dalajlamy: „Jeśli przyszło wam kiedyś do głowy, że jesteście zbyt maluczcy, aby coś w świecie znaczyć, to widocznie nigdy nie leżeliście w łóżku z latającym moskitem”.

Ukąszenie może wywołać niewielki świąd. Albo zarazić malarią, dengą lub wirusem Zika. Każda z tych chorób może zabić. Dlatego kiedy widzi się moskita, nie wolno ryzykować. Trzeba go zlikwidować i to szybko.

A w jego życiu właśnie pojawił się ludzki moskit.

Świat zawsze był niebezpiecznym miejscem, wiecznie balansującym między dobrem a złem. Wenceslas stracił matkę, ponieważ nie umiał jej ochronić, złapać jej za rękę, kiedy przechodziła przez ulicę. To była jego wina. Nigdy więcej nie pozwoli, by mu coś odebrano. Nigdy więcej nie dopuści do czegoś, czemu mógł zapobiec.

Bóg go wybrał i wyznaczył mu tę życiową misję, uczynił go swoim szeregowym żołnierzem, a on wyrósł na Jego generała. Tymczasem właśnie zawisło nad nim niebezpieczeństwo i Wesley zamierzał się z nim rozprawić tak, jak wszyscy generałowie rozprawiają się z zagrożeniem.

Nagle śmigłowcem rzuciło i pastora ogarnęła panika. Lubił wygodę, jaką zapewniała ta maszyna, a także efektowne wejście, kiedy lądował na oczach tłumu ludzi tuż przed drugim helikopterem, wiozącym pomniejszych członków jego świty – fryzjera, wizażystkę, osobistego kucharza i czterech ochroniarzy. Regularnie dostawał groźby od religijnych fanatyków innych wyznań, którzy nie chcieli zaakceptować jego nauk. Bał się ich wręcz histerycznie. Prawie tak samo jak latania śmigłowcem. Choć przecież Bóg powinien go chronić. Tego ostatniego jednak nie był taki pewien. Nie był pewien, czy Bóg pochwała jego styl życia.

Szybko tracili wysokość, schodząc na lądowisko w Battersea. Na ziemi stało kilka helikopterów, z góry wyglądały jak skulone, wściekłe owady.

On też siedział skulony i wściekły. W dzisiejszym kazaniu zawarł przesłanie dla swoich wiernych: „Skupcie się na pozytywnych stronach życia. Życie jest pełne negatywów. Negatywy przygniatają was do ziemi. Pozytywy pomagają wam

powstać, tak jak nasz Pan, Jezus Chrystus, powstał z martwych dzięki pozytywom, które go otaczały”.

Naprzeciwko niego przypięty pasami do beżowego skórzanego fotela siedział Wszechuśmiej, jak Wesley nazywał dyrektora generalnego swojego imperium: niski, żywy mężczyzna o ciemnych, starannie ostrzyżonych włosach, ubrany w swój nieodłączny szary, trzyczęściowy garnitur w dyskretne prążki, z różowym krawatem oraz nienagannie wypolerowanymi czarnymi półbutami od Gucciego. To właśnie Wszechuśmiej poinformował go o nowym zagrożeniu, otrzymawszy wiadomość od policjanta z Somerset, który był jednym z jego wiernych.

W tej chwili Wszechuśmiej czytał kazanie, marszczył brwi i cmokał językiem, robiąc kolejne adnotacje ozdobnym piórem Montegrappa zawieszonym z gracją w starannie wymanikiurowanych palcach. Tak naprawdę nazywał się Lancelot Pope i kiedy Wenceslas pierwszy raz go zobaczył, powiedział:

– Muszę cię mieć. Choćby tylko po to, bym mógł wszystkim mówić, że pracuje dla mnie papież!

– Mam wątpliwości co do tego kawałka, szefie – stwierdził surowo Wszechuśmiej.

– Którego?

Pope zaczął czytać na głos:

– „Mówię wam, że szatan otacza nas ze wszystkich stron. To nie jest ognisty stwór z ogonem i widłami. To każda alejka w supermarkecie, kusząca was słodyczami. Jedzcie dalej to dziadostwo, a szatan już was wykiwał. Zatrui was ukradkiem i podstępnie”.

– Co ci nie pasuje? To ważne przesłanie.

– Myślę o naszych sponsorach z YouTube.

– A ja myślę o naszych moralnych zobowiązaniach. To zgodne z duchem czasu. Przesłanie dnia.

– Ja mam zastrzeżenia.

Pope rzadko się uśmiechał, a kiedy mu się zdarzało, wyglądało to blado i bezbarwnie, jakby promień słońca próbował przeniknąć przez szare, zimowe niebo. Ale, chwała Bogu, Wenceslas nie płacił mu za uśmiech. Płacił mu za to, żeby żelazną ręką prowadził jego interesy. Żeby trzymał rękę na

pulsie pod każdym względem, łącznie ze szlifowaniem kazań. I żeby rozwiązywał problemy.

I Wszechuśmiech spisywał się na medal. Jeśli chodzi o sprawowanie kontroli, był pedantycznym, skutecznym i bezwzględnym maniakiem, i jedynym pracownikiem korporacji Wesley Wenceslas, który miał odwagę krytykować swojego szefa i pyskować mu. Po części dlatego, że za dużo o nim wiedział.

Obaj zdawali sobie sprawę, że Lancelot Pope mógł jednym oświadczeniem dla prasy obrócić w gruzy całe imperium pastora. I obaj równie dobrze zdawali sobie sprawę, że nigdy tego nie zrobi z powodu wynagrodzenia, jakie płacił mu Wenceslas. Nie zabiłby kury, która znosi mu złote jajka i dzięki której stał się już milionerem, a jeśli sprawy potoczą się dalej tak jak dotąd, może mu przynieść znacznie większą fortunę. Fortunę przekraczającą jego najśmielsze marzenia.

Wenceslas wiedział, że Bóg zesłał mu tego człowieka, by opiekował się nim, a także wszystkim, co pastor reprezentował.

Ponieważ przez wiele lat swojej młodości nie miał nikogo, kto by się nim opiekował. Nazajutrz po powrocie z Disney World, prawdopodobnie wskutek oszołomienia po zmianie strefy czasowej, jak stwierdził koroner po zbadaniu przyczyny zgonu, matka Thomasa popatrzyła w niewłaściwą stronę, przechodząc przez Old Shoreham, i wpadła pod samochód.

Od tamtej pory chłopiec stracił całą wiarę w Boga i zmienił się w szkolnego łobuza. Zaczął kraść, odkrył również, że posiada zdolność nakłaniania ludzi, by robili dla niego różne rzeczy. Co tylko zechciał. Po roku zarządzał w szkole siatką pięciu uczniów rozprowadzających dla niego narkotyki.

Oczywiście w końcu go złapano i zaprowadzono do dyrektora. Pan Collins rozmawiał z nim łagodnie, powiedział, że współczuje mu z powodu tragedii, która spotkała jego mamę, ale nie ma innego wyjścia, jak usunąć go ze szkoły.

– Wiesz, Thomasie, jesteś uroczym chłopcem i uważam, że w głębi duszy bardzo porządnym młodym człowiekiem, który się zagubił. Umiesz postępować z ludźmi. Mógłbyś kiedyś pracować w dziale sprzedaży jakiejś firmy albo w public relations. Nie niszczonej sobie przyszłości, wypełniając kartotekę kryminalną. Co chciałbyś w życiu robić, gdybyś mógł wybierać?

– Chcę zarobić dużo pieniędzy, panie dyrektorze – odparł chłopiec. – I mieć rolls-royce’a z własnym szoferem.

– Naprawdę?

– Tak.

– Wszystko jest możliwe, Thomasie, jeśli w siebie wierzysz i ciężko pracujesz. Tego próbuję tu wszystkich nauczyć. Nie musisz schodzić na drogę przestępstwa, żeby zarobić pieniądze, musisz tylko dokonywać właściwych wyborów.

– A jakie są właściwe wybory, kiedy się chce zarobić dużo pieniędzy?

– Powiem ci, co ja bym zrobił, gdybym chciał być bogaty. Zostałbym bankowcem albo deweloperem. Albo... – Zawahał się i uśmiechnął. – Założyłbym swój Kościół!

26

Niedziela, 26 lutego

Był to jeden z tych zimnych, lecz prześlicznych lutowych poranków, kiedy na trawie wokół pierwszego dołka Dyke Golf Club leżała roziskrzona pajęczyna rosy.

Dla Rossa ruch i sport były zawsze najlepszym sposobem radzenia sobie ze stresem, tak więc mimo głębokiego wstrząsu, jaki przeżył w mieszkaniu Harry'ego Cooka, postanowił nie odwoływać dzisiejszego golfa z Hodge'em. Uznał, że dobrze mu on zrobi również na potwornego kaca, który go męczył. Niestety, nie umiał się pozbyć przejmującego uczucia grozy, które nie odstępowało go od dwóch dni. I nie umiał wyrzucić z głowy kwestii współrzędnych geograficznych, które przepadły razem z zamordowanym Harrym Cookiem. Czy to ich szukali napastnicy? Kto mógł ich tak bardzo pożądać, żeby zabić biednego staruszka?

Ross potrzebował tych współrzędnych, jeśli chciał napisać artykuł o całej sprawie.

Wyjął kij golfowy z nowiutkiej torby, którą dostał od Imogen na gwiazdkę, wygrzebał piłeczkę, po czym odłożył torbę na ziemię. Podniósł piłeczkę do oczu i odczytał oznaczenia.

– Titleist 4 – oznajmił swojemu partnerowi.

Przez chwilę napawał się przepięknym widokiem pól uprawnych ciągnących się aż po kominy elektrowni Shoreham i dalej do kanału La Manche. Lecz myślami był zupełnie gdzie indziej.

Zaczynał Hodge, który wygrał rzut monetą. Włożył czerwony kołeczek w miękka, wilgotną ziemię, ułożył na nim piłeczkę, po czym ustawił się w pozycji, uginając nogi i zaokrąglając plecy. Zrobił kilka zamachów, potem podszedł bliżej, kilka razy postukał kijem w trawę za piłeczką, wreszcie

zamachnął się i uderzył. Rozległo się tylko cudowne delikatne puknięcie i Ross powiódł wzrokiem za piłką wznoszącą się idealnym łukiem w powietrze, na chwilę stracił ją z oczu na tle jaskrawego nieba, po czym zobaczył, jak ląduje dobre dwieście trzydzieści metrów dalej, idealnie w środku *fairway*, i toczy się jeszcze kawałek.

– Genialnie! – zawołał Ross. – Świetne uderzenie.

Hodge ściągnął usta i z zadowoleniem skinął głową.

– Niekiepskie.

Ross wcisnął w trawę własny kołeczek i położył piłkę. Lecz piłka spadła. Spróbował drugi raz i sytuacja się powtórzyła. Za trzecim razem została w miejscu.

Przyjął pozycję, wykonał próbny zamach, potem podszedł do kołeczka i zamachnął się.

I kompletnie spudłował – kij minął piłkę i uderzył puste powietrze.

– Trzecie uderzenie z *tee* – oświadczył z przyganą Hodge.

Zadowolony z siebie wyciągnął małe cygaro i zapalił.

Ross wykonał jeszcze kilka próbnych zamachów, podszedł do kołeczka i uderzył. Kij trafił w ziemię trzydzieści centymetrów przed piłką, a w powietrze wyleciał spory kawałek wyrwanej darni i wylądował metr dalej.

– Cholera! – zaklął na głos.

Włożył darń na miejsce i zobaczył, że niedaleko czekają już następni gracze, czwórka do gry zespołowej. Swoimi niezdarnymi uderzeniami wystawiał ich cierpliwość na próbę.

Za trzecim razem udało mu się w końcu całkiem przyzwoicie uderzyć, ale i tak piłka wylądowała znacznie bliżej niż Hodge'a, w dodatku za krzakiem.

Przy kolejnych dwóch dołkach Rossowi szło równie beznadziejnie. Przez historię Harry'ego Cooka kompletnie nie mógł się skupić. Kiedy czekali, aż czteroosobowa grupa zakończy uderzenia przy szóstym dołku, Hodge ponownie zapalił cygaro i zapytał:

– Co Imogen robi dzisiaj rano?

– Powiedziała, że chce się wybrać na poranną mszę. Stara się chodzić do kościoła przynajmniej raz w miesiącu.

– Chodzisz z nią czasem?

– Rzadko, najczęściej kiedy poranek i tak jest spieprzony, bo leje i nie da się grać w golfa. – Ross wyszczerzył zęby do Hodge’a.

– To jak ci się właściwie układa z tą religią? Poza napadaniem na świętoszkowatych szarlatanów. Tak naprawdę nigdy mi nie powiedziałaś.

Ross się uśmiechnął. To była aluzja do dużego artykułu, który Ross napisał pięć lat temu dla „Sunday Timesa” o najbogatszych duchownych świata. Duszpasterstwo Wesleya Wenceslasa zagroziło gazecie pozwem sądowym za to, co napisał o ich przywódcy. Dopiero kiedy wydawnictwo zagroziło ujawnieniem kryminalnej kartoteki pastora, jego prawnicy zrezygnowali z zarzutów.

– Moi rodzice nie byli szczególnie religijni. Potem, kiedy mieliśmy czternaście lat, moja mama zachorowała na raka. Obaj z bratem ją uwielbialiśmy. Modliłem się o nią każdego wieczoru, a ona trzy miesiące później umarła. Od tamtej pory przestałem się modlić. Straciłem wiarę. Tata wychowywał nas sam. Potem, kilka lat temu, wydarzyło się coś bardzo dziwnego, czego nie umiem wyjaśnić.

– Co takiego?

– Nie opowiadałem ci o tym? O moim bracie bliźniaku?

– Nie.

– Zginął w dziwnym wypadku. Mieszkał setki kilometrów ode mnie, a mimo to poczułem nagle jakby bardzo silny kontakt. Trwało to, nie wiem, kilka minut. Potem się dowiedziałem, że dokładnie w tym czasie umarł.

– Czytałem, że bliźnięta łączy czasem coś w rodzaju telepatii. Może to ci się właśnie przytrafiło?

Ross potrząsnął głową.

– Nie, to było coś więcej. Miałem jakieś mgliste, mistyczne doznanie. Trudno to wyjaśnić tak, żeby nie zabrzmiało idiotycznie, więc raczej staram się o tym nie opowiadać.

– I wtedy zacząłeś wierzyć?

– Nie w Boga, raczej w to, że może jednak istnieje coś większego.

Hodge pyknął z cygara.

– Ten facet, jak on się nazywał? Cook?

– Tak.

– O którym Bogu mówił? Anglikańskim? Katolickim? Judaistycznym? Muzułmańskim? Hinduskim? Sikhijskim? Rastafariańskim?

– Nie jestem pewien. – Ross popatrzył na przyjaciela z zaciekawieniem. – Zdaje się, że ty jesteś hardcore’owym ateistą, prawda?

Hodge kiwnął głową, patrząc przez kłęb dymu, jak niewiarygodnie ślamazarna czwórka graczy nareszcie przenosi się do następnego dołka.

– Tak, mam z religią na pieńku. Niedawno pięknie to podsumował Stephen Fry. Jego zdaniem gdyby świat był naprawdę dziełem Boga, to Bóg musiałby mieć chory umysł, żeby stworzyć pasożyta, który rozwija się w oku dziecka, wydostaje się z wnętrza gałki ocznej na zewnątrz, a jedynym celem jego istnienia jest przyprawiać dzieci o ślepotę.

– Niektóre religie miałyby na to wyjaśnienie.

– Wszystkie religie mają jakieś kulawe wyjaśnienie przyczyn cierpienia. Ale spójrz tylko na te największe, monoteistyczne, i na podziały, do których w nich dochodzi: anglikanie, katolicy, sunnici, szyici, sefardyjczycy, chasydzi. Ale kiedy zaczniesz ich wszystkich przeświecać, to czym się właściwie różnią? O co toczą te wszystkie spory? Powiem ci o co. O to, czy wymyślony przyjaciel jest najlepszy.

Ross się uśmiechnął.

– Ze wszystkich religii, które wierzą w jednego Boga, chyba najlepiej rozumiem chrześcijaństwo. Poza kilkoma wyjątkami z „pasa biblijnego” Stanów Zjednoczonych cała reszta ewoluowała w ciągu stuleci od skrajnie tyrańskich form, jak na przykład inkwizycja, która mogła cię skazać na śmierć, jeśli nie byłeś wystarczająco prawowiernym katolikiem, do znacznie łagodniejszych struktur społecznych.

Patrzyli na czwórkę graczy, których piłka wylądowała zaledwie pięćdziesiąt metrów od kołeczka. Zgrzybiały osiemdziesięciolatek chyba przez całą godzinę przykładał się do następnego uderzenia.

– Chrześcijaństwo? Które wyrasta z podstawowego dogmatu wiary w zmartwychwstanie? – odparł Hodge. – Dwa tysiące lat wierzeń opartych na sztuczce magicznej z kupką kości? – Pyknął z cygara. – Może twój Harry Cook miał do zaoferowania

coś lepszego? Musi być wspaniale wierzyć w Boga. Możesz się wyzbyć całej odpowiedzialności i obarczać Go winą za cały szajs, który się dzieje na świecie. Daj spokój, Ross, jesteś inteligentnym dziennikarzem. Zejdź na ziemię!

– Czy potrafisz wyjaśnić, skąd się wzięliśmy, Hodge? Jak to się stało, że istniejemy? Czytałeś Stephena Hawkinga i możesz powiedzieć, że rozumiesz to, o czym pisał? Czy potrafisz wyjaśnić istnienie rodzaju ludzkiego?

– A muszę to robić, żeby korzystać z życia? Żeby kochać swoją żonę? Żeby cieszyć się golfem tu i teraz w ten piękny poranek? Co ma do tego Bóg?

– Poza tym, że może to wszystko stworzył?

– No dobra, a kto stworzył Jego? Potrafisz na to odpowiedzieć? Czy mam Go wielbić tylko dla naiwnej nadziei, że zaklepie mi miejsce przy dobrym stoliku w następnym życiu? Czy ma maszynę, która monitoruje życie każdego z nas i przyznaje nam punkty za każdym razem, kiedy pogłaszczemy psa i wrzucimy monetę do kapelusza ulicznemu grajkowi albo wciśniemy ją do ręki żebrakowi?

– Czy nigdy nie zadawałeś sobie pytania o sens egzystencji, Hodge? Czy nie do tego właśnie powinniśmy wykorzystywać naszą tak zwaną inteligencję? Czy nie to miał na myśli Sokrates, mówiąc, że „życie niezbadane nie jest wart przeżywania”?

– Chcesz powiedzieć, że jeśli nie zgłębię sensu egzystencji, to moje życie jest nic niewarte?

– Nie, nie o to chodzi. Chcę powiedzieć, że... chyba...

Umilkł.

– Mów dalej.

Ross milczał przez długą chwilę. Czy ta podróż, w którą wyruszył, da mu coś więcej niż kilka kolumn w gazecie? Co właściwie miał na myśli Harry Cook? Czy jego śmierć jest częścią czegoś większego?

– Dobrze, Hodge, pozwól, że zadam ci pytanie: Czego by było trzeba, żebyś ty jako ateista uwierzył w istnienie Stwórcy wszechświata, Inteligentnego Projektanta?

Hodge wyciągnął z torby kolejny kij i podszedł do kołeczka.

– To poważne pytanie jak na niedzielny poranek.

– Chciałbym to wiedzieć, cenię sobie twoją opinię. Co by to musiało być?

– Myślę, że coś, czego nie potrafiłbym w żaden sposób wyjaśnić. Czego nie umiałbym sobie wytłumaczyć. Czego nie dałoby się odrzucić jako sztuczki prestidigitatorskiej.

– Czyli co na przykład?

– Nie wiem. Może wstrzymany przyływ morza, chociaż to można by próbować wyjaśniać zaćmieniem Księżyca albo czymś w tym rodzaju.

– Więc gdyby słońce weszło na zachodzie, uwierzyłbyś w Boga?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Najpierw bym pewnie pomyślał, że fizycy albo astronomowie schránili coś w wyliczeniach. Że może raz na ileś tysięcy lat coś takiego się zdarza.

– No to co innego? Wymieniaj dalej.

– Pewnie coś z dziedziny fizyki, o czym wiemy, że jest niemożliwe.

– No dobrze, a gdyby coś takiego się wydarzyło?

Schylił się i położył piłkę na kołeczku.

– Ross, przyjacielu, zejź na ziemię. Nic takiego się nie wydarzy.

Zrobił zamach, lecz trafił piłkę brzegiem kija i posłał ją w krzaki po prawej stronie.

– Widzisz? – powiedział Ross. – Bogu się to nie spodobało.

„Nic takiego się nie wydarzy”.

Te słowa stały się mantrą dla Pete’a Stellosa. Wypowiedział je, kiedy jego matka zauważyła, że mógłby w końcu poznać jakąś miłą dziewczynę, ustatkować się i dać jej wnuki. Nie interesowały go ani dziewczyny, ani chłopcy, nie miał żadnych seksualnych ciągót, o których czytał.

Generalnie było w ludziach coś, co go od nich odstręczało, czego wręcz nie lubił. W przeszłości miał z tego powodu kłopoty, dlatego właśnie pierwsze lata życia zawodowego spędził, wykonując samotnicze prace, początkowo na nocne zmiany w McDonalddie w Des Moines w stanie Iowa; potem, kiedy uznał, że powinien zobaczyć kawałek świata, a przynajmniej swojego własnego kraju, zrobił prawo jazdy i został kierowcą ciężarówek na długich trasach. Woził części samochodowe na jeden koniec Ameryki, a potem zboże na drugi.

Wychowywał się w tradycji greckiego prawosławia, lecz później religia przestała go interesować. Na pogrzebie jakiejś dalekiej ciotki poznał jednak swojego kuzyna, który powiedział mu, że jest zakonnikiem i że przez jakiś czas żył w monasterze na górze Athos w Grecji. Po tej rozmowie w Pecie odżyło dawne zainteresowanie greckim prawosławiem. Angus powiedział, że góra Athos powinna go zaciekawić, lecz ostrzegł również, że niełatwo się tam dostać. Trzeba przejść długą procedurę aplikacyjną. A jeśli go przyjmą, czeka go tam samotnicze życie.

Pete poprosił go, żeby opowiedział mu o tym miejscu coś więcej.

28

Niedziela, 26 lutego

W ciągu kilku tygodni po relegowaniu ze szkoły Blatchington Mill, pół roku przed swoimi szesnastymi urodzinami, Thomas Smith w niezłomnym postanowieniu zbicia fortuny zignorował wszystkie rady swego byłego dyrektora. Zaczął pracować dla handlarza narkotyków, który dostarczał mu konopie, ecstasy i inne środki, a Thomas rozprowadzał je w szkole.

Przez sześć miesięcy zarabiał łatwe i niemałe pieniądze, sprzedając heroinę, głównie klientom z Brighton and Hove, dopóki nie został złapany z towarem o wartości trzech tysięcy funtów według ulicznego cennika.

Spędził dwa lata w zakładzie dla młodocianych przestępców, co niesłychanie mu pomogło nawiązać pożyteczne kontakty i zbudować siatkę przyszłych dilerów dla imperium narkotykowego, które zamierzał stworzyć. W wieku dziewiętnastu lat miał piękne mieszkanie z widokiem na kanał La Manche i choć z powodu wysokiego czynszu nie zdołał jeszcze odłożyć dość kasy na samochód, o jakim marzył, uskładał już pięćdziesiąt tysięcy na, jak to żartobliwie nazywał, „Fundusz Ferrari”. Na razie jeździł ładnym, dziesięcioletnim porsche z indywidualną tablicą rejestracyjną.

Kilka dni przed dwudziestymi urodzinami o piątej nad ranem do jego mieszkania wpadła policja i zrujnowała mu drzwi wejściowe razem z całym jego światem.

Znaleźli kokainę, heroinę i inne rozmaiłości, warte dwadzieścia tysięcy funtów. Był pewien, że wydał go diler, który z nim rywalizował. Dostał surowy wyrok ośmiu lat więzienia, skonfiskowano mu samochód i całą gotówkę.

Bóg go ocalił. Thomas odnalazł Go w więzieniu, a raczej, jak lubił opowiadać, to Bóg znalazł jego. Przydały się teraz lektury Biblii z dzieciństwa i młodości. Pamiętał duże fragmenty i jak się okazało, posiadał wrodzony dar wygłaszania kazań, obficie przyprawionych długimi cytatami ze świętej księgi.

Dzięki wsparciu dość światłego dyrektora więzienia Highdown, gdzie miał odsiedzieć cztery lata, pozwolono mu prowadzić własny „kościółek” w każdą niedzielę na terenie świetlicy. W ciągu roku zebrał grupkę stu wiernych. Po dwóch latach ponad dwustu. Stał się tak popularny, że zaczął codziennie po śniadaniu prowadzić w więziennej jadalni spotkania odnowy religijnej.

Potem pewnej nocy w celi przemówił do niego Bóg. Kazał porzucić dawne, przestępcze życie i po wyjściu z więzienia zapomnieć o narkotykach. Obrac inną, lepszą drogę. A także przyjąć nowe, bardziej charyzmatyczne nazwisko na dobry początek. Mówiąc w skrócie, całkiem nową tożsamość.

Jeden z więźniów należących do jego najgorętszych wyznawców miał przyjaciela, który był pastorem w Tooting Bec i dysponował nieużywaną kaplicą.

W ciągu trzech miesięcy po wyjściu z więzienia pastor Wesley Wenceslas zaczął głosić słowo Boże w miejscu, które niewiele się różniło od dużej blaszanej szopy wypełnionej rozklekotanymi krzesłami.

Reszta, jak powtarzał każdemu, kto go o to zapytał, przeszła do historii i Bogu niech będą dzięki!

Śmigłowiec przechylił się i zanurkował ostro w dół. Potem kilka razy szarpnął. Przerażony Wenceslas zamknął oczy i zaczął się po cichu modlić.

O, Panie, miej nas w swojej opiece.

Otworzył z powrotem oczy i spojrział przez okno. W dole widać już było lądowisko, pastor wyraźnie widział oznaczenia.

– Mamy dzisiaj wyboistą drogę – zauważył Pope.

Wenceslas przeszył go spojrzeniem.

– Bóg ma nas w opiece, nie pamiętasz?

Ziemia zbliżała się szybko. W ostatniej chwili helikopter zawisł na poduszce powietrznej, a po chwili Wenceslas poczuł uspokajająco twardą *terra firma*.

Nad ich głowami śmigło cały czas rytmicznie warkotało.

Pope za przykładem swojego szefa zdjął słuchawki, po czym przygładził włosy opuszkami palców i sprawdził godzinę na swoim białym hublocie.

– Punktualnie – oznajmił.

– Bogu niech będą dzięki – odrzekł jego szef.

29

Niedziela, 26 lutego

Kiedy parę minut po drugiej Ross wrócił z klubu golfowego do domu, samochodu Imogen nie było. Zostawiła karteczkę z informacją, że wzięła Monty'ego na spacer z koleżanką i jej psem i wróci o trzeciej. Przypomniała mu też, że dzisiaj jego kolej na pieczenie niedzielnego kurczaka.

Zastanawiał się, co to za „koleżanka”, ale nieobecność Imogen była mu na rękę. Wczoraj po południu przygotował większość rzeczy do obiadu. Włączył teraz kuchenkę, włożył do środka mięso i ziemniaki, nastawił timer i poszedł na górę. Piętnaście minut później umyty i przebrany wszedł do gabinetu, włączył komputer i otworzył Google Earth. Wprowadził w wyszukiwarce współrzędne od Harry'ego Cooka. Miejsce, w którym we wtorek po południu widział ślad po rozkopanej ziemi.

51°08'40"N 2°41'55"W

Cook był przekonany, że w tym miejscu spoczywa Święty Graal, na trawiastym stoku, gdzie dwa tysiące lat temu znajdowało się prawdopodobnie szczere pole. *Nie chcę mówić tego przez telefon, to zbyt niebezpieczne. I zbyt ważne. Musimy się spotkać. Niech mi pan da szansę. Jeśli wysłucha pan, do czego doszedłem...*

Co takiego chciał mu wyjaśnić starzec, że bał się to uczynić przez telefon?

Znaczenie liczb, które następowały po współrzędnych geograficznych?

Wyjął karteczkę, którą znalazł w koszu na śmieci w mieszkaniu Cooka. Rozłożył ją i przyjrzał się dziwnemu

rysunkowi w kształcie kija hokejowego oraz numerom zanotowanym starannie obok.

6 29 12 7 28 12 8 5 17 7 26 23 21 28 22 6 24 15

Czy rysunek miał jakiś związek z liczbami? Czy stanowiły jakiś szyfr? Kod komputerowy? Wpisał je w mailu i wysłał do swojego informatycznego guru, Chrisa Diplocka, z pytaniem, czy mógłby coś o nich powiedzieć. Jak zwykle mimo niedzielnego popołudnia odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

To wygląda na jakiś kod, Ross, ale niestety nie mam pojęcia jaki. Myślę, że spacje mogą coś znaczyć. W sieci znajdziesz kupę stron i forów o deszyfracji. Wysyłam Ci kilka ciekawszych.

Pod spodem widniała długa kolumna linków.

Przez chwilę Ross obracał w myślach pomysł, by opublikować post na Twitterze i Facebooku z pytaniem, czy ktoś wie, co mogą oznaczać te liczby. W końcu jednak zrezygnował. Nie wiadomo, kto może to przeczytać i jakimi pytaniami zarzucą go w odpowiedzi. Wpadł na inne rozwiązanie. Kilka lat temu pisał artykuł o hakerach i na wydziale nauk informatycznych Uniwersytetu Brighton poznał pewnego ekscentrycznego osobnika. Facet wydał mu się całkiem zajmujący, chociaż nieprzewidywalny. Nazywał się Zack Boxx. Prowadził nocny tryb życia, ale nie grzeszył towarzyską charyzmą, a interesowały go chyba wyłącznie komputery i piwo kraftowe. Któregoś wieczoru przez dwie godziny pokazywał mu, jak włamać się do wszystkich ściśle tajnych rządowych instytucji, łącznie z obiektami wojskowymi, jak centra kontroli dronów w Iranie, i to bez zostawiania za sobą śladów. Przez cały następny dzień upijali się w trupa na festiwalu piwa w Horsham.

Ku zdumieniu Rossa Zacka nigdy nie aresztowano, teraz zaś pracował jako wolny strzelec, doradzając firmom w sprawach zabezpieczeń cyfrowych. Ross starał się utrzymywać z nim stały kontakt, a ponieważ Zack zawsze miał w zanadrzu jakieś ciekawe historie, chętnie towarzyszył mu na wszystkich festiwalach piwnych w hrabstwie, po części ponieważ

naprawdę go lubił i lubił także piwo, a po części dlatego, że po kilku kuflach Zackowi wymykały się czasem prawdziwe perełki.

Ponieważ wiedział, że o tej porze haker będzie spał kamiennym snem, wysłał do niego maila z pytaniem, czy domyśla się, co mogą oznaczać te liczby, oraz sugestią, że dawno się nie widzieli, więc może poszliby gdzieś na piwo.

Teraz też uznał, że potrzebuje piwa. Chociaż spędził odprężający poranek w towarzystwie Hodge'a, z którym zawsze dobrze się czuł, piątkowe wydarzenia nadal mocno go poruszały. Poszedł do kuchni, wygrzebał z szuflady otwieracz, zdjął kapsel i idąc z zimną butelką na górę, od razu pociągnął łyk. Potem usiadł przy biurku przed monitorem, lecz myślami błądził zupełnie gdzie indziej.

Patrzył na ciało Harry'ego Cooka przywiązane do krzesła.

Cholera. Jeśli zabójstwo staruszka miało związek z tą sprawą, to czy nie powinien rzucić tego w diabły? Zostawić to w spokoju?

Imogen była przerażona, kiedy jej opowiedział, co się wydarzyło. Czy rzeczywiście ta historia go przerastała, jak sugerował Benedict Carmichael? Czy była warta, żeby narażać dla niej życie? Próbował sobie przypomnieć, co powiedział Cook, kiedy przekazywał mu wiadomość od medium.

Mężczyzna ten oznajmił, że jest z nim ktoś, kto ma dla pana wiadomość, pański brat, Ricky. Powiedział, że chce, aby mi pan zaufał. Wymienił dwa słowa, zdaje się, że to jakieś imiona. Kogel i Mogel.

Skąd Cook mógł wiedzieć o jego bracie? Może z artykułów w prasie na temat wypadku, ale to było wiele lat temu. Z internetu? Ale niemożliwe, żeby dowiedział się skądś o myszokoczkach.

Czego zabójcy szukali w mieszkaniu Cooka? Rękopisu? Czy sądzili, że zawiera współrzędne geograficzne? A może to fałszywy trop i zależało im tylko na ukrytych pieniądzech starego?

Co takiego odkrył Cook, że wprowadziło go w takie podniecenie, kiedy rozmawiali przez telefon?

Z tego, co Ross wiedział, z domu doktora skradziono tylko jedną rzecz – laptop. Policjant poinformował go, że znaleźli na

podłodze obrączkę ślubną żony Cooka w oryginalnym pudełku, a w otwartej szufladzie w sypialni dwa tysiące funtów gotówki. Skoro napastnicy nie tknęli złota ani pieniędzy, to znaczy, że szukali czegoś innego. Prawdopodobnie informacji.

Ross wrócił do rękopisu.

Bez względu na wszystko nie miał ochoty trzymać go w domu. Jutro zawiezie go do prawnika, tak jak zapowiedział Imogen. A może lepiej ukryć go w magazynie w Shoreham Harbour, gdzie wynajęli kiedyś boks na przechowanie mebli i innych niepotrzebnych rzeczy, zanim przeprowadzili się do tego domu?

Wpisał w Google „Glastonbury Tor”. Według informacji, które mu wyskoczyły, w dziesiątym wieku na szczycie wzgórza zbudowano drewniany kościół, który jednak niedługo później został zniszczony przez trzęsienie ziemi. Budowlę, której ruiny stoją obecnie na wzgórzu, czyli kościół Świętego Michała, wzniesiono w trzynastym wieku. Jeśli Józef z Arymatei przyjechał do Anglii i przywiózł ze sobą Świętego Graala, nastąpiło to prawie tysiąc lat przed powstaniem pierwszej świątyni.

Zaczął szukać dalej w internecie. Jediną rzeczą, która mogła się tam znajdować w czasach, kiedy przybył Józef z Arymatei, była studnia.

Gdybym to ja chciał ukryć kielich, myślał dalej Ross, wykopałbym dół w połowie zbocza czy wybrał wygodniejszą kryjówkę?

A jednak współrzędne wskazywały miejsce na wzgórzu.

Dokąd prowadziły drugie współrzędne, te, których Cook nie zdążył mu zdradzić? Czy przypadły na zawsze?

Nie mógł się pozbyć myśli, że śmierć Harry’ego Cooka była jakąś zwyrodniałą, nowoczesną formą ukrzyżowania. Albo ohydny sposób wyrażenia swojej opinii na jego temat.

Spróbował zmienić tok rozumowania. W porządku, jestem Bogiem i chcę ujawnić Cookowi, gdzie leży ukryty kielich. Czy podaję mu dokładne współrzędne, czy tylko przybliżone? Wiedziałbym, gdzie on jest, prawda?

Z tego, co Ross pamiętał ze swoich sporadycznych kontaktów z Biblią w okresie dzieciństwa, nieustępliwy Bóg Starego Testamentu ciągle wyznaczał ludziom zadania albo

poddawał ich próbom. Nigdy niczego nie ułatwiał. Może Cookowi też wyznaczył jakąś misję?

Czy to właśnie Cook chciał mu powiedzieć?

Po wspaniałym poranku niebo pociemniało i po szybach zaczęły spływać krople deszczu. Ross pomyślał o grubym rękopisie związanym niedbale dwoma gumkami recepturkami i nagle przejął go strach.

Czy nie powinien po prostu spalić przeklętych papierzysek?

I stracić materiał do artykułu?

Ze Świętym Graalem czy bez miał już podstawowy zarys sensacyjnego tekstu. Któryś z tabloidów kupiłby go bez mrugnięcia okiem. Ale musiał do tej układanki dołożyć jeszcze jeden fragment. I to bardzo duży. Fragment, który może być wszystkim albo niczym.

W tym momencie przyszedł mail od Zacka Boxxa.

Za tydzień w sobotę jest festiwal piwa w Yapton, niedaleko Bognor. Możemy się wybrać. Robią tam niezłe niemieckie piwo pszeniczne.

6 29 12 7 28 12 8 5 17 7 26 23 21 28 22 6 24 15

To może być szyfr numeryczno-alfabetyczny. Każda liczba odpowiada jakiejś literze alfabetu. Wychodzi: dziewięć metrów pd (na południe?) s (skręć w lewo?).

Coś Ci to daje?

Nagle Rossowi przyszło coś do głowy. Podniecony wrócił do Google Earth, wyświetlił mapę z Chalice Well. Potem spojrział na rysunek kija hokejowego.

Pasowało!

Chwycił swój portfel, wylogował się z Google Earth i rozpoczął zakupy w internecie.

Dokładnie w chwili, kiedy wcisnął ostatnie „potwierdź zakup”, usłyszał na dole szczekanie Monty’ego, a po nim wołanie Imogen:

– Ross, już jestem!

– Świetnie, bo umieram z głodu! – zawołał w odpowiedzi. – Kurczak będzie gotowy za dziesięć minut.

– Jak tam golf? Wygrałeś?

– Nie, ale zająłem drugie miejsce!

Monty wpadł do pokoju cały mokry, otrzepał się, zachłapał wszystko dookoła, po czym podbiegł do Rossa, usiadł i położył mu obie łapy na kolanach.

– Cześć, zmokła kuro, jak się udał spacer?

Połaskotał psa po brzuchu.

Normalność. Tak bardzo mu jej teraz brakowało.

Ale ogarnęło go już niepowstrzymane podniecenie. I przerażenie.

Odpisał Zackowi.

Jesteś geniuszem!

Boxx odpowiedział po sekundzie.

Wiem. Czy mogę już wrócić do łóżka? Jak dla mnie jest wczesny poranek.

30

Poniedziałek, 27 lutego

Monako będzie dla niego w sam raz. Skaliste księstwo, przedostatni pod względem wielkości kraj na świecie; dwa kilometry kwadratowe powierzchni, graniczące z trzech stron z Francją, a z czwartej z Morzem Śródziemnym, w przytłaczającej większości zapakowane mieszkalnymi wieżowcami upchniętymi jak śledzie w puszkach. Nie ma tu żebraków ani bezdomnych, tylko widoczne na każdym kroku bogactwo, które jakoś wcale nie rzuca się w oczy.

Sława oszałamiającego raju podatkowego, słoneczny klimat i bliskość międzynarodowego lotniska w Nicei stanowiły, owszem, niewątpliwą atrakcję, lecz nie główną przyczynę jego wyboru. Tą ostatnią była bowiem anonimowość, na którą pozwalało to miejsce – i na którą jego mieszkańcy mogli sobie pozwolić.

Podchodząc do lady sklepowej w tym mieście, można stanąć tuż obok kierowcy Formuły 1, rosyjskiego bankiera inwestycyjnego albo brytyjskiego emigranta, który opuścił swój kraj w związku z brexitem. Albo Wielkiego Tony’ego. Który w rzeczywistości był bardzo niski.

Tak naprawdę nikt nie chciałby stać obok Wielkiego Tony’ego, jeśli tylko mógł tego uniknąć. Co nie znaczy, że śmierdział czy coś w tym rodzaju. Chodziło raczej o aurę, którą wokół siebie roztaczał i nosił niczym czarną pelerynę.

Wielki Tony miał całkiem nijaką powierzchowność i jasnoziemistą cerę. Rzadko wychodził z domu, chyba że miał ochotę pojeździć na którymś ze swoich potężnych motocykli – drogami wzdłuż wybrzeża, krętymi górskimi serpentynami między Monako a Niceą. Przywykł do wnętrza, w pomieszczeniach czuł się swobodniej. Ale miło było wiedzieć,

że tym razem ma przynajmniej wybór, w przeciwieństwie do połowy swego dorosłego życia, które spędził w więzieniu o maksymalnie zaostrzonym rygorze w Kolorado. Już kiedy wszedł za kratki w wieku dwudziestu sześciu lat, był mały i przygarbiony, teraz, gdy skończył sześćdziesiąt trzy, jeszcze bardziej się skurczył, jakby zasuszył, stał się nerwowy, a jego oczy przypominały ślepie drapieżnego ptaka. I miał do tego powody. Sporo osób chciało wyrównać z nim rachunki, zwłaszcza członkowie mafii, którzy przechwalali się przed nim w więzieniu i na których następnie doniósł w zamian za skrócenie wyroku. Do końca życia będzie się oglądał przez ramię i sprawdzał podwozie samochodu.

Zanim skończył dwadzieścia pięć lat, zaliczył siedemnaście zleceń. Osiemnaste było pieprzoną klapą, która go drogo kosztowała. W przeciwieństwie do jego pracodawców, oni zgarnęli swoje dwieście tysięcy za martwego skurwiela. Przeklęty pech. W drodze na lotnisko w północnym Toronto złapał kapeć w wynajętym dodge'u, a kiedy zjeżdżał na pobocze, zmiotła go przejeżdżająca ciężarówka, bo kierowca grał na komórce. Tego Tony dowiedział się dopiero później. Kiedy przez trzy miesiące leżał w szpitalu, policja kanadyjska miała mnóstwo czasu, żeby zbadać jego pistolet, który znaleźli w bagażniku, i laptop z danymi. Po kilku miesiącach ekstradowano go do Stanów na proces sądowy.

Po wyjściu z więzienia pomału stanął na nogi, a teraz, dwanaście lat później nadeszła jego wielka chwila. Koniec z przypadkowymi zleceniami, od tej pory będzie bardzo starannie wybierał robotę i pracował tylko dla najgrubszych ryb. Pamiętał słowa generała Pattona, które usłyszał dawno temu w którymś filmie: „Żaden sukinsyn nie wygrał wojny, umierając dla kraju. Zrobił to, wysyłając innych durnych sukinsynów, żeby dla niego umierali”. Wielki Tony jest teraz Naprawiaczem. Zajmuje się odzyskiwaniem dla ludzi różnych rzeczy. A od czasu do czasu zdobywa również te, których pragną.

A ten arogancki dupek w idiotycznych czerwonych okularach i drogim garniturze, który właśnie wszedł do jego mieszkania na dwunastym piętrze z aktówką pełną „pakietów”, jak je nazywają angielscy członkowie świata przestępczego,

potrzebuje jego usług. Ma to wypisane na twarzy, chociaż bardzo stara się to ukryć.

Siedzieli w południowym oknie wykuszowym z widokiem na heliport, Morze Śródziemne i mały park na wschodzie, gdzie jakaś kobieta wyprowadzała psa. Anglik trzymał w ręku szklankę z dwudziestopięcioletnią glenfiddich, Wielki Tony zaś, który nigdy nie pił alkoholu w czasie załatwiania interesów, Dziewiczą Mary. Zważywszy na to, co właśnie miał usłyszeć, był to bardzo stosowny drink.

– Mamy problem – oznajmił Anglik. – Powiedziano mi, że może go pan dla mnie rozwiązać.

– W takim wypadku – powiedział Wielki Tony swoim przeciągłym akcentem z Missisipi, głosem znacznie głębszym i silniejszym, niżby na to wskazywała jego mikra postura – powiedziałbym, że to pan ma problem.

Anglik zmarszczył brwi.

– Ja?

– Ja nie rozwiązuję problemów, drogi panie, tylko robię różne rzeczy dla różnych ludzi.

– To znaczy, że nadajemy na tej samej fali.

– To zależy, co pan ma w tej torbie.

Anglik otworzył neseser i pokazał jego zawartość. Paczki dwustudolarowych banknotów, spiętych opaską.

– Prosił pan o dwa miliony?

– I drugie tyle po dostarczeniu towaru.

– Drogi pan jest.

– Ja jestem drogi?

– Tak. Bardzo.

– Niech pan zamknie teczkę.

– Mam ją zamknąć? – upewnił się Anglik.

– Mhm.

– Czemu?

– Ponieważ ją pan zabierze i wyniesie stąd. Nie jestem człowiekiem, którego pan szuka.

– Co to znaczy?

– A czego dokładnie pan nie rozumie?

Anglik wyraźnie stracił rezon. Pociągnął długi łyk drinka.

– Dobra, proszę posłuchać, ta rozmowa potoczyła się w niewłaściwym kierunku. Nie mam zastrzeżeń do pańskiej

ceny.

– A ja mam. Właśnie wzrosła.

– Hej, przepraszam. Chętnie zapłacę tyle, ile pan żąda.

– Dobrze. Teraz jest to osiem milionów.

– Co?

– Słyszał pan.

– Podwoił pan stawkę.

– Wiem, dla kogo pan pracuje. Pieniądze nie podlegają dyskusji. Niech pan wróci z odpowiednią sumą, to pogadamy.

Anglik wyglądał, jakby żuł osę.

– Proszę posłuchać, przepraszam, zacznijmy...

– Co zacznijmy? – przerwał mu. – Musi pan wiedzieć o mnie dwie rzeczy, jeśli mamy robić interesy. Pierwsza: ze mną się nie targuje. Druga: nie radzę robić sobie ze mnie wroga. Rozumie pan, co mam na myśli?

– Rozumiem. – Anglik spojrział na telefon. – Mogę przyjść jutro.

– Po jedenastej. Wcześniej przychodzi mój trener pilatesu.

– Dobrze. Do tego czasu proszę rzucić na to okiem.

Wręczył mu pendrive'a.

– Rzucę, kiedy zobaczę kolor moich pieniędzy. Bez targowania.

– Bez targowania. Jak pan powiedział, mój szef ma bardzo głębokie kieszenie.

– Lubi się w nich zabawiać, co?

Anglik przełknął następną osę.

– Ma pan bardzo dobre rekomendacje – zauważył.

– Nie bawię się w pierdoły. Niech pan wróci jutro albo znajdzie kogoś innego. Dla mnie to rybka.

– Wrócę jutro po jedenastej, z pieniędzmi.

– No jasne.

31

Poniedziałek, 27 lutego

Ross zaczął swoją dziennikarską karierę w gazecie „Argus” w Brighton, następnie przeszedł do działu miejskiego w „Daily Mail”. Po jakimś czasie dołączył do zespołu przeglądu „Sunday Timesa”, gdzie porządnie szlifował swoje umiejętności w dziennikarstwie kryminalnym i stwierdził, że to mu najbardziej odpowiada. W końcu, trzy lata temu, uznawszy, że wyrobił sobie dość kontaktów w redakcjach największych gazet, wspierany w tej decyzji przez Imogen, został wolnym strzelcem.

Nigdy tego nie żałował, chociaż były dni, kiedy brakowało mu towarzystwa kolegów oraz gorącej atmosfery życia redakcyjnego.

Upłynęło sporo czasu, zanim przyzwyczał się do pracy w domu. Doceniał luksus, który pozwalał mu wyglądać tak niedbale, jak mu się żywnie podobało, i pracować nad tematem, jaki mu przypadł do gustu, ale często zdarzały się dni, kiedy czas włókł się niemiłosiernie i nic się w jego życiu nie działo.

Pierwszym wydarzeniem każdego dnia było zwykle nadejście porannej prasy. Drugim maile. Innym sporadyczne zamówienia z Amazona lub inne zakupy internetowe. No i zawsze znajdował czas, żeby wyjść z Montym na długi spacer wczesnym popołudniem.

Kiedyś poczta przychodziła zwykle około dziesiątej, ale ostatnio ich listonosz przeszedł na emeryturę, a nowy zjawiał się nieregularnie, niekiedy mocno po dwunastej. Jak na przykład dzisiaj. Ale Rossa pochłonęły rano trzy oddzielne przesyłki z Amazona, które wczoraj zamówił, w tym dwie nader pękate.

Rozpakował je i ułożył ich zawartość w głębi garażu, gdzie przechowywali nieużywane rzeczy. Nie chciał się tłumaczyć Imogen z zakupionych produktów.

Kiedy usiadł z powrotem przy biurku i zaczął odpowiadać na maila redaktorki z sugestią, że mógłby się przyjrzeć majątkowi oraz sprawom podatkowym pewnego rekina branży handlowej, który niedawno otrzymał tytuł szlachecki, usłyszał na dole turkot, a po nim głośne szczekanie Monty'ego.

To był znak, że nadeszła poczta. Spojrzał na zegarek – pięć po wpół do pierwszej. Zszedł na dół, podniósł z wycieraczki cienki plik korespondencji związany gumką i zaczął ją przeglądać w kuchni. Duża koperta od jego księgowego (prawdopodobnie nieszczególnie przyjemna lektura, pomyślał); coś do Imogen zaadresowane na maszynie; gruba przesyłka z urzędu skarbowego, pewnie jakieś wezwanie do zapłacenia podatku, i na samym dnie list zaadresowany do niego odręcznie z pieczętką Birmingham.

Pismo wyglądało trochę staromodnie i Ross natychmiast je rozpoznał. Położył list do Imogen na stoliku w holu, a z resztą poszedł na górę, usiadł przy biurku i otworzył kopertę z odręcznym adresem.

Drogi Panie Hunter

Martwię się o rzeczy, które mi powiedziano i które następnie panu przekazałem. Ponieważ jest to niezwykle ważne, pragnę się zabezpieczyć na wypadek, gdyby coś mi się stało. Dlatego złożyłem dwa pozostałe zestawy współrzędnych geograficznych u swojego notariusza, pana Roberta Anholta-Sperry'ego w Anholt-Sperry Brine w Birmingham. Otrzymałem polecenie, aby je przekazać wyłącznie panu, do rąk własnych po okazaniu dowodu tożsamości. Mam gorącą nadzieję, że pierwsze współrzędne – Chalice Well – przekonały pana o mojej bona fide. Gdyby coś mi się przytrafiło, odpowiedzialność za ocalenie świata spocznie wyłącznie na Panu.

*Z poważaniem
dr Harry F. Cook*

Przeczytał list ponownie.

– To kosztowny „prezent”, Harry! – powiedział na głos.

Uśmiechnął się, chociaż w środku cały drżał. Nagle aż podskoczył na dźwięk dzwonka do drzwi.

Wyjrzał przez okno i zobaczył furgonetkę UPS. Zbiegł na dół i otworzył drzwi. Przyszło kolejne zamówienie, które wczoraj złożył.

Podpisał odbiór i wyszedł z Montym na długi spacer. Przeszedł kładką na drugą stronę drogi A27 i ruszył lekko wznoszącym się, otwartym terenem w kierunku Chattri – pięknego pomnika przypominającego maleńką świątynię, zbudowanego w miejscu, gdzie skremowano zwłoki żołnierzy sikhijskich, walczących w armii angielskiej w czasie pierwszej wojny światowej.

W tym miejscu Monty uwielbiał biegać bez smyczy, a Rossowi najlepiej się tu rozmyślało.

A choć miał złe przeczucia związane z historią Harry’ego Cooka, jedna myśl nie dawała mu spokoju.

Co, jeśli... jakkolwiek to nieprawdopodobne – co, jeśli starzec miał rację?

Dziewięć metrów na południe, a potem skręć w lewo.

Da Cookowi jeszcze jedną, ostatnią szansę, czuł, że jest mu to winien. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, to *finito*. Kończy z tą sprawą.

Jutro, we wtorek wieczorem, Imogen ma swój klub czytelniczy. Dobra okazja, żeby i on mógł wyskoczyć z domu. Jak dobrze pójdzie, wróci przed jej powrotem. Chociaż w głębi serca w to wątpił. Denerwował się tym, co go czeka, ale wiedział, że jeśli tego nie zrobi, będzie się nad tym zastanawiał do końca życia.

Dręczyła go jednak ta rozkopana ziemia na zboczu Chalice Well. Jeśli Cook mówił prawdę, to ktoś inny próbował tam kopać. Ktoś, kto ich wyprzedza?

Czy ten ktoś znalazł Świętego Graala? Wątpił w to. A jeśli nie, to może nadal go szukać.

Czy to możliwe, że go obserwują? Czekają, aż ich do niego zaprowadzi?

Gdy tylko wrócił do domu, wziął portfel, kluczyki i pojechał do Lewes, oddalonego o piętnaście kilometrów od Brighton.

W zabytkowym budynku mieści się tam pchli targ, zaopatrywany głównie przez firmy uprzątające domy. Na dwustu stoiskach można znaleźć wszystko, począwszy od starych mebli i obrazów, po przedwojenne i powojenne pamiątki, starocie, bibeloty. Większość nie przedstawiała żadnej wartości, lecz mimo wszystko nie zasługiwała na miano śmieci.

W ciągu kilku minut Ross znalazł to, czego potrzebował.

Poniedziałek, 27 lutego

Wysoki czterdziestoosmioletni Amerykanin pocił się w ciężkim habicie z kapturem, by wtaszczyć po kamiennych schodach całe naręcze pościeli z klasztornej pralni, która mieściła się w podziemiach. Piekła go zdarta skóra na kłykciach prawej dłoni, w ogóle okropnie się czuł, ale starał się zachowywać normalnie, jakby nic się nie stało.

Po porannych modlitwach brat Pete pozdejmował z łóżek pościel po gościach, którzy zostawali na noc, wyprał ją razem z ręcznikami, po czym rozwiesił wszystko do wyschnięcia. W monasterze Simonopetra, przycupniętym wysoko na górskim stoku cypla spoglądającego na Morze Egejskie, po dziś dzień rygorystycznie przestrzegano tradycji udzielania strawy i noclegu wszystkim odwiedzającym. Lecz wolno im było pozostać tylko na jedną noc, po czym przenoszono ich do drugiego monasteru oddalonego o kilkanaście kilometrów.

Szedł długimi, ciemnymi korytarzami w stronę dormitorium dla gości. Rzędy metalowych prycz, gołe ściany i widok z maleńkich okienek na błękitne morze rozciągające się w dole kilkaset metrów pod nimi nadawały wnętrzu atmosferę niemal więziennej surowości. Czasami, w szczególnie gorące greckie dni, budziło się w nim grzeszne pragnienie, by wskoczyć do tej wody, lecz pływanie uważano tu za przyjemność, a w ascetycznej społeczności Simonopetry wszelkie przyjemności były zakazane, dla niego zaś to miejsce było domem i nie wyobrażał sobie, by mógł je kiedyś opuścić.

Z elektryczności korzystano tylko wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne, nie oglądano telewizji, nie słuchano radia, kontakt ze światem zewnętrznym ograniczano do

minimum. Mnich, którego przyjęto na stałe do zakonu, nie mógł opuścić klasztoru bez zgody opata.

Od założenia w osiemsetnym roku pierwszego z dwudziestu monasterów na długim, wąskim, górzystym półwyspie północnej Grecji tylko jedna kobieta postawiła stopę na górze Athos. Autonomiczna republika świętej góry, rządzona przez patriarchat ekumeniczny w Konstantynopolu, przez osiemnaście stuleci stanowiła ośrodek chrześcijańskiego prawosławia. Siedemnaście monasterów należało do greckiego Kościoła prawosławnego, jeden do rosyjskiego, jeden do serbskiego i jeden do albańskiego. Mnisi nie rozmawiają ze sobą poza absolutnie koniecznymi sytuacjami, a i to tylko za zgodą opata.

Przez nieprzebyte góry nie prowadzi na półwysep żadna droga. Jedyńm sposobem, aby się dostać na Athos, jest prom płynący z Salonik, na który może wsiąść nie więcej niż dwunastu mężczyzn nienależących do greckiego Kościoła prawosławnego, a każdy odwiedzający musi się najpierw stawić w urzędzie zakonnym w Salonikach na weryfikację i potwierdzenie, że nie jest przebraną kobietą. Łodziom wiozącym kobiety nie wolno się zbliżyć do wybrzeża na odległość mniejszą niż jeden kilometr, a najwyższymi przedstawicielkami żeńskiej formy życia na półwyspie są kury. Na górze nie wolno trzymać nawet suk ani kotek.

Wszystko to bratu Pete'owi jak najbardziej odpowiadało. Wysoki, kościsty, z gęstą, długą brodą i ogoloną głową, spędził w monasterze wiele spokojnych lat, pełniąc funkcję opiekuna gości. W czasach kiedy się tu zjawił, największą troską wszystkich zakonników i wszystkich monasterów na Świętej Górze Athos była jednak dramatycznie kurcząca się populacja.

Kiedy zmarł poprzedni opat, kilka lat przed przybyciem Pete'a, w monasterze mieszkało tak mało braci, że nie było nawet komu ponieść jego trumny. Na szczęście Bóg interweniował i w ciągu ostatnich dziesięciu lat liczba mnichów wzrosła z dwóch do dwudziestu pięciu – mężczyzn, którzy tak samo jak on pragnęli uciec od szerokiego, doczesnego świata i poświęcić życie służbie Bogu. Podobnie działo się na całym półwyspie.

Góra Athos nie miała wypracowanych sposobów na rekrutację mnichów. Aby zastąpić tych, którzy umierali, zakony polegały wyłącznie na gościach, którzy tu przyjeżdżali i decydowali się pozostać. Tak jak on. Pete Stellos przyjechał tu za namową swego kuzyna, lecz kiedy się zjawił, zrozumiał, że wezwał go tu sam Bóg.

W spokoju wypełniał dni pracą i modlitwą, a pobożność pomagała mu nie zważać na niedostatek i niewygody, jak dotkliwe letnie upały i przejmujące chłody zimą. Wstawał o drugiej w nocy, szedł do kaplicy, gdzie modlił się do szóstej trzydzieści, kiedy to sześć razy w tygodniu podawano poranny posiłek. Siódmego dnia obowiązywał post. Śniadanie złożone z sera, sałatki, ryby oraz białego wina spożywano szybko i w milczeniu, a w tym czasie opat lub jego zastępca czytali w refektarzu stosowne pozycje.

Po posiłku znowu udawał się na modlitwę, która trwała aż do dziewiątej. Następnie ścielił łóżka w dormitorium gościnnym, robił pranie, po czym znowu się modlił aż do wieczornego posiłku, również składającego się z sera, sałatki i białego wina. Potem modlił się do dziesiątej i kładł się do łóżka.

Jeśli któryś z gości chciał z nim porozmawiać, musiał poprosić o zgodę opata i zwykle otrzymywał pozwolenie na piętnastominutową konwersację po kolacji. Brat Pete nie lubił z kimkolwiek rozmawiać, lecz wiedział, że te rzadkie sytuacje są sposobnością, by przekonać odwiedzających do pójścia za głosem powołania. Większość gości przybywających do klasztoru składała się z pobożnych wiernych, którzy chcieli oddać hołd świętemu miejscu, albo ludzi rozpaczliwie poszukujących boskiej pomocy w uleczeniu umierającego bliskiego lub też tych, którzy po jego śmierci pragnęli w samotności zrozumieć sens boskich wyroków. Jeszcze inni przyjeżdżali tu, szukając duchowej odnowy.

Poprzedniego wieczoru gość, który poprosił o rozmowę, wprowadził go jednak w zakłopotanie i głęboką konsternację. Pete przez całą noc modlił się o wybaczenie. Był to agresywny amerykański dziennikarz, który otrzymał zgodę na pięciodniowy pobyt na półwyspie. Wyliczywszy, że brat Pete

spędza dziennie szesnaście godzin na modlitwie, zapytał, czy zdarza mu się być znudzonym.

– Oczywiście – odparł Pete. – Ale sam pan przecież wie, że w każdej pracy zdarzają się nudne okresy.

– Więc modlitwa jest pracą? – spytał dziennikarz sceptycznym, protekcyjnym tonem, który graniczył z politowaniem.

– Mhm.

– Więc o co się brat modli?

– Proszę Boga, aby niósł pomoc światu. Aby zaprowadził pokój w Syrii i Iranie, aby położył kres prześladowaniom dzieci przez Boko Haram w Nigerii, aby pomógł ofiarom trzęsienia ziemi w Japonii albo we Włoszech albo wszędzie tam, gdzie dochodzi do takich nieszczęść, a także wszystkim ludziom na świecie prześladowanym za swoją wiarę.

– Ale przecież nie macie tu telewizji, radia ani nawet gazet. Skąd czerpicie informacje o tym, co się dzieje na świecie? – dopytywał się dziennikarz.

– Bóg nam to mówi – odparł z prostotą brat Pete.

– I wy w to wierzycie?

– Oczywiście. Kiedy jest się zakonnikiem, trzeba wierzyć.

– I nigdy brat nie ma wątpliwości?

– Czemu miałbym mieć wątpliwości? Jeśli człowiek oddaje się służbie Bogu, Bóg dba o to, abyś nie zwątpił.

– No dobrze, a jeśli okaże się, że Boga nie ma, to znaczy, że zmarnował brat życie, tak?

Pete spojrzał na zegarek swojego gościa. Opat wyznaczył na tę rozmowę piętnaście minut. Z ulgą stwierdził, że czas dobiega końca.

– Muszę już iść – oznajmił.

– Jeszcze jedno pytanie. Czego bratu najbardziej brakuje ze swojego dawnego życia?

– Czego mi brakuje?

– Tak, no wie brat: filmów, wolności, hamburgerów, internetu. Rzeczy, które musiał brat porzucić.

– Niczego. Bóg zapewnia mi wszystko, czego potrzebuję.

– I zamierza brat zostać tu do końca życia?

Pete rozłożył ramiona i podszedł do okna bez szyb. Daleko w dole rozciągało się błękitne morze.

– Czy ma pan taki widok ze swojego biura?
– Więc to jest wasze biuro?
– Chyba można tak powiedzieć.
– I gdzie brat dalej awansuje? Na mnisiej drabinie? Do apartamentu w penthousie?

Pete zignorował złośliwość i odparł po prostu:

– Czemu miałbym chcieć się dokądś przenieść? Zostanę tu, dopóki mnie Bóg nie wezwie. – Wzruszył ramionami. – Wtedy pójdę tam, gdzie będzie mnie potrzebował.

– Ostatnie, bardzo szybkie pytanie. Czy w ogóle miewa brat jakieś wątpliwości? Czy nie czuje brat czasem, jakby żył na poddaszu domu, gdzie na parterze toczy się wielkie przyjęcie, a wy nie dostaliście na nie zaproszenia?

Zakonnik spojrzał na niego z politowaniem.

– Od kiedy postawiłem nogę w tym miejscu, ani razu nie naszły mnie wątpliwości. Pokładam ufność w Bogu. I coś panu powiem. Wyczuwam w tym wzajemność, tylko pan nie chce tego przyznać.

– Myli się brat. Szanuję wasze poglądy, ale ja nie jestem jakimś zakonspirowanym chrześcijaninem. Mam otwarty umysł i dlatego tu przyjechałem.

– Zamierza pan wrócić do Ameryki i napisać dla „New Yorkera” artykuł o obłąkanych mnichach z góry Athos?

– Napiszę, że mi was żal, pana i wszystkich innych zaślepionych palantów.

Pete zrobił krok naprzód i grzmotnął dziennikarza tak mocno, że rozkwasił mu nos.

33

Wtorek, 28 lutego

O piątej po południu, na godzinę przed powrotem Imogen z pracy, Ross zapakował do bagażnika cały sprzęt, który uznał za potrzebny, a którego większa część przyjechała wczoraj z firmą kurierską i leżała w garażu. Ucieszył się, że gęsty deszcz i pochmurne niebo zapewnią mu dodatkową osłonę, miał nadzieję, że brzydka pogoda utrzyma się zgodnie z prognozami.

Zostawił żonie wiadomość na stole kuchennym.

*Wyszedłem w sprawach zawodowych, mogę wrócić późno.
Monty jadł. Dobrej zabawy na literackiej impreze. Buziaczki*

Następnie włączył nawigację i wyruszył zatłoczonymi drogami w kierunku Glastonbury. Był tak pochłonięty zadaniem, które go czekało, że w zapadającym zmierzchu nie zauważył ciemnego sedana trzymającego się kilka samochodów za nim przez całą drogę trasą A23, M25, potem M3 przez Basingstoke i Salisbury, a trzy godziny później A303 przez Stonehenge.

Dopiero wtedy uprzytomnił sobie, że ktoś go chyba śledzi. Kiedy jadący za nim samochód skręcił w lewo, światła pojazdu, który się zza niego wyłonił, wydały mu się znajome. Większość reflektorów, z wyjątkiem najnowszych modeli Audi oraz kilku innych luksusowych wozów z wyraźnymi żarówkami LED-owymi, wyglądała podobnie. Zobaczył w lusterku podwójny błękitnawy snop światła, który zbliżył się szybko, po czym wyprzedził go z rykiem silnika i zamienił się w tylne lampy porsche 911.

Za nim nie było już widać żadnych samochodowych reflektorów.

Ktokolwiek to był, musiał już odjechać, pomyślał z ulgą. Mimo to od tej pory zachował czujność i ostrożność. Nerwy miał napięte z powodu zadania, które go czekało.

Dojechał do Glastonbury o wpół do dziewiątej. Pogoda mu sprzyjała – nadal lało jak z cebra. Doskonale. Nie mógłby liczyć na lepszą osłonę.

Nagle poczuł się nieswojo, jakby coś mignęło mu w lusterku. Zwolnił i zaczął uważniej obserwować drogę za samochodem, zwłaszcza kiedy przejeżdżał pod latarniami, lecz nie zauważył niczego podejrzanego.

To tylko jego wyobraźnia. Zrobił się piekielnie nerwowy.

Wjechał na opustoszały parking pod sklepem fabrycznym, tak jak poprzednio, zgasił światła i przez chwilę siedział, rozglądając się dookoła, lecz nigdzie nie zauważył żadnego innego samochodu. W taki deszcz nikt nie wychodzi z domu, może poza najbardziej odpornymi właścicielami psów.

Drgnął przestraszony na dźwięk telefonu. Przyszedł SMS od Imogen.

Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Straszna kłótnia wokół tej książki! Buziaki

Chodziło o *Shantaram*. Odpisał:

Powiedz im, że Twoim zdaniem to nowa wersja *Pięćdziesięciu twarzy Greya*.

Uruchomił z powrotem samochód i wyjechał na drogę, cały czas bacznie się rozglądając, lecz nadal nigdzie nie widział żadnego pojazdu.

Skreślił w lewo w alejkę biegnącą między Chalice Well a Glastonbury Tor, którą szedł tydzień temu, i kawałek dalej zjechał w zatoczkę, gdzie zaczynała się ścieżka prowadząca na wzgórze. Wszędzie pusto, mnóstwo miejsca, żeby zaparkować. Idealnie.

Otworzył bagażnik i wyjął trzy duże wodoodporne torby, w które zapakował wszystko, co wydawało mu się potrzebne. Taszcząc je, wrócił na ścieżkę, gotów w każdej chwili

zanurkować w mrok, gdyby w zasięgu wzroku pojawił się jakiś samochód. Wyjął latarkę z czerwonym filtrem, mocowaną na czoło – wyczytał, że niska długość fali świetlnej jest niewidoczna z większej odległości. Potem przerzucił torby przez ogrodzenie, a kiedy wylądowały na ziemi, zaczął sam niezdarnie gramolić się na drugą stronę.

Rozejrzał się, by przyzwyczaić wzrok do ciemności.

Czy naprawdę potrafi to zrobić?

Znowu zapiszczał jego telefon. Wyjął go i spojrzął na ekran. Kolejny SMS od Imogen.

Ha! Buziaki

Uśmiechnął się trochę niezręcznie, źle się czuł, ukrywając przed żoną prawdziwy cel swojego dzisiejszego wyjazdu, ale nie chciał jej straszyć. Wyłączył dźwięk w telefonie.

Po drugiej stronie ogrodzenia błysnęło maleńkie światełko, a po chwili zgasło. Ross oblał się zimnym potem, wyłączył latarkę i z walącym sercem zamarł, wpatrując się w ciemność.

Nic, wszędzie cicho i pusto.

Odczekał jeszcze kilka minut, lecz ponieważ nic więcej się nie wydarzyło, tylko deszcz nieubłaganie padał dalej, odwrócił się, włączył z powrotem latarkę, podniósł torby i ruszył w kierunku studni. Ostrożnie zszedł po zdradziecko śliskich schodkach, zatrzymał się przy źródle i uniesionej okrągłej pokrywie.

To istne szaleństwo. Wracaj do domu.

Przemókł do suchej nitki, zmarzł i w dodatku coraz bardziej się bał. W co on zamierza się wpakować?

Idioto, pomyślał, zapomnij o tym. Przez głowę przebiegały mu obrazy okropnej śmierci Harry'ego Cooka. Czy oprawcy czyhają teraz w ciemności na niego?

Zadrzał.

Zapomnij o całej tej historii, wrzeszczało mu w myślach. Wracaj do domu i znajdź inny sposób ocalenia świata.

Ale dotarł już tak daleko.

Położył torby na ziemi, podszedł do brzegu wąziutkiej studni i zajrzał przez kratę w atramentową wodę. Ze środka

unosił się zapach mchu i wodorostów. Rozmyślał o zgniecionej kartce, którą znalazł w koszu na śmieci w mieszkaniu Cooka, o współrzędnych geograficznych oraz mailu od Boxxa z odszyfrowanymi liczbami.

Dziewięć metrów na południe, a potem skręć w lewo.

Jeśli przejdiesz dziewięć metrów na południe od miejsca, które wskazywały współrzędne, i skręcisz w lewo, znajdziesz się dokładnie przy studni.

Schylił się, otworzył jedną torbę i wyjął klucz francuski. Przez kilka minut próbował odkręcić śruby, które przytrzymywały kratownicę. Prawdopodobnie nie ruszono ich od wielu lat, może nawet dziesięcioleci. Kiedy w końcu odkręcił ostatnią, był spocony z wysiłku. W tym momencie, dokładnie gdy uklęknął, żeby zdjąć kratę, modląc się, by nie okazała się za ciężka, usłyszał samochód. Jechał powoli ścieżką po drugiej stronie ogrodzenia.

Wstrzymał oddech. Czy to może być patrol policyjny? Co zrobią, kiedy zobaczą jego samochód? Uznają, że to podejrzane czy że jakiś nocny marek wybrał się na spacer po świętym wzgórzu?

Widział blask reflektorów prześlizgujący się po gałęziach drzew. Kiedy samochód go minął, a odgłos silnika zaczął cichnąć w oddali, Ross wrócił do pracy. Chwycił czarne metalowe pręty i pociągnął mocno do góry

Krata ani drgnęła.

Cholera.

Spróbował jeszcze raz. I jeszcze raz.

W końcu zauważył, w czym tkwi problem. Odkręcił tylko pięć śrub, a kratę przytrzymywało sześć. Nie zauważył ostatniej, która znajdowała się po lewej stronie.

To przez zdenerwowanie. Nie myśli jasno.

Odkręcił szóstą nakrętkę, zdjął śrubę i ponownie chwycił kratownicę. Tym razem ustąpiła bez problemu, była lżejsza, niż się spodziewał.

Odetchnął z ulgą, odłożył kratownicę ostrożnie na bok, po czym zanurzył rękę w drugiej torbie i wyciągnął z niej

następny zestaw przyrządów, przemycony rano do garażu: wodoszczelną kamerę GoPro, której używał w czasie ich wakacyjnego nurkowania, z kluczem francuskim jako obciążnikiem, a także z przymocowaną wodoszczelną latarką LED-ową oraz polipropylenową linką.

Zapalił latarkę, włączył kamerę, nastawił ją na nagrywanie i zanurzył całą konstrukcję w wodzie. Stopniowo popuszczając linkę, starał się zachować orientacyjną rachubę: trzy metry, sześć, dziesięć, piętnaście, siedemnaście.

W przewodniku znalazł informację, że studnia ma dwadzieścia pięć metrów głębokości.

Dwadzieścia. Dwadzieścia trzy. Dwadzieścia pięć.

Linka zwiotczała.

Napiął ją, powoli zaczął skręcać, zatoczył kilkanaście kół, aż w końcu pomalutką zaczął ją z powrotem wyciągać. Co jakiś czas przerywał i rozglądał się w ciemności. Latarka omiatała czerwonym snopem kamienny, okrągły murek za wylotem studni.

Nagle wydało mu się, że usłyszał kroki.

Zamarł. Wyłączył latarkę. Siedział bez ruchu i nasłuchiwał. Deszcz bębnił i szeleścił.

Ross podciągnął kamerę, znowu przerwał i znowu nasłuchiwał.

Słyszał tylko deszcz.

Trzęsąc się z zimna, zapalił z powrotem latarkę. Kamera wynurzyła się z wody z cichym pluskiem.

Zdjął obudowę i osłaniając kurtką aparat przed deszczem, włączył odtwarzanie.

Przez minutę, może dłużej, oglądał nagranie. Niewyraźny, ziarnisty obraz z opuszczającej się kamery ukazywał gołą ścianę studni, gdzieś tam pokrytą mchem i wodorostami. Potem obraz podskoczył, prawdopodobnie kiedy urządzenie opadło na dno.

Widok zaczął się obracać. Zobaczył coś, co wyglądało na monety. Obiektyw zatoczył chyba pełne koło, nie było widać niczego poza mulistym osadem, który kamera wzbiła z dna.

Niech to szlag.

Jedno przynajmniej sobie wyjaśnił. Harry Cook się...

Nagle zamarł. Kamera wykonała drugi obrót i Ross coś jednak zauważył w mętnej wodzie.

Wcisnął pauzę.

Wyraźnie widział coś, co nie było ani dnem studni, ani ścianą. Jakiś czarny kształt leżał na dnie. Jeszcze raz włączył odtwarzanie. Kiedy skupił mocniej wzrok na ciemnym obrazie, zobaczył przedmiot nieco wyraźniej.

Przeszył go jakby prąd elektryczny. Co to było?

Odtworzył nagranie po raz trzeci. Wyraźnie coś leży zagrzebane w mule. Ale nie sposób rozpoznać, co to może być. Niewykluczone, że po prostu duży kamień.

Wyjął z torby metalową drabinkę jaskiniową, którą kupił przez internet, oraz karabińczyki z gwintowanym zapięciem. Zaczął je składać drżącymi dłońmi.

Kiedy skończył, przymocował drabinkę pasem holowniczym do drzewa rosnącego przy ogrodzeniu, po czym spuścił ją do studni, obniżając stopniowo, dopóki nie dotknęła dna.

Z trzeciej, najcięższej torby wyjął swój sprzęt do nurkowania. Znieruchomiał, wpatrując się w otaczającą ciemność. Drżał na całym ciele. To szaleństwo, zapomnij o tym. Wracaj do domu. Studnia jest taka wąska, że ledwo się przez nią przecisniesz.

Powiedział, że chce, aby mi pan zaufał. Wymienił dwa słowa, Kogel i Mogel – dźwięczał mu w głowie głos Harry'ego Cooka.

Do diabła, zrobił już tak dużo, dokończy to, co zaczął.

Zdjął ubranie i trzęsąc się z zimna, wciągnął skafander. Włożył gumowe buty i rękawice, przymocował butlę z tlenem do kamizelki, a następnie automat oddechowy. Odkręcił zawór butli i sprawdził ilość tlenu. Została tylko połowa. Zaklął w duchu ze złości, że nie skontrolował tego przed wyjazdem, ale i tak powinno z nawiązką wystarczyć na tę głębokość, zwłaszcza że nie będzie musiał walczyć z prądem wodnym. To nie to samo co w wakacje, kiedy nurkowali na rafie Elphinstone w Morzu Czerwonym. Zapiął pas balastowy, zamocował do nogi kaburę z nożem nurkowym oraz silną latarkę podwodną. Nałożył kamizelkę, latarkę czołową i komputer nurkowy, a następnie wziął maskę oraz najmniejszą torbę i wszedł do

otworu studni. Złapał się drabinki, zarzucił na ramię uchwyty najmniejszej torby, po czym zaczął schodzić.

Jego zieloną, rozmazaną sylwetkę obserwował w noktowizorze mężczyzna, który śledził go od wyjazdu z Patcham. Kiedy Ross zniknął w otworze studni, mężczyzna ustawił zbliżenie.

34

Wtorek, 28 lutego

Z każdym krokiem stawianym na kołyszącej się drabince Ross coraz bardziej się denerwował. Kiedy znalazł się na poziomie wody, zawahał się. Instynkt kazał mu spakować z powrotem rzeczy, zapomnieć o całej sprawie i wracać do domu. Po krótkiej chwili jednak zebrał całą odwagę, nałożył maskę i ostrożnie zaczął schodzić dalej.

Gdy tylko zanurzył głowę w wodzie, poczuł na twarzy jej lodowate zimno. Po policzku prześliznęły mu się wici wodorostów. Wzdrygnął się.

Trochę niżej zatrzymał się i przyczepił do szczebelka torbę, którą trzymał na ramieniu. Potem ruszył dalej w niesamowitą ciemność, rozproszoną mętym, czerwonym światłem latarki na głowie. Słyszał miarowe dudnienie własnego oddechu, bulgot wydychanego powietrza oraz łomot serca. Mimo skafandra trząsł się z zimna i przerażenia. Zdawało mu się, że schodzi tak całą wieczność.

Zatrzymał się i znowu zaczął zastanawiać, czy nie powinien się wycofać. Robiło się coraz zimniej, a nie doszedł nawet do połowy. Pewnie znajdzie tam tylko stertę śmieci. Jego oddech odbijał się od ścian coraz głośniejszym, coraz gęściej rosnące wodorosty muskały go po twarzy jak pajęczyny. Wymacał stopą następny szczebelek. A potem następny. To był ostatni. Siedem metrów od powierzchni. Puścił drabinkę i zaczął szybko opadać.

Miał wrażenie, że nabiera prędkości.

Dziesięć metrów. Trzyście. Szesnaście.

Nurkował w zatopionych wrakach statków na Barbadosie, w jaskiniach Morza Czerwonego, wokół głębokich półek skalnych na Malediwach i nigdy przedtem nie bał się tak jak

teraz, zanurzając się coraz głębiej i głębiej w tym atramentowym wąskim kanale.

Dwadzieścia metrów.

Pomyślał o swoim nienarodzonym dziecku. O Imogen. Nurkowanie w pojedynkę było niedopuszczalne. Nurkowanie w pojedynkę w ciasnej, zamkniętej, nieznannej przestrzeni było szaleństwem. Jeśli wpakuje się w kłopoty, nikt nie przyjdzie mu z pomocą. A on nigdy nie zobaczy swojego dziecka.

Dwadzieścia trzy metry.

Ze strachu i zdenerwowania popełnił kardynalny błąd i nie sprawdził swojej wyporności, w efekcie plasnął ciężko na miękkie, muliste dno studni.

Wściekł się na własny brak kompetencji, ale nic już nie mógł poradzić na gęstą zasłonę mułu, która wzbiła się wokół niego niczym mgła. Mógł tylko czekać. Sprawdził ciśnienie w butli i stwierdził, że powietrza wystarczy mu jeszcze na piętnaście minut. To dlatego, że zaczął panikować, zużył go znacznie więcej niż w normalnych okolicznościach.

Doskonale wiedział, że to właśnie przez taką głupotę najczęściej giną płetwonurkowie. Musi się uspokoić. Lecz jego myśli szalały z niepokoju. Zejście zajęło mu siedem minut i tyle samo, a nawet więcej potrzebował na wynurzenie. Ale woda nadal była zbyt mętna, żeby mógł coś zobaczyć.

Powoli muł zaczął osiadać.

Zostało jedenaście minut.

Dziesięć.

Zobaczył kilka monet, coś, co wyglądało na opakowanie po kitkacie, częściowo zgniły karton po jakimś fast foodzie na wynos, starą komórkę Nokii. To nie to, co pokazała kamera. Tamto było większe. Dużo większe.

Odwrócił się i znowu zmacił wodę, muł zasłonił widok. Przykucnął i dłońmi w rękawiczkach zaczął grzebać w głębokim szlamie. Zmacił wodę jeszcze bardziej, zrobiło mu się niedobrze. Co tam jest? Coś obrzydliwego? Martwe zwierzę? Albo może żywe, jakieś przydenne stworzenie. Dotknął czegoś, co sprawiało wrażenie zdechłej żaby, i znowu się wzdrygnął. Wreszcie trafił na twardy przedmiot pokryty szlamem.

Czy to był kształt, który widział na nagraniu?

Podniósł go do twarzy, lecz w słabym świetle latarki widać było tylko szlam i wodorosty. Dopiero kiedy je wytarł, jego rozczarowanymi oczami ukazał się zwykły dziecięcy kalosz, po brzegi wypełniony mułem.

Upewnił się, że na dnie niczego więcej nie ma, i w końcu zaczął się wynurzać.

Pozostało osiem minut.

Płynął w górę tak szybko, jak pozwalał mu na to komputer. Zatrzymał się na krótko w miejscu, gdzie zostawił torbę. Otworzył ją, żeby wpuścić do środka wodę, po czym z powrotem zasunął. Ruszył dalej w górę i w końcu dotarł do powierzchni, zdjął maskę i z ulgą zaczerpnął świeżego, nocnego powietrza.

Przerzucił torbę przez krawędź studni.

I zamarł.

Przed nim stała ciemna ludzka postać.

Coś twardego uderzyło go w twarz i strąciło z drabinki. Wpadł do wody i natychmiast zaczął tonąć. Oszołomiony, opadając, łykał wodę i chaotycznie machał rękami, żeby wymacać drabinę.

Wreszcie udało mu się chwycić szczebelek, wstrzymał powietrze i odepchnął się w górę. Kiedy wynurzył głowę, rozkasłał się i wypluwając wodę, sięgnął po nóż. Ściskając go mocno w prawej dłoni, wchodził dalej po drabince. W ciemności nie widział, ile stopni mu jeszcze zostało do wylotu studni, więc zwolnił i po każdym szczebelku zatrzymywał się, czekał i nasłuchiwał.

Nagle usłyszał ryk uruchamianego silnika, pisk opon i odgłos odjeżdżającego samochodu.

Drań.

Pokonał po drabince resztę drogi, lecz u szczytu zatrzymał się zszokowany.

Na wierzchu studni leżała metalowa kratownica.

Bolał go nos, ale prawie nie zwracał na to uwagi. Ostrożnie wyjrzał między prętami. Jego plan się powiódł.

Na ziemi leżały dwie większe torby, lecz napastnik zabrał tę najmniejszą, z rzeczami, które tam wcześniej włożył, kupionymi poprzedniego dnia na pchlim targu – zardzewiałą puszką sucharów z lat trzydziestych dwudziestego wieku oraz

posrebrzanym kubkiem, jaki zgodnie z tradycją ofiarowywało się na chrzciny. Obydwa przedmioty zawinął wczoraj w szmatkę i włożył do torby.

Czekał, uważnie nasłuchując, ale nie dobiegły go już żadne odgłosy.

W końcu pchnął mocno kratownicę, lecz metalowa osłona nawet nie drgnęła.

Został zamknięty w grobowcu.

35

Wtorek, 28 lutego

Jeszcze raz z całej siły popchnął kratownicę, potem zdjął rękawicę i przejechał palcami wokół brzegu. Znalazł śrubę, ale nakrętka została dociśnięta tak mocno, że nie miał szans odkręcić jej zgrabiałymi palcami. Przejechał dłonią dalej i znalazł jeszcze trzy z sześciu mocowań. Wszystkie mocno dokręcone.

Sukinsyny!

Przez chwilę ogarnęła go ślepa panika. Czy utknie tu na całą noc, trzymając się kurczowo drabinki? Czy rankiem ktoś usłyszy jego wołanie? Czy wytrzyma do tego czasu?

Zdjął pas balastowy, przypiął go do kraty, po czym to samo zrobił z kamizelką i butlą tlenową. Bez tego obciążenia poczuł się swobodniej i mógł trochę jaśniej myśleć. Skupił się i spróbował uspokoić. Na dnie studni niczego nie było. Ale jeśli rzeczywiście, jak przypuszczał, Józef z Arymatei szukał kryjówki dla Świętego Graala i wybrał na to miejsce Chalice Well, to co by z nim zrobił? I kto właściwie nadał studni tę nazwę?

Józef nie miał sprzętu do nurkowania, więc poza wrzuceniem kielicha do wody mógł go tylko ukryć nad powierzchnią.

Spojrzał na zegarek. Dziewięta siedem – prawdopodobnie dopiero za dwanaście godzin zjawią się ludzie, którzy tu pracują. Ale tym będzie się martwił później. Na razie ma dwanaście godzin na zbadanie powierzchni studni. Potem wymyśli, co powiedzieć Imogen.

Postanowił działać metodycznie. Zdjął maskę i zaczynając tuż pod metalową kratą, zaczął po kolei naciskać wszystkie

kamienie tworzące ściany studni, podważał nożem spoiny i powoli schodził coraz niżej.

Już miał się poddać, kiedy jeden z dużych kamieni tuż nad powierzchnią wody dał się lekko poruszyć.

Przez kilka minut dłużył wokół niego nożem i poczuł, że stopniowo kamień coraz bardziej się obłuzowuje. Naciskał go i ciągnął, rozpychał na boki, kamień wyraźnie się przesunął, aż nagle ku jego niezmiernemu zdumieniu wpadł do środka i odsłonił w ścianie otwór.

Z walącym sercem Ross zajrzał w ciemność. Wyjął wodoszczelną latarkę i skierował światło w otwór. Zobaczył sporą jamę, wyglądało na to, że ciągnie się całkiem daleko. Poczuł na twarzy podmuch zimnego powietrza. Zaczął wydłubywać kolejny kamień, aż on również się obłuzował i mógł go wepchnąć do środka. Potem kolejny wpadł we wgłębienie. Otwór zrobił się teraz wystarczająco duży, by Ross mógł przecisnąć przez niego głowę i ramiona. Dużo mocniej czuł prąd zimnego powietrza.

Co się znajdowało na drugim końcu jamy? Jakies wyjście?

Zaczął się przeciskać w głąb, twarz oblepiła mu pajęczyna. Wzdrygnął się z obrzydzeniem i starł ją dłonią, a wtedy zobaczył przed sobą dwa czerwone punkciki. Chwilę później zniknęły. To musiał być szczur. Nie znosił tych zwierząt od czasów Afganistanu.

W tunelu śmierdziało wilgocią i stęchlizną, ale ściany z nieobrobionego kamienia wyglądały na suche. Czy to naturalne zagłębienie w skale, czy korytarz wykonany ludzką ręką? – zastanawiał się Ross, przeciskając się do środka. Mimo latarki na głowie oraz drugiej, którą trzymał w ręku, niewiele widział, ledwo na odległość kilku kroków. Miejsca wystarczało tu na tyle, by mógł klęczeć, nierówny sufit pokrywały drobne stalaktyty. Trzymając latarkę w jednym ręku, przeszedł na czworakach parę metrów, po czym tunel przed nim zaczął się zwężać i obniżać. Pozostał tylko niewielki otwór.

Psiakrew!

Nigdy nie czuł się dobrze w zamkniętych przestrzeniach, nie lubił nawet siedzieć na tylnym fotelu dwudrzwiowego samochodu. Żeby przecisnąć się dalej, musiał położyć się na brzuchu i czołgać.

Popchnął latarkę przed sobą. W ciemności zaświeciły następne czerwone punkciki.

– Spieprzaj stąd!

Usłyszał pisk, potem cichutkie skrobanie przemykających łapek. I cisza.

Wziął głęboki oddech, rozpląszczył się na ziemi i zaczął pełznąć. Czubkiem głowy ocierał się o strop jaskini, coraz silniejszy powiew zimnego powietrza dawał nadzieję, że gdzieś tam na końcu jest wyjście na otwartą przestrzeń.

W świetle latarki widział, że tunel przed nim jeszcze bardziej się zwęża. Kilka metrów dalej dotykał jednocześnie głową o strop, a brodą o podłoże.

Oddychał z coraz większym trudem. Czy da radę się dalej posuwać?

Narastała w nim panika, oddech robił się coraz szybszy. Hiperwentylacja, uprzytomnił sobie.

Uspokój się. Głęboki oddech, powoli. Teraz następny.

Strop i ściany tunelu napierały na niego ze wszystkich stron. Zupełnie jak w trumnie.

Doszedłeś tak daleko. Nie zatrzymuj się. Idź dalej.

Słyszał własny oddech odbijający się echem w przesmyku i szorowanie skafandra o kamienne ściany przy każdym kolejnym odepchnięciu.

A co będzie, jeśli tu utknę?

Szybko wyrzucił z głowy tę myśl i przeciskał się dalej.

W końcu po jakichś dwudziestu metrach wydało mu się, że tunel się otwiera. Natychmiast poczuł przypływ energii. Przyspieszył i minutę później znalazł się w jaskini na tyle wysokiej, że mógł stanąć na nogi i wyprostować się, jednak na drugim końcu widniał kolejny wąski korytarz.

Podniósł się z ulgą. Oświetlił sobie latarką nagie ściany, gołe, kamienne podłoże. W kącie po prawej stronie zobaczył małą wnękę.

Na ziemi pod otworem leżały pokryte kurzem kamienne odpryski, co wskazywało, że nie jest to naturalne zagłębienie w skale. Że ktoś je tu wykuł. Zaintrygowany, podszedł bliżej, chociaż cały czas lekko się zataczał. Poświecił do środka latarką. Głęboko na końcu wnęki leżał ukryty przedmiot.

Wsunął rękę i wyjął zakurzone drewniane jajo o nieregularnym kształcie, wielkości piłki do rugby. Wyglądało na to, że zrobione jest z dwóch połówek, połączonych twardym jak kamień spoiwem.

Przeszły go ciarki. To było bez wątpienia dzieło ludzkich rąk.

36

Wtorek, 28 lutego

Ross stał i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w przedmiot. Wszystkie lęki w jednej chwili wyparowały.

Czy to jest to, czego szukał Harry Cook?

Czy z powodu tego przedmiotu zginął?

Co jest w środku?

Kusiło go, żeby spróbować otworzyć drewnianą skorupę nożem, lecz musiał myśleć przede wszystkim, jak zabezpieczyć swoje znalezisko przed napastnikami i uciec stąd tak, żeby się na nich znowu nie napatoczyć. Facet, który kopnął go w twarz i uciekł z jego torbą, może się wkrótce zorientować, co jest w środku, i zawrócić.

Może korytarz po drugiej stronie jaskini prowadzi w jakieś miejsce, skąd mógłby uciec?

Nie ma wyboru, musiał spróbować.

Wczołgał się w następny tunel, tak ciasny, że ledwie się w nim mieścił, lecz w miarę jak się posuwał, cały czas czuł na twarzy coraz silniejszy powiew powietrza, coraz zimniejszy i świeższy. Po dwudziestu minutach zobaczył wylot, stopnie wykute w kamiennej ścianie oraz następne pomieszczenie, w którym mógł się wyprostować.

Trzymając latarkę w jednej dłoni, a znaleziony przedmiot w drugiej, wspiął się jakieś siedem metrów w górę. Na szczęście z każdym krokiem nadal coraz wyraźniej wyczuwał zapach świeżego powietrza. Nad sobą zobaczył następną okrągłą, zardzewiałą kratę. A za nią ciemność.

Nie miał pojęcia, gdzie jest, mimo to złapał metalowe pręty i spróbował je pchnąć. Na próżno.

Czując nawracający atak paniki, wyjął nóż i zaczął go wbijać w szczelinę wokół krawędzi. Nagle trafił w coś miękkiego. Na

twarz posypała mu się ziemia, dostała mu się do oczu i na chwilę go oślepiła.

Zamrugnął, wytarł oczy, po czym założył maskę i wrócił do przerwanej czynności. Przez kilka minut wbijał nóż w obrzeża żelaznej kratownicy, po czym ponownie spróbował ją wypchnąć. Tym razem krata odrobinę drgnęła.

Wyteżył wszystkie siły i napał na pokrywę. I znowu przesunęła się o kilka centymetrów.

Popchnął jeszcze raz, aż w końcu z odgłosem zasysania, jakby ziemia ustępowała bardzo niechętnie, kratownica uniosła się i odpadła.

Wdrapał się na dwa ostatnie stopnie, przecisnął przez otwór i poświecił dookoła latarką. Znajdował się w gęstych zaroślach. Zaczął się przedzierać i wkrótce wyszedł na trawiaste zbocze wzgórza. Wtedy zrozumiał, gdzie jest.

Sto metrów nad nim wznosiły się ruiny Glastonbury Tor, gdzie był tydzień temu. Po lewej stronie rósł wielki, na pierwszy rzut oka nieprzebyty gąszcz głogu z kilkoma drzewami w środku.

Ross zatrzymał się na deszczu i obejrzał w kierunku Chalice Well.

37

Wtorek, 28 lutego

Ross wrócił do miejsca, skąd zaczął, rozglądając się uważnie, czy nigdzie w pobliżu nie kręcą się podejrzeni osobnicy. Jego dwie pozostałe torby leżały tam, gdzie je zostawił. Ostrożnie zawinął swoje znalezisko w ręcznik i włożył do jednej z nich. Kiedy skończył, przystąpił do zacierania za sobą śladów.

Odkręcił kratownicę na studni, wciągnął na górę drabinkę z butlą i pasem balastowym i wszystko z powrotem zapakował. Potem położył kratę, przykręcił ją, ale nie zawracał sobie głowy wkładaniem na miejsce kamieni, które zasłaniały otwór. Wreszcie zdjął skafander, ubrał się i ruszył z powrotem do samochodu. Przerzuciwszy torby przez ogrodzenie, przeszedł przez mur, cały czas nasłuchując, czy nie usłyszy nadjeżdżającego samochodu lub zbliżających się kroków.

Dopiero kiedy oddalił się od Glastonbury kilkanaście kilometrów w kierunku Brighton, zjechał na opustoszały parking i zatrzymał się za nieczynnym barem w przyczepie, tak aby nie było go widać z drogi. Zamknął drzwi od środka, zapalił światło, drżącymi dłońmi otworzył przemoczoną torbę leżącą na fotelu pasażera i przyjrzał się dziwnemu, owalnemu przedmiotowi zawiniętemu w ręcznik.

Kiedy nim potrząsnął, w środku coś delikatnie zagrzechotało. Jeszcze raz się rozejrzał, czy nikogo w pobliżu nie ma, i zaczął zeszkrobywać w jednym miejscu grubą warstwę brudu, by odsłonić gołe drewno. Potem przyłożył go do ucha i postukał. Przedmiot wydał głuchy odgłos.

Drżąc z podniecenia, próbował rozdzielić obie połówki, ale nie dał rady. Musi to odłożyć do powrotu do domu.

Zastanawiał się, co może znajdować się w środku. Czy to możliwe, żeby przepowiednie Cooka się ziściły?

A może nic tam nie ma i wszystko okaże się jednym wielkim rozczarowaniem?

Nie miał odwagi rozbudzać w sobie nadziei, że to może być prawda. Święty Graal. Z pewnością ktoś – czy był to Józef z Arymatei, czy ktoś inny – zadał sobie mnóstwo trudu, by ukryć ten drewniany przedmiot. Przeleżał tam wiele lat.

Spojrzał w lustro, zobaczył strużki zaschniętej krwi pod nosem i na ustach, a także zdartą skórę na czole i policzkach. Zmoczył chusteczkę i oczyścił twarz najlepiej, jak mógł. Nos bolał przy każdym dotknięciu. Może słaba żarówka samochodowa rzucała takie cienie, lecz wydawało mu się, że ma sińce pod oczami – znak, że nos został złamany.

Przyjechał do domu po drugiej, nadal naładowany adrenaliną. Zaparkował przed garażem obok priusa Imogen – garażu używali tylko do przechowywania rzeczy oraz jako warsztatu, żadnemu z nich nie chciało się wprowadzać samochodu do środka.

Rozejrzał się w ciemności i jak najdokładniej zlustrował podwórze, zanim wysiadł i ruszył w stronę garażu. Po cichu otworzył bramę uchylną, zapalił światło, wypakował torby, po czym zamknął z powrotem drzwi i sprawdził, czy się zablokowały.

W pośpiechu powiesił sprzęt do nurkowania nad swoją kolarzówką oraz złożonym bromptonem, otworzył wewnętrzne drzwi i wniósł do domu torbę z osobliwym znaleziskiem. Minął Monty’ego, który spał zwinięty w kłębek w swoim wiklinowym koszu. Pies otworzył jedno oko, po czym zamknął je z powrotem, a Ross poszedł na paluszkach do sypialni.

Przygotował oficjalną wersję dla Imogen, by wytłumaczyć złamany nos i podrapaną twarz: uderzył go rozwścieczony dyrektor funduszu hedgingowego, kiedy pojechał do niego po napisaniu artykułu o celebrytach unikających płacenia podatku.

Jego żona spała jak kamień, ale zostawiła mu włączoną lampkę nocną.

To dobrze.

Już miał się wymknąć z powrotem na paluszkach, kiedy wymamrotała:

– Jak minął wieczór?

– Dość nudno.
– To dobrze.
– A twój?
– Nie wszystkim się podobała książka. Niektórzy uważali, że jest za długa, ale ja się nie zgodziłam.

Podszedł i pocałował ją w policzek.

– Dobranoc.
– Kocham cię.
– Ja też cię kocham.

Starał się powiedzieć to z całego serca, ale nie przyszło mu to łatwo.

Po cichu zamknął drzwi sypialni i wrócił na dół. Wyjął z szafki whisky Craigellachie i pociągnął łyk prosto z butelki, żeby się uspokoić. Potem wziął gumowe rękawiczki, ostrożnie wyjął z torby znaleziony przedmiot, położył go w zlewie na suchej ściereczce kuchennej i zrobił zdjęcie komórką.

Następnie ostrożnie i delikatnie wytarł go ściereczką z kurzu. Nie chciał używać szczotki, na wypadek gdyby na powierzchni znajdowały się jakieś napisy lub symbole. Tajemniczy przedmiot był na pewno wykonany z drewna, najprawdopodobniej dębowego. Ross przypuszczał, że jest to jakiś pojemnik zrobiony z wąskiego pnia, rozpołowionego, a następnie z powrotem zamkniętego i sklejonego. Wyglądał na bardzo stary, drewno mocno pociemniało i przypominało eksponaty w muzeum.

Ross patrzył na niego i rozmyślał.

Zastanawiał się.

Czy tego właśnie szukałeś, doktorze Cook? Czy tego chciał od ciebie Bóg? Pierwszy z trzech przedmiotów, do których prowadzą współrzędne?

Światło odrobinę przygasło. Zamrugalo. Po czym znów rozbłysło. Ross zadrżał, spojrzął na świetlówki punktowe. Z walącym sercem nasłuchiwał, czy Imogen nie wstaje z łóżka, lecz poza Montym chlepczącym wodę z miski wszędzie panowała cisza.

Może nie powinien tego dotykać, tylko od razu zawieźć do ekspertów, może do British Museum? Jeśli będzie próbował otworzyć przedmiot, może coś zniszczyć.

Musiałby jednak wtedy wyjaśnić, skąd go ma, i wyjawić, co może zawierać. A na razie wolał zatrzymać te informacje dla siebie.

Zrobił jeszcze trochę zdjęć, po czym wybrał duży, ciężki nóż z drewnianego stojaka obok zlewu i przystąpił do otwierania pojemnika.

Spoiwo, które łączyło połówki, było twardsze niż kamień. Twarde niczym diament. Nie mógł wbić noża między obie połówki, mimo że wkładał w to całą siłę, uważając, by ostrze się nie ześliznęło. Zmęczony i sfrustrowany poszedł do garażu, włożył znalezisko w imadło – które kupił razem z resztą warsztatu w niespełnionej dotąd nadziei na podszlifowanie swoich umiejętności w dziedzinie „zrób to sam” – i zaczął skręcać. Zacisnął je na tyle mocno, aby nie zgnieść drewnianej skorupy, po czym przyłożył do spoiwa dłuto i stuknął młotkiem. Nic. Stuknął mocniej, potem jeszcze mocniej, aż w końcu ostrze przeszło na wylot.

Piętnaście minut później udało mu się wydłubać odpowiednią ilość spoiwa. Rozkręcił imadło, wepchnął dłuto do środka i zaczął lekko pokręcać trzonkiem.

Górna połówka otworzyła się z głośnym trzaskiem niczym skorupa małża. W dolnej części leżało zawiniątko w ciemnobrązowej tkaninie, obwiązane czymś, co wyglądało na sznur z rafii.

Ostrożnie ułożył obie połówki pojemnika na ściereczce, po czym wziął do ręki zawiniątko. Ukryty w środku przedmiot był lekki i twardy. Kiedy zaczął go odwijać, fragmenty tkaniny rozsypywały mu się w dłoni na pył. Musiała być bardzo stara.

W końcu po zdjęciu kilku warstw materiału zobaczył, co znajdowało się w środku, i poczuł na skórze dziwne mrowienie, jakby każdy włoszek na jego ciele stanął dęba.

Przedmiot wyglądał jak ręcznie wyciosane drewniane naczynie do picia. Kielich.

Zrobił kilka zdjęć, po czym podniósł go w górę. Był nierówny, lecz piękny, delikatny, o eliptycznej czaszy i małej, płaskiej, okrągłej nóżce.

Na dnie czaszy widniała ciemna, zaschnięta substancja.

Czym jest przedmiot, który właśnie przed nim leży?

Wyjątkowo wyrafinowanym psikusem? Czy też czymś, czego cały chrześcijański świat szukał od dwóch tysięcy lat?

Czy to możliwe?

Nagle zatrząśły się drzwi garażu, jakby ktoś próbował je otworzyć. Ross zamarł. Po chwili się uspokoił. To tylko wiatr. Znowu popatrzył na naczynie. Czy naprawdę znalazł Świętego Graala?

Najwyraźniej tak właśnie uważał człowiek, który go śledził do Chalice Well, a potem kopnął w twarz i uciekł z torbą pełną staroci z pchlego targu.

Ross ponownie spojrzął na swoje znalezisko. Grubo ciosany kielich. Czy jest to naczynie, z którego pił Chrystus podczas Ostatniej Wieczerzy? W które, zgodnie z legendą, zebrano jego krew w czasie ukrzyżowania? Które Józef z Arymatei przywiózł do Anglii i chronił, a następnie ukrył w jaskini z zamaskowanymi wejściami, prowadzącymi ze studni Chalice Well oraz zbocza Glastonbury Tor?

Ross zastanawiał się, ile czasu minie, zanim jego napastnik zorientuje się, że został wykiwany, i przyjdzie po prawdziwą zdobycz.

Czy to ten sam zwyrodnialec, który torturował i zabił Cooka?

Musi ukryć swoje znalezisko.

Rozejrzał się gorączkowo za miejscem, które mogłoby ujść uwagi ewentualnych intruzów. W kącie garażu stała pusta, stara torba golfowa. Wsunął drewniany pojemnik do bocznej kieszeni i zapiął suwak. Potem zawinął naczynie w wodoodporną kamizelkę do golfa, ponownie włożył latarkę czołową i wyszedł z kielichem do ogrodu za domem.

Za szopą, w miejscu gdzie trzymali kompost, odrzucił na bok trochę ziemi, wykopał głęboki dołek, ułożył na dnie zawinięty kielich i z powrotem zasypał otwór. Wygładził powierzchnię i szpadlem przeniósł kompost na poprzednie miejsce.

Kiedy skończył, wrócił do domu, zdjął ubłocone buty i wycieńczony wszedł na górę do łazienki. Był cały obolały, w głowie aż mu dudniło po kopnięciu w twarz. Wyjął z szafki dwie tabletki paracetamolu i połknął, popijając wodą. Szybko umył zęby, rozebrał się, wziął bardzo szybki prysznic i położył się do łóżka.

Zegar wskazywał drugą czterdzieści dziewięć.

Był wykończony, ale zdecydowanie za bardzo podniecony, żeby chociaż zmrużyć oko.

Leżał, myśląc i nasłuchując, przerażony każdym dźwiękiem, jaki usłyszał.

Jakie niebezpieczeństwo ściągnął na siebie i Imogen?

Co powinien teraz zrobić?

Po pierwsze, natychmiast z samego rana wezwie firmę ochroniarską. Kaze im przyjechać, założyć w domu wszystkie zabezpieczenia, jakie się da, i zainstalować przyciski alarmowe.

Leżał w ciemności, przez głowę przemykały mu obrazy zwłok torturowanego Harry'ego Cooka. Przypominał sobie wszystko, co się tej nocy wydarzyło. Człowiek, który kopnął go w twarz i zamknął w studni, na pewno nie zostawi go w spokoju. Zwłaszcza kiedy otworzy torbę.

Niewiele miał ostatnio powodów do uśmiechu, lecz na tę myśl natychmiast poweselał. Niestety przelotnie, bo po chwili wszystkie obawy powróciły ze zdwojoną siłą.

38

Środa, 1 marca

Refektarz Simonopetry był przestronnym pomieszczeniem o wysokim stropie i surowym wystroju, w którym bez trudu mogło się pomieścić trzystu zakonników, bo dla takiej liczby został zaprojektowany i wzniesiony monaster.

Białe stoły z marmuru, który wydobywano na półwyspie, ustawione były według długości. Zakonnicy siedzieli przy trzech stołach i jedli poranny posiłek w milczeniu, podczas gdy opat stał przy pulpicie na środku refektarza i monotonnym głosem czytał fragmenty świętych pism.

Brat Pete siedział sam w kącie sali. Był to klasztorny „krnąbrny róg”, gdzie sadzano mnichów, którzy popełnili wykroczenie, żeby w samotności odbywali pokutę.

Przez cały miesiąc nie dostanie wina, które pili inni. Musi się zadowolić wystygłą rybą, fetą, pomidorami, sałatą i chlebem, spożywanymi w odosobnieniu, sam na sam ze swoimi myślami i zdartymi kłykciami, bolącymi jeszcze od ciosu, który zadał dziennikarzowi.

Wezwano go do opata kilka godzin po zdarzeniu. Dostał surową naganę za to, że „okrył swój monaster hańbą”.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że bez dotacji, zwłaszcza z Unii Europejskiej, nasz monaster, a nawet cała społeczność góry Athos by nie przetrwała, bracie Pete?

– Tak, ojcze.

– Może za bardzo przesiąkłeś amerykańską skłonnością do przemocy, by odnaleźć się wśród nas? Wyznałeś mi na początku, że spędziłeś dwa lata w więzieniu za napaść na człowieka, który zachował się wobec ciebie grubiańsko, kiedy pracowałeś w restauracji z hamburgerami. Może nadal nosisz w sercu tę samą gwałtowność?

– Nie, ojciec. Głęboko mi zależy na wszystkim, co robimy i czym żyjemy. To było coś innego, ten dziennikarz chciał nas skompromitować w oczach świata. Przestraszyłem się, że to może zaszkodzić naszym dotacjom z Unii Europejskiej, od których zależy nasz byt. Poczulem, że muszę nas bronić.

– Nie bronimy się przemocą.

– Przepraszam. Ostatnio zakłócają mój spokój pewne wizje. Mam wrażenie, że Bóg do mnie przemawia, daje mi wskazówki.

– Naprawdę? – Opat przymknął oczy i przyjrzał się bratu Pete'owi bardzo uważnie. – Co ci nasuwa tę myśl?

– Trudno to wytłumaczyć. Czuję to głęboko w środku.

– I co ci mówi Bóg?

– Że nasz Pan, Jezus Chrystus, wrócił na ziemię i nikt o tym nie wie. Przybył, aby zbawić świat. Ale potrzebuje naszej pomocy.

– To bardzo doniosłe twierdzenie, mój synu. Jeśli się mylisz, możesz sobie napytać biedy. Powiedz mi, czemu Bóg miałby do ciebie przemówić, skoro brzydzi się przemocą? Przemoc w niczym nie pomaga.

Pete wbił oczy w podłogę.

– Zgrzeszyłem i bardzo tego żałuję, ale czuję to tak mocno.

– Wszyscy wiemy, że nasz Pan powraca. To, co nam mówił, zawsze pełne było miłości i przebaczenia. Musimy nieść ludziom jego słowo. Jak sądzisz, co można osiągnąć biciem dziennikarza?

Pete'owi zaczerwieniły się policzki.

Teraz jednak, kiedy siedział sam pogrążony w swoich myślach, dziobiąc z roztargnieniem śniadanie, żałował, że jego kuzyn Angus nie pozostał w monasterze. Z żadnym innym człowiekiem nie rozmawiało mu się tak dobrze jak z nim.

Coraz częściej się zastanawiał, czy jego kuzyn czuł podobnie do niego. Że zbliżają się przełomowe zdarzenia.

Że nasz Pan przygotowuje się do powrotu i nikt nie zdaje sobie z tego sprawy.

Szyld przed sklepem w Lanes w centrum Brighton głosił: DEREK BELVOIR. ANTYKI I RENOWACJA. W prywatnym gabinecie na zapleczu małego zatłoczonego lokalu Ross zdjął okulary przeciwsłoneczne, które zasłaniały jego sińce pod oczami.

– No i co o tym myślisz? – spytał Belvoira.

Ross poznał starego łotra prawie dziesięć lat temu, kiedy pisał artykuł o historii niesławnych „kołatkowych oszustów” z Brighton. W czasach rozkwitu nieuczciwego handlu antykami kołatkowi oszuści wykorzystywali wszelkie możliwe sztuczki, aby wyłudzać od starszych ludzi ich najcenniejsze zabytkowe przedmioty.

Derek Belvoir rozmawiał z nim wówczas otwarcie i bez skrępowania. Opowiedział mu na przykład, nie bez chępliwości w głosie, jak zrobić fałszywą skrzynię georgiańską albo stół. Albo dorobić brakujące krzesła do antycznej jadalni, wykorzystując nowe materiały, lecz tak, aby były prawie nie do rozpoznania.

Derek siedział za biurkiem w tweedowym garniturze z żółtym krawatem, z siwymi włosami uczesanymi starannie, lecz z fantazją, i przez lupę jubilerską wciśniętą w prawe oko oglądał dwie połówki drewnianego pojemnika, który przyniósł mu Ross. Z szacunku włożył białe bawełniane rękawiczki, a na biurku przygotował podkładkę z czarnego aksamitu.

Tej starannie wypracowanej arystokratycznej powierzchowności zadawał kłam piskliwy, cichy głosik, w którym pobrzmiwał akcent londyńskiej gwary ulicznej, pasujący z kolei do tanich szarych mokasynów i złotego kolczyka w uchu. Pomimo wszystko Ross szanował Belvoira,

ponieważ facet naprawdę znalazł się na rzeczy. Do tego stopnia nawet, że przez pewien czas, niezbyt długo, brał udział w popularnym programie telewizyjnym, *Antiques Roadshow*, potem jednak wsadzono go do więzienia za handel fałszywymi antykami.

Kiedy Ross ostatnio się z nim widział, sklep Belvoira zajmował wielki, dwupiętrowy lokal w najlepszym miejscu w Lanes. Niestety, ostatnimi laty zarówno krajowy, jak i międzynarodowy handel tak zwanymi „brązowymi meblami” mocno podupadł. Większość szanowanych antykwariuszy w Brighton zajęła się biżuterią oraz antykami orientalnymi, ci zaś, którzy zawsze żyli na pograniczu świata przestępczego, przeczucili się na narkotyki.

– Niech mnie dunder świsnie, Ross, skądżeś ty to wytrzasnął?

Belvoir spojrzał na niego zaintrygowany.

– Co możesz mi o tym powiedzieć?

– To dąb. Trudno ocenić wiek, ale wskazówką może być szpachlówka.

– Co takiego?

– Spoiwo... klej... to, co łączyło obie połówki.

Ross skinął głową.

– Nieźle bym się napocił, żeby zrobić replikę. Nie żebym w tym dalej siedział, robię już tylko w legalu, jasne?

– Jasne, Derek, nie wnikam w to. Chcę się tylko dowiedzieć, skąd to pochodzi.

Derek podniósł na niego wzrok, spojrzał na jego sińce pod oczami.

– Ładne limo.

Po czym przeniósł wzrok na kielich.

– To za to oberwałeś?

– Bardzo zabawne.

Belvoir skupił się z powrotem na swoim zajęciu.

– Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. – Podniósł do oczu kielich. Powoli go obracał i oglądał ze wszystkich stron.

– Zrobiony przez pierwszorzędnego stolarza, zanim wynaleziono tokarkę. Cholernie to stare. Tak stare, że nie umiem podać daty. W środku jest jakaś zaschnięta maź, może to coś, co pił jego właściciel? Ale bardzo ciekawe jest to

skamieniałe spoiwo, szpachlówka, która łączyła pojemnik. W jakimś laboratorium mogliby ci powiedzieć coś więcej na temat kielicha i pojemnika. Klej to prawdopodobnie smoła albo sok drzewny.

– Jak dawno temu używano czegoś takiego, Derek?

– Tysiąc lat temu, jeśli nie więcej. Może nawet dużo dawniej. Ross starał się niczego po sobie nie pokazać.

– Naprawdę?

Belvoir delikatnie położył kielich na tkaninie i wyjął z oka lupę. Potem podniósł wzrok i popatrzył na Rossa przenikliwym spojrzeniem.

– Czy mogę spytać, skąd to wzięłeś?

– Kupiłem na jakiejś domowej wyprzedaży staroci.

– Ile za to dałeś? Kilka funciaków?

Ross uniósł palec.

– Jednego?

– Tak.

– No, no, toś ubił interes stulecia! Nawet nie umiałbym tego wycenić, bo to taki unikat. Mógłbym zaryzykować domysł, że pojemnika używano na statku, dąb to najbardziej wodoodporne drewno, w każdym razie niektóre gatunki, na przykład ten. To na pewno bardzo stare cacko.

– Powiedziałeś, że soku z drzewa używano do klejenia ponad tysiąc lat temu, tak? Czyli ten pojemnik może mieć ponad tysiąc lat?

– Nie wiem. W laboratorium zrobiliby datowanie radiowęglowe, ale czy dałoby się ustalić dokładny wiek, to zależy od tego, gdzie był przechowywany. Interesuje cię, ile jest wart?

– Raczej nie, bardziej skąd pochodzi.

– Dam ci za niego pięć stów, jeśli dorzucisz kielich.

– Tylko tyle?

– Szkoda, że nic więcej o nim nie wiesz. Może być bezcenny. Może to nawet sam Święty Graal!

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Jasne, kto wie?

Belvoir przeszył go poważnym spojrzeniem.

– To unikat, Ross. Ale na tym polega jego problem: nie da się go z niczym porównać. – Podniósł wzrok. – Pewnie tam, skąd go

wytrzasnąłeś, nie ma takich więcej?

– O, jasne, w moim osiedlowym supermarkecie jest tego całe mnóstwo.

40

Czwartek, 2 marca

Z samego rana Ross wsiadł do pociągu do Londynu. Jak zawsze w godzinach szczytu zarówno na peronie, jak i w wagonie panował tłok. Lustrował uważnie tłum podróżnych, czy nikt go nie obserwuje, chociaż zdawał sobie sprawę, że dobra grupa śledząca potrafi być prawie niewidzialna.

Na dworcu Victoria przesiadł się do metra do Euston, a tam usadowił się wygodnie w pociągu Intercity do Birmingham. Imogen wzięła wolny dzień i czekała w domu na firmę ochroniarską, która miała im założyć czujniki ruchu, przyciski alarmowe na parterze oraz w sypialni, a także zamki w oknach. Żeby uśmierzyć niepokój Imogen związany z wydatkami, skłamał, że dostał od „Sunday Timesa” zaliczkę na pokrycie wydatków.

Włączył laptop i sprawdził najpierw media społecznościowe. Nadal dostawał odpowiedzi na post z zeszłego tygodnia z pytaniem, co ludzie uznaliby za dowód istnienia Boga. Większość odpowiedzi pochodziła od praktykujących chrześcijan i zawierała głównie cytaty z Biblii; jeden od muzułmanina z cytatem z Koranu. W jednym poście ktoś kazał mu wyjść z domu wieczorem i popatrzeć na zachód słońca. W innym autor oznajmiał, że jeśli Ross musi zadawać to pytanie, to będzie gnił w piekle przez całą wieczność.

Zaczął robić notatki, zainspirowany rozmową z Benedictem Carmichaelem o tym, co mogłoby być takim niepodważalnym dowodem, a także jakie konsekwencje by z niego wynikły.

„Jak zareagowałyby ześwieczony świat zachodni, gdyby ostatecznie dowiedziono istnienia Boga?” – wystukał na klawiaturze.

Kiedy pociąg ruszył ze stacji, zaczęli go mijać ludzie, którzy właśnie wsiedli. Jakaś kobieta zatrzymała się i popatrzyła na puste miejsce obok niego, gdzie leżał jego pokrowiec od laptopa. Posłała mu wymowne, pełne wyrzutu spojrzenie, lecz Ross nie miał ochoty, by ktoś obok niego siadał i zaglądał mu w ekran, więc odpowiedział jej równie wymownym spojrzeniem. Nagle mimowolnie zadrgały mu mięśnie twarzy i kobieta pospiesznie odeszła. Ross odetchnął z ulgą. Bóg to sprawił! Uśmiechnął się do siebie i wrócił do pracy.

Korytarzem przejechał wózek z minibarem. Ross kupił kawę, butelkę wody i kanapkę z jajkiem, którą zjadł łapczywie, zanim wrócił do pracy.

Zaczął przeglądać notatki, które robił podczas rozmowy z Carmichaelem, po czym napisał: „Dowód jest wrogiem wiary?”

Przez okno widział krajobraz z brzydkimi, ponurymi budynkami i przysadzistymi kominami bekającymi dymem w szarobure niebo. Podróż na północ przywołała myśl o Rickym, a z nią nieodstępne poczucie winy.

Jego brat zawsze starał się być w stosunku do niego przyjacielski, a on go odtrącał, z czasem coraz bardziej. Ricky nigdy nie rozumiał dlaczego. Wyciągał do niego rękę, próbował odgadnąć, czemu brat jest wobec niego taki chłodny. Minęło ponad dziesięć lat od jego śmierci, a tamten moment w siłowni tkwił w pamięci Rossa równie żywo jak wtedy. Podobnie jak wyrzuty sumienia.

Zamknął oczy. Było mu ciężko na sercu. Myślał o tym, jak podły musiał się wydawać swemu bratu bliźniakowi. Niechęć do Ricky'ego pogłębiała się z wiekiem, aż w końcu odwrócił się od niego prawie zupełnie. W ciągu kilku lat poprzedzających jego śmierć prawie w ogóle się nie widywali.

Czy w chwili śmierci Ricky po raz ostatni próbował go do siebie przyciągnąć? Odnowić więź? Zostawić mu wiadomość?

Może tak samo jak Harry Cook Ross powinien poszukać jakiegoś medium i skontaktować się z Rickym?

Nie podobał mu się ten pomysł, mimo to nie potrafił go odrzucić.

Zapadł w niespokojną drzemkę, lecz po chwili obudził go głos płynący z interkomu:

– Dojeżdżamy do stacji docelowej Birmingham New Street.
Prosimy o zabranie swoich bagaży.

41

Czwartek, 2 marca

Siedząc na tylnym siedzeniu taksówki i starając się skupić na celu swojej wizyty, Ross rozmyślał o burzliwych wydarzeniach minionego tygodnia. Harry Cook zaprzeczył, jakoby zaczął kopać w ziemi na terenie Chalice Well. Jeśli więc naprawdę go przyłapano, zanim zdążył wbić szpadel, musiał to zrobić później ktoś inny. Starzec zaklinał się, że poza Rossem nikomu nie udostępnił tych współrzędnych, mimo to ktoś wykopał całkiem spory, choć wąski kawałek ziemi dokładnie w tym miejscu.

Kto to był? I po co to zrobił? Czy to ci sami ludzie, którzy go zaatakowali i zamknęli w studni?

Cook rozdrażnił swoją natarczywością ludzi z fundacji Chalice Well, lecz instytucja ta nie miała w sobie nic sekretnego. Ross znalazł w Google'u fotografie wszystkich członków zarządu. Na stronie widniały spisane cele fundacji. Jej głównym zadaniem była konserwacja Chalice Well oraz otaczających ogrodów.

Czy członkowie fundacji postanowili sprawdzić, co znajduje się w miejscu, które wskazał im emerytowany historyk sztuki? Czy Cook zdradził im więcej informacji niż Rossowi? Czy postanowili sami przekopać to miejsce, żeby się upewnić, że starzec naprawdę miał urojenia?

Czy...?

Wyjrzał przez okno taksówki. Jechali główną ulicą miasta z rozpadającymi się czteropiętrowymi bliźniakami z czerwonej cegły po obu stronach. Zatrzymali się przed jednym z nich.

– Numer trzydzieści trzy? – upewnił się kierowca.

– Tak.

Ross spojrzął na zegarek. Jedenasta pięćdziesiąt. Idealnie, był umówiony w południe.

Zapłacił kierowcy, dał mu przyzwoity napiwek i wszedł na ganek. Mosiężna tabliczka, która domagała się polerowania, informowała: BIURO NOTARIALNE ANHOLT-SPERRY BRINE.

Nacisnął dzwonek i usłyszał kliknięcie zamka. Wszedł do recepcji, równie starej i zaniedbanej jak fasada domu. Zza wysokiego drewnianego kontuaru popatrzyła na niego siwowłosa kobieta uczesana w ciasny, surowy kok.

– Czym mogę służyć? – spytała głosem ociekającym podejrzliwością.

– Jestem umówiony na spotkanie z Robertem Anholtem-Sperrym.

– Jak się pan nazywa?

Podał swoje nazwisko, a kobieta poprosiła, by usiadł.

Pięć minut później znacznie miłsza, młodsza niewiasta zaprowadziła go po wąskich schodach na trzecie piętro, otworzyła drzwi i wpuściła do zagraconego gabinetu z biurkiem oraz znaczną częścią podłogi zarzuconą stosami papierów. Z fotela podniósł się ciężko mężczyzna mniej więcej w wieku Cooka, o obwisłych policzkach z grubymi fałdami skóry zwisającymi po obu stronach twarzy i z podbródka. Rzadkie włosy zaczesywał z boku na wyłysiałą czaszkę. Na wystrzępionym kołnierzyku kraciastej koszuli nosił byle jak zawiązany krawat absolwentów Harrow School. Wyglądał na zmęczonego życiem, poruszał się powoli jak człowiek świadom, że czas mu się kończy, więc nie ma po co się spieszyć. Podeszedł go przywitać.

– Pan Hunter? – spytał głębokim i dźwięcznym głosem, równie wyrafinowanym jak jego nazwisko.

Wyciągnął dłoń pokrytą plamami wątrobowymi. Ross uścisnął ją mocno.

– Proszę, niech pan usiądzie. – Wskazał fotel z wytartym skórzanym obiciem po drugiej stronie biurka. – Herbaty lub kawy?

– Poproszę kawę.

– Dwie kawy, Sandro, dziękuję bardzo – powiedział do swojej sekretarki.

Ściany gabinetu były gołe, jeśli nie liczyć kilku rzędów półek wypełnionych bezładnie książkami prawniczymi oraz oprawionego w ramki świadectwa przyjęcia do Stowarzyszenia Prawników. Brudne okno wychodziło na ruchliwą ulicę.

Prawnik obrzucił surowym spojrzeniem jego twarz i Ross uprzytomnił sobie, że mężczyzna przygląda się jego oczom. Od wczoraj sińce nieco zbladły, lecz nadal były wyraźnie widoczne.

– Wraca pan z wojny? – spytał.

– Wpadłem na drzwi – odparł Ross.

– Oczywiście, piekielnie niebezpieczne przedmioty, takie drzwi.

Obaj się uśmiechnęli, świadomi, że prawda jest całkiem inna.

– Okropne, co się przydarzyło nieszczęsnemu Harry'emu – powiedział prawnik, zmieniając temat, kiedy usiadł w fotelu. – Jak rozumiem, to pan go znalazł, prawda?

– Tak.

– O ile mi wiadomo, znaliście się dość krótko?

– Kilka dni – odrzekł Ross. – A pan? Przyjaźniliście się?

– Od czterdziestu lat. Byłem ojcem chrzestnym jego syna, który zginął w Afganistanie. Czy Harry mówił panu o tym?

– Tak, zginął pod ostrzałem sojusznicznych wojsk.

– Podziwiał artykuł, który pan napisał w „Sunday Timesie” na temat wyposażenia naszych wojsk.

– Tak, mówił mi o tym.

Anholt-Sperry uśmiechnął się ze smutkiem.

– Powinien pan wiedzieć, że Harry był bardzo porządnym człowiekiem. Szczerze przejmował się losami tego świata.

– Ja również odniosłem takie wrażenie.

– Rozmawiałem z nim po waszym spotkaniu, powiedział, że panu ufa. – Znowu uśmiechnął się z żalem. – Czy miał rację, panie Hunter?

– No cóż, jeśli mam być szczerzy, to zamierzałem go poinformować, że nie jestem człowiekiem, jakiego szuka. Ale powiedział przez telefon coś, co mnie na tyle zaintrygowało, że postanowiłem dać mu jeszcze jedną szansę. Dlatego pojechałem go odwiedzić. Czy ma pan jakieś informacje od policji na temat zabójców?

– Jak dotąd nie. Wstępna sekcja zwłok wykazała, że bezpośrednią przyczyną zgonu był zawał, prawdopodobnie na skutek tortur. Mam swoje kontakty w policji, obiecano mi przekazywać informacje, gdy tylko coś odkryją. Wstępnie przyjmują roboczą hipotezę, że był to sadystyczny rozbój z włamaniem. Napastnicy wyraźnie czegoś szukali. Zdaje się, że w tej okolicy odnotowano ostatnio wzrost liczby podobnych napadów, najczęściej na bezbronne, starsze osoby mieszkające na uboczu. To wszystko, co na razie wiem. Mój znajomy z policji powiedział, że jak dotąd nie wykluczyli pana z kręgu podejrzanych.

To rzekłszy, przeszył go surowym spojrzeniem. Ross poczuł się nieswojo. W domu Cooka na pewno znaleziono jego odciski palców. W czasie przesłuchania zmyślił historyjkę o przyczynie swojego przyjazdu, ale o jaki motyw mogą go podejrzewać? Pokręcił głową.

– Chyba nie myśli pan poważnie, że mógłbym to zrobić? Czemu miałbym go zabijać? Zjawił się u mnie ni stąd, ni zowąd, to on oczekiwał ode mnie pomocy.

– Więc co takiego powiedział przez telefon, co pana tak zaintrygowało, że postanowił pan dać mu drugą szansę i pojechać do niego do domu, panie Hunter?

– Zapewniał mnie, że od naszego pierwszego spotkania odkrył coś, co przekona mnie, bym mu pomógł. Prosił, żebym go nie traktował jak starego wariata... to jego własne słowa, i dał mu szansę opowiedzieć, czego się dowiedział. Spytałem go, o co chodzi, lecz odparł, że to zbyt niebezpieczne, by mówić o tym przez telefon, cokolwiek miał na myśli.

– Więc ostatecznie nie dowiedział się pan, o co chodziło?

– Kiedy przyjechałem, zobaczyłem, że dom został splądrowany. Zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie nie powinienem był wchodzić do środka.

– Więc czemu pan wszedł?

– Policja zadawała mi to samo pytanie: Dlaczego natychmiast do nich nie zadzwoniłem? A ja bardziej się martwiłem, czy nie leży gdzieś ranny, niż tym, żeby schwytać złodziei. W moim mieście policja w ogóle nie przyjeżdża na wezwanie do niektórych włamań, to przestępstwo znajdujące

się zbyt nisko na ich liście priorytetów. Uznałem, że powinienem się najpierw rozejrzeć.

Notariusz skinął głową.

– Znalazł pan coś ciekawego, zanim odkrył zwłoki Harry’ego?

– Szczerze mówiąc, tak. Znalazłem coś w koszu na śmieci w pokoju, który był chyba jego gabinetem. Nie wiem, czy o to chodziło napastnikom, ale mam przeczucie, że mogło tak być.

– Co to takiego?

– Podczas naszego pierwszego spotkania doktor Cook podał mi współrzędne geograficzne, które wskazywały Chalice Well, oraz ciąg liczb. Spytałem go, co one znaczą, lecz odparł, że nie ma pojęcia.

– Jakie to były liczby?

Ross wyjął swojego iPhone’a, otworzył aplikację notatnika i odczytał liczby na głos.

Anholt-Sperry zmarszczył brwi.

– Ciekawe – mruknął po dłuższej chwili. – Bardzo ciekawe.

– Myślę, że odkrył w końcu ich znaczenie, i to właśnie chciał mi powiedzieć.

– A co pan znalazł w koszu na śmieci?

– Rysunek. Bardzo schematyczny.

Wyjął z portfela zgniecioną karteczkę i położył ją na biurku. Notariusz przyjrzał jej się z uwagą.

– Przypomina kij hokejowy.

– Owszem.

– I domyśla się pan, co te liczby mogą oznaczać?

Ross wyświetlił na ekranie zdjęcie dębowego pojemnika z naczyniem, które kryło się w środku, i podsunął je staruszkowi.

Anholt-Sperry włożył okulary i obejrzał na wyświetlaczu pierwszą fotografię, a potem kilka kolejnych.

– Znalazł pan to w miejscu, które wskazał Harry?

– Niezupełnie. Trzeba było rozszyfrować zagadkę – oznajmił Ross. – To szyfr oparty na literach alfabetu. Oznacza: „dziewięć metrów na południe, skręć w lewo”. Studnia leży dziewięć metrów na południe i trochę w lewo od punku wyznaczonego przez współrzędne. Zarówno Harry, jak i ktoś, kto kopał tam po nim, szukali w niewłaściwym miejscu. Kielich znajdował się we

wnęce studni, zamknięty w dębowym pojemniku. Znajomy antykwariusz powiedział mi, że mógł przetrwać w tym pojemniku tysiąc lat, a może nawet dłużej. Znacznie dłużej.

– Dobry Boże. Czy zdaje pan sobie sprawę, czym jest to naczynie?

– Tak. Podobnie jak człowiek, który próbował mnie zabić.

– Ten, który zamknął panu drzwi przed nosem?

– Można tak powiedzieć.

– Ależ jest pan niezwykle zaradnym i pomysłowym młodzieńcem! – Stosunek starego notariusza zmienił się w mgnieniu oka. – To po prostu niewiarygodne. Niebywałe. Czy zdaje pan sobie sprawę z doniosłości tego znaleziska? Dla całego świata?

– Tak.

Przez chwilę Ross myślał, że Anholt-Sperry wyjdzie zza biurka, żeby go uściskać. Sprawiał wrażenie niemal obłąkanego ze szczęścia.

– Czy ukrył go pan w bezpiecznym miejscu? Z dala od naszych wrogów?

– Zarówno kielich, jak i pojemnik znajdują się w bezpiecznym magazynie w Shoreham. Rękopis doktora Cooka złożyłem w skrytce u swojego prawnika w Brighton.

– Harry miał rację, że panu zaufał, młody człowieku. Widzi pan, ja jestem stary. – Poklepał się w pierś. – Problemy z pikawą, podobnie jak u Harry’ego. Na razie jest w porządku, ale nigdy nic nie wiadomo, prawda? A gdyby, niech Bóg broni, coś się panu stało?

– Złożyłem u prawnika instrukcję, by przekazał mojej żonie kod do skrytki i powiedział jej, gdzie znajduje się klucz.

Sekretarka przyniosła na tacy kawę. Ross z wdzięcznością wziął swoją filiżankę, podmuchał i upił łyk.

– Nie rozumiem jednak, panie Hunter, dlaczego współrzędne geograficzne wskazywały jedynie przybliżoną lokalizację i wymagały dodatkowego odczytania szyfru numerycznego, żeby można było odnaleźć dokładne miejsce. Domyśla się pan?

– Tak, ja też dużo się nad tym zastanawiałem. Jeśli rzeczywiście doktor Cook dostał współrzędne Świętego Graala od Boga, jak twierdził, to może szyfr miał stanowić dodatkowe

zabezpieczenie. To jedyna odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy – dodał Ross, unosząc dłonie.

Notariusz z aprobatą pokiwał głową.

– Harry słusznie postąpił, że panu zaufał, panie Hunter – powtórzył.

– Dziękuję.

– I chce pan szukać dalej, opierając się na tym, co pan już odkrył?

– Ktoś mnie śledził, kiedy jechałem do Chalice Well. Potem mnie zaatakował. Doktora Cooka torturowano, a następnie zamordowano. Jeśli te dwa wydarzenia nie są przypadkowym zbiegiem okoliczności, to sytuacja staje się dość zniechęcająca. Moja żona jest w ciąży, muszę dbać o jej bezpieczeństwo, jak również o dobro mego nienarodzonego dziecka.

– Przedłoży pan ich interes ponad zbawienie całej ludzkości?

Ross przyjrzał się uważnie staremu prawnikowi. Zobaczył w jego oczach tę samą szczerłość i żarliwość, które widział na twarzy Harry'ego Cooka, kiedy rozmawiali.

To niezwykle uprzejme, że zgodził się pan ze mną spotkać, panie Hunter. Zdaje pan sobie sprawę, że my dwaj mamy ocalić świat?

– Nie byłoby mnie tu, gdybym miał taki zamiar – odrzekł Ross.

Anholt-Sperry znowu obdarzył go tym swoim smutnym, chłodnym uśmiechem.

– Właśnie dlatego został pan wybrany.

Wyciągnął rękę i wręczył mu małą, kwadratową karteczkę, podobną do tej, na której dostał od Cooka współrzędne geograficzne Chalice Well.

Ross spojrział na liczby.

25°44'47.1264"N i 32°36'19.1124"E.

Obok numerów widniało słowo: „Hatem”.

– Czy sprawdził pan, jakie miejsce wskazują te współrzędne? – spytał.

– Sprawdziłem. Dolinę Królów w Egipcie. Świątynię królowej Hatszepsut.

– A słowo Hatem?

– To pan tu jest od łamania szyfrów, panie Hunter. Na pewno ma ono duże znaczenie, ale ja nie wiem, kim lub czym jest Hatem.

– W szkole grywałem trochę w szachy, lecz jeśli chodzi o łamigłówki, to zawsze byłem dość kiepski, zwłaszcza jeśli zawierały szyfry. Znam jednak kogoś, kto może mi pomóc.

Uśmiech, który odmalował się na twarzy notariusza, można było określić tylko jednym słowem: błogosławiony. Uśmiech człowieka prawdziwie wierzącego, jak ludzie całkowicie przekonani, że bez względu na ich ziemskie słabostki mają w niebie zaklepane miejsce przy najwyższym stole.

– Widzę, że naprawdę został pan zesłany, aby nas ocalić, panie Hunter. To, co mi pan pokazał w swoim telefonie, jest pierwszym tego dowodem. Proszę tylko w siebie uwierzyć, ponieważ Bóg na pewno w pana wierzy i dlatego pana wybrał.

Ross aż się przestraszył tego niespodziewanego wybuchu żarliwości. Zazdrościł starcowi tej wiary. Jakie by to było proste: paść Bogu w objęcia, oddać się jakiejś sile wyższej, wyzbyć się odpowiedzialności za wszystkie swoje czyny. Przepraszam, że krzyczałem na kota sąsiada, ale on ciągle srał mi w ogródku. Przepraszam, że nazwałem biletera na stacji skończonym idiotą. W przyszłości będę szerzył Twoje przesłanie miłości.

– Prawdę mówiąc, nadal nie uważam się za człowieka, którego szukacie – odparł. – Od długiego czasu byłem niewierzący.

– Dopóki nie przemówił do pana brat, Ricky.

– Tak powiedział panu doktor Cook?

– Nieważne, kto mi powiedział. Najważniejsze jest to, że pan to wie, panie Hunter. Prawda? W głębi serca pan wie. Ma pan wybór. Może pan stąd wyjść, wsiąść do pociągu, wrócić do domu i zapomnieć o tym starym notariuszu i jego bredniach, tak jak był pan bliski odrzucenia bredni Harry'ego. Ale nie robi pan tego, prawda? Jako dziennikarz ma już pan gotowy materiał do artykułu. W najgorszym wypadku wysmaży pan coś, co wystarczy na całą stronę, a może rozkładówkę w którymś z brukowców. A w najlepszym? – Zawiesił głos i dopiero po dłuższej chwili podjął na nowo: – Czy potrafiłby

pan żyć z myślą, że porzucił szansę na zawrócenie ludzkości znad przepaści?

Ross wzruszył ramionami.

Notariusz otworzył szufladę w biurku, wyjął z niej grubą kopertę i wręczył Rossowi.

– Harry polecił mi, bym to panu dał, gdyby coś mu się stało i nie mógł tego zrobić osobiście.

– Co to jest?

– Dziesięć tysięcy funtów na pokrycie wydatków.

– Słucham?

– Proszę to wziąć. Jeśli postanowi pan zrezygnować z dalszych poszukiwań, po prostu je pan zwróci.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Owszem, może pan – zapewnił go Anholt-Sperry. – Jeśli porzuci pan tę sprawę, przywiezie je pan z powrotem. Ale nie sądzę, żeby pan to zrobił. Proszę do mnie przyjechać, kiedy się pan dowie, co czeka w Dolinie Królów. Wtedy pozbędzie się pan wszelkich wątpliwości. Gdy pan dowiedzie swojej wartości, również przed samym sobą, mam panu wręczyć trzeci zestaw współrzędnych. Wtedy odkryje pan miejsce drugiego przyjścia Chrystusa. Może mi pan uwierzyć albo wyjść. Wybór należy do pana, panie Hunter.

Bliźniak w stylu Tudorów na skraju Walthamstow we wschodnim Londynie sprawiał wrażenie zaniedbanego. We wszystkich oknach, zarówno na parterze, jak i na piętrze, grube czarne zasłony całkowicie blokowały dopływ słońca i tak było zawsze, odkąd okoliczni mieszkańcy sięgali pamięcią. W wielu miejscach podpadały płyty brązowego tynku mozaikowego, okna rozpaczliwie domagały się uszczelnienia oraz odmalowania i zwyczajnie gnęły. Ogród od frontu porastały dzikie chaszczce.

Jedynym świadectwem, że dom był zamieszkały, stanowiły sporadyczne dostawy jedzenia z internetowego sklepu spożywczego Ocado, arabskie gazety dostarczane co tydzień z miejscowego kiosku oraz od czasu do czasu zjawiający się goście, najczęściej w tradycyjnych szatach muzułmańskich duchownych. Nikt z sąsiadów nie potrafił powiedzieć, kiedy ostatnio widział wychodzącego gospodarza.

W ciemnym pokoju w głębi budynku siedział pięćdziesięciosześcioletni niewidomy mężczyzna o ogolonej głowie, z długą, siwiejącą brodą. Nazywał się Hussam Udin. Piętnaście lat temu został niesłusznie oskarżony, skazany i osadzony w więzieniu Belmarsh jako przywódca komórki Al-Kaidy. W więzieniu został napadnięty, oślepiiony i okaleczony, najpierw kwasem z baterii, którym strzyknięto mu w twarz, a następnie okładem z roztopionego, wrzącego cukru.

„Zbrodnią”, za którą ukarali go muzułmańscy współwięźniowie, był fakt, że choć urodził się jako islamista, ośmielił się głośno wyrazić troskę o losy religii muzułmańskiej z powodu przemocy stosowanej przez niektóre odłamy, a także

ponieważ bardzo niewielu imamów było gotowych publicznie sprzeciwiać się aktom terroru.

Jego imię dosłownie znaczyło „miecz wiary”. Mimo to, a także mimo udręki, jaką przeszedł, Udin wierzył w tolerancję i w ciągu siedmiu lat od wyjścia z więzienia podążał duchową ścieżką, wkładając wszystkie swoje siły i całą mądrość w szerzenie pokojowego przesłania.

Po zwolnieniu z więzienia, w efekcie skrupulatnej pracy prawnika z Amnesty International, który wykazał, że oskarżenia były bezpodstawne, Udin wrócił do domu i razem z żoną zamienił go w fortecę, gdzie żył w nieustannym strachu o swoje życie. Całe dni spędzał na czytaniu Koranu wydanego w brajlu i pisaniu prac, w których usiłował dowieść, że wbrew takim ugrupowaniom jak ISIS oraz ich interpretacji świętej księgi islam jest głęboko niezrozumianą religią i w istocie rzeczy głosi pokój i tolerancję, również wobec innowierców, jeśli zachodzi taka potrzeba.

Wkrótce po tym, jak Hussam Udin opuścił więzienie, „Sunday Times” wysłał Rossa Huntera, żeby przeprowadził z nim wywiad, i Ross naprawdę polubił tego mądrego i błyskotliwego człowieka. Podziwiał go za to, że nie chował urazy do napastników i wykazywał niezłomną determinację, by niestrudzenie, a jeśli trzeba, to i do końca życia, prostować zachodnie mity na temat religii, do której odwrócił się plecami, lecz którą nadal szanował.

– Musi pan zrozumieć, panie Hunter – powiedział Udin podczas ich pierwszego spotkania – że w chrześcijaństwie i judaizmie jeśli człowiek ma wątpliwości, może swobodnie obrać ścieżkę wahania lub niewiary. I dużo trzeba, aby niewierzący stał się wierzącym. W mojej religii jest inaczej, tam trzeba zadać inne pytanie, ponieważ wiara jest nam wpajana od dnia narodzin. Przeciętnemu muzułmaninowi nie można zadać pytania, co by się musiało wydarzyć, żeby uwierzył w Boga, ale raczej co by się musiało stać, żeby przestał w Niego wierzyć?

Wracając ze spotkania z dziwnym, lecz tak rozbrajająco szczerym i otwartym notariuszem z Birmingham, Ross postanowił odwiedzić Hussama Udina. Został powitany jak stary dobry znajomy i siedział właśnie w jego gabinecie między

stertami taśm, kaset magnetofonowych oraz pendrive'ów, popijał mocną, słodką kawę i z wdzięcznością pogryzał ciastka, które podała mu żona Udina, Amira.

Udin siedział na fotelu w brązowej szacie i ciemnych okularach i palił papierosa. Przed nim na stoliku do kawy stała stara popielniczka z logo Cinzano. Zaciągał się kilka razy, a następnie pochylał do przodu i strzepywał popiół, czasem do popielniczki, a czasem obok. W środku leżało kilkanaście zgaszonych petów.

Przez chwilę gawędzili, wypytyując się nawzajem, co u kogo słyhać, po czym przeszli do rzeczy.

– Był pan dla mnie bardzo wielkoduszny w swoim artykule, panie Hunter. Zawsze czułem się niezwykle zobowiązany za to, jak mnie pan przedstawił.

– To bardzo miłe, dziękuję.

– Więc czemu zawdzięczam zaszczyt, że wybitny dziennikarz poświęca czas, by mnie odwiedzić?

– Potrzebuję pańskiej pomocy.

– Doprawdy? Jakiej pomocy pan potrzebuje?

– Powiedział mi pan w wywiadzie, że urodził się i wychował w Egipcie. W Kairze.

– To prawda.

– Czy utrzymuje pan nadal kontakty z rodziną lub przyjaciółmi w Kairze?

– Z niektórymi tak, nie tylko w Kairze, lecz także w innych miejscach mojego rodzinnego kraju.

– Taką właśnie miałem nadzieję.

– Wyczuwam, że potrzebuje pan czegoś bardzo pilnie i to w bardzo ważnej sprawie.

– Czy zna pan kogoś w Luksorze?

– W Luksorze?

– Tak. Potrzebuję zaufanego kontaktu w tym mieście, kogoś, kto ma samochód i na kim można polegać.

Udin podniósł głowę. W palcach, niczym rzutkę, trzymał trzeciego papierosa, którego palił od przyjścia Rossa. Zaciągnął się, popiół spadł na ubranie. Udin nie zwrócił na to uwagi.

– Mam tam kuzyna, który mógłby panu pomóc. Czy chciałby pan, żebym z nim porozmawiał i za pana zaręczył, przyjacielu?

– Byłbym niezwykle wdzięczny, gdyby pan to zrobił – odrzekł Ross, upijając znowu kawy.

– On zapewni panu bezpieczeństwo. Wyczuwam, że potrzebuje pan kogoś do ochrony, czy mam rację?

– Jest pan bardzo spostrzegawczy, Hussam.

– Od kiedy straciłem wzrok, pochłaniam audiobooki. Uwielbiam dzieła Williama Szekspira. Zawsze fascynował mnie ślepy król Lear. Taki wspaniały dramat. Taki mądry. „Stan twych oczu jest ciężki, stan sakiewki – lekki, a przecież widzisz, jak się dzieje na tym świecie”².

– Wygląda na to, że doskonale pan sobie radzi ze swoim kalectwem.

– A mam inne wyjście? Nie mogę skoczyć do optyka, żeby kupić sobie nową parę oczu. Nie mają żadnych na składzie. Poza tym po drodze mogłoby mi się przytrafić dużo rzeczy. Ale bez obaw, pan będzie bezpieczny po wyjściu, nikt nie zabije niewierzącego niemuzułmanina. To na mnie polują i nigdy nie przestaną. Ale ja nie narzekam. Jestem zadowolony. Widzę, „jak się dzieje na tym świecie”, i to mnie podnosi na duchu. Będę bardzo szczęśliwy, jeśli zdołam panu pomóc. Zadzwońię do kuzyna. Nie wiem, po co pan tam jedzie, i nie chcę pytać. Czuję, że to ważne. Słyszę to w pańskim głosie, Ross. Jedzie pan z misją. Mój kuzyn się panem zaopiekuje. Dam mu znać, że się pan z nim skontaktuje. Proszę mu tylko podać dzień i godzinę, a on będzie gotowy.

Podyktował Rossowi adres mailowy oraz numer telefonu.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedział Ross. – Czy słowo „Hatem” coś znaczy w języku arabskim?

– Hatem?

– Tak.

Przeliterował je.

– Nie, nic nie znaczy. Ale w Egipcie to dość popularne imię.

43

Czwartek, 2 marca

Ross wrócił do domu o dziewiątej wieczorem. Ukrył pieniądze od notariusza za tylnym siedzeniem samochodu. Na razie postanowił nie mówić o tym żonie.

Otworzył drzwi frontowe i wszedł do domu. Natychmiast przygalopował do niego Monty, czekając radośnie, podskakując i merdając ogonem. Za nim zjawiła się Imogen w luźnym swetrze, dżinsach i kapciach. Była blada jak ściana.

– Wszystko w porządku? – spytał zaniepokojony.

– Nie – odparła. – Chodź i sam zobacz.

Przelotnie poklepał psa po głowie i poszedł za nią do kuchni. Imogen podniosła klapę laptopa leżącego na stole. Obok stał słoik z marynowanymi cebulkami, z którego wystawała łyżeczka. Jej kolejna chętką. Wcisnęła kilka klawiszy i po chwili na ekranie pojawił się rysunek pięcioramiennej gwiazdy. Ross rozpoznał w niej odwrócony pentagram. Pod spodem widniała wiadomość:

TWÓJ MAŻ PRACUJE DLA SZATANA. MUSISZ GO
POWSTRZYMAĆ. DLA DOBRA WAS OBOJGA
I WASZEGO NIENARODZONEGO DZIECKA. TO JEST
OSTRZEŻENIE.

Imogen wbiła w niego wzrok.

– Skąd się to wzięło? – spytał.

– Przyszło na moją skrzynkę dzisiaj rano, kiedy byłam w pracy. Jeden z informatyków próbował dla mnie wytropić adres, ale nie dało się, prawdopodobnie mail przeszedł przez szereg serwerów rozrzuconych po całym świecie.

Ross schylił się i kliknął na nadawcę wiadomości. Był to adres hotmailowy, składający się z samych cyfr, a wśród nich „666”. Po plecach przeszedł go lodowaty dreszcz. Przyjrzał się uważnie adresowi i przez chwilę sam próbował odszukać źródło, lecz bezskutecznie.

– To jakiś zwyczajny świr. Prawdopodobnie reakcja na mój post na Twitterze z zeszłego tygodnia.

– Czy ten sam fanatyczny świr, albo świry, zabił Harry’ego Cooka?

– Według sekcji zwłok Harry Cook nie został zabity, tylko zmarł na zawał serca.

– Aha, więc śmierć podczas tortur nie liczy się jako morderstwo, tak? – odparowała gniewnie Imogen.

– Policja mówi, że w okolicy było kilka identycznych włamań: starsi ludzie mieszkający samotnie są napadani i torturowani.

Zdawał sobie sprawę, że w jego głosie słyhać więcej przekonania, niż naprawdę go czuje.

– Masz dziesiątki tematów do pracy. Czy naprawdę musisz się zajmować akurat tym? Religia rodzi fanatyków, Ross, naprawdę powinniśmy być ostrożniejsi. Zostaw tę sprawę w spokoju. Już słyszałeś, że Cook był obłąkany, czemu nie chcesz tego zrozumieć?

– Co to ma znaczyć?

– Masz obsesję na punkcie tej sprawy. Gotów jesteś przedłożyć ją ponad wszystko inne, nawet mnie i nasze dziecko. Ale tak już z tobą jest, Ross. Siebie stawiasz na pierwszym miejscu. Zawsze. Nie chciałam, żebyś wyjeżdżał do Afganistanu. Siedziałam w domu, drżąc ze strachu, czekając, aż ktoś zapuka do drzwi i powie mi, że zginąłeś.

– I ze strachu rznąłaś się do nieprzytomności.

W mgnieniu oka pożałował tych słów. Wymknęły mu się. Słowa, które piętrzyły się przez lata niczym lawina czekająca na odpowiednią temperaturę.

– Przepraszam – powiedział natychmiast. – Nie miałem tego na myśli.

– Właśnie że miałeś.

To był w ich życiu temat tabu. Począwszy od tamtego dnia, kiedy wrócił do domu z Afganistanu. W końcu po jakimś czasie

oczyścili atmosferę i Ross jej wybaczył, lecz cierń nigdy całkiem nie zniknął. I nigdy nie zniknie.

Usiadł naprzeciwko niej i wyciągnął ręce, lecz Imogen się cofnęła.

– Imo, gdybym uważał, że istnieje jakieś realne niebezpieczeństwo, natychmiast bym tę sprawę porzucił. Ale...

– Ale?

– To może być największa historia, na jaką w życiu trafiłem. Mam takie przeczucie.

– Więc moje przeczucia chcesz zignorować?

Znowu wyciągnął rękę, żeby ująć jej dłoń, lecz ona znowu się cofnęła.

– Imogen, daj spokój!

– Coraz bardziej się boję, Ross, rozumiesz? Nie dociera to do ciebie?

– Dociera. Po tym świecie chodzi całe mnóstwo wszelkiej maści fanatyków, którzy wyłażą z dziur, gdy tylko pojawia się temat religii. Kilka lat temu, kiedy napisałem ten artykuł o charyzmatycznych kaznodziejach, na Twitterze zasypała mnie fala złośliwych komentarzy, różni nawiedzeni wariaci grozili mi wtedy śmiercią, nie pamiętasz? Naprawdę czuję w trzewiach, że tu się czai wielka sprawa, bez względu na to, co z niej wyniknie. Posłuchaj, wezwijmy ślusarza, niech założy dodatkowo łańcuch w drzwiach i wizjer. Czy wtedy poczujesz się lepiej?

– Poczulałbym się lepiej, gdybyś przynajmniej pomyślał trochę bardziej zdroworozsądkowo o porzuceniu tego tematu.

– Graham Greene napisał kiedyś, że każdy pisarz musi nosić w sercu okruch lodu.

– No i rzeczywiście nosisz, nawet kiedy ktoś grozi twojej rodzinie. Okruch lodu? Czy jesteś aż tak bezduszny, że kompletnie zlekceważysz moje uczucia? Tylko dlatego, że jakiś wariat przyszedł do ciebie z pomyłonym pomysłem? Sam go tak nazwałeś.

– Imo, posłuchaj mnie. Kocham cię. Gdybym kiedykolwiek poczuł, chociaż przez chwilę, że któremuś z nas grozi prawdziwe niebezpieczeństwo, porzuciłbym ten temat w mgnieniu oka. Rozumiesz? Ale proszę cię, spróbuj coś zrozumieć. Gdybyś czuła kiedyś to, co ja poczułem w dniu

śmierci Ricky'ego, też zrobiłabyś wszystko, żeby to zbadać. Choćby tylko sprawdzić, czy coś się za tym kryje. To nie jest dla mnie kwestia wyboru, ja po prostu muszę to zrobić. To nie znaczy, że cię nie kocham. Ale proszę, spróbuj to zrozumieć, potrzebuję twojego wsparcia. Przyrzekam ci, że będę chronił nas i nasze dziecko.

– Sam przed chwilą powiedziałeś, że tematy religii ściągają wszelkiej maści fanatyków.

– Tak, ale w sumie oni wszyscy są nieszkodliwi. Większość.

Imogen patrzyła na niego z powątpiewaniem.

– Dwa lata temu, kiedy śledziłeś sprawę tego łajdaka, który zabił policjanta i uciekł do Hiszpanii, też dostawałeś pogróżki. Policja cię ostrzegała, że narażasz się na niebezpieczeństwo, grzebiąc w tej historii, ale to cię nie powstrzymało. Pisałeś dalej i opublikowałeś ten artykuł. Podobnie jak ten, w którym oskarżyłeś Putina, że stał za zabójstwem Litwinienki w Londynie.

– Na tym polega moja praca. Demaskuję ludzi, którzy robią złe rzeczy.

– Doktor Cook nie zrobił nic złego, Ross. Wierzył, że może zbawić świat. Może zginął, ponieważ wetknął kij w religijne gniazdo szerszeni.

– Imo, przed chwilą ci powiedziałem: nie ma żadnych dowodów, że Cooka zabili fanatycy.

Imogen postukała w ekran z pentagramem.

– Proszę, oto twój cholerny dowód. Przesłanie jest dość oczywiste.

– Myślę, że szatan się znacznie bardziej ucieszy, kiedy opublikuję artykuł dyskredytujący Cooka oraz cały mit dowodu na istnienie Boga.

– Taki masz plan?

– W drodze powrotnej rozmawiałem z redaktorką „Sunday Timesa”, podoba jej się ta historia. Zacząłem nad nią pracować. Jest skłonna sfinansować moje badania. Zaproponowała mi pieniądze na podróż do Egiptu, gdzie mam sprawdzić drugi zestaw współrzędnych.

– Co takiego?!

– Dostałem je dzisiaj od prawnika Cooka w Birmingham. Kolejny pomylenieć.

– Lecisz do Egiptu?

– Posłuchaj, mam pomysł. Leć razem ze mną. Moglibyśmy zrobić sobie krótkie wakacje i odpocząć od tego wszystkiego. Pojedziemy do Szarm el-Szejk, obejrzymy piramidy. Mamy jeszcze ważną wizę. Co o tym myślisz?

– Wiesz, co myślę? Że postradałeś zmysły.

Sobota, 4 marca

Dwa lata temu, kiedy Ross pracował nad artykułem o iluzjonistce Derrenie Brownie, który zażarcie zwalczał wszelkich parapsychologów, pojechał do Southampton, żeby przeprowadzić wywiad z dwójką znanych spirytystów – Christopherem Lewisem oraz jego żoną, Gill, a także ich protegowanym, Deanem Hartleyem.

Jechał na spotkanie z zamiarem zdyskredytowania ich, tymczasem zrobili na nim ogromne wrażenie, zwłaszcza swoją szczerością i uczciwością, tak że koniec końców opisał ich w artykule bardzo pochlebnie. Po publikacji przysłali mu serdeczne podziękowania i zaproponowali bezpłatną sesję z Hartleyem, gdy tylko będzie miał na to ochotę.

Postanowił teraz skorzystać z ich oferty.

Siedział w pokoju na parterze domu Brownów, nadal mocno sceptyczny. Dean Hartley miał dwadzieścia kilka lat, długie, rastafariańskie dredy przypominające powrozy oraz każdy widoczny skrawek smukłego ciała pokryty dziwnymi tatuażami. Włączył dyktafon leżący na czarno-różowym obrusie.

W jednym kącie pokoju na podłodze siedział czarny Budda, w drugim stała niewielka biała szafka na dokumenty, a pod ścianą obok Rossa – białe biurko z lustrzanym blatem, na którym leżała paczka chusteczek i stała szklanka wody.

Hartley uprzejmie i łagodnie upewnił się, czy Rossowi jest wygodnie, po czym zamknął oczy i przez jakiś czas siedział w milczeniu.

– Słyszę imię Pip – powiedział. – Ma na imię Philip, ale wszyscy przyjaciele nazywają go Pip. Czy to panu coś mówi?

– Nie – odparł Ross. – No, w pewnym sensie tak, mój tata ma tak na imię, ale jeszcze dzisiaj rano chodził wśród żywych.

Przez kolejną długą chwilę medium siedziało bez ruchu, w milczeniu i z zamkniętymi oczami.

– Łapię Richarda.

– Richarda?

– Ricka? Ricky’ego?

Ross wytrzeszczył na niego oczy.

– Ricky coś mi mówi. Mówi, że pana żona jest w ciąży. Imogen, tak się chyba nazywa, tak?

Imię jego żony spirytysta mógł bez trudu gdzieś sprawdzić, ale nie to, że jest w ciąży.

– Czy zna pan płeć dziecka? – spytał go Ross.

– Mówi, że to chłopiec.

Ross zawahał się przed odpowiedzią. Jakim cudem Hartley mógł to wiedzieć? Niewielu osobom powiedzieli, że Imogen jest w ciąży, w obawie, że to może przynieść pecha, a na pewno nikomu nie wspominali o płci dziecka. Żadnym sposobem spirytysta nie mógł o tym wiedzieć. Choć z drugiej strony widział obrączkę na palcu Rossa i biorąc pod uwagę jego wiek, mógł się domyślić, że oczekuje dziecka. Odgadnięcie płci to szansa jeden do dwóch.

– Co może mi pan powiedzieć o moim synu?

Hartley zamknął oczy, po czym zmarszczył czoło, unosząc brwi.

– Coś mnie rozproszyło – oznajmił. – Jest tu ktoś bardzo poruszony, kto chce się z panem skontaktować. Właśnie dostaję nazwisko... Cook. Wydaje mi się, że człowiek o nazwisku Cook niedawno odszedł z tego świata. Przebija się i wyczuwam, że to bardzo pilna sprawa. Chce, żebym przekazał panu wiadomość. Czy zna pan tę osobę?

Dean Hartley nie otwierał oczu.

– Znam – odparł Ross, uważając, by nie zdradzić niczego więcej.

– Chce, abym panu powiedział, że wie, iż uważa go pan za lekkiego wariata. Mówi, że nie był przygotowany na odejście i ma tu niedokończoną sprawę. Prosi, żeby poprowadził pan ją za niego. Polega na panu. – Znowu zmarszczył czoło. – Wspomina coś o Dolinie Królów w Egipcie. Podobno

zastanawia się pan, czy tam pojechać. On mówi, że musi pan to zrobić, że to otworzy nowe możliwości. Podaje mi nazwisko. Bolt. Kerry. Nie, coś podobnego... Anbolt. Skerrit?

Ross czekał, nie podpowiadał.

– Anholt-Skerry?

Psiakrew, pomyślał Ross. Z podniecenia przeszedł go lodowaty dreszcz.

– Anholt-Sperry – powtórzył Hartley. – Czy to nazwisko coś panu mówi?

– Tak.

– Powiedziano mi, że musi mu pan zaufać. Czy to ma jakiś sens?

– Tak.

Nadal nie otwierając oczu, Hartley ciągnął:

– Słyszę też inne nazwisko. Egipskie. To chyba Hatem. Może to imię. Czy coś to panu mówi?

– Hatem? – spytał zdumiony Ross i na wszelki wypadek je przeliterował.

Medium skinęło głową.

Jak? Jakim cudem ten mężczyzna może znać to imię? Poczul gęsią skórkę.

– Tak.

– Słyszę, że Hatem będzie na pana czekał, kiedy się pan zjawi.

– Gdzie?

Hartley znowu zamknął oczy.

– Ktoś mi podaje numery. Ciąg liczb i liter. Jakby współrzędne geograficzne.

Ross zapisał liczby, które dyktował mężczyzna. Starał się zachować dystans i obiektywizm, nie wierzyć bezkrytycznie, ale też niczego z góry nie odrzucać, lecz w głębi ducha czuł się skołowany. Czy Dean Hartley robił go w balona? Czy płęć dziecka była zwyczajnie szczęśliwym trafem? O Rickym mógł się dowiedzieć bez większego trudu, ale Hatem? Anholt-Sperry? Dolina Królów? Czyżby notariusz i spirytysta działali w zмовie, żeby go przekonać? To absurdalne, to jeszcze bardziej niedorzeczne niż...

Niż co?

Niż przyjąć, że to, co mówi Hartley, jest prawdą?

45

Poniedziałek, 6 marca

Z okna samolotu Ross obserwował, jak bujna zieleń ciągnąca się po obu stronach błękitnego Nilu ustępuje pustynnemu, górzysto-piaszczystemu krajobrazowi.

Co kilka minut zaglądał w notatki, które sporządził w czasie spotkania z Robertem Anholtem-Sperrym, zwłaszcza na współrzędne geograficzne, które mu podał.

25°44'47.1264"N i 32°36'19.1124"E.

Współrzędne świątyni królowej Hatszepsut.

Czy tajemniczy Hatem się tam zjawi? Jak go rozpozna?

Dręczyły go wyrzuty sumienia oraz obawy związane z tą podróżą. Imogen była bardzo niezadowolona, miała nadzieję, że cała ta wyprawa okaże się szukaniem wiatru w polu, że Ross w końcu oprzytomnieje, napisze artykuł, w którym zdyskredytuje Cooka i jego urojenia i ostatecznie porzuci tę historię.

Źle się czuł, że zataił przed nią prawdę o wyprawie do Chalice Well i o swoim znalezisku. Jak również o wizycie u Deana Hartleya. Uznał jednak, że tak będzie lepiej dla jej spokoju ducha. Przemilczał również kwestię dziesięciu tysięcy funtów od notariusza.

Kiedy samolot kołował na lotnisku, wysłał do niej SMS.

Wylądowałem. X

Odpisała:

Wszyscy za Tobą tęsknimy. Monty wytarzał się w jakimś paskudztwie i śmierdział. Musiałam go

**wykąpać. Nie cierpi tego.
Uważaj na siebie. XX**

Pół godziny później z torbą podrózną przewieszoną przez ramię wyszedł do dusznej i kipiącej chaotyczną bieganiną hali przylotów. Powitała go zapora tabliczek, kartek i iPhone'ów z wypisanymi nazwiskami. Zobaczył wśród nich swoje.

Podszedł do mężczyzny, który trzymał tabliczkę z jego imieniem i nazwiskiem – niskiego, wąsatego Egipcjanina w średnim wieku, uśmiechniętego promiennie i tryskającego energią, ubranego w beżową dzellabę, sandały i tradycyjną białą-czerwoną kefiję z czarnym paskiem wokół głowy. Wyciągnął do Rossa dłoń.

– Ross Hunter? Nazywam się Medhat El-Hadidy. Proszę mówić do mnie Hadidy.

– Miło pana poznać, Hadidy – odparł Ross.

Uścisnął wyciągniętą dłoń i w jednej chwili poczuł do mężczyzny sympatię.

– Witam w naszym kraju. Będę pana przewodnikiem. I opiekunem, tak?

Nalegał, by wziąć od Rossa torbę.

Wyszli z hali i skierowali się w stronę krytego parkingu, gdzie Hadidy zaprowadził go do nowej, czarnej toyoty land cruiser. Otworzył tylne drzwi i Ross wsiadł do klimatyzowanej kabiny, odgradzonej od świata przyciemnianymi szybami. Kiedy Hadidy uruchomił silnik, z samochodowego radia popłynęła trochę zbyt głośna arabska muzyka.

Egipcjanin wsunął bilet parkingowy do automatu przy wyjeździe i szlaban się podniósł. Odwrócił głowę.

– Jest pan przyjacielem mojego kuzyna, Hussama Uдина, tak?

– To bardzo poczciwy człowiek.

– O tak – odparł Hadidy. – Poczciwy człowiek w zwariowanym świecie, tak?

– Można tak powiedzieć.

– Zapewnię panu bezpieczeństwo.

– Dziękuję.

– Nie, to ja panu dziękuję, panie Ross. Dobrze robi się z panem interesy!

– Musi mi pan podać swoją stawkę. Liczy pan sobie za dzień?

– Panie Ross, jest pan przyjacielem mojego kuzyna. To zaszczyt gościć pana w moim kraju. Nie wezmę od pana ani jednego funta, dopóki będzie pan w Egipcie. Proszę. Nie rozmawiajmy więcej o pieniądzach.

– Jest pan bardzo uprzejmy, ale ja nalegam, by panu zapłacić. Moje wydatki pokrywa gazeta, w której pracuję.

– Cieszę się, że pan tu jest! Żadnych pieniędzy. Koniec dyskusji!

Skręcili na szeroką, dwupasmową drogę i wkrótce wjechali między kanciaste, beżowe i białe budynki aglomeracji. Ross poczuł się bezpiecznie w kokonie masywnego, potężnego pojazdu.

– Hussam Udin rozmawia z wieloma ludźmi, a niektórym nie podoba się to, co mówi – stwierdził Hadidy.

– To prawda.

– Tu, w Egipcie, zgadzamy się na wszystko. Chce pan wierzyć w jednego Boga? W wielu bogów? W żadnego? Moim ludziom to nie przeszkadzało. Wierzcie sobie, w co chcecie. – Wskazał palcem w górę. – Jemu to nie przeszkadza. Ale teraz giną chrześcijanie, dużo zabójstw. Dlaczego?

– Tak się dzieje w wielu krajach, Hadidy.

Przez kilka minut Egipcjanin prowadził w milczeniu, po czym powiedział:

– Zawiozę pana do hotelu. Jutro pojedziemy do Doliny Królów, gdzie spoczywają faraonowie. Żeby odwiedzić świątynię królowej Hatszepsut, tak?

– Tak.

– Będę do pańskiej dyspozycji. Dopóki przebywa pan w moim kraju, jest pan moim gościem. Dzisiaj pan odpocznie. Jutro rozpoczniemy to, po co pan tu przyjechał. Czy tak będzie dobrze?

– To wygląda na niezły plan.

46

Wtorek, 7 marca

Ross zameldował się w hotelu Steigenberger. Po prawie nieprzespanej nocy i wbrew swojemu biologicznemu zegarowi z ogromnym trudem wstał na dźwięk budzika o wpół do siódmej, dwie godziny wcześniej w stosunku do czasu angielskiego. W jego kraju była dopiero czwarta trzydzieści.

Kiedy odsłonił żaluzje, jego oczom ukazał się widok na magicznie błękitne wody Nilu, drugi brzeg rzeki oraz pustynne wzgórza za miastem. Cały krajobraz zdawał się pławić w innym, znacznie jaśniejszym świetle niż Anglia. Przypominał mu obrazy Hockneya. Zrobił telefonem zdjęcie i wysłał Imogen. Prawdopodobnie jest już na nogach, ponieważ marnie ostatnio sypiała.

Widok z mojego okna hotelowego! X

Zjadł hotelowe śniadanie, ubrał się w lekkie, letnie spodnie, biały T-shirt, lnianą marynarkę i adidas. Włożył do kieszeni okulary przeciwsłoneczne, zapakował kilka rzeczy do torby i na dole spotkał się z wiecznie uśmiechniętym Hadidym, który czekał na niego zgodnie z umową.

Brzdąknął SMS od Imogen.

Farciarz. Tutaj leje jak z cebra. Dbaj o siebie. X

>Wymeldował się, zapłacił rachunek. Zarezerwował bilet na wieczorny lot powrotny do Londynu, chociaż nie był pewny, co mu przyniesie ten dzień.

Kiedy wyjeżdżali spod hotelu przy wtórze wszechobecnych klaksonów, Ross ziewnął z niewyspania. Popatrzył na mężczyznę w białej szacie, siedzącego na osle objuczonym po obu stronach koszami pełnymi jakichś zielonych warzyw z długimi szypułkami. Wkrótce mężczyzna zniknął w oddali, a oni ruszyli dalej nowoczesną autostradą zatłoczoną samochodami, autobusami, motocyklami, rowerami i motorowerami, nierzadko z dwójką pasażerów na siedzeniu. Minęli sznur czarnych kalesz, jadących krętą drogą wzdłuż portu i lawirujących po ruchliwym rondzie z fontanną pośrodku.

– Zna pan historię królowej Hatszepsut? – spytał Hadidy, przekrzykując jazgot muzyki wypełniającej cały samochód.

– Tylko trochę – ziewnął znowu Ross.

– Uważa się, że była naszą pierwszą kobietą faraonem. Zasiadła na tronie w tysiąc czterysta siedemdziesiątym ósmym roku przed naszą erą i rządziła razem z Totmesem III. Dobrze rządziła, wzniosła dużo budowli w całym Egipcie. Była piątym władcą osiemnastej dynastii Egiptu!

– Ciekawe.

– Interesuje się pan szczególnie królową Hatszepsut, panie Ross?

Jechali teraz przedmieściami Kairu. Ruch rzedniał. Po prawej mijali rząd rozpadających się parterowych sklepów, bardziej przypominających zadaszone stragany. Na wyszczerbionym krawężniku siedziało dwóch mężczyzn i popijało coś, co wyglądało na kawę. Obok nich zatoczył się jakiś motocykl, zajechał im drogę tak, że Hadidy musiał gwałtownie zahamować. Wrzasnął ze złością przez szybę i uniósł obie dłonie w geście rozpacz.

– Zwariowani kierowcy! – zawołał.

– W Anglii też takich nie brakuje – zauważył Ross, który przez opuszczoną szybę z zapamiętaniem pstrykał pamiątkowe zdjęcia z podróży.

– A po co się tak spieszyć? Jesteś tu, gdzie jesteś! Ciesz się z tego!

– Też tak myślę – odparł Ross, rad w duchu, że Hadidy wyglądał na rozsądniejszego niż większość kierowców w tym mieście.

Zobaczył jeszcze Nil, a potem zamknął okno i rozsiadł się z powrotem na oparciu fotela.

Niebawem wygodne tylne siedzenie i łagodne kołysanie samochodu sprawiły, że ogarnęła go nieprzezwykczona senność.

Gdy tylko zapadł w drzemkę, obudził go dźwięk SMS-a w telefonie.

Pozdrów swoich zmarłych kumpli faraonów! Buziaki

Wysłał jej w odpowiedzi uśmiech.

Jechali mostem na drugi brzeg Nilu.

Przed nimi rozciągała się skalista pustynia z pasmami gór o stromych, urwistych zboczach.

– Faraonowie chcieli, żeby ich grzebano z całym bogactwem, z klejnotami, jedzeniem i bronią na drogę przez podziemną krainę. – Hadidy kontynuował swoją spontaniczną lekcję historii. – Ale bali się złodziei grobów, więc zbudowali tę dolinę, na zachodnim brzegu Nilu, z dala od Teb i Luksoru, gdzie grobów można było strzec.

– Sprytnie postąpili. Ja też bym się zezłościł, gdyby mnie okradziono po śmierci – zauważył Ross.

– Właśnie dlatego niektóre groby do dzisiaj pozostają ukryte. Przez tyle wieków. Może na zawsze.

– My mamy w kraju pewne powiedzenie o rzeczach doczesnych. Mówi się o nich, że człowiek i tak nie zabierze ich ze sobą do grobu.

Hadidy oderwał dłonie od kierownicy i wyciągnął przed siebie.

– Może nie. Ale jeśli tak, to niech pan pomyśli, jakie przyjęcia można wtedy urządzać!

Ross się uśmiechnął. Nie znał poglądów ani wyznania swego egipskiego przewodnika i nie chciał ryzykować, że mógłby go urazić. Popatrzył niemal z nabożnym podziwem na monumentalną, trzypiętrową budowlę z trzema poziomami kolumnad, rzędem wysokich, wąskich, równo rozmieszczonych okien oraz olbrzymim tarasem na wysokości pierwszego piętra.

Wyglądała, jakby zaprojektował ją któryś z wielkich współczesnych architektów – Frank Lloyd Wright, Frank Gehry albo Le Corbusier. Za nią niczym teatralna scenografia wznosiły się pionowe skalne ściany.

– Czy to ona, Hadidy? – spytał Ross.

– Oto świątynia królowej Hatszepsut! – odparł Egipcjanin głosem pęczniejącym z dumy.

Na tarasie kręciły się dziesiątki turystów, niektórzy zbici w grupy z przewodnikami, niektórzy w pojedynkę, i prawie wszyscy pstrykali zdjęcia.

Hadidy wjechał na parking, minął kilka autokarów wycieczkowych, po czym zaparkował.

– Dalej musimy iść na piechotę. Mam z panem pójść i wytargować przyzwoitą sumę za przewodnika? Niektórzy są do niczego. Znam tych najlepszych, wszyscy to moi znajomi.

– Chciałbym, żeby pan ze mną poszedł, Hadidy. Mam się tu z kimś spotkać. Czy może pan dopilnować, żeby nikt mnie nie nagabywał?

– Oczywiście. Dobrze. Ale chce pan zwiedzić świątynię, tak?

– Możliwe. To się jeszcze okaże.

Kiedy zostawili samochód, Ross zatrzymał się i zrobił jeszcze jedno zdjęcie, po czym nałożył okulary przeciwsłoneczne. Potem ruszyli w kierunku tarasu. Ze wszystkich stron otaczali ich mężczyźni i kobiety, niektórzy w tradycyjnych, arabskich strojach, inni w garniturach, wszyscy z tandetnymi pamiątkami w dłoniach – plastikowymi modelami świątyni, piramid, biżuterią z egipskimi symbolami.

Ross cieszył się, że Hadidy mu towarzyszy, ponieważ Egipcjanin spisywał się na medal, odprawiał ulicznych handlarzy w ich rodzimym języku, jednym grzecznie dziękował, innych ostro odpędzał.

Minęli grupę japońskich turystów krążących wokół przewodnika z megafonem, potem następną, skupioną przy mężczyźnie w dzellabie, aż w końcu stanęli u stóp kolumnady.

W tym momencie spostrzegł okazję kolejny handlarz, obwieszony naręczem chustek, i czym prędzej ruszył w ich kierunku, lecz Hadidy odprawił go stanowczym gestem.

Ross czuł się trochę niezręcznie, mimo to nie zważając, co pomyśli o nim Hadidy, stał bez ruchu i rozglądał się dookoła.

Hadidy przyglądał mu się zdziwiony.

– Wchodzimy do środka?

– Nie.

Przeszli obok nich japońscy turyści, podążający za swoim przewodnikiem, lecz Ross dalej stał bez ruchu. Przypomniawsobie, że w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku dokładnie w tym miejscu zginęło pięćdziesięciu ośmiu turystów oraz czterech Egipcjan, zabitych przez islamskich terrorystów.

Nagle z tłumu wyłonił się starszawy, żyłasty mężczyzna w białej szacie i ruszył energicznie w ich stronę. Miał ciemną, pomarszczoną twarz i tylko dwa krzywe zęby niczym nagrobki na zapomnianym cmentarzu. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

– Przepraszam. Pan Ross Hunter, tak? – zapytał łamaną angielszczyzną.

Ross spojrział na niego nieufnie.

– Tak. Kim pan jest?

– Hatem Rasul. – Mężczyzna rzucał orzechowymi oczami na wszystkie strony. – Od dawna na pana czekam.

Hadidy podszedł do niego i przez kilka minut rozmawiali po arabsku. Potem odwrócił się do Rossa.

– To jest mężczyzna, z którym miał się pan spotkać, panie Hunter. Powiedział, że zaprowadzi nas do swojej siostry. Chce, żebyśmy poszli za nim w góry. To będzie długa droga. Może dwie godziny. Zgadza się pan?

Ross zmarszczył brwi.

– Czy powiedział, kto mu kazał się ze mną spotkać?

– Powiedział, że to pański przyjaciel z Anglii. Pan doktor Harry, tak?

– Doktor Cook?

– Tak, doktor Harry Cook.

Wtorek, 7 marca

Mimo wyraźnie podeszłego wieku Hatem Rasul szedł zdecydowanym i żwawym krokiem.

Ross oszołomiony ruszył za mężczyznami na parking. Wszystko mu się w środku kotłowało. Czy to się działo naprawdę? Dokąd go tym razem zabierają? Popatrzył na pustynne, piaszczyste tereny rozciągające się w oddali.

Skąd ten dziwny starzec znał Harry'ego Cooka?

Na parkingu Rasul podszedł do starego motocykla w kolorze khaki, usiadł i odpalił stopą silnik. Rossowi stanął w pamięci film *Lawrence z Arabii*.

Hadidy otworzył tylne drzwi land cruisera i dał Rossowi znak, żeby wszedł do środka. Ross zrobił to jak we śnie.

Kiedy wyjechali z parkingu za motocyklem, Ross pochylił się do Hadidy'ego i spytał:

– Co jeszcze panu powiedział, Hadidy?

– On jest w porządku – odparł uspokajająco Egipcjanin. – Możemy mu zaufać. Przysłał go tu jako przewodnika dla nas pański przyjaciel, pan doktor Harry Cook.

Ross zastanawiał się przez chwilę, zanim zapytał:

– Czy to on ci tak powiedział?

– Powiedział, że Bóg nas ochroni w podróży.

– Dobrze wiedzieć.

– Bóg ma swój cel, panie Ross.

– Miejmy nadzieję.

– Tak jest napisane.

Wkrótce po opuszczeniu parkingu motocykl skręcił na główną drogę, zostawiając za sobą smugę piachu i kurzu. Ruszyli za nim pod górę krętym, niewidocznym szlakiem wiodącym przez przełęcz w głąb skalistej, górzystej pustyni. Pół

godziny później przejechali przez wioskę ze sklepikami z otwartym frontem i wyminęli mężczyznę ciągnącego na środku drogi kozła na sznurku.

Teren wznosił się coraz wyżej, Ross pstrykał zdjęcia, w równym stopniu ciekawy, co zdenerwowany.

Dalej droga prowadziła w dół licznymi zakrętami aż na dno doliny, gdzie ponownie zaczęła się piąć pod górę. Minęli chłopca czy pasterza ze stadem około kilkudziesięciu owiec, po czym nagle zjechali z drogi na otwartą pustynię. Przez przednią szybę Ross obserwował, jak zwinny starzec podjeżdża motocyklem na kolejne wydmy, a następnie zjeżdża po drugiej stronie w dół. Hadidy nie spuszczał go z oka.

Pokonali strome zbocze, które wydawało się wręcz nie do sforsowania, biegnące między dwoma wysokimi cyplami.

– Przyjechał pan do Egiptu sam, panie Ross? – spytał Hadidy niespokojnie, skupiając się ze wszystkich sił, by samochód jechał prosto i nie tracił przyczepności na piachu.

– Tak.

– Bo ktoś za nami jedzie.

Ross odwrócił się i spojrział przez tylną szybę. W oddali ciągnął się za nimi pióropusz piachu. Przeszedł go dreszcz niepokoju.

– Kilka kilometrów stąd jest oaza. Może to samochód z dostawą. Może to nic takiego.

– Był pan tu kiedyś?

– Nie, nigdy. Ale oaza jest na mapie.

Ross odetchnął z ulgą.

– Dobrze.

Odwrócił się ponownie i spojrział na chmurę kurzu wleczoną przez samochód jadący daleko za nimi.

Zjechali w następną dolinę i po lewej stronie, niecałe dwa kilometry dalej, rzeczywiście zobaczył oazę – parę namiotów i kilkanaście wielbłądów skupionych wokół małego zbiornika wodnego. Znów ruszyli pod górę. Ross włączył w iPhone aplikację z kompasem. Jechali na północny wschód. Krajobraz, choć piękny i odludny, stawał się monotony. Podjazd i zjazd, podjazd i zjazd. Nie miał pojęcia, gdzie są ani co znajdują na końcu drogi.

Znowu się obejrzał, lecz tym razem z ulgą stwierdził, że nikogo za nimi nie ma. Żadnego kłębu piasku w zasięgu wzroku.

Na sugestię Hadidy'ego wypił najpierw jedną butelkę wody mineralnej ze schowka w podłokietniku, potem drugą.

Po dwóch godzinach od wyjazdu spod świątyni Hatszepsut minęli stary, spłowiały znak Coca-Coli. Ross zobaczył siedzącego obok drogi starego Araba w tradycyjnym stroju, rozmawiającego z drugim mężczyzną, obok nich cierpliwie czekającego wielbłąda; rządkiem rozpadających się straganów; podekscytowane dziecko biegnące przed samochodem; biblijną scenkę z mężczyzną prowadzącym osła, na którym jechała kobieta z malutkim dzieckiem. Motocykl zatrzymał się przed prymitywną chałupą, ich przewodnik zsiadł z pojazdu i wszedł do środka.

Kilka minut później wyszedł w towarzystwie starszej kobiety ubranej na czarno, w sandałach i z szarą chustą na głowie. Z niejakim trudem pomógł jej wdrapać się na tylne siodło motocykla, potem sam usiadł, uruchomił silnik i ruszył.

– Wie pan może, kto to jest, Hadidy? Czy to jego siostra, o której mówił?

– Możliwe. Myślę, że to jakaś ważna kobieta.

– Ważna?

Pojechali za motocyklem drogą biegnącą zygzakami po stromym zboczu. Po kilku minutach, na płaskim odcinku motocykl zatrzymał się i starsza para zsiadła. Rasul ustawił maszynę na nóżce, a w tym czasie Hadidy zaparkował samochód obok nich.

Kiedy Ross otworzył drzwiczki, uderzył go południowy piekący skwar. Szybko cofnął się do kabiny, wyjął ze schowka trzecią, ostatnią butelkę z wodą i włożył ją do kieszeni marynarki.

– Panie Hunter – powiedział Hatem Rasul – to moja siostra, Sitra.

Z bliska Ross dostrzegł, że kobieta była naprawdę bardzo stara i wysuszona. Przywitała go bezzębnym uśmiechem, ignorując wyciągniętą rękę, po czym skinęła na niego sękatym palcem, by poszedł za nią.

Poprowadziła ich wąską, stromą ścieżką dla kóz pod bezchmurnym niebem. Pchała ją jakaś energia, której Rossowi brakowało, tak że im wyżej się wspinali, tym mniej spoglądał w dół na urwiste zbocze pod nimi. Gdyby się potknął i upadł, zginąłby na miejscu. Wysoko w górze zobaczył rząd jaskiń.

Żeby nie myśleć o przepaści, skupił się na ścieżce. Żałował, że nie zostawił marynarki w samochodzie, bo tak się pocił, że musiał ją zdjąć i przewiesić sobie przez ramię. Był wdzięczny Hadidy'emu za wodę, którą racjonował sobie rozsądnie i brał tylko małe łyżki co kilka minut wędrówki. Usta mu spierzchły, słońce paliło mu twarz. Szkoda, że nie wziąłem ze sobą kremu z filtrem przeciwsłonecznym, pomyślał.

W końcu kobieta, a za nią Rasul i Hadidy, skrzyła w prawo na ścieżkę biegnącą wzdłuż jaskiń. Minęła pierwsze trzy wejścia, wydała Rasulowi jakieś polecenie i weszła do czwartej. Trzej mężczyźni zostali i czekali na zewnątrz.

Kilka minut później Sitra wyłoniła się z powrotem z jakimś przedmiotem owiniętym w kremowy materiał, po czym wyciągnęła ręce do Rossa i kiwnęła zachęcająco głową.

Ross wziął od niej zawiniątko i podziękował jej uśmiechem.

Przedmiot prawie nic nie ważył.

Rasul powiedział coś do Hadidy'ego.

– Może pan otworzyć, tylko proszę to zrobić ostrożnie – powiedział jego opiekun.

Rozwijanie kolejnych warstw materiału zajęło mu dobrą chwilę. Pakunek robił się coraz mniejszy, aż w końcu Ross zobaczył mały muślinowy woreczek, a w środku jakby emaliowany przedmiot koloru ochry.

Cała trójka wlepiła oczy w Rossa.

– Ząb? – zapytał zdumiony. – Co to za ząb? Skąd pochodzi?

Rasul wymienił po arabsku kilka zdań z Hadidym, który z kolei odwrócił się do Rossa.

– Sitra mówi, że to rzeczywiście ząb. Bardzo wyjątkowy ząb. Kiedy Jezusa Chrystusa prowadzono razem z przestępcami na krzyż na Kalwarię, ludzie przy drodze obrzucali ich wyzwiskami i różnymi twardymi przedmiotami, głównie kamieniami. Jeden kamień trafił Jezusa w twarz i wybił mu ząb. To właśnie jest ten ząb.

Ross wytrzeszczył oczy na przedmiot leżący w jego dłoni, potem przeniósł wzrok na Hadidy'ego.

– Skąd oni to wiedzą? Są tego pewni?

Ross położył sobie prawie przezroczysty woreczek na dłoni i zrobił zdjęcie telefonem.

Tymczasem Hadidy ciągnął:

– Hatem Rasul powiedział, że jeden z uczniów Chrystusa schylił się i podniósł jego ząb. Ponieważ wiedział, że to niebezpieczne trzymać taki przedmiot, postanowił wywieźć go z Judei i ukryć. Przywiózł go tu, do Egiptu, i poprosił pewną zaufaną rodzinę, która mieszkała w małej wiosce na odludziu, żeby go przechowali. Od tamtej pory leży w tej jaskini. Przez wiele pokoleń ta rodzina miała obowiązek go strzec. Przez dwa tysiące lat czekali na wybranego człowieka, który po niego przyjedzie. Rasul twierdzi, że pan jest tym wybranym.

Ross ponownie popatrzył na ząb i zadrżał. Czy to może być prawda? Czy ten maleńki, nic nieważący przedmiot rzeczywiście może być ciałem Chrystusa? Zadygotał na samą tę myśl. Na samą możliwość. Spojrzał na trójkę Egipcjan. Wszyscy przyglądali mu się z uwagą.

Rasul podszedł do Hadidy'ego i znowu coś mu powiedział po arabsku. Kiedy skończył, Hadidy odwrócił się do Rossa.

– Hatem Rasul mówi, że doktor Cook ma dla pana wiadomość. Doktor Cook zapewnia, że ten ząb jest prawdziwy. Proszę go zabrać do Anglii, do jego przyjaciela w Birmingham, pana... to dziwne nazwisko... Ano-Spiry. Zna go pan?

Ross niczym zahipnotyzowany nie mógł oderwać oczu od zęba.

– Znam – odparł dalekim głosem, jakby mówił ktoś inny.

– Panie Hunter – ciągnął Hadidy. – Hatem Rasul powiedział, że kiedy pan się znowu spotka z Ano-Spiry, dostanie pan ostateczny dowód. Czeka na pana. Dowód absolutny!

Nagle z nieba dobiegł jakiś odgłos. Wszyscy trzej podnieśli głowy. Wysoko nad nimi poruszała się maleńka kropeczka nadlatującego śmigłowca. Był za daleko i za wysoko, żeby można go było rozpoznać. Przeleciał nad nimi i chwilę później dźwięk ucichł w oddali.

Ross spojrzał pytająco na Hadidy'ego. Egipcjanin wzruszył ramionami.

– Turyści.

Lecz Ross, patrząc w niebo, nie był tego taki pewien. Najpierw jechał za nimi samochód, teraz pojawił się helikopter. Poczul się nieswojo.

– Turyści zwiedzają – przekonywał Hadidy. – Można kupić przelot śmigłowcem nad Doliną Królów.

Ross skinął głową, chociaż to zapewnienie wcale go nie uspokoiło. Byli daleko od Doliny Królów, nawet jak na przelot helikopterem.

Sitra została w jaskini, mówiąc, że wróci później sama, trzech mężczyzn zaś ruszyli tą samą drogą w stronę czekających pojazdów. Ross szedł najszybciej, jak mógł. Czuł, że jego towarzysze też się denerwują.

48

Wtorek, 7 marca

Jechali z powrotem stromym zboczem nad przepaścią. Droga w dół wydawała się jeszcze bardziej przerażająca niż pod górę. Ross starał się nie myśleć o niczym, co się działo na zewnątrz. Pozostawił Egipcjaninowi zmaganie się z kierownicą, a sam skupił się na małym, jakby powleczonym emalią przedmiocie z korzeniem na końcu.

Czy to w ogóle możliwe? Ząb Jezusa z Nazaretu? W egipskiej jaskini?

Trudno było w to uwierzyć, a jednak...

Niewiele wiedział na temat Pisma Świętego i zamierzchłej historii tych rejonów świata. Znał Księgę Wyjścia Starego Testamentu oraz historię ucieczki Żydów z Egiptu.

Czy naprawdę ktoś mógł tu powrócić z zębem Chrystusa i ukryć go w dalekiej jaskini pod opieką miejscowych chłopów?

Przed nimi ubita droga wiodła serpentyną w dół, miejscami tak stromo, że Ross prawie wisiał w powietrzu, podtrzymywany przez samochodowy pas bezpieczeństwa. Przed nimi Hatem Rasul na swoim starym jednośladzie brał zakręty z wprawą i zręcznością dwa razy młodszego motocyklisty crossowego. Momentami wydawało się, że maszyna spod niego uciekła, a on utrzymuje się w pionie tylko wystawioną nogą ślizgającą się po podłożu.

Nagle przez ryk silników obu pojazdów przebił się terkot helikoptera.

Hadidy rzucił coś, co musiało być przekleństwem, i spojrzął w lusterko wsteczne. Ross odwrócił się niespokojnie i zobaczył czarne podwozie śmigłowca wiszące nad nimi tak nisko, że płozy unosiły się w powietrzu na wysokości ich oczu.

W pierwszej chwili pomyślał, że to policja albo wojsko. Może wjechali w jakąś zabronioną strefę?

Szybko zawinął z powrotem ząb i wsunął go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Nad ich głowami przemknął cień. W tym samym momencie Hatem Rasul obrócił motocykl o sto osiemdziesiąt stopni i popędził z powrotem w kierunku, skąd przyjechali.

Po sekundzie śmigłowiec pojawił się kilkaset metrów przed nimi, a przez otwarte drzwi kabiny wychylił się mężczyzna. Nie było najmniejszych wątpliwości, co trzyma w rękach. Długa czarna lufa karabinu mierzyła prosto w nich.

Hadidy wrzasnął ze strachu. Ross przerażony odpiął pas i rzucił się na podłogę między fotelami. Poczul, jak samochód gwałtownie hamuje, koła się blokują i pojazd, wpadając w poślizg, sunie po piasku.

Słyszał przestraszony okrzyk Hadidy'ego, land cruiserem rzuciło w bok, a po chwili pędzili w dół tak pionowo, że Ross tylko czekał, aż zaczną koziółkować. I cały czas nabierali prędkości.

– Hadidy! – zawołał.

Pędzili coraz szybciej. Ross miał uczucie, jakby leciał na złamanie karku kolejką górską.

– Hadidy! – wrzasnął znowu.

Lecz Egipcjanin nie odpowiedział.

Ostrożnie podniósł się z podłogi. Drzwi kierowcy były otwarte. Ross obejrzał się przez tylną szybę i zobaczył na grzbiecie wzniesienia uciekającą postać.

Jakimś cudem samochód nadal zjeżdżał przodem. Podskakiwał, przez chwilę leciał w powietrzu, po czym lądował z powrotem na stromym zboczu. I gnał prosto na skałę.

Ross wyciągnął ręce nad zagłówkiem przedniego fotela i chwycił kierownicę. Skręcił w prawo i wyminął ogromny głaz o kilka centymetrów. Przed nim otwierała się przepaść. Obrócił kierownicę w lewo i samochód wjechał na piaszczyste wzniesienie, omal nie przewrócił się na bok, a następnie zaczął ześlizgiwać się w dół, z powrotem w kierunku doliny.

I zarazem prosto na kolejną skałę.

Na szczęście udało mu się ją ominąć. Pędził dalej w dół stromym parowem, potem następnym, zygzakiem między

sterczącymi skałami. Ścisnął kierownicę zeszywniały ze strachu.

Chwilę później samochód wjechał na wydnię i ugrzązł w piachu.

Jezu, nie!

Ross wysiadł z samochodu i spojrzał w górę. Śmigłowiec szybko się opuszczał. Ross zanurkował na siedzenie kierowcy i spojrzał na deskę rozdzielczą. Znalazł włącznik blokady mechanizmu różnicowego, uruchomił ją i mocno dodał gazu. Śmigłowiec zasłonił mu słońce, a w tym samym momencie samochód ruszył powoli w górę, z trudem łapiąc przyczepność na piaszczystym wzniesieniu.

W stronę czegoś, co wyglądało na przepaść.

Szlag! Szlag! Szlag!

Zdjął nogę z gazu, lecz w tym samym momencie helikopter pojawił się dokładnie na wprost niego. Zobaczył mężczyznę wychyloną przez otwarte drzwi i wymierzoną w siebie lufę karabinu.

Schylił się pod deskę rozdzielczą, a jednocześnie wcisnął gaz. Usłyszał coś, co ostatnio słyszał wiele lat temu, w Afganistanie. Serię z broni maszynowej.

Samochód wystrzelił do przodu.

W kierunku przepaści.

Jeśli się zatrzyma, zginie. Zalała go paralizująca fala wspomnień z Afganistanu. Jeśli pojedzie dalej przed siebie, najprawdopodobniej również zginie.

Podjął decyzję w ułamku sekundy i pojechał dalej. Rozległa się następna seria.

Samochód zanurkował w dół.

Spadał.

Wyrzuciło go do góry, uderzył głową w podsufitkę. Zobaczył przed sobą skałę, potem niebo. Skała. Niebo.

Runął w dół, grzmotnął głową o kierownicę.

A potem nagle jakimś cudem znowu siedział na fotelu kierowcy, właściwą stroną do góry, i pędził po stromym, ale już nie pionowym stoku.

Chwycił trzęsącą się kierownicę. Jechał z wariacką prędkością. Jakoś udało mu się ominąć kolejne sterczące skały i głazy. Silnik ryczał jak oszalały. Sam nie wiedział, skąd mu się

wzięła taka przytomność umysłu, żeby wyłączyć blokadę mechanizmu różnicowego.

Silnik natychmiast przycichł.

Zbocze było teraz łagodniejsze, zobaczył niedaleką już dolinę.

I śmigłowiec. I ogień z lufy karabinu. Zanurkował pod deskę rozdzielczą, usłyszał brzęk i stukot pocisków trafiających w ziemię przed land cruiserem. Wyprostował się z powrotem i zrozumiał, co zamierza facet w helikopterze – chce mu przebić opony i unieruchomić samochód.

Był już w dolinie, miał przed sobą tylko jedną wąską drogę – przez wąwóz ciągnący się między dwiema stromymi ścianami skalnymi. Śmigłowiec wylądował dokładnie przed nim. Ross znowu się schylił, kiedy z lufy karabinu trysnął ogień i pociski wryły się w ziemię dookoła samochodu.

Nagle mężczyzna w helikopterze przestał strzelać i zaczął gorączkowo szarpać za karabin. Albo broń się zacięła, albo skończył mu się magazynek. Wrzasnął coś do pilota.

Ross dostrzegł swoją szansę. Poczł, że samochód złapał znowu przyczepność na twardym gruncie i wystrzelił do przodu, więc wcisnął gaz do dechy. Zbliżał się do helikoptera.

Facet w czerni nadal gorączkowo szamotał się z karabinem i wrzeszczał na pilota.

Podjeżdżając, Ross zobaczył, że wokół śmigłowca wzbija się tuman piachu – pilot próbował poderwać maszynę w powietrze.

Nic z tego, draniu!

Szczelina była coraz bliżej. Sto metrów. Pięćdziesiąt. Dwadzieścia pięć. Ross widział przestrzeń między płozami.

Za mało miejsca. O nie!

Jeśli wpadnie prosto w bok helikoptera, maszyna prawdopodobnie eksploduje i wszyscy zginą na miejscu. W ostatniej chwili, widząc przerażenie w oczach strzelca, Ross gwałtownie skręcił kierownicę w prawo i ściskając ją mocno, rzucił się pod deskę rozdzielczą.

Sekundę później rozległ się łoskot i zgrzyt, do środka posypało się szkło razem z gorącym pustynnym powietrzem.

Wyprostował się, poczuł na twarzy podmuch piaszczystego skwaru i przez to, co zostało z przedniej szyby, spojrział na

pustynny krajobraz. W lusterku zobaczył kadłub śmigłowca leżący na boku. Roztrzaskany ogon i śmigło leżały kilkanaście metrów dalej. Ktoś wygrzebywał się z kabiny.

Pędził dalej, przez wydmy, dopóki śmigłowiec nie zamienił się w czarną kropkę widoczną w lusterku. W końcu zatrzymał się na szczycie wysokiej wydmy.

Usłyszał piknięcie. SMS. Drżącymi dłońmi wyjął telefon z kieszeni spodni.

To była wiadomość od Imogen.

Jak Ci mija dzień? XX

49

Wtorek, 7 marca

Jakimś cudem pomimo zniszczeń od ostrzału i upadku z urwiska toyota nadal jechała. Ross z trudem mógł jasno myśleć. Wiedział tylko, że musi dostać się do Luksoru, a potem jak najszybciej stamtąd wyjechać.

Patrzył przez pusty otwór po przedniej szybie na spieczony, pustynny krajobraz z pasmem wzniesień na pływającym od upału horyzoncie. Po prawej stronie ciągnęło się coś, co wyglądało jak droga. Usiłował rozgryźć mapę w samochodowej nawigacji satelitarnej, która wyświetliła się na ekranie po arabsku, ale tak mu się trzęsły dłonie, że nie mógł trafić palcem w przycisk, żeby cofnąć stronę. Gdyby mu się udało, może znalazłby zaprogramowany Luksor, a może nawet lotnisko.

Niestety, kiedy w końcu udało mu się trafić we właściwy przycisk, ekran znieruchomiał.

Przypomniał sobie Google Maps i natychmiast otworzył aplikację w iPhone. Z ulgą stwierdził, że ma słaby sygnał 3G, który wystarczy jednak, żeby wczytać mapy, ale wpisanie roztrzęsionymi palcami słów „lotnisko Luksor” zajęło mu kilka minut.

Ku jego zdumieniu urządzenie szybko znalazło żądany punkt przeznaczenia. Na wyświetlaczu pojawił się okrągły niebieski symbol z białą sylwetką samolotu oraz migająca niebieska kropka wskazująca aktualną lokalizację Rossa. Dwie godziny trzydzieści pięć minut jazdy, poinformowała aplikacja.

Sprawdził godzinę na zegarku. Było parę minut po trzeciej. Jego samolot odlatywał za pięć szósta. Nie zdąży. Rozejrzał się niespokojnie, lecz nigdzie nic się nie poruszało. Silnik pracował głośno, gorące pustynne powietrze uderzało go w twarz. Chciało mu się pić. Otworzył schowek i zobaczył coś, co

wyglądało jak wbudowana lodówka, a w niej kilka butelek wody. Wziął jedną, odkręcił i wypił wszystko duszkiem. Potem to samo zrobił z drugą.

Wyskoczył z samochodu i obszedł go dookoła, sprawdzając, czy któraś opona została przetrzelona. Na szczęście wyglądało na to, że we wszystkich jest tyle powietrza, ile trzeba. Ukucnął i zajrzał pod spód, czy nie wyciekają jakieś płyny, lecz podwozie wydawało się suche. Potem cofnął się i zlustrował wrak nadwozia. Nie był to miły widok: zniszczony przód po uderzeniu w ogon śmigłowca, brak jednego reflektora, wgnieciona część maski, dachu oraz całej reszty karoserii.

Przebiegła mu przez głowę irracjonalna myśl, czy Hadidy ma dobre ubezpieczenie. Ale jednocześnie zapłonął w nim gniew, bo człowiek, który miał się nim opiekować i zapewnić mu bezpieczeństwo, uciekł i zostawił go na pastwę losu w rozpędzonym, ostrzeliwanym samochodzie. Z drugiej strony, czy można go za to winić?

Nagle, ni stąd, ni zowąd, kiedy stał i oglądał samochód, zaczął się znowu trząść, jeszcze gwałtowniej niż poprzednio.

Afganistan.

Próbował odgonić koszmarne wspomnienia. Myśleć jasno.

Kto za tym wszystkim stoi? Ci sami ludzie, którzy śledzili go w Chalice Well i kopnęli w twarz?

Rozejrzał się, powoli, spokojnie obracając głowę. Narastało w nim przerażenie. Zaprzagnął zadzwonić do domu, usłyszeć życzliwy, bliski głos. Lecz czy powinien mówić o tym wszystkim Imogen? Nie byłoby to rozsądne, tylko by ją rozstroiło. Zażądałaby kategorycznie, żeby natychmiast porzucił tę sprawę. Odpowiedział jej tylko na SMS:

Gorący! XX

Nagle jednak sygnał stał się tak gówniany, że wiadomość nie przeszła. Ruszył więc w drogę, zastanawiając się gorączkowo, co dalej robić. Iść na policję? Do ambasady brytyjskiej? Przecież musiałby im powiedzieć prawdę, przynajmniej w znacznej części. Może istnieje jakieś prawo zabraniające wywożenia z kraju przedmiotów o historycznej wartości. Poza tym nie

chciał przedłużyć pobytu w Egipcie. Musiałby się praktycznie ukrywać. Lepiej jak najszybciej wyjechać, jeszcze dziś po południu wsiąść do samolotu. Jeśli nie będzie już żadnego lotu do Anglii, to wybierze jakiś inny, a potem się przesiądzie. Czy ludzie ze śmigłowca mają wspólników w Luksorze? Czy mogli się już z nimi skontaktować i podnieść alarm, żeby go szukano? Wysłać ludzi na lotnisko?

W rozgardiaszu, jaki pamiętał z poprzedniego wieczoru w porcie lotniczym, nietrudno byłoby poruszać się niezauważenie. Ile o nim wiedzieli? Jeśli znali szczegóły jego przylotu, zdobędą też informacje o jego locie powrotnym i postawią strażę przy bramkach. Lepiej wybrać zupełnie inny kierunek. Paryż? Berlin? Madryt? Miejsce, które zna.

Musi się tylko stąd wydostać.

Toyotą zajmie się później. Na razie nadal był wściekły na Hadidy'ego za to, że zostawił go na tylnym siedzeniu samochodu pędzącego bez kierowcy. Pieprzyć go, niech sam się o to martwi.

50

Wtorek, 7 marca

Ross nie zauważył, żeby go ktoś śledził. Z ulgą też przyjął zapadający zmrok, kiedy za piętnaście szósta dojeżdżał na lotnisko w Luksorze. Przynajmniej zdewastowany samochód nie rzuci się w oczy ochronie.

Wjechał prosto na parking krótkoterminowy i zostawił samochód z kluczykami w stacyjce na jednym z wyższych poziomów. Otrzeptał się z piasku, wytarł twarz. Żeby choć trochę zmienić swój wygląd, włożył okulary przeciwsłoneczne i marynarkę, sprawdził, czy zawiniątko z zębem spoczywa nadal w jego wewnętrznej kieszeni, wziął torbę z tylnego siedzenia i ruszył w kierunku kas.

Różnica czasu między Anglią a Egiptem wynosiła dwie godziny, między Egiptem zaś a Francją i Niemcami godzinę. Bezpośredni lot z Egiptu na lotnisko Charles'a de Gaulle'a był zaplanowany na dziewiątą, a niedługo później rozpoczynał się rejs Lufthansy do Berlina, ale z dwoma międzylądowaniami. Nie chciał kupować od razu biletu do Londynu, bo jego prześladowcy tego właśnie mogli szukać. Zarówno z Francji, jak i z Niemiec bez trudu dostanie się na kolejny lot, tym razem do kraju.

Kupił bilet do Paryża, po czym skierował się do hali odlotów, odebrał i wypełnił kartę pokładową. Dłoń mu drżała. Poza przeżytym wstrząsem uprzytomnił sobie, że od śniadania nie miał niczego w ustach.

Jeśli ktoś go obserwował, kiedy stał w kolejce do odprawy paszportowej, to doskonale się ukrywał. Urzędnik bez śladu uśmiechu na twarzy popatrzył na jego paszport i kartę pokładową, po czym podniósł na Rossa zdziwione spojrzenie.

– Nie zabawił pan długo w Egipcie.

– Niestety, chociaż bardzo bym chciał. W moim kraju nadal jest piekielnie zimno.

– Prowadzi pan interesy w Luksorze?

– Jestem pisarzem. Przyjechałem się spotkać z przyjacielem, który również pisze i tutaj pracuje. Rozważaliśmy współpracę nad książką o Dolinie Królów. Coś w rodzaju przewodnika dla turystów.

To było magiczne słowo. Urzędnik przybił pieczętę, zamknął paszport i oddał go Rossowi z ledwo zauważalnym uśmiechem, prawdopodobnie aprobaty.

Po przejściu przez kontrolę bezpieczeństwa Ross skierował się prosto do baru. Przysiadł na stołku, zamówił zimne piwo oraz podwójną szkocką, po czym wskazał sfatygowaną kanapkę na półce, nie pytając nawet, co jest w środku. Z przyjemnością wychylił jednym haustem whisky i rozkoszował się odprężającym pieczeniem w przełyku. Natychmiast zamówił następną.

Start opóźnił się o dwie godziny, co oznaczało, że nie wylądują w Paryżu przed północą. Będzie musiał przenocować w hotelu, a w dalszą drogę wyruszyć rano. Wysłał do Imogen SMS z informacją, że zostaje na noc w Luksorze.

Gdy tylko samolot wystartował, Ross zapadł w niespokojną drzemkę i obudził się dwie godziny później z przeraźliwym bólem głowy.

51

Wtorek, 7 marca

W sali konferencyjnej na najwyższym piętrze budynku KK Ainsley Bloor stał przy oknie niczym sopel lodu i patrzył w dół na czarną Tamizę, podczas gdy za jego plecami do sali schodzili zaufani członkowie zarządu. Ainsley był wściekły.

W końcu, kiedy wszedł ostatni z dyrektorów i zamknął za sobą dźwiękoszczelne drzwi, Bloor dołączył do szóstki mężczyzn siedzących przy stole.

Na tajne nocne zebranie zarządu Kerr Kluge jak zwykle nie zaproszono żadnej asystentki do sporządzania protokołu. Nie planowano również niczego nagrywać.

– Panowie, stoimy w obliczu pieprzonego fiaska – oznajmił Bloor. – I nie chodzi bynajmniej o dwa i pół miliona łapówki, którą musieliśmy dać egipskiej policji i lotnictwu, żeby siedzieli cicho. – Spojrzał na dyrektora operacyjnego, Juliusa Helmsleya. – Musisz zgubić te pieniądze, Juliusie. Nie chcemy żadnych niewygodnych pytań ze strony udziałowców na walnym zgromadzeniu.

– Już się tym zająłem, Ainsley – odpowiedział Helmsley.

Dyrektor operacyjny KK był wysokim, chudym i zgarbionym mężczyzną o pociągłej twarzy. Miał rzadkie, przylizane włosy i nosił absurdalnie modne oprawki okularów, które bardziej pasowały do studenta malarstwa niż pięćdziesięcioletniego księgowego w szarym garniturze. Julius Helmsley przywykł do ukrywania okazałych wydatków firmowej gotówki. Od pewnego czasu koncern wydawał ogromne sumy na łapówki dla przywódców ubogich krajów Trzeciego Świata.

– Mam nadzieję – odparł lodowato Bloor. – Do rzeczy. Niektórzy z was już wiedzą, co się stało, lecz na użytek

pozostałych powiem, że zostaliśmy ponownie przechytrzeni, i to koncertowo. Wygląda na to, że nasz dział bezpieczeństwa spierdolił kolejną akcję. Najpierw śledzili Rossa Huntera do Chalice Well i dali dupy. Teraz Hunter wraca z Luksoru do Anglii, prawdopodobnie z tym, po co tam pojechał.

– A wiemy, co to jest? – spytał ktoś.

– Nie, ale wkrótce się tego dowiemy. Coś, co może zawierać DNA Jezusa Chrystusa – odparł Bloor. – Nie wiem, co to jest, ten stary szajbus Cook nie chciał powiedzieć nawet przyciskany. Gdyby nasi kretyni mieli więcej cierpliwości, wydobyliby od niego wszystko co trzeba. Jedyne, co udało im się od niego wycisnąć, to że chodzi o coś ważnego, co dotyczy Chrystusa. I że nikt, komu nie było to pisane, tego nie znajdzie.

– Ale ten dziennikarz jakimś sposobem się dowiedział, gdzie tego szukać? – spytał szef działu badań i rozwoju, Alan Gittings.
– Czy wiemy, że na pewno to znalazł?

Bloor skinął głową na swego najbardziej zaufanego podwładnego, Rona Masona, krzepkiego, trzeźwo myślącego Australijczyka.

– Nasz obserwator w śmigłowcu widział, jak jakaś starucha wyszła z jaskini z pakunkiem i wręczyła go Hunterowi – wyjaśnił Mason.

– Co to był za pakunek? – spytał Gittings.

– Nasi ludzie byli za daleko, żeby to zauważyć. Mamy to na filmie.

Mason otworzył laptop i wszyscy skupili się wokół niego. Włączył niewyraźne nagranie, na którym rzeczywiście widać chyba było starą kobietę wychodzącą z jaskini i przekazującą paczkę Rossowi Hunterowi. Potem ona i dwaj mężczyźni patrzyli, jak dziennikarz rozwija pakunek. Kiedy pokazał na dłoni jego zawartość, obecni w sali mimo marnej jakości obrazu mogli zauważyć wyraźne podniecenie widoczne w ruchach i mowie ciała ludzi na pustyni.

Mason zatrzymał film.

– Nie ma wątpliwości, że Hunter dokonał ważnego odkrycia – podsumował Bloor. – Musimy zdobyć ten przedmiot, i to jak najszybciej. Wiemy, że poczynaniami Huntera interesuje się również ktoś inny, kto także jechał za nim do Glastonbury. Kto wie, czy ci ludzie nie mają teraz Świętego Graala, ponieważ

nasi obserwatorzy widzieli, jak ktoś zabrał torbę zawierającą przedmiot, który Hunter wydobył ze studni.

– I wiemy na pewno, że to był kielich, Ainsleyu? – spytał Helmsley.

– Nie, ale wiemy, z kim mamy do czynienia, przynajmniej w tej chwili. Nasi obserwatorzy śledzili ich do pewnej pilnie strzeżonej posiadłości w hrabstwie Surrey, niedaleko Guildford. To kwatery główna religijnej organizacji Duszpasterstwo Wesleya Wencesłasa.

– Ten gość to skończony hochsztapler – mruknął Ron Mason swoim australijskim akcentem. – Ten Wencesłus. Mój siostrzeniec, który jest wierzący, poszedł na jedną z jego mszy, czy jak oni je nazywają, i powiedział, że każą tam płacić ludziom za modlitwę! Cholerny naciągacz!

– Ale za to skuteczny – zauważył Gittings. – Ma miliony wyznawców.

– I zdobędzie jeszcze więcej, jeśli zaczną wymachiwać Świętym Graalem – dodał Helmsley.

– Nakłonimy Chalice Well, by zażądało zwrotu własności – powiedział Bloor. – Potem Julius na pewno się tym zajmie jako członek fundacji.

Spojrzał na Helmsleya, a ten skinął w odpowiedzi głową, lecz wyglądał na zakłopotanego.

– No dobrze, ale podsumujmy fakty, Ainsley – powiedział Gittings. – Po pierwsze, nie wiemy, co Hunter wydobył ze studni i co trafiło w ręce Duszpasterstwa Wencesłasa. Uważamy, że Hunter ma coś ważnego, może jakąś część ciała, znalezioną na pustyni w Egipcie. Ale nie ma żadnego dowodu, że pochodzi od Chrystusa.

– Podobnie jak nie ma dowodu, że to, co wydobył w Chalice Well, jeśli rzeczywiście coś wydobył, jest Świętym Graalem – odparł Bloor. – Ale uważamy, że może być. Jeśli obydwa przedmioty zawierają DNA i badania wykażą zgodność, to co wtedy?

– To będzie wyjątkowo mocny dowód ich pochodzenia – stwierdził Helmsley.

Wszyscy zebrani pokiwali głowami.

– Więc mielibyśmy DNA potencjalnego mitologicznego uzdrowiciela, który może żył, a może nie, dwa tysiące lat temu

i potrafił dokonywać cudów? – odezwał się inny członek zarządu, Grant Rowlands, swoim obcesowym, szorstkim akcentem z Yorkshire. – Moim zdaniem trochę za bardzo nas to pochłonęło. Powinniśmy się cieszyć, że dwukrotnie o włos uniknęliśmy katastrofy i nikt nas nie namierzył, najpierw po historii z Cookiem, a teraz po nieudanej akcji w Egipcie. Te dwa zbiry, które były u Cooka, zostały...

Nie dokończył i zawiesił głos.

– Wrócili do Irlandii – odparł Bloor. – Moim zdaniem nie ma się z czego cieszyć. Nie uniknęliśmy o włos katastrofy, tylko ją wywołaliśmy, bo spieszyliśmy sprawę. Na domiar złego ktoś nas wyprzedził w Chalice Well.

– Ja uważam, że powinniśmy zostawić tę sprawę w spokoju – ciągnął Rowlands. – Narażamy na szwank reputację firmy i własną przyszłość. Kod DNA jakiegoś szarlatana? Daj spokój, Ainsley, jesteś najbardziej zatwardziałym ateistą w tej sali. Czy nie o to chodzi w twoim eksperymencie z małpami? O dowód, że Bóg nie istnieje?

– Grant – powiedział cierpko Bloor, przeszywając Rowlandsa lodowatym spojrzeniem – podjęliśmy tę decyzję wspólnie. Niezależnie od naszych poglądów na kwestie wiary zgodziliśmy się, że ponad dwa miliardy chrześcijan na całym świecie zapłaci każdą sumę, dosłownie każdą, za lekarstwo na ich choroby i dolegliwości, sporządzone z genów Jezusa Chrystusa. I zastanów się nad tym, ile zapłaci każdy przyszły rodzic na całym świecie za to, by jego dzieci nosiły gen zbawiciela świata?

W sali zapadła cisza. Kilku dyrektorów się uśmiechnęło.

– Jeśli coś ci się nie podoba, Grant, to lepiej nam powiedz.

Grant Rowlands pomyślał o tym, w jaki sposób Bloor zwykł rozwiązywać problemy, o swoich okazałych udziałach w firmie oraz o corocznej dwumilionowej premii, i pokręcił głową.

– Nie chodzi o to, że mi się coś nie podoba, Ainsley, tylko... no wiesz, wykonuję swoje dyrektorskie obowiązki. Sprawdzam i ważę ryzyko.

Bloor spiorunował go wzrokiem.

– Dobrze o tym wiedzieć. Cieszę się, że mój zespół tak sumiennie pracuje.

– Absolutnie.

– Czy chciałbyś jeszcze coś dodać, Grant, zanim pójdziemy dalej?

– Nie, nie, wszystko w porządku.

– Jedno szybkie pytanie, Ainsley – powiedział Julius Helmsley.

– Tak?

– Jak idzie twoim małpom?

Bloor obrócił wzrok na innego ze swoich podwładnych, Kurta Ianna, dyrektora do spraw bezpieczeństwa. Potem odpowiedział:

– Znacznie lepiej niż jednemu z was, panowie, skoro już o to pytasz.

Iann, którego boleśnie dotknął piekący wzrok Bloora, powiedział:

– Obiecuję ci, że odzyskamy to, co znalazł Hunter, Ainsley.

– Doprawdy? – prychnął zjadliwie Bloor. – Naprawdę zrobisz w końcu coś jak trzeba?

52

Środa, 8 marca

Ross zameldował się w hotelu Ibis przy lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Trudno sobie wyobrazić bardziej anonimowe i bezosobowe miejsce, gdzie wszyscy goście byli, podobnie jak on, nieznanymi przejezdnyimi. Ani w Luksorze, ani w samolocie nie zauważył nikogo, kto nasuwałby podejrzenia, że może go śledzić.

Na wszelki wypadek jednak zamknął drzwi na dwa zamki i łańcuch.

Mimo skrajnego wyczerpania spał krótko i niespokojnie, zbudził go senny koszmar. Znalazł się znowu w Afganistanie i uciekał przed strzelającymi do niego talibami. Wpadł do wielkiego budynku, a potem na dół, w głąb ciemnego skarbca.

Wtedy przeżył dzięki temu, że przeczekał niebezpieczeństwo w ukryciu. To samo musi zrobić teraz, pomyślał, pijąc wodę i patrząc w ciemność. Ludzie, którzy go prześladowają, na pewno obserwują jego dom i tylko czekają, aż wróci.

Zaklął pod nosem, zły na siebie, że nie pomyślał o tym wcześniej. Nie zastanowił się, w jaki sposób śmigłowiec namierzył go na pustyni.

Zapalił lampkę nocną, wziął swojego iPhone'a i zaczął przeglądać ustawienia. Już po kilku chwilach zobaczył uruchomione geomapowanie, co oznaczało, że jego komórka przez cały czas rozmawiała ze wszystkim, co go otaczało, również w górze. Ktoś z odpowiednim oprogramowaniem mógł śledzić jego ruchy w czasie rzeczywistym, minuta po minucie. Aż na środek pustyni.

Albo tutaj.

Natychmiast wyłączył tę funkcję. Przestraszony wstał z łóżka, ubrał się, zapakował torbę, po czym podszedł do drzwi i wyrztał przez wizjer. Korytarz wyglądał na pusty. Ostrożnie zdjął łańcuch i wysliznął się z pokoju. Zszedł z trzeciego piętra po schodach, na wypadek gdyby ktoś czekał na niego przy windzie.

Na parterze otworzył drzwi i wyrztał do holu. Poza nocnym recepcjonistą nikogo nie zauważył. Ponieważ zapłacił już za pokój, podszedł do recepcjonisty i zapytał, czy może mu zamówić taksówkę do śródmieścia. Znał pewien mały hotelik, Montalembert w Saint Germain, gdzie zatrzymali się z Imogen w rocznicę ślubu dwa lata temu. Kiedy przyjechała taksówka, wszedł na tylne siedzenie i kazał się tam zawieźć.

Montalembert był małym, lecz pięciogwiazdkowym hotelem butikowym z całodobową obsługą i wspaniałym personelem. Ross miał nadzieję, że o tej porze roku znajdzie się wolny pokój. Jeśli nie, to mimo późnej godziny na pewno znajdą mu nocleg gdzieś indziej.

Kiedy taksówka ruszyła, rozejrzał się i jeszcze raz upewnił, czy geomapowanie w telefonie na pewno się wyłączyło. Potem usadowił się wygodnie i zapadł w małą drzemkę. Zbudził się dopiero, kiedy taksówka zatrzymała się w wąskiej bocznej uliczce przed hotelem. Szczęście mu dopisało, mieli pokój i powitali go bardzo serdecznie.

Tym razem spał spokojnie i obudził go dopiero SMS od Imogen, który przyszedł tuż po wpół do ósmej.

Mam nadzieję, że dobrze spałeś, gdziekolwiek jesteś, bo my z Montym okropnie. Nasz nowy wspaniały alarm włączył się w nocy trzy razy. O piątej przyjechał elektryk. Wadliwa skrzynka czy coś. Od tamtej pory już w ogóle nie śpię. X

Zastanowił się, zanim jej odpisał. Ich telefony mogły być na podsłuchu, zhakowane albo coś w tym rodzaju

Biedactwo. Mam nadzieję, że już wszystko działa. Musiałem tu zostać. Zadzwoń później. X

Znowu zasnął. Po godzinie obudził się głodny jak wilk.
Zadzwoił do obsługi i zamówił śniadanie.

53

Środa, 8 marca

Po omlecie, dwóch filiżankach mocnej kawy i prysznicu Ross poczuł się odświeżony i mógł znowu jasno myśleć.

Miał nadzieję, że nikt nadal nie wie, gdzie jest, ale nie łudził się, że ludzie, którzy śledzili go w Egipcie, odpuszczą i pogodzą się z porażką.

Spróbował postawić się w ich sytuacji. Czego mogą się po nim spodziewać? Że wróci do Anglii najszybciej, jak się da?

Paryż nie jest najgorszym miejscem na zabijanie czasu. Postanowił dać sobie jeden dzień, niech się pogorączkują, może nawet wpadną w panikę? Kiedy ludzie panikują, popełniają błędy.

Z pokoju obdzwonił linie lotnicze. Miał na jutro do wyboru kilka lotów na Heathrow, gdzie zostawił samochód. Zarezerwował bilet w British Airways.

Odłożył telefon i wyjął z kieszeni zawiniątko z zębem.

Czy to tego tak rozpaczliwie szukają ludzie na tyle bogaci i ustosunkowani, żeby wynająć śmigłowiec i strzelca? Tyle zachodu dla jednego maleńkiego przedmiotu niewiadomego pochodzenia?

Więc co właściwie trzyma w ręku: maleńki przedmiot niewiadomego pochodzenia czy największą relikwię, jaką kiedykolwiek znaleziono na świecie?

Jeśli ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby dopaść go na pustyni, bez cienia wątpliwości spróbuje znowu.

Może lepiej by było wydobyć sprawę na światło dzienne? Wysłać artykuł do wydawcy, pokazać ząb i kielich, i może zdjąć klątwę z całej tej przeklętej historii?

Za wcześnie. Musi najpierw dowiedzieć się czegoś więcej. Musi się przekonać, czy znalezione przedmioty są prawdziwe,

czy nie.

Ale co powie Imogen, kiedy stawka wzrosła? Czy to w porządku narażać życie swojej rodziny? Czy jakikolwiek artykuł, jakakolwiek historia, nawet taka jak ta, jest tego warta?

A jednak nie może się teraz wycofać. W jego głowie pomału formował się plan.

Otworzył laptop, zalogował się do hotelowego wi-fi, napędce sprawdził maile, czy nie przyszło nic pilnego, po czym wpisał w Google: „Zakład Kryminalistyki ATGC”.

Z tą nazwą spotkał się w ostatnich latach kilkakrotnie, było to bezpieczne, niezależne laboratorium, z którego usług korzystała angielska policja do przeprowadzania badań DNA w postępowaniach sądowych.

Natychmiast na ekranie wyskoczył wynik.

ATGC ZAKŁAD KRYMINALISTYKI — GRUPA ATGC
www.grupaATGC.com/sektory/kryminalistyka

ATGC jest światowym liderem w dziedzinie kryminalistyki i jednym z najważniejszych laboratoriów w Wielkiej Brytanii, świadczącym pełen zakres usług kryminalistycznych. Współpracujemy z brytyjską oraz międzynarodową policją...

Świadczenia całodobowe.

Wszedł na stronę z danymi kontaktowymi, znalazł numer i zadzwonił z telefonu hotelowego, świadom, jak łatwo ktoś mógłby podsłuchać rozmowę przez komórkę.

W słuchawce odezwał się trochę szczebiotliwy kobiecy głos.

– Dzień dobry. Chciałbym zapytać, czy moglibyście mi pomóc. Czy wykonujecie próby DNA dla prywatnych klientów?

– Zasadniczo pracujemy tylko dla zarejestrowanych instytucji, ale mamy również oddział świadczący usługi dla prywatnych klientów. Czy mam pana przełączyć?

– Tak, poproszę.

Jego rozmowa została na chwilę wstrzymana, po czym usłyszał męski głos.

– Peter Mackie, w czym mogę pomóc?

Dawno temu Ross nauczył się, że znacznie więcej można od ludzi uzyskać, jeśli zwróci się do nich po imieniu. Pewien psycholog, z którym przeprowadzał kiedyś wywiad, powiedział mu, że własne imię jest dla ludzi najważniejszym dźwiękiem na świecie.

– Dziękuję, panie Peterze – odparł. – Nazywam się Ross Hunter, jestem dziennikarzem i pracuję nad pewnym artykułem. Mam dwa przedmioty: drewniany kielich oraz ząb. Chciałbym uzyskać kod genetyczny z obydwu próbek.

– Zgodnie z ustawą o ochronie danych osobowych nie będę mógł panu odpowiedzieć, czy istnieje zgodność DNA między tymi przedmiotami a genomem zarejestrowanym w krajowej bazie danych.

– Nie szkodzi. Mnie interesuje tylko zgodność pomiędzy tymi dwoma przedmiotami.

– Drewnianym kielichem i zębem?

– Tak.

– Czy potrafi pan w przybliżeniu określić ich wiek?

– Nie. Ale są stare, prawdopodobnie pochodzą sprzed kilkuset lat.

– Kielich nie nastręczy trudności, gorzej będzie z zębem. Musielibyśmy go rozgnieść na proszek.

– Cały ząb?! – wykrzyknął Ross.

– Niestety tak.

Psiakrew, pomyślał Ross. To może być jedyny istniejący fragment szczątków Chrystusa. Co by powiedzieli archeolodzy, gdyby postanowił go zniszczyć?

– Nie ma możliwości, żebyście zachowali chociaż mały kawałek? – spytał.

– No cóż, to by zależało od jego wielkości i wieku, ale to mało prawdopodobne.

Ross wstał i zaczął gorączkowo myśleć. Czy może to zrobić? Czy może wziąć na siebie odpowiedzialność? Podjąć takie ryzyko?

– Czy zrobilibyście to dla mnie prywatnie? – spytał w końcu.

– Tak.

– Ile to by kosztowało?

Wstrzymał oddech z obawy, że mężczyzna zaśpiewa mu sumę, o której nawet nie mógłby marzyć.

– Nie potrafię podać panu w tej chwili dokładnej kwoty, to zależy od tego, ile pracy będzie wymagał każdy z przedmiotów. W przybliżeniu cena waha się między trzysta a pięćset funtów za jedną analizę.

Ross odetchnął z ulgą.

– Ile to potrwa?

– Pracujemy przez okrągłą dobę. Gdyby przywiózł pan te przedmioty dzisiaj, mielibyśmy wyniki jutro mniej więcej o tej samej porze, na pewno nie dłużej niż czterdzieści osiem godzin.

– Jestem w tej chwili w Europie, wracam do Anglii jutro. Mieście się w Kingston, prawda?

– Tak.

Ross zastanawiał się przez chwilę. Magazyn, gdzie złożył kielich w skrytce depozytowej, jest otwarty do osiemnastej. Jego samolot ma wylądować o drugiej. Zanim odbierze samochód i wydestanie się z lotniska, minie co najmniej pół godziny, powinien więc zdążyć przed zamknięciem, chociaż musi wziąć pod uwagę czas potrzebny na przedarcie się przez Londyn w godzinach szczytu.

– Powinienem być u was jutro późnym popołudniem – oznajmił.

– Uprzedzę swoją koleżankę, Jolene Thomas, że pan przyjedzie, panie Hunter.

Ross podziękował i odłożył słuchawkę.

54

Czwartek, 9 marca

Lot do Londynu miał ponadgodzinne opóźnienie, potem Ross utknął w korku na M25, spowodowany jakimś wypadkiem. Kiedy dotarł do U-Store Self-Storage niedaleko Shoreham Harbour kilka minut przed osiemnastą, jedyna pracownica w biurze właśnie zamykała magazyn i przywitała go piorunującym spojrzeniem.

Ross uprzejmie ją przeprosił, wpisał się do księgi, odnotował godzinę wejścia, poszedł do stalowych drzwi i wprowadził swój szyfr na panelu cyfrowym. Kiedy krata uniosła się ze szcękaniem, schylił się i wszedł do wielkiej hali z rzędami stalowych drzwi zamkniętych na kłódki.

Znalazł swój numer, czterysta siedemdziesiąt osiem. Zabezpieczył drzwi dwoma solidnymi kłódkami, jedną zamykaną na kluczyk, drugą na sześciocyfrowy szyfr. Wprowadził kod, włożył kluczyk i poczuł, jak obraca się w dobrze naoliwionym zamku.

Otworzył ciężkie metalowe drzwi, po czym wziął pakunek z kielichem, lecz dębowy pojemnik zostawił na miejscu. Potem zamknął z powrotem drzwi, schował kielich za pazuchę kurtki, wpisał w księdze godzinę wyjścia i pośpiesznie ruszył do swojego audi stojącego na pustym parkingu dla klientów.

Napisał SMS do Imogen, że jest już z powrotem w kraju i że wróci do domu najszybciej, jak się da, prawdopodobnie około dziewiętej.

Kiedy wyjechał przez bramę, na drodze w niedużej odległości czekały na niego dwa nierzucające się w oczy samochody. Jeden stał przodem w kierunku wschodnim po tej samej stronie drogi co Ross, drugi po przeciwnej, przodem na

zachód. Oba należały do grupy obserwacyjnej ośmiu samochodów, które śledziły go w drodze z lotniska.

Nadjeżdżający minivan zwolnił i mrugnął na niego światłami. Ross wyjechał na jezdnię, machnął kierowcy z podziękowaniem, po czym skręcił w lewo, na wschód, w kierunku A27, a potem A23. Pół godziny później włókł się na północ w sznurze ludzi powracających z pracy.

Przez następne półtorej godziny powolnej drogi na północ zabijał czas, słuchając na przemian wiadomości oraz albumu George'a Ezry i rozmyślając. Cały czas uważnie obserwował drogę w lusterkach, czy nie zauważy reflektorów, które trzymają się za nim zbyt uporczywie. Na szczęście światła samochodów jadących z tyłu zmieniały się dość regularnie.

Wciąż powracał myślami do wiadomości, którą dostała Imogen, do ataku w Egipcie. Czy naprawdę warto tak ryzykować? Narażać życie Imogen i dziecka? Benedict Carmichael na swój łagodny sposób także próbował go ostrzec i wyperswadować mu podążanie tą drogą.

Nagle przypomniał mu się dziadek. Nigdy nie byli sobie bliscy, nawet kiedy Ross był dzieckiem, ale tuż przed śmiercią odwiedzał go codziennie w hospicjum Martlets w Brighton. Bill Hunter był nieszczęśliwym człowiekiem, przepełnionym mnóstwem niespełnionych marzeń, opuszczonym przez żonę, która wkrótce po odejściu zginęła w wypadku samochodowym ze swoim nowym partnerem. Ross nigdy nie zapomni ich ostatniej rozmowy.

„Ty i twój tata jesteście wszystkim, co mi zostało na świecie. I wszystkim, co muszę zostawić. Bałem się podążać za swoimi marzeniami, wybrałem bezpieczną drogę, a w każdym razie taką, która wydawała mi się bezpieczna. Zbyt późno zrozumiałem, że bezpieczeństwo jest złudzeniem, iluzją, za którą gonimy. Nic nie ma znaczenia, prawda? Nic poza jedną, najważniejszą rzeczą. Żebyśmy nie umarli razem ze wszystkimi marzeniami, które pozostały w nas na zawsze. Nie pozwól, żeby ktoś lub coś powstrzymało cię przed zrobieniem tego, w co wierzysz. Tylko to się liczy. Przeżyłbym swoje życie zupełnie inaczej, gdybym miał odwagę. Umrę, wiedząc, że przegrałem, że nigdy niczego nie osiągnąłem. Obiecuj mi, że cokolwiek ci się w życiu przydarzy, nie zlekceważysz tego.

Choćby to była najdrobniejsza, najmniej znacząca sprawa, zrobisz coś dla świata”.

W końcu tuż przed ósmą wieczorem system nawigacji poinformował go, że za dwie minuty dojedzie na miejsce. Po lewej stronie zobaczył tablicę informacyjną: ZAKŁAD KRYMINALISTYKI ATGC.

Włączył kierunkowskaz i spojrział w lusterko. Z ulgą stwierdził, że pojazd jadący za nim dał kierunkowskaz w prawo.

Ross wjechał na teren, który przypominał bardziej prywatną posiadłość niż instytut badawczy, i zatrzymał się przed szlabanem. Podał nazwisko strażnikowi, który do niego podszedł, i kiedy podniósł się szlaban, ruszył krętą drogą zgodnie ze wskazówkami, dopóki nie zobaczył przed sobą rzędu połączonych trzypiętrowych nowoczesnych budynków z czerwonej cegły. Przed oszklonym wewnętrznym dziedzińcem między dwoma budynkami, gdzie znajdowało się główne wejście, tablica informowała: PARKING DLA GOŚCI.

Zaparkował samochód i przez chwilę siedział, zastanawiając się. Będą musieli rozgnieść ząb na proszek. Ross zrobił dużo zdjęć, ale co, jeśli to naprawdę jest ząb Jezusa Chrystusa – jedyna pozostałość po jego doczesnych szczątkach, przedmiot o niewyobrażalnej historycznej wartości – a on zamierza właśnie wydać zgodę na jego zniszczenie? Ale bez tego nie potwierdzi jego pochodzenia. Może jednak uda im się zachować jakąś część. Wysiadł z samochodu i ruszył w stronę wejścia. Minął tabliczkę informującą: ATGC – LABORATORIUM BRYTYJSKIEGO URZĘDU FARMAKOPEI. Drzwi się rozsunęły i Ross wszedł do obszernej recepcji z miejscami do siedzenia po obu stronach i dziwną, spiczastą rzeźbą stojącą na postumencie z wysypanym żwirem. Na wprost znajdował się szeroki, wygięty kontuar z napisem: WITAMY W ATGC.

Podszedł do kobiety siedzącej w recepcji.

– Dobry wieczór. Nazywam się Ross Hunter. Oczekuje mnie Jolene Thomas z laboratorium DNA.

Kobieta wskazała mu wyłożoną dywanem wnękę ze ścianami z gołej cegły oraz kilkoma okrągłymi stolikami, przy których stały po trzy krzesła wyściełane turkusowym obiciem.

Na ekranach wyświetlano zdjęcia pracowników laboratorium przy pracy. Większość miała na dłoniach białe rękawiczki, niektórzy maski lub okulary ochronne.

Położył torbę na stole, po czym sprawdził telefon. Nie było żadnej wiadomości od Imogen. Złe się czuł, wiedząc, jak się boi. Może badanie laboratoryjne niczego nie wykaże i na tym cała sprawa się zakończy. Napisze krótki artykułek dla „Sunday Timesa” o spotkaniu z fanatykiem religijnym, któremu udało się nabrać kilkoro ludzi...

Na tyle, że ścigali go aż do Egiptu?

– Panie Hunter?

Podniósł głowę przestraszony głosem, który wyrwał go z zamyślenia. Zobaczył młodą, atrakcyjną kobietę około trzydziestki w jasnozielonej sukience i czarnych legginsach, z lśniąco ciemnymi włosami do pasa.

– Tak.

Wstał i uściśnął jej wyciągniętą dłoń.

– Jolene Thomas – powiedziała, po czym usiadła naprzeciwko niego.

– Dziękuję, że zgodziła się pani mnie przyjąć tak późno.

– To żaden kłopot. Wykonujemy głównie zlecenia dla policji, więc pracujemy dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale jak słyszałam, pan jest klientem prywatnym, tak?

– Tak. Czy mogę spytać o zasady prywatności i poufności państwa usług?

Jolene Thomas uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Większa część naszej pracy polega na badaniu próbek DNA pobranych na miejscach przestępstw, stanowią część łańcucha dowodowego. W tej instytucji wszystko jest ściśle tajne i zabezpieczone kodem. Każdej próbce, która do nas przychodzi, przydziela się kod kreskowy, bez żadnych nazwisk. Zdajemy sobie sprawę, że wielu przestępców z radością zniszczyłoby swoje próbki DNA. Nawet gdyby komuś udało się tu włamać, co jest bardzo mało prawdopodobne, to i tak nie znalazłby swojej próbki DNA.

– To dobrze.

– A więc co pan dla mnie ma?

– Czy moglibyśmy przejść w jakieś bardziej ustronne miejsce? – spytał Ross.

Jolene Thomas zaprowadziła go do małego pokoiku sąsiadującego z recepcją. Ross otworzył torbę, wyjął kielich, rozwinął go z ochronnej tkaniny, a następnie to samo zrobił z zębem.

– Wydaje mi się, że obydwie rzeczy są bardzo stare – powiedział. – Mają co najmniej kilkaset lat, a może znacznie więcej, możliwe, że dwa tysiące. Czy możecie również określić wiek przedmiotów?

– Nie. Możemy prawdopodobnie sporządzić profil DNA na podstawie obydwu przedmiotów i uzyskać jakieś wskazówki na podstawie stopnia degradacji materiału genetycznego, ale szacowanie wieku nie wchodzi w zakres naszych zadań. Niewykluczone, że potrafilibyśmy określić pochodzenie etniczne w zależności od tego, co uda nam się znaleźć. Oferujemy również trzy rodzaje analizy DNA: standardową, mitochondrialną oraz Y-STR.

– Co to znaczy? – spytał Ross.

– W badaniu standardowym uzyskuje się genom osoby. Tego zwykle oczekuje policja, aby ustalić, czy materiał genetyczny należy do sprawcy przestępstwa. Badanie mitochondrialne jest trudniejsze i wymaga innych testów. Analizuje się w nim kod DNA przekazywany poprzez chromosom X, czyli żeński. Pozwala ono określić pokrewieństwo międzypokoleniowe, ponieważ nie ulega on zmianie.

– Nie ulega zmianie?

– Nie.

– Czy to znaczy, że ktoś żyjący dwa tysiące lat temu i mający potomka w linii prostej mógłby zostać dzisiaj zidentyfikowany na podstawie chromosomu X?

– Owszem, jeśli pominąć wszelkie genetyczne mutacje, do których mogło dojść. Trzeci rodzaj analizy, Y-STR, jest nowszy i można dzięki niemu osiągnąć takie same wyniki, tylko w linii męskiej, chociaż ta analiza jest mniej pewna niż mitochondrialna i istnieje obecnie mniejsza baza danych. Krótkie powtórzenia tandemowe chromosomu Y.

– Co to takiego?

– To, co właśnie wyjaśniłam: męski odpowiednik badania mitochondrialnego. Sekwencja przekazywana jest bez zmian w linii męskiej w chromosomie Y.

– Wspaniale. W takim razie chciałbym zrobić wszystkie trzy. Jaka suma wchodziłaby wówczas w grę?

– Najpierw muszę zapytać, czy przedmioty te przechodziły z rąk do rąk zabezpieczone jakimś materiałem lub rękawiczkami?

– Ja ich nie dotykałem gołymi rękami, trzymałem je przez materiał albo w rękawiczkach, ale nie wiem, kto i w jaki sposób przechowywał je wcześniej.

– Dobrze, proszę się nie martwić, pobierzemy pańskie DNA, żeby je wyeliminować. To trochę zwiększy koszty.

– Niech będzie.

– Oddam przedmioty do wyceny. Trzy testy z dwóch przedmiotów będą kosztować w sumie około dwóch tysięcy funtów, plus dwieście za wyeliminowanie pańskiego DNA.

– To trochę więcej, niż się spodziewałem po rozmowie telefonicznej z pani kolegą, ale rozumiem dlaczego i zgadzam się.

Kobieta spojrzała na obydwa przedmioty leżące na stole.

– Nie będzie problemu ze zrobieniem testów z drewnianego kielicha, ale z zębem sprawa jest bardziej skomplikowana. Uprzedzono pana przez telefon, jak sądzę, że aby otrzymać wyniki analizy, będziemy musieli zgnieść go na proszek, a następnie poddać serii procesów chemicznych.

– Czy musicie niszczyć cały ząb?

– Obawiam się, że tak. Przy tak małym przedmiocie nie mamy wielkiego wyboru.

– Czy zostanie coś, co otrzymam z powrotem?

– Tak. Jeśli pan sobie zażyczy, zachowamy roztwór w fiole. Możemy również sporządzić fotograficzny zapis całego procesu, jeśli to w czymś pomoże.

Ross patrzył na ząb. Jeśli był prawdziwy, stanowił prawdopodobnie najcenniejszy przedmiot w historii chrześcijaństwa. Musi wyrazić zgodę na zniszczenie go, by ustalić jego pochodzenie. Czy może to zrobić?

Jeśli tego nie zrobi, świat może nigdy nie poznać prawdy.

Czuł się jak w pułapce, złapany w dylemat Hobsona. Czy ma prawo to zrobić? Kim jest, by podejmować taką decyzję? Czy naprawdę nie ma innego wyjścia?

– Czy jeśli go sproszkujecie, będziecie mogli przeprowadzić wszystkie trzy analizy? Normalną, mitochondrialną oraz Y-STR?

– Tak – odparła Jolene.

– I nie ma absolutnie żadnego innego sposobu? Żadnej innej prekursorskiej technologii, by odczytać DNA z tego zęba bez niszczenia go?

– O niczym takim nie słyszałam.

Coś go dławilo w gardle. Spocił się, dłonie miał śliskie. Co robić? Co robić?

– Dobrze – powiedział w końcu. – Skoro nie ma innego sposobu, niech będzie. Tylko proszę o dokładną dokumentację fotograficzną.

– Chciałabym się jeszcze upewnić, na kiedy potrzebuje pan wyników.

– Najszybciej, jak możecie.

– Powinniśmy mieć dla pana wstępne wyniki w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Może być?

– Doskonale.

Wyjęła plik formularzy i Ross zaczął je wypełniać.

Biały boeing 737 z wymalowanym logo Duszpasterstwa Wesleya Wenceslasa rozpoczął lądowanie na lotnisku Miami, kończące lot z Denver. Odrzutowcem leciała cała świta pastora.

Wesley Wenceslas czuł się równie nieswojo na pokładzie odrzutowego giganta co w śmigłowcu, więc w normalnych okolicznościach wspomógłby swoje modlitwy o bezpieczną podróż kilkoma szklankami kruga, tym razem jednak był zbyt wściekły, żeby się bać. Nie tknął ani kropli piwa, zamiast tego wypił kilka podwójnych espresso, za co Wszechuśmiej nie przestawał go besztać. Przypominał mu, że po kofeinie staje się nadpobudliwy, co z kolei wywołuje gniew, który szkodzi mu na nadciśnienie.

Lancelot Pope siedział jak zawsze wymuskany naprzeciwko swojego szefa i zadowolony z siebie powściągliwie popijał wodę mineralną z butelki. Odstawił ją na stolik i piórem Montegrappa zanotował coś w eleganckim notatniku.

– Co się tak szczerzysz, do cholery? To nie woda święcona – burknął Wenceslas.

– Musisz się uspokoić, szefie – powiedział dyrektor generalny. – Znasz zalecenia lekarza.

– O tak, mędrze? Pozwól, że sparafrazuję rozmowę między sędzią a Oscarem Fingalem O’Flahertiem Willsem Wilde’em. Kiedy sędzia powiedział: „Nie przejmuj się tymi lekarskimi zaleceniami”, Wilde odpowiedział: „Za cholereę się nimi nie przejmuję”.

– A fe! – zganił go Pope. – Taki język w ustach człowieka z koloratką? Duchowego przywódcy milionów? Wyobraź sobie tylko, co by się działo, gdyby coś podobnego wyciekło do Twittera?!

– To by było teraz moje najmniejsze zmartwienie.

– Naprawdę jesteś w złym humorze.

– A w jakim mam być twoim zdaniem? Mam jakiś powód, żeby być w dobrym humorze?

Z innej kabiny w głębi samolotu dobiegł wybuch dziewczęcego chichotu, potem pisk i kolejna salwa śmiechu.

– Policz wszystkie błogosławieństwa, jakie cię spotykają – doradził Pope.

– Dzisiaj nie mam żadnych. – Wyciągnął ręce i pokazał puste dłonie. – Widzisz tu jakieś błogosławieństwa?

– Widzę, że znowu obgryzasz paznokcie. Niegrzeczny chłopiec!

Wenceslas zgiął palce i przyjrzał im się ze zdziwioną miną.

– Rzeczywiście.

– I nie wstawiaj mi znowu tej gadki, że Bóg chce, żebyś je obgryzał na znak pokory. Kiedy dojedziemy do domu, natychmiast umówię ci wizytę u manikiurzystki. Obgryzione paznokcie naprawdę nie pasują do wizerunku chrześcijańskiego przywódcy.

– Wiesz, kim jesteś? Wrzodem na tyłku.

– Właśnie dlatego Pan Bóg mnie tobie zesłał. Jeśli chcesz mieć potakiwacza, to proszę, poszukaj go sobie. Na razie jesteś skazany na mnie. – Odłożył pióro i podniósł obie dłonie. – Proszę, widzisz? Nienaganne paznokcie. Dużo mówią o właścicielu.

Wenceslas popatrzył na niego z powątpiewaniem.

– Mam na głowie ważniejsze sprawy niż paznokcie. Obaj mamy. W tej chwili mamy bardzo duży problem, nie uważasz? Możliwe, że to największy problem, jaki zna świat.

Samolotem zatrzęśły niewielkie turbulencje i pastor zbladł.

– Nie mogę uwierzyć, że wmieszała się w to ta gnida z gazety – warknął Wenceslas. – W robotę naiwnego, niebezpiecznego starca. Znasz Biblię?

– Trochę – odparł wymijająco Wszechuśmiech.

Pope zdawał sobie sprawę ze swojej ignorancji w tym względzie. A i tak większą część tego, co wiedział, podchwycił podczas pracy w Duszpasterstwie Wenceslasa.

– Z podsłuchu telefonicznego wiemy, że Cook odwiedził spirytystę i wierzył, że przemawia do niego Bóg. W Drugim

Liście do Tesaloniczan, rozdział drugi, werset dziewiąty, czytamy: „Pojawieniu się jego towarzyszyć będzie działanie szatana, z całą mocą, wśród znaków i fałszywych cudów”, a w Drugim Liście do Koryntian, rozdział jedenasty, wersety od trzynastego do piętnastego mówią: „Ci fałszywi apostołowie to podstępni działacze, udający apostołów Chrystusa. I nic dziwnego. Sam bowiem szatan podaje się za anioła światłości. Nic przeto wielkiego, że i jego słudzy podszywają się pod sprawiedliwość. Ale skończą według swoich uczynków”.

– Co to właściwie znaczy? – spytał Pope.

– Pierwszy List świętego Jana, rozdział czwarty, wersety od pierwszego do trzeciego: „Umiłowani, nie dowierzajcie każdemu duchowi, ale badajcie duchy, czy są z Boga, gdyż wielu fałszywych proroków pojawiło się na świecie. Po tym poznajecie Ducha Bożego: każdy duch, który uznaje, że Jezus Chrystus przyszedł w ciele, jest z Boga. Każdy zaś duch, który nie uznaje Jezusa, nie jest z Boga; i to jest duch Antychrysta, który – jak słyszeliście – nadchodzi i już teraz przebywa na świecie”. Oraz rozdział drugi, werset osiemnasty: „Antychryst nadchodzi, bo oto teraz właśnie pojawiło się wielu Antychrystów”.

– To znaczy gdzie?

– Och, Antychryst jest przebiegły i chytry. To mistrz przebrania. Może już się spóźniłmy.

– Myśl pozytywnie, szefie. To jedna z twoich mantr, prawda? Teraz właśnie myślisz negatywnie. Zaczynj szukać pozytywów. Łajdak Hunter wybrał się na krucjatę? Świetnie, niech odwali całą robotę za nas. Przekonajmy się, jak daleko zajdzie. Wyobraźmy sobie, że to, co znalazł, potwierdzi się i rzeczywiście zawiera DNA Jezusa Chrystusa. Świetnie, w takim razie niech nas doprowadzi do tego swojego Antychrysta.

– Jak?

– Pilnujemy go. Nie spuszczaamy go z oka przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– I nie tylko my, prawda? Kerr Kluge również. I możliwe, że mają zupełnie inne cele od naszych. Ci ludzie chcą wykorzystać tę moc, a nie ją zniszczyć.

– Wynająłem jednego z najlepszych ludzi w tym biznesie, to były pracownik Scotland Yardu. Jeśli czegoś nie wie na temat śledzenia i obserwacji, to znaczy, że nie jest to warte funta kłaków. Nasłaliśmy na Huntera dwudziestu dwóch doświadczonych tajniaków. Chce pan wiedzieć, gdzie teraz jest?

– Chcę.

– Czterysta kilometrów od Brighton i swojego domu, wraca z Zakładu Kryminalistyki ATGC, gdzie zostawił to, co przywiózł z Egiptu i...

– ...to, co znalazł w Chalice Well i co twoi ludzie spieprzyli – wszedł mu w słowo Wenceslas. – Puszka sucharów i kubek chrzcielny!

– To fakt, że nabił nas w kubek, że się tak wyrażę. Na szczęście nasi przyjaciele z Kerr Kluge jeszcze bardziej spieprzyli sprawę w Egipcie, jak donoszą moje źródła. Wszystko, co mają, to mała grupka obserwatorów.

– Wiesz co, Wszechuśmiech? Jesteś bardzo beztroski. Ciekawe, czy ty w ogóle rozumiesz, co to wszystko znaczy.

– Doskonale, szefie. Tylko... co jeśli to nie jest powtórne przyjscie?

– Jeśli ten dziennikarski mędrak naprawdę ma to, co mu się zdaje, i ta wiadomość przedostanie się do opinii publicznej, a na pewno się przedostanie, to staniemy do wyścigów z dużo wyższą stawką koni.

Pope skinął głową. Wiele o tym rozmawiali w ciągu ostatnich dni. O DNA Chrystusa. Ile kościołów chrześcijańskich by się na to rzuciło, z Watykanem na czele? Ilu odwiecznych wrogów chrześcijaństwa? Gdyby Wenceslas udał się w trasę ze Świętym Graalem i dowodem w postaci DNA naszego Pana oraz jego przesłaniem, zapełniliby każdy stadion piłkarski na świecie. Nie potrafił nawet policzyć zysków, jakie by to przyniosło. Wystarczy założyć, że to nie żaden Antychryst, tylko autentyczne relikwie.

– Stalibyśmy się bogatsi niż ci przekłęci uzurpatorzy ze Świętego Kościoła Rzymskiego! Chwała Panu Najwyższemu! – zawołał Wenceslas, jakby czytając mu w myślach.

– Chwała Panu Najwyższemu! – powtórzył jak echo Pope.

– Jeśli relikwie zdobędzie Watykan, wystawią je na pokaz w szklanych gablotach pod ścisłą strażą gdzieś, gdzie ludzie

będą się ustawiać w niemających końca kolejkach, żeby oddawać im cześć w zamian za ofiarę i szansę na wysłuchanie modlitw. Albo, co znacznie bardziej prawdopodobne, wszystko zniknie, zagrzebane na wieki w jakimś głębokim skarbcu.

– Po co pan to wszystko mówi, szefie?

Wesley Wenceslas popatrzył na człowieka, któremu powierzył zarządzanie swoim rozrastającym się imperium.

– Czy ty się urwałeś z księżycą, Wszechuśmiech? Nasz biznes to wiara, a nie dowody. Gdyby udowodniono istnienie Boga, nikt by nas więcej nie potrzebował. Ludzie mogliby zwracać się prosto do Niego. Efekt dla krzewicieli wiary byłby taki sam, jak wpływ Amazona na branżę księgarzy. Nie rozumiesz? Z dnia na dzień wylecielibyśmy z interesu. A poza tym co, jeśli to Antychryst, którego nadejście zapowiedziano w Biblii? Co, jeśli już tu jest?

– Antychryst już tu jest? Naprawdę tak myślisz, szefie? Czy to tylko twoje hasło reklamowe, o Przepotężny? – zapytał Pope, udając służalczy ukłon.

– Przestań!

– Zejdźmy na ziemię, dobrze? – zaproponował Pope. – Co tym razem tak cię niepokoi w poczynaniach Rossa Huntera? To, że dostał wskazówki od spirytysty, więc to musi być robota Antychrysta? Czy to tylko twoja zasłona dymna?

– Zasłona dymna?

– Nie próbuj mnie nabierać na tę niewinną, anielską buźkę, pastorze! Znam cię aż nadto dobrze. Boisz się, że to może być prawda, co? Że jeśli rzeczywiście Chrystus narodzi się na nowo, to zdemaskuje wszystkie twoje przekręty. To jest twój prawdziwy problem, nieprawdaż?

Nagle na kilka sekund samolot bez ostrzeżenia runął w dół. Wesley Wenceslas umilkł i zaczął bezgłośnie odmawiać modlitwę.

Po chwili maszyna wyrównała lot, a minutę później dotknęli ziemi.

– Chwała Bogu – powiedział z ulgą Wenceslas.

– Powiedziałbym raczej „chwała pilotowi” – odrzekł Pope.

Czwartek, 9 marca

Ross wrócił do domu późno. Skręcając na podwórze, rozglądał się na wszystkie strony, ale nie zauważył na ulicy żadnego podejrzanego pojazdu. Mimo to odczekał chwilę, zanim wysiadł, obserwując uważnie wszystkie ciemne zaułki. Potem wyjął z bagażnika torbę i ruszył do wejścia.

Nie zdążył nawet dojść do drzwi, kiedy w progu stanęła zapłakana Imogen, a tuż za nią wybiegł Monty.

Ross otoczył ją ramionami i przytulił.

– Hej, co się dzieje?

Imogen przytuliła do jego twarzy mokry policzek.

– Dzięki Bogu, że jesteś już w domu. Nie mogłabym tu zostać sama na kolejną noc. Gdybyś dzisiaj nie wrócił, zadzwoniłabym do Hodgesów i zapytała, czy mogę u nich przenocować.

– Ale o co chodzi? Co się stało?

– Chodź, zobacz, co przyszło, kiedy byłam w pracy.

Ross ukląkł, żeby pogłaskać i przytulić Monty'ego, podczas gdy Imogen zamykała drzwi na łańcuch, po czym poszedł za nią do kuchni. Na stole leżał jej otwarty laptop. Wpisała coś na klawiaturze i na ekranie pojawiła się wiadomość.

TO TWOJE DRUGIE OSTRZEŻENIE. TRZECIEGO NIE BĘDZIE.

– Możesz to wyjaśnić? – spytała, odwracając się do niego.

Ross sprawdził adres nadawcy. To był ten sam adres hotmailowy co poprzednio, poznał go po sekwencji 666 między innymi cyframi.

– Myślę, że powinniśmy iść na policję – stwierdził.

– I co im powiesz? Że wkurwiłeś szatana?

Uśmiechnął się ponuro, a jednocześnie gorączkowo myślał.

– Już wiem, co zrobię. Zadzwońię do Jasona Tingleya.

Ross i Imogen poznali Tingleya, kiedy był młodym policjantem, a oni pracowali w „Argusie”. Z czasem Jason awansował i został naczelnikiem.

– Boję się, Ross.

– Zadzwońię do niego natychmiast.

Przerzucał kontakty, dopóki nie znalazł właściwego telefonu, po czym wybrał numer naczelnika Jasona Tingleya. Po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa, więc zostawił nagraną wiadomość.

– Cześć, Jason, mówi Ross Hunter. Czy mógłbyś do mnie zadzwonić? Potrzebuję pomocy. – Podał swój numer i rozłączył się.

– No to opowiedz mi o tej swojej wyprawie. Jak ci poszło? Co znalazłeś?

– Wszystko ci opowiem, ale muszę coś zjeść i zrobić sobie drinka.

– Wyjęłam z zamrażarki musakę, a w lodówce jest sałatka.

– Dzięki.

Podszedł do barku, wziął butelkę ze swoją ulubioną whisky, nalał sobie hojną porcję, dodał kostki lodu i odrobinę wody, po czym usiadł przy stole i jeszcze raz spojrział na mail. W tej samej chwili zadzwonił jego telefon. To był Jason.

Ross włączył głośnik, żeby Imogen mogła słyszeć rozmowę, i najpierw pogratulował Jasonowi awansu. Następnie zrelacjonował mu pokrótce, co się wydarzyło od pierwszego telefonu Harry’ego F. Cooka, pominął tylko – ze względu na żonę – próby zamachu na jego życie w Egipcie. Tingley powiedział, że poinformuje miejscowy komisariat i zażąda obserwacji domu Hunterów. Poprosił go o numery rejestracyjne samochodów Rossa i Imogen, po czym dodał, że mógłby się zwrócić do kogoś z wydziału walki z cyberprzestępczością z prośbą, żeby się z nim skontaktował i obejrzał wiadomości z groźbami, które dostała Imogen. Poprosił Rossa, żeby informował go na bieżąco o rozwoju wypadków. Ross podziękował i umówili się jeszcze wstępnie na kawę w najbliższej przyszłości.

Kiedy zakończyli rozmowę, Imogen spytała:

– Czy tak będzie teraz wyglądało nasze życie? Jak więźniów we własnym domu? W ciągłym strachu? Będziemy uzależnieni od policyjnej ochrony?

Ross popatrzył na nią i pociągnął łyk whisky.

– To moja praca, Imo. Zawsze narażałem się na jakieś niebezpieczeństwo artykułami, które pisałem. Które obnażały przestępstwa i niesprawiedliwość.

– To co innego. Teraz jestem naprawdę przerażona. Na serio boję się o twoje bezpieczeństwo, o nasze bezpieczeństwo. Myślę, że straciłeś grunt pod nogami. Nie chodzi tylko o ciebie, pomyśl o naszym dziecku. Ono potrzebuje ojca. Masz teraz ważniejsze sprawy na głowie niż tylko kolejny artykuł.

– Imo, chcę, żeby nasz syn był ze mnie dumny. A kiedy dorośnie, żeby potrafił walczyć o to, w co wierzy.

– A wiesz, czego ja chcę? – odparowała. – A raczej czego nie chcę? Nie chcę, żeby nasz syn stał się sierotą.

Czwartek, 9 marca

W jaskrawej powodzi światła lejącego się z brzucha helikoptera Ainsley Bloor widział, jak żdźbła trawy wokół lądowiska pochylają się pod uderzeniami powietrza przygniatanego śmigłami. Po chwili maszyna dotknęła ziemi i usiadła.

Podziękował swojemu osobistemu pilotowi, życzył mu dobrej nocy, po czym odpiął pasy, zdjął słuchawki z uszu i powiesił je na miejsce. Otworzył drzwi i wygramolił się z kabiny, ale nie podniósł głowy, dopóki nie oddalił się od obracających się śmigieł, chociaż mając metr osiemdziesiąt wzrostu, mógł się swobodnie wyprostować.

Kilkaset metrów przed nim majaczyła ciemna sylweta jego rezydencji, gdzie w kilkunastu oknach paliło się jeszcze światło, lecz Bloor odwrócił się do niej tyłem, poprawił na ramieniu pasek torby z laptopem oraz całą robotą papierkową, którą miał do zrobienia na jutro, po czym ruszył w kierunku oranżerii oraz sześciu klatek z małpami. Nie mógł się doczekać, aż przekona się o postępach swojego eksperymentu.

Zapalił światła i wchodząc, zmarszczył nos od smrodu. Zajrzał do każdej klatki i sprawdził, czy gdzieś pojawił się wydruk świadczący, że małpy uderzały w klawisze. W żadnej z pięciu pierwszych klatek nie znalazł niczego poza małpimi odchodami i łupinami po orzeszkach ziemnych na klawiaturach.

Potem zajrzał przez pręty do klatki Borysa i ku swemu najwyższemu podnieceniu zobaczył kilka stron papieru wyplutego przez drukarkę.

Mrucząc coś uspokajająco do małpy, wszedł i niecierpliwie ruszył w kierunku urządzenia. Szybko oderwał papier i zaczął

oglądać wydruk. Borys obserwował go z góry, ze swojej grzędy na konarze, pocierając brodę niczym sędziwy mędrzec.

Przejrzał sześć stron wydrukowanego bełkotu liter, cyfr i symboli, po czym kiedy zajrzał na siódmą stronę, zamarł i wytrzeszczył oczy na trzy litery, które łypały na niego niczym lśniący samorodek złota w worku węgla.

Miał ochotę przybić małpie piątkę.

– Jest!!! Dobry Borys! Zuch chłopak!

W mgnieniu oka wyparowały mu z głowy wszystkie koszmary minionych kilku dni.

– O rany! Hurra! Grzeczny chłopiec!

Kapucynka popatrzyła na niego ogłupiała z na wpół rozłupanym orzechem w łapkach.

– Udało ci się, psiamać. Udało ci się!

Złapał wydruk i popędził do domu. Zanim jeszcze dobiegł do drzwi, wołał już do żony:

– Cilla! Cilla!

Cilla siedziała w salonie i oglądała w telewizji koncert orkiestrowy.

– Patrz! – krzyknął od progu. – Popatrz, co mam!

– A może zaczęłybyś raczej od: Cześć, kochanie, co u ciebie słychać? Jak ci minął dzień? – odparła cierpko.

– Spójrz tylko! – Złapał pilota i zatrzymał obraz w telewizorze, a potem podsunął jej wydruk przed nos. – Spójrz! Spójrz!

– Na co konkretnie mam patrzeć?

– To początek dowodu! Dowód absolutny, że nie ma żadnego Stwórcy. Że świat narodził się przez czysty przypadek. To monumentalne wydarzenie. Zapamiętaj sobie dzisiejszy dzień! Ten dzień przejdzie do historii.

– Dzień, w którym małpa napisała „ten”?

– Ty nie rozumiesz doniosłości tego zjawiska, prawda?

– Szczerze mówiąc, nie. I nie rozumiem jeszcze jednej rzeczy.

– Czego?

– Jesteś ateistą. Zatwardziałym ateistą. Przeprowadzasz ten szurnięty eksperyment, ponieważ wbiłeś sobie do głowy, że dzięki tym małpom możesz ostatecznie dowieść, że Bóg nie istnieje, zgadza się?

– Zgadza się.

– W takim razie dlaczego tak ci zależy na zdobyciu kodu genetycznego Chrystusa? Czy coś mi umknęło w tym rozumowaniu?

– Nie, kochanie, nic ci nie umknęło. To się nazywa „biznes”, skarbie.

– A ja mam na to inne słowo. „Hipokryzja”.

59

Czwartek, 9 marca

Kilka minut po jedenastej Ross siedział w swoim gabinecie; targały nim sprzeczne uczucia. Nagle zauważył światła samochodu na ulicy. Poruszały się bardzo powoli, aż w końcu zatrzymały się przed jego domem. Zesztywniał, lecz po chwili zauważył, że to policyjny radiowóz. Naczelnik Tingley dotrzymał słowa.

Radiowóz ruszył dalej.

W tym samym momencie zadzwonił telefon Rossa. Na ekranie wyświetliła się informacja, że numer jest zastrzeżony.

Po krótkim wahaniu nacisnął zieloną ikonkę.

– Ross Hunter – powiedział.

Mężczyzna w telefonie mówił cicho, Ross musiał wyteżać słuch, żeby go usłyszeć.

– Ross? Mówi Hussam Udin.

– Hussam! – zawołał do niewidomego Egipcjanina. – Cześć.

– Czy możesz rozmawiać?

– Tak, jasne.

– Ross, właśnie zadzwonił do mnie Medhat El-Hadidy.

– Chwała Bogu, że żyje. Przepraszam, Hussam. Tak mi przykro, że wplątałem twojego kuzyna w tę historię. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Nie wiem, co się dzieje i kto za tym wszystkim stoi. Czy powiedział, co u niego?

– Tak, nic mu się nie stało. Gorzej z jego samochodem. Ross, muszę ci to powiedzieć: ja wiem, co się dzieje. Musimy się spotkać jak najszybciej. Jesteś w większym niebezpieczeństwie, niż ci się wydaje.

– W jakim niebezpieczeństwie, Hussam?

– To nie jest rozmowa na telefon. Kiedy możemy się spotkać?

- Jutro rano?
- Myślę, że to będzie rozsądne.
- Mogę przyjechać do ciebie o jedenastej? Odpowiada ci?
- Zawsze jestem w domu.
- W takim razie do zobaczenia.

Gdy tylko zakończył rozmowę, wyczuł, że ktoś za nim stoi. Błyskawicznie się odwrócił i zobaczył Imogen.

– Kto to był, Ross? Powiesz mi czy nie? Co to za niebezpieczeństwo, o którym jeszcze nie wiem?

Ross wziął głęboki oddech i pokazał jej zdjęcie, które zrobił w Egipcie. Potem jej opowiedział. Wszystko od początku.

Kiedy skończył, Imogen spytała:

- I co teraz, Ross?
- Czekam na wyniki DNA.
- A potem?
- Pewnie okaże się, że to wielka lipa, zwykły fałszywy alarm, więc potem już nic. Sprawa zakończona.
- A jeśli badanie wykaże zgodność między zębem a zawartością kielicha? Co wtedy?

– Wtedy trzeba będzie się zastanowić.

– Jacyś ludzie zaatakowali cię w Egipcie. Jacyś ludzie przysyłają nam maile z groźbami. A jeśli to wszystko prawda? Jeśli pojawi się zgodność? Sprawdziłam w internecie tych wszystkich, którzy twierdzą, że są w posiadaniu relikwii, jak całun turyński, suknia z Trewiru czy włócznia przeznaczenia. Sprawdziałam ich w internecie. – Stuknęła w ekran swojego iPhone'a i spojrzała na listę. – Korona cierniowa, żelazna korona, chusta świętej Weroniki, mandylion i cała reszta. Tu wchodzi w grę interesy handlowe, Ross. Ich właściciele nie będą chcieli ryzykować, że DNA, które zdobyłeś, zdyskredytuje ich relikwie. Jesteś dziennikarzem, ale wchodzisz na ring z kategorią wagową znacznie przewyższającą twoje możliwości. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak głęboko wdepnąłeś i jakie gniazdo szerszeni poruszyłeś. Czy jakikolwiek artykuł prasowy jest wart naszego życia? I czemu właściwie to TY zostałeś wybrany? – Spojrzała w okno, na roztaczającą się za nim ciemną noc, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy. Wstała, podeszła do szyby i opuściła żaluzje. – Zastanowiłeś się nad tym?

– Nie wiem, Imogen. Może ktoś, kto mnie wybrał, doszedł do wniosku, że ludzie potraktują mój artykuł poważnie. Ale musisz uwierzyć, że nic nie jest dla mnie ważniejsze od naszego dziecka. Rozumiesz?

– Nic nie jest ważniejsze od naszego dziecka?

– Absolutnie nic.

– A ja?

– Ty jesteś czymś oczywistym!

– Udowodnij mi to.

– Jak mam to zrobić?

– Powiedz światu, że porzucasz ten temat. Wstaw post na Twitterze i Facebooku. Ogłoś, że przestajesz się tym zajmować. Opublikuj te przekłete współrzędne. Podaj je światu.

– Nie mogę, Imogen. Jeszcze nie teraz.

– Dlaczego? – zapytała Imogen.

– Ponieważ nie mam jeszcze ostatnich, najważniejszych współrzędnych.

– Więc je zdobądź i jak najszybciej opublikuj.

– Nie jestem pewien, czy powinienem to zrobić, Imo.

Jego żona pokręciła głową.

– Cały czas ta sama śpiewka. Ty jesteś najważniejszy. Zawsze stawiasz siebie na pierwszym miejscu. Nasz syn się nie liczy. Ja się nie liczę.

– Nie, Imo. Nie stawiam siebie na pierwszym miejscu. Na pierwszym miejscu stawiam ludzkość.

– Jeśli w to wierzysz, to jesteś większym egoistą i jeszcze większym fantastą, niż myślałam.

To powiedziawszy, wyszła z pokoju.

60

Piątek, 10 marca

Nazajutrz o jedenastej trzydzieści Ross siedział w zacisznym gabinecie Hussama Udana i z wdzięcznością sączył mocną, słodką kawę, a w głowie do tej pory dudniło mu od whisky, którą pił wczoraj przez pół nocy. Wiedział, że pije za dużo, znacznie więcej niż normalnie, ale nic już teraz nie było normalne.

Hussam siedział rozparty po królewsku, jak zawsze w brązowej szacie i ciemnych okularach zasłaniających oślepienie oczy. Nad popielniczką Cinzano pełną zgniecionych petów żarzył się w półmroku zapalony papieros, którego trzymał między palcami.

– Miałeś ciężką przeprawę, Ross. Ale udało ci się uciec.

– Jakimś cudem. Niestety, niezupełnie dzięki twojemu kuzynowi.

Jego oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności i stopniowo dostrzegał w pokoju coraz więcej szczegółów.

– Może dzięki Allahowi?

Ross się uśmiechnął. Zdał sobie nagle sprawę, że minęło sporo dni, od kiedy ostatnio się uśmiechał.

– Można tak powiedzieć.

Zauważył, że Hussam wcale się nie uśmiecha, przeciwnie, wygląda na zmartwionego.

– Ktoś cię śledził, kiedy tu dzisiaj jechałeś, Ross.

– Nie – zaprzeczył z przekonaniem Ross. – Bardzo uważnie się rozglądałem.

– Powtarzam, że ktoś cię śledził.

– Skąd wiesz?

– Słyszę, że jesteś zmęczony, może nie myślisz jasno. Masz do czynienia z niezwykle przebiegłymi ludźmi. Będą cię śledzić

wszędzie, a ty ich nie zauważysz. Założą ci też podsłuch na telefon.

– Zglądałem dzisiaj pod samochód, sprawdzałem, czy nie przyczepili mi urządzeń lokacyjnych. Niczego nie zauważyłem.

– Powiedziałem, że niczego nie zauważysz. – Okulary Udina skierowane były prosto na niego z jakąś niesamowitą, właściwą mu precyzją. – Ross, kiedy tu poprzednio przyjechałeś, powiedziałeś, że potrzebujesz w Luksorze człowieka, który dysponuje autem i może ci zapewnić bezpieczeństwo. Teraz sytuacja się bardzo zmieniła. Mój kuzyn ma rozbity samochód i nie wiadomo, czy ubezpieczenie w całości pokryje straty. Ale nie zapewnił ci bezpieczeństwa, więc nie jestem z niego zadowolony. A co ważniejsze, znalazłeś się w poważnych tarapatach, mam rację?

– To nie jest takie proste. Jeśli tylko zdołam, zwrócę Hadidy'emu koszty naprawy. Jako dziennikarz kryminalny sądziłem, że trafia mi się materiał do artykułu, oparty na bajdurzeniu starego wdowca, który wierzył, że posiada dowód na istnienie Boga. Teraz historia przybrała znacznie poważniejszy i bardziej realny obrót, niż to sobie wyobrażałem.

– I bardziej niebezpieczny?

– Owszem.

– Więc jeśli dobrze zrozumiałem, gra się toczy o rozstrzygający dowód na istnienie Boga, tak?

– Tak.

Udin położył dłoń na piersi.

– Czasem w głębi serca zazdroszczę tym, którzy mają niezachwianą wiarę. Bo jeśli żyli zgodnie z wolą Allaha, nie boją się śmierci. To samo dotyczy wszystkich innych religii, wszystkich ludzi na ziemi, którzy wierzą w jednego Boga: muzułmanów, chrześcijan, żydów, sikhów. Wszyscy oni tylko interpretują go inaczej. Być może najbardziej sikhowie. Ich celem jest ujrzenie porządku nadanego przez Boga i tym sposobem zrozumienie Jego natury. Możliwe, że ich wiara jest najbliższa mojej, ponieważ wierzę w Inteligentny Projekt. Ale to nieważne. W tej chwili ważne dla mnie jest to, że mój przyjaciel znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ten przyjaciel to ty, Ross. Tak słyszałem.

– Powiedz mi, co wiesz, Udin.

– Mam przyjaciół w moim ojczystym kraju, w Egipcie. Powiedzieli mi, że przywiozłeś do Anglii przedmiot o niezrównanej doniosłości, przez co zagraża ci wielkie niebezpieczeństwo.

– Czemu tak uważasz?

– Podobno przywiozłeś ze sobą przedmiot należący do innej religii, a religia ta była kiedyś wrogiem islamu oraz innych wyznań. Jeśli ten przedmiot jest prawdziwy, jeśli jest tym, co podejrzewasz, to samo posiadanie go stanowi dla ciebie ogromne zagrożenie. Wielu ludzi będzie chciało go zdobyć. Jedna z tych grup już o mały włos cię nie zabiła. Nie spoczną, póki go nie dostaną, a wszyscy oni dysponują niezmiernym bogactwem.

– Wiesz, kim oni są?

Udin włożył do ust nowego papierosa i zaczął go odpalać od poprzedniego. Ross obserwował, jak dwie końcówki się mijają, i zastanawiał się, czy powinien jakoś interweniować. W końcu Egipcjaninowi udało się go podpalić, zaciągnął się głęboko, lecz nie odpowiedział na pytanie.

– Przywiozłeś ze sobą ząb. Może to być ząb waszego proroka, Jezusa Chrystusa. Test DNA powinien to wyjaśnić.

Ross skinął głową, wpatrując się w okulary swego rozmówcy, a jednocześnie zastanawiając się, jak się o tym dowiedział?

– Wyobraźmy sobie, przyjacielu, że uzyskasz analizę kodu genetycznego z zęba i potwierdzisz jego pochodzenie. Datowanie węglowe wykaże, że pochodzi sprzed dwóch tysięcy lat. Masz również inny przedmiot, na przykład kielich, z którego Jezus Chrystus pił podczas Ostatniej Wieczerzy i do którego zebrano jego krew, kiedy wisiał na krzyżu. Wyobraźmy sobie, że DNA z kielicha zgadza się z DNA pobranym z zęba.

– Skąd o tym wszystkim wiesz, Hussam?

– Powiedziałem ci, mój przyjacielu, że chociaż jestem tu zamknięty jak w grobowcu i prawie na pewno tutaj umrę, znam na świecie ludzi, którzy mówią mi różne rzeczy. Słuchają, mają ze sobą kontakt i wiedzą. To, co znalazłeś, może się okazać prawdziwe albo nie. Jeśli okaże się prawdziwe, znajdzie się wielu ludzi, którzy tego zapragną i zrobią wszystko, aby położyć na tym rękę, a ty zostaniesz zbitym pionkiem.

– Powiedziałeś, że wiesz, kto mnie zaatakował, Hussam. Kim oni są? Muszę poznać szczegóły.

– Ty wiesz, kim oni są. Może nie jesteś tego świadomy, ale wiesz na pewno. Wszyscy ich znamy. Łykamy ich witaminy i pigułki, może myjemy zęby ich pastą, bierzemy ich lekarstwa na kaszel, zażywamy środki przeczyszczające, kiedy mamy zaparcia, psikamy sobie sprej do nosa, kiedy zatyka się od przeziębienia, niektórzy korzystają z ich preparatów na rzucenie palenia. Ta firma zabija rocznie miliony ludzi w Afryce i innych biednych krajach, sprzedając nietestowane lub przeterminowane leki, albo mleko w proszku, pozbawione najważniejszych przeciwciał z mleka matki, których potrzebują dzieci. Uważasz, że przejmą się życiem jednego angielskiego dziennikarza?

Ross wytrzeszczył na niego oczy.

– Mówisz o którymś z wielkich koncernów farmaceutycznych? O którym, Udin?

– Kerr Kluge.

– Kerr Kluge? – powtórzył jak echo Ross.

– Tak.

– Z tego, co o nich mówisz, wynika, jakby ci ludzie byli wcielonym Antychrystem.

– Oni mają tylko jedną religię, Ross. Pieniądze. Bilans, zysk za wszelką cenę.

– I martwią się, że na świat mógłby powrócić Chrystus? Że wypadliby z interesu, bo umiał leczyć ludzi bez stosowania leków?

Udin pokręcił głową, zaciągnął się papierosem i wydmuchał kłęb dymu.

– Nie, Ross. Nie sądzę, żeby o to im chodziło. Oni myślą tylko o tym, jak zdobyć jedyne istniejące przedmioty, które zawierają DNA Chrystusa. Wartość rynkowa tych relikwów jest dla nich niewyobrażalna.

Ross uśmiechnął się od ucha do ucha.

– W takim razie może powinienem dobić z nimi targu?

– Obawiam się, przyjacielu, że dowiesz się tylko jednego: diabeł się nie targuje.

61

Piątek, 10 marca

Jadąc z powrotem do Brighton, Ross spoglądał uważnie w lusterka. Kilka razy zatrzymywał się w przypadkowo wybranym miejscu. Czekał kilka minut, aż przejedzie cała fala pojazdów. Nie zauważył, żeby ktoś go śledził. Mimo to nie lekceważył ostrzeżenia Hussama Udina.

Lecz skąd Udin o wszystkim wiedział? Skąd wiedzieli jego informatorzy? Powiedział, że ludzie, którzy stali za zamachem w Egipcie, siedzieli w przemyśle farmaceutycznym. Czy miał rację?

Lecz skąd by się dowiedzieli o nim i o tym, co znalazł?

I czemu mieliby...

Nagle coś sobie przypomniał i lodowaty dreszcz przebiegł mu po plecach.

Cholera jasna.

Kilkaset metrów dalej znalazł przystanek autobusowy, roztrzęsiony zjechał w zatoczkę i zatrzymał się.

Odtwarzał w pamięci rozmowę z Sally Hughes.

Mój wujek jest członkiem zarządu fundacji... Julius Helmsley. Jest dyrektorem w firmie farmaceutycznej...

Wyjął telefon, wpisał w Google „Kerr Kluge”, po czym sprawdził listę członków zarządu. Julius Helmsley, dyrektor operacyjny.

Przez kilka minut siedział, zastanawiając się. Czy to byli ludzie z Egiptu? Czy to jeden z ich zbirów kopnął go w twarz, kiedy wychodził ze studni w Chalice Well, i zabrał torbę? Tę, którą podłożył na wabia, z kubkiem i sucharami kupionymi na pchlim targu w Lewes?

Pojechał dalej, cały czas układając w głowie plan. Po kilkunastu kilometrach skręcił w ulicę prowadzącą do centrum

handlowego. Niebawem zobaczył płot z listą sklepów znajdujących się w galerii. Tak jak miał nadzieję, znalazł wśród nich salon z telefonami komórkowymi. Zaparkował samochód i wszedł do środka.

Piętnaście minut później wrócił do samochodu z plastikową reklamówką, w której poza arkusikiem maleńkich naklejek, kupionych w sklepie papierniczym, znajdowały się dwa telefony na kartę – „jednorazówki”, z których często korzystali przestępcy, by przeprowadzić jedną rozmowę, a następnie wyrzucić, zacierając za sobą ślady.

Usiadł i przykleił naklejki na obie komórki, po czym oznaczył je – 1 i 2. Następnie wyjął z portfela wizytówkę, którą dostał od Sally, i wybrał jej numer z pierwszego telefonu.

Po pięciu sygnałach usłyszał pocztę głosową.

„Cześć, tu Sally, jestem zajęta, proszę, zostaw wiadomość, a ja oddzwonię”.

– Cześć, Sally, mówi Ross Hunter. Czy możesz zadzwonić do mnie na ten numer, który wyświetla ci się w telefonie?

Wyjechał z parkingu i wrócił na trasę A23, cały czas uważnie lustrując drogę i okolice, czy nikt nie czekał w pobliżu, by ruszyć za nim – lecz nie zauważył niczego podejrzanego.

Powrócił do swoich rozmyślań. Co zrobi, jeśli analiza materiału genetycznego wykaże związek między zębem i kielichem? Musi znaleźć jakiś sposób, aby napisać artykuł, nie narażając na niebezpieczeństwo siebie ani Imogen. A gdyby po prostu wszystko ujawnił? Na przykład kiedy dostanie ostatni zestaw współrzędnych od starego notariusza z Birmingham? Przenieść całą sprawę na forum publiczne i samemu się wycofać?

Zadzwonił jego iPhone.

– Ross Hunter – odebrał.

– Panie Hunter, mówi nadinspektor Martin Starr z wydziału zabójstw policji Birmingham. Spotkaliśmy się przelotnie, kiedy składał pan zeznania w sprawie doktora Cooka.

– Tak, dzień dobry.

– Czy może pan teraz rozmawiać?

– Jadę samochodem, ale mam włączony głośnik.

– Może wolałby pan porozmawiać z telefonu stacjonarnego, kiedy pan dojedzie na miejsce?

– Nie, nie, zatrzymam się gdzieś. Proszę chwilę poczekać, widzę przed sobą zjazd.

Skręcił w boczną dróżkę i zatrzymał samochód.

– Już. Słucham.

– Czy może mi pan jeszcze raz wyjaśnić, panie Hunter, dlaczego wszedł pan na teren posiadłości Rose Cottage w Newhurst Village, zamiast wezwać policję?

Ross zastanowił się uważnie, zanim odpowiedział.

– Spotkałem się z doktorem Cookiem kilka dni wcześniej. Zadzwoił do mnie, ponieważ powiedziano mu podobno, że jestem dziennikarzem, który może mu pomóc w sprawie... to zabrzmiało dziwnie: dowodu na istnienie Boga.

– Rozumiem – odparł Starr ze śmiertelną powagą i nutą cynizmu w głosie. – Kto mu to powiedział?

Ross wahał się przez moment.

– Przedstawiciel Boga.

– Przedstawiciel Boga?

– Uznałem wtedy doktora Cooka za trochę pomyłonego dziwaka, ale zaintrygował mnie na tyle, że zgodziłem się z nim spotkać i wysłuchać, co ma do powiedzenia.

– I spotkał się pan z nim?

– Przyjechał do mnie do Sussex i opowiedział mi o swojej sprawie.

– I dowodzie istnienia Boga?

Sceptycyzm w głosie policjanta z minuty na minutę stawał się coraz wyraźniejszy.

– Tak.

– Rozumiem. I co się stało?

– Po rozmowie uznałem, że jest... powiedzmy delikatnie, szczerzy, ale...

– Ale co?

– Nieco... nawiedzony.

– A mimo to postanowił pan pojechać z Brighton aż do Worcestershire, żeby się z nim spotkać?

– Zadzwoiłem do niego w czwartek wieczorem i oznajmiłem, że nie mogę mu pomóc, lecz on błagał, bym się z nim spotkał. Powiedział, że ma dla mnie informację, która sprawi, że zmienię zdanie. Jestem dziennikarzem, uznałem, że powinienem go przynajmniej wysłuchać.

– Więc pojechał pan do niego i znalazł w domu jego zwłoki, tak?

– Tak.

– I gdy tylko znalazł pan ciało, natychmiast zadzwonił pan na policję?

– Tak jest.

– Czy doktor Cook wspominał panu przy jakiejś okazji, że ma wrogów, panie Hunter? Fanatyków, którzy nie podzielają jego poglądów?

– Nie, nie wspominał.

– Czy wie pan o kimś, kogo mógł rozdrażnić?

– Nie, nie wiem.

– Dziękuję. Wiem, że złożył pan już wyjaśnienia moim kolegom, ale jeśli będę potrzebować jakiejś informacji, czy zechce pan przyjechać, aby porozmawiać z nami na miejscu? Ewentualnie, jeśli pan woli, możemy kogoś do pana wysłać.

– Tak, oczywiście.

– Jeszcze raz dziękuję, panie Hunter. To na razie wszystko. Będę się z panem kontaktował.

Kiedy zakończył rozmowę i już miał wyjechać z powrotem na drogę, usłyszał obcy dźwięk – dzwonek telefonu na kartę, z którego dzwonił do Sally. Odebrał.

– Cześć, Ross! – Jej głos zabrzmiał jeszcze przyjemniej i cieplej, niż pamiętał.

– Cześć, Sally, jak leci?

– Dobrze. Wszystko w porządku. A u ciebie?

– Też dobrze... chyba – odparł.

– Miło usłyszeć przyjazny głos. Właśnie zesłam z anteny po rozmowie z jednym z naszych, no wiesz, arystokratów teatru. Co za nadęty dupek. Zachowywał się, jakby wywiad w lokalnej stacji radiowej uwłaczał jego godności. Na każde pytanie dawał wymijające odpowiedzi. „Cieszy się pan z nowej sztuki w Bristol Hippodrome, sir Williamie?” „Och, kochana, a powinienem się cieszyć?” „O ile wiem, zawsze pragnął pan zagrać Archiego Rice’a, prawda?” „Nieprawda, moja droga” „Czy ma pan jakieś niespełnione ambicje, sir Williamie? Czy jest jakaś rola, którą chciałby pan jeszcze zagrać?” „Zagrałem już wszystkie, moja droga”.

– Mam nadzieję, że dałaś mu popalić?

– Żałuję, że tego nie zrobiłam. Tyle rzeczy mogłam wtedy powiedzieć.

– Najlepiej ujął to kiedyś Oscar Wilde. Był na przyjęciu z malarzem Whistlerem i Whistler rzucił jakiś cięty dowcip. „Szkoda, że nie ja to powiedziałem”, zauważył Wilde. Na co Whistler odparł: „Ależ powiesz, Oscarze, powiesz!”.

Sally wybuchła śmiechem.

– Bardzo mile wspominałam nasz wywiad. Cudownie się rozmawia z kimś, kto jest inteligentny, dowcipny i nie ma rozbuchanego ego.

– W takim razie przykro mi, że cię rozczarowałam.

– Ależ w najmniejszym stopniu. Wywiad z tobą był dużo bardziej interesujący niż z większością ludzi, których zapraszam do programu.

– Jesteś bardzo miła. Dzwonię do ciebie, ponieważ chciałbym cię poprosić o jeszcze jedną rozmowę, poza anteną. To bardzo ważna sprawa.

– Jasne. Przez telefon, czy chcesz się spotkać?

– Lepiej by było, gdybyśmy się spotkali.

– W najbliższy weekend jestem wolna, potem wyjeżdżam na kilka dni na narty.

Ross myślał szybko. Trzy godziny jazdy z Brighton do Bristolu. Jutro wieczorem idą na przyjęcie do Hodgesów – na urodziny Helen. Imogen by się wściekła, gdyby próbował się wymigać.

– Może przyjechałbym do ciebie w niedzielę około lunchu? Moglibyśmy coś szybko zjeść w jakimś pubie?

– Szybko? – zapytała Sally z rozczarowaniem w głosie. – Myślę, że wolno byłoby znacznie przyjemniej.

Znowu poczuł ten dreszczyk, co za pierwszym razem, to samo przyciąganie. Podniecało go, choć zdawał sobie sprawę, że nie powinno. Ale nie miał ochoty go powstrzymać. Jednocześnie zastanawiał się, co nią naprawdę kieruje. Czy nie jest w jakiś sposób dwulicowa?

– Owszem, długi lunch zapowiada się bardzo przyjemnie.

62

Niedziela, 12 marca

Tak jak podejrzewał, Imogen nie była zachwycona wiadomością, że zamierza spędzić niedzielę w podróży do Bristolu i z powrotem. Jej siostra Virginia, z mężem i trójką dzieci, miała przyjechać na lunch i spacer i Ross w głębi ducha cieszył się, że się z nią nie spotka. Virginia była irytująco świętoszkowata, krzywiła się na alkohol i zawsze uważała, że to ona musi prowadzić samochód; wiele lat temu skończyły się również Rossowi tematy do rozmowy z jej mężem, który dużo pił i nigdy nie miał nic ciekawego do powiedzenia, za to bez końca powtarzał, jakim się stał pijakiem.

Sally czekała już na niego przy drewnianym stole w zatłoczonym nowoczesnym pubie. Wyglądała oszłamiająco w obcisłych dżinsach, zamszowych butach i białej bluzce. Przed nią stała butelka riohy.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział.

– Nie ma za co. Napijesz się wina?

Nie czekając na odpowiedź, naląła mu kieliszek, po czym podsunęła mu menu.

– Na tablicy są wypisane potrawy dnia. Ja zamawiam francuską zupę cebulową i pieczeń. W niedzielę pieką tu doskonałą wołowinę.

– Wygląda zachęcająco, wezmę to samo.

– A więc, sławny dziennikarzu Rossie Hunterze, co jest dla ciebie aż tak ważne, że przejeżdżasz w niedzielę szmat drogi, by się spotkać ze skromną robotnicą lokalnej stacji radiowej?

Niełatwo było Rossowi utrzymać ich spotkanie na stopie formalnej.

– Kiedy poprzednio rozmawialiśmy, wspomniałaś o swoim wujku, Juliusie.

– Juliusie Helmsleyu?

– Tak. Mówiłaś, zdaje się, że pracuje w zarządzie firmy farmaceutycznej, prawda?

– Owszem, zasiada w wierchuszce.

– Możesz mi przypomnieć, w której firmie pracuje? – spytał, żeby się upewnić.

– W Kerr Kluge.

– Drobnny biznes.

Uśmiechnęła się.

– Zajmują chyba trzecie miejsce na świecie.

– Czy możesz mi opowiedzieć trochę o swoim wujku?

– Oczywiście. Co chciałbyś wiedzieć?

Upił łyk wina i z uznaniem skinął głową na jej wybór. Podniósł lekko kieliszek.

– Naprawdę dobre.

– Averys z Bristolu. Gospodarka tego miasta od dziesiątków lat opierała się w dużym stopniu na handlu winem.

– Naturalnie.

Starał się unikać jej wzroku, lecz nie było to łatwe.

– Jakim człowiekiem jest twój wujek?

– Słabo go znam. Jest szwagrem mojej mamy. Chyba ci mówiłam. Zmarła rok temu.

– Przykro mi.

– Daj spokój. Miała złośliwy nowotwór piersi.

Dolała sobie wina do kieliszka, który był prawie pusty, i chciała nalać Rossowi, lecz on zasłonił naczynie dłonią.

– Wystarczy mi jeden – powiedział. – Czeka mnie długa droga.

– Straciłeś kiedyś kogoś bliskiego? – spytała.

– Tak.

– Kiedy rozmawialiśmy po audycji, wyznałeś, że przytrafiło ci się w życiu coś, co sprowadziło cię z drogi sceptycznego agnostycyzmu i może nie nawróciło na wiarę, ale otworzyło twój umysł. Nie chciałeś o tym rozmawiać, powiedziałeś, że to zbyt osobiste. Czy teraz jesteś gotowy?

– Proponuję układ.

– Jaki układ?

– Powiem ci tyle, ile mogę, o tym, dlaczego się zmieniłem, a ty opowiesz mi wszystko o swoim wujku. Zgoda?

Znowu się uśmiechnęła.

– Zgoda.

Opowiedział jej o dniu, kiedy zginął Ricky, o tym, co się wydarzyło w siłowni w Brighton. Sally słuchała uważnie, prawie jak zauroczona. Kiedy skończył, powiedziała:

– Ross, to niewiarygodne. Robiłam kiedyś wywiad z lekarzem, który studiował przeżycia ludzi z pogranicza życia i śmierci i napisał o nich książkę. Kilka opowieści, które od niego słyszałam, były podobne do tego, co przytrafiło się tobie.

Ross pokiwał głową.

– Tak, ja też dużo wtedy o tym czytałem. Jest mnóstwo teorii na ten temat, o telepatii, o procesach wyłączania się mózgu.

– I o życiu po śmierci? – spytała.

Uśmiechnął się.

– Pewnego dnia wszyscy się tego dowiemy. Albo nie.

– Chętnie bym kiedyś więcej o tym porozmawiała. Fascynuje mnie ten temat. Uważam, że coś w tym jest.

– Dobrze. Z chęcią o tym pogadam.

– Powinieneś napisać o tym książkę. Mogłabym znowu zaprosić cię do radia na wywiad promocyjny.

– Może kiedyś to zrobię. Teraz twoja kolej.

– Dobra. Rzecz w tym, że wujek Julius zawsze był trochę dziwakiem, jeszcze w czasach mojego dzieciństwa. Lubił pokazywać mi eksperymenty chemiczne, na przykład wytwarzanie śmierzących bomb albo błyski spalanego magnezu. Jakby był magikiem. Ostatnio jednak praktycznie straciłam z nim kontakt. Próbowałam go zaprosić do mojej audycji, ale nie chciał. Są bardzo konspiracyjną organizacją, jak wszystkie firmy farmaceutyczne. Wszystko usiłują ochraniać: patenty, prace badawcze. Czemu on cię tak interesuje?

– Zwykła ciekawość.

Przekrzywiła głowę.

– Czyżby? Przejechałeś taki kawał drogi, żeby mnie o niego wypytać. To raczej nie kwalifikuje się do „zwykłej ciekawości”.

W kieszeni zadzwonił telefon Rossa. Przeprosił Sally i wyjął komórkę z kieszeni, żeby odebrać.

– Halo?

– Pan Hunter?

– Tak, przy telefonie.

– Mówi Jolene Thomas z Zakładu Kryminalistyki ATGC.

– O, dzień dobry! – powiedział, dając Sally kolejny przeproszący znak.

– Pomyślałam, że chciałby pan wiedzieć. Właśnie dostałam wiadomość z laboratorium, że mamy już pierwsze wstępne wyniki obydwu przedmiotów. Przepraszam, że trwało to trochę dłużej, niż zapowiadałam, ale ząb zajął nam jednak więcej czasu. Czy może pan przyjechać jutro? Omówimy analizy i wyjaśnię panu, co one oznaczają.

– Czy stwierdziliście zgodność między przedmiotami?

– Przepraszam, ale ze względów bezpieczeństwa nie wolno mi podawać tej informacji przez telefon.

Podziękował jej i zakończył rozmowę.

– Dobre wieści? – spytała Sally Hughes.

63

Poniedziałek, 13 marca

W drodze do Zakładu Kryminalistyki ATGC Ross pojechał przez Lewes. Zaparkował przed restauracją Needlemakers, zapłacił za godzinny postój, położył bilet za przednią szybą i ruszył ponownie w stronę królestwa staroci, które czasami odwiedzali z Imogen w weekendy.

Czterdzieści minut później siedział z powrotem w samochodzie i jechał na północ w stronę Kingston, leżącego na południowy zachód od Londynu. I tak jak stało się już normą, by nie rzec – paranoją, regularnie sprawdzał w lusterkach, czy ktoś go nie śledzi. Często zmieniał prędkość, by zaskoczyć ewentualnych obserwatorów, raz przyspieszał do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, to znów zwalniał do osiemdziesięciu.

Zaparkował i skierował się do głównego wejścia. Podszedł do recepcji i oznajmił, że oczekuje go Jolene Thomas, a wtedy recepcjonistka oddała fragment formularza, na którym zapisał swoje nazwisko, numer rejestracyjny samochodu oraz godzinę przyścia i wsunęła go w identyfikator ze smyczą. Ross zawiesił go sobie na szyi, a po kilku minutach zjawiała się Jolene w eleganckiej zielonej sukience i zaprowadziła go do windy. Wjechali na drugie piętro, po czym przeszli labiryntem korytarzy i dwuskrzydłowych drzwi, aż wreszcie zatrzymali się przed wejściem z czarną tabliczką i wygrawerowanymi białymi literami: MIEJSCE ZBRODNI.

Pod spodem widniał spis laboratoriów: LAB 1/15, 1/18, 1/20, 1/21, 1/22.

Pod nimi kolejne: LAB 1/1, 1/5, 1/6, 1/7, 1/8.

Jeszcze niżej:

SPECJALISTYCZNE DNA WYDZIAŁ KRYMINALISTYKI
DNA

LAB 1/10, 1/12, 1/13

FNDAS

LAB 1/14

Zauważyła skonsternowaną minę Rossa patrzącego na tabliczki i uśmiechnęła się szeroko.

– Celowo nie ułatwiamy osobom z zewnątrz poruszania się po instytucie. Wszystko z powodów bezpieczeństwa, ponieważ większa część naszej pracy dotyczy dowodów policyjnych.

– Dobrze wiedzieć – odrzekł, myśląc o ostrzeżeniu Hussama Udina, jak również o swoich własnych przeżyciach. – Czy zdarzyło wam się kiedyś włamanie?

– Odpukać, ale nie. Zdajemy sobie sprawę, że wielu przestępców chętnie dostałoby w swoje ręce materiały dowodowe, które tu badamy, a najchętniej je zniszczyło. Wszystko, co tu przychodzi, jest zakodowane, pracownicy laboratoriów znają tylko kod tego, nad czym pracują. Nawet gdyby ktoś włamał się do naszego systemu, który jest doskonale zabezpieczony, to i tak nie wiedziałby, od czego zacząć.

– Tak, domyślam się – powiedział Ross i podążył za Jolene w głąb następnego labiryntu. Po drodze zerkał na kolejne tabliczki:

POBIERANIE PRÓBEK Z KOŚCI LAB 1/22

NIE OTWIERAĆ BEZ RĘKAWICZEK I MASKI

UWAGA! NIE WCHODZIĆ, JEŚLI MRUGA
POMARAŃCZOWA LAMPKA

W końcu Jolene zatrzymała się przed drzwiami z małą szybką ze szkła zbrojonego. Przyłożyła identyfikator do czytnika, wstukała hasło, po czym wprowadziła go do środka.

Znaleźli się w długiej sali, gdzie przy komputerach pracowało około dwudziestu osób. Wszyscy sprawiali wrażenie bez reszty pochłoniętych swoimi czynnościami. Jolene podeszła do pustego stanowiska na końcu sali, przysunęła mu krzesło i usiadła obok. Wstukała hasło na klawiaturze. Na biurku pod monitorem leżało pudełko chusteczek, sterta dokumentów oraz papierowy kubek po kawie z plastikową pokrywką.

Włączył się monitor. Po lewej stronie w dolnej części ekranu pokazał się jakiś spis, rzędy znaków, które Rossowi nic nie mówiły. Na środku widniało kilka kolumn wrzecionowatych nici ułożonych w pary, różnej długości, a każdy zwieńczony małym dyskiem oraz numerem.

Jolene odwróciła się do Rossa.

– Widział pan już kiedyś kod DNA?

– Nie.

– Dobrze, więc to jest próbka z kielicha, który pan u nas zostawił, dostaliśmy wynik ze skrzepniętej krwi znajdującej się w środku.

– Krwi?

– Tak, to zostało potwierdzone we wstępnym badaniu.

– Krew?

Krew Chrystusa? Zebrana podczas ukrzyżowania?

– Niestety, materiał DNA jest w bardzo złym stanie. Znacznie lepszy jest ten, który uzyskaliśmy z zęba. Każda para nici, którą pan widzi, przedstawia męską i żeńską część chromosomu. Zgodnie z pana życzeniem przeprowadziliśmy analizę standardową, mitochondrialną oraz Y-STR dla obydwu przedmiotów. Za chwilę pokażę panu wyniki testu standardowego i mitochondrialnego.

– Czy w ogóle możecie w jakiś sposób określić wiek materiału genetycznego z kielicha?

– Nie. W tym celu musiałby pan zrobić badanie radiowęglowe. Mogę jedynie panu powiedzieć, że moim zdaniem jest bardzo stary.

– A w przybliżeniu, jak bardzo stary?

Jolene pokręciła głową.

– Zależy, gdzie i jak był przechowywany. Stawiam na kilkaset lat, co najmniej, a najprawdopodobniej dużo więcej. Ale podkreślam, że to tylko domysł oparty na tym, co mi pan powiedział.

Wpisała coś na klawiaturze. Na ekranie pojawił się nowy obraz – znacznie więcej kolców nici ściśniętych tak blisko siebie, że przypominały ogrodzenie w parku, zbyt ciasno, by można było wyróżnić pary. Po chwili zastąpił go inny widok, rzędy kolumn z sekwencjami liter ACGT w niezliczonych kombinacjach.

– To analiza mitochondrialna zawartości kielicha – powiedziała. – A tu pojawia się wyjątkowo ciekawa rzecz.

Znowu wystukała coś na klawiaturze i ponownie pojawiły się wyraźniejsze nici z ponumerowanymi dyskami na szczycie. Było ich znacznie więcej niż na pierwszym obrazie.

– To uzyskaliśmy ze skruszonego zęba. Widzi pan?

Ross wpatrzył się intensywnie w ekran, lecz nie bardzo potrafił powiedzieć, co właściwie widzi.

– Może, nie jestem pewien.

Ponownie coś wpisała i pokazało się kilkanaście kolumn symboli, równie nieczytelnych dla Rossa jak poprzednie. Starał się im uważnie przyglądać.

– Na co właściwie powinienem patrzeć?

Jolene wskazała pary symboli w kolumnach.

– To są punkty zgodności w standardowym DNA zęba i kielicha. To samo wyszło nam w badaniu mitochondrialnym, a nawet lepiej. Uzyskaliśmy również bardzo wyraźną zgodność w Y-STR, co mnie dziwi, ponieważ jest ono zwykle mniej stabilne.

– Jak bardzo zgodne są obydwie wyniki?

Jolene wyglądała na zadowoloną z siebie.

– No cóż, gdybym przedstawiała je w sądzie jako doradca prokuratora, powiedziałabym, że między obydwoma próbkami występuje zgodność ponad wszelką rozsądną wątpliwość, w ujęciu matematycznym kilka miliardów do jednego. W mitochondrialnym DNA znaleźliśmy siedem specyficznych mutacji, bardzo rzadkich w porównaniu z naszą bazą danych; a także siedem innych w chromosomie Y, również

niezwykle rzadkich. Dokładnie takie same mutacje są obecne w obydwu materiałach genetycznych: z kielicha oraz zęba.

Gdzieś głęboko przebiegł Rossa dziwny dreszcz, jakby prąd elektryczny.

– I to samo wykazały wszystkie analizy? Zarówno standardowa, jak mitochondrialna i Y-STR?

– Tak.

– Jeśli dobrze zrozumiałem to, co mi pani poprzednio mówiła o mitochondrialnym DNA, przechodzi ono niezmiennione w linii żeńskiej, tak?

– Dokładnie tak.

– Y-STR zaś analogicznie w linii męskiej?

– Zgadza się.

– Przez ile pokoleń mogą w ten sposób przejść?

– Tyle, ile będzie trwał proces reprodukcyjny, w którym odpowiednio rodzą się dziewczynki dla linii mitochondrialnej i chłopcy w linii Y-STR.

– Niezmiennione? – upewnił się jeszcze raz Ross.

– Niezmiennione.

Obawiał się powiedzieć za dużo, ale czuł, że tej kobiecie może ufać.

– No dobrze, powiedzmy, że to DNA ma dwa tysiące lat. Czy zatem dobrze rozumiem, że mogłaby pani zidentyfikować kogoś żyjącego obecnie, kto byłby potomkiem w linii prostej, badając jego mitochondrialne DNA, zawierające unikalny profil genetyczny?

– Tak, panie Hunter, jeśli byłaby to kobieta.

– A z Y-STR?

– Mężczyznę. Tak.

Ross omal nie wybuchnął.

– Czy zostało wam coś z rozkruszonego zęba?

– Owszem. Resztką znajduje się w szklanej fiolce w roztworze wodnym.

Odetchnął z ulgą.

– To wspaniale! Fantastycznie.

– Musi pan podpisać odbiór, a ja wydrukuję panu wyniki. Czy chce pan odzyskać również kielich?

– Tak, proszę.

Poniedziałek, 13 marca

Czterdzieści minut później Ross skręcił na południe w stronę Brighton. Jechał zewnętrznym pasem, wolniej niż zwykle, niewiele ponad setkę, ponieważ w głowie aż kłębiło mu się od myśli. Ruch był mały, słońce stało jeszcze dość nisko nad odległymi wzgórzami południowego Downs i świeciło mu prosto w oczy. Opuścił osłonę przeciwsłoneczną, a wtedy sfrunął mu na kolana stary bilet parkingowy. To na moment rozproszyło jego uwagę; chwycił go i położył na fotelu pasażera.

Na środkowym pasie zadudniła ciężarówka przegubowa, która zaczęła go wyprzedzać. Zrównała się z nim, ale więcej nie przyspieszała. Droga była wolna, czemu nie jechała dalej?

W tym samym momencie w lusterku wstecznym zobaczył zderzak SUV-a siedzącego mu niebezpiecznie na ogonie, dosłownie kilka centymetrów za nim.

Szósty zmysł powiedział mu, że coś jest nie tak. Wcisnął gaz do dechy, poczuł szarpnięcie zmiany biegów, a samochód wystrzelił do przodu... i prawie wpadł na tył białego vana, który właśnie wyłonił się zza ciężarówki i zajechał mu drogę.

Zatrąbił ze złością.

Zapaliły się światła hamulcowe vana. Samochód zwalniał, zwalniała również ciężarówka jadąca obok niego. Po chwili Ross zrozumiał, co się dzieje – klasyczny manewr stosowany przez policję w celu zatrzymania uciekającego pojazdu: trzy, a niekiedy cztery pojazdy zamykały samochód ze wszystkich stron i stopniowo zwalniały, żeby zmusić go do zahamowania.

Ross zobaczył przed sobą zjazd, jednak w tej samej chwili, kiedy postanowił skorzystać z okazji, jadący za nim SUV nagle zmienił pas i zablokował mu skręt. Ross wcisnął hamulec, to

samo zrobił kierowca SUV-a. Minęli zjazd i tamten znów usiadł mu na ogonie. Ross zerknął na pobocze. Może udałoby mu się wyprzedzić białego vana po wewnętrznej? Jakby przewidując jego myśli, van zjechał odrobinę w kierunku pasa awaryjnego, a w tym samym czasie ciężarówka zbliżyła się do niego o kilka centymetrów i skręcała dalej. Miał do wyboru: albo zderzy się z wielkim pojazdem, albo zjedzie na pobocze.

Cholera!

Odsunął się, lecz ciężarówka zrobiła to samo i jeszcze bardziej zepchnęła go na szerokie pobocze.

Znowu zapaliły się przed nim czerwone światła hamulcowe, van systematycznie zwalniał i zmuszał Rossa do tego samego. Dziewięćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę... osiemdziesiąt pięć... osiemdziesiąt. Musi coś zrobić.

Wtedy przypomniał sobie coś na temat świateł hamulcowych. Były połączone z pedałem hamowania, ale nie z hamulcem ręcznym. Zerknął w lusterko, wziął głęboki oddech i z całej siły pociągnął hamulec ręczny. Usłyszał głośnie szorowanie zablokowanych tylnych kół. Samochodem zaczęło rzucać na boki, kierownicą szarpnęło. Usłyszał za sobą pisk opon, a w lusterku zobaczył, że SUV skręca gwałtownie w bok i mija o centymetry brzeg jego zderzaka. Otarł się o barierkę, aż posypały się iskry, a po chwili, jakby odbił się od barierki, wpadł bokiem na ciężarówkę i zaczął dachować.

Ross wrzucił wsteczny bieg i oglądając się przez ramię, okręcił audi w kółko tak szybko, jak tylko mógł. Samochodem rzucało wściekle, zniosło go na pobocze. Myślał gorączkowo. Zjazd został kilkaset metrów w tyle. To, co robił, było nieprzepisowe i niebezpieczne. Jeśli pojawi się policja, to świetnie, powie im, co się stało, jeśli nie – skręci w zjazd.

Pozwolił sobie tylko na szybki rzut oka na drogę, zobaczył SUV-a leżącego na poboczu do góry kołami, wbitego w bok ciężarówce niczym drapieźnik wgryzający się w upolowaną zwierzynę. Biały van zniknął.

Dojechał do skrętu, przepuścił samochody nadjeżdżające z przeciwka, które i tak zwalniały, po czym wykonał niebezpieczny manewr, by skręcić pod ostrym kątem z przeciwnego pasa. Kiedy znalazł się na bocznej drodze, wcisnął gaz do dechy.

Dudniło mu w głowie, dłonie mu się trzęsły. Wiedział tylko jedno: po tym, co się stało, musi tym bardziej i jak najszybciej dotrzeć do celu.

Niecałą godzinę później Ross wjechał na parking magazynu w Shoreham, nadal roztrzęsiony po tym, co się wydarzyło na autostradzie. Przez chwilę siedział bez ruchu, zastanawiając się, czy nie powinien zadzwonić na policję i zgłosić, że brał udział w wypadku. Czy ucieczka z miejsca kolizji nie jest przestępstwem? Czy jakieś kamery nie zarejestrowały całego zdarzenia? Jego karkołomnego zawracania na autostradzie? Nieważne, o to będzie się martwił później.

Na szczęście samochód nie doznał uszczerbku.

Wysiadł i podszedł do bagażnika. Rozejrzał się dookoła, potem wyjął z kufra torbę i poszedł z nią do biura. Za kontuarem siedział opasły, niechlujny mężczyzna po trzydziestce ze znudzonym wyrazem twarzy, przetłuszczonymi, potarganymi włosami i złotym kolczykiem w uchu. Siedział przed rzędem ekranów monitoringu, które pokazywały wnętrze magazynu oraz teren wokół budynku, i czytał książkę Terry'ego Pratchetta, jedząc długą kanapkę z sosem, który wyciekał bokami. Całe pomieszczenie śmierdziało curry. Na identyfikаторze przypiętym do klapy pogniecionego i niedopasowanego munduru strażnika widniało imię i nazwisko Ron Spokes.

– Dzień dobry, Ron – przywitał go Ross.

Mężczyzna podniósł głowę z nieszczęśliwą miną, w żaden sposób nie wykazując, że go poznaje.

– Słucham?

– Miłośnik Pratchetta?

– Jest spoko.

– Też go lubię.

Ron odpowiedział tępym spojrzeniem, więc Ross bez dalszych kurtuazji wpisał się do księgi.

Strażnik wskazał mu tylne wyjście, wcisnął guzik, a kiedy otworzyły się drzwi, wziął kolejny kęs kanapki i wrócił do książki, nie zważając na sos kapiący mu po brodzie.

Ross wyszedł z torbą na plac i ruszył w kierunku metalowej bramy prowadzącej na teren magazynu.

Po wprowadzeniu kodu na panelu czekał, aż podniosą się ze szczękiem kolejne drzwi. Ucieszył się, że podobnie jak podczas poprzedniej wizyty w środku nie było nikogo poza nim. Odczekał, aż drzwi z powrotem się opuszczą, i dopiero potem skierował się do swojej skrytki. Położył torbę na ziemi, wprowadził szyfr pierwszej kłódki i wsunął kluczyk w drugą. Obie otworzyły się bez kłopotu.

Położył torbę w środku, po czym z powrotem zamknął drzwi i kilkakrotnie, prawie obsesyjnie sprawdził obie kłódki. Następnie wrócił przez budkę strażnika na parking.

W samochodzie przejrzał maile w telefonie, lecz nie znalazł nic ważnego. Wprowadził do aplikacji nawigacyjnej kolejny punkt docelowy, wyjechał spod magazynu i czekał, aż będzie mógł się włączyć w gęsty ruch uliczny Shoreham Harbour. W pewnej odległości po prawej stronie, przed jednym z biurowców stał biały van z namalowanym talerzem satelitarnym i napisem:

ANTENY KEITH HAWKINS.

Kiedy skręcał w lewo i odjeżdżał w kierunku Brighton, zza przyciemnianej szyby tylnych drzwi białego vana obserwował go przez lornetkę mężczyzna, który właśnie pełnił zmianę w ekipie obserwacyjnej, podążającej śladem Rossa Huntera od momentu, kiedy tego ranka wyszedł z domu. Po chwili po raz kolejny ruszył jego śladem, trzymając się kilka samochodów w tyle.

65

Poniedziałek, 13 marca

Ross wrócił do domu głodny jak wilk, najpierw jednak otworzył bagażnik i wyjął z niego trzy duże torby z napisem SYSTEMY OCHRONY BEZPIECZNY DOM. Zaniósł je do garażu i ostrożnie położył na podłodze. Znajdowało się w nich pięć kamer zewnętrznych oraz system, który pozwalał na obserwowanie obrazu w telefonie lub laptopie w dowolnym miejscu na świecie. Miał nadzieję, że dzięki nim oraz systemowi alarmowemu, który zainstalowali już wcześniej, Imogen poczuje się bezpieczniej. I on także.

Kiepski był z niego majsterkowicz, ale sprzedawca zapewnił go, że instalacja jest dość łatwa, zwłaszcza że wszystko działa bezprzewodowo i na baterie. Musi tylko przymocować kamery kilkoma śrubami, a następnie postępować zgodnie z instrukcją. Mimo to miał mnóstwo wątpliwości. Do tej pory ilekroć ktoś próbował go przekonać, że tego typu zadanie jest łatwizną, okazywało się, że owszem, może było łatwizną, ale chyba dla zapalonego konstruktora z tytułem doktora nauk technicznych.

Ilekroć brał do ręki młotek lub śrubokręt, Imogen patrzyła na niego z obawą, postanowił więc, że zabierze się do pracy od razu, gdy tylko wrzuci w siebie jakiś szybki lunch i wykona kilka pilnych telefonów. Zrobi żonie niespodziankę, gdy ta wróci wieczorem z pracy.

Przygotował sobie kanapkę z cheddarem i korniszonami, ku wielkiej radości Monty'ego, który dostał kilka kawałków sera i łyknął je łapczywie.

– Wiesz, Monty, jesteś po prostu stworzony do degustacji. Łykasz bez gryzienia i chyba nawet nie wiesz, co to jest.

Pies szczechnął w odpowiedzi.

– Chcesz jeszcze?

Szczeknął drugi raz.

– Żadnego zebrania – upomniał go Ross, przypominając sobie, że Imogen nie pochwała tego u psa.

Monty usiadł i patrzył na niego wyczekująco z wywieszonym językiem.

– Ach, więc teraz próbujesz mnie wziąć na litość, tak?

Odkroił duży kawałek sera i rzucił psu. Smakołyk zniknął po dwóch kłapnięciach.

– Tylko ani słowa mamie, jasne? Umowa stoi?

Monty znowu szczeknął.

– Nie, już dosyć. Ani kawałka więcej. Później pójdziemy na spacer, teraz mam coś do załatwienia.

Usiadł przy stole i jedząc kanapkę, zaczął przeglądać gazety. W środku „Timesa” jego uwagę przykuł nagłówek: „Pastor ostrzega: Strzeżcie się wielkiego uzurpatora!”.

Zaczął czytać dalej.

Pastor Wesley Wenceslas, najpopularniejszy brytyjski duchowny, twierdzi, że rozpad porządku politycznego, klimat narastającego gniewu i przejmowanie władzy przez agresywnych polityków zostało przepowiedziane w Biblii i zwiastuje idealny grunt dla nadejścia Antychrysta.

Pastor wygłosił to ostrzeżenie przed gęstym tłumem swoich wiernych w kościele w Kensington. „Biblia ostrzega, że pradawny wąż, szatan, który skusił Ewę w Raju, zjawi się, udając Boga lub Syna Bożego. Zjawi się po kolei we wszystkich wielkich miastach na ziemi. Kiedy to nastąpi, świat stanie na skraju katastrofy i zewsząd rozlegną się krzyki cierpiących. Ojciec kłamstw i nieszczęścia, wróg ludzkości, będzie udawał współczucie dla niedoli i udręki. Aby uczynić swe podstępny bardziej wiarygodnymi, uczyni wielkie znaki, takie jak leczenie chorych i karmienie głodnych. Wiele ludzi da się oszukać i uwierzy, że diabeł jest Bogiem Wszechmogącym. Ja wskażę wam właściwą drogę, strzeżcie się Wielkiego Uzurpatora”.

Pastor Wesley Wenceslas ma cztery kościoły w Anglii oraz trzy w Stanach Zjednoczonych. Jego kanał na YouTube – Duszpasterstwo Wesleya Wenceslasa TV – przekroczył liczbę pięciu milionów subskrybentów z całego świata. W zeszłym roku pastor znalazł się na osiemset trzydziestym miejscu na liście najbogatszych ludzi świata według „Sunday Timesa”, jego majątek osobisty wynosi sto siedemdziesiąt dwa miliony funtów.

W czasie naszego wywiadu Wenceslas udzielał wymijających odpowiedzi na pytania, prześwietlone wcześniej przez jego rzecznika prasowego, który był obecny przy rozmowie. Zapytany, czy niezbędny jest mu prywatny boeing 737, a nawet jeszcze większy samolot, na który prowadzi obecnie zbiórkę pieniędzy wśród wiernych pod hasłem „Modlitwa o podniebną milę”, jego rzecznik prasowy odrzekł, że pastor czuje się na niebie najbliżej Boga i pragnie spędzać więcej czasu z dala od zgiełku przyziemnych spraw.

Ross wydarł stronę z gazety i złożył na pół. Niewiele się zmieniło od czasu, kiedy kilka lat temu napisał artykuł o pastorku. Stary oszust dalej naciąga naiwnych frajerów. Ma tupet, żeby mówić o uzurpatorach.

Robiąc sobie kawę, zastanawiał się, czy to możliwe, żeby Wenceslas dowiedział się skądś o historii Harry’ego Cooka. Poszedł na górę z kubkiem i artykułem, usiadł przy biurku i sprawdził maile, cały czas zatopiony w myślach. Jego redaktorka z „Sunday Timesa” chciała, by poleciał do Strasburga i przeprowadził wywiady z reprezentatywną grupą europosłów na temat ostatnich negocjacji w sprawie brexitu.

To była dobra fucha, ale musiałyby wyjechać na kilka dni, a nie mógł porzucić niedokończonej sprawy relikwii.

Natalie, idę tropem historii, która zwali Cię z nóg, jeśli wypali. Nie mogę jej teraz zostawić, sama zrozumiesz, kiedy Ci ją przyślę. Szkoda mi tej

roboty w Strasburgu, ale wolałbym, żebyś ją zleciła komuś innemu. Ross X

Natalie odpowiedziała natychmiast:

Potrzebuję czegoś dużego na przyszłą niedzielę. Kiedy zobaczę Twój materiał? Możesz mi go przysłać do czwartku? X

Ross przeniósł zamyślony wzrok na okno, na swoje audi stojące na podjeździe i ulicę przed domem. Na czwartek? Jego redaktorka nie zdaje sobie sprawy, z czym może mieć do czynienia.

On zresztą też nie, pomyślał z żalem.

Ma udokumentowaną zgodność DNA zęba, który mógł należeć do Jezusa Chrystusa, z zawartością kielicha, gdzie być może zebrano jego krew.

Jakie było prawdopodobieństwo, że ząb znaleziony w jaskini w górzystych rejonach Egiptu dostarczy materiał genetyczny identyczny z DNA wydobytym ze studni w Anglii?

Właśnie miał odpisać, kiedy zadźwięczał sygnał nowego maila. Od Imogen.

Jak poszło w laboratorium?

Odpisał:

Ciekawie! Opowiem Ci po powrocie.

Potem odpowiedział redaktorce:

Może w czwartek dam radę... jeśli będę jeszcze żył.

Odpowiedź przyszła po kilku sekundach:

Mam nadzieję, że żartowałeś.

Odpisał:

Chciałbym.

Otworzył listę kontaktów w telefonie, znalazł numer notariusza z Birmingham i zadzwonił. Rozpoznał kobiecy głos, brzmiący jak topór wojenny, podał swoje nazwisko i poprosił do telefonu Roberta Anholta-Sperry'ego.

– Niestety, jest teraz na konferencji z klientem. Czy mam poprosić, żeby do pana oddzwonił? Czy będzie wiedział, o jaką sprawę chodzi?

– Tak – odparł Ross. – Będzie wiedział.

Następnie zaczął szukać kontaktu do człowieka, z którym nie rozmawiał od czasów, gdy wrócił z Afganistanu. Nie był nawet pewny, czy jeszcze żyje. Wpisał w Google adres strony, gdzie przebywał jego wuj Angus, i znalazł numer telefonu. Zadzwonił.

– Czy mógłbym rozmawiać z przeorem? – spytał mężczyznę o zaskakująco jowialnym głosie.

– Rozmawia pan.

Ross wyjaśnił, kim jest i po co dzwoni.

– Panie Hunter, czy zdaje pan sobie sprawę, że nasi bracia są właściwie pustelnikami, którzy mieszkają pod wspólnym dachem? Wybrali życie w ciszy, modlitwie i kontemplacji, z dala od rozpraszających i natrętnych spraw świata. Jedyne, co mogę zrobić, to zapytać brata Angusa w notatce, którą dostanie podczas wieczornego posiłku. Ale nie mogę panu obiecać, że odpowie.

Kiedy zakończył rozmowę, Rossowi przyszła do głowy myśl. Wpisał w Google hasło „próbówki laboratoryjne”.

Na trzeciej stronie znalazł dokładnie to, czego szukał.

Poniedziałek, 13 marca

Dopiero na dwusetnej stronie książki Pratchetta Ron Spokes zdał sobie sprawę, że już ją czytał. Takie rzeczy przytrafiały mu się teraz na każdym kroku. A jego żołądek zamieniał się w reaktor termojądrowy, syczał i bulgotał. W tej kanapce z curry było coś dziwnego, powinien być to od razu wypluć. Czy na domiar wszystkiego innego zatruje się teraz jakimś żarciem?

Jedyna dobra wiadomość była taka, że dochodziła szósta. Zostało tylko pięć minut. Potem może wrócić do domu, a po drodze wpaść na kebab. A może lepiej nie, zważywszy na to, co się działo w jego żołądku? Z drugiej strony, może tego właśnie mu trzeba – więcej jedzenia? Przynajmniej spróbuje spędzić wieczór tak, jak planował: urządzi sobie ucztę z szaszłyków jagnięcych, lodów o smaku miodu i orzechów pekan i obejrzy ten stary film, o którym tyle gadał jego kumpel od rzutek, Mick. Jaki to był tytuł? *Matrix*.

Szósta.

Koniec!

Wstał ze stołka. Jego kolana głośno protestowały po tylu godzinach siedzenia. Włączył nocny alarm i wyszedł, lecz kiedy ruszył w kierunku parkingu, tonącego we mgle i ciemności, poczuł w żołądku ostry skurcz. Zgiął się wpół i znieruchomiał ze łzami w oczach, dopóki skurcz nie odpuścił.

Podszedł do swojego zardzewiałego gruchota, dwudziestoletniej hondy accord. Za cztery dni mija termin przeglądu, nie ma mowy, żeby go przeszedł z trzema łysymi oponami i zarżniętym wydechem. Nie wyobrażał sobie, jak dotrze do pracy bez samochodu, a właśnie zaczął się spotykać z nową dziewczyną, Madeleine. Czy będzie musiał ją zabrać na randkę autobusem? Nie robi na niej wrażenia.

Włożył kluczyk do zamka; właściwie nie wiadomo, po co go zamykał, tylko jakiś jeszcze bardziej żalosny nieudacznik mógłby się na niego poślakomić. Usiadł za kierownicą, zatrzasnął drzwi i zaczął po omacku szukać kluczykiem stacyjki. Nagle pierdnął na cały samochód.

– Czarujące – odezwał się za nim męski głos.

Spokes podskoczył przerażony, a w tym samym momencie poczuł na plecach coś twardego i zimnego.

– To jest to, o czym myślisz – zapewnił go głos. – Jezu, coś ty jadł? – dodał po chwili.

– Czego chcesz?

– Dać ci wybór. Mogę być twoim katem albo dobrą wróżką.

– Bardzo zabawne.

– Ja wcale nie żartuję.

Zimna lufa pistoletu wcisnęła się głębiej w szyję strażnika.

– Wiem o twoich długach i mam przy sobie tyle gotówki, że wystarczy na spłacenie wszystkich twoich kart kredytowych. Dziesięć tysięcy funtów w banknotach. Możemy dobić targu.

– Jakiego targu?

– Chcę tylko, żebyś wpuścił mnie do magazynu, wyłączył system monitoringu i zaprowadził mnie do skrytki jednego z waszych klientów. Rossa Huntera.

– Nie mogę.

– Ależ oczywiście, że możesz. Zapewniam cię, że możesz i zrobisz to, prawda?

– Wpakuję się w kłopoty?

– Nie większe niż jako trup.

Poniedziałek, 13 marca

– Ross, co ty najlepszego wyprawiasz, na miłość boską? – spytała Imogen, wysiadając z samochodu.

Ross stał na szczycie drabiny opartej o mur domu i usiłował przymocować kamerę tuż pod okapem.

– Już prawie skończyłem!

– Co skończyłeś? Zabijać się?

Na ziemię upadły dwa kołki rozporowe, które trzymał w ustach, i śrubokręt. W ślad za nimi poleciała wiertarka elektryczna, która leżała na najwyższym szczeblu drabiny.

– Psiakrew!

– Zejdź natychmiast na dół! – zawołała gniewnie Imogen i chwyciła drabinę.

Trzymając w jednej ręce kamerę, Ross niezdarnie zszedł na ziemię.

– Kupiłem to dzisiaj po południu – oznajmił trochę zakłopotany. – Doszedłem do wniosku, że dzięki temu pocujemy się bezpieczniej.

– Mam się poczuć bezpiecznie, kiedy wracam z pracy i znajduję cię na szczycie drabiny? Mało prawdopodobne. Ty i majsterkowanie to jak ogień i woda. Masz wielki talent do pisania, ale nie jesteś cholernym elektrykiem.

– To nic trudnego.

– Właśnie widzę.

Ross wzruszył ramionami.

– No, może trochę trudniejsze, niż sądziłem.

– Czy nie możemy zadzwonić po elektryka i poprosić, żeby zajął się tym jutro rano?

– Może to rzeczywiście niezły plan. – Uśmiechnął się. – Jak ci minął dzień?

– Było w porządku aż do południa, kiedy zachciało mi się chipsów z solą i octem. – Spojrzała na niego ze skruchą. – Zjadłam trzy duże paczki i teraz mnie suszy.

Weszli do domu. Ross zamknął drzwi na łańcuch.

Imogen uklękała, żeby pogłaskać Monty'ego.

– No to opowiadaj, co w laboratorium?

– DNA się zgadza. Wyobrażasz to sobie? Czyste szaleństwo.

– DNA z zęba i z kielicha?

– Tak.

Imogen zbladła.

– Ze śliny na kielichu?

– Nie. Z krwi. Stwierdzili, że w kielichu znajduje się krew w stanie zaawansowanego rozkładu.

Zaniemówiła i wytrzeszczyła na niego oczy.

– Muszę się napić – oznajmiła. – Mały kieliszek wina nie zaszkodzi, prawda?

– No cóż, kiedy odkrywasz, że twój mąż wszedł w posiadanie materiału genetycznego Jezusa Chrystusa, kieliszek wina jest całkiem usprawiedliwiony.

– Nie zachowuj się tak lekceważąco.

Ross podszedł w milczeniu do lodówki, wyjął butelkę albariño i zaczął ją otwierać.

– Nie zachowuję się lekceważąco.

– Nie podoba mi się to. Już to mówiłam, mierzysz w coś, co cię przerasta.

Podał jej kieliszek i usiadł.

– Z tego powodu zginął doktor Cook – ciągnęła. – Ciebie omal nie zabili w Egipcie. Ja dostaję maile z pogrózkami. Czy jakikolwiek przekłety artykuł jest wart tego, żeby narażać dla niego życie? Stąpasz po niebezpiecznym gruncie obłądu i fanatyzmu religijnego.

– Daj spokój!

– Nie, Ross, to ty daj spokój. Takie są realia.

– Realia? Czy jest coś bardziej realnego niż zgodne kody DNA zęba znalezione w Egipcie i kielicha zamkniętego w starożytnym pojemniku w Chalice Well? A jeśli to prawda, że Cook otrzymał wiadomość od Boga, a ja zostałem wybrany, aby ogłosić to światu? I miałbym zrezygnować? Nie potrafiłbym żyć z tą świadomością.

– Jasne, dużo więcej zdziałaś dla świata jako trup – warknęła.

– Muszę to zbadać do końca, rozumiesz? Muszę.

– Dlaczego? Bo jesteś to winien doktorowi Cookowi? Sam mówiłeś, że jest niespełna rozumu.

Ross pociągnął łyk wina.

– Teraz się okazuje, że wcale nie był taki szalony.

– Nie?

Ross poszedł na górę do swojego gabinetu i przyniósł wydruki, które dostał od Jolene Thomas. Rozłożył je na stole przed Imogen i wyjaśnił jej wszystko, co sam usłyszał.

– I co mam teraz powiedzieć? – spytała, kiedy skończył. – Że mi dech zaparło?

– Powiedz mi, gdzie popełniam błąd, Imo. To jest prawdziwa bomba, prawdopodobnie sensacja wszech czasów. Wyobrażasz sobie te nagłówki?

– Tak i to mnie przeraża. Pamiętasz, co ci powiedział twój przyjaciel biskup? O wszystkich religijnych rozłamach? A także o tych niereligijnych.

– Mamy szansę dostarczyć światu dowód, że Bóg istnieje. Czy wolno nam to zlekceważyć?

– Ja zamierzam to zrobić – odparła. – Jeśli Bogu tak bardzo zależy na ocaleniu świata, to znajdzie kogoś innego.

– Z nas dwojga to ty jesteś wierząca, Imogen. Bardziej niż ja. Ty chodzisz regularnie do kościoła.

– Chodzę, ale nie wierzę w to szaleństwo, w które się wpakowałeś.

Przyjrzał jej się i zobaczył na jej twarzy strach. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźli. Jeszcze się nie otrząsnął po tym, co wydarzyło się na autostradzie. Ale ta historia była czymś donioślejszym niż artykuł w gazecie. O wiele donioślejszym. Brakowało mu jeszcze tylko jednego, kluczowego fragmentu układanki. Przy odrobinie szczęścia dostanie go jutro.

– Jadę jutro do Birmingham na spotkanie z notariuszem Cooka. Pojedź ze mną, a sama się przekonasz.

– Wiesz, że nie mogę, Ross. Muszę iść do pracy.

– Rozumiem. Notariusz ma ostatni fragment tej układanki. Kiedy go dostanę, przekonamy się, czy ta cała historia ma jakiś

sens, czy była tylko majakami starego wariata. Potem podejmę decyzję.

– A jeśli ma sens, to co dalej, Ross?

Przez długą chwilę Ross patrzył w milczeniu na stół, po czym podniósł na nią wzrok. Nie umiał jej odpowiedzieć.

Wtorek, 14 marca

Lancelot Pope również nie umiał odpowiedzieć. Była dziesiąta rano. Siedział osłupiały naprzeciwko Wesleya Wenceslasa w sali konferencyjnej na pierwszym piętrze Gethsemane Park. Na podłodze leżały białe dywany, z wielkich okien roztaczał się widok na skarpy pokryte idealnie zieloną trawą, opadające do jeziora ze sztuczną wyspą w kształcie krzyża, na której wznosił się siedmiometrowy posąg z białego marmuru, przedstawiający pastora z szeroko rozpostartymi ramionami, jakby chciał objąć niebo.

Dookoła na ścianach wisiała kolekcja ikon, zakupionych przez Wenceslasa w ciągu dziesięciu lat na rozmaitych aukcjach na całym świecie. Na dwudziestoosobowym stole konferencyjnym leżał nieduży żąb oraz drewniany kielich. Ciszę przerwało brzęczenie telefonu komórkowego Pope'a. Dyrektor generalny wyłączył dźwięk i zrelacjonował pastorowi, co zdołała uzyskać grupa obserwacyjna poprzedniego dnia, łącznie z tym, jak ich rywale omal nie zepchnęli Huntera z drogi.

– No i co? – zapytał wściekły Wenceslas. – Jakoś nie widzę, żeby mój Wszechuśmiech się uśmiechał. Co ty na to?

Pope znowu popatrzył oszołomiony na dwa przedmioty leżące na stole.

– Czekam na twoje wyjaśnienia, Lancelocie. Tymczasem kielich mojej hojnej cierpliwości wysycha do dna.

Pope podniósł drewniane naczynie i skonsternowany po raz trzeci zaczął je obracać w dłoniach.

– To... to znajdowało się w skrytce Rossa Huntera.

– I ty zapłaciłeś za to dziesięć tysięcy funtów.

– Sam mnie do tego upoważniłeś, szefie.

– Upoważniłem cię do zapłacenia dziesięciu tysięcy funtów za Świętego Graala i ząb Jezusa Chrystusa, żebyśmy mogli ich strzec w imię Boże. – Sięgnął przez stół i wyrwał kielich z rąk swojego dyrektora generalnego. Odwrócił go do góry nogami i podsunął Pope’owi pod nos. – Wątpię, żeby Święty Graal miał naklejkę „Made in China”, a ty? Myślisz, że Chiny mogły eksportować drewniane kielichy do Ziemi Świętej dwa tysiące lat temu?

– Prawdopodobnie nie – odrzekł niepewnie Pope.

– Prawdopodobnie, kurwa, masz rację! – wybuchnął Wenceslas i grzmotnął kielichem o stół.

– To wyjątkowo przebiegły facet, szefie. Hunter mógł zdjąć naklejkę z innego przedmiotu i nakleić ją na kielich, żeby wyprowadzić nas w pole.

– Naprawdę tak myślisz? – Wziął do ręki ząb. – I myślisz też, że nasz Pan, Jezus Chrystus, był wampirem, tak?

– Wampirem?

– Nie wiem, jacy dentyści żyli w czasach naszego Pana, ale wątpię, żeby rzeźbili zęby w kształt kłów. Czy może coś mi umknęło?

Pope powstrzymał się od nerwowego uśmiechu.

– Nie, szefie, myślę, że masz rację.

– To nie jest ludzki ząb, tylko zwierzęcy, prawdopodobnie jakiegoś drapieżnika. Nie znam się na tych sprawach, ale umiem rozpoznać ludzki ząb. Zapłaciliśmy dziesięć tysięcy dolarów, które mogły pójść na pomoc dla ubogich, żeby zdobyć tandetną pamiątkę i ząb zdechłego psa. Wystrychnął nas na dudka.

– Może to jego ktoś wystrychnął na dudka – odparł bez przekonania Pope. – Trzymał to w swojej skrytce.

– Jeśli tak, to znaczy, że Święty Graal i ząb naszego Pana, Jezusa Chrystusa, znajdują się gdzieś indziej, nie w skrytce Rossa Huntera. Znajdź je i to szybko.

– Zdaj się na mnie, szefie.

Wenceslas spiorunował go wzrokiem.

– Czas nas goni. Wkrótce rozejdzie się wieść o tym, co znalazł ten dziennikarz. Nadal go śledzicie?

– Przez okrągłą dobę.

– Więc gdzie teraz jest?

Pope sprawdził aplikację w swoim telefonie. Po chwili podniósł na pastora niespokojne spojrzenie.

– Dwadzieścia minut temu wyjechał z Brighton i pojechał do Henfield, kilkanaście kilometrów na północ. Nasi ludzie na chwilę stracili go z oczu.

Wenceslas zaczął walić pięściami w stół.

– Co?! Co?! Co?!

– Bez obaw, są niedaleko, zaraz go znajdą.

– Jasne, że znajdą. Tak jak ty znalazłeś Świętego Graala. Powiem ci, gdzie powinni go szukać: na bazarze w Shanghaju, przy straganie z pamiątkami.

Wtorek, 14 marca

Ross mijął ten znak dziesiątki razy i dziesiątki razy prawie go nie zauważał. I teraz również omal go nie przeoczył.

KARTUZJA ŚWIĘTEGO HUGONA

Mała biała tabliczka na brzegu trawnika przed nierównym żywopłotem dyskretnie wskazywała wejście do klasztoru.

Wcisnął gwałtownie hamulec i jednocześnie wyciągnął rękę, żeby grzechocząca torba leżąca na siedzeniu pasażera nie spadła na podłogę, po czym skręcił ostro w lewo na brukowany podjazd. Minął mały domek, który wyglądał na niezamieszkały, potem kilka zakrętów, aż w końcu przejechał przez sklepioną bramę ze stróżówką. Przed nim wznosił się majestatyczny gmach, który przypominał mu wspaniałe budowle Uniwersytetu Cambridge. Nad wielkimi drewnianymi drzwiami po obu stronach ciągnęły się dwa skrzydła z oszklonymi krużgankami.

Zaparkował, wysiadł z samochodu i wyjął z przedniego fotela pobrzękującą torbę, a z bagażnika swój plecak.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich pucołowaty mężczyzna po sześćdziesiątce w białym habicie, białej piusce oraz skórzanych kłapkach. Podszedł do niego z życzliwym uśmiechem, roztaczając wokół siebie więcej aury *bon viveur* niż ascetycznego mnicha.

– Pan Hunter?

– Tak.

Wyciągnął rękę.

– Jestem ojciec Raphael, przeor tego klasztoru. Rozmawialiśmy wczoraj przez telefon. Witamy w naszych

skromnych progach.

Ross odpowiedział uśmiechem.

– Wcale nie wyglądają skromnie.

– W istocie, oprócz wielu innych błogosławieństw cieszymy się najdłuższymi krużgankami ze wszystkich klasztorów w Anglii.

– Naprawdę?

– Tak. Jak by powiedział aktor Michael Caine, „niewielu ludzi o tym wie!”.

Ross uśmiechnął się zaskoczony światowym obyciem przeora.

– Ale domyślam się, że nie przyjechał pan tu, żeby słuchać opowieści o naszych krużgankach. Zaprowadzę pana do pańskiego wuja. Bardzo się ucieszył, kiedy pan zadzwonił, co mnie nieco zdziwiło, ale to dobrze. Uważam, że kontakt ze światem zewnętrznym nie zawsze jest złą rzeczą, nawet dla osób wiodących życie klasztorne. Niestety podupadł na zdrowiu, więc mam nadzieję, że pańska wizyta nieco go rozweseli.

Ross ruszył za przeorem wzdłuż wysokiego korytarza z posadzką wyłożoną kostką, gołymi kamiennymi ścianami oraz gęstym rzędem kolumn. Minęli drewnianą tablicę informacyjną z listą imion. Rossowi udało się zapamiętać tylko kilka: brat William; *dom* Pachomius; brat Alban; *dom* Ignatius; *dom* Henry; *dom* Stephen Mary. Pod spodem wisiała informacja: STRZYŻENIE 9.30–10.

Skęcili w długi, osłonięty krużgankami korytarz z podłogą wyłożoną kamiennymi płytami i białymi ścianami, przecinanymi co jakiś czas łukowo sklepionym wejściem w korytarz, który pozornie ciągnął się aż po horyzont. Mniej więcej co dwadzieścia metrów znajdowały się zamknięte, ozdobne drewniane drzwi, a nad nimi łacińska inskrypcja.

Przed jednym z nich zatrzymał się niebawem przeor. Ross spojrzał na łaciński napis, lecz nie miał pojęcia, co on oznacza.

Mihi enim vivere CHRISTUS est, et mori lucrum.

Przeor zapukał do drzwi.

Ross próbował sobie przypomnieć swoją ostatnią rozmowę z wujem Angusem. Rodzice Rossa zawsze traktowali go jako czarną owcę w rodzinie. Na zdjęciach Angus miał zwykle włosy

do ramion, okrągłe ciemne okulary, czarne podkoszulki, wąskie dżinsy i buty na słupkach. Ross zawsze uważał, że to super mieć wujka, który jest muzykiem rockowym.

Teraz nie wiedział, czego się spodziewać, mimo to kiedy drzwi otworzyły się bardzo powoli, jakby ciągnięte przez starą kobietę, która boi się intruza, poczuł się wstrząśnięty na widok wychudłej postaci, która się w nich zjawiała. Z żółtawą, niezdrową cerą, ogoloną głową i w habicie ze spiczastym kapturem jego wuj wyglądał jak duch.

Niegdyś niesforne, iskrzące orzechowe oczy wyglądały jak wypalona gwiazda w zapadającym się wszechświecie, a figlarny uśmiech, który pamiętał – pewny siebie, jakby świat był jednym wielkim żartem – zamienił się w blady, smutny grymas.

– Ross? Ross, to ty, prawda? Och, Ross.

Jego głos zachował resztki dawnej, kipiącej energii. Wyciągnął kruchą, kościstą dłoń i Ross uściśnął ją delikatnie. Angus przyjrzał mu się uważnie.

– Proszę, wejść. Niestety, to raczej nie jest prezydencki apartament w Czterech Porach Roku.

Ross obejrzał się na przeora, który uśmiechnął się ciepło.

– Zostawię was samych.

Kiedy Angus zamknął drzwi, znaleźli się w wąskim, wyłożonym płytkami korytarzyku, na końcu którego, mniej więcej dziesięć metrów dalej, stał posążek Marii Panny na kawałku pniaka. Na przeciwległej ścianie wisiała ikona w ramkach, skąpana w promieniach słońca wpadających przez okno.

– Niewiele odwiedziłem klasztorów, ale najwyraźniej mam ogromne szczęście, Ross – powiedział wuj. – Zbudowali to miejsce, żeby pomieściło dwustu zakonników, a mieszka nas tu zaledwie dwudziestu trzech. Mam dla siebie całe dwa piętra, ładny warsztat i ogród. Zupełnie jakbym mieszkał we własnym domu, tylko bez hałaśliwych sąsiadów! Chodź, wejść do środka.

Kiedy wchodzili po niskich kamiennych schodkach, Ross zauważył, że Angus rzeczywiście musi być bardzo chory, sądząc po tym, ile czasu mu to zajęło i ile razy musiał odpoczywać, aby nabrać tchu.

Na górze mieścił się spartańsko urządzone pokój z gołymi deskami. Za jedyne wyposażenie służyło biurko z krzesłem, prostą lampą i kilkoma książkami, wśród nich Biblią i kalendarzem. Poza nimi znajdował się tu tylko opalany drewnem piec oraz wnęka z krzyżem wiszącym na ścianie, która wyglądała na miejsce do modlitwy. Przez otwarte drzwi Ross zobaczył wiszący na haczyku turkusowy termofor oraz wąskie, drewniane łóżko.

– Przywiozłem ci podarunek, wujku – powiedział Ross, podając mu reklamówkę.

– Podarunek? – Zakonnik podniósł torbę z trochę nieobecnym uśmiechem, jakby przywołał jakieś odległe wspomnienia. Postawił ją szybko na podłodze, wyglądało na to, że jest za ciężka, by mógł ją utrzymać w rękach. Sprawiał wrażenie, jakby miał się zaraz rozplakać. – Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz dostałem podarunek. To miłe. To bardzo miłe.

Ross poczuł się tak wzruszony tym niekłamany zaskoczeniem, że i jemu zakręciły się w oczach łzy.

– Myślałem... Nie wiedziałem, czy wam wolno...

Angus wyjął jedną po drugiej cztery butelki bordo. Podnosił je po kolei do światła i oglądał z wyrazem najczystszej radości, która odmłodziła jego oblicze o całe lata.

– Czerwone wino? Francuskie? Tyle czasu... tyle czasu minęło, kiedy ostatnio piłem coś poza winem mszalnym! – Ponownie zanurkował w torbie i wyjął następny przedmiot. Uniósł go w górę. – Korkociąg! Pomyślałeś o wszystkim, kochany chłopak!

Ross stał niezręcznie, nie wiedział, jak zareagować na ten wybuch najczystszej radości. Pożałował teraz, że nie przywiózł ze sobą więcej butelek.

Potem otworzył plecak i wyjął z niego starannie owinięty drewniany kielich, spoczywający ponownie w swoim drewnianym pojemniku, oraz szklaną fiolkę z mętnym płynem, zamkniętą plastikową nakrętką. Położył je na biurku.

Angus popatrzył z zaciekawieniem na obydwa przedmioty.

– Proszę, usiądź, Ross. Niestety, nie zbywa tu na meblach, prowadzimy raczej skromne życie towarzyskie w celach. – Uśmiechnął się. – Ściśle mówiąc, jesteś jedynym gościem, jakiego w ogóle miałem.

Ross uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze mi na stojąco.

– Wiesz, Ross, zawsze cię lubiłem. Byłem pewien, że dużo w życiu osiągniesz. Tyle mamy sobie do opowiedzenia. Myślę, że powinniśmy się napić.

– Nie, nie, proszę, zatrzymaj to dla siebie. Mam nadzieję, że wypijesz sobie kiedyś z przyjemnością.

– No cóż, nie wiem, czy pozwolą mi na to lekarstwa, a także śluby, ale może Pan Bóg wybaczy schorowanemu starcowi taką małą słabostkę. – Spojrzał ponownie na butelki. – Ależ to jest pokusa. Bardzo ci dziękuję za ten przemiły gest. – Otworzył drewniany pojemnik i zajrzał do środka. – O, widzę, że zaopatrzyłeś mnie również w odpowiednie naczynie.

– Szczerze mówiąc, to naczynie nie służy do picia, wujku – powiedział Ross, poważniejąc. – A fiolka nie zawiera żadnych środków odurzających.

– He, he, widzę, że pamiętasz dawne czasy, kiedy miałem swój zespół! Satan's Creed? Jeździliśmy jako support dla Black Sabbath.

– Wiem, tata mi o wszystkim opowiedział. Pęczniałem z dumy. Byłeś moim odjazdowym wujkiem.

Twarz staruszka zmarszczyła się w uszczęśliwionym uśmiechu.

– No to opowiedz mi, czemu Bóg zesłał cię do starca, który kiedyś przynosił hańbę twojej rodzinie i który niedługo już zabawi na tym świecie.

Ross wskazał obydwa przedmioty leżące na stole.

– Wujku, chciałbym, żebyś wyświadczył mi przysługę i przechował to dla mnie. Żebyś to ukrył w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Czy te przedmioty są dla ciebie takie ważne?

– Nie dla mnie, są ważne dla świata. Dla ludzkości. Nie chcę, żeby wpadły w niepowołane ręce. Wielu ludzi próbuje je zdobyć za wszelką cenę.

Brat Angus zmarszczył brwi.

– Czy coś mi o tym opowiesz?

– Może powinienem raczej pozostawić to Bogu. Niech On ci powie.

Wuj podprowadził go do okna obok biurka i wskazał widok za szybą. W dole rozciągał się otoczony murem ogród, a za nim cmentarz z rzędami prostych drewnianych krzyży, stojących w wypielęgnowanej trawie otoczonej krużgankami.

– Niedługo ja również dostanę jeden z takich krzyży, Ross. Nie wiem, ile czasu mi jeszcze zostało z łaski Pana Boga. Mam raka, który jest niestety dość awanturniczy, jak twierdzi mój lekarz. Udało mu się dotrzeć niemal do każdego zakątka mojego ciała. Nazwałem go Marco Polo.

Ross uśmiechnął się łagodnie.

– Masz tu jakieś leczenie?

– Nie, nie da się go wyleczyć. Ale to nic nie szkodzi, przeżyłem już swoje. Mam jeszcze jedną misję i wierzę, że Pan Bóg pozwoli mi ją wypełnić.

– Tak mi przykro to słyszeć, wujku.

– Niepotrzebnie. Zmierzam do tego, że jeśli masz coś ważnego, co należy chronić, to ja raczej nie jestem odpowiednią osobą do tej roli.

– Owszem, jesteś. Jeśli możesz mi wyświadczyć tę przysługę... ja również nie wiem, czy długo jeszcze pożyję. Na pewno znajdziesz odpowiedni sposób, by przechować je w ukryciu.

– Jesteś chory, Ross? Nie wyglądasz na chorego.

– Nie, nie jestem chory, ale grozi mi niebezpieczeństwo. Duże niebezpieczeństwo.

– Och! Opowiedz mi o tym.

Ross wskazał kielich i fiolkę.

– Nie chcę cię jeszcze bardziej narażać, na domiar wszystkiego, przez co już przechodzisz.

– Co może zaszkodzić umierającemu człowiekowi, Ross?

Przez dłuższą chwilę stary zakonnik milczał, potem położył na biurku korkociąg, postawił jedną butelkę wina i wyszedł. Wrócił niebawem z dwoma różnymi kieliszkami.

– Dawno nie piłem z nikim alkoholu poza komunią świętą, ale czuję, że to jest odpowiedni moment. Bóg nam obu wybaczy.

– Niestety, ja muszę wracać samochodem do Birmingham.

– W takim razie, jak to się kiedyś mówiło? „Jednego na rozchodne”? To było tak dawno temu.

Kilka minut później stuknęli się kieliszkami.

– Niech Bóg cię ma w swojej opiece – powiedział Angus.

Przed wyjściem Ross opowiedział wujowi całą historię. Uznał, że stary zakonnik powinien wiedzieć, czego ma strzec, wuj zaś odrzekł, że ma pewien pomysł.

Wtorek, 14 marca

Dwie godziny później Ross zjechał z autostrady na stację benzynową, żeby zatankować. Według nawigacji satelitarnej została mu jeszcze godzina i dwadzieścia minut drogi. Wino dawno przestało działać i teraz na gwałt potrzebował łazienki, kopa kofeinowego i czegoś do zjedzenia.

Odjechał od dystrybutora na parking, po czym wszedł do ciasnego, zatłoczonego sklepu stacji benzynowej.

Od opuszczenia klasztoru targały nim mieszane uczucia, kiedy myślał o wuju. Tak trudno było pogodzić tego kruchego, samotnego mężczyznę w skrajnie surowym, choć zaskakująco przestronnym lokum z dawnym rozhukanym hardrockowcem. Poruszyła go do głębi jego wyraźna, szczera wiara. Podobnie jak błoga rozkosz malująca się na twarzy staruszka na widok butelek wina.

Jak to możliwe, żeby taki hedonista jak wuj Angus odciął się od świata, aby wieść samotne życie w nieustannej modlitwie, wyrzekając się wszelkich przyjemności? Czy każdy by tak potrafił, gdyby tylko podnosiła go na duchu wiara? Gdyby była wystarczająco silna?

Jego wuj nie był głupcem. Przypominał wielu inteligentnych ludzi na całym świecie, którzy głęboko wierzyli, a ich wiara pozostawała niezachwiana bez względu na wszystko, co im się przytrafiało. W pewnym sensie można ich uznać za wielkich szczęściarzy.

Przypomniał mu się Harry Cook i współrzędne geograficzne, z których jedne zaprowadziły go do kielicha ukrytego w studni w Glastonbury, drugie do jaskini w Egipcie, gdzie przechowywano ząb. Pomyślał o zamachach na jego życie. O groźbach, które dostawała jego żona.

O ostrzeżeniach Benedicta Carmichaela.

O wiadomości od zmarłego brata.

O planecie, do której tkwił przyklejony grawitacją niczym klejem. Jednej z bilionów lub trylionów w całym wszechświecie. O tej pięknej planecie, gdzie człowiek człowiekowi wilkiem. Tym cudownym, zanieczyszczonym miejscu, rozdieranym codziennie nienawiścią zrodzoną z odmiennych religii lub nawet odmiennych frakcji tej samej religii.

Tyle wyznań różniło się od siebie zaledwie drobiazgami, a niekiedy tylko odcieniami znaczeniowymi przypisywanymi słowom. Wszystkie wierzyły w najwyższego Boga.

Sunnici. Szyici. Rzymscy katolicy. Anglikatolicy. Wolne kościoły. Ewangeliczne ruchy charyzmatyczne i konserwatywne. Armia Zbawienia. Bracia plymuccy. Kwakrzy. Żydzi. Hinduiści. Sikhowie. Lista nie miała końca. Czy te podziały nigdy nie znikną? Dopóki wszystkich ich w końcu nie pokryje radioaktywny pył?

Czy Harry F. Cook naprawdę znalazł coś, co może odmienić ten świat?

Ross przypomniał sobie słowa astronauty, Franka Bormana, który leciał na Apollo 8: „Kiedy człowiek znajdzie się w końcu na Księżycu i popatrzy na Ziemię, wszystkie różnice i wszystkie narodowe cechy się ze sobą mieszają i do głowy przychodzi myśl, że może to naprawdę jest jeden świat i czemu, do diabła, nie możemy się nauczyć żyć razem jak przyzwoici ludzie?”.

To samo poczuł teraz Ross, kiedy rozejrzawszy się, zobaczył wszystkie te znaki handlowe: Burger King, WHSmith, Costa Coffee. A także wszystkich ludzi wchodzących i wychodzących, często zmęczonych daleką podróżą. Ktoś go potrącił i poszedł dalej, nie zwracając na niego uwagi. Minęła go para pchająca wózek spacerowy z malutkim dzieckiem. Za kilka miesięcy to samo czeka jego i Imogen. Na jakim świecie urodzi się jego syn? Zastanawiał się nad tym, wchodząc do restauracji i marszcząc nos od wszechobecnego zapachu smażonych frytek.

Ten świat może nie przetrwać, jeśli coś się radykalnie nie zmieni. A choć brzmi to nieprawdopodobnie, to on może być osobą, która tę zmianę zapoczątkuje. Jest winien swemu nienarodzonemu synowi, by doprowadzić to dziwne zadanie

do końca. W głębi serca wiedział, że jeśli je porzuci, nie będzie mógł spojrzeć swemu synowi w oczy, kiedy ten dorośnie.

Wziął tacę i ruszył wzdłuż bufetu. Minął sałatki i inne zdrowe potrawy. Potrzebował czegoś ciepłego i sycącego, czegoś, co da mu dość energii. Poprosił obsługującego mężczyznę o rybę z frytkami oraz purée z zielonego groszku, a nieco dalej zamówił dużą kawę i wodę mineralną.

Zapłacił, podszedł do następnej lady, wziął nóż i widelec oraz saszetki z ketchupem, solą, pieprzem i octem, nalał sobie mleko do kawy, po czym skierował się z tacą do stolika pod oknem. Przez szybę zobaczył dwie kobiety palące papierosy na siąpiącym deszczu. Wyłożył jedzenie na stół, a tacę wrzucił do pojemnika, po czym usiadł i wziął do ręki saszetkę z ketchupem.

Właśnie miał ją otworzyć, kiedy na puste krzesło obok niego wśliznął się szczupły mężczyzna po czterdziestce z krótkimi, starannie ostrzyżonymi włosami, w rozpiętym trenczu na garniturze. W ręku trzymał papierowy kubek z pokrywką.

Zirytowany tym naruszeniem prywatności w sytuacji, kiedy dookoła było mnóstwo wolnych miejsc, Ross spojrzął nieprzyjaźnie na intruza, lecz ten uśmiechnął się tylko w odpowiedzi, jakby go znał. Miał poważną twarz o wyrazistych rysach, świadczących o silnym charakterze, a na palcu, gdzie zwykle nosi się obrączkę, Ross zauważył sygnet.

Nie miał jednak ochoty na pogawędkę ze znużonymi podróżnymi, więc zaczął się podnosić, by przesiąść się do innego stolika, lecz wtedy mężczyzna odezwał się spokojnym, prawie miękkim głosem.

– Ross Hunter?

– Słucham?

Nieznajomy rozejrzał się szybko, po czym zniżył głos:

– Stuart Ivens z Ministerstwa Obrony. – Dyskretnie uchylił portfel i pokazał legitymację w plastikowej kieszonce. – Przepraszam, że przerywam panu lunch – powiedział grzecznie. – Czy możemy chwilę porozmawiać?

– O czym?

Ross przyjrzał się legitymacji z drobnymi literami, lecz wyraźnie widocznymi literami MI5. Kilka lat temu napisał artykuł o tajemniczej śmierci mężczyzny podejrzanego o pracę dla MI5.

Znaleziono go w londyńskim mieszkaniu, zapakowanego do dużej torby, ubranego w lateks i usztywnioną maskę na twarzy. Wszelkie próby wydobywania informacji od służb bezpieczeństwa napotykały nieprzebrany mur. Nigdy nie udało mu się ustalić, czy mężczyzna zginął przypadkiem w czasie jakiejś perwersyjnej gry, w której coś poszło nie tak, czy też został zamordowany. Ale przecież obecność Stuarta Ivensa nie mogła mieć nic wspólnego z tamtą sprawą, za dużo czasu minęło. Domyślił się, o czym mężczyzna chce z nim rozmawiać, i miał rację.

– Zdaje się, że znał pan niejakiego doktora Harry’ego Cooka – powiedział agent uprzejmie.

– Co pan o nim wie? – spytał podejrzliwie Ross.

– Prawdopodobnie mniej niż pan, panie Hunter – odrzekł Stuart Ivens, podnosząc wieczko z kawy. – Ale wystarczająco, byśmy zaczęli się niepokoić o kwestię bezpieczeństwa narodowego. Jak również pana osobistego.

Ross patrzył na niego bez słowa.

– Przejdźmy od razu do rzeczy. W następstwie spotkania z doktorem Cookiem wszedł pan w posiadanie przedmiotów, które zgodnie z pańską teorią mogą dowieść istnienia Boga, czy mam rację?

– Skąd pan o tym wie?

– W czasach wzmożonej ochrony bezpieczeństwa naszym zadaniem jest wiedzieć takie rzeczy. Może pan to nazwać pełnieniem warty – odparł spokojnie, nie tracąc ani na chwilę uprzejmych, wręcz kurtuazyjnych manier. – Uważa pan, że ma materiał na artykuł, lecz prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy, jakie dalekosiężne konsekwencje mogą z niego wyniknąć. Naraża pan również swoje życie.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Czyżby? – Stuart Ivens obrzucił go badawczym spojrzeniem. – Czy naprawdę zdaje pan sobie sprawę ze wszystkich następstw, jakie mogą wyniknąć, jeśli to, co pan posiada, okaże się prawdziwe? A nawet jeśli przedmioty te nie są autentyczne, a pan dorobi do tego wiarygodną historię, może pan wywołać niepokoje społeczne o nieprzewidywalnych skutkach, zarówno w kraju, jak i za granicą.

Ross spojrział na niego wymownie.

– Co takiego pana zdaniem posiadam?

– Rzeczy, które mogłyby udowodnić istnienie Boga, panie Hunter.

– Nie mam takiego dowodu, przynajmniej na razie – odrzekł Ross, chociaż czuł się coraz bardziej nieswojo. – I nadal mi do niego daleko. O ile w ogóle coś takiego jest możliwe do udowodnienia. A nawet gdybym potrafił tego dowieść, to czy świat by mi uwierzył? Bardzo możliwe, że szukam wiatru w polu. Zamierzacie mnie aresztować? Zamkniecie mnie i będziecie torturować?

Ivens uśmiechnął się ledwo zauważalnie.

– Absolutnie nie. Nie przyszedłem tu również po to, żeby pana straszyć. Jest pan szanowanym dziennikarzem, wie pan tak samo dobrze jak wszyscy inni, jak delikatnym tematem są dzisiaj w naszym kraju kwestie religijne. Podobnie jak w innych rejonach świata.

– Więc chce pan, żebym o wszystkim zapomniał?

– Nie przyszedłem tu, by pana o to prosić. Chciałbym tylko, żeby pomyślał pan o odpowiedzialności, jaka spoczywa w pańskich rękach. O konsekwencjach wszystkiego, co pan poda do publicznej wiadomości.

Ross spojrział na niego uważnie. Cała ta sytuacja wydawała się surrealistyczna.

– Będę musiał się nad tym zastanowić i porozmawiać ze swoim wydawcą. Nie mogę niczego obiecać.

Ivens spokojnie podmuchał kawę i upił łyk.

Czy to się dzieje naprawdę? Czy naprawdę siedzi w przydrożnym barze i rozmawia ze szpiegiem?

– Jest pan bardzo inteligentnym człowiekiem, panie Hunter. Ile zna pan na świecie miejsc, gdzie ludzie wierzą w Boga? A także takich, gdzie ta wiara rozdziera kraj na strzępy i dzieje się tak od dziesiątków lat? Belfast, Jemen, Iran, Irak, Nigeria? Jak daleko w czasie trzeba się cofać? – Ivens znowu napił się kawy. – Czy doktor Cook powiedział panu, czyjego Boga istnienie ma pan udowodnić?

– Nie – odparł Ross po dłuższej chwili.

Czuł się niepokojąco brutalnie sprowadzony na ziemię.

– No właśnie. Każdy odłam każdej religii ma swoją własną interpretację. – Ivens wyciągnął wizytówkę i podsunął Rossowi.

– Jest pan wpływowym dziennikarzem i prasa angielska wydrukuję prawie wszystko, co pan napisze. Podejmował pan już wiele trudnych tematów, w tym również krytykował rząd za stan sprzętu wojskowego w Afganistanie.

– Zasłużyli na to.

– Nie mogę tego skomentować – odparł jego rozmówca z dziwnym uśmiechem.

– Czy mam to odebrać jako potwierdzenie?

Ivens znów się uśmiechnął.

– Nie zagłębiajmy się zanadto w ten temat. Powiem tylko, że szanuję pańską odwagę. Tym razem jednak mamy do czynienia z czymś innym. Proszę się nad tym zastanowić. Nie chcę rzucać fałszywych oskarżeń, ale może nie całkiem zdaje pan sobie sprawę z tego, jak bardzo ta historia może pana przerosnąć. Światem religii nie rządzi rozsądek, nigdy nie rządził. W tym kraju, tak samo jak na wszystkich innych kontynentach, istnieją podziały religijne o skali dotąd niespotykanej. Jak pan zapewne wie, zagrażają one naszemu bezpieczeństwu narodowemu. Może się panu wydaje, że gdyby ktoś zdołał udowodnić istnienie Boga, przywróciłby na świecie ład i równowagę. Proszę się zatem zastanowić nad odwrotną możliwością. Tylko tyle chcę panu powiedzieć. Gdyby chciał pan przedyskutować ze mną tę sprawę, ma pan na wizytówce mój telefon. Może pan dzwonić o dowolnej godzinie dnia i nocy.

Wręczył mu wizytówkę, wstał, wziął swój kubek i uśmiechnął się trochę cierpko.

– Przepraszam, że zakłóciłem panu posiłek. – Odwrócił się i już miał wyjść, lecz zatrzymał się jeszcze i odwrócił. – Przy okazji, jeszcze jedna drobna sugestia. Nie radzę zostawiać plecaków na podłodze kawiarni, zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

Wtorek, 14 marca

Po wyjściu bratanka brat Angus poczuł głęboki smutek na myśl, że prawdopodobnie nie pożyje już dość długo, by go jeszcze kiedyś zobaczyć. Poczuł też ciężar odpowiedzialności, patrząc na drewniany kielich i szklaną fiolkę z płynem.

Zaniósł obydwie przedmioty do swojej kapliczki, zamknął oczy, uklęknął i zaczął się modlić do Boga o siłę, aby mógł je chronić, tak jak go poprosił Ross. Modlił się również za niego.

Przypomniawszy sobie jego słowa. *Może powinienem raczej pozostawić to Bogu. Niech On ci powie.* Może Bóg wyjaśni mu, co powinien zrobić.

W ciągu kolejnej godziny jednak Bóg niczego więcej mu nie powiedział.

Miał przeczucie, a raczej mgliste i niejasne wrażenie, że odwiedziny Rossa i przedmioty, które ze sobą przywiózł, miały związek z wątpliwościami, jakie go ostatnio dręczyły, oraz jego troską o losy świata.

Czuł przytłaczającą odpowiedzialność wobec bratanka, by chronić te dwa przedmioty. Owszem, mógł poprosić, by pochowano je razem z nim. Lecz zdawał sobie również sprawę z opłakanej sytuacji finansowej klasztoru. Dwudziestu trzech zakonników, łącznie z nim, w budynku wzniesionym dla dwustu mnichów. Za kilka lat klasztor może zostać sprzedany, przerobiony na klub z hotelem i polem golfowym. Angus wiedział, jakie prawa rządzą na świecie. Deweloper nie będzie się przejmował grobami na cmentarzu.

Musi zrobić coś, żeby uszanować wolę bratanka i zapewnić drogocennym przedmiotom bezpieczne miejsce, gdzie mogłyby spoczywać na wieczność.

Czy to właśnie Bóg teraz do niego przemawia? Czy to jego własny zdrowy rozsądek?

Pomysł, który przyszedł mu wcześniej do głowy, zaczął puszczać korzenie. Jedyna osoba, którą znał, której mógł zaufać i która mieszkała w najbezpieczniejszym miejscu, jakie można było sobie wyobrazić. Włożył przedmioty do szafki koło łóżka. Im więcej o tym rozmyślał, tym bardziej mu się ten pomysł podobał.

Pójdzie i poprosi przeora. Jeśli się nie zgodzi, trudno.
Ale Bóg na pewno nim pokieruje, aby się zgodził.

Wtorek, 14 marca

Zielona linia na mapie nawigacji satelitarnej prowadziła go po labiryncie niekończących się ślimaków, nazywanym powszechnie Rozjazdem Spaghetti. Czy było to najbrzydsze i najbardziej pogmatwane skrzyżowanie, jakie kiedykolwiek zbudowano? Chyba gdzieś w głębi duszy urbaniście, który je zaprojektował, musiało przyświecać jakieś poczucie przyzwoitości i wspólnoty ludzkiej, chociaż efekt zdawał się temu przeczyć.

Mapa znikła, a zastąpiła ją gruba biała linia tworząca pętle i wskazująca wstecz. Towarzyszył jej tubalny, kobiecy głos, nakazujący mu, by zawrócił.

Jasne, super.

– Jestem na pieprzonej autostradzie, jak mam zawrócić? – fuknął do niej w odpowiedzi.

Był wykończony podróżą, spotkaniem z grzecznym agentem MI5, a humoru nie poprawiał mu bębniący deszcz.

Zadzwoił jego telefon. Włączył tryb głośnomówiący.

– Ross? – spytała Imogen.

W jej głosie słychać było niepokój.

– Cześć! Co u ciebie?

– Gdzie jesteś?

– Gdzieś przed Birmingham, hoduję sobie cholerne odparzenia na tyłku od siedzenia w samochodzie. Co się dzieje?

Na ekranie z powrotem pojawiła się mapa i strzałka pokazująca zbliżający się zjazd. Kobięcy głos instruował go, by skręcił w lewo przy najbliższej okazji. Posłusznie zrobił, co mu kazano, po czym zorientował się, że jedzie w przeciwnym kierunku do pożądanego – trasą M6 na południe. Tam, skąd właśnie wracał. Niech to szlag.

– Miałam wizytę w redakcji – oznajmiła Imogen.

Czyżby i ją odwiedził Stuart Ivens z MI5?

– Czyją wizytę? Czego chcieli?

Ross wypatrywał przez szybę jakiegoś znaku informującego o najbliższym skręcie.

– Był u mnie niejaki *monsignor* Giuseppe Silvestri, czy coś w tym rodzaju. Przyjechał samochodem z własnym szoferem i twierdził, że jest przedstawicielem Watykanu. Powiedział, że chce ze mną porozmawiać na osobności, więc zaprowadziłam go do sali konferencyjnej.

– I co?

– Oświadczył, że jeśli przedmioty, które znalazłeś, są prawdziwe, to oni chcieliby je kupić. Bardzo nalegał, żebyś wyznaczył cenę.

– Watykan?

– Ross, zrób to, o co proszą. Sprawdź, co proponują, a potem będziemy mogli się wycofać i mieć całą tę aferę z głowy.

– Mam wyznaczyć cenę?

– Tak! Sądzę, że zapłaciliby duże pieniądze... bardzo duże.

– Posłuchaj, Imo, ja nie mam...

– Ross – przerwała mu błagalnym tonem. – Proszę, posłuchaj mnie. Nie wiem, w co się wplątaliśmy, ale odchodzę od zmysłów ze strachu. Jesteś świetnym, inteligentnym reporterem, ale ta historia jest zbyt niebezpieczna. Przynajmniej się z nim jutro spotkaj i wysłuchaj, co ma do powiedzenia.

– Najpierw spotkam się z notariuszem w Birmingham, potem zobaczymy, dobrze?

Zbliżał się zjazd.

– Ross, ja nie wiem, czy chcę dłużej mieć z tym do czynienia.

– Imo, zadzwonię do ciebie zaraz po spotkaniu z Anholtem-Sperrym, dobrze? Muszę się skupić na drodze.

– Dobrze – powiedziała ponuro. – Zadzwon, jak tylko będziesz mógł. O której wrócisz do domu?

– Myślę, że koło siódmej.

– To będziesz przede mną. Wyjdź z Montym na spacer. Ja wrócę po dziesiątej. Umówiłam się na kolację z koleżanką ze szkoły. Przyjeżdża tu na konferencję.

– Kto taki?

– Jennie Elkington. Nie widziałam się z nią od liceum.

– To super, baw się dobrze – powiedział.

Nigdy przedtem nie słyszał tego nazwiska i choć bardzo się starał, nie udało mu się wyrzucić z głowy dręczących wątpliwości. Pytania, z kim naprawdę spotyka się jego żona.

Od kilku miesięcy zachowywała się jakoś inaczej, w sposób, który przywoływał wspomnienia tamtej zdrady. Po jakimś czasie przyznała się, że romans ciągnął się od kilku miesięcy, i kiedy później się nad tym zastanawiał, a robił to wiele razy, przypominał sobie charakterystyczne oznaki jeszcze przed wyjazdem do Afganistanu, na które nie zwracał wówczas uwagi. Te same sygnały zaczął dostrzegać teraz, mimo że była w ciąży.

A może miał przywidzenia?

73

Wtorek, 14 marca

Dwadzieścia pięć minut później zaparkował niedaleko biura Anholt-Sperry Brine. Wysiadł z samochodu i ruszył chodnikiem w stronę wejścia do budynku. Pochylając głowę przed deszczem, minął ducati z dwoma kuframi, po czym wbiegł po schodach do drzwi i nacisnął domofon.

Prawie od razu rozległo się głośne kliknięcie i Ross pchnął ciężkie, czarne skrzydło. W tej samej chwili ze środka wyszedł jakiś człowiek, który wyglądał na kuriera, w czarnej skórze i kasku z opuszczoną szybką zasłaniającą twarz. Przepchnął się obok niego bezceremonialnie i bez słowa przeprosin.

Jakaś dziwna, niewidzialna siła pociągnęła Rossa w kierunku tego mężczyzny niczym niewidoczna ręka. Miał wrażenie, jakby medalik, który dostał dawno temu od Imogen, z wizerunkiem świętego Krzysztofa, ciągnął go za przód koszuli. Trwało to krótką chwilę, więc może mu się tylko zdawało?

W recepcji panował prawdziwy tłok, wszystkie krzesła były zajęte, niczym w poczekalni u lekarza: kilkuosobowa rodzina Hindusów siedziała zbita w grupkę i z ożywieniem o czymś dyskutowała; dwoje ponurych młodych ludzi trzymało się za ręce i patrzyło przed siebie pustym wzrokiem; nerwowy mężczyzna po pięćdziesiątce ukradkiem pociągał papierosa elektronicznego; kobieta w burce trzymała na rękach płaczące niemowlę.

Za wysokim drewnianym kontuarem siedziała ta sama wiedźma, którą Ross pamiętał z poprzedniej wizyty. Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

– Słucham?

– Jestem umówiony z panem Anholtem-Sperrym.

Kobieta przewertowała kalendarz wizyt.

– O trzeciej?

– Tak.

– Mamy tu okropny bałagan. Nie zjawiała się sekretarka pana mecenasa. Przed chwilą wyszedł jego poprzedni klient. – Wcisnęła interkom i potrząsnęła głową, a jej twarz nieco złagodniała. – On i tak nie ma pojęcia, jak to obsługiwać. Niech pan po prostu pójdzie na górę. Zna pan drogę.

– Tak.

Wszedł po wąskich, rozchwianych schodach, po czym zapukał do drzwi po prawej stronie.

Nikt nie odpowiedział.

Zapukał ponownie, tym razem mocniej, i czekał. Nadal nikt się nie odzywał, więc powoli uchylił drzwi. Zobaczył ten sam zagracony gabinet, który pamiętał z poprzedniej wizyty, ze stertami papierów i książek zalegającymi na podłodze i biurku.

Robert Anholt-Sperry siedział na krześle wyprostowany, z dłońmi na skórzanym blacie. Ross rozpoznał grube fałdy obwisłej twarzy, dołki na podbródku i przerzedzone włosy zaczesane na łysinę. Tak samo jak poprzednim razem, miał na sobie postrzępioną koszulę w kratę i niestarannie zawiązany krawat Harrow School. Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem z wyrazem oszołomienia na obliczu.

– Och, przepraszam, że tak wtargnąłem. Recepcjonistka kazała mi wejść.

Notariusz nie zareagował. Siedział bez ruchu, nie mrugając oczami.

– Panie mecenasie...

Zrobił krok do przodu i dopiero wtedy zobaczył, że mężczyzna nie oddycha.

Poczuł, jakby wyszedł na siarczysty mróz i ktoś zamknął za nim drzwi. Zbiegł po schodach do recepcji.

Kiedy brat Angus wszedł do gabinetu przeora, przystanął i rozejrzał się z nabożnym podziwem. W ciągu tych wszystkich długich lat, kiedy mieszkał w klasztorze, ani razu nie postawił nogi w tym pokoju. Patrzył na półki z książkami, na wygodne krzesła obite skórą, na komputer, drukarkę i telewizor wiszący na ścianie.

Pokój przypominał bardziej gabinet dyrektora generalnego międzynarodowej korporacji niż przełożonego dwudziestu trzech mnichów. Przypomniał Angusowi wszystko, co zostawił za sobą, kiedy wstąpił do świętego zakonu. Ale uświadomił mu również, że za żadną z tych rzeczy nie tęskni.

Dzięki prostocie swego kontemplacyjnego życia, a ściślej mówiąc, swojego drugiego życia po latach burzliwej młodości, zyskał spokój i zadowolenie, jakich ani razu nie zaznał, grając w zespole, sypiając z fankami i zarabiając absurdalne sumy. W tamtych czasach myśl o śmierci napawała go przerażeniem. Wszystko się zmieniło w dniu, kiedy wstąpił do klasztornej społeczności góry Athos i odkrył w sobie wiarę, która jeszcze się umocniła, gdy po śmierci matki zamieszkał w kartuzji.

Koniec z lękiem. Koniec z niepokojem. Koniec z odpowiedzialnością i obowiązkami, poza codzienną modlitwą za świat. Wkrótce jego ciało również spocznie w ziemi, tak jak jego matki. Pusta łupina. Jego duch, jego dusza pragną wyższych celów.

– Już raz dzisiaj zakłócono twoją milczącą kontemplację, bracie Angusie – zauważył przeor swym głębokim, niezwykle ujmującym głosem. – Proszę, usiądź przy moim biurku. Wykonaj swój telefon. Coś się wydarzyło w twoim życiu, mam rację?

– Tak, coś się wydarzyło, ojcie.

Angus usiadł, wdzięczny, że może oszczędzić nieco sił.

– Ja również to czuję. Bóg powiedział mi dzisiaj podczas porannej modlitwy, że otrzymałeś niezwykle ważne zadanie. Ważne dla nas wszystkich. Czy mam rację?

– Tak mi się wydaje, ojcie Raphaelu.

Obaj mężczyźni przez dłuższy czas milczeli. Przeor znał zasady prywatności obowiązujące w tym miejscu i nie próbował naciskać.

– Bracie Angusie, moje drzwi zawsze stoją otworem. Zostawię cię samego, byś mógł wykonać swój telefon. Gdybyś chciał kiedyś porozmawiać, proszę, przyjdź do mnie. Nie czekaj, aż będzie za późno. Czy możesz mnie o tym zapewnić?

– Tak, ojcie. Mogę cię o tym zapewnić.

Przeor wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Brat Angus patrzył na nowoczesną słuchawkę stojącą na bazie. Dużo czasu minęło, od kiedy ostatnio używał telefonu. Rozwinął zwitek papieru, który trzymał w ręku, wyprostował go na biurku, po czym wziął do ręki słuchawkę i z drżącym sercem wybrał zamorski numer.

Przez długi czas w głośniku panowała cisza. Może telefon był nieaktualny?

W końcu usłyszał jeden sygnał. Potem drugi, trzeci. Wreszcie na linii rozległo się pstryknięcie, a po nim odezwał się burkliwy, podejrzliwy głos. W ciągu lat spędzonych w Simonopetrze na Świętej Górze Athos Angus musiał się nauczyć podstaw języka greckiego, by porozumiewać się z zakonnikami, którzy tam mieszkali.

– Dzień dobry, mówi brat Angus – oznajmił po grecku. – Byłem kiedyś rezydentem klasztoru. Chciałbym rozmawiać ze swoim kuzynem, bratem Pete’em, w bardzo pilnej sprawie. Czy on nadal u was mieszka?

Głos w słuchawce nie stracił ani odrobiny podejrzliwości i szorstkości, jakby się złościł, że dzwoniący tak się narzuca. Poinformował Angusa, że brat Pete w istocie nadal mieszka w klasztorze i pełni funkcję opiekuna gości.

– To bardzo ważna sprawa – zapewnił Angus. – Zrządzona przez Boga.

Po długim milczeniu zakonnik po drugiej stronie oznajmił:

– Może brat zadzwonić wieczorem, za dziesięć siódma, po naszym wieczornym posiłku. Poinformuję brata Pete'a, że ma pozwolenie, aby z bratem porozmawiać. Jeśli wyrazi takie życzenie.

Angus podziękował mu niezwykle wylewnie.

75

Wtorek, 14 marca

Pastor Wesley Wenceslas siedział z Lancelotem Pope'em w apartamencie hotelu w Leeds i oglądał ostateczną wersję cotygodniowego nagrania dla swojego kanału na YouTube, Duszpasterstwo Wesleya Wenceslasa TV. Pastor pił kruga, którego butelka stała w wiaderku z lodem, Pope zaś sączył whisky. Na stole leżały resztki po hamburgerach, które jedli na kolację.

Nagranie z podkładem muzyki soulowej pokazywało Wenceslasa ze starannie ułożonymi, przedwcześnie posiwiałymi włosami, elegancko ubranego w czarny garnitur od Armaniego ze stójką w stylu chińskim, czarną koszulą i białą koloratką. Trzymał w ręku mikrofon i przechadzał się przed zgromadzeniem prawie dwóch tysięcy wiernych, którzy zapełniali jego kościół w Leeds. Co jakiś czas w nagraniu pojawiała się zbliżenie starannie wybranych twarzy, które wyświetlano również na ogromnym ekranie za jego plecami – twarze ludzi różnych ras, wieku i płci, śpiewających hymny, modlących się lub słuchających z ekstazą malującą się na obliczu.

– Bo rzekł Pan: nie wzywaj imienia Pana Boga twego nadaremno. I rzekł Pan: kochaj pieniądze, ależ tak! Ponieważ w Pierwszym Liście do Tymoteusza w rozdziale szóstym w wersecie dziesiątym mówi nam, że chciwość pieniędzy jest korzeniem wszelkiego zła, lecz... słuchajcie dobrze! Jeśli pieniądze Pana zostaną na powrót zasiane w służbie duszpasterskiej, nasz Pan, ponieważ nikomu nie pozostaje dłużnikiem, przyrzekł nam w Ewangelii świętego Marka, rozdział dziesiąty, wers trzydziesty, że otrzymamy od niego stokroć więcej niż to, co kładziemy na tacę.

Przez długą chwilę pastor na ekranie krążył w milczeniu, by dać swoim wiernym czas na przyswojenie tej niezmiernie ważnej informacji. Potem podjął na nowo:

– Małżeństwo jest ustanowione przez Boga i pozwala tylko na święte zjednoczenie seksualne między mężczyzną i jego żoną. Każdy inny związek seksualny, rzekł Bóg, jest plugastwem.

Znów przeszedł kilka kroków w milczeniu, po czym zwrócił się przodem do zgromadzonych, żeby spojrzeć im w oczy, rzucić wyzwanie i napomnieć wszystkich obecnych w kościele.

– Weźcie się za ręce! – powiedział. – Chcecie tego? Zróbcie to w imię Jezusa Chrystusa. Chwała Pańska spłynie na nas dziś wieczorem wielkimi falami. Przyjmijcie ją! Przyjmijcie ją. – Zaczął śpiewać: – Alleluja! Alleluja!

Tłum poszedł za jego przykładem jak jeden mąż.

– Kto dzisiaj pragnie namaszczenia? – spytał.

Z tłumu wystąpił mężczyzna w średnim wieku, w niebieskim garniturze. To samo dyskretnie zrobiło dwóch ochroniarzy Wenceslasa. Jeden stanął tuż za mężczyzną.

– Jak się nazywasz?

– Brian.

– Czy jesteś gotowy złączyć się dzisiaj z Jezusem, Brianie?

Mężczyzna skinął pokornie głową.

Poruszając dłońmi nad głową Briana, Wenceslas powiedział:

– Brianie, to co uczyni teraz tobie Bóg, pozostanie z tobą do końca życia. O Jezu Przenajświętszy, uczyni sobie z nas swoją świątynię! – Klepnął mężczyznę w obydwie ramiona, ten zaś pochylił się jeszcze bardziej. – Pan przemawia do mnie, Brianie! Jego słowa są bezcenne! Pokładaj wiarę w Duchu Świętym, albowiem jest tu z nami dziś wieczorem.

Wenceslas odwrócił się przodem do ołtarza, ozdobionego bogato kwiatami i kryształami, oświetlonego fluorescencyjnymi odcieniami błękitu i zieleni. Z boku stała piętnastoosobowa orkiestra. Pastor pstrykał palcami.

– Jezu Przenajświętszy, uczyni nas swoją świątynią!

Odwrócił się do mężczyzny i ponownie klepnął go w oba ramiona.

– Czy jesteś gotowy na przyjęcie Jezusa Chrystusa? To, co mówi do mnie Pan, jest bezcenne. – Stłumił szloch. – Tak,

bezcenne.

Mężczyzna ze złożonymi dłońmi przewrócił się na podłogę i leżał bez ruchu.

– To, co Bóg czyni teraz z Brianem, jest bezcenne! – ciągnął Wenceslas z egzaltacją.

Chodził w kółko, ocierając łzy wierzchem dłoni i pociągając nosem. Wyciągnął chusteczkę i wytarł oczy. Znów pociągnął nosem. Potem zwrócił się do wiernych:

– Wzniescie dłonie i módlcie się. Proszę! Czasem układamy plany, lecz Bóg je zmienia. Wzniescie wszyscy dłonie i módlcie się do Ducha Świętego. Bóg jeszcze nie skończył. Dzisiejszego wieczoru Bóg zbawił Briana, ale czy może zbawić was wszystkich? Tylko tych, którzy chcą być zbawieni. Tym, którzy chcą być zbawieni, Bóg i Jezus, i Duch Święty każą wystąpić, lecz najpierw mnie posłuchajcie! Możliwe, że żyje już wśród nas Wielka Bestia, Antychryst, i tak jak mówi Biblia, przebiera się za Zbawiciela. Muszę stoczyć z nim walkę, za Briana, za was wszystkich, za całą ludzkość. Kto z was pomoże mi zdemaskować Bestię?

Wyciągnął palec w kierunku tłumu, gdzie rozległy się żarliwe okrzyki „Ja! Ja! Ja!”.

– Mateusz w rozdziale dwudziestym czwartym, wersie dwudziestym czwartym, mówi nam: „Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy i działać będą wielkie znaki i cuda, by w błąd wprowadzić, jeśli to możliwe, także wybranych”. – Rozpostarł ramiona. – To właśnie wy wszyscy. Wybrani. Lecz ja wiem, że mogę wam zaufać, albowiem jesteście Wojownikami Chrystusa! Kiedy wrócicie do domu, przyślijcie mi maila ze świętym wizerunkiem i czek na dwadzieścia pięć funtów, a ja będę się nad nim modlił, a potem odeślę go wam, a wy zachowacie go na zawsze, będzie to wasza tarcza żołnierska. Nie zapomnijcie o mojej posłudze „Datek za modlitwę”. Każdy zebrany grosz płynie na utrzymanie tej duszpasterskiej służby. Pamiętajcie: każde ziarno, które padnie na to duszpasterskie posłannictwo, wyda plony boskiego błogosławieństwa.

Na ekranie za jego plecami pojawiła się wiadomość oraz numer telefonu: DATEK ZA MODLITWĘ. PRZYJMujemy WSZYSTKIE WAŻNE KARTY KREDYTOWE.

– A teraz módlmy się za naszego Pana i obrońcę!

Kiedy nagranie dobiegło końca, Pope spojrział na swego szefa.

– Dobry występ. Jak myślisz?

– Niezły – odparł Wenceslas, nadal zły na swojego dyrektora generalnego za fałszywe relikwie, które mu przyniósł. – Wiesz, co naprawdę myślę?

– Zamieniam się w słuch, o Wielki Mistrzu.

– Myślę, że zasłużyłem na jakieś atrakcyjne towarzystwo dziś wieczorem.

– W takim razie wszystko wskazuje na Boską Opatrzność! Mam właśnie dwie śliczne młode damy czekające w pokoju dwa piętra nad nami.

Po raz pierwszy tego dnia pastor Wenceslas się uśmiechnął. Potem zmarszczył podejrzliwie czoło.

– Na pewno nie wiedzą, kim jestem?

– Oczywiście, że wiedzą. Nazywasz się Maurice Winters i jesteś bogatym deweloperem z Londynu, który przyjechał do Leeds, szukając okazji dla rozwoju swojego biznesu.

– Chwała Bogu! Myślę, że dobrze pracujesz na swoje odkupienie, Wszechuśmiech.

– Jesteś bardzo niegrzecznym chłopcem, szefie – odwdzieczył się Pope i sięgnął po jedyny cytat z Biblii, który znał na pamięć i którego lubił używać, by dopiec swojemu chlebobdawcy. – Księga Objawienia mówi: „Potem przyszedł jeden z siedmiu aniołów, mających siedem czasz, i tak odezwał się do mnie: »Chodź, ukazę ci wyrok na Wielką Nierządnicę, która siedzi nad wielu wodami, z którą nierządu się dopuścili królowie ziemi, a mieszkańcy ziemi się upili winem jej nierządu«”.

– Wsadź go sobie.

– Taki mam właśnie plan na dzisiejszy wieczór. – Uśmiechnął się Pope i wzniósł do nieba rozmarzone oczy. – Każdemu wedle potrzeb.

Wtorek, 14 marca

Silnik ducati bulgotał na jałowym biegu, podczas gdy zdrożony motocyklista pochylił się i wcisnął guzik na panelu przy wysokiej białej bramie domu na Richmond Hill w południowo-zachodnim Londynie. Wiedział, że właśnie mierzy do niego oko kamery, więc podniósł osłonę kasku.

– Halo? – odezwał się kobiecy głos.

– Dostawa – odpowiedział motocyklista, starając się zatuszować swój amerykański akcent, w czym na szczęście pomagał mu kask, który tłumił nieco głos.

Otworzyła się brama. Żwir. Widok żwiru jeszcze bardziej pogorszył już i tak paskudny humor Wielkiego Tony’ego. Nie znosił żwiru. Dwie godziny tkwił na M40, ponieważ jakiś kretyń wywrócił przyczepę kempingową i policja całkowicie zamknęła drogę. Wjechał powoli na podjazd, szeroko wystawiając nogi na wypadek, gdyby koła zaryły w miękkim podłożu i stracił kontrolę nad maszyną. Kiedy dojeżdżał do wielkiej, nowoczesnej rezydencji z czerwonej cegły, przed budynkiem zapaliły się światła.

Zsiadł przed wejściem, zgasił silnik i postawił motocykl na stopce. Upewnił się, że stoi stabilnie, i dopiero wtedy odszedł. Dbał o swoje maszyny. Sprawdził jeszcze, czy fałszywa angielska tablica rejestracyjna dokładnie zasłania prawdziwą, z numerami Monako, i wszedł po schodach, by zadzwonić do drzwi.

Oświetlił go kolejny snop światła z kamery.

Ze środka dobiegło zajadłe szczekanie, a po chwili w drzwiach stanęła rudowłosa kobieta po czterdziestce w dresie i trampkach.

– Pan z dostawą? – spytała głosem, który w uszach Wielkiego Tony’ego zabrzmiał jak wytworny angielski akcent.

Gdzieś w pobliżu cały czas ujadł pies.

– Dla pana Browna – odparł. – Najpierw mam coś odebrać.

– Zdaje się, że mój mąż spodziewał się pana trochę wcześniej.

– Tak? To powinien oczyścić dla mnie drogi.

– Prowadzi teraz konferencję telefoniczną. Czy mogę podpisać odbiór za niego? Co takiego miał pan zabrać?

– Muszę się zobaczyć z pani mężem, ale nie mam w zwyczaju czekać na ludzi, którzy wiszą na telefonach, paniusiu – mówiąc to, Wielki Tony dał upust swemu amerykańskiemu akcentowi. – Widocznie to, co przywiozłem, nie jest dla niego ważne. – Zszedł ze schodów, po czym odwrócił się. – Proszę powiedzieć panu Brownowi, że wpadł Wielki Tony. Będzie wiedział, jak mnie znaleźć.

– Chwileczkę! – zawołała. – Właśnie idzie... zaraz, powiedział pan „Brown”? Musiał pan pomylić...

Wielki Tony zobaczył wychodzącego przez drzwi wysokiego, tyczkowatego mężczyznę, którego znał jako pana Browna, w spodniach od garnituru, koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i czerwonymi szelkami, kapciach z monogramem i okularach w czerwonej oprawce.

– Tony! Cześć. Przepraszam, że kazałem ci czekać. Miałaś złą podróż?

Tony odwrócił się do niego tyłem i przerzucił nogę przez siodło motocykla. Brown pobiegł za nim.

– Masz to? Masz pendrive’a?

– Tak. Myślałem, że go chcesz. Sporo mnie kosztowało, żeby go zdobyć, ale jak widzę, nie potrzebujesz go aż tak pilnie. Chyba go zabiorę, wyznaczę ci cenę za przechowanie, a ty dasz mi znać, kiedy po niego przyjedziesz.

– Nie, proszę, naprawdę tego potrzebujemy.

– Więc może powinienem podbić stawkę?

– Mam dla ciebie pieniądze. Wyjąłem je z sejfu, są w moim gabinecie. Poczekaj minutkę.

– Powiedziałem już tej pani, że ja nigdy na nikogo nie czekam. Dam ci dokładnie jedną minutę.

Odwinął rękawiczkę, żeby popatrzeć na zegarek.

Mężczyzna rzucił się do schodów, potknął się, przewrócił, czerwone okulary upadły na ziemię. Kiedy wstał i nałożył je z powrotem, uśmiechnięty Tony zobaczył na jego policzku krew. Nie lubił tego człowieka, ani trochę. Miał do czynienia z wieloma złymi ludźmi, podobnymi do niego, ale ten mężczyzna, który utykał teraz w głąb swojego domu, sprawiał wrażenie, jakby przez całe lata marynował się w esencji zła, jakby wchłaniał je w siebie każdym porem skóry.

Tony sprawdził zegarek. Minęło pięćdziesiąt pięć sekund. Pięćdziesiąt osiem. Sześćdziesiąt.

Nacisnął stacyjkę, stoczył motocykl ze stopki, wrzucił bieg i rozpryskując spod koła fontannę żwiru, dodał gazu i popędził w kierunku otwartej bramy. Nie zważał nawet, że na zdradliwej nawierzchni maszyną rzuca wściekle na boki.

Wtorek, 14 marca

Ross wracał do domu zmęczony, głodny i wstrząśnięty. Jechał na południe autostradą M40, było ciemno, deszcz ani na moment nie ustawał, a na domiar złego zbierała się gęsta mgła, która jeszcze bardziej spowalniała ruch na drodze. Żeby poprawić sobie nastrój, włączył swoją ulubioną playlistę Glena Campbella. Właśnie leciał *Rhinestone Cowboy*.

Już nie przeszkadza mi deszcz... Wystarczy jeden uśmiech, by ukryć cały ból.

Przykro mi, Glen, pomyślał. Mnie przeszkadza deszcz i nie potrafię się uśmiechać.

W dodatku jego żona nie odbierała telefonu ani nie oddzwaniała. Nagrał jej już dwie wiadomości głosowe i wysłał SMS.

Wyprzedził ciężarówkę, na chwilę oślepił go rozbryzg wody spod kół, potem wycieraczki oczyściły szybę i zobaczył w pewnej odległości tylne światła jakiegoś samochodu.

Jechał dalej, zachowując bezpieczną odległość. Zaczął rozmyślać o tym, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwóch godzin.

Recepcjonistka zadzwoniła na pogotowie, a także na policję – z powodu podejrzanego pośpiechu, z jakim wybiegł z kancelarii poprzedni klient. Ross czekał. Potem poszedł na górę razem z nią i dwoma ratownikami z pogotowia. Obserwował z progu przebieg reanimacji. Kobieta stała wstrząśnięta i nie mogła powstrzymać szlochu.

Podczas zamieszania Rossowi udało się niepostrzeżenie wśliznąć za biurko i przeczytać nazwiska na skoroszytach z dokumentacją, które leżały na wierzchu. Prawie natychmiast

dostrzegł zieloną teczkę zawierającą jego akta. Upewnił się, że nikt nie patrzy, i zajrzał do środka. Teczka była pusta.

Po dziesięciu minutach ratownicy zaprzestali prób i stwierdzili zgon. Na ciele notariusza nie było widać żadnych śladów przemocy, orzekli więc wstępnie, że przyczyną śmierci był rozległy zawał serca lub wylew.

Chociaż badanie zdawało się wskazywać, że notariusz zmarł z przyczyn naturalnych, poprzedni klient Roberta Anholta-Sperry'ego wzbudził podejrzenia policji. Jak również Rossa, chociaż zachował to dla siebie. Czy notariusz zmarł, kiedy był u niego motocyklista w skórzanym stroju? Jeśli tak, to czemu nie przybiegł do recepcjonistki, żeby jej o tym powiedzieć? Okazało się, że trudno ustalić nawet jego tożsamość.

Umówił spotkanie z notariuszem na nazwisko Terence Dunn jako nowy klient, rzekomo pragnący zasięgnąć porady prawnej w związku z niejasnościami w sprawie spadku. Szybka kontrola policji wykazała, że numer, który podał, należał do telefonu na kartę, a kiedy na niego zadzwonili, nikt nie odpowiedział.

Ponieważ Ross znalazł zwłoki notariusza, a w dodatku widział mężczyznę wychodzącego z budynku, zgodził się pojechać z policjantami do komisariatu jako świadek i złożyć zeznanie.

Siedział właśnie w poczekalni i zastanawiał się, co im powiedzieć, kiedy podszedł do niego elegancko ubrany mężczyzna pod czterdziestkę.

– Witam pana ponownie, panie Hunter. Nadinspektor Martin Starr z wydziału zabójstw komendy w Birmingham. Widzę, że wchodzi panu w nawyk przyjeżdżanie na spotkania z nieboszczykami.

Starr dołożył wszelkich starań, żeby zapewnić Rossa, że nie jest aresztowany ani podejrzany. Chciał tylko, żeby Ross opowiedział mu wszystko, co pamięta. Nadinspektorowi towarzyszyła pani konstabl Maria Stevens, która najwyraźniej była innego zdania i traktowała go bardziej jak podejzranego niż jak świadka.

W pierwszej kolejności Starr zapytał go, czy widział kogoś wychodzącego z gabinetu Roberta Anholta-Sperry'ego. Odparł, że nie, ale w drzwiach wpadł na niego bezceremonialnie

motocyklista, którego w tamtej chwili uznał za kuriera, lecz który pasuje do opisu poprzedniego klienta, podanego przez recepcjonistkę. Ross niewiele potrafił o nim powiedzieć, ponieważ miał na głowie kask z opuszczonym wizjerem, ale trzymał on w ręku – lub trzymała, bo mogła to być również kobieta – teczkę na dokumenty, a przed budynkiem stał zaparkowany motocykl marki Ducati. Powiedział, że pamięta to dokładnie, bo zawsze o takim marzył.

Przesłuchanie stało się kłopotliwe, kiedy Starr zaczął go wypytywać o związek pomiędzy notariuszem i Cookiem.

Ross wiedział jako dziennikarz, że notariuszy obowiązuje ściśle przestrzeganie tajemnicy służbowej, i postanowił w razie potrzeby ten fakt wykorzystać.

– Więc nie ma żadnego związku między twierdzeniem doktora Cooka, że posiada dowód na istnienie Boga, a pańską wizytą u Roberta Anholta-Sperry’ego? – dopytywała się Maria Stevens.

– Zbieram materiały do artykułu, który piszę dla „Sunday Timesa”, postanowiłem się spotkać z panem Anholtem-Sperrym, by dowiedzieć się czegoś więcej o jego zmarłym kliencie – odpowiedział wymijająco Ross.

Podpisał krótkie oświadczenie i zgodził się w razie potrzeby złożyć pełniejsze zeznania. W końcu tuż przed ósmą wyruszył w długą drogę powrotną do Brighton.

Czy śmierć notariusza miała związek z historią rozpoczętą przez doktora Cooka, czy była zwykłym zbiegiem okoliczności? Robert Anholt-Sperry był wiekowym człowiekiem, miał poważną nadwagę i chore serce. Kiedy go ostatnio widział, nie wyglądał na zdrowego człowieka. Mógł go zabić stres.

Albo...?

Kilka lat temu Ross pisał artykuł o prawniku, którego zabił niezadowolony klient. Może Anholt-Sperry rozgniewał niewłaściwą osobę?

Mimo wszystko jednak szczerze w to wątpił. Śmierć Cooka i notariusza musiały mieć ze sobą związek. Chociaż na ciele prawnika nie widać było śladów przemocy.

Pomyślał o pustej teźce ze swoim nazwiskiem. Czy to motocyklista zabrał dokumenty, które znajdowały się w środku?

Trzeci, najważniejszy zestaw współrzędnych geograficznych?

Przypomniał sobie, że Imogen miała wrócić do domu później, ponieważ spotyka się z jakąś koleżanką. Spróbował ponownie do niej zadzwonić, wolną ręką wybrał numer i tym razem z ulgą usłyszał, że odebrała natychmiast.

– Cześć – powiedział. – Martwiłem się. Dzwoniłem do ciebie i wysłałem esemesa. Wszystko w porządku?

– Nie, Ross – odparła Imogen roztrzęsionym głosem. – Właśnie wróciłam do domu i nic nie jest w porządku. – W końcu wybuchła. – JEST BARDZO NIE W PORZĄDKU!

Wtorek, 14 marca

Wygląda na to, że Borys nabiera wprawy, pomyślał Ainsley Bloor, obserwując, jak mała wali w klawiaturę. Kapucynka coraz częściej i bardziej regularnie uderzała w przyciski „i” oraz „a”, po czym łakomie chwyciła bananowy przysmak, który za każdym razem wypadał przez małą rynienkę. A sądząc ze stron wypluwanych przez drukarkę, musiała się również zorientować, że wystukanie całego słowa „ten” dawało nagrodę specjalną w postaci jabłka, pomarańczy lub banana.

Żadna z pozostałych pięciu małych jak dotąd na to nie wpadła.

Bloor wypracował nowy algorytm, aby nagradzać Borysa za napisanie dłuższego słowa, ale jak dotąd durna mała nie zrozumiała. Jak na razie waliła w pojedyncze „i” oraz „a” i od czasu do czasu „ten”.

W tej chwili jednak, kiedy Bloor trząsał się z zimna w wilgotnym powietrzu, eksperyment był ostatnią rzeczą, o jaką się martwił. Ziewnął zmęczony po długim i irytująco bezowocnym dniu. Pragnął jak najszybciej znaleźć się w domu i nalać sobie mocnego drinka. Pilot powiedział, że mgła jest za gęsta, żeby lecieć samolotem, więc musiał wracać samochodem, a jego kierowca prowadził idiotycznie wolno z powodu złej widoczności. Już prawie dziewięta, a musi się jeszcze przygotować do wywiadu radiowego, który ma jutro z samego rana w programie *Today* na temat badań nad terapią genetyczną, prowadzonych w jego firmie, a także do zebrania rady nadzorczej w Londynie.

Jego złość podsycił fakt, że cały czas nie dzwonił telefon, na który czekał. Czy wszyscy w jego firmie są tak niekompetentni jak te pieprzone mały?

– No, śmiało, Borys, dasz radę! – zawołał.

Małpa odwróciła się w jego stronę, po czym, jakby usłyszała słowa swojego pana, stuknęła w klawiaturę. Rynienką zjechało winogrono.

Kolejna litera „i”.

– Ty idioto! – wrzasnął na zwierzę Bloor, a potem odwrócił się do pozostałych sześciu małp. – Nawet się nie domyślcie, jaki macie fart, durne karłowate małpy!

Kiedy odwrócił się ze złością i ruszył po mokrej trawie w kierunku domu tonącego w oddali we mgle, zadzwonił telefon. Na ekranie wyświetliło się imię i nazwisko dzwoniącego.

– Cześć, Julius – odpowiedział. – Masz?

– Houston, mamy problem – odrzekł Helmsley.

Wtorek, 14 marca

Było piętnaście po jedenastej, kiedy Ross, ledwie żywy, zaparkował obok samochodu Imogen przed domem. Ledwo widział na oczy, ale weszło mu już w nawyk, żeby najpierw rozejrzeć się uważnie dookoła, zanim wysiądzie z auta. Ulica była pusta. Przez całą drogę nie zauważył, żeby go ktoś śledził.

W domu paliły się światła. Zbyt dużo światła. W każdym pokoju z okna wylewał się blask. To dziwne, pomyślał z obawą, zamykając pilotem audi. Podniósł wzrok na trzy kamery zamontowane pod okapem przez elektryka i ze ściśniętym żołądkiem zobaczył trzy roztrzaskane obiektywy.

Drzwi wejściowe otworzyły się, zanim do nich doszedł. Imogen stanęła w progu w białej koszuli i ogrodniczkach, blada jak śmierć, z potarganymi włosami i zapłakaną twarzą.

– Cześć! – powiedział, podchodząc do niej z rozpostartymi ramionami.

Lecz Imogen się odsunęła.

– Lepiej idź zobacz, co się stało z twoim domem, Ross. Z naszym domem. Z tym, co było naszym domem.

Trzęsła się.

Ross wszedł do środka i stanął jak wryty. Na ścianach widniały namalowane dwa wielkie odwrócone krucyfiksy. Na jednym ktoś napisał czerwoną farbą ROSS HUNTER – PRZYJACIEL ANTYCHRYSTA, a na drugim IMOGEN – PSZYSZŁA MATKA ANTYCHRYSTA.

Rossowi ścięło krew w żyłach.

Z komody stojącej w holu wysunięto wszystkie szuflady, a ich zawartość rozrzucono po podłodze.

– To nie wszystko, Ross. To samo jest w każdym pokoju. Do takiego domu wróciłam.

Wszedł do kuchni. Monty, który w normalnej sytuacji przybiegłby do niego, by go przywitać w progu, siedział przerażony w swoim koszu.

PACHOŁKI DIABŁA – widniał nabazgrany wielkimi literami napis na ścianie. I tu również wszystko wyrzucono z szuflad i z półek na podłogę.

Ross wrócił do holu, spojrzął na schody i zobaczył kolejne napisy: W ONYM ROGU BYŁY OCZY PODOBNE OCZOM CZŁOWIEKA, I USTA MÓWIĄCE RZECZY WIELKIE³.

Otworzył drzwi do garażu i zapalił światło. Wszystko leżało porzucane na ziemi – jego narzędzia, kije golfowe, rower z przedziurawioną ramą.

Wbiegł z powrotem do mieszkania i na górę. Tam zobaczył na ścianach kolejne religijne napisy, w sypialni nad łóżkiem czarne litery: KTO MA ROZUM, NIECH LICZBĘ BESTII PRZELICZY...

Wszedł do swojego gabinetu. Również tutaj każda ściana pokryta była bazgrołami. Wszystkie szuflady szafki z dokumentami otwarto, a papiery porzucano po całym pokoju. Zauważył, że z biurka znikł dysk przenośny z jego kopiami zapasowymi.

Jeśli mógł z całego tego horroru wynieść jedną pociechę, jedną drobinę ulgi, to był nim fakt, że wyjeżdżając, zabrał ze sobą laptop. W przeciwnym razie bez cienia wątpliwości on również by zniknął.

Odwrócił się do Imogen, która stała za jego plecami w drzwiach.

– Dość się już naoglądałaś? – spytała.

– Jak się tu dostali? Wybili okno?

– A jakie to ma znaczenie?

– Jakie to ma znaczenie? – powtórzył jak echo. – Chcę się upewnić, że dom jest bezpieczny, na wypadek gdyby postanowili wrócić. Zadzwoń na policję?

– Oczywiście. Przyjechali po kilku minutach. Zwrócili uwagę, że nasze wspaniałe kamery zostały stłuczone. Jeden z nich powiedział, że prawdopodobnie przestrelono je z wiatrówki. Mają przysłać techników czy detektywów, czy kogo tam trzeba, do zdjęcia odcisków palców. Może dzisiaj wieczorem albo jutro rano.

– Moje małeństwo.

Próbował ją przytulić, lecz Imogen znów się odsunęła.

– Dzwoniłam do Virginii – powiedziała. – Jadę do nich przenocować. Ty też możesz pojechać, jeśli chcesz.

Jej siostra z mężem i trójką dzieci mieszkali w małym miasteczku dwadzieścia kilometrów na północ od Patcham.

– A co z Montym? Ben ma uczulenie na psy, prawda?

– Nie obchodzi mnie pies. Teraz obchodzi mnie tylko nasze dziecko. Jeśli trzeba, to będę nawet dojeżdżać do pracy. Nie zostanę tu ani chwili dłużej, dopóki...

– Dopóki co?

– Dopóki o wszystkim nie zapomnisz. Nie mogę uwierzyć, że odrzuciłeś propozycję wywiadu z europarlamentarzystami Unii w Strasburgu za trzy tysiące funtów. Potrzebujemy pieniędzy, Ross. Czemu musimy przechodzić przez to piekło? Sprzedajmy Watykanowi to, co masz, jeśli mówią poważnie. Może dostaniemy dość pieniędzy, żeby spłacić hipotekę.

– Nie mogę tego zrobić. Zwłaszcza po...

– Po czym, Ross? Po naszej śmierci? Czy naprawdę warto dla tej zwariowanej historii ryzykować wszystko, co mamy?

– Zwariowanej historii? To ty jesteś wierząca. Ty jesteś chrześcijanką. Co zwariowanego jest w tej historii?

Imogen rozpostarła ramiona, wskazując napisy na ścianach.

– Czy to nie jest wariactwo? Ja nie potrzebuję dowodu, ani absolutnego, ani żadnego innego. Tak, jestem wierząca, i to mi wystarczy. Świat i tak jest w kiepskim stanie, bez religijnej burzy, którą chcesz wywołać za namową bredzącego starego wariata.

Ross patrzył na nią bez ruchu.

– Jeśli Cook był starym, bredzącym wariatem, to dlaczego Watykan, ten... jak się nazywał ten człowiek, który u ciebie był? Spinoni?

– Silvestri. *Monsignor* Giuseppe Silvestri.

– Dlaczego gotowi są zapłacić nam pieniądze?

– Tylko pod warunkiem, że przedmioty są prawdziwe.

– Świetnie, właśnie to usiłuję zrobić: dowiedzieć się, czy są prawdziwe.

Imogen znowu wskazała na ściany.

– A czy to jest wystarczająco prawdziwe? Czy wiadomości w moim komputerze nie były prawdziwe? Ktoś ci wysłał dość czytelne znaki, że nie podoba mu się to, co robisz, Ross.

Rossowi stanął przed oczami obraz Roberta Anholta-Sperry'ego siedzącego za biurkiem. Wstrząsnęło nim to do głębi.

Lecz potem zobaczył załzawione, błagalne oczy Harry'ego Cooka.

My dwaj mamy ocalić świat.

Popatrzył na swoją żonę. I na małą wypukłość jej brzucha. Ich dziecko.

Czy mógł dyskutować z tym, co powiedziała?

Podniósł oczy na odrażające świństwa powypisywane na ścianach jego domu i wezbrał w nim gniew. Przypomniawszy sobie śmigłowiec w Egipcie, umęczone zwłoki Harry'ego Cooka. Martwego notariusza.

Świat, który czeka na jego nienarodzone dziecko.

Obrazy napływały dalej: jego zmarły brat.

Dranie, którzy kopnęli go w twarz, kiedy wychodził ze studni Chalice Well.

Komu może zaufać? Stuartowi Ivensowi z MI5?

Człowiekowi, o którym opowiadała mu Imogen, *monsignor* Giuseppe Silvestriemu, który podobno reprezentuje Watykan?

Czy może porzucić tę historię i wrócić do pisania o polityce, wojnach i zmianach klimatycznych? Czy te wszystkie sprawy mają jakieś znaczenie w świetle tego, co miał, i tego, co leżało w zasięgu jego dłoni?

Największej historii, jaką znał świat?

Tak dużej, że ktoś postanowił dla niej zabić doktora Cooka, możliwe, że również notariusza, i próbował zabić jego? Czy motocyklista w skórzanym stroju ukradł ostatni kawałek układanki? Ten, który miał mu przekazać Anholt-Sperry?

Nie potrafił spojrzeć Imogen w oczy. Powiedzieć jej tego, co zamierzał. Wiedział, że w uszach każdego człowieka zabrzmiałoby to absurdalnie. Tylko że dookoła niego na ścianach widniały wielkimi literami wypisane dowody, że to wcale nie było absurdalne.

Ktoś wdarł się do ich domu, ich sanktuarium.

Kto to zrobił?

Fanatycy religijni? Czy pozwoli się im zastraszyć? Może tego właśnie chcieli? Żeby stchórzył. Uciekł. Lecz Ross nigdy przed niczym nie uciekał. Nie potrafiłby.

Odwrócił się do swojej żony.

– Imo, rozumiem cię, wiem, jak się czujesz.

– Tak? To świetnie. W takim razie wyjeżdżamy stąd natychmiast. Ja jestem już spakowana. Idź i wrzuć trochę rzeczy do torby. Zaczekam.

– Chcesz, żebyśmy narazili na niebezpieczeństwo również Virginie i jej rodzinę? A co zrobimy z Montym?

– Oddamy go do hotelu dla psów.

– Posłuchaj, kochanie...

– Czego mam słuchać?

– Potrzebuję cię.

– Naprawdę? Nie poznaję cię, Ross. Jesteś człowiekiem, który ma misję. A ja nie chcę mieć z tą misją nic wspólnego. Od tej pory radź sobie sam.

Środa, 15 marca

Ross obudził się rano zmęczony, oszołomiony i przepojony niesprecyzowanym poczuciem grozy. Przez jakiś czas leżał bez ruchu, potem otworzył oczy i wyciągnął rękę, żeby dotknąć Imogen, lecz poczuł pod palcami tylko zimną poduszkę.

Naprawdę odeszła.

Czuł się pusty, wydrażony.

Przez zasłony przeciekało światło dzienne. Był jasny, słoneczny poranek. Zza okna dobiegały głosy robotników po drugiej stronie ulicy.

Więc to wszystko nie było złym snem. Ze ściany obok łóżka nie znikły zjadliwe napisy.

KTO MA ROZUM, NIECH LICZBĘ BESTII PRZELICZY...

Kto to zrobił? Ten sam sukinsyn, który przysyłał maile?

Na pewno nie w pojedynkę. Na ścianach można było odróżnić dwa, a może nawet trzy różne charaktery pisma. Jakim sposobem dostali się do domu bez uruchomienia alarmu i kamer wideo? Strzelili po cichu do kamer, siedząc spokojnie w samochodzie, a potem wyłączyli alarm?

Kto wiedział o jego poszukiwaniach? Z iloma osobami mógł się kontaktować Cook, zanim przyszedł do niego? Na pewno z pracownikami Chalice Well, a stąd dowiedzieli się ludzie z Kerr Kluge. Teraz wiedziały również MI5 oraz Watykan. Czy włamanie mogło być robotą KK, które chciało go nastraszyć? Czy raczej kaznodziei milionera jak Wesley Wenceslas? A może jakiejś innej fanatycznej sekty?

Wątpliwe, żeby zrobili to ci sami ludzie, którzy próbowali go zabić w Egipcie. Którzy śledzili go aż do jaskini, a potem usiłowali odebrać mu ząb. Wywrócone do góry nogami mieszkanie nie wyglądało też na dzieło zabójców Cooka. To

była robota w innym stylu. Kogoś, kto chciał ich z jakiegoś powodu zastraszyć.

Żeby go zmusić do sprzedaży informacji?

Kogoś takiego jak *monsignor* Giuseppe Silvestri?

Przewrócił się na bok i zdumiony zobaczył, że zegar w radiu wskazuje siódmą dwadzieścia.

Normalnie zrywa się rześki o szóstej trzydzieści, kiedy włącza się Radio 4.

Cholera.

Radio grało, prawdopodobnie od godziny. Okropnie zasnął. Prezenter Radia 4 rozmawiał z jakimś pyszałkowatym naukowcem.

– Zidentyfikowaliśmy geny odpowiedzialne za empatię – oznajmił naukowiec. – Uważamy, że wkrótce, jeszcze za życia wielu z nas, rodzice będą mogli wybierać poziom empatii swojego dziecka. Chcą państwo łagodnego, delikatnego chłopczyka? Kiedy podrośnie, może paść ofiarą zastraszania. Chcecie silnego, małego urwisa? Może skończyć jako szkolny łobuz, a nawet socjopata.

– A gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla Boga? – spytał prezenter.

– No cóż, to zależy, po której stronie religijnego płotu pan siedzi – odparł gładko naukowiec. – Czy jest pan zwolennikiem Inteligentnego Projektu czy Doboru Naturalnego.

– A po której stronie pan siedzi?

– Proszę mi zadać to pytanie za parę miesięcy, a może dam panu odpowiedź.

– Naprawdę? Czy może pan to wyjaśnić?

– Nie teraz.

Wyniosłość i arogancja w głosie naukowca prawie kłuły w uszy.

– Podsycił pan moją ciekawość i z pewnością również naszych słuchaczy. Pańska firma ogłosiła dzisiaj przełom w dziedzinie leczenia genetycznego. Czy może pan wyjaśnić, co on oznacza?

– Oczywiście. Przełom w terapii genetycznej, który ogłosiła dzisiaj firma Kerr Kluge, całkowicie zmieni oblicze medycyny.

Ross poderwał się i usiadł wyprostowany. Podkreślił głos. Kerr Kluge? Nie wierzył własnym uszom.

– Oznacza on dwie rzeczy, John – ciągnął naukowiec spokojnym, pewnym siebie głosem. – Po pierwsze, w ciągu dziesięciu lat będziemy potrafili wyleczyć znaczną część chorób śmiertelnych. Nie mówię tu o stosowaniu leków w celu wydłużenia życia osób chorych, powiedzmy na raka. Szukamy metod na całkowitą wyleczalność dzięki modyfikowaniu struktur DNA.

– A patrząc na sprawę okiem cynika, doktorze Bloor, zarządza pan firmą, która żyje ze sprzedaży środków farmaceutycznych. O ile mi wiadomo, najwięcej dochodów takie firmy jak pańska czerpią z chorób przewlekłych, w których pacjenci przez wiele lat, czasem nawet dziesiątki, żyją dzięki stosowaniu określonych preparatów. Czy opracowując cudowne lekarstwa na takie schorzenia, nie strzelacie sobie w przysłowiową stopę?

– Ależ wręcz przeciwnie. Poza tym, John, doprowadzimy do wielkiej zmiany paradygmatu w patrzeniu na ludzkie życie. Po raz pierwszy w historii ludzkiego gatunku, dzięki badaniom prowadzonym w Kerr Kluge, ludzkość ma szansę uwolnić się od tyranii, która rządziła naszą egzystencją od zarania ludzkiej inteligencji. Jeśli uda nam się wyodrębnić geny odpowiedzialne za proces starzenia się i odwrócić ich funkcjonowanie, nie będziemy musieli znosić upokarzających skutków starości oraz kalectwa. Wyzwolimy się spod tyranii Matki Natury. Wierzymy, że Kerr Kluge będzie prekursorem nowej ery w historii ludzkości.

– Dla tych, których będzie na to stać?

– Wybór będzie dostępny dla każdego – odrzekł gładko Bloor.

– Każdego, kto ma pieniądze, żeby za ten wybór zapłacić? Czy nie stworzycie w ten sposób dwupoziomowego świata: tych, którzy mają, i tych, którzy nie mają? Czy nie grozi nam powstanie genetycznych podludzi? Niestety, kończy nam się czas, czy możesz więc udzielić zwięzłej odpowiedzi na to pytanie?

– Ależ wręcz przeciwnie, John. Zaoferujemy światu równość, jakiej ludzkość jeszcze nie poznała.

– Musimy na tym zakończyć naszą rozmowę. Państwa gościem był Ainsley Bloor, dyrektor generalny firmy Kerr

Kluge. Dziękujemy, że zechciałeś przybyć do studia.

– To ja dziękuję, John.

– A teraz Rick Anderson przedstawi państwu najnowsze wiadomości sportowe oraz wieści z wyścigów.

Ross przykręcił dźwięk.

Ainsley Bloor, dyrektor generalny Kerr Kluge. Człowiek zarządzający firmą, która być może stała za zamachem na jego życie w Egipcie. Z jakiego powodu?

Wszystko nabierało teraz więcej sensu. Nagle stało się jasne, jaką wartość przedstawia dla Bloora i jego firmy to, co znalazł. Ile wiedział o tym wszystkim wujek Sally Hughes, Julius Helmsley?

Już sobie wyobrażał cyniczną kampanię reklamową: *Technologia stworzona dla ludzkości przez strażników kodu genetycznego Jezusa Chrystusa!*

Popatrzył na graffiti wymalowane na ścianie jego sypialni. Bez najmniejszych wątpliwości zrobili to, żeby go zastraszyć i zniechęcić.

Na pewno udało im się przerazić Imogen.

Czy to głupota, że nie dał się sterroryzować?

Owszem, martwił się i niepokoił. Lecz był również wściekły i zdecydowany, że nie pozwoli sobą manipulować. Jako dziennikarz śledczy spotykał się już z groźbami. Kilka lat temu dopadł w rezydencji w Essex właściciela nielegalnego hiszpańskiego przemysłu turystycznego. Facet podbił mu oko i nasłał na niego dwa rottweilery, z których jeden odgryzł mu spory kawałek nogi. Skończyło się na szwach i szczepionce przeciw tężcowi. Innym razem śledził syndykat wykorzystujący seksualnie nieletnich, zwłaszcza dzieci porwane z rumuńskich ulic, które zmuszano do pracy w klubie nocnym w Bedford. Stłukło go wtedy dwóch goryli, grozili mu pistoletem, po czym wyrzucili przez drzwi na zapleczu. Kosztowało go to dwa złamane żebra i tysiąc pięćset funtów na protetyka.

Możliwe, że pobyt w Afganistanie uodpornił go na strach. Takie działania jak to, zamiast go przerażać, wzmacniały tylko jego determinację. I w tej chwili jego determinacja była silniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Nie obchodziło go nawet, jaką cenę przyjdzie mu zapłacić.

Na jego zegarku Apple'a pojawił się SMS od Imogen.

Tęsknię. Opamiętaj się i przyjedź do mnie. Kocham Cię. XX

Wziął telefon, ponieważ łatwiej mu było na nim pisać, i odpowiedział:

Kocham Cię, ale muszę załatwić tę sprawę. X

Zszedł na dół, coraz bardziej kipiąc gniewem, podsycanym przez arogancki, zadowolony z siebie głos dyrektora Kerr Kluge. W kuchni niepewnie, z podkulonym ogonem przywitał go Monty. To było nietypowe zachowanie u labradoodle'a. Zwykle rano podbiegał do niego szczęśliwy i rozpromieniony, jakby uśmiechnięty od ucha do ucha.

Przyklęknął i objął psa za szyję.

– Co się stało, maluchu? Kogo tu wczoraj widziałeś? Kto tu był? Jak się dostali do środka? Ty ich nie wpuściłeś, prawda? Nie otworzyłeś im drzwi.

A gdzie był wtedy policyjny patrol, o którym mówił Tingley? Pies cały czas się trząsał.

– Nie martw się, nie oddam cię do hotelu. Razem sobie ze wszystkim poradzimy. Umowa stoi?

Przytulił twarz do kudłatego łba i poczuł na policzku zimny, mokry nos.

Co ci dranie zrobili Monty'emu, że do tej pory nie może się otrząsnąć? Może dali mu jakieś środki odurzające albo go czymś podtruli? Chociaż nie musieli tego robić, Monty był chodzącym słodziakiem i każdego intruza przywitałby jak starego kumpla.

– Kochany Monty. – Jeszcze raz przytulił psa do siebie. – Naprawdę cię kocham, stary. – Poczuł ciepły zapach psiej sierści. – Uspokój się, już dobrze. Nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

Sam chciałby w to wierzyć.

Środa, 15 marca

Ross stał pod prysznicem i odkręcał gorącą wodę tyle, ile tylko mógł wytrzymać. Mimo wyczerpania zaczynał myśleć coraz jaśniej.

Obszedł cały dom, szukając wskazówek, którędy intruzi dostali się do środka, ale niczego nie znalazł. Żadnych wybitych szyb, wyważonych drzwi. Zajrzał pod doniczkę w szopie na narzędzia w ogrodzie, gdzie trzymali zapasowe klucze, lecz doniczka wydawała się nietknięta, a klucze leżały na swoim miejscu. Potem ponownie obszedł cały dom i zrobił zdjęcia wszystkich napisów na ścianach.

Banda religijnych fanatyków prawdopodobnie rozwaliliby po prostu drzwi. Tak zręczne włamanie wskazywało na profesjonalistów dysponujących dużymi funduszami.

Cały dom będzie wymagał remontu. Ross oszacował robotę na kilka tysięcy funtów. Plus to, co mogło zostać skradzione poza przenośnym dyskiem komputerowym. Miał nadzieję, że ubezpieczenie wszystko pokryje.

Wyszedł spod prysznicza i zaczął się wycierać. Nagle rozległ się dzwonek do drzwi i Monty zaczął szczekać. Ross owinął się w pasie ręcznikiem i zszedł na dół. Kiedy przechodził przez hol, dzwonek zadzwonił drugi raz. Wyjrzał przez wizjer. Na schodach stał mężczyzna, a za nim zaparkowana furgonetka. Sprawdził, czy łańcuch tkwi na swoim miejscu, po czym uchylił drzwi.

– Przesyłka – oznajmił nieznajomy ze wschodnioeuropejskim akcentem.

Trzymał przed sobą pudełko z napisem AMAZON widocznym ze wszystkich stron. Wyglądało na to, że przyszły

książki, które zamówił, a w każdym razie część z nich, głównie religijne opracowania, które chciał przeczytać.

Zwolnił łańcuch, wziął przesyłkę, podpisał elektronicznie odbiór i z powrotem zamknął drzwi. Głaszcząc jedną ręką psa, patrzył przez wizjer, jak kurier wraca do samochodu i odjeżdża. Zaniósł pudełko do kuchni i postawił na stole. Paczka była dziwnie lekka, nawet jak na jedną książkę, chyba że było to bardzo cienkie wydanie w miękkiej oprawie. Potrząsnął, w środku coś zagrzechotało. Przyjrzał się jej bliżej i stwierdził, że nie wygląda jak zwyczajne, starannie zapakowane przesyłki Amazona. Nadawca zakleił ją czarną taśmą pakową, jakby wykorzystał powtórnie używane pudełko.

Ross patrzył na podejrzany pakunek z wahaniem i obawą. Czy w środku może być bomba?

Odwrócił go, obejrzał uważnie ze wszystkich stron, szukając wskazówki, kto jest nadawcą. Niczego nie znalazł. Może lepiej go nie otwierać, tylko od razu wezwać policję? Niech przyjadą i sami zdecydują, co robić.

Czy on przypadkiem nie wpada w paranoję?

Wyjął z szuflady nóż i ostrożnie przeciął czarną taśmę, po czym bardzo powoli uchylił dwa skrzydła kartonowego opakowania. Wiedział, że to głupota, powinien zadzwonić na policję i poprosić ich, żeby coś z tym zrobili. Ale było mu już prawie wszystko jedno. Rozerwał do końca opakowanie i zajrzał do środka. Na dnie pudełka leżał mały plastikowy krucyfiks. W piersi Chrystusa tkwiła ułamana wykałaczką koktajlowa w kształcie sztyletu, która przytrzymała kopertę.

Szybko zrobił zdjęcie telefonem, potem wyciągnął sztylet i otworzywszy kopertę, wyjął kartkę z wydrukowanym tekstem. „Albowiem gniew Boży ujawnia się z nieba na wszelką bezbożność i nieprawość tych ludzi, którzy przez nieprawość nakładają prawdzie pęta. List do Rzymian 1,18”.

Na odwrocie widniały następujące słowa: „Nie podobał mi się twój post na Twitterze. Pływasz po niebezpiecznych, błuźnierczych wodach, przyjacielu. Sugeruję, żebyś wrócił do swojej codziennej pracy”.

Ross już dawno temu uodpornił się na zjadliwe komentarze w mediach społecznościowych, wiele razy stawał się obiektem ataków za kontrowersyjne artykuły, które pisał, a jednak ta

wiadomość jakoś szczególnie go poruszyła. Cieszył się, że Imogen jej nie widzi. Włożył wszystko do pudełka, zaniósł je na górę do gabinetu i schował do szuflady biurka. Może powinien pokazać to policji albo zachować jako dowód na wszelki wypadek...

Wrócił do łazienki, zmoczył twarz, nałożył żel na jednodniową szczecinę i zaczął się golić. Zastanawiał się, co robić dalej. Musiał założyć, że współrzędne, które miał mu przekazać Robert Anholt-Sperry, wpadły w czyjeś ręce.

I domyślał się czyje. Kerr Kluge.

Trzeci, najważniejszy zestaw współrzędnych miał wskazać miejsce powtórnego nadejścia Chrystusa. Ale czy bez wyników DNA ma on jakąś wartość dla firmy farmaceutycznej? A jeśli doszło do jakichś negocjacji pomiędzy MI5, przedstawicielem Watykanu, *monsignore* Giuseppe Silvestrim, oraz Kerr Kluge? Czy może się to okazać niebezpieczne? Watykan słynie ze swojej bezkompromisowej postawy, papież reformatorzy zwykle krótko żyli. Roberta Calviego, znanego jako Bożego Bankiera, znaleziono powieszzonego w 1982 roku na moście Blackfriars w Londynie. Jego śmierć w elegancki sposób zażegnała widmo nieprzyjemnego skandalu związanego z bankiem watykańskim.

Czy Imogen miała rację, mówiąc mu, że toczy grę, która przerasta jego możliwości? Czy jest jakieś wyjście z tej sytuacji poza brnięciem naprzód?

Ubrał się, poszedł do swojego gabinetu i wziął czarny portfel, który dostał od Imogen na Gwiazdkę dwa lata temu. Przejechał palcem po ciemnobrązowej podszewce i poczuł uspokajający dotyk złożonej karteczki, którą włożył do środka razem z małą fiołką, zanim przykleił materiał z powrotem.

Na powierzchni niewiele większej niż znaczek pocztowy karteczka zawierała szczegóły analizy standardowej, mitochondrialnej oraz Y-STR DNA z zakładu kryminalistyki, a także odrobinę płynu z rozkruszonym zębem. Resztę oddał na przechowanie wujowi Angusowi.

DNA Jezusa Chrystusa?

Czy kiedyś się tego dowie bez utraconego trzeciego zestawu współrzędnych? Czy przeżyje na tyle długo?

Zadzwoił do elektryka. Mężczyzna odebrał prawie natychmiast. Ross w skrócie zrelacjonował mu skutki włamania i dokonane zniszczenia i zapytał, czy znalazłby dzisiaj lub w ciągu najbliższych dni trochę czasu, by naprawić lub wymienić stłuczone kamery. Elektryk odparł, że wpadnie dzisiaj, żeby je zabrać, a jutro rano je obejrzy i odpowie, co da się zrobić.

Po zakończonej rozmowie Ross zszedł na dół, nakarmił Monty'ego, zrobił sobie mocną kawę, po czym włożył do mikrofalówki miseczkę z owsianką. Podczas gdy gotowało się jego śniadanie, pokroił sobie jabłko w plasterki i wrzucił do szklanki z wodą tabletkę musującą z zestawem witamin na koncentrację, zgodnie ze zwyczajem, do którego namówiła go ostatnio Imogen. Dzień był piękny i słoneczny, więc wyniósł obie szklanki do ogródka, po czym wrócił do drzwi frontowych po plik gazet leżący na wycieracze. Wracając do ogrodu, rzucił okiem na nagłówki.

MATKA ZAMORDOWAŁA NIEMOWLĘ

Zadzwoił telefon.

– Ross Hunter, słucham – powiedział ostrożnie.

– Panie Hunter, nazywam się Quentin Grieg, bardzo przepraszam, że zakłócam panu spokój, dzwonię w imieniu arcybiskupa Canterbury. Doszło do naszych uszu, nad jakim artykułem pan obecnie pracuje.

Mężczyzna wydawał się przez telefon uprzedzająco grzeczny i miły.

– Czy może mi pan podać numer, a ja zaraz do pana oddzwonię?

Po krótkiej chwili wahania Grieg spełnił jego życzenie. Ross zapisał sobie numer, po czym zadzwonił z telefonu na kartę.

– Jaki artykuł ma pan na myśli, ponieważ pracuję nad kilkoma sprawami.

– Mówię o sprawie natury religijnej. Czy mam rację?

– Tak – odparł Ross. – Ma pan rację.

– Arcybiskup jest tą sprawą bardzo zainteresowany. Mamy jak dotąd niezwykle skąpe informacje, dlatego pyta, czy

zechciałby pan poświęcić trochę czasu, aby przedyskutować z nim to zagadnienie.

Zaskoczony Ross zastanawiał się gorączkowo. Nadarzała mu się cudowna okazja. Chciał się z nim spotkać arcybiskup Canterbury, głowa Kościoła anglikańskiego Wielkiej Brytanii. Bez względu na to, czym się ta historia zakończy, zawarcie w artykule fragmentów wypowiedzi arcybiskupa nieporównanie podniesie jego rangę.

– Tak, bardzo chętnie się z nim spotkam.

– Mam kilka terminów, kiedy arcybiskup będzie miał wolną chwilkę w pałacu Lambeth w Londynie. Zostałem jednak upoważniony, żeby zapewnić pana, że w razie potrzeby może anulować inne spotkania, aby z panem porozmawiać.

Ross poczuł dziwne mrowienie. Arcybiskup Canterbury jest gotów anulować swoje umówione spotkania, by się z nim spotkać? Nie wierzył własnym uszom. Czy to jakaś mistyfikacja? Czy coś się dzieje za jego plecami? Może Benedict Carmichael zaalarmował arcybiskupa?

– Mógłby się z panem spotkać dzisiaj o piętnastej trzydzieści lub jutro o jedenastej rano.

– Przyjadę dzisiaj – odparł Ross.

Grieg podał mu wskazówki i powiedział, że umożliwią mu wjazd na teren pałacu, jeśli sobie życzy.

Kiedy zakończył rozmowę, usłyszał dźwięk kuchenki mikrofalowej.

Wszedł do domu, wyjął miseczkę z owsianką, po czym wrócił z nią do ogrodu i zaczął przeglądać „Argusa”.

Jego uwagę zwrócił nagłówek na jednej z kolejnych stron.

ROZWÓD, PONIEWAŻ ZA MOCNO NACISKAŁ

Przeczytał opowieść o księgowym, którego żona po dwudziestu latach małżeństwa zaczęła podejrzewać o zdradę. Przez dłuższy czas nie mogła jednak zdobyć dowodów, dopóki nie znalazła odcisniętych śladów w notatniku, z którego wyrwano poprzednie kartki.

Ponieważ jednak nie potrafiła ich odczytać, przypomniawszy sobie program telewizyjny o laboratorium kryminalistycznym,

gdzie urządzenie zwane w skrócie ESDA potrafi odczytać tekst nawet z najślabszego śladu odcisniętego na papierze. Laboratorium tym był Zakład Kryminalistyki ATGC.

Ross doznał olśnienia. Przypomniał sobie dzień, kiedy odwiedził go doktor Cook. I pozostawiony rękopis.

Oczywiście zamazałem te współrzędne, na wypadek gdyby wpadły w niepowołane ręce.

Złapał za telefon.

W tej samej chwili przybiegł do niego Monty ze smyczą w zębach.

Ross odłożył telefon i poklepał psa po głowie.

– Przepraszam, stary, nie byłeś wczoraj na porządnym spacerze i dzisiaj też musisz jeszcze poczekać. Obiecuję, że ci to wynagrodzę po powrocie. Wieczorem pójdziemy na długi spacer, zgoda?

Pies popatrzył na niego wzrokiem, który mówił, że wcale się z tym nie zgadza.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Ross zbiegł na dół, spojrział przez wizjer i zobaczył młodego mężczyznę z torbą. Przedstawił się jako technik kryminalistyczny, Alex Call.

Przez następną godzinę Call zbierał odciski palców w całym domu, więc Ross zostawił go samego, żeby mu nie przeszkadzać. Po skończeniu technik powiedział mu, że jak dotąd nie znalazł żadnego odcisku figurującego w policyjnej bazie danych.

Gdy tylko wyszedł, Ross złapał kluczyki i wprowadził swoje audi do garażu. Zamierzał zapakować do bagażnika kilka rzeczy i nie chciał ryzykować, że ktoś to zobaczy.

Środa, 15 marca

Julius Helmsley przykuśtykał do gabinetu dyrektora generalnego kilka minut po dziesiątej. W jednej ręce trzymał torbę z rogalikami, w drugiej sztywną, brązową kopertę.

– Doskonale wypadłeś w tym wywiadzie, Ainsleyu – powiedział.

– Mhm.

– Nie nagrywasz tego? – spytał dyrektor operacyjny.

– Jeszcze nie oszalałem, Juliusie. Kawy?

Helmsley skinął głową i Bloor nalał do filiżanki gorący napój.

– Coś ty zrobił ze swoją twarzą?

Zakłopotany Helmsley dotknął plastra na lewym policzku.

– Potknąłem się.

– Potknąłeś się? Pocięta twarz, przetrącona noga... Niezła impreza, co?

– Bardzo zabawne.

W dole po Tamizie płynęła dostojnie łódź w żółto-niebieską szachownicę, z wielkim napisem POLICJA na kadłubie.

Bloor podsunął Helmsleyowi filiżankę i dzbanuszek z mlekiem.

– Więc co się stało?

– Popełniliśmy błąd. Wynajęliśmy dzikie zwierzę, które teraz trzyma nas na muszce.

– Nie „my”, Juliusie, tylko ty. Mówisz o tym indywiduum z Monako?

Helmsley skinął głową.

– Ten, który podbił stawkę, kiedy do niego pojechałeś?

– Tak.

– Sam go polecałeś.

– To mnie go polecono. Miał nienagane referencje, imponującą kartotekę.

– Faktycznie mi zaimponował. Naciągnął nas już na osiem milionów, a teraz zamierza nas szantażować.

– Polecę do Monako i załatwię to.

– W Monako nie ma lotniska – zauważył Bloor kwaśno.

– Więc polecę do Nicei i wezmę śmigłowiec.

– Nie weźmiesz śmigłowca. Ty to spieprzyłeś, więc pojedziesz autobusem, a do Nicei polecisz najtańszymi liniami.

Helmsey uśmiechnął się szeroko, lecz po chwili zauważył, że Bloor wcale nie żartuje.

– Czy my w ogóle wiemy, że on to na pewno ma?

– Ma. Jestem tego pewny. Trzeci zestaw współrzędnych, które notariusz Anholt-Sperry miał wczoraj przekazać Hunterowi – zapewnił Helmsley. – Czy raczej powinienem powiedzieć: były notariusz.

– Ross Hunter – rzucił zjadliwie. – Chciałoby się zacytować Henryka Drugiego: „Czy nikt mnie nie uwolni od tego krnąbrnego klechy?”.

– Wydaje mi się, że on powiedział „wścibskiego”. „Krnąbrnego” jest chyba przekłamanie.

Bloor popatrzył na niego z niesmakiem.

– Naprawdę uważasz, że to odpowiedni moment na dyskusje leksykalne?

– Przepraszam, szefie. – Nalał sobie mleka do kawy. – Uważam jednak, że zabijanie Huntera na tym etapie byłoby nierozsądne. Jestem pewny, że on ma klucz do sprawy.

– Myślisz, że ubiłby z nami interes?

– Hunter?

– Ma kłopoty finansowe. Od lat ledwo wiąże koniec z końcem. Praca dziennikarza przynosi coraz mniej dochodów. Wiemy, że ma duży kredyt hipoteczny, wykorzystane limity na kartach kredytowych, a w drodze dziecko.

Helmsley popatrzył na niego dziwnie.

– Skoro jesteśmy przy cytatach: „Musi mieć długą łyżkę, kto chce dzielić wieczerzę z diabłem”. Hunter jest przebiegły i niebezpieczny, już się o tym przekonaliśmy. Ma duże wpływy w mediach, a z naszych obserwacji jasno wynika, że pieniądze nie są dla niego motywacją. Wiele ludzi i organizacji próbowało

go przekupić, wszyscy skończyli skompromitowani. Jednej rzeczy jesteśmy tylko pewni: że ukrył gdzieś przedmioty zawierające DNA Jezusa Chrystusa, a my ich potrzebujemy.

– A co z rękopisem, który podobno dał mu Cook? W domu doktora go nie znaleźliśmy. – Bloor wyciągnął rękę i wyjął z torby rogalik. – Przypominają mi kraby. – Oderwał koniuszek rogalika i podniósł do oczu. – Zupełnie jak szczypce, nie sądzisz?

– Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

– Dużo jest takich rzeczy, które nie przychodzą ci do głowy, Juliusie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Czasem odnoszę wrażenie, że traktujesz wszystko jak grę. My nie tocymy żadnej gry. Chyba zdajesz sobie sprawę, co mogę zrobić dla naszej firmy, jeśli zdobędziemy to, czego szukamy. DNA Chrystusa zawarte w naszych produktach? Masz pokaźne udziały w korporacji, Juliusie. Dzięki nim już jesteś bogatym człowiekiem. Lecz za sprawą tej historii moglibyśmy wskoczyć na zupełnie nowy poziom, moglibyśmy zostać miliarderni. Prawda? Więc zejdź na ziemię.

– Co słyhać u małą? – spytał Helmsley niczym nadąsane dziecko.

I przez chwilę myślał, że jego szefa trafi szlag. Bloor podniósł się z krzesła i grzmotnął pięściami w stół.

– Co mają z tym wspólnego cholerne mały?

Helmsley uniósł dłonie w pojednawczym geście.

– Próbuję tylko zrozumieć, jak zamierzasz je z tym wszystkim pogodzić.

– Z czym pogodzić?

Julius Helmsley popatrzył na niego zza swoich czerwonych oprawek.

– Eksperyment z małpami, który przeprowadzasz, ma dowieść, a przynajmniej zasugerować, że świat mógł powstać wskutek czystego przypadku, a nie żadnego inteligentnego projektu. A jednocześnie chcesz oprzeć przyszły wzrost swojej firmy na materiale genetycznym Syna Bożego. Nie sądzisz, że to mała sprzeczność?

– To jest biznes, Juliusie. Na świecie żyją dwa miliardy chrześcijan. Gdybyś był chrześcijaninem...

– Jestem – przerwał mu Helmsley.

– Świetnie. To może zechcesz mi powiedzieć jedną rzecz. Wyobraź sobie, że chorujesz na nieuleczalną chorobę. Czy zdecydujesz się na terapię genową firmy, która jest w posiadaniu DNA Jezusa Chrystusa, czy innej firmy, która nie ma do niego dostępu?

– To oczywiste, na co się zdecyduję, Ainsleyu.

– No właśnie. Bądźmy realistami. Trzeci zestaw współrzędnych może się znajdować w rękopisie Cooka albo na dysku.

– I uważasz, że dziennikarz ma te współrzędne w rękopisie?

– Myślę, że nie. Pojechał wczoraj do Birmingham, żeby je dostać. Gdyby je miał w rękopisie, nie musiałby tego robić.

– No dobrze, więc ich nie ma. Załóżmy, że znajdują się w kufrze motocykla gdzieś między Anglią a Monako, w rękach płatnego zabójcy, który nie zdaje sobie sprawy, co znalazł. Ross Hunter był w zakładzie kryminalistyki, laboratorium musi mieć w bazie danych wyniki analizy, którą dla niego robili.

– Czy możemy się włamać do ich systemu?

Julius pokręcił głową.

– Już to sprawdzałem. To prawdziwa forteca. Baza danych DNA całej policji brytyjskiej. Tysiące przestępców marzy o tym, żeby się tam wedrzeć, ale nigdy nikomu się nie udało. Testowaliśmy ich zabezpieczenia, są nie do przejścia: wszystko zakodowane, nawet pracownicy nie wiedzą, kto się ukrywa za numerami kodów.

– Musi być w tym laboratorium ktoś, kto ma dostęp do dokumentacji Huntera – zauważył Bloor. – Moglibyśmy go przekupić albo porwać.

– Wątpię, żeby dało się tam znaleźć jakieś wtyczki. Lepiej trzymać się na dystans, wydobyć od naszego człowieka z Monako to, co znalazł, obserwować Huntera przez okrągłą dobę i zobaczyć, dokąd nas doprowadzi. Już to zorganizowałem.

– I dokąd twoim zdaniem nas doprowadzi?

Julius Helmsley odpowiedział uśmiechem.

– Do ziemi obiecanej.

Środa, 15 marca

Tuż po dziesiątej rano Ross siedział w małym, nowocześnie urządzonej gabinecie prawnika i patrzył przez okno na swój ulubiony budynek w Brighton, stojący po drugiej stronie ulicy – bibliotekę miejską. Popijał herbatę, którą przyniosła mu recepcjonistka, i czekał, aż przyniosą mu dokumenty, kiedy zadzwieczał sygnał SMS-a w jego telefonie. Wiadomość przyszła od Imogen.

Muszę zabrać z domu kilka rzeczy, wracając z pracy. O której będziesz? Nie chcę tam jechać sama. X

Odpowiedział:

Nie wiem, ok. 6.30. Mam po południu spotkanie w Londynie. Mogę do Ciebie zadzwonić, jak będę wracał. Chcesz? X

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła asystentka z dużym pudłem.

– Czy o to panu chodziło? – spytała, pokazując karton. Na boku widniał podpis: ROSS HUNTER – OSOBISTE.

Otworzył pokrywę i zajrzał do środka. Potem popatrzył na kobietę.

– Tak, dziękuję.

– Zostawię z tym pana samego. – Wskazała telefon na końcu stolika. – Kiedy pan skończy lub gdyby pan czegoś potrzebował, proszę wybrać dwadzieścia jeden, a ja odbiorę.

- Mogę potrzebować fotokopii.
- Nie ma problemu, wystarczy zawołać.

Kiedy zamknęła drzwi, Ross wyjął z pudełka rękopis Harry'ego Cooka i położył go na małym, lśniącym blacie stolika. Zaczął zdejmować pierwszą gumkę, a wtedy cieniutki elastyczny pasek pękł i zniknął. Ostrożnie zdjął drugą, po czym zabrał się do żmudnego przeglądania manuskryptu kartka po kartce. Jednocześnie rozmyślał o tym, co powiedział doktor Cook.

Oczywiście zamazałem te współrzędne, na wypadek gdyby wpadły w niepowołane ręce.

Znalazł je po godzinie na stronie pięćset sześćdziesiątej piątej. Przegapił je za pierwszym razem, ponieważ pismo doktora było tak małe.

W jednej linii po nazwie „Chalice Well” następowało coś zamazanego flamastrem, długości niecałych czterech centymetrów. Dwie linijki niżej widniała nazwa „Egipt, Dolina Królów”, a po niej podobny zaciemniony fragment. I ponownie dwie linijki niżej znalazł słowa, których szukał.

„Drugie przyjście”.

A nieco dalej kolejny zamazany czterocentymetrowy fragment.

Delikatnie odłożył na bok kartkę ze współrzędnymi, wziął do ręki następną, pięćset sześćdziesiątą szóstą stronę, i podniósł ją do światła. Ślady były ledwie widoczne pod nagryzmołonym tekstem, lecz bez wątpienia były – odciski czegoś napisanego na poprzedniej kartce. Współrzędnych?

Środa, 15 marca

Julius Helmsley siedział w swoim gabinecie i lizał rany po dotkliwych wybuchach gniewu swojego szefa. Zdawał sobie sprawę, jak dramatycznie spartolił robotę. Patrzył w ekran komputera z mapą fragmentu londyńskiej obwodnicy M25. Przedpołudniowy ruch na drodze był niewielki, więc mała czerwona kropczka poruszała się powoli, lecz bez zatrzymywania. Po chwili skręciła na M3 i skierowała się na północ, w kierunku Londynu.

Czerwoną kropczką było audi Rossa Huntera.

Nawet gdyby dziennikarz, który uważał się za wyjątkowo bystrego, rozebrał swój samochód na części, nie znalazłby nadajnika ukrytego za szybką jednego ze świateł hamulcowych.

Czterdzieści sześć kilometrów dalej, w gabinecie na pierwszym piętrze zachodniego skrzydła Gethsemane Park Lancelot Pope sączył herbatę ziołową i obserwował w iPhonie kropkę poruszającą się na północ trasą M3. Dane przesyłała mu na bieżąco ośmioosobowa ekipa obserwacyjna, która pracowała na obecnej zmianie.

Jeszcze nie przestał się wściekać na idiotów, którym nie udało się przyskrzynić Huntera na autostradzie, kiedy wracał z ATGC z gorącymi jeszcze trofeami. Tamta historia nauczyła Pope'a respektu dla przebiegłości dziennikarza, jeśli wcześniej w nią wątpił. Był niczym przeklęty lis, który wkradł się do ogrodu w jego letniskowej willi w Dorset i podusił wszystkie najrzadsze gatunki dzikich kaczek w stawie.

Dalej obserwował kropkę zmierzającą w kierunku Kingston.

Czyżby Hunter wracał do Zakładu Kryminalistyki ATGC? Prosto od swojego prawnika w Brighton? Co się dzieje?

Wczoraj Ross Hunter po raz drugi odwiedził firmę prawniczą w Birmingham. Potem w wiadomościach lokalnych pojawiła się informacja o nagłej śmierci jednego z partnerów spółki adwokackiej, Roberta Anholta-Sperry'ego. Podejrzewano zawał lub wylew.

To był notariusz doktora Cooka.

Pół godziny później potwierdziły się domysły Lancelota. Ross Hunter zatrzymał się przed Zakładem Kryminalistyki ATGC. W tej samej chwili zadzwonił telefon Pope'a.

– Słucham?

– Dzwonię, żeby panu powiedzieć, szefie, że obiekt zatrzymał się przed Zakładem Kryminalistyki ATGC.

– Widzę. Co on tam robi?

– Wysiadł z samochodu. Idzie do wejścia z kopertą pod pachą.

– Do diabła, dowiedzcie się, co w niej jest.

Środa, 15 marca

Po krótkiej rozmowie z Jolene Thomas Ross wrócił do samochodu. Kobieta obiecała, że przekaze stronę rękopisu ludziom z wydziału ESDA. Nawet patrząc pod światło zwykłych żarówek w recepcji, zauważyła wyraźne odciski po czymś zapisanym na poprzedniej kartce. Chociaż tylko pobieżnie orientowała się w możliwościach systemu ESDA, nie miała wątpliwości, że uda się je odczytać.

Ross uruchomił samochód i przeprogramował nawigację satelitarną na trasę do pałacu Lambeth. Wpisał uważnie kod pocztowy SE1 7JU.

Program wyliczył czas dojazdu: czterdzieści siedem minut. Było piętnaście po pierwszej, spotkanie miał umówione o wpół do czwartej, zostanie mu więc sporo czasu, żeby po drodze coś zjeść i zrealizować swój plan.

Na przedmieściach Londynu ruch był gęstszy, nawigacja wyświetliła godzinę przyjazdu na miejsce: drugą dwadzieścia jeden. Skierował się na zachód, przejechał pierwszy raz przez zakola Tamizy niedaleko Twickenham, potem drugi raz w Richmond i trzeci w Kew. Telefon pokazywał teraz czas przybycia na miejsce o drugiej czterdzieści osiem. Po chwili zmienił go na drugą trzydzieści siedem.

Pół godziny później na nabrzeżu Chelsea urządzenie kazało mu skręcić w prawo na most Vauxhall.

Jeszcze raz przejechał przez krętą Tamizę i w końcu się zatrzymał. Wyszukał w nawigacji parking. Miał jeden przed sobą, przy rondzie Elephant and Castle. Za pierwszym razem przegapił odpowiedni zjazd, dopiero za drugim udało mu się wcisnąć na odpowiedni pas i gładko wjechać na

wielopoziomowy parking. Dotarł na czwarty poziom, kiedy w końcu znaki pokazały mu wolne miejsca.

Wjechał tyłem, a kiedy włączył się ciągły sygnał cofania, podciągnął pół metra do przodu, żeby zrobić sobie dostęp do bagażnika. Zgasił silnik, wysiadł i wyjął z kufra swojego ciężkiego bromptona. Zamknął samochód, rozłożył po kolei najpierw ramę roweru, potem przednie koło, siodełko i lewy pedał. Włożył żółtą kamizelkę rowerową, okulary sportowe i kask, wsunął komórkę w uchwyt przy kierownicy i pomknął na dół okrągłą rampą. Wolny od ludzi, którzy go śledzili!

Wyjechał ostrożnie na ulicę. Minęło kilka miesięcy, od kiedy ostatnio jeździł rowerem po Londynie, ale ponieważ w mieście przybywało ścieżek rowerowych, a kierowcy – wyjąwszy nielicznych idiotów – coraz bardziej przyzwyczajali się do obecności jednośladów, taka wycieczka zawsze sprawiała Rossowi przyjemność, zwłaszcza gdy niebo było bezchmurne i błękitne, a on z radością myślał o tym, co zostawił za sobą.

Jechał nabrzeżem Alberta wzdłuż Tamizy i Parlamentu po drugiej stronie rzeki. Po jakimś czasie, kiedy minął nowoczesne budynki, które zasłaniały mu widok, zobaczył przed sobą majestatyczne wieże pałacu Lambeth.

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że została mu niecała godzina do spotkania z arcybiskupem. Znalazł najbliższą kafejkę, zsiadł z roweru, po czym przepuściwszy przejeżdżające samochody, przeszedł na drugą stronę, gdzie złożył z powrotem bromptona i w lokalu wybrał sobie miejsce, skąd mógł widzieć drzwi i ulicę przed wejściem.

Przejrzał menu wiszące na ścianie. Poza śniadaniem, podawanymi przez cały dzień, oferowano również sporo zdrowych potraw. Gdyby był z Imogen, zamówiłby potrawę wegańską lub przynajmniej wegetariańską, lecz ponieważ był sam, a w dodatku potrzebował solidnego zastrzyku energii, zamówił szynkę, jajka i frytki.

Czekając na zamówienie i jednym okiem kontrolując wejście oraz ulicę z przejeżdżającymi pojazdami, sprawdził telefon, czy nie przyszło nic nowego. Uprzytomnił sobie, że drżą mu dłonie. Napięcie ostatnich dni dawało mu się we znaki. Co jeszcze może się wydarzyć? Jak się zakończy ta gra? Czy sytuacja może

się jeszcze pogorszyć? Czy Imogen miała rację? Nawet jeśli miała, to i tak nie mógł teraz zrezygnować.

Rosła w nim ciekawość, dlaczego arcybiskupowi tak bardzo zależało, by spotkać się z nim osobiście. Bez względu na powód taka rozmowa doda jego artykułowi powagi. O ile go kiedyś napisze. A co jeszcze ważniejsze, takie zainteresowanie ze strony głowy Kościoła anglikańskiego powinno zapewnić mu choć odrobinę więcej bezpieczeństwa. Czy może zaufać Kościołowi Anglii bardziej niż Watykanowi?

Dokładnie w chwili, kiedy na stół wjechało jego jedzenie, zadzwonił telefon. Na ekranie pojawiła się informacja, że numer jest zastrzeżony.

– Halo? – odebrał nieufnie.

– Czy rozmawiam z panem Rossem Hunterem? – spytał dość przyjazny i swobodnie brzmiący głos z lekkim włoskim akcentem.

– Kto mówi?

– Nazywam się Giuseppe Silvestri. Dostałem ten numer od pańskiej żony. Czy może pan teraz rozmawiać?

Ross natychmiast rozpoznał nazwisko. Człowiek Watykanu.

– Szczerze mówiąc, jestem teraz zajęty.

– To sprawa najwyższej wagi, panie Hunter. Czy mogę do pana zadzwonić nieco później?

– Wieczorem, proszę.

– Nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo ważna jest ta sprawa.

Głos Włocha zaczął mu działać na nerwy. Przytrzymał ramieniem komórkę przy uchu i wycisnął sobie z tubki trochę musztardy.

– Jeśli to takie ważne, to na pewno zadzwoni pan do mnie wieczorem, panie Silverstone.

I zakończył rozmowę.

Środa, 15 marca

Czterdzieści pięć minut później uprzejmy, elegancko ubrany mężczyzna wprowadził Rossa do pięknego gabinetu z misternym, zabytkowym dywanem i ścianami wypełnionymi rzędami książek oraz obrazów olejnych. Z okna roztaczał się widok na Tamizę, Parlament i Big Bena.

Zza wielkiego, wspaniałego biurka podniósł się żwawy, sześćdziesięcioletni mężczyzna o twarzy, którą Ross znał z licznych wystąpień w mediach. Miał siwe, przerzedzone włosy, okrągłe okulary w drucianych oprawkach, purpurową koszulę z białą koloratką pod szarym garniturem oraz duży złoty krzyż wiszący na grubym łańcuchu.

Uśmiechnął się i wyciągnął dłoń, na której lśnił złoty pierścień z purpurowym kamieniem. Mówił mocnym głosem, staranną angielszczyzną elitarnej szkoły prywatnej.

– Witam pana, panie Hunter! To bardzo uprzejme, że zgodził się pan ze mną spotkać.

– Przeciwnie, wasza ekscelencjo, to ja czuję się zaszczycony pańskim zaproszeniem.

I naprawdę tak się czuł. Było to dziwne, przemożne uczucie: znaleźć się w tym gabinecie, poznać przewielebnego Tristrama Tenby'ego, najpotężniejszego przywódcę religijnego w Wielkiej Brytanii. Arcybiskup niemal od pierwszej chwili oczarował go również swoimi ujmującymi manierami.

Ross upomniał się jednak, by nie tracić czujności.

Arcybiskup zaprowadził go do wygodnego fotela stojącego naprzeciwko okna przy małym stoliku. Ross zastanawiał się, czy celowo został usadowiony tak, by mógł podziwiać piękny krajobraz.

Chwilę później do gabinetu wszedł mężczyzna ze srebrną tacą, na której stał czajniczek z herbatą, porcelanowe filiżanki oraz talerzyk z herbatnikami.

– Może być herbata czy wolałby pan kawę? – spytał arcybiskup.

– Herbata będzie doskonała.

Kilka minut później, kiedy usiedli, a asystent duchownego wyszedł i zamknął za sobą drzwi, Tenby uśmiechnął się zyczliwie.

– Zapewne się pan domyśla, czemu poprosiłem pana o tę rozmowę, panie Hunter. Czy mogę mówić „Ross”?

– Naturalnie, wasza ekscelencjo.

– Tristram będzie w sam raz – odparł arcybiskup, puszczając do niego oko niemal konspiracyjnie.

– Dziękuję. Owszem, mam pewne przypuszczenia, czemu zawdzięczam to zaproszenie.

– Zdaje się, że przyjaźnisz się z biskupem Monmouthem, prawda?

– Tak, wasza... Tristramie. Znamy się z Benedictem z czasów, kiedy pełnił funkcję pastora w Brighton. Bardzo go cenię.

– Tak, ja również. Uważam, że jest człowiekiem o wielkich możliwościach. Opowiedział mi o waszym ostatnim spotkaniu, ponieważ był bardzo zaintrygowany, a także głęboko zaniepokojony tym, co od ciebie usłyszał.

– W jakim sensie zaniepokojony?

– Po pierwsze, trafiło go źródło, z którego pochodziły informacje przekazane ci przez owego dżentelmena, doktora Cooka. Otrzymał je za pośrednictwem spirytysty. – Arcybiskup wziął do ręki spodeczek i filiżankę i postawił je sobie na kolanach. – Z pewnością zdajesz sobie sprawę, co mówi Biblia na temat mediów i jakie my, kapłani, mamy o nich zdanie.

Ross postanowił wystawić arcybiskupa na próbę.

– Czy to dlatego, że ich praktyki stoją w sprzeczności z poglądami Kościoła na temat przejścia na „drugą stronę”? Czy Kościół pragnie mieć wyłączność na kontakty ze światem duchowym i powołuje się na ostrzeżenia zawarte w Biblii, aby zdyskredytować wszelkich spirytystów?

– Nie będę z tobą dyskutował na ten temat – odrzekł Tenby z uśmiechem – ponieważ musielibyśmy spędzić tu kilka dni. Poprzestańmy w tym względzie na tym, co zostało powiedziane, i przejdźmy do ważniejszego i bardziej zasadniczego tematu: dowodu na istnienie Boga. Na pewno znasz stare powiedzenie, że nauka zadaje pytanie „Jak?“, podczas gdy religia pyta „Dlaczego?“.

Ross skinął głową.

– Badania naukowe szukają dowodu, wiara zaś sensu. Moim zdaniem rolą Kościoła we współczesnym świecie powinna być próba ich pogodzenia. Obydwa dyskursy toczą się według innych praw. Sens i wartości. Ostatnie kontrowersje, które obserwowaliśmy w Stanach Zjednoczonych i Europie, wskazują, że ludzie pragną gruntownej zmiany, zmiany całego modelu, w którym do tej pory żyliśmy. Pragną żyć w zgodzie z wartościami, które uważają za najważniejsze. Związki międzyludzkie, wolność, równość. Ludzka wspólnota. Porządek, jaki panował na świecie od długiego czasu, zaczyna się załamywać, wyłania się nowy ład. Pytanie, czy będzie lepszy, czy gorszy?

– Tego chyba nikt w obecnej chwili nie potrafi przewidzieć – zauważył Ross.

– Powiedziałbym, że brakuje ławy przysięgłych. O ile mi wiadomo, doktor Cook twierdził, że otrzymał trzy zestawy współrzędnych, które mogą udowodnić istnienie Boga, Benedict zaś powiedział ci, że potrzebowałyby, nazwijmy to, świadectwa głębszej jakości, aby je uznać za dowód.

– Owszem. Lecz nie wiedzieliśmy wtedy, do czego zaprowadzą nas współrzędne geograficzne.

– Naturalnie. – Arcybiskup przerwał, by wziąć łyk herbaty, potem jeszcze przez chwilę milczał. – Wiesz, że przez setki lat wiele religii monoteistycznych wierzyło w nadejście zbawiciela. Muzułmanie wierzą, że Jezus Chrystus powróci na świat, ale jako zwykły prorok, nie jako Najwyższy Prorok, ponieważ dla nich zawsze pozostanie nim Mahomet. Żydzi wierzą w nadejście Mesjasza. My, chrześcijanie, wierzymy w drugie przyjście Chrystusa, lecz zawsze obawialiśmy się samozwańców i oszustów, którzy się za Niego podają. A kiedy

z ust spirytysty wychodzi wiadomość, że Bóg martwi się sytuacją na świecie, to dzwony biją na alarm, Ross.

Tenby odstawił filiżankę na stół.

– Nie zamierzam zamykać oczu na to, co powiedział ci doktor Cook. Mogą to być autentyczne informacje, zbawienne przesłanie o roli Boga w czasach, gdy na świecie zachodzą takie przemiany. Być może ma się narodzić nowy porządek, który bardziej będzie cenił ludzkie życie i ludzkie wspólnoty. Powiedz mi, co naprawdę czujesz, Ross? Co czujesz w głębi serca? Czytałem wiele twoich artykułów. Jesteś bardzo inteligentnym i przenikliwym człowiekiem, powiedz mi, co o tym myślisz.

– Myślę, że doktor Cook był przyzwoitym człowiekiem, może trochę za bardzo przewrażliwionym na punkcie tego, aby go traktowano poważnie. Możliwe też, że śmierć żony bardzo nim wstrząsnęła i trochę wytrąciła go z równowagi. Lecz szczerze mówiąc, od kiedy przejąłem po nim pałeczkę, zwyczajnie się boję.

– Czego się boisz, Ross?

– Z początku byłem sceptyczny, prawie zlekceważyłem go jako łagodnego wariata, lecz po tym, co się wydarzyło później, zmieniłem zdanie. Dwie osoby zginęły: doktor Cook oraz jego notariusz. Mnie zaatakowano w Glastonbury, w Egipcie jacyś ludzie strzelali do mnie z helikoptera. Zdemolowano mi dom, a na ścianach powypisywano fanatyczne hasła. Moja żona dostawała maile z pogrózkami.

Tenby wyglądał na szczerze wstrząśniętego.

– Chciałbyś opowiedzieć mi o tym dokładniej?

Ross czuł się przy tym człowieku na tyle swobodnie, że zdecydował się opowiedzieć mu szczegółowo całą historię, poczynając od pierwszego telefonu Cooka, poprzez wydarzenia w Chalice Well i w Egipcie, a skończywszy na tym, dlaczego przyjechał tu rowerem.

Kiedy skończył, arcybiskup przeprosił go na moment, podszedł do biurka, wziął do ręki telefon i uprzedził swojego sekretarza, że może się spóźnić na następne spotkanie. Potem wrócił do stołu.

– W twoich artykułach zawsze uderzał mnie wyjątkowy humanitaryzm. Wszystkie religie prowadzą się ostatecznie

do wiary w tego samego Boga. U ich podłoża leży tak naprawdę troska o dobre życie. Równość. Wolność. Dobro powszechne. Niektórym ludziom zrozumienie tego zajmuje więcej czasu niż innym i pierwszy gotów jestem przyznać, że chrześcijaństwo ma za sobą bardzo mroczną przeszłość. Jeżeli cofniemy zegary o tysiąc lat, przekonamy się, jakie potworne zbrodnie popełniano w czasie krucjat, jak przez setki lat później torturowano i palono na stosie heretyków. Od tamtej pory ewoluowaliśmy, w większości, w tolerancyjną i przyjazną strukturę społeczną. Królestwo prawdy i sprawiedliwości. Dajemy światu nadzieję. To wspaniała i pozytywna wizja. W ostatecznym rozrachunku ukazujemy ludziom sens życia. W religii chodzi o sens. Tak jak mówiłem wcześniej, nauka może pytać „Jak?”, lecz my szukamy odpowiedzi na pytanie „Dlaczego?”.

– A czy ty sam, Tristramie, znalazłeś odpowiedź na to pytanie?

– Nie, nie znalazłem. Mam wiarę i nadal szukam.

– Czy w takim razie widzisz coś złego w tym, że ja również szukam?

Arcybiskup popatrzył na niego z głęboką powagą.

– Byłbym nieszczery, gdybym powiedział, że nie obawiam się o twoje bezpieczeństwo, Ross. Wielu ludzi przed tobą poszukiwało DNA naszego Pana. Może naprawdę je znalazłeś, chociaż niepokoi mnie, że część twoich informacji pochodzi od spirytystów, bez względu na to, co na ten temat myślisz. Jest mnóstwo ludzi dysponujących wielką władzą i środkami, którzy chcieliby położyć ręce na tych relikwiach. Ci sami ludzie nie życzyliby sobie, abyś ujawnił to, co znalazłeś.

– W ciągu wielu lat swojej pracy zawodowej dostawałem mnóstwo pogroźek. Niebezpieczeństwo nie jest dla mnie nowością.

– Ta sprawa sięga dalej i wyżej niż wszystko, z czym miałeś dotąd do czynienia. Zmagasz się z fundamentalnym pytaniem ludzkości. Na świecie żyje wielu ludzi, którzy chętnie posłużyliby się religią, by uprawomocnić przemoc, ludzi, którzy nie tylko gotowi są zginąć za wiarę, lecz także zabijać w jej obronie. – Przerwał i twarz mu złagodniała. – Wyczuwam w tobie szlachetnego człowieka w pogoni za nieuchwytnym

światłem w ponurym, mrocznym świecie. Daj mi znać, jeśli je znajdziesz. Dopóki to się nie stanie, będę się za ciebie modlił. Pamiętaj, proszę, że jestem gotów ci pomóc, gdy tylko będziesz mnie potrzebował. Lub któregokolwiek z nas. Niech Bóg ma cię w swojej opiece. Czy możemy się teraz pomodlić?

Złożył dłonie i zamknął oczy.

Ross poczuł się trochę niezręcznie, lecz nie chciał go urazić, więc zrobił to samo.

Środa, 15 marca

Przez całą drogę powrotną w pełznącym sznurze samochodów Ross rozmyślał o spotkaniu z arcybiskupem. Dostojnik kościelny poświęcił mu dużo czasu i hojnie dzielił się z nim swoją mądrością, lecz Ross zastanawiał się, czy rzeczywiście traktował go poważnie, czy raczej bardzo subtelnie i bardzo rozmyślnie odsunął go na bok?

Czy wyrażając swoje zastrzeżenia co do źródeł, z których pochodzą informacje Rossa, Tenby chciał sprytnie podkopać jego wiarę w dokonane odkrycia i jako przedstawiciel Kościoła anglikańskiego ugruntować autorytet tej instytucji?

Zadzwoił telefon. Spojrzał na ekran systemu głośnomówiącego. Numer z prefiksem Birmingham.

– Ross Hunter – odebrał.

Usłyszał kobiecy głos i rozpoznał recepcjonistkę Anholta-Sperry'ego, która stała się dla niego o niebo miłsza po śmierci notariusza. Ross podał jej swój prywatny numer i wymienili kilka SMS-ów w sprawie toczącego się śledztwa.

– Dzień dobry, panie Hunter, mówi Irene Smither.

– Dzień dobry, Irene – powiedział łagodnie. – Jak się pani czuje?

– Jakoś się trzymam. Może pan się domyślić, że wszyscy jesteśmy w szoku.

– Tak, wyobrażam sobie.

– Pomyślałam, że chciałby pan usłyszeć najnowsze wiadomości.

– Oczywiście, bardzo dziękuję. Czego się pani dowiedziała?

– Właśnie był u mnie nadinspektor Starr. Miał wstępne wyniki sekcji zwłok. Okazuje się, że przestał działać rozrusznik serca pana Anholta-Sperry'ego.

– Nie wiedziałem, że miał rozrusznik.

Przypomniiał sobie, że notariusz wspominał mu o jakichś kłopotach z „pikawą”.

– Od wielu lat. To był nawet już drugi. Wszczepiono mu go półtora roku temu. Wysłali go do ekspertyzy, mają zbadać, czy... – Głos jej się załamał. Ross usłyszał, jak kobieta pociąga nosem i próbuje wziąć się w garść. – ...czy nie był uszkodzony – dokończyła po chwili.

Rossa przeszedł nagle zimny dreszcz, ponieważ przypomniał sobie motocyklistę, który wpadł na niego w drzwiach budynku, i to dziwne uczucie przyciągania, wrażenie, jakby jego medalik świętego Krzysztofa poruszał się pod koszulą.

Całkiem niedawno czytał w internecie artykuł o zabójstwach, które nie pozostawiają śladów. Do niektórych nowoczesnych rozruszników można się włamać i zmienić lub zatrzymać ich elektroniczne impulsy...

...albo podziałać na nie bardzo silnym magnesem.

Czy motocyklista – prawdopodobnie tajemniczy poprzedni klient Roberta Anholta-Sperry’ego – miał przy sobie taki magnes?

Ross usłyszał daleki kobiecy głos niczym słabiutkie echo.

– Halo? Halo? Panie Hunter, jest pan tam?

– Tak, tak, przepraszam, zanika mi sygnał, prowadzę samochód.

– Och, może powinnam zadzwonić później?

– Nie, nie, nie trzeba, mam system głośnomówiący. Czy nadinspektor Starr coś jeszcze powiedział?

– Tak, powiedział, że cały czas nie mogą znaleźć klienta, który wchodził przed panem, pana Dunna. Terence’a Dunna.

– Podejrzewają, że ten człowiek może mieć związek ze śmiercią pani szefa?

– Nadinspektor powiedział, że na tym etapie nie wykluczają żadnej możliwości. Ja... to... to po prostu okropne.

– Pan Anholt-Sperry był miłym człowiekiem – powiedział Ross niezręcznie.

– Dam panu znać, jeśli się jeszcze czegoś dowiem.

– Będę bardzo wdzięczny.

Gdy tylko zakończył rozmowę, telefon znowu zadzwonił.
Tym razem była to Imogen.

– Gdzie jesteś, Ross?

– Na skrzyżowaniu M25 i M23. Okropne korki.

– O której będziesz?

Spojrzał na zegar samochodowy. Szósta.

– Za czterdzieści minut, może godzinę.

– Poczekam.

– Umówiłem na jutro Gordona, elektryka, który przyjdzie naprawić kamery.

– Cały mój Ross – powiedziała cierpko Imogen. – Zawsze mądry po szkodzie.

– Hej, Imo, to nie...

Lecz Imogen się rozłączyła.

Środa, 15 marca

Pastor Wesley Wenceslas siedział przy stole w głównej sali konferencyjnej Gethsemane Park razem z Lancelotem Pope'em i patrzył na zapadający zmierzch. Nie był szczęśliwy.

Przez interkom zadzwoniła jego żona, Marina.

– Kochanie, przyjdiesz powiedzieć dzieciom dobranoc albo poczytać im przed snem?

– Nie, skarbie, mam tu mały problem, z którym muszę się uporać. Ucałuj je ode mnie.

– O której godzinie chcesz kolację?

– Nie wiem, zadzwonię do ciebie, dobrze, słonko?

– Postaraj się nie wracać zbyt późno.

Kiedy Wenceslas zakończył rozmowę, Pope wyszczerzył zęby.

– Rodzinna sielanka, co?

Wenceslas puścił tę uwagę mimo uszu.

– Słuchaj no, Wszechuśmiech, Ross Hunter nie spędził prawie trzech godzin w samochodzie na parkingu przy Elephant and Castle, grzebiąc palcem w dupie – napadł na swego podwładnego. – Co w tym czasie robił?

– Nie wiem, wymknął się nam. Ale już go mamy z powrotem.

To mówiąc, Pope wskazał głową monitor komputera. Niebieska kropka poruszała się jednostajnie trasą M23 w kierunku Brighton i właśnie mijala zjazd na lotnisko Gatwick.

– Widzę. – Wenceslas wskazał dwoma palcami swoje oczy. – Mam w głowie to coś, co dał mi nasz Pan, jak każdemu człowiekowi w tym samym czasie, kiedy wypełniał ci głowę trocinami. Nie widzę natomiast tego, gdzie był wcześniej przez dwie i pół godziny.

– A Bóg nie może ci powiedzieć?

Wesley Wenceslas spiorunował go wzrokiem.

– Jak długo jeszcze będziesz pozwalał, żeby ten pismak robił z ciebie balona? Czasami mam wrażenie, że traktujesz tę całą sprawę jak dobry żart. Może powinienem cię zwolnić, czy to też byłoby dla ciebie zabawne?

Wszechuśmiejch popatrzył na niego i uśmiechnął się ze spokojnym zadowoleniem. Obaj mężczyźni doskonale wiedzieli, że Wenceslas nigdy, nawet za tysiąc lat, nie będzie mógł zwolnić Lancelota Pope'a, jeśli nie chce, żeby zawałiło się całe jego imperium, kiedy dyrektor generalny Duszpasterstwa Wesleya Wenceslasa pójdzie do mediów z pełnym kubłem brudów.

– Uspokój się, szefie. Nerwy szkodzą ci na ciśnienie.

– To ty mi szkodzisz na ciśnienie.

– Ciesz się! Widzimy każdy jego ruch: miejsce pobytu, rozmowy, wyjazdy, przez okrągłą dobę. I śledzimy tych, którzy śledzą jego. Wiemy, że zawiózł coś do ATGC, i tym razem, kiedy pojedzie to odebrać, zdobędziemy to od niego, zanim ruszy z parkingu.

– Lepiej, żeby tak było, bo odpowiadasz za to głową.

Lancelot prześwidrował go wzrokiem.

– Ja nigdy za nic nie odpowiadam głową. Nie próbuj mnie straszyć, szefie, bo tego nie lubię. Powinienem ci kupić książkę, jak kontrolować złość.

– Wiesz, dlaczego się złościsz? Przez ciebie. Zawsze przez ciebie.

– Przenosisz tylko na mnie własną frustrację. „Kultura zrzucania winy”, sam występujesz przeciwko niej w swoich kazaniach, szefie. Nieładnie – cmoknął z dezaprobatą.

– Mam ochotę cię udusić.

– Szóste przykazanie: „Nie zabijaj”.

Wenceslas spojrział ponownie na ekran.

– Mam nadzieję, że naprawdę zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji – powiedział.

– Wściekając się, ciągle zapominasz o jednej rzeczy. Kiedy cię znalazłem, wygłaszałeś kazania do pięćdziesięciu osób w zdezelowanej szopie w Tooting. Byłem w dołku, zwolniono mnie z roboty, a kiedy wróciłem do domu, okazało się, że moja

partnerka uciekła na Ibizę z innym facetem. Włóczyłem się po mieście i zastanawiałem, co mam ze sobą zrobić, do cholery, kiedy usłyszałem twój głos dobiegający przez otwarte drzwi.

– Bóg cię do mnie sprowadził.

– Nie. Aż tak mu nie podpadłem.

Wenceslas zdobył się na uśmiech.

– Obserwowałem cię podczas kazania i doszedłem do wniosku, że drzemią w tobie ukryte możliwości. Widziałem zachwycone twarze twojej publiczności.

– Wiernych – poprawił go Wenceslas.

– Nieważne. Dostrzegłem szansę na biznes. I tyle, rozumiesz? Twoje zdolności prawienia kazań i moja głowa do interesów. I po wielu latach idzie nam całkiem nieźle, nie sądzisz?

– A teraz balansujemy na krawędzi. Ross Hunter zamierza objawić światu Wielkiego Uzurpatora. Czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? Chce napuścić na nas szatana.

– Daj spokój – upomniał go Pope. – Nie gadasz do jednego ze swoich frajerów. Sam nie wierzysz w te bzdety. Czego innego się boisz, stary oszuście.

– Kto jest większym oszustem? – wypalił Wenceslas. – Przegrany księgowy, który zwąchał, że może zbić fortunę, manipulując skromnym kaznodzieją, czy...

– ...czy obłudnik w koloratce – wpadł mu w słowo Pope – który znalazł sposób, żeby zamienić religię w międzynarodowe imperium? A teraz się boi, że na świat powróci prawdziwy Bóg, a może nawet już powrócił, i przejrzy go na wylot. Zachowujesz się jak rozpieszczone dziecko, pastarze. To nie jest pora na ciskanie zabawkami z wózczyka. Musimy zachowywać się poważnie i zejść na ziemię.

Po dłuższej chwili Wenceslas zaczął się uspokajać. Skinął głową.

– Masz rację.

– Ja zawsze mam rację.

Środa, 15 marca

Pięćdziesiąt kilometrów od Gethsemane Park, na czterdziestym czwartym piętrze budynku KK Ainsley Bloor i Julius Helmsley wpatrywali się w czerwoną kropkę na wielkim ekranie, która zbliżała się z północy do Brighton.

– Przecież to niemożliwe, żeby Hunter przesiedział dwie i pół godziny na parkingu przy Vauxhall – powiedział ze złością Bloor. – Wynająłeś jakąś bandę skończonych kretynów. Jak mogli go zgubić na tyle czasu? I co najważniejsze: gdzie przez ten czas był? Co się znajduje w okolicy?

– Południowe nabrzeże? – podsunął Helmsley.

– Jasne, i co tam robił? Poszedł do teatru na przedstawienie?

– Raczej nie.

– Parlament? Albo pałac Lambeth? Może spotkał się z arcybiskupem Canterbury. A przy okazji Jego Świątobliwością papieżem, skoro już był przy temacie? – prychnął Bloor.

– Wcale bym tego nie wykluczył – zauważył Helmsley.

– Ha, ha. Więc po co wrócił do ATGC?

– Dowiem się tego.

– Z tą samą bezwzględną skutecznością, z jaką dowiedziałeś się, co notariusz z Birmingham miał przekazać Hunterowi?

– Jutro rano lecę do Monako, żeby się tego dowiedzieć.

– Za kolejne milion dolarów, co najmniej.

– To małe piwo w porównaniu z tym, ile możemy na tym zyskać.

– Tak, i nasz przyjaciel w Monako doskonale o tym wie.

– Nie jest głupcem. Ale wie również, że dla niego te rzeczy nie mają żadnej wartości. Musi dobić targu, żeby na nich zarobić. Zostaw to mnie.

Bloor wpatrywał się w ekran.

- Gdzie on był przez dwie i pół godziny?
- Spójrz na to pozytywnie, Ainsleyu. Hunter ma misję. Wszystko, co robi, robi w ostatecznym rozrachunku dla nas. Musimy tylko zachować zimną krew. W odpowiednim momencie wyprzedzimy go o krok.
- Jak na razie jesteśmy dwa kroki za nim.
- Nigdy nie zapominaj o biblijnym powiedzeniu – uśmiechnął się Helmsley – że ostatni będą pierwszymi.
- Gadasz jak popieprzony biskup.
- Wszyscy biskupi są popieprzeni.

Środa, 15 marca

Ross z daleka zauważył samochód Imogen stojący przed domem. Wjechała na podjazd tyłem, prawdopodobnie aby mieć oko na drogę.

Zaparkował obok niej i wysiadł.

Imogen zrobiła to samo. Wyglądała okropnie: miała podkrążone oczy, nieuczesane włosy, na sobie workowaty sweter i niedoprasowane dżinsy. Popatrzyła na niego dziwnie.

– Cześć – powiedziała.

Ross nie przytulił jej ani nie pocałował, skinął tylko głową i ruszył do drzwi. Gdy tylko je otworzył, wyskoczył do nich uszczęśliwiony Monty z piszczącą gumową kaczką w zębach. Prawie nie zwracając uwagi na Rossa, rzucił się natychmiast do Imogen.

Podczas gdy ona przyklękała i przytuliła do siebie psa, Ross podniósł z podłogi korespondencję i bez przeglądania rzucił ją na stół.

– Dobry piesek, przyniosłeś mi prezent? Dobry piesek...

W następnej kolejności Monty podbiegł do niego dumny jak paw i merdając szaleńczo ogonem, pokazał mu piszczącą zabawkę. Kątem oka Ross zauważył, że Imogen przegląda korespondencję. Otworzyła jedną z kopert i wyjęła ze środka list. Potem zgmiotła go w kulkę.

– Kupujesz w sklepie jedną cholerną sukienkę, a oni po pięciu latach dalej zawracają ci głowę swoimi promocjami.

– Niepotrzebnie podawałaś im adres – stwierdził Ross. – Prawo tego nie wymaga.

– Wszyscy robimy mnóstwo rzeczy, których „prawo nie wymaga” – powiedziała opryskliwie.

Zeszła do garażu i po jakimś czasie wróciła z walizką.

– Prawo nie wymaga, żebyś pojechał ze mną i zamieszkał u Bena i Virginii, ale byłoby miło, gdybyś to zrobił.

– Tu jest nasz dom.

Imogen rozejrzała się po bazgrołach na ścianach.

– Mnie to już nie przypomina naszego domu, Ross. To było nasze sanktuarium, które zostało zaatakowane. Nie czuję się tu bezpieczna i nie poczuje się, dopóki nie zapomnisz o tej historii Harry’ego Cooka.

– Dlatego podałaś temu oślizłemu indywiduum z Watykanu mój numer? Miałaś nadzieję, że dam się skusić i oddam mu wszystko, co mam?

– Ross, musimy zażegnać to niebezpieczeństwo. Niech Watykan sobie z tym radzi, są silni, mogą sobie na to pozwolić, ty się do tego nie nadajesz.

– Powiedziałaś, że Silvestri proponował zakup obydwu przedmiotów, jeśli pokażę mu dowód, że są prawdziwe. Z tego, co usłyszałem, nie składał żadnej bezwarunkowej oferty.

– Czy chociaż z nim porozmawiałeś?

– Zadzwoił do mnie w czasie lunchu. Powiedziałem, żeby odezwał się później.

– Zwykle nie przeszkadza ci rozmawianie przez telefon w czasie jedzenia.

– Zgadza się, ale Silvestri mi przeszkadzał.

Imogen pokręciła głową.

– Jezu, nie wierzę własnym uszom. Nasze życie jest w niebezpieczeństwie, nagle z nieba spada możliwe rozwiązanie, a ty je odrzucasz.

– Niczego nie odrzucam, Imo.

– Więc co robisz w sprawie tego dowodu?

– Zbliżam się... nie wiem, zbliżam się do ostatniego fragmentu układanki.

– Zbliżasz się... – Pokiwała głową w ten drażniący sposób, jak to robiła zawsze, kiedy nie wierzyła w coś, co powiedział. – Ciekawe, czy pozwolą ci dożyć do tego ostatniego fragmentu układanki.

– Kto?

– Wiesz doskonale, o czym mówię, Ross. Byłoby miło, gdybyś dożył, żeby zobaczyć swojego syna, a może nawet pomógł mi go wychować.

– Imo – powiedział, robiąc krok w jej kierunku. – Posłuchaj, wiem, jak to wszystko wygląda w twoich oczach i nie mam do ciebie żalu, że postanowiłaś przenieść się do siostry, dopóki to się nie skończy, ale uważam, że wyolbrzymiasz zagrożenie. Reagujesz zbyt nerwowo. Wiem, że przeżywasz stres z powodu ciąży...

– Co?! – prawie na niego wrzasnęła, aż z jej oczu posypały się iskry. – Nie próbuj wykorzystywać przeciwko mnie takich argumentów. To ja z nas dwojga myślę realnie.

– Ja też myślę realnie, Imo. Mamy gigantyczny kredyt hipoteczny, a ty przez dłuższy czas nie będziesz zarabiała żadnych pieniędzy.

– Więc może jednak transakcja z Silvestrim mogłaby rozwiązać nasze problemy? Zyskalibyśmy pieniądze i bezpieczeństwo.

– Świetnie, więc może pójdę do Kerr Kluge i powiem im, że otwieram licytację? KK, Watykan i wszyscy inni, którzy będą zainteresowani. Opchniemy DNA Jezusa Chrystusa temu, kto da więcej. Tego chcesz?

– Chcę się poczuć bezpieczna – odparła. – Chcę, żeby wszystko było tak jak kiedyś, zanim zadzwonił do ciebie ten przeklęty facet.

– To niemożliwe.

– Oczywiście – powiedziała, biorąc do ręki walizkę. – Bo musisz zbawić świat.

Środa, 15 marca

Po odjeździe Imogen Ross poczuł się bardzo samotny i wyczerpany.

I pusty.

Usiadł w kuchni przy stole, starał się nie zauważać napisów na ścianach. Monty jakby wyczuł jego nastrój, przyszedł, westchnął i położył się obok niego.

Schylił się, żeby go pogłaskać.

– Wiesz, Monty, pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale masz całkiem wygodne życie. Kochają cię, dają ci jeść, a ty musisz się martwić tylko o jedną rzecz: kiedy wyjdiesz na spacer. Prawda?

Pies znowu westchnął, pisnął cichutko i spojrzał na swojego pana.

– Chcesz iść na spacer? To mi próbujesz powiedzieć? Siedziałeś tu cały dzień, obgryzałeś kości i nudziłeś się jak mops. Dobra, myślę, że obaj zasługujemy na łyk świeżego powietrza.

Poderwał się, a Monty szczechnął podniecony.

Wziął smycz, narzucił swoją starą, obdartą kurtkę, której używał tylko na spacer z psem, założył czapkę z daszkiem, wcisnął do kieszeni kilka woreczków plastikowych i wziął latarkę, po czym przez dłuższą chwilę bezskutecznie próbował zapiąć psu smycz, ponieważ podniecony Monty z radości nie chciał ustać w miejscu.

Wyszli w przesiąkniętą deszczem ciemność. Ross uważnie się rozejrzał, zanim zamknął drzwi, potem skręcił w lewo i idąc pod górę, zatrzymywał się przy każdej latarni, którą Monty chciał obwąchać i obsiusiać. Imogen zażartowała kiedyś, że to

psia wersja mailowania – poznawanie zapachów pozostawionych przez inne psy i odpowiadanie swoim.

Kiedy doszedł do niewielkiego, wąskiego parku na szczycie wzgórza, schylił się i odpiął Monty’emu smycz. Pies radośnie wystrzelił przed siebie, a w tej samej chwili tuż za jego plecami rozległ się obcy akcent, aż Ross drgnął przestraszony.

– Pan Hunter?

Odwracając się, wyjął z kieszeni latarkę, włączył ją i skierował na nieznajomego snop światła. Mężczyzna trzymał obie ręce w kieszeniach i stał tak blisko, że Ross poczuł naruszenie swojej przestrzeni osobistej. Cofnął się o kilka kroków, lecz tamten nawet nie drgnął.

Był to dość przystojny, elegancko ubrany mężczyzna po czterdziestce, w kosztownym płaszczu przeciwdeszczowym z paskiem i naramiennikami. Sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie.

– Tak. Kim pan jest? – spytał Ross.

– Proszę mi wybaczyć, że przerywam panu wieczorny spacer. Nazywam się Giuseppe Silvestri. Rozmawialiśmy dzisiaj, pamięta pan?

Ross rozpoznał wyrafinowany włoski akcent.

– Zdawało mi się, że miał pan zadzwonić.

– Gorąco pana przepraszam – powiedział mężczyzna z takim urokiem osobistym, że Ross prawie uwierzył w jego szczerość.

Silvestri wyjął z kieszeni dłoń w rękawiczce i wyciągnął ją do powitania. Ross patrzył na nią przez chwilę, po czym niechętnie ją uściśnął. Rozejrzał się za Montym. Na szczęście zobaczył kudłatą czworonożną sylwetkę, kręcącą się w pobliżu za jakimś zapachem.

Mężczyzna wręczył mu wizytówkę i Ross w świetle latarki zobaczył herb ze skrzyżowanymi złotymi kluczami, łacińską inskrypcję oraz wytłoczone imię i nazwisko Monsignor Giuseppe Silvestri, a pod spodem informację: Specjalny Emisariusz Watykanu.

– Czy to dla pana odpowiedni moment, abyśmy mogli porozmawiać, panie Hunter?

– O czym?

– Może wolałby pan wejść do domu lub do mojego samochodu, gdzie będziemy mieć nieco bardziej prywatne

warunki?

– Tutaj jest dobrze.

– Naturalnie – odrzekł Silvestri. Jego czarujące maniery wydawały się wręcz agresywne. – Sądzę, że domyśla się pan, o czym chciałem z panem porozmawiać.

– Żona trochę mi wspominała, ale niewiele. Może zechciałby pan opowiedzieć od początku?

Monty zaczął szczekać. Do parku weszła kobieta ze sznaucerem; Ross nigdy jej tu wcześniej nie widział, nie należała do stałych bywalców parku. Przeszła tuż obok nich. Obaj mężczyźni umilkli, kiedy ich mijala.

– Dobry wieczór – powiedziała.

– Dobry wieczór – odpowiedział Ross.

Kiedy znalazła się poza zasięgiem słuchu, Silvestri powiedział:

– Pańska misja to bardzo szeroki temat, panie Hunter. Przedmioty, które pan znalazł, mogą mieć ogromne znaczenie historyczne, lecz mogą również narazić pana i pańską żonę na wielkie niebezpieczeństwo.

– Czy próbuje mi pan w ten sposób grozić?

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Jeśli naprawdę znajduje się pan w posiadaniu przedmiotów, o których słyszałem, to musi pan mieć świadomość, że konsekwencje tego są ogromne i skrajnie niebezpieczne. Bynajmniej nie tylko dla pańskiej rodziny, panie Hunter. To sprawa o znacznie większym zasięgu.

– Od kogo pan o tym usłyszał? I co panu powiedziano?

Włoch się uśmiechnął.

– Ależ panie Hunter, niech mi pan wierzy, że byłoby dziwne, gdybym nie wiedział o tak ważnej sprawie. Wielu ludzi o niej wie.

– Skąd? Skąd o tym wiedzą?

Zapadło długie milczenie. Silvestri popatrzył na niego, nadal się uśmiechając.

– Takich odkryć jak to nie da się utrzymać w tajemnicy.

Uwagę Rossa ściągnął samochód przejeżdżający w dole ulicą. Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył policyjny radiowóz.

– Wooky! Wooky! – zawołała kobieta.

Ross odwrócił się i zobaczył, że Monty tarmosi się w zabawie z mniejszym psem.

– Wooky! – zawołała znowu kobieta rozkazującym tonem.

– Zamierza mi pan powiedzieć, że dowiedział się tego od Boga? – zapytał Ross.

– Wiem, że spłaca pan kredyt hipoteczny – ciągnął Włoch. – A do pańskiego domu włamali się ludzie, którzy powypisywali na ścianach nieprzyjemne rzeczy.

– Co jeszcze powiedziała panu moja żona?

– Pańska żona mi tego nie powiedziała, panie Hunter. Przysyłają mnie bardzo wysokie władze, abym panu pomógł.

– Jasne, papież we własnej osobie?

– Wooky! – Kobieta podeszła do nich, ponieważ psy nadal tarmosiły się w najlepsze. – Przepraszam, czy mógłby pan przypilnować swojego psa?

– Monty! Monty! – zawołał Ross. – Monty!

Po jakimś czasie labradoodle wyskoczył z ciemności i przybiegł do nogi.

Ross przykucnął i zapiął z powrotem smycz.

– Może jednak byłoby lepiej, gdybyśmy kontynuowali tę rozmowę w miejscu bardziej odosobnionym – zasugerował Silvestri.

Ross odwrócił się i pociągnąwszy łagodnie za smycz, wyszedł na chodnik i ruszył ścieżką w dół. Włoch szedł obok niego miarowym krokiem.

– Proszę, niech mnie pan zrozumie, nie mam na myśli niczego złego, nie chcę również pana obrazić. Chcę panu pomóc, to wszystko.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Przeciwnie, uważam, że bardzo pan potrzebuje pomocy, jeśli naprawdę jest pan w posiadaniu zęba, który należał do naszego Pana, Jezusa Chrystusa, oraz naczynia, z którego pił podczas Ostatniej Wieczerzy i do którego zebrano jego krew, kiedy wisiał na krzyżu. Zostałem upoważniony do zapłacenia panu dużej sumy pieniędzy, która nie tylko wystarczy na spłacenie hipoteki, ale uczyni pana bogatym człowiekiem. Oczywiście transakcja przeprowadzona zostałaby dyskretnie, pieniądze zostałyby przelane na przykład na konto szwajcarskie. Nikt by się o nich nie dowiedział.

– Doprawdy? Skoro Bóg informuje was o rzeczach, które posiadam, to czemu podajecie w wątpliwość ich pochodzenie? A jeśli kwestionujecie ich pochodzenie, to czemu mam wam wierzyć?

– Chciałbym trochę więcej zrozumieć. Uzyskać więcej informacji. Oczywiście zobaczyć obydwie przedmioty i oddać do ekspertyzy.

– Wasz Kościół jest najbogatszym wyznaniem na świecie – odrzekł Ross. – Majątek Kościoła rzymskokatolickiego przekracza nawet fortuny wszystkich rosyjskich oligarchów razem wziętych. Czyżbyście się bali, że dowód istnienia Boga może to zmienić? Że wasza religia przestanie być dla wszystkich waszych wyznawców wyłączną bramą prowadzącą do Boga?

– Ależ bynajmniej – odparł Silvestri z uśmiechem. – Dowód na istnienie Boga byłby wspaniałą rzeczą, lecz rozpoznać Boga nie znaczy tego samego, co Go znać.

– Więc trzeba być katolikiem, nie anglikaninem, nie muzułmaninem, żydem, sikhem czy hindusem, żeby znać Boga?

– Żeby znać Boga, człowiek musi doświadczyć miłości, prawdy i piękna – odparł Silvestri spokojnie. – Kiedy Chrystus powtórnie przyjdzie na świat, nikt nie będzie mógł zaprzeczyć istnieniu Boga, na jego szczęście lub nieszczęście. Będzie to rzecz nie do podważenia, absolutny dowód tego, kim był Jezus Chrystus zgodnie z jego własnymi słowami. Jeśli taki dowód istnieje, chcielibyśmy myśleć, że wszyscy będą się z tego radować.

– O ile to wy, Kościół katolicki, będziecie właścicielem i zwiastunem tych wieści?

– Nie, panie Hunter, niczego takiego nie powiedziałem.

– Więc czemu proponujecie mnie i mojej żonie tak ogromną sumę pieniędzy?

Kilkaset metrów dalej Ross zauważył, że wóz policyjny zatrzymał się przed jego domem, obok czarnej limuzyny Mercedesa z dyplomatycznymi tablicami rejestracyjnymi. Policjantka w mundurze rozmawiała z kierowcą.

– To pański samochód? – spytał Ross.

– Tak.

Ross podszedł do funkcjonariuszki.

– Dobry wieczór, jestem Ross Hunter.

– Czy wszystko w porządku? – spytała.

– Szczerze mówiąc, nie – odparł Ross i wskazał głową Włocha. – Ten człowiek mi się narzuca.

– Czy to pański samochód? – spytała policjantka Silvestriego.

– Tak.

– Słyszał pan, co powiedział pan Hunter?

Spojrzała na niego grzecznie, lecz stanowczo.

Włoch otworzył tylne drzwi swojego samochodu i wszedł do środka. Zanim je z powrotem zamknął, powiedział jeszcze do Rossa tym samym, uprzedzająco grzecznym i czarującym głosem:

– Panie Hunter, ma pan moją wizytówkę. Myślę, że powinniśmy powrócić do naszej dyskusji.

Kiedy samochód odjechał, Ross zwrócił się do policjantki:

– Dziękuję bardzo.

– Jesteśmy na służbie do jedenastej trzydzieści – powiedziała. – Gdyby pan miał jakieś problemy, proszę zadzwonić pod dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Dopilnuję, żeby następna zmiana również została poinformowana.

Ross raz jeszcze podziękował i wszedł do domu. Spuścił ze smyczy Monty'ego, który pognał do kuchni, a następnie przez kłapkę w drzwiach na dwór.

Podniósł wzrok na bazgroły z błędem ortograficznym na ścianie.

ROSS HUNTER, PRZYJACIEL ANTYCHRYSTA IMOGEN – PSZYSZŁA MATKA ANTYCHRYSTA

Wszedł do kuchni, zrobił sobie espresso, potem zadzwonił do Imogen i usiadł przy stole.

Odebrała prawie natychmiast.

– Cześć, wszystko w porządku?

– Niezupełnie. Powiedz mi, ten włoski zgniłek, który wczoraj u ciebie był, Giuseppe Silvestri...

– To nie był zgniłek. Uważam, że był wręcz ujmujący.

– Jasne. Mógłbym zdrapać z niego roczny zapas wazeliny dla firmy farmaceutycznej. Co mu powiedziałaś? O naszej sytuacji finansowej? O zdemolowaniu domu?

– Nic takiego mu nie mówiłam, słowo honoru. On jakby wiedział o... o naszych finansach... że pozostawiają wiele do życzenia. Wiedział o zdemolowaniu domu?

– Tak.

– Ross, nie mogłam mu o tym powiedzieć, bo jeszcze o tym nie wiedziałam. Wróciłam do domu dopiero wieczorem.

Czy to znaczy, że ich dom jest na podsłuchu? Przez następne pół godziny Ross przetrząsał mieszkanie, zajrzał w każdy kąt, ale niczego nie znalazł. Wrócił do kuchni.

Środa, 15 marca

Przez jakiś czas siedział wstrząśnięty bez ruchu. Kiedy w jego głowie zaczęły się wyłaniać wszystkie implikacje tego faktu, zadzwonił do Imogen.

– Może dowiedział się od policji. Może ma z nimi jakieś układy? – zasugerowała.

Ross nie odpowiedział. Rozmyślał gorączkowo. Czy Silvestri może stać za tymi aktami wandalizmu w ich mieszkaniu? Czy mogła to być część jego strategii? Aby ich zastraszyć?

– Ross, posłuchaj mnie, przyjeźdź tu. Musisz się tam czuć okropnie, siedząc i patrząc na te przerażające napisy. Niedaleko jest bardzo dobry pub, nazywa się Kot, moglibyśmy zjeść tam kolację.

– Mam kilka rzeczy do zrobienia – powiedział, chociaż czuł, że zabrzmiało to oschle, że musiał jej się wydać bardzo daleki.

I czuł się daleki.

– Ben wyjechał służbowo, mógłbyś korzystać z jego gabinetu.

– Za dużo spraw na mnie czeka. Łącznie z malarzami, którzy mają przyjechać i wycenić robotę.

– Czy ubezpieczenie wszystko pokryje?

– Nie wiem, mam nadzieję.

– Jeszcze z nimi nie rozmawiałeś?

– Nie – odparł. Jej głos zaczął go irytować. – Jutro do nich zadzwonię. Poza tym mówiłem ci, że przychodzi elektryk, żeby naprawić kamery.

Zakończył rozmowę.

„Do pańskiego domu włamali się ludzie, którzy powypisywali na ścianach nieprzyjemne rzeczy”, powiedział Silvestri.

Czy to byli jego ludzie?

Upił kawy, wyjął z zamrażarki rybę w cieście, przeczytał instrukcję i włożył jedzenie do mikrofalówki. Potem zauważył migające światelko w sekretarce automatycznej telefonu domowego. Jedna nowa wiadomość. Odtworzył ją.

– Dzień dobry, mówi konstabl Harris z wydziału śledczego policji Brighton. Dzwonię w sprawie zgłoszonego aktu wandalizmu w państwa domu. Prosiłbym, aby pan Hunter do mnie oddzwonił, żeby się umówić, a jeśli mnie nie będzie, to z którymś z moich kolegów. Proszę podać następujący numer sprawy.

Ross zanotował numer telefonu i numer sprawy, po czym poszedł do swojego gabinetu.

W skrzynce czekał na niego mail od Jolene z ATGC.

Witam, panie Hunter. Mamy dla pana wyniki z ESDA.

Będę jutro cały dzień od rana.

Przez chwilę się zastanawiał, po czym przyszedł mu do głowy pomysł. Zapytał Jolene w mailu, czy mogłaby wysłać wyniki kurierem do jego prawnika w Brighton.

Nagle jego wzrok padł na wydartą stronę „Timesa”.

PASTOR OSTRZEGA STRZEŻCIE SIĘ WIELKIEGO UZURPATORA!

Wpisał w Google nazwę kanału YouTube Wesleya Wenceslasa i czekał.

Na ekranie pokazał się biały boeing, ozdobiony logo ze skrzydlatą rybą owiniętą wokół krzyża. Na tle zdjęcia widniały słowa:

MODLITWA O PODNIEBNĄ MIŁĘ. POMÓŻ NASZEMU PASTOROWI ZJEDNOCZYĆ SIĘ DLA CIEBIE Z BOGIEM I NIEŚĆ EWANGELIĘ W KAŻDY ZAKĄTEK ŚWIATA. AKCEPTUJEMY WSZYSTKIE WAŻNE KARTY KREDYTOWE.

Następnie na ekranie pojawił się pastor we własnej osobie, a nad jego wizerunkiem napis:

MÓDL SIĘ ZA PASTORA WESLEYA WENCESLASA. POMÓŻ
MU MODLIĆ SIĘ ZA CIEBIE.

Samolot zniknął, a zastąpił go film z elegancko ubranym pastorem Wesleyem Wenceslasem, trzymającym w ręku mikrofon i krocącym niczym paw przed wielkim zgromadzeniem wiernych. Za nim wznosił się siedmiometrowy krzyż, orkiestra oraz oślepiająco jasny ekran.

Mówił spokojnie, otwarcie. Jego stado owieczek milczało zauroczone. Kamera wyławiała pojedyncze twarze. Wszystkie kiwały głowami, jakby pastor przemawiał do każdego z osobna.

– Jak ważna jest dla was wasza dusza? Czy czasami się nad tym zastanawiacie?

Przerwał i czekał, aż pytanie dotrze do słuchaczy.

– Chcę dzisiaj z wami porozmawiać o człowieku, który zjawił się tu, aby was zbawić. Nazywa się Jezus Chrystus. Został ukrzyżowany, zabity i pogrzebany. A trzeciego dnia zmartwychwstał. Wstał gotowy, aby was zbawić. A teraz ponownie nadchodzi, lecz czy was zbawi? Jak myślicie, gdzie się zjawi? W którymś z wielkich chrześcijańskich miast? Czy w miejscu, które najbardziej potrzebuje zbawienia? Jesteście tu wszyscy, ponieważ wierzycie w Jezusa.

W sali rozległ się chór głosów.

– Alleluja!

Pastor pokiwał głową z pokorną, świętoszkowatą miną.

– Przeczytajcie Ewangelię świętego Mateusza, rozdział dwudziesty czwarty. Mówi w nim, czego się mamy spodziewać, zanim powróci do nas Jezus Chrystus. Mówi, że musimy się spodziewać kłopotów. Wielkich opresji. Jezus jest szczery. Powiedział nam prawdę o przyszłości. Niczego przed nami nie ukrywa.

Potem Wenceslas złączył dłonie i wznosił oczy do nieba.

– Dzięki ci, Jezu, za twoją szczerość.

Przerwał, dopóki nie wybrzmiały kolejne „Alleluja!”. Potem uśmiechnął się i podszedł bliżej do swoich wiernych.

– Patrzcie, zejdę do was. Wszyscy musimy się spodziewać wielkich kłopotów, dopóki nie powróci nasz Pan, Jezus Chrystus. Nic nie przychodzi bez cierpienia. Nie ma korony bez krzyża. Nadchodzą nieszczęścia. Mateusz w rozdziale dwudziestym czwartym przedstawił nam żywy obraz tego, czego mamy się spodziewać. Kiedy uczniowie spytali Go, jakie będą zwiastuny Jego nadejścia, Jezus wymienił cztery czytelne znaki i ostrzeżenie przed wielką mistyfikacją. Pamiętacie pierwszy znak? Pierwszy znak to nieszczęścia na świecie, głód i trzęsienia ziemi. – Znowu przerwał, po czym rozpostarł ramiona i mówił dalej łagodniejszym tonem: – Ale nie martwcie się, nie są to bowiem bóle przedśmiertne, lecz bóle porodowe. Kiedy niechrześcijanie mówią, że nie wiedzą, dokąd zmierza świat, chrześcijanie odpowiadają na to jak jeden mąż: „My wiemy!”.

Ross patrzył i czuł, jak wzbiera w nim gniew. Widział, jak pastor manipuluje słuchaczami, i czekał na kolejny apel o datki.

– Nadejdą fałszywi mesjasze, mieniący siebie Zbawicielami. Daniel pisał o „ohydzie spustoszenia”. Żyje w niej człowiek, który myśli, że jest powstającym Bogiem. Gardzi prawem, zwiastuje pokój i bezpieczeństwo. Ale to on jest Bestią. Niesłuchanie niebezpieczną postacią. Politycznym dyktatorem. Na szczęście jego rządy będą krótkie.

Znowu przerwał we wrzawie narastającego w tłumie „Alleluja!”.

– W Księdze Objawienia przeczytacie o czterech jeźdźcach Apokalipsy. Pierwszy jest biały i symbolizuje militarną agresję. Drugi jest czerwony i oznacza rozlew krwi. Trzeci jest czarny i uosabia głód. Czwarty jest blady, to Zaraza. Zamiast Ojca, Syna i Ducha Świętego zaoferują wam Szatana, Antychrysta i fałszywego proroka. Powiadam wam, wszystko to zostało przepowiedziane w Biblii. Jak dotąd sprawdziło się każde najmniejsze proroctwo z Pisma Świętego. Ale ponieważ jesteście prawdziwymi chrześcijanami, możecie zostać zbawieni!

Odwrócił się z powrotem do ołtarza, uklęknął i wznosił ręce w błagalnej modlitwie. Potem wstał i zwrócił się do tłumu.

– Bliski jest dzień, kiedy spojrzycie w niebo i zobaczycie, że słońce, księżyc i gwiazdy zgasły. Dzień wyda wam się środkiem

nocy. Bóg zgasi światła domu. Lecz potem! Potem rozbłyśnie nagle oślepiające światło. Podniesie się zasłona i ujrzycie Jezusa i blask aniołów!

Setki ludzi zawołało razem:

– Alleluja!

Zbiegł ze sceny, jakby ciągnięty niewidzialną siłą. Na szerokim ekranie pojawił się tekst:

ZŁÓŻ OFIARĘ, BY ZOSTAĆ ZBAWIONYM. KUBEŁKI NA GOTÓWKĘ PRZY WYJŚCIACH. ODWIEDŹ MOJĄ STRONĘ, BY SPRAWDZIĆ CENNIK CUDÓW. PRZYJMujemy WSZYSTKIE WAŻNE KARTY KREDYTOWE.

Następnie ponownie pojawiło się zdjęcie boeinga 737 i napis:

MODLITWA O PODNIEBNĄ MILE!

Ross wściekły zamknął stronę. Czy oni naprawdę nie widzą, jaki to oszust? Jacyż ludzie potrafią być głupi! Już raz próbował zdemaskować Wenceslasa, lecz jak widać, nie odniósł sukcesu.

Spojrzał ponownie na artykuł w „Timesie”. Nie do wiary, jak łatwo ludzie dawali się otumanić.

Potem przyszła refleksja: może on tak samo dał się otumanić doktorowi Cookowi?

Aż drgnął przestraszony, usłyszawszy brzdęk SMS-a. Spojrzał na wyświetlacz. Wiadomość od Sally Hughes.

Cześć, Ross. Co u Ciebie? XX

Od czasu, gdy zaczął się spotykać z Imogen, mógł uczciwie powiedzieć, że ani razu nie zbłądził, ani nawet, jak to lakonicznie ujmowali niektórzy jego kumple, „nie oglądał wystaw”. Lecz musiał się uczciwie przyznać przed samym sobą, że ta kobieta miała w sobie coś, co go coraz bardziej pociągało. A poza tym był ciekaw, do czego zmierza.

Odpowiedział powściągliwie.

Czuję się jak w tym starym chińskim przekleństwie: oby przyszło ci żyć w ciekawych czasach. X

Po chwili Sally Hughes odpisała:

Naprawdę? Powiesz coś więcej? XX

Ross odpowiedział:

Za dużo pisania jak na SMS. Może spotkamy się kiedyś na drinka? X

Odpowiedź przyszła po kilku sekundach:

Jutro jadę do Brighton. Pracuję nad audycją o pisarzach mieszkających w twoim mieście. Jeśli masz czas... Kofeina czy alkohol? U mnie zawsze wygrywa alkohol! XX>

Ross zmarszczył brwi. Czy nie mówiła, że wyjeżdża w tym tygodniu na narty? Czyżby w jej zainteresowaniu kryło się coś złowieszczonego? Czy może to mieć związek z jej wujem?

Podoba mi się Twój styl. Zadzwoń, jak będziesz w mieście. X

Czwartek, 16 marca

Było jeszcze ciemno, kiedy Ainsley Bloor wyszedł w dresie do biegania na suche, łagodne poranne powietrze. Zrobił kilka ćwiczeń rozciągających, włączył latarkę czołową i ruszył na swoją zwyczajową trasę ścieżką żuźlową, którą kazał usypać kilka lat temu i która wiła się zakolami wokół jego posiadłości.

Nazywał ten poranny bieg objazdem pól. Niebo przecinały czerwono-różowe smugi. Ani śladu mgły. To dobrze, będzie mógł polecieć śmigłowcem i wylądować na dachu KK, co znaczyło, że dotrze do pracy czterdzieści minut szybciej niż samochodem.

Biegnąc przez zagajnik jeleni, rozmyślał o Rossie Hunterze. Jak załatwić tę sprawę, do diabła? Jak wydobyć od niego to, co znalazł? Okrążył ogromny staw i na ostatnich czterystu metrach przyspieszył do sprintu. Skończył zdyszany i spocony koło oranżerii, gdzie przez całą noc paliły się światła. W jego głowie rodził się pomysł.

Wszedł do środka i mijając sześć klatek z małpami, zaglądał do każdej po kolei. Tak jak się spodziewał, pięć pierwszych kapucynek nadal niczego nie napisało, za to w pojemniku z wydrukiem jego gwiazdora leżało kilka kartek.

Małpa siedziała na najwyższej gałęzi i kiedy podchodził do drukarki, łypała na niego podejrzliwie.

– Jak tam, Borysie? Pokazałeś, że jesteś bystrą małpką?

Zwierzę nadal siedziało bez ruchu. Bloor tymczasem spojrzał na arkusze papieru i też znieruchomiał. Wszystkie strony zadrukowane były jednym powtarzającym się słówkiem. *Ten ten...*

Wszystkie osiem kartek.

spodobał się ten szlaczek? Czy też w mózgu zwierzęcia działa się zupełnie co innego? Jak można zmienić pracę jego mózgu? Większe nagrody za różne słowa? Ale to by się nie liczyło jako przypadkowe wciskanie klawiszy.

Przestał się nad tym zastanawiać, ponieważ w tej chwili miał większy problem. I większą nagrodę w zasięgu wzroku. Eksperyment z małpami był jego prywatną sprawą, przyszłością jego firmy zaś był Ross Hunter.

Bloor skupił się na spotkaniu zarządu, które miało się odbyć za kilka godzin. Do tego czasu musiała zapaść ważna decyzja.

Ross miał niespokojny sen, więc wstał tuż przed wpół do siódmej i wyszedł z Montym na spacer. Świtało, kiedy wszedł na kładkę nad trasą A27, upewnił się, czy w okolicy nie ma żadnych owiec, spuścił psa ze smyczy i pozwolił mu biegać swobodnie po wielkim zielonym terenie, a sam z rękami w kieszeniach swojej starej, znoszonej kurtki przeciwdeszczowej ruszył wolnym krokiem przed siebie, starając się poukładać sobie wszystko w głowie. Tyle rzeczy powinien przemyśleć, lecz najwięcej zależało od tego, co miało dla niego laboratorium ATGC. Najpierw musi zobaczyć wyniki, dopiero potem będzie mógł zdecydować, co dalej.

Po powrocie do domu obejrzał w telewizji wiadomości o ósmej, potem wziął prysznic i przygotował śniadanie dla siebie i Monty'ego. Nie przyszedł żaden SMS od Imogen, więc wysłał do niej wiadomość.

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze. X

Przeglądał gazety, podczas gdy Monty pochłaniał jedzenie, stukając przywieszką o miskę.

Gdy tylko skończył jeść płatki śniadaniowe, poszedł na górę, wybrał numer, który zostawił wczoraj konstabl Harris, i umówił się na dziesiątą trzydzieści. Potem rzucił okiem na Twittera, lecz nie znalazł niczego nowego, nadal miał tyle samo obserwujących jak ostatnio: siedem tysięcy osiemset sześćdziesiąt pięć. Zajrzał w telefonie na Instagram, ponieważ uprzytomnił sobie, że minął miesiąc, od kiedy ostatnio coś tam opublikował. Zdjęcie, które zrobiła mu Imogen, kiedy próbował czytać przy śniadaniu niedzielną gazetę z głową Monty'ego

przed sobą, nadal nosiło podpis „Owczarek szpaltański” i dostało czterdzieści siedem polubień.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Przyszedł elektryk naprawić kamery. Ross zrobił mu kubek herbaty, a sobie mocną kawę, po czym wrócił na górę.

Właśnie przyszedł mail od Jolene. Napisała, że naturalnie, mogą wysłać wyniki kurierem, i poprosiła, by do niej zadzwonił w sprawie opłaty.

Ross obawiał się, że zarówno telefon stacjonarny, jak i komórkowy mogą być na podsłuchu, więc wysłał do niej SMS z komórki na kartę. Podał w nim adres swojego prawnika i polecił, żeby pobrała opłatę z jego karty kredytowej, której dane miała w systemie.

Następnie wysłał SMS do prawnika, uprzedził go o spodziewanej przesyłce, poprosił o zrobienie fotokopii tego, co przyjdzie, i zdeponowanie w jego skrytce razem z rękopisem. Oryginał ma wysłać najszybszym kurierem na jego adres domowy.

Przejrzał maile, które przyszły w nocy, wyrzucił do kosza kilka spamów i zobaczył wiadomość od Natalie z „Sunday Timesa”.

Dzień dobry, panie Nieznajomy. Jest jakaś szansa, że zobaczymy w tym stuleciu tę sensacyjną historię, nad którą podobno pracujesz?

Ross wstał i wyjrzał przez okno na ulicę. Po drugiej stronie stał samochód z odkrytą platformą, z której jacyś ludzie wyładowywali elementy rusztowania. Poza nim nigdzie nie zauważył żadnego innego nieznanego pojazdu. Usiadł z powrotem przed komputerem.

Sensacyjna historia.

Na czym właściwie polega jego rola w tej historii? Co przyniesie dzisiejszy dzień?

Może kiedy przyjdzie przesyłka od prawnika, będzie wiedział dużo więcej.

Zaczął sobie przypominać rozmowy, które odbył w ciągu ostatnich kilku dni: ze Stuartem Ivenssem z MI5 w restauracji na

stacji benzynowej; z arcybiskupem Canterbury; z Włochem Giuseppe Silvestrim wczoraj wieczorem.

Ten człowiek go poważnie niepokoił. Pod jego pozornym urokiem osobistym kryło się coś bardzo groźnego.

Emisariusz Watykanu.

Co to właściwie znaczyło? Zbir papieża?

Kiedy studiował dziennikarstwo w college'u w Londynie i nie miał jeszcze dwudziestu lat, wielu jego kolegów marzyło o „wielkiej sensacji”. Jednym z jego ulubionych wykładowców był Jim Coheny, dość wyluzowany facet z ogromnym dorobkiem. Któregoś pijackiego wieczoru w pubie Coheny powiedział mu, że każdego dnia na świecie można znaleźć materiały na miliony artykułów, ale naprawdę wielka sensacja trafia się raz na dziesięć lat, a może nawet raz w życiu. Wcale nie zawsze będzie to od razu oczywiste. „Żeby znaleźć taki samorodek, trzeba wytrwałości, wiary w siebie, intuicji i żyłki hazardowej”, tłumaczył. Przytoczył przykład, który jest marzeniem każdego dziennikarza – bombę z 1972 roku autorstwa Woodwarda i Bernsteina, którzy ujawnili aferę Watergate i w efekcie doprowadzili do obalenia ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Richarda Nixona.

Coheny popatrzył mu w oczy.

– Jeśli kiedyś trafisz na taką okazję, Ross – powiedział – nieważne, za jaką cenę, musisz ją chwycić. To będzie szansa na twój wielki dzień. Kiedy nadejdzie, będziesz wiedział w głębi serca, że to jest to, na co czekałeś. Ona może zaważyć na tym, czy będziesz mieć kiedyś własną kolumnę w „Timesie” albo „Guardianie”, czy zakończysz karierę, pisząc dla prowincjonalnego brukowca na skraju bankructwa o małomiasteczkowych festynach i zgubionych psach. Masz jaja, Ross. Czuję, że masz w sobie to coś. Nie spraw mi zawodu. – Odstawił swoje piwo i postukał się w ucho. – Słuchaj. – Potem wskazał na swoje oczy. – Obserwuj. – Wreszcie uniósł ramiona i zwinął palce w szpony. – I sskacz! – zasyczał.

Ross chętnie by teraz pogadał ze starym reporterem, zasięgnął jego rady, zapytał, co jego zdaniem powinien zrobić, lecz Coheny zginął pięć lat temu w Syrii, kiedy pracował nad artykułem o ISIS. Nad swoją własną „wielką sensacją”?

Rozmyślając o Cohenym, przypomniał sobie słowa swojego dziadka wypowiedziane niedługo przed śmiercią: żeby mieć odwagę dokonywać słusznych wyborów.

Lecz Ross czuł się bardzo przygnębiony. Jakby unosił się w obcym świecie, zupełnie sam.

Imogen uciekła, ich dom wywrócono do góry nogami. Wisiało nad nimi widmo kłopotów finansowych. Redaktorce z „Sunday Timesa” najwyraźniej kończyła się cierpliwość. Miał za sobą kilka traumatycznych przeżyć z ostatnich kilku tygodni i uprzytomnił sobie, że powinien być naprawdę przerażony. Ale nie był. Może to ze zmęczenia nie może jasno myśleć? Działa na autopilocie?

Czy powinien zadzwonić do Silvestriego i rozpocząć z nim negocjacje?

A co potem? Cieszyć się z finansowego bezpieczeństwa?

Czy potrafiłby z tym żyć? Ze wspomnieniem tych poważnych oczu Harry’ego Cooka? A przecież to było zaledwie kilka tygodni temu. Czy potrafiłby żyć z myślą, że mógł coś zrobić dla ludzkości, a zamiast tego wziął pieniądze i uciekł? Jak daleko można uciec w świecie, który rozpada się na kawałki?

Znowu pomyślał o słowach Coheny’ego.

Żeby znaleźć taki samorodek, trzeba wytrwałości, wiary w siebie, intuicji i żyłki hazardowej.

Wielka sensacja?

Imogen wiedziała, o czym marzy, i zawsze go wspierała... aż do teraz.

Zadzwonił jego telefon.

– Ross Hunter – odebrał.

– I jak się zapowiada twój dzień? – zapytał wesoły kobiecy głos.

Ross natychmiast go rozpoznał.

– Cześć, Sally. Jesteś już w Brighton?

– W pociągu.

– Masz jakieś plany na lunch?

– Nic, czego nie mogłabym przesunąć dla mężczyzny, który znalazł dowód na istnienie Boga.

Uśmiechnął się, od razu poprawił mu się humor.

– Masz jakieś szczególne preferencje kulinarne?

- Nowo narodzeni chrześcijanie. Najchętniej z grilla.
- Śliscy jak piskorz.
- Mogą być ryby. Bardzo chrześcijańskie.

Umówili się o pierwszej w restauracji English's. Gdy tylko zakończyli rozmowę, Ross zadzwonił tam i zarezerwował stolik.

Czwartek, 16 marca

Dyrektorzy Kerr Kluge zebrali się w sali konferencyjnej na najwyższym piętrze. Każdy miał ze sobą kopię dokumentu ściągniętego z karty pamięci, którą Julius Helmsley dostał w końcu od ich człowieka w Monako.

Ainsley Bloor odczytał na głos współrzędne:

34°4'56.42"N 118°22'56.52"W

Ekran komputerowy na ścianie pokazywał mapę ulic zachodniego Hollywood w Los Angeles.

– Świetna robota, Juliusie – powiedział Bloor z przekąsem. – Zdajesz sobie sprawę, jaki to ogromny teren? Czy chciałbyś może coś dodać?

– To jest zawartość pliku notariusza z Birmingham, Anholta-Sperry’ego. Prawdopodobnie to, co miał przekazać Rossowi Hunterowi – odparł Helmsley.

– Czy możesz nieco zawęzić obszar poszukiwań? Czego właściwie szukamy?

– Wiemy jedno, Ainsleyu – zauważył Helmsley. – Pokrzyżowaliśmy Hunterowi plany, zdobywając te współrzędne.

Bloor spiorunował go spojrzeniem.

– Jak dotąd nie udało nam się zdobyć tego, czego Hunter szukał w Chalice Well. Nie udało nam się zdobyć tego, po co polecał do Egiptu. Teraz zdobyliśmy to, czego nadal szuka, ale nie wiemy, co to jest, tak? Krótko mówiąc, mamy mapę bez klucza.

– Może pan Hunter ma klucz bez mapy – zasugerował Alan Gittings, szef działu badań i rozwoju.

– Słuchajcie, czy przyszło wam w ogóle do głowy, że szukamy tego w niewłaściwy sposób? – spytał Ron Mason, dyrektor, któremu Bloor z całego zespołu ufał najbardziej.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Ron? – spytał Julius Helmsley.

Mason położył przed sobą kartkę z wydrukiem.

– To jest aktualna sytuacja finansowa Rossa Huntera. Rzućcie na nią okiem.

Helmsley odwrócił dokument i zaczął czytać:

– Kredyt hipoteczny na czterysta pięćdziesiąt tysięcy. Poprosił bank o wakacje kredytowe. Na koncie debet na dziesięć tysięcy. Na karcie American Express zostało mu osiemset funtów, a na Visie tysiąc pięćset.

– Co nam to mówi? – spytał Mason.

– Że Hunter rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy, o czym już wiedzieliśmy.

Bloor się uśmiechnął.

– Jak brzmi motto naszej firmy, Juliusie?

– „Otaczamy opieką”.

– Więc idź i pogadaj z nim. Obiecujcie mu spłatę hipoteki, kart kredytowych i okrągłą sumkę na deser. Dużo więcej, niż mogłaby mu zapłacić jego gazeta. – Bloor odsłonił w uśmiechu nieskazitelnie białe zęby. – Pokażcie mu, że jesteśmy gotowi otoczyć go opieką.

Konstabl Mike Harris był wstrząśnięty i pełen współczucia, kiedy zobaczył napisy na ścianach domu Rossa. Dowiedział się od Alexa Calla z wydziału technicznego, że nie znaleziono żadnych nowych dowodów w tej sprawie. Zapytał Rossa, co jego zdaniem mogło sprowokować taki czyn.

W obawie o podsłuch Ross wyprowadził Harrisa na dwór i opowiedział mu o wizycie Harry'ego Cooka i o tym, co znalazł w domu emerytowanego historyka sztuki. Podał policjantowi nazwisko nadinspektora z Birmingham, Martina Starra, i przekazał mu wszystko, co wiedział na temat śmierci Roberta Anholta-Sperry'ego. Harris oznajmił, że skontaktuje się z nadinspektorem.

Dobłą chwilę po wyjściu konstabla przyjechała przesyłka od prawnika.

Ross otworzył ją w kuchni i wyjął ze środka zwykłą kartkę, na której ATGC odwzorowało odzyskany tekst z rękopisu. Były to odręcznie spisane współrzędne geograficzne.

34°4'56.42"N 118°22'56.52"W

Poszedł na górę do swojego gabinetu, otworzył Google Earth i wpisał współrzędne w okienku wyszukiwania. Po kilku sekundach program wyświetlił mapę zachodniego Hollywood oraz oznakowanie na granicy dystryktów Fairfax i Melrose. Czy i tym razem współrzędne były celowo nieprecyzyjne, tak jak w Chalice Well? Czy odsyłają w pobliże właściwego miejsca zamiast w konkretny punkt?

Włączył widok ulicy i zaczął przesuwać mapę. Zobaczył małą galerię handlową, bazar Fairfax Farmers Market,

przychodnię kosmetyki dentystycznej, stację benzynową, liceum Fairfax, kawiarnie, bary, sklepy, jakąś obskurną niebieską konstrukcję przypominającą wielką szopę z żółto-brązowym frontem i szyldem CENTERFOLD NEWS STAND.

Czego właściwie ma szukać? Nie wyglądało to na miejsce, gdzie mogłoby nastąpić tak przełomowe wydarzenie. Ale z drugiej strony stajenki w Betlejem też prawdopodobnie nikt by o to nie podejrzewał.

Przerwał i przypomniał sobie, co powiedział mu Anholt-Sperry.

Proszę do mnie przyjechać, kiedy się pan dowie, co czeka w Dolinie Królów. Wtedy pozbędzie się pan wszelkich wątpliwości. Kiedy pan dowiedzie swojej wartości, również przed samym sobą, mam panu wręczyć trzeci zestaw współrzędnych. Wtedy odkryje pan miejsce drugiego przyjścia Chrystusa.

Serce zabiło mu szybciej. Przyszedł mu do głowy pomysł, pomysł, który mógłby zadziałać. Mógłby?

Sprawdził numer Jolene Thomas, wyszedł na dwór i zadzwonił z telefonu na kartę. Odebrała już po drugim sygnale.

Przedstawił się.

– Dzień dobry, panie Hunter! – powiedziała wesoło. – Czy pańskie dokumenty dotarły bezpiecznie?

– Tak, bardzo dziękuję. Czy mogłaby mi pani pomóc w pewnej sprawie?

– Postaram się.

– Chodzi o bazę DNA. Proszę mi powiedzieć, czy istnieją oddzielne krajowe i międzynarodowe bazy DNA standardowego, mitochondrialnego oraz Y-STR?

– Naturalnie. Z pewnością najbogatsze są bazy standardowego DNA, ma je większość służb bezpieczeństwa na świecie. Podlegają prawom ochrony danych osobowych obowiązującym w poszczególnych państwach i stanach USA. Bazy danych DNA mitochondrialnego są mniej obszerne, Y-STR zaś to już całkowita nowinka w tej dziedzinie, niewiele jest obecnie takich zbiorów. Z czasem to się zmieni, ale upłynie parę lat, zanim dorówna bazom standardowym.

– Spytam, by się upewnić: standardowy kod DNA jest inny u każdego człowieka, prawda?

– Tak. Z wyjątkiem bliźniąt jednojajowych oraz, rzadziej, trojaczków.

– DNA mitochondrialne jest żeńskie i przechodzi bez zmian w linii żeńskiej, tak?

– Tak.

– Z pokolenia na pokolenie?

– Z pokolenia na pokolenie. Z matki na córkę, wnuczkę i tak dalej w nieskończoność, niezmienione.

– A Y-STR analogicznie w linii męskiej, mam rację?

– Tak, dopóki linia męska nie wygaśnie. To badanie stosuje się z wielkim powodzeniem przy określaniu ojcostwa. Oraz pochodzenia. Ale z pewnością pan wie, że niekiedy dochodzi do mutacji, a im dłuższa linia genealogiczna, tym większe prawdopodobieństwo ich występowania.

– Jak duże jest to prawdopodobieństwo?

– Dość niewielkie.

– Można powiedzieć, że raczej nikłe?

– Tak. Bardzo nikłe. Niemniej zawsze trzeba brać taką możliwość pod uwagę.

Ross robił szybkie notatki.

– Powiedziała pani, że w tej chwili istnieje niewiele baz DNA Y-STR?

– Tak.

– Gdzie obecnie znajdują się największe?

– Bazy Y-STR?

– Tak.

– Kilka mamy w Anglii i szybko się powiększają. Kilka w Europie, z jakiegoś powodu nastąpił ostatnio ogromny postęp w tej dziedzinie w Czechach.

– A w Ameryce? – spytał Ross.

– Owszem, w Ameryce jest ich sporo. W Nowym Jorku, Illinois, na Florydzie, a największa w tej chwili w południowej Kalifornii.

– W Kalifornii?

– Tak.

– Nie wie pani, czy mają również tak samo dużą bazę mitochondrialnego DNA?

– Mają, nawet dużo większą niż Y-STR.

– Kto ma dostęp do tych baz? Czy na przykład ja mógłbym coś w nich sprawdzić?

– Nie. Są ściśle tajne. W Anglii podlegają ustawie o ochronie danych osobowych. Nie mogłabym udzielić panu wglądu nawet do pańskiego kodu, gdyby znajdował się w bazie. Za granicą jest to uzależnione od prawa obowiązującego w danym kraju lub stanie, w przypadku Ameryki Północnej. W niektórych państwach policja i służby bezpieczeństwa mają swobodny dostęp do baz, w innych wymagany jest do tego nakaz sądowy.

Kiedy Ross podziękował Jolene i zakończył rozmowę, prawie drżał z podniecenia.

Południowa Kalifornia! Dokładnie tam, gdzie leży Los Angeles.

Czwartek, 16 marca

Ross spojrział na notatki, które robił w czasie rozmowy z Jolene Thomas. Wszystkie ściśle tajne.

Popatrzył na zegarek. Za pięć dwunasta. Musi wyjść najpóźniej za czterdzieści pięć minut, żeby dojechać do śródmieścia i zaparkować przed spotkaniem z Sally. Jak zdobyć dostęp do bazy danych?

Wtedy przypomniał sobie, że jest ktoś, kto mógłby mu pomóc.

Lecz chociaż dochodziło południe, dla nocnego marko, jakim był jego znajomy haker, nadal trwał środek nocy. Dziwak nie lubił, kiedy go budzono wcześniej niż przed czwartą po południu. Trudno. Wyszukał numer Zacka Boxxa, wyszedł do ogrodu i zadzwonił z bezpiecznego telefonu.

Po kilkunastu sygnałach w głośniku odezwał się bardzo zaspany głos.

– Hrrrr?

– Zack, mówi Ross Hunter.

– Hrrrr.

Zapadła cisza. Ross czekał cierpliwie, lecz Zack się nie odzywał.

– Zack?

– Czy masz pojęcie, która jest godzina?

– Południe.

– Nie. W San Francisco jest czwarta nad ranem, na miłość boską!

– Jesteś w San Francisco?

– Nie, jestem w Brighton i próbuję się trochę przespać. Czego chcesz?

– Potrzebuję pomocy.

- Już ci pomagałem. Cholera. Chcesz pomocy za darmo?
- Mogę zapłacić.
- To byłyby pierwszy raz.
- Mówię poważnie. Czy mogę przyjechać, żebyśmy pogadali? Nie ufam telefonom. Jesteś tam, gdzie zawsze?
- Fizycznie? Geograficznie? Astronomicznie? Astrologicznie? Mentalnie?
- Rezydencjalnie.
- A, skoro o to pytasz, to mieszkam w luksusowym apartamencie na Marsie. Dochodzę do wniosku, że w dzisiejszych czasach to najlepszy wybór. Moja ziemská rezydencja nadal mieści się na Elm Grove w Brighton, ale mam nadzieję, że już niedługo.
- Czy na tyle długo, żebym zdążył przyjechać i porozmawiać? W pilnej sprawie.
- Czy ta sprawa może poczekać do czwartej po południu?
- Może, dziękuję.
- Super. Więc do czwartej się odchrzań i daj mi spać.

Czwartek, 16 marca

Przed nimi na wysokim metalowym stojaku stał wielki półmisek z ostrygami z West Mersea, cytryny oraz dodatki: winegret z siekaną cebulą i ciemny chleb z masłem.

Sally wyglądała prześlicznie.

– Na zdrowie – wzniosł toast Ross.

Stuknęli się kieliszkami z winem.

– Dobrze cię znowu widzieć.

– To ciekawe, bo właśnie to samo sobie pomyślałam.

Uśmiechnęła się trochę łobuzersko.

– Więc przyjechałaś robić wywiady z pisarzami? – zapytał na przynętę. – Z kim już rozmawiałaś?

– Z Williamem Shawem i Elly Griffiths. Oboje są czarujący. I jeszcze z uroczo szurniętym człowiekiem, który pisze o jedzeniu, Andrew Kayem. Znasz kogoś z nich?

Ross skinął głową.

– Tak, Andrew Kay sporo się udziela w lokalnych mediach. Pisze interesujące powieści. Czytałem zarówno Shawa, jak i Griffiths. Oboje są bardzo dobrzy.

– A co słyhać u Pana Boga? – spytała Sally. – Czy może to Pani Bogini?

– Dobre pytanie.

– Co z twoim artykułem? Napisałeś go już?

Wzięła ostrygę, wycisnęła na nią cytrynę, nałożyła trochę winegretu, po czym przechyliła do ust zawartość skorupki, przegryzła raz i połknęła.

– O kurczę! – powiedziała. – Rewelacja. – Upiła jeszcze trochę wina. – No dobrze. Napisałeś „w ciekawych czasach”. Więc co się dzieje?

Dość ogólnikowo zrelacjonował jej ostatnie wydarzenia, zachowując dla siebie rzeczy, którymi nie chciał się dzielić, i pilnując się, aby nie wspomnieć o współrzędnych w Los Angeles.

Kiedy skończył, Sally przez dłuższy czas patrzyła na niego w milczeniu.

– I co dalej? – spytała w końcu.

– Szczerze?

Kiwnęła głową.

– Dostaję coraz wyraźniejsze znaki od żony, że jeśli chcę uratować nasze małżeństwo, powinienem pozbyć się tej sprawy z zyskiem.

– Sprzedać relikwie oślizłemu Silvestriemu?

– Zaprzedać duszę Watykanowi.

– I zamierzasz to zrobić?

– Ja nie poddam się tak łatwo, Sally. W tej chwili cała ta sytuacja wydaje mi się kompletnie surrealistyczna. Ale nie mogę się teraz zatrzymać, za głęboko w to wszedłem. – Przeszył ją stanowczym spojrzeniem, uśmiechnął się i upił łyk wina. – Powiedz mi, rozmawiałaś ze swoim wujkiem od naszego ostatniego spotkania?

– Z gadziną Helmsleyem?

Rossa zaciekało jej określenie.

– Dlaczego „gadziną”?

– Widziałeś kiedyś jego zdjęcie?

– Tak. Znalazłem w Google’u cały zarząd Kerr Kluge.

– Należy do ludzi, którzy... nie wiem, jak to określić... sprawiają, że człowiek ma ochotę umyć ręce albo wziąć kąpiel po spotkaniu z nim. To zbok.

– Naprawdę?

– Nigdy się do mnie nie przystawiał, ale ja to czuję. Zawsze to czułam. Wystarczy na niego spojrzeć: te idiotyczne czerwone okulary, ta głupia fryzura, w dodatku nigdy nie patrzy ci prosto w oczy, kiedy z tobą rozmawia, zawsze wlepia wzrok gdzieś za twoimi plecami. Brrrr! Traktuje ludzi protekcyjnie i z wyższością. Kiedy byłam dzieckiem, zjawiał się u nas zawsze z taką wielkopańską bufonadą. Ten jego wspaniały dom w Londynie, posiadłość pod miastem i tak dalej.

– Jaka jest jego żona?

– Królowa Śniegu. Moja mama wolala klimaty cyganerii artystycznej. Była dość chaotyczna, nie to co ciotka Antonia: zimna, twarda, typ naukowca. Mama ją tolerowała, bo była jej siostrą, ale myślę, że nigdy się zbyt nie lubiły. – Zawahała się i zarumieniła. – Może to zabrzmie trochę infantylnie, ale kiedy miałam sześć lat, Julius zniszczył mi święta Bożego Narodzenia.

– To wcale nie jest infantylne, ja uwielbiam Boże Narodzenie. Co się stało? Co ci zrobił?

– Razem z ciotką przyjechali do nas na święta. Mieliśmy choinkę i pod choinką prezenty, no wiesz, to, co dla dzieciaków jest największą frajdą. Julius wziął mnie na bok, usiadł ze mną w pustym pokoju i przez pół godziny z pełną powagą i naukowo tłumaczył mi, dlaczego nie może istnieć Święty Mikołaj. Omówił ze mną wszystko po kolei, na przykład że renifery nie mają skrzydeł, więc nie mogą latać. I nawet zilustrował mi wszystko matematycznie na pięknych, czytelnych wykresach. Powiedział, ile rodzin mieszka w samej Anglii... coś około dwudziestu pięciu milionów, i że gdyby Święty Mikołaj spędził tylko minutę u każdej z nich, zajęłoby mu to trzydzieści cztery tysiące dni, czyli dziewięćdziesiąt pięć lat. Do tej pory pamiętam wyraz jego twarzy: malowało się na niej czyste okrucieństwo, jakby rozwiewanie moich złudzeń sprawiało mu olbrzymią przyjemność.

– Co za drań. Nie znoszę, kiedy ludzie odbierają dzieciom fantazje.

Sally pokiwała głową.

– Całkowicie się zgadzam. A więc dotyczy to również takiego zatwardziałego ateisty jak Dawkins?

– Wiesz, nawet w moim najbardziej ateistycznym okresie, w mojej agnostycznej fazie, zawsze coś mnie nękało w redukcjonistach. Moim zdaniem naukowcy nie potrafią sobie poradzić z poważnym paradoksem.

– Jakim?

– Widzisz, z jednej strony masz naukowców, którzy kategorycznie stwierdzają, że świat rozpoczął się od Wielkiego Wybuchu, tak?

– Tak. Do nich należy mój wuj.

– Paradoks polega na tym, że zgodnie z zasadami nauki każdy eksperyment powinien być powtarzalny w warunkach

laboratoryjnych. To jeden z największych argumentów nauki przeciwko duchom, spirytystom, telepatom i wszelkim zjawiskom paranormalnym. Znany ci jest termin „naturalizm metodologiczny”?

Sally zmarszczyła brwi.

– Nie.

– To zasada, której przestrzegają tacy ludzie jak twój wuj i wielu innych naukowców: metoda naukowego badania świata, całkowicie wykluczająca możliwość istnienia przyczyn nadnaturalnych. Bezwzględne założenie, że Bóg nie powinien być brany pod uwagę w naukowym traktowaniu zjawisk.

– A w czym tkwi paradoks?

– Naturalizm metodologiczny wymaga od naukowców, aby szukali wyjaśnień opartych na tym, co jest możliwe do zaobserwowania, przetestowania i powtórzenia. Mogą próbować powtórzyć Wielki Wybuch w akceleratorach cząsteczek, ale... – rozpostarł ramiona – czy powtórzą powstanie wszechświata? Tę restaurację? Ciebie i mnie siedzących tutaj? Tę butelkę pouilly-fuissé?

– Więc paradoks polega na tym, że kosmologowie nie mogą odfajkować ptaszka w rubryce wymagań stawianych nauce? Nie sądzisz, że niektórzy z nich mogliby się trochę wkurzyć, gdyby usłyszeli, że ich praca nie kwalifikuje się jako w pełni naukowa?

– Myślę, że nadszedł czas, żeby ktoś przekłuł balon arogancji niektórych wojujących ateistów. Kiedy będą potrafili powielić świat, dokładnie i w tym stanie ewolucji, w jakim się znajduje w tym momencie, zaakceptuję ich teorię bez zastrzeżeń. A dopóki tego nie zrobią, muszą dopuścić również inne możliwe wyjaśnienia, włączając w to Boga.

– I muszą również powielić te ostrygi z West Mersea?

– Oczywiście!

– A bozon Higgsa? – dopytywała się Sally.

– Boską cząstkę, którą odkryto w CERN-ie? Czy ona tak naprawdę czegoś dowodzi? Nadal nie wiadomo, kto ją naprawdę stworzył.

Sally nałożyła sobie następną ostrygę. Ross również.

– Wiesz, że uważa się je za afrodyzjaki? – spytała, przyglądając mu się z migoczącymi wesoło oczami.

Ross odpowiedział uśmiechem.

– Tak. Były również kiedyś pożywieniem chłopów. I podstawowym jedzeniem zakonników, ponieważ dostarczały taniego białka.

– Celowo próbujesz rozwiać romantyczny nastrój? – spytała.

– Jestem żonaty.

– A ja za żadne skarby nie próbowałabym sprowadzić cię na złą drogę.

– Wierzę.

Zapadło milczenie, które żadnego z nich nie krępowało.

Znowu stuknęli się kieliszkami.

– Czy przynieść następną butelkę, proszę pana?

Ross podniósł wzrok na kelnerkę. Czyżby naprawdę opróżnili już całe wino? Może gdyby Sally wypijała trochę więcej, puściłaby farbę?

– Myślę, że tak – powiedział. – Niegrzecznie byłoby odmówić.

Sally mu przytaknęła.

Ross wstał i przeprosił ją na moment.

– Muszę iść do łazienki. Zaraz wracam.

Kiedy wyszedł z sali, zadzwoniła jego komórka. Sally drgnęła lekko zaskoczona. To był dźwięk SMS-a.

Zobaczyła, jak Ross znika na schodach, i z ciekawości szybko obróciła telefon. SMS od biura podróży Travel Counsellors potwierdzał rezerwację lotu do Los Angeles. Odwróciła z powrotem komórkę i czekała na powrót Rossa.

Kiedy siadał przy stoliku, nie odezwała się ani słowem.

Czwartek, 16 marca

Dochodziła trzecia po południu, kiedy Imogen zaparkowała przed domem. Sama nie wiedziała, czy się cieszy, czy smuci, że na podjeździe nie ma audi Rossa. Kiedy weszła, dopadł do niej uszczęśliwiony Monty, więc uklękła, żeby go pogłaskać.

– Tęskniłam za tobą, słodziaku!

Po dłuższej chwili rozkoszowania się psią adoracją poszła na górę do sypialni, żeby spakować więcej ubrań. Kiedy wchodziła do pokoju, zadzwonił dzwonek do drzwi. Zeszła szybko na dół i otworzyła.

Przed drzwiami stał wysoki mężczyzna w garniturze, o końskim kształcie twarzy, w trochę zbyt ekstrawaganckich okularach z czerwonymi oprawkami i z modną fryzurą, na którą był o dwadzieścia lat za stary. Na policzku miał przyklejony plaster.

– Dzień dobry – powiedział. – Czy zastałem może przypadkiem pana Huntera?

– Nie, ale ja jestem przypadkiem panią Hunter.

Mężczyzna uśmiechnął się niezręcznie.

– W czym mogę panu pomóc?

– Ee... – Zawahał się. – Może powinienem przyjść kiedy indziej.

– Czy mam coś przekazać mężowi?

– No cóż, tak, proszę. – Podał jej wizytówkę. – Nazywam się Julius Helmsley, jestem dyrektorem operacyjnym firmy o nazwie Kerr Kluge.

Imogen przekrzywiła głowę.

– „Firmy o nazwie Kerr Kluge”? Jakby można było o was nie słyszeć.

– No tak... jesteśmy chyba dość popularną marką.

– Można tak powiedzieć. – Uśmiechnęła się. – Więc co, przyszedł mi pan sprzedać pastę do zębów? Mydło? Tabletki nasenne?

Spojrzała na wizytówkę.

– Nie... właściwie to kwestia finansowa.

– Czyżby Kerr Kluge było firmą seksistowską, panie Helmsley?

– Helmsley – poprawił ją. – Ależ skąd. Jesteśmy od tego jak najdalsi. Należymy wręcz do pionierów równouprawnienia zawodowego, pani Hunter. Wszystkie kobiety w naszej firmie zarabiają tyle samo co mężczyźni na analogicznych stanowiskach.

– To dobrze. Wobec tego może mi pan powiedzieć wszystko, co zamierzał powiedzieć mojemu mężowi. Napije się pan herbaty?

– No cóż, jeśli to nie kłopot.

– Żaden kłopot.

100

Czwartek, 16 marca

Sally miała mocną głowę i Rossowi się to podobało, podobnie jak jej upodobanie do jedzenia. Wyglądało na to, że ma upodobanie do życia w ogóle. I było to zaraźliwe.

Imogen też kiedyś taka była, na początku ich małżeństwa, pomyślał z żalem.

Opróżnili drugą butelkę wina, po czym Ross, ponieważ nie chciał kończyć rozmowy, zamówił koniak, a Sally cointreau z lodem. Kiedy o wpół do czwartej wychodzili w płaszczach z restauracji i jako ostatni goście lawirowali między stolikami w ogródku, czuł się dość niepewnie na nogach. A mimo to nadal jej nie rozgryzł.

Przystanęli i popatrzyli sobie w oczy. Sally uśmiechała się ciepło, zachęcająco.

- Dziękuję, doskonale się bawiłem - powiedział Ross.

- Powinniśmy to powtórzyć.

- Powinniśmy.

Nastąpił trochę niezręczny moment.

- Myślę... - powiedział, ale się zawahał.

- Myślisz?

Spojrzał na nią wesoło.

- Zdarza mi się czasem myśleć, nie sądzisz?

Sally spontanicznie pochyliła się i pocałowała go w policzek. Potem odwróciła się, pomachała mu ręką i zawołała:

- Do zobaczenia!

I odeszła.

Ross stał, patrząc za białym, elegancko skrojonym płaszczkiem przylegającym do ciała, za obcisłymi džinsami i skórzanymi butami na wysokich obcasach.

Kręciło mu się w głowie, wypił o wiele za dużo, żeby prowadzić. Musi pojechać do Zacka taksówką, a jutro wrócić po samochód na parking przed hotelem Waterfront.

Ruszył w kierunku rzędu taksówek na East Street. Idąc, próbował się skupić na tym, o co musi zapytać Boxxa. Ale cały czas rozpraszał go zapach perfum i włosów Sally.

W głowie dzwoniły mu ostrzegawcze dzwoneczki.

W kieszeni zadzwieczał telefon. Wyjął go i spojrzał na ekran. To był SMS od Sally.

**To się nazywa lunch! Następnym razem
ja stawiam. X**

**Instynkt mówił mu, żeby nie odpowiadał,
zanim nie wytrzeźwieje. Mimo to kiedy wszedł do
taksówki i podał kierowcy adres Zacka Boxxa,
wystukał w telefonie odpowiedź.**

Pospiesz się :)

Zack Boxx się nie zmienił. Mieszkał w tym samym ciemnym, zagraconym mieszkaniu co w czasie studiów dziesięć lat temu, i z tym samym niesympatycznym kotem syjamskim. Mieściło się w piwnicy jednego z wiktoriańskich szeregowców w pobliżu toru wyścigowego Brighton. Za zamkniętymi, wiecznie zasłoniętymi oknami panował smrodliwy zaduch przesiąknięty lekkim zapachem trawki. Wnętrze rozpaczliwie domagało się światła i świeżego powietrza.

Boxx miał na sobie spłowiały T-shirt z Gandalfem, niemodne džinsy oraz kapcie, które mógł odziedziczyć po zmarłym dziadku. Strąkowate włosy nosił tak samo beładnie nieostrzyżone, lecz Ross zauważył, że zaczęły już nieco rzednąć i lekko siwieć. Młodzieńczy meszek sprzed dziesięciu lat przeobraził się z czasem w kiepską imitację stylizowanego trzydniowego zarostu, który nie pasował do jego pulchnej, nieco dziecięcej twarzy i cery przypominającej wyblakłe widmo.

Kiedy Ross przedarł się przez gąszcz monitorów, klawiatur i wież serwerowych, które do spółki z pustymi kubkami i kartonowymi opakowaniami po jedzeniu zaściełały prawie całą powierzchnię podłogi w salonie, Boxx wskazał mu na wpół zapadniętą kanapę pod ścianą. Jedyną ewidentnie nową rzeczą w porównaniu z tym, co Ross pamiętał ze swojej poprzedniej wizyty, były dwa wielkie ekrany telewizyjne, z których jeden był wyłączony, drugi zaś, zajmujący niemal całą szerokość ściany, wyświetlał obraz galaktyki.

– Więc to było na serio o tym Marsie, Zack?

– To przekaz na żywo z brytyjskiego obserwatorium na wulkanie Mauna Kea na Hawajach. I nadal jest tam noc, skoro

o to pytasz – dodał z przekąsem, wyciągając rękę, aby pogłaskać kota, który wygiął grzbiet i uciekł. – Szukam miejsca, gdzie można by się przeprowadzić, zanim będzie za późno. Zostało mi tylko do rozwiązania kilka technicznych szczegółów, jak otoczenie podtrzymujące białkowe formy życia oraz środek transportu.

Maniak komputerowy, mówiący płynnie siedmioma językami, nadal wykazywał wobec świata tę samą wrogą postawę co jego kot. Jakby wszyscy sprzysięgli się przeciwko niemu i w związku z tym powinni zachowywać bezpieczną odległość. Takim go pamiętał Ross. Pamiętał również jego rażący brak ogłady towarzyskiej.

Podszedł do sofy i usiadł. Poczul pod siedzeniem sterczącą sprężynę. Przez dłuższy czas Boxx nie zwracał na niego uwagi; włączył najpierw jeden komputer, potem drugi, a następnie siedząc na podłodze, wpatrywał się w widoczne na obu ekranach rzędy cyfr i symboli, które Rossowi kompletnie nic nie mówiły, i przez cały czas mamrotał:

– Co za idiota... nie wierzę... co wyście tam zrobili, kretyni? Słowo daję... Co... co to jest?

Po dłuższej chwili odwrócił się w końcu do swojego gościa.

– Zaraz do ciebie przyjdę. Muszę wyciągnąć Centralę Łączności Rządowej z kłopotów, a CIA ma jakiś przypał w Iraku.

– Jasne, nie ma sprawy, idź, ratuj świat.

– Słowo daję, można by pomyśleć... wiesz co... ci goście... – Przerwał, wpatrując się w ekran i stukając w klawiaturę. – No wiesz... jak... To idiotyczne.

Rossowi nadal szumiało trochę w głowie.

– Masz kawę?

– W kuchni. Zrób sobie. Jest czajnik i ekspres. A przy okazji, jedzie od ciebie jak z gorzelni.

Ross wszedł do kuchni, która wyglądała, jakby przeszło przez nią tornado. Po dłuższym szperaniu znalazł chyba jedyny czysty kubek w całym pomieszczeniu oraz stertę kapsulek z kawą obok ekspresu.

Zrobił sobie potrójne espresso i poszedł z nim do salonu. Kiedy usiadł, Boxx odwrócił się do niego.

– No i...?

– Jak ci się żyje?

– Dość gównianie. Pracuję nad planem ewakuacji. Wszyscy powinniśmy się stąd zmywać, na cito.

– Nie powiem, że się z tym nie zgadzam.

– Mówię ci, armagedon. Znajdź sobie jakąś planetę, serio. To nie jest wizyta towarzyska, prawda?

– Nie. Zastanawiałem się, czy mógłbyś mi pomóc. Potrzebuję ściągnąć nielegalne dane.

– Mhm...?

Zachowując dla siebie niektóre szczegóły, Ross powiedział mu, czego potrzebuje. W tym czasie Zack Boxx wpisywał na klawiaturze notatki. Kiedy skończył, podsumował:

– Rozumiem. Standardowe DNA, mitochondrialne DNA i Y-STR z Los Angeles, a raczej południowej Kalifornii. Chcesz, żebym zajrzał w ich bazę danych?

– Tak.

– I złamał prawo?

– Jeśli to będzie konieczne. Domyślam się, że wiesz, jak zacierać za sobą ślady.

– Nie babram się już w tym gównie dla przyjemności, Ross. Ani po to, żeby sobie udowodnić, że potrafię. Teraz to jest dla mnie tylko interes, zarabiam na życie. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Rozumiem.

– Oszczędzam forszę. Naprawdę chcę stąd uciec.

– Z tego mieszkania?

Boxx popatrzył na niego jak na wariata.

– Z tej pieprzonej planety. Jeśli masz trochę oleju w głowie, to polecisz ze mną.

– Ja ją próbuję uratować.

– Powodzenia. – Wystukał coś na klawiaturze i na ekranie zmienił się obraz. – Dobra, więc tak: postaram się włamać do tych trzech baz i wprowadzić coś, co będzie szukało pasującego kodu genetycznego, ewentualnie powiadomiło mnie, gdyby taki kod pojawił się w przyszłości.

– Jak dalekiej przyszłości? – spytał Ross.

– Takiej, jak sobie życzysz.

– Kiedy możesz dostać wynik?

– To zależy, co oni tam mają. Muszę napisać program dla moich pracodawców, duży program. Może uda mi się dzisiaj wieczorem albo jutro.

– Dobra.

– Ale zanim zacznę, bez obrazy, potrzebuję zapłaty z góry.

– Ile sobie liczysz?

Po raz pierwszy Boxx się uśmiechnął.

– Dla kumpli? Dwa tysiące za wyszukiwanie i tysiąc premii za każde trafienie, nie więcej niż trzy patyki. Zgoda?

– Przyjmujesz karty kredytowe?

– Ha, ha.

Za biurkiem siedział opat – kruchy mężczyzna w okularach jak denka od butelek, z półksiężycem niesfornej białej brody. Za jego plecami wąskie okno o nierównych krawędziach było otwarte na wszystkie żywioły. Wykuli je w murze budowniczy monasteru około tysiąc trzysta sześćdziesiątego szóstego roku, kiedy budowlę wzniesiono wysoko nad wodami Morza Egejskiego, na stoku góry zwanej wówczas Skałą Szymona.

Przed opatem stał brat Pete z rękami założonymi na plecach. Obaj mężczyźni nosili identyczne, ciężkie, czarne habity oraz tradycyjne prawosławne nakrycia głowy, *kalymafki* – okrągłą czarną czapkę z woalem spływającym po obu stronach twarzy na ramiona. Jedynym elementem wyróżniającym strój opata był dziedziczny, zabytkowy złoty krzyż, wiszący na łańcuchu sięgającym prawie do brzucha.

Ten sam krzyż nosił od dawna nieżyjący poprzedni opat, widoczny na zdjęciu wiszącym na ścianie naprzeciwko okna. Przedstawiało trzy rzędy zakonników na dziedzińcu klasztornym. Mężczyźni w dwóch ostatnich rzędach stali, w pierwszym zaś siedzieli. Wszyscy nosili gęste, długie brody, znad których widać było tylko górną połowę twarzy, kilku miało okulary. Rozpiętość wiekowa sięgała od dwudziestu kilku lat do ponad dziewięćdziesięciu, na wszystkich obliczach malowała się powaga i rewerencja.

Brat Pete widział już wcześniej tę fotografię, zrobiono ją ponad pięćdziesiąt lat temu. Dzisiaj wszyscy zakonnicy wyglądali dokładnie tak samo, podobnie jak dziedzińiec. Gdyby zdjęcie zrobiono pięćset lat temu, przedstawiałoby niemal identyczny obraz. I niemal identyczny obraz przedstawiałoby zdjęcie zrobione za pięćset lat, jeśli...

Jeśli nic się nie zmieni. Jeśli czas na górze Athos stanie w miejscu.

Jeśli fundusze nadal będą napływały z Bożą pomocą.

Jeśli świat...

Opat kiwał do niego głową, jakby czytał mu w myślach i zgadzał się z nimi. W końcu odezwał się po długiej chwili milczenia:

– Bracie Pete, jeśli wydam ci zgodę na wyjazd, to skąd mogę mieć pewność, że wrócisz?

– Czemu miałbym nie wrócić, ojcze opacie? Nie ma żadnego innego miejsca, dokąd chciałbym się udać. To jest mój dom i zawsze nim będzie, błogosławiony przez Marię Dziewicę, dopóki Pan nie wezwie mnie do swojego królestwa.

Opat patrzył na niego w zadumie.

– Powiedz mi dokładnie, z jakiego powodu chcesz się udać w tę podróż?

– Mój kuzyn Angus jest umierający. Pamięta ojciec brata Angusa, to za jego sprawą tu przyjechałem.

– Pamiętam go doskonale. Dałem mu zgodę, aby pojechał odwiedzić matkę, która była chora, i więcej tu nie wrócił. – Uśmiechnął się blado. – Nie musiał jej odwiedzać, jego podróż nie była konieczna. Modlitwy, które by tutaj odmawiał, byłyby równie skuteczne, nie mam co do tego wątpliwości. Czemu chcesz trudzić się tą podróżą? Czemu nie pomodlisz się tutaj za swojego kuzyna?

– Myślę, że ujrzę go po raz ostatni, ojcze opacie. Niewiele życia mu zostało.

– Zobaczysz go po raz ostatni? – W oczach starca coś dziwnie zamigotało. Jakiś cień uśmiechu. – Oczywiście, że nie. To tylko ostatni raz tutaj, bracie Pete. Do czasu, kiedy obaj spotkacie się w chwale Bożej.

– Mój kuzyn ma coś, co chciałby mi przekazać na przechowanie. Kiedy dwa dni temu ojciec w swej dobroci pozwolił mi odebrać telefon, dzwonił właśnie brat Angus, żeby mnie poprosić o tę przysługę. Życzenie umierającego człowieka. Powierzono mu opiekę nad dwoma przedmiotami, które, jak mnie zapewnił, mają największą wagę dla wiary chrześcijańskiej, jaką można sobie wyobrazić. Angus się boi, co się z nimi stanie, kiedy umrze.

– Czy wiesz, co to za przedmioty? Czy są prawdziwe?

– On wierzy, że tak.

– Musisz być ostrożny, bracie Pete. Historia naszej wiary tonie w grzęzawisku fałszywych relikwii, oszustw i mistyfikacji. Niektóre z nich są dziełem Antychrysta, niektóre zwyczajnych oportunistów i cwaniaków, którzy wyłudniają pieniądze od łatwowiernych ludzi.

– Brat Angus uważa, że wkrótce ujrzymy dowód na to, jak prawdziwe są te przedmioty.

– Może powinniśmy poczekać na ów dowód, zanim wyjedziesz? Może powinniśmy poddać je próbie?

– Obawiam się, że jeśli brat Angus umrze, te przedmioty mogą przepaść na zawsze, ojcze opacie.

Opat z namysłem pokiwał głową.

– Jeśli te przedmioty prawdziwie pochodzą od Boga, to za Jego sprawą znajdą odpowiednie miejsce bez niczyjej interwencji.

– A może to właśnie nasze przeznaczenie, aby nasz klasztor stał się dla nich odpowiednim miejscem?

Starzec uśmiechnął się ze smutkiem.

– Proszę, wyjaśnij mi, co to za przedmioty, a ja podejmę decyzję.

Po krótkim wahaniu brat Pete powiedział mu prawdę.

103

Czwartek, 16 marca

Ross wracał od Zacka Boxxa taksówką, która podskakiwała na każdym wyboju. Kierowca prowadził szybko i lekkomyślnie, kłócąc się z kimś przez telefon, który trzymał przy uchu, i nie przejmując się przepisami.

W komórce Rossa zadzwieczał SMS od Imogen.

Cześć, Nieznajomy! Jak Ci mija dzień? Może byśmy się spotkali wieczorem? Przyjedź do nas. XX

Patrzył na wiadomość z wyrzutami sumienia. Stał tam na ulicy przed restauracją i pozwalał się całować Sally w policzek. A jego żona spodziewa się dziecka.

– Seagullsi świetnie sobie radzą w tym sezonie, co? – rzucił nagle kierowca przez ramię, cały czas trzymając w ręku komórkę.

– Tak, świetnie, świetnie.

Ross popatrzył ponownie na swój telefon, a w tym samym czasie przyszedł SMS od Sally.

Chyba byłam trochę podcięta po naszym lunchu i nie podziękowałam Ci jak należy. Mam nadzieję, że spotkanie poszło dobrze? :)

Zmarszczył brwi, próbując szczegółowo przypomnieć sobie rozmowę przy lunchu, a przede wszystkim co jej powiedział o Zaku. Miał nadzieję, że nie wypaplał za dużo. Sądząc po jej niepochlebnej opinii o swoim wuju, raczej nie miał powodu się obawiać, że zaraz po spotkaniu pobiegła do Juliusa Helmsleya,

aby mu o wszystkim opowiedzieć. Ale nie mógł być tego pewien.

Odpowiedział Imogen:

**Dzięki, ale nie mogę. Rozmawiałem z malarzami, mają przyjść, żeby wycenić robotę i ustalić termin.
X**

Potem spojrział na SMS od Sally Hughes i odpisał:

Udało mi się nie zasnąć, chociaż nie wiem, czy mówiłem składnie. Ale lunch był wspaniały! Stanowczo musimy go niedługo powtórzyć! XXXX

Przyszedł następny SMS od Imogen.

Cieszę się, że miałeś wspaniały lunch. Więc kto zasłużył sobie aż na 4 buziaczki?

Rossa przebiegły lodowate ciarki. Niech to szlag! Jak to się stało?

Spojrział na wątek. Rzeczywiście, przez pomyłkę wysłał do Imogen wiadomość dla Sally.

Tymczasem przyszła odpowiedź od dziennikarki.

Hmmmm? Malarze?

Ponownie zaklął na swoją głupotę. Myślał gorączkowo. Potem ostrożnie wystukał odpowiedź do Imogen.

To była moja redaktorka! XX

Po sekundzie Imogen odpowiedziała:

Jasne. Nie wiedziałam, że musisz ją dmuchać, żeby dostawać zlecenia.

Czwartek, 16 marca

– No i...? – spytał Wesley Wenceslas.

– No i...? – spytał Pope.

– Odpowiedz mi – warknął pastor do mikrofonu, spoglądając lękliwie na ciemność za oknem i deszcz spływający po szybach śmigłowca.

– Odpowiedź zależy od pytania – odrzekł Pope. – Jeśli chcesz znać stolicę Peru, to odpowiedź brzmi: Lima. A jeśli pytasz o sens życia według Douglasa Adamsa, to jest to liczba czterdzieści dwa. – Przeniósł z powrotem wzrok na ściągę, którą przygotowywał dla pastora na dzisiejsze kazanie w Leicesterze.

– To nie jest odpowiedni moment na żarty – burknął Wenceslas.

Śmigłowiec podskoczył i szarpnął, wciągnięty w turbulencję podczas zniżania lotu na lotnisko East Midlands. Pastor zacisnął oczy i splótł dłonie przed sobą.

– Czyżby? Nie czytałeś Kurta Vonneguta? – spytał Pope.

– Kogo?

– Ajajaj.

– Jakiego Kurta?

– To wielki amerykański pisarz. On to kumał. Rozumiał. Powiedział kilka najmądrzejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek napisano: „Posłuchajcie: jesteśmy na Ziemi, żeby zbijać bąki. I nie dajcie sobie wmówić, że jest inaczej”.

Wenceslas popatrzył na swojego dyrektora generalnego.

– Czy nie przyszło ci do głowy, że pewnego dnia możesz przekroczyć granicę zuchwałości? – Pokręcił głową. – Za jakie grzechy Bóg mnie tobą pokarał?

– Bóg mnie do ciebie sprowadził, pamiętasz? Złóż to na karb jego poczucia humoru.

Przed nimi pojawiły się światła lądowiska. Śmigłowiec zawisł dwa metry nad ziemią i Wenceslas w końcu się odprężył. Spiorunował Pope'a wzrokiem.

– Powiem tylko tyle: jeśli Bóg cię do mnie sprowadził, to musiał mieć naprawdę zły dzień.

Kiedy maszyna usiadła na ziemi, obaj mężczyźni zdjęli z uszu słuchawki.

– Mówiąc poważnie, Wszechuśmiech, na czym stoimy w sprawie Rossa Huntera? Nie daje mi spokoju...

Przerwał mu podwójny dźwięk dzwonka. Pope spojrział na swój telefon i przeczytał wiadomość.

– Od naszego elektryka.

– Elektryka?

– Dał w łapę facetowi, który naprawiał kamery w mieszkaniu Rossa. Dla niego to pięcioletni zarobek. Pewnie mógł go kupić taniej, ale co tam, nie jesteśmy skąpi, prawda, pastorze?

– Łatwo ci przychodzi wydawać moje pieniądze.

– Nasze pieniądze.

– Jesteś zwyczajnym hochsztaplerem, Pope.

– Och, jasne, proszę o wybaczenie. Kiedy to ostatnio odmawiałeś modlitwę, za którą każesz sobie płacić dwadzieścia pięć funtów?

– To tylko symbol.

– No jasne! To samo wyjaśnisz Bogu na Sądzie Ostatecznym? Oczywiście zakładając, że tam będzie, kiedy staniesz przed perłową bramą.

– Bóg zrozumie, że przywiodłem do Niego miliony ludzi, napełniając ich serca Duchem Świętym.

– Na tym polega w znacznej mierze twój problem, prawda? Ty naprawdę wierzysz w swoje slogany reklamowe.

– A twój problem polega na tym, że jeśli nie zaczniesz traktować tej sprawy poważnie, panie Pope, to ten parszywy pismak poważnie zaburzy twój przyszły plan budżetowy.

– Podobnie jak twój.

– Więc dałeś łapówkę elektrykowi Huntera?

– Żeby pozwolił naprawić jego kamery naszemu elektrykowi. Mamy teraz nad nimi nadzór oraz podsłuch w telefonie stacjonarnym. Kiedy dzisiaj wieczorem wróci do domu po lunchu w centrum Brighton i spotkaniu w okolicach toru wyścigowego, powinniśmy również zdobyć dostęp do jego komórki. W każdym razie jeśli okaże się na tyle głupi, żeby zostawić włączonego bluetoota.

– A jeśli nie jest na tyle głupi?

Pope zaprezentował uśmiech, któremu zawdzięczał swój przydomek.

– Jeśli nie, to zrobimy to za niego.

Wesley Wenceslas pogroził mu palcem.

– Ależ niegrzeczny z ciebie szpicel!

– Czy nie to samo robi nam twój Bóg? Szpieguje nas wszystkich?

Pastor przeszył go wzrokiem.

– Uważaj na to, co mówisz, Pope. Balansujesz na krawędzi bluźnierstwa. Przyszło ci kiedyś do głowy, że możesz skończyć w piekle?

– A powinienem się tym martwić? Przekonujesz wszystkich, że życie po śmierci jest o niebo lepsze niż ziemskie. Dochodzę do wniosku, że piekło również. Powiadam ci: niech się stanie!

– Czasem przyprawiasz mnie o rozpacz, Wszechuśmiech. Modlę się o twoją duszę.

– Więc jestem szczęśliwym wyjątkiem.

– Dlaczego wyjątkiem?

– Bo robisz to dla mnie za darmo.

Czwartek, 16 marca

W domu było ciemno, kiedy Ross kazał zatrzymać taksówkę, zapłacił kierowcy za kurs i jak zwykle rozglądając się uważnie dookoła, podszedł pod drzwi. Ze środka dobiegało nieco bezładne poszczekiwanie.

Kiedy przestąpił próg, rzucił się do niego rozradowany Monty, a jednocześnie zadzwonił telefon komórkowy. Zastrzeżony numer.

– Ross Hunter – odebrał.

– Dobry wieczór, panie Hunter. Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałbym się dowiedzieć, czy zastanawiał się pan nad naszą wczorajszą rozmową – powiedział Giuseppe Silvestri.

– Nie zastanawiałem się – odparł Ross.

– Chciałbym ponownie się z panem spotkać, aby przedstawić panu propozycję. Zostałem uprawniony przez moich zwierzchników do złożenia panu bezwarunkowej oferty.

Ross przycisnął telefon ramieniem do ucha i ukucnął, żeby pogłaskać Monty'ego.

– Jakiej konkretnie oferty?

– Na kielich oraz zęb.

– „Bezwarunkowej oferty”? O jakiej dokładnie sumie rozmawiamy?

– Jak się panu podoba suma trzech milionów euro wypłaconych na wskazane przez pana konto w dowolnym miejscu na świecie?

Rossa aż zatkało. Według aktualnych kursów walutowych trzy miliony euro dawało prawie trzy miliony funtów. To były duże pieniądze, znacznie więcej, niż mógłby dostać za swój końcowy artykuł, nawet biorąc pod uwagę wszelkie dodatkowe

korzyści. Po zapłaceniu podatku mogliby spłacić hipotekę i zostaloby im jeszcze mnóstwo pieniędzy. Zażegnałby w ten sposób wszystkie zagrożenia. A mimo to...

Próbował myśleć jasno.

– Panie Silvestri – powiedział w końcu. – Jeszcze wczoraj kwestionował pan prawdziwość tych przedmiotów. Teraz już pan w nią nie wątpi?

– Czy możemy się spotkać, by dokończyć tę rozmowę, panie Hunter? Mógłbym przyjechać teraz do pana, jeśli to panu odpowiada.

– Proszę zrozumieć, że tu nie chodzi o pieniądze. Doceniam, że oferujecie mi ogromną sumę. Nie zamierzam z góry odrzucać waszej propozycji, ale potrzebuję czasu do namysłu. Mam pańską wizytówkę i wiem, jak się z panem skontaktować, ale muszę to w spokoju rozważyć.

– Panie Hunter, to jest zbyt ważna sprawa, aby za długo zwlekać, niebezpieczeństwo, że te przedmioty wpadną w niepowołane ręce, rośnie z dnia na dzień.

Ton głosu Silvestriego stawał się coraz bardziej napastliwy.

– Doprawdy? Nikomu nie pozwolę się zastraszyć, myślę, że powinien pan o tym wiedzieć. Już mi grożono, zostałem również napadnięty, a mój dom zdemolowano. Proszę to przyjąć do wiadomości: nie toleruję pogroźek. Czy wyraziłem się dość jasno?

– Proszę w takim razie pozwolić, abym i ja wyraził się jasno, panie Hunter. Otrzymałem bezpośrednio uprawnienia, żeby z panem rozmawiać, od Jego Świątobliwości, Namiestnika Chrystusa, Biskupa Rzymu, Stolicy Apostolskiej. Nasz papież jest symbolicznym spadkobiercą apostoła Piotra. Głową Kościoła katolickiego.

– Doceniam pańskie referencje, panie Silvestri, ale przemawia pan tylko w imieniu Kościoła katolickiego, który jest jednym z wielu wyznań, podobnie jak Kościół anglikański, jak świadkowie Jehowy, jak prezbiterianie, jak Kościół prawosławny, baptystyczny, luterański, metodystyczny, jak kwakrzy, bracia plynucy czy zielonoświątkowcy.

– Panie Hunter – powiedział Silvestri równie spokojnie i uprzejmie jak zawsze. – Nie możemy ugrzęznąć w semantyce. Jeśli przedmioty, które pan posiada, są naprawdę Świętym

Graalem oraz zębem Jezusa Chrystusa, ich prawowitym miejscem jest Rzym, siedziba chrześcijaństwa.

– To tylko pańska opinia.

– To fakt, panie Hunter.

– Zapewniam pana, panie Silvestri, że przedmioty te znajdują się w bezpiecznych rękach. Szanuję je i podjąłem kroki, aby je chronić. Jeśli uznam pana za odpowiedniego opiekuna dla tych przedmiotów, poinformuję pana o tym. Rozważę pańską ofertę, to na razie wszystko.

– Może się panu wydawać, że chroni pan te przedmioty, ale czy zdaje pan sobie sprawę, że są ludzie, którzy reprezentują, proszę mi wybaczyć, że to powiem, niższy poziom moralny niż Jego Świątobliwość? Chcą je zdobyć za wszelką cenę, choćby za cenę pańskiego życia. Ma pan na świecie wielu wrogów, panie Hunter. Postaramy się pana chronić, dopóki nie przekaże nam pan tych przedmiotów. Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że kiedy to się stanie, pan i pańska żona będziecie całkowicie bezpieczni.

– Czy pan mi grozi, panie Silvestri?

– Proszę nie interpretować opacznie moich słów.

– A jak powinienem je interpretować?

– Proszę mnie uważać za swojego przyjaciela.

– Dobrze, przyjacielu. Kończę naszą rozmowę. Odezwę się, kiedy będę gotowy z wami pertraktować.

Ross rozłączył się i rozejrzał po agresywnych napisach na ścianach swojego domu. Potem zabrał Monty'ego na spacer. Szedł ciemną ulicą zamyślony i całkiem trzeźwy.

W parku spuścił psa ze smyczy i spojrział ponownie na SMS od Imogen.

Jasne. Nie wiedziałam, że musisz ją dmuchać, żeby dostawać zlecenia.

Odpisał:

Czarujące. To tak nie działa. X

Potem odpowiedział Sally Hughes:

Późniejsze spotkanie było znacznie mniej przyjemne niż lunch. X

Prawie natychmiast przyszedł SMS od Sally:

Zdecydowałam się zostać w Brighton na noc. Wychodzę na kolację. Jeśli masz ochotę na drinka, daj znać. PS Jestem świetna w projektowaniu wnętrz.

Ross uśmiechnął się do siebie. Potem postanowił, że musi ściągnąć nieco cugle, i odpisał:

**Żałuję, ale nie mogę się przyłączyć. Baw się dobrze!
X**

Nie był głodny, ale wiedział, że musi coś zjeść. Po powrocie do domu wygrzebał z zamrażarki risotto z grzybami. Później wrzucił je do mikrofalówki. Poszedł na górę i przejrzał media społecznościowe. Na Instagramie znalazł sielankowe zdjęcie Imogen i Virginii siedzących na kanapie z dziećmi.

Zszedł znowu do kuchni i zrobił sobie kawę. Otworzył okno, wyjął z szuflady paczkę papierosów i zapalił. Rozmyślał o Sally. Potem o trzech milionach funtów. Strząsnął popiół do popielniczki na parapecie.

Rok temu napisał artykuł o rosyjskich oligarchach. Jeden z nich, Borys Bieriezowski, doszedł do wniosku, że nie zwiąże końca z końcem za półtora miliarda funtów i według niektórych popełnił samobójstwo.

Trzy miliony w porównaniu z tym wydawały się skromną sumą.

W porównaniu z potencjalnie najbardziej sensacyjnym artykułem wszech czasów.

Chociaż pozwoliłyby im spłacić kredyt hipoteczny i wieść całkiem wygodne życie.

Przyjąć je czy nie?

Przerzucić gorący ziemniak na kolana Silvestriego, może wytargować wyższą sumę, zabrać pieniądze i uciec?

Czy ryzykować, że w końcu ktoś go zabije, jak sugerował Benedict Carmichael?

Popatrzył w górę, na czyste nocne niebo. Na gwiazdy nad głową. Nieboskłon. Firmament.

Wszystko to z dwóch okruszków pyłku, które się ze sobą zderzyły i zapoczątkowały Wielki Wybuch?

Jeśli to prawda, jeśli rzeczywiście była to jedyna przyczyna całego istnienia, to czy cała ta historia jest w ogóle coś warta? Czy całe ludzkie życie jest tylko nic nieznaczącym zrzędzeniem przypadków?

Pewnego dnia zlepek komórek żyjący w brzuchu Imogen zamieni się w chodzącą i mówiącą ludzką istotę. Ich dziecko. To dziecko będzie siedzieć mu na kolanach, patrzeć mu w oczy i zadawać pytania. Takie same pytania, jakie on zadawał swoim rodzicom.

Skąd się wzięłem?

Co się działo, zanim się urodziłem?

Co się stanie, kiedy umrę?

Dlaczego istnieję?

Czy potrafiłby spojrzeć w oczy swojemu synowi i oznajmić: „Możliwe, że umiałbym ci odpowiedzieć na te pytania, ale wolałem wziąć pieniądze”?

106

Czwartek, 16 marca

– Byłem dzisiaj do niczego, prawda? – spytał Wenceslas, zatrzymując nagranie ze swojej mszy w Leicesterze.

Rozwalił się na kanapie w wielkim apartamencie hotelowym i popatrzył na Lancelota siedzącego po drugiej stronie stolika do kawy.

– Oni cię uwielbiają! Zawsze. Nawet kiedy podczas kazania, jak by to ująć... bardziej myślisz o profitach niż profetach.

– Nie doprowadzaj mnie do ostateczności, Wszechuśmiech.

– Zostawię to Bogu.

Po kilku chwilach Wenceslas oznajmił:

– Poza tym w Kościele nie mówi się „profity” tylko „ofiara na tacy”.

– *Pardon* – odrzekł Pope, który skupił się z powrotem na swoim laptopie. – Na Twitterze same dobre komentarze. Posłuchaj tego:

Och, modłę się, żeby ludzie zrozumieli prawdziwą potęgę #Ducha Świętego! Takie wspaniałe kazanie @PastorWenceslas. Amen

Albo to:

Rany. Takie głębokie. Dziękuję @PastorWenceslas

To mi się podoba:

Wielebny, spędziłem cudowny czas, chłonąc w siebie Ducha Świętego za twoim pośrednictwem. #NiechcieBógbłogosławi

– To takie poruszające – zauważył Pope, przewracając oczami. – Powinieneś się cieszyć.

– A co z Facebookiem?

– Przed chwilą sprawdzałem. Z grubsza to samo. Kochają cię. Adorują.

– Jestem tylko pokornym posłańcem, Lancelocie. Zawsze nim byłem. Kochają mnie, ponieważ za moim pośrednictwem duch Pański spływa w ich serca.

– Oby Bóg miał cię w swoim doładowaniu jak najdłużej, szefie.

Wenceslas zgromił go żartobliwie spojrzeniem.

– Przechodząc do bardziej przyziemnych spraw: zleciłem obsłudze, żeby przyniesiono ci śniadanie o szóstej. Prognoza nie jest zbyt optymistyczna dla lotów, więc zarządziłem, żeby na wszelki wypadek w gotowości czekał samochód. O dziewiątej mamy zebranie zarządu w Gethsemane. Pasuje ci?

– A mam wybór?

Zadzwoił dzwonek. Pope zamknął pokrywę laptopa, poderwał się z kanapy i podszedł do drzwi. Do pokoju wjechał młody, najwyraźniej zdenerwowany kelner z grzechoczącym wózkiem, na którym stały dwa talerze z okrągłymi metalowymi pokrywkami, koszykiem pieczywa, butelką wody mineralnej i dwiema szklankami. W powietrzu rozszedł się zapach frytek.

– Czy życzą sobie panowie, żebym rozstawił posiłek w sąsiedniej jadalni?

– Nie, proszę to zostawić tutaj – odparł Wenceslas.

Kelner rozłożył oba końce wózka i zamienił go w stolik. Uniósł jedną pokrywę, aby pokazać stek z frytkami, który zamówił Wenceslas, a następnie drugą, z sałatką z komosy ryżowej dla Pope'a.

Wenceslas wstał, zamknął oczy i wznosząc ręce do nieba, zaczął się modlić głosem zwykle zastrzeżonym dla kazań i nabożeństw.

– Dziękujemy ci, Panie, za te pokarmy oraz za dzisiejsze namaszczenie, które potwierdza, że wybrałeś mnie, swojego najpokorniejszego i najwierniejszego sługę, aby go wynieść ponad innych ludzi. Amen.

„Amen” zabrzmiało dla Pope'a jak budzik. Poderwał się z siedzenia i spytał:

– Gdzie jest szampan?

Kelner popatrzył na niego zdziwiony.

– Szampan?

– Zamówiłem go razem z jedzeniem.

– Gorąco przepraszam. Pójdę zobaczyć, co się stało, i natychmiast go przyniosę! – Odwrócił się do Wencesłasa. – Proszę pastora, modliłbym się z wami dzisiaj, ale szef nie chciał mi dać wolnego.

– Jak się nazywasz? – spytał pastor.

– Melvin – odparł mężczyzna.

– Melvinie, uklęknij przede mną.

Kelner posłusznie zrobił, co mu kazano.

– Moje dziecko, czy jesteś gotowy na przyjęcie Boga? Czy jesteś gotowy na przyjęcie Chrystusa?

– Tak, proszę pastora.

– Czy czujesz Jego ducha? Czy czujesz Jego moc i ciepło wstępujące w twoje ciało? W serce i w głąb duszy?

– Tak, tak, tak.

– Chwała Panu!

Delikatnym, lecz stanowczym ruchem Wenceslas popchnął głowę kelnera. Mężczyzna przewrócił się na podłogę i leżał nieruchomo.

Pastor uklęknął obok niego.

– Panie, pobłogosław tego człowieka! Wybacz mu jego grzechy! Napelnij go duchem swoim! W swej nieskończonej hojności pozwól mu być dobrym kelnerem, człowiekiem, który pewnego dnia stanie po twojej prawej stronie, aby ci usługiwać przy stole w Królestwie Niebieskim!

Powoli kelner wyszedł z transu i rozejrzał się oszołomiony.

– Melvinie, podziękuj, albowiem stałeś się teraz nie tylko Bożym dzieckiem, lecz także jednym z moich synów – powiedział Wenceslas.

Mężczyzna dźwignął się na nogi na wpół przytomnie i popatrzył na pastora.

– Dziękuję – powiedział. – Dziękuję, pastorze.

Niepewnym krokiem ruszył do drzwi.

– Proszę... proszę zadzwonić do obsługi, kiedy będą panowie chcieli, aby zabrano wózek.

– Pan Bóg ci to powie, synu. Nie zapomnij złożyć ofiary na stronie internetowej Duszpasterstwa Wesleya Wencesłasa, aby zostać prawdziwie pobłogosławionym. Tyle, na ile cię stać.

Kelner spuścił głowę, jakby przytłoczony wszechogarniającymi uczuciami.

– Tak, tak, zrobię to.

Po czym wymknął się za drzwi.

Pope przeniósł jedzenie i napoje z wózka na stolik do kawy i nalał wodę do szklanek.

– Naprawdę cię podziwiam, szefie. Zwykle ludzie dają kelnerom napiwki, a ty potrafisz tak człowiekiem zakręcić, że to on zapłaci tobie.

– Złoży tylko hołd naszemu Panu – sprostował Wenceslas.

Pope usiadł z powrotem naprzeciwko niego.

– No tak, racja. A w zamian nasz Pan płaci kasę tobie. Okazując swe szczodrobliwie miłosierdzie, czy co tam innego, tak?

Wenceslas zbył jego uwagę milczeniem.

– Powiedziałeś, że masz najnowsze wieści, tak?

– Tak. Wygląda na to, że masz rywala w konkurach: ni mniej, ni więcej, tylko samego papieża.

– Co?!

– Dostałem raport z podsłuchu w mieszkaniu Huntera. Niejaki Giuseppe Silvestri, o ile dobrze wymawiam, specjalny wysłannik Watykanu, negocjuje z Hunterem zakup dwóch przedmiotów, Świętego Graala i zęba Chrystusa. Zaoferował mu trzy miliony euro.

– To idź i zaproponuj mu więcej.

– Wygląda na to, że Rossa nie interesują pieniądze.

– Każdy ma swoją cenę.

Wenceslas podniósł szklankę z wodą i przez długą chwilę się w nią wpatrywał.

– Czekasz na Jezusa, żeby przemienił to w wino? – zażartował dyrektor generalny.

– Wiesz, Wszechuśmiech, czasem mnie rozpacz ogarnia, kiedy cię słyszę. Psiakrew, gdzie ten szampan? Muszę się napić czegoś ludzkiego. – Wycisnął ketchup na stek i frytki. Potem wskazał głową sałatkę. – A ty po co wcinasz króliczą karmę?

– Komosa ryżowa. Bóg ci o niej nie mówił? Nowo odkryte superzdrowe jedzenie.

– A czy tobie Bóg nie mówił o tuczonym cielęciu? Którego właśnie jem. Powrót syna marnotrawnego. Mój problem polega na tym, że syn marnotrawny nigdy nie odszedł, a teraz siedzi obok mnie, zajada króliczą paszę i chce mnie oceniać.

– Czy w czasie Ostatniej Wieczerzy jedli frytki?

Wenceslas spojrział na niego z ukosa.

– Nie, jedli je w czasie przedostatniej wieczerzy, zanim kucharz się wkurzył i spierdzielił całe menu.

– Więc bez Judasza i bez frytek?

– Mówię ci, Pope, że w końcu trafi cię grom z jasnego nieba. Do rzeczy. Co z Hunterem?

– Człowiekiem, któremu życzymy, żeby go trafił grom z jasnego nieba?

Przez długą chwilę pastor patrzył na niego w milczeniu.

– Jeśli będzie trzeba – powiedział w końcu. – Jeśli dzięki temu dostaniemy to, czego chcemy.

Pope cmoknął z dezaprobatą.

– A szóste przykazanie?

– Fałszywy prorok, Lancelocie. Muszę ci o tym przypominać? To, co robi Ross Hunter, ma zapowiedzieć nadejście Wielkiego Uzurpatora. Będzie rozpowiadał o powtórnym przyjściu. Znajdzie Wielkiego Uzurpatora i w „Sunday Timesie” roznieci płomień jego sławy, potwierdzi jego prawomocność we wszystkich światowych mediach. Wiesz, co się dzieje, kiedy płomień spotyka się z tlenem? Wybucha jeszcze gwałtowniej. Huntera trzeba powstrzymać. Czy ty rozumiesz, co ja mówię? Ross Hunter wymyślił sobie fantazję o drugim nadejściu Chrystusa. W rzeczywistości ten człowiek żyje w wielkiej ułudzie i dodaje tlenu do płomieni Antychrysta, najgroźniejszej istoty na świecie. Samozwańca. Słyszysz, co mówię? Samozwańca.

– Swój pozna swego – burknął Pope.

Wenceslas spiorunował go wzrokiem.

– Co się dzisiaj z tobą dzieje?

Dyrektor generalny uśmiechnął się rozbijająco.

– Obaj wiemy, dlaczego naprawdę chcesz powstrzymać Rossa Huntera. Dlaczego chcesz się go pozbyć. Już to mówiłem.

Poza wstrętnym artykułem, który o tobie napisał, martwisz się, że to mogą być naprawdę powtórne narodziny. Że to może wcale nie jest fałszywy prorok, ale Jezus Chrystus powracający na ten świat we własnej osobie. I tak jak poprzednim razem, kiedy się zjawił, musiał przeciwstawić się lichwiarzom w świątyni, tak teraz przyjdzie mu zмагаć się z fałszywymi charyzmatycznymi kaznodziejami, którzy od dawna zbijają majątek na Bożym biznesie. A ty wiesz doskonale, że znajdziesz się na szczycie tej listy, pastorze.

– I ciebie to bawi? Jeśli ja pójdę na dno, to ty również.

Pope'owi oczy nagle pociemniały. Obrzucił Wenceslasa lodowatym spojrzeniem.

– Wcale mnie to nie bawi, pastorze. Stoję u twego boku, a nawet cię wyprzedzam. Uważam, że jedynym pewnym sposobem, aby go powstrzymać, jest zlikwidowanie go. – Teatralnym gestem przeciągnął palcem po gardle. – I to jak najszybciej.

Wenceslas spojrział na niego z taką samą powagą.

– Masz kogoś na myśli?

– Tak. Kogoś, kogo mi bardzo polecano. Bardzo dyskretny, mieszka w Monte Carlo. Już go poinstruowałem i przelałem pieniądze na konto w Szwajcarii. Zabiera się do roboty.

– Nikt się nie dopatrzy powiązań z nami?

Pope popatrzył mu w oczy.

– Nie. Facet jest najlepszy.

– Drogi?

Pope się uśmiechnął.

– Na tyle, że mogę być spokojny.

– Oko za oko?

– Myślę, że zważywszy na okoliczności, ząb za ząb będzie stosowniejszym określeniem.

Znowu rozległ się dzwonek.

Pope podszedł do drzwi i otworzył.

Wszedł kelner z białą serwetką złożoną na przedramieniu oraz tacą, na której stało wiaderko z lodem i wystającą szyjką butelki oraz dwa wąskie kieliszki do szampana. Był starszy od tego, którego pastor przed chwilą zbawił, i bardziej służalczy. Miał przylizane włosy i wschodnioeuropejski akcent.

– Krug dla panów? Bardzo przepraszam za zwłokę. Czy mogę otworzyć i nalać?

Uklonił się usłużnie.

– Dziękuję – odrzekł Pope, wskazując stolik do kawy.

Mężczyzna postawił na nim wiaderko, a następnie zamaszystym gestem nakrył szampana serwetką i wyjął go z kubelka. Z denka kapłała woda. Wyciągnął butelkę w kierunku Wencesłasa.

Rozległo się stłumione pyknięcie.

Wesley Wencesłas odskoczył w tył na kanapę.

W pierwszej okropnej chwili Lancelot Pope pomyślał, że pastor dostał w twarz korkiem od szampana. Po sekundzie jednak znieruchomiał osłupiały i patrzył z tępym niedowierzaniem w maleńki okrągły otwór na środku czoła swojego szefa oraz stróżkę krwi spływającą po jego twarzy.

– Jeeezu!... – wrzasnął.

Serwetka skierowała się w jego stronę i rozległo się drugie pyknięcie.

Piątek, 17 marca

Ross miał bardzo niespokojną noc. Prawie przez cały czas męczyły go koszmary. Kiedy o szóstej trzydzieści budzik włączył radio z serwisem informacyjnym, niewyspany natychmiast wcisnął „drzemkę”. Nie czuł się gotowy, by stawić czoło nadchodzącemu dniu.

Wydawało mu się, że minęło zaledwie kilka sekund, kiedy ponownie włączyło się radio. Po raz drugi nacisnął guzik drzemki. Była szósta pięćdziesiąt.

Usiadł, napił się wody i wziął do ręki telefon. Zobaczył SMS od Sally, który przyszedł wieczorem tuż przed jedenastą.

Mam nadzieję, że miło spędzasz wieczór. Dobrej nocy. XX

Natomiast nic nie przyszło od Imogen.
Czy nie wysłał jej wiadomości tuż przed snem? Sprawdził.

Śpijcie dobrze z Kaligulą. Monty mówi cześć. X

Żadnej odpowiedzi. Super. Może poszła wcześniej spać? Albo nadal była wkurzona za SMS, który jej wysłał przez pomyłkę.

Daj spokój, Imo. Ciągłe jadam lunch z różnymi ludźmi, to część mojej pracy – spotykać się, badać. To nie znaczy, że kogoś dmucham. Nawet jeśli przypadkiem mi się podoba. Nie wszyscy jesteśmy tacy jak ty.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Monty zaczął szczekać.

Siódma rano. Ross poczuł ukłucie niepokoju. Złapał szlafrok, szamotał się z nim przez chwilę, po czym włożył go i przeszedł

przez korytarz do drugiego pokoju, skąd okna wychodziły na ulicę. Wyrzął na dół. Przed drzwiami stali malarze, Dave i Rob, ci sami, którzy malowali im mieszkanie przed przeprowadzką. Dopiero teraz przypomniał sobie, że obiecali wpaść rano w drodze do pracy. Zszedł na dół, pogłaskał psa i otworzył drzwi.

Mężczyźni weszli do środka i stanęli jak wryci na widok pomazanych ścian.

– A niech mnie – powiedział Rob.

– Tępe cipy, nawet nie umieją pisać – dodał Dave, rozglądając się dookoła.

– Słucham? – spytał Ross.

Dave wskazał palcem na napis: PSZYSZŁA.

– Może jestem prostym malarzem, ale wiem, jak się pisze „przyszła”...

– A koleś zna się na rzeczy – skomentował Rob. – Ma piątkę dzieciaków.

– Drugie powinno być „r”, a nie „s” – oznajmił Dave.

– Dzięki za uczynność – powiedział Ross.

– Przecież pan mnie zna, panie Hunter, no nie? „Uczynność” to moje drugie imię.

– Moje też – zawtórował mu Rob.

– Kiedy się dowiem, kto to zrobił, każę mu przyjść i poprawić – burknął cierpko Ross.

Oprowadził ich po wszystkich pomieszczeniach.

– Nie wiedziałem, że dziennikarze mają swoje fankluby – powiedział Rob.

– Ha, ha – odparł sarkastycznie Ross.

– Kupa roboty – stwierdził Dave. – Nie da się po prostu zamalować tych napisów. Za dużo warstw trzeba by położyć. Musimy zedrzyć tapetę. Idzie z ubezpieczenia?

– Mam nadzieję, do diabła.

– Przekalkulujemy koszty i damy znać dzisiaj albo jutro. Jak dla ubezpieczalni, to możemy podać dwie sumy. Kapuje pan, o czym mówię?

Puścił do Rossa oko.

Ross uśmiechnął się i podziękował. Odprowadził ich do drzwi, po czym włożył dres i trampki, wziął Monty’ego

i wyszedł pobiegać, żeby ruch i świeże powietrze rozjaśniły mu trochę w głowie.

Wrócił piętnaście po ósmej, włączył wiadomości i zaczął przygotowywać śmierdzącą psią karmę w kielbasce – rzekomo zdrowe pożywienie, które Imogen kupowała od niedawna dla Monty’ego.

Jego uwagę przyciągnęły jaskrawe błyski w telewizorze. Zobaczył wejście do hotelu otoczone policyjną taśmą, a dookoła stojące chaotycznie radiowozy oraz tłum dziennikarzy i fotografów. Na dole ekranu przesuwiał się pasek z wiadomościami z ostatniej chwili.

Po minucie relacja przeniosła się do studia. Elegancko ubrany prezenter, Charlie Stayt, miał bardzo poważną minę.

– Wiadomości z ostatniej chwili: w apartamencie hotelowym zajmowanym przez słynnego pastora Wesleya Wencesłasa znaleziono zwłoki dwóch mężczyzn. Przenosimy się teraz na żywo przed hotel Hinckley Point, niedaleko Leicesteru, gdzie przedstawiciel policji ma wygłosić oświadczenie.

Na ekranie na tle ogrodzonego taśmą terenu przed hotelem pojawił się krzepki, pewny siebie mężczyzna po czterdziestce w ciemnym garniturze i krawacie, z czarnymi włosami ułożonymi na żel. Krawat trzepotał na wietrze w rozbłyskach fleszy.

U dołu pojawiła się informacja: „Inspektor Paul Garradin, policja Leicestershire”.

– Mogę potwierdzić, że policja znalazła w apartamencie tego hotelu ciała dwóch mężczyzn, którzy zginęli wskutek ran postrzałowych – powiedział. – Na obecną chwilę przyjmujemy, że było to podwójne morderstwo. Pełne oświadczenie zostanie wydane po południu, po potwierdzeniu tożsamości ofiar. W tej chwili nie mam więcej informacji. Dziękuję bardzo.

Ze wszystkich stron posypała się lawina wykrzykiwanych pytań, lecz policjant ją zignorował.

Ross wpatrywał się w ekran. Pastor Wesley Wencesłus. Przypomniawszy sobie, jak złapał go kiedyś przed jego londyńskim kościołem. Pracował wtedy nad artykułem o duchownych ewangelickich. Jeden z ochroniarzy pastora odepchnął go tak mocno, że upadł na ziemię. Po publikacji wielkiego artykułu Wencesłus próbował pozwać do sądu jego oraz „Sunday

Timesa”. Był skończonym dupkiem, sprytnym, charyzmatycznym oszustem. Czyżby w końcu dostał to, na co zasłużył? Bez wątpienia media będą o tym trąbić przez najbliższe godziny.

Lecz coś w tym telewizyjnym reportażu głęboko Rossa zaniepokoiło. Przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z Giuseppe Silvestrim.

„Może się panu wydawać, że chroni pan te przedmioty, ale czy zdaje pan sobie sprawę, że są ludzie, którzy reprezentują, proszę mi wybaczyć, że to powiem, niższy poziom moralny niż Jego Świątobliwość? Chcą je zdobyć za wszelką cenę, choćby za cenę pańskiego życia. Ma pan na świecie wielu wrogów, panie Hunter. Postaramy się pana chronić, dopóki nie przekaze nam pan tych przedmiotów. Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że kiedy to się stanie, pan i pańska żona będziecie całkowicie bezpieczni”.

Czy tak jak się spodziewał, pastor Wenceslas był jednym z tych wrogów?

Czy to jego miał na myśli Włoch?

Ross zdawał sobie sprawę, że to raczej zwariowane podejrzenie, lecz mimo to nie mógł wyrzucić z głowy pytania, czy te zabójstwa miały z nim jakiś związek. Czy miał z tym związek Silvestri?

Monty zaskomlał cicho.

– Przepraszam, stary!

Dokończył przygotowywanie jedzenia, starając się nie wciągać zanadto smrodu karmy, a następnie postawił miskę na podłodze.

Pies zamiast rzucić się łapczywie na jedzenie, poczłapał do swojego koszyka i zwinął się w kłębek.

– Hej, co się dzieje? Myślałem, że jesteś głodny. O co chodzi? Tęsknisz za mamą?

Ross podszedł do drzwi, zgarnął gazety, które właśnie przyszły, po czym nasypał sobie trochę płatków śniadaniowych. Wkroił kawałek jabłka, dodał garść jagód, winogrona i jogurt grecki, wymieszał i usiadł.

Patrzył w telewizor, czekając na kolejne wiadomości w sprawie morderstwa, lecz niczego więcej już nie powiedzieli. Wzmianka o proteście Unii Europejskiej przeciwko polityce

Stanów Zjednoczonych w sprawie zmian klimatycznych. Członek parlamentu zgłosił wotum nieufności wobec przewodniczącego Izby Gmin. Kolejne zarzuty wobec Narodowej Służby Zdrowia, minister zdrowia zażarcie broni swoich ostatnich decyzji.

Ross poczuł na lewym nadgarstku wibracje smartwatcha. Spojrzał i zobaczył, że w nocy przyszedł mail od Zacka Boxxa.

Cześć, Ross. Powiedziałem: dwa kafle za jedno wyszukiwanie i premia po kafle za każdy wynik? No to mam dobre wieści. Albo złe. Wisisz mi pięć patoli!

Ross wiedział, że Zack pewnie o tej porze śpi, mimo to nie mógł się powstrzymać, żeby z podniecenia nie odpisać natychmiast.

Co znalazłeś????

Czekał kilka minut, ale odpowiedź nie nadeszła. Ze zniecierpliwienia chwycił jeden ze swoich bezpiecznych telefonów, znalazł numer hakera i zadzwonił.

Po czterech sygnałach włączyła się poczta głosowa.

– Cześć, tu Zack Boxx. Jeśli chcesz usłyszeć ode mnie coś sensownego, zadzwoń po szesnastej. Miłych snów. Jeśli jesteś bardzo zdesperowany, zostaw wiadomość.

Nagrał krótką wiadomość. Potem siedział bez ruchu, zastanawiając się. Zjadł płatki śniadaniowe bez apetytu. Co znalazł Boxx?

O dziewiątej BBC nadało ten sam materiał na temat morderstwa, który widział o ósmej trzydzieści.

Postanowił zajrzeć na Twittera i natychmiast znalazł znacznie więcej informacji zamieszczonych prawdopodobnie przez pracownika hotelu. Tweet rozszedł się po serwisie lotem błyskawicy.

Kelner, który przyniósł śniadanie zamówione poprzedniego wieczoru, znalazł dwóch martwych mężczyzn. Każdy miał ślad po strzale z pistoletu na środku czoła.

Rossa przeszły ciarki.

Zadzwoił jego iPhone. Na ekranie wyświetlił się kontakt Imogen.

– Cześć – powiedział.

– Widziałeś wiadomości? – spytała.

– Masz na myśli Wencesłasa?

– Tak – odparła ponuro. – Ktoś z obsługi hotelowej założył na Facebooku konto *in memoriam*, ma już setki postów.

– Jaki związek ma śmierć tego oszusta z nami?

– Nie rozumiesz, Ross? Dwa kolejne morderstwa. Naprawdę się boję, że my będziemy następni.

– Imogen, ci ludzie nie mieli nic wspólnego ze mną poza tym, że kilka lat temu próbowałem przeprowadzić z nimi wywiad.

– Daj spokój, Ross, zejdź na ziemię. To nie jest zbieg okoliczności. Po świecie chodzi całe mnóstwo fanatyków, religia to prawdziwe pole minowe. Przyjedź tutaj, dopóki to wszystko się nie skończy.

– Imogen, nie wierzę, że grozi mi prawdziwe niebezpieczeństwo. Mam to, czego oni szukają, a dopóki to mam, jestem bezpieczny. Ty też jesteś bezpieczniejsza, kiedy mieszkamy oddzielnie. Nie oddam Monty’ego do hotelu z powodu alergii Bena. Porozmawiamy później, dobrze?

– Przepraszam, nie chciałam zakłócać twojej miłosnej sielanki.

– Hej, co to ma znaczyć?

Zamiast odpowiedzieć, Imogen się rozłączyła.

Natychmiast do niej oddzwonił, lecz włączyła się poczta głosowa.

– Imogen, jestem tutaj sam, rozumiesz?

Wziął szybko prysznic, ogolił się i ubrał, po czym sprawdził telefon. Imogen nie odpowiedziała. Spróbował jeszcze raz do niej zadzwonić i ponownie włączyła się poczta.

Rozłączył się zły. Złościł się na nią i na siebie.

Usiadł przy biurku i wrócił do pisania artykułu na temat tego, co się dotąd wydarzyło.

Dokładnie o czwartej zadzwonił do Zacka Boxxa. Odebrał zaspany głos.

– Słuuucham?

– Mówi Ross.

- A, no tak.
- Mówiłeś, że masz dla mnie wyniki.
- Zgadza się.

Przez dłuższy czas panowała cisza. Ross zaczął się już zastanawiać, czy Boxx z powrotem nie zasnął.

- Zack, jesteś tam?

- Jestem. Lepiej, żebyś tu przyjechał, łatwiej ci będzie to pokazać.

- Teraz?

- Chyba może być teraz – odparł Boxx trochę niechętnie.

Wtedy Ross przypomniał sobie, że jego audi stoi w podziemnym garażu pod hotelem Waterfront.

- Będę u ciebie za godzinę.

- Nigdzie się nie wybieram, niestety. Utknąłem na Ziemi.

Było tuż po piątej, kiedy Ross Hunter przykucnął w niewygodnej pozycji obok Zacka Boxxa na obskurnym beżowym dywanie. Kot czał się na drugim końcu pokoju i wyglądał na zaniepokojonego. Ross nigdy nie widział u Boxxa takiego ożywienia.

Przed nim na ekranie migotały rzędy liczb i liter, które nic mu nie mówiły. Boxx podniecony wskazywał niektóre z nich, przebiegając palcem wzdłuż rzędu.

– Widzisz tę zgodność DNA?

– Nie za bardzo – przyznał Ross.

Boxx odświeżył ekran i pojawił się kolejny zestaw symboli, równie dla Rossa nieczytelny.

– A teraz?

– Nie.

Znów odświeżył obraz.

– A tutaj?

– Nie.

Boxx odgarnął do tyłu czuprynę czarnych włosów i popatrzył na Rossa jak na przygłupa.

– Dobra, w takim razie wróćmy do pierwszego obrazu.

Wystukał coś na klawiaturze i w ciągu kilku sekund ekran zapełnił się ciągiem znaków.

– Masz szczęście, Ross. Myślę, że mamy ogromne szczęście.

– W jakim sensie?

– W każdym! No więc tak, pierwszą zgodność znalazłem w bazie danych mitochondrialnego DNA policji w Los Angeles. W obydwu profilach obecnych jest siedem mutacji.

– W którym profilu?

– Niejakiej Arlene Katzenberg.

– Arlene Katzenberg?

– Tak. Czy jej nazwisko coś ci mówi?

– Na razie nie. Co takiego zrobiła, że jej DNA znalazło się w policyjnej bazie?

– Wszystko w swoim czasie.

Ross patrzył w milczeniu na ekran. DNA mitochondrialne przechodzi niezmienione w linii żeńskiej. Jeśli DNA z kielicha i z zęba naprawdę należało do Chrystusa, to znaczy, że Arlene Katzenberg była potomkinią jego rodu.

– Doskonała robota, Zack.

– Dobra, teraz spójrz na to. Dałeś mi Y-STR, czyli krótkie powtórzenia tandemowe z chromosomu Y, które przechodzą niezmienione z pokolenia na pokolenie tak jak mitochondrialne, ale w linii męskiej. I tutaj również znalazłem pasujący profil, również z siedmioma mutacjami: u doktora Myrona Mizrahi, urodzonego w La Hoya w Kalifornii. Jego kod DNA również znajduje się w kartotece policyjnej Los Angeles.

– Z jakiego powodu mają jego DNA w kartotece?

– Cierpliwości, wszystko się wyjaśni. – Boxx spojrział na niego bardzo z siebie zadowolony. – Chcę, żebyś się przekonał, że zasłużyłem na swoje wynagrodzenie.

– Już widzę, że zasłużyłeś.

Ross z trudem powstrzymywał galopadę myśli. Doktor Myron Mizrahi. Bezpośredni potomek w linii męskiej Jezusa Chrystusa. Tyle różnych możliwości przebiegało mu przez głowę.

– Zack, jakie są twoje poglądy religijne? Jesteś wierzący?

– Moją religią jest fizyka kwantowa.

– Niestety, dla mnie obszar niedostępny.

Boxx z podniecenia kołysał głową w przód i w tył.

– Powinieneś spróbować. Zaczynaj ją studiować. Jest jak... prawdopodobnie klucz do wszystkiego.

– Pod warunkiem że się ją rozumie!

– Są rzeczy w mechanice kwantowej, których nikt nie rozumie. Niewyjaśnione splątania cząsteczek znajdujących się na dwóch końcach świata, przekraczające pojęcia przypadku czy zbiegu okoliczności. Nadprzyrodzone? Robota Inteligentnego Projektanta?

– Takie jest twoje zdanie?

– Znasz teorię multiwersum?

– Spotkałem się z tym terminem, ale nie wiem, co on oznacza.

– Aby na naszej planecie mogło istnieć życie, potrzebnych jest całe mnóstwo połączonych ze sobą, niewiarygodnie skomplikowanych elementów. Podam ci najprostszy przykład: gdyby nasza planeta znajdowała się tylko odrobinę bliżej Słońca, wszyscy byśmy się upiekli, a życie na Ziemi w ogóle nie mogłoby powstać. Odrobinę dalej od Słońca, a panujące wówczas zimno uniemożliwiłoby wegetację. Takich przykładów jest nieskończenie wiele. Matematyczne, fizyczne i chemiczne kalkulacje, niezbędne do zaistnienia i podtrzymania życia dosłownie przyprawiają o zawrót głowy. Teoria multiwersum mówi, że kiedy nastąpił Wielki Wybuch, powstały setki, a może miliony lub miliardy wszechświatów takich jak nasz. Według tej teorii tylko w jednym z nich mogło wskutek przypadku dojść do takiej kombinacji wszystkich elementów, aby zrodziło się życie w formie, jaką znamy na Ziemi.

– I ty się pod tym podpisujesz?

– Nie. Uważam, że to bzdura. Błąd kategorii. Uważam, że znacznie ciekawszy jest efekt obserwatora zaczerpnięty z fizyki kwantowej. Kiedy na coś patrzysz, sam fakt, że to obserwujesz, wpływa na stan tego przedmiotu.

– Bóg, który nas obserwuje i w ten sposób na nas wpływa?

– Kto wie? Jeśli nie to, to znaczy, że ludzkie życie jest wynikiem gigantycznego zbiegu okoliczności.

– Co miałeś na myśli, mówiąc „błąd kategorii”?

– No więc to coś w rodzaju zegarka Paleya...

– Zegarek Paleya? Znowu za tobą nie nadążam.

– No dobra, więc weźmy samochód Forda. Wyobraź sobie, że taki samochód ląduje w odległym końcu wszechświata, gdzie znajduje go człowiek, który nigdy nie widział na oczy żadnej maszyny i nie ma pojęcia o nowoczesnej inżynierii. Mógłby sobie wyobrazić, że w silniku żyje jakiś bóg, czyli pan Ford, który sprawia, że samochód się porusza. Mógłby później dojść do wniosku, że kiedy silnik pracuje sprawnie i równiutko, to dzieje się tak dlatego, że bóg, to jest pan Ford, go lubi, a kiedy

samochód nie chce zapalić, to dlatego, że pan Ford przestał go lubić i się na niego za coś rozgniewał. Rozumiesz?

Ross zmarszczył czoło, zastanawiając się, dokąd to wszystko zmierza.

– Gdyby następnie – ciągnął Zack – człowiek ów wziął lekcje mechaniki i rozłożył silnik na części pierwsze, przekonałby się, że w środku nie ma żadnego pana Forda. Dowiedziałby się też, że zasadą, według której działa silnik samochodu, jest zapłon wewnętrzny. Lecz idąc krok dalej i dochodząc do wniosku, że skoro już wie, jak działa silnik, nie ma powodu wierzyć w istnienie jakiegoś pana Forda, popełniłby pomyłkę kategoryczną. Ponieważ gdyby pan Ford nie istniał, nie zaprojektowałby silnika i żaden samochód by nie powstał.

Ross rozmyślał nad tym, co usłyszał.

– A w co ty osobiście tak naprawdę wierzysz? – spytał w końcu.

– Jeszcze do tego nie doszedłem. Zbieg okoliczności jest dość ciekawy i mnie pociąga. Einstein nazywał zbieg okoliczności boskim sposobem na zachowanie anonimowości. Pokażę ci teraz zbieg okoliczności, który może najbardziej zbliży cię do Boga. Jesteś gotowy?

Ross odpowiedział uśmiechem.

– Chyba tak.

– Dobra, więc uważaj: Arlene Katzenberg i Myron Mizrahi się poznali!

– Co takiego?

– Poznali się.

– Kiedy? Skąd wiesz?

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym. Arlene Katzenberg i Myron Mizrahi wzięli ślub.

Oślupiały Ross wlepił wzrok w Boxxa.

– Pobrali się?

Zack skinął głową.

– Tak jest. I mieli syna, urodzonego w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku.

Ross był w euforii. Miał wrażenie, jakby dostał skrzydeł. Kobieta z DNA zgodnym z DNA Jezusa Chrystusa wyszła za mąż za mężczyznę z DNA również zgodnym z kodem genetycznym Zbawiciela?

I mieli syna?

– Zack – spytał niecierpliwie. – Możesz sprawdzić, czy ich syn żyje?

– Trzy lata temu jeszcze żył.

– Skąd wiesz?

– Wszystko w swoim czasie!

Jakie mogło być prawdopodobieństwo, że tych dwoje ludzi się spotka? Oboje pochodzili od przodka, który żył dwa tysiące lat temu, tysiące kilometrów od ich miejsca zamieszkania. Jakie mieli szanse?

Miliardy do jednego? Tryliony do jednego?

Na pewno niepoliczalne.

– Jak się tego dowiedziałeś, Zack?

– Ross, czy chciałbyś mi o czymś powiedzieć?

Spojrzał na niego znacząco.

– Opowiedz mi o rodzicach. Żyją jeszcze?

Boxx pokręcił głową.

– Właśnie dzięki temu zdobyłem te wszystkie informacje. Zostali zamordowani wkrótce po przeprowadzeniu się do Los Angeles w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym. Nigdy nie znaleziono sprawcy. Jakiś mord rytualny, tak to przynajmniej wyglądało. Na szczęście dla nas, to znaczy dla ciebie, policja w Los Angeles odkurzyła ostatnio ich sprawę w ramach badania nierozwiązanych śledstw z przeszłości,

umorzonych z powodu niewykrycia sprawcy, i uzyskało nowe DNA z zachowanych próbek krwi.

– Mord rytualny? Co to znaczy? Jak zginęli?

– Były jakieś religijne wydzwiewki. Rozebrali ich do naga i przybili do podłogi, obok siebie, twarzami do góry, z ramionami rozpostartymi na boki. Dłonie i stopy przebili gwoździami, jakby ich krzyżowali.

Ross spojrział na Boxxa ze zgrozą. Milczał przez długą chwilę.

– Czy to wszystko znalazłeś w kartotece, tej, do której się włamałeś?

– Tak, wszystko tam jest.

– A co się stało z synem? Jak miał na imię?

– Michael. Kartoteka zawiera informacje, że jego rodzice zostali zamordowani, kiedy miał dziesięć lat. Oddano go do domu opieki, ale od tamtej pory brak o nim jakichkolwiek wzmianek.

– Ale powiedziałeś, że żyje, a przynajmniej żył w dwutysięcznym czternastym, tak?

Zack Boxx uśmiechnął się od ucha do ucha i pokiwał głową.

– I tu dochodzimy do czegoś, co ci się najbardziej spodoba. Czym najbardziej zasłużyłem sobie na te pieniądze!

Ross patrzył na niego wyczekująco.

– W marcu dwa tysiące czternastego w zachodnim Hollywood sześćdziesięciosiedmioletni mężczyzna, Michael Henry Delaney, został aresztowany za prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu. Pobrano próbkę krwi i sporządzono analizę DNA. – Boxx spojrział na Rossa niemal z rozmarzeniem.

– Profil genetyczny Michaela Delaneya zawiera siedem unikalnych mutacji zarówno w DNA mitochondrialnym, jak i w chromosomie Y. Jest w stu procentach zgodny z tym, który od ciebie dostałem.

– Zaginiony syn? – spytał Ross.

Umilkł, rozmyślając o wszystkich implikacjach tego faktu. Serce waliło mu w piersi.

– Więc jak?

– Co jak? – spytał zdezorientowany Ross.

– Czy zechcesz się ze mną czymś podzielić?

– Może kiedyś, Zack. Na razie jesteś bezpieczniejszy, dopóki tego nie wiesz.

Ross wracał od Boxxa kompletnie oszołomiony. Haker nie chciał odpuścić, więc musiał się mocno gimnastykować, odpowiadając wymijająco na kolejne pytania o jego zainteresowanie tym szczególnym kodem DNA. Powiedział, że prowadzi badania nad historycznymi powiązaniem genetycznymi między żydowską diasporą i emigracją do Stanów Zjednoczonych.

Wirowało mu w głowie.

Michael Henry Delaney.

Jeśli kielich oraz ząb były autentyczne, to Michael Delaney miał takie samo DNA mitochondrialne oraz chromosomu Y jak Jezus Chrystus, niczym odcisk palca. Powszechnie wiadomo, że Chrystus nie był żonaty, ale jego chromosom Y był taki sam jak jego braci, którzy mieli żony.

W jego telefonie zadźwięczał sygnał SMS-a, ale go zignorował. Nie chciał, żeby coś mu teraz przeszkadzało w rozmyślanii. Rodzice Delaneya, potomkowie rodu Chrystusa, zarówno męskiej, jak i żeńskiej linii, spotkali się, spłodzili dziecko.

Próbował przemyśleć wszystkie implikacje tego faktu.

Arlene Katzenberg i Myron Mizrahi.

Całkowicie obcy sobie ludzie. Oboje noszący żydowskie nazwiska.

Spotkali się i pobrali, a dziesięć lat później zostali zamordowani w jakimś religijnym, symbolicznym rytuale.

Czy to znaczy, że już wtedy ktoś o tym wiedział? Jeśli tak, to czemu zabił rodziców, a zostawił syna?

Czy ktoś, kto znał pochodzenie dziecka, zabrał je i ukrył? Ludzie o nazwisku Delaney? Zmienili mu nazwisko

z żydowskiego na irlandzkie? Przypomniał sobie wątek biblijny o królu Herodzie i rzezi niewiniątek. Wymordowano wszystkich chłopców poniżej drugiego roku życia, aby zabić małego Jezusa.

Żałował, że nie zna lepiej Biblii.

Jego uwagę znowu przyciągnął niewiarygodny zbieg okoliczności. Spotkało się dwoje ludzi, w porządku, oboje mieszkali w tym samym stanie, w południowej Kalifornii. Ale fakt, że mieli te same geny? To samo DNA? I spłodzili syna z takim samym genomem jak ten, który przeanalizowano Rossowi w laboratorium ATGC? Jak to możliwe? Każdy rodzic nosił geny linii męskiej i żeńskiej. Powinny się zmieszać w sposób przypadkowy w jądrze zapłodnionej komórki jajowej. Tymczasem Michael Delaney posiadał identyczne geny mitochondrialne oraz w chromosomie Y jak Jezus Chrystus, unikalny odcisk palca. Jak to możliwe? Czy to przeznaczenie?

Jeśli Delaney żyje, skończył siedemdziesiąt lat.

Powtórne przyjście?

Lecz jeśli tak, to dlaczego nikt o tym nie słyszał?

A może słyszał?

Rodzice Michaela zginęli w rytualnym mordzie imitującym ukrzyżowanie. Przerazonego chłopca zapewne ukryto. Czy żyje w strachu aż po dziś dzień? Ukrywając się przed groźbą zdemaskowania, nosząc w sercu sekret, który boi się ujawnić?

A może o niczym nie wie?

Istnieje jeszcze jedno możliwe wyjaśnienie – że zarówno kielich, jak i ząb są zwykłymi falsyfikatami.

A może Jezus Chrystus po prostu nie był Zbawicielem, za jakiego uważają go pewne religie, tylko magikiem i iluzjonistą, o którym rozmaici ludzie wypisywali różne dziwaczne rzeczy, a apostołowie doszli do wniosku, że tworząc wokół niego mit, zapoczątkują narodziny nowej religii?

Jeśli tak było, to Ross musiał im oddać sprawiedliwość: ich komunikat przetrwał dwa tysiące lat.

Ale jeśli Michael Delaney był prawdziwym Mesjaszem, to co to oznaczało dla świata?

Rozmyślał nad artykułem, który mógłby napisać, kiedy go znajdzie.

Największa sensacja prasowa wszech czasów?

Piątek, 17 marca

Ross wszedł do domu kilka minut przed szóstą, przykucnął i pogłaskał Monty'ego.

– Później pójdziemy na spacer, dobrze? Obiecuję!

Pobiegł na górę i włączył komputer. Gdy tylko ekran ożył, wpisał w Google: Michael Delaney.

Wyskoczyły setki znalezionych wyników.

Zawęził wyszukiwanie, wpisując „Michael Henry Delaney Wiki”.

Na monitorze pojawiło się hasło Wikipedii i kiedy czekał na wczytanie strony, jego nadzieje rosły.

Michael Henry Delaney (ur. 18 kwietnia 1947) – amerykański iluzjonista. W latach 1994–1997 prowadził popularny program rozrywkowy w ABC Television pod pseudonimem Magik Mickey. Reprezentowany przez Creative Artists Agency. Po śmierci rodziców, Myrona oraz Arlene (z domu Katzenberg) Mizrahi, zamordowanych w niewyjaśnionych okolicznościach, wychowywał się w rodzinie zastępczej i przyjął jej nazwisko.

Wszedł w zakładkę ze zdjęciami, zobaczył mężczyznę pod pięćdziesiątkę, o rozwichrzonych brązowych włosach, ubranego w krzykliwy biały strój. Niektóre zdjęcia pokazywały go podczas wykonywania sztuczek magicznych, z głową otoczoną świetlnymi promieniami imitującymi aureolę.

Ross nie znalazł żadnych innych zdjęć Michaela Delaneya ani informacji o jego śmierci.

Więc gdzie teraz był? Skoro w Wikipedii pojawiła się jego notka biograficzna, to chyba nie obawia się o swoje życie?

Czy ten człowiek jest potomkiem Jezusa Chrystusa, żyjącym gdzieś w Los Angeles, jak wskazywały współrzędne geograficzne, i nieświadomym swego pochodzenia?

Bo czyż Jezusa nie można również nazwać magikiem, żyjącym w czasach, kiedy świat był znacznie mniej sceptyczny niż dzisiaj?

Ross odpisał na kilka pilnych maili. W jego komórce pojawił się SMS od Imogen z propozycją, żeby spotkali się nazajutrz na lunchu, jeśli Ross jest wolny i „nie pisze”. Sally Hughes przysłała na drugi telefon SMS z pytaniem, jak mu minął dzień.

Nie odpowiedział na żaden z nich. Zszedł na dół, wziął smycz wiszącą na kuchennych drzwiach i pogrążony w rozmyślaniach zanurzył się z psem w ciemność. W jego głowie pomału formował się plan.

Kiedy godzinę później wrócił do domu, poszedł prosto do gabinetu i napisał maila do swojej redaktorki.

Cześć, Natalie. Mam prawdziwy dynamit w materiale do artykułu. Ale musisz mi zaufać. Potrzebuję funduszy na wydatki. Czy możesz do mnie zadzwonić?

Ku jego zdziwieniu Natalie zadzwoniła pięć minut później na bezpieczny numer, który jej podał.

– Poczekaj chwileczkę – powiedział do telefonu i szybko wyszedł na dwór. – Dobrze, już.

– Ross, dostajesz ostatnią szansę. Odrzuciłeś wszystkie moje propozycje, a ja niczego nie dostałam w zamian. Chciałabym, żebyś napisał kontynuację historii Wesleya Wenceslasa, tym razem o jego morderstwie. Możesz to zrobić na najbliższy weekend?

– Nie mogę, muszę lecieć do Los Angeles.

– Lepiej niech to będzie prawdziwa rewelacja. Co mi możesz powiedzieć?

– Nie jestem pewien, czybyś mi uwierzyła.

– Sprawdź mnie.

I Ross sprawdził.

Wielki Tony rozparł się na półkolistej kanapie pod oknem wykuszowym swojego apartamentu na dwunastym piętrze wieżowca w Monako. Popijał ulubioną szkocką, a jednocześnie słuchał, jak Ross Hunter rozmawia przez telefon w swoim domu w Brighton.

Mieszkanie było słoneczne i kolorowe, zasłony oraz poduszki żółte, dywan i meble białe. Po latach spędzonych w celi więziennej o zaostrowym rygorze nauczył się cenić światło. Lubił, jak słońce świeciło w okna. Przez dwadzieścia lat nie widział jego promieni.

Na dworze startował właśnie biało-niebieski śmigłowiec Héli Air Monaco, rozpoczynając swój siedmiominutowy lot do Nicei. Obserwując jego mrugające światła wznoszące się na ciemniejącym niebie ponad Morzem Śródziemnym, Tony wydmuchał dym ze swojego cohiba robusto.

Lubił te cygara, ulubioną markę kontrowersyjnego polityka, Fidela Castro. W początkowych latach sprawowania władzy kubański dyktator panicznie bał się otrucia, więc zatrudnił zaufanych robotników, którzy zwijali cygara specjalnie dla niego.

Tony doszedł do wniosku, że dyktator kraju będącego największym producentem cygar na świecie powinien znać się na rzeczy. Jeśli były dobre dla Castro, to były też dobre dla Tony'ego. Lubił znać się na rzeczy. O whisky też wiedział wszystko. Destylarnia Haiga została założona w 1824 roku i jako pierwsza zaczęła stosować kolumnę destylacyjną do produkcji whisky. Tony uważał, że to niezmiernie ważne, aby wiedzieć dokładnie, z kim się ma do czynienia. I w ciągu

ostatnich kilku dni dowiedział się mnóstwa rzeczy ze swoich słuchawek.

To była wyjątkowo ciekawa rozmowa. Sądząc z przebiegu dyskusji, Ross Hunter prosił swoją redaktorke o sfinansowanie podróży do Los Angeles. Chciał lecieć jak najszybciej. Niestety Tony ledwo go słyszał, jakby dziennikarz wyszedł z domu na dwór, tak że dobiegały go tylko strzępy zdań. Ale to mu wystarczyło, by wiedzieć, co ma dalej robić.

Dziwnie się to wszystko toczyło, pomyślał Tony. Trafił do pierdła na ćwierć wieku, kiedy miał dwadzieścia pięć lat. Przeżył piekło w najostrzejszym więzieniu na świecie. Za to potem życie zamieniło się w sielankę. Był na fali, a kiedy kostka toczyła się we właściwym kierunku, wszystko układało się tak perfekcyjnie, jakby ktoś gdzieś w górze przykładał do tego rękę.

Chociaż trzeba przyznać, że była to trochę pokrecona dłoń. Najpierw wynajęto go do zamordowania człowieka, którego właśnie słuchał przez słuchawki – Rossa Huntera, jakiegoś pieprzonego pismaka. Wszystko się zgadzało – gotówka wpłynęła na konto w całości i bezpiecznie. Potem kazano mu zabić dwóch facetów stojących na szczycie firmy Duszpasterstwo Wesleya Wencesłasa, tej samej, która wynajęła go do zamordowania Huntera. Rzecz jasna jego zleceniodawcy usiłowali pozostać anonimowi, ale niewielu klientom udawało się zataić przed nim swoją tożsamość.

Etyka zawodowa nie pozwalała mu wykonać wyroku na Wenceslasie i Popie osobiście, ale nie powstrzymała go na tyle, żeby postanowił stracić dobry interes, więc zrobił wyjątek od zasady, aby nikomu nie ufać, i zatrudnił do tego zadania współnika.

Za niecałe dziesięć procent pięciu milionów, których zażądał za to zlecenie, jego wiarygodny kontakt w Bukareszcie wysłał do Anglii człowieka, który wykonał robotę i następnego ranka wyjechał z kraju. Za te dziesięć procent zabójca mógł żyć w swoim kraju niczym król przez następne dziesięć lat. I co najmniej tyle czasu minie, zanim pośrednik wyśle go ponownie do Anglii.

Prawie można uwierzyć, że Bóg istnieje!

Po machlojce w sprawie Wesleya Wencesłasa Wielki Tony zaczął się zastanawiać, czy jego usługi zawodowe są jeszcze

potrzebne. Lecz gdyby nie były, musiałby zwrócić pieniądze, więc postanowił kontynuować sprawę zgodnie z instrukcjami.

Zagrzechotał kostkami lodu i pociągnął następny łyk. Szkoda, że nie mógł tego samego zrobić ze znienawidzonym Juliusem Helmsleyem vel „panem Brownem”. Ale zachowa sobie tę sprawę na przyszłość. Na razie ma do wysmażenia inny interes. Jego celem był Ross Hunter.

Dziennikarz negocjował właśnie sfinansowanie podróży do Los Angeles. Kobieta po drugiej stronie chyba się zgodziła, chociaż niechętnie. Więc podróż została przyklepana. Wielki Tony bardzo się z tego ucieszył. Los Angeles było dla niego znajomym terenem łowieckim. Poza tym podobała mu się myśl o powrocie do Ameryki. W pewnym sensie żył na wygnaniu, pozostał obywatelem Stanów Zjednoczonych do szpiku kości, mimo że jego domem było obecnie Monte Carlo. Czuł się tu dobrze. Żył w luksusie przekraczającym jego najśmielsze marzenia z dzieciństwa.

Właściwie miał tylko jeden problem: niczego w rzeczywistości nie potrzebował, nie było nic, na co pragnąłby wydawać pieniądze.

Tak naprawdę najwięcej przyjemności sprawiało mu polowanie na ludzi i zabijanie, chociaż bardzo usilnie starał się sobie wmawiać co innego.

To był prawdziwy dreszczyk. Każde zlecenie było nowym wyzwaniem, świeżą dawką adrenaliny. Polowanie, pościg – wtedy naprawdę czuł, że żyje.

Ekran laptopa na stole wyświetlał zdjęcia Rossa Huntera. Jedno było szczególnie udane – z notki o autorze nad artykułem, który napisał. Szczupła, uśmiechnięta twarz, krótkie włosy, przenikliwe spojrzenie.

Nauczył się tej twarzy na pamięć. Z okularami przeciwsłonecznymi i bez okularów. W czapce baseballowej i z gołą głową. Ogolonej i zarosniętej. Z wąsami, brodą, szczeciną.

W Los Angeles będzie fajnie.

Polecą razem, złapią ten sam samolot, chociaż z rozmowy wynikało, że Hunter może liczyć tylko na klasę ekonomiczną. Może Tony poprosi stewardesę w pierwszej klasie, żeby zaniósła gościowi w slumsach kieliszek dobrego szampana?

A może nie.

Wziął do ręki telefon i wybrał numer swojego kontaktu w Syracuse w stanie Nowy Jork, gościa, który był mu winien przysługę. Facet prowadził tajne usługi monitorowania rezerwacji lotniczych. Potrafił znaleźć każdego, kto wykupił bilet, powiedzieć, czy wystartował i o której godzinie wylądował. Tony przesłał mu nazwisko Rossa Huntera i poprosił, żeby dał mu znać, kiedy dziennikarz zarezerwuje bilet do Los Angeles.

– Proszę wybrać kartę, wszystko jedno którą. Niech pan ją wyjmie, ale mi nie pokazuje.

W piątkowy wieczór Dnia Świętego Patryka Fairfax Lounge nie miało zbyt wielu gości. Był to podniszczony lokal, urządzone staromodnie, lecz nie w wysmakowanym stylu retro, tylko zwyczajnie stary. Zapach zwiędłego piwa wgryzł się w tkankę tego miejsca. Wzdłuż jednej ściany biegł lśniący, długi bar, wzdłuż drugiej rząd skórzanych, wygiętych ław. Z sufitu zwisały nisko ciemne, zielone abażury, które nadawały wnętrzu atmosferę tajnych spelun z lat trzydziestych dwudziestego wieku. W telewizorze nad barem leciał jakiś mecz, który oglądała grupa mężczyzn i kilka kobiet pochylonych na stołkach. W głębi znajdowała się nieduża scena z mikrofonami, instrumentami muzycznymi, płataniną kabli i dwoma głośnikami wielkości lodówki. Dookoła wisiały sflaczałe i zakurzone biało-zielone flagi, które przynoszono co roku na ten dzień.

Zespół muzyczny zrobił sobie przerwę. Składał się z gitarzysty, perkusisty i saksofonisty oraz piosenkarki – podstarzałej platynowej blondynki, która wyglądała, jakby jej chirurg plastyczny doskrobał się już do gołej kości.

– Pierwszą lepszą kartę, proszę pana! Tak jest, może być ta.

Mike Delaney był wychudzonym mężczyzną z twarzą pokrytą siateczką naczyń krwionośnych od nadmiaru trunków. Miał na sobie swój jedyny, jasnoszary garnitur, gdzieś popruty i przetarty na łokciach, czarną koszulę i mocno zdarte trzewiki. Nad czołem zwiślał kosmyk przydługich, mocno przerzedzonych włosów, które częściowo zasłaniały jego prawe oko.

Drżącymi dłońmi rozłożył w wachlarz całą talię kart, figurami do dołu. Przed nim na kanapie siedziała czwórka ludzi; jeden z mężczyzn pił budweysera, drugi whisky z lodem, a dwie kobiety drinki w kieliszkach do martini. Mężczyzna pijący whisky, w podkoszulku i z ogoloną głową, miał wyraźnie nieprzyjazną minę. Nie podobała mu się napastliwość iluzjonisty. Niechętnie wyciągnął wytatuowane ramię z zegarkiem Breitling na nadgarstku i wybrał jedną kartę.

– Jak pan ma na imię?

– Billy.

Delaney mówił natarczywym, trochę piskliwym głosem.

– Popatrz na kartę, Billy, nie pokazuj mi jej. Pokaż innym, ale mnie nie pokazuj.

Zgodnie z instrukcją mężczyzna pokazał swoim towarzyszom wyciągniętą ósemkę kier.

Delaney wręczył mu czarny flamaster.

– Czy możesz ją podpisać na rewersie?

Billy nabazgrał na karcie swoje imię, po czym oddał pisak, a staruszek schował go do kieszeni.

– Teraz włóż kartę z powrotem do talii. Gdzie chcesz.

Billy wsunął kartonik między pozostałe i wzruszył z niedowierzaniem ramionami do swojego towarzysza.

Delaney zwinął talię. Potem, kiedy zaczął ją ponownie rozkładać, palce mu się ześliznęły i upuścił całą talię na podłogę, awersem do góry.

– Kurwa mać, człowieku! To jakiś pieprzony kant! – warknął na cały głos Billy.

Obie pary pochyliły się i spojrzały na rozrzucone karty. Wszystkie były identyczne. Na podłodze leżały same ósemki kier.

Mike Delaney pośpiesznie uklęknął i zebrał rozsypaną talię.

– Którą kartę wybrałeś, Billy?

– Dobrze wiesz którą, dupku.

Starzec wręczył mu talię.

– Proszę, pokaż mi ją.

– Co jest, do kurwy nędzy?

– Pokaż mi tę kartę, proszę.

Łysy mężczyzna odwrócił talię. Ku jego zdumieniu na wierzchu leżała dama trefl, a nie ósemka kier. Zmarszczył czoło

i zsunął kartę na stół. Następnie odsłoniła się dwójka pik. Znowu ściągnął brwi i przeglądał dalej. Każda karta była inna. Trójka jego towarzyszy przyglądała się z zaciekawieniem.

– Widzisz swoją kartę, Billy?

– Cholera.

Mężczyzna w milczeniu przeglądał talie.

– Nie ma jej tu – powiedział w końcu, kiedy wszystkie karty leżały na stole awersami do góry.

Delaney zrobił zdziwioną minę.

– No dobrze, w takim razie spróbujmy inaczej. Skoro ty nie możesz mi powiedzieć, która to była karta, to ja ci powiem, gdzie ona jest, dobrze?

– Dobra.

Stary magik znikąd wyczarował łyżeczkę.

– Czy mógłbyś mi podać swoją szklaneczkę, Billy? Jeśli coś mi się wyleje, postawię ci nowego drinka, zgoda?

Mężczyzna niechętnie podał mu swoją whisky.

Delaney wyjął łyżeczką kostkę lodu i położył ją na stoliku. Następnie pozornie znikąd w jego dłoni pojawił się mały srebrny młoteczek. Trzymając kostkę lodu jedną dłonią, uderzył w nią młoteczką i roztrzaskał. W środku znajdowała się złożona karta.

– Czy to może być ta, Billy?

Mężczyzna wziął kartę, rozłożył, a następnie osłupiały pokazał ją swoim towarzyszom.

– Czy to twoja karta?

– No, w każdym razie ósemka kier.

– Odwróć ją.

Odwrócił. Na rewersie widniało napisane czarnym flamastrem, jego własnym charakterem pisma, „Billy”.

– Jezu! – mruknął. – Jak to zrobiłeś, do diabła?

Jego towarzysze patrzyli zdumieni.

Delaney się uśmiechnął.

– Muszę już lecieć, robi się późno. Bawcie się dobrze. – Zawahał się jeszcze. – Ach, Billy, czy mógłbyś mi powiedzieć, która godzina?

– Jasne – odparł łysy mężczyzna i zerknął na zegarek.

Ściśle mówiąc, spojrzął na miejsce, gdzie wcześniej miał zegarek.

Magik wsunął rękę do kieszeni na piersi i wyciągnął breitlinga. Podniósł go do góry za pasek.
– Tego szukasz, Billy?

Sobota, 18 marca

Ross siedział naprzeciwko Imogen w jej ulubionej restauracji wegetariańskiej Terre à Terre. W domu żadne z nich nie pijało alkoholu w porze lunchu, ale Imogen powiedziała, że ma ochotę na kieliszek wina, i Ross bardzo chętnie się z nią zgodził.

W końcu zamówił butelkę albariño.

– Zdrowie – powiedział po dłuższej chwili niezręcznego milczenia, kiedy czekali, aż kelner wróci z trunkiem, a następnie naleje do kieliszków.

Dziwnie się czuł, siedząc tu z Imogen.

Jego żona podniosła kieliszek.

– Zdrowie – odpowiedziała bez nuty radości w głosie. Upiła łyk. – Bardzo... mineralne – stwierdziła beznamiętnie.

– Zwykle lubisz „mineralne” – zauważył Ross.

– Nic już nie jest takie jak zwykle.

– Posłuchaj, Imo, wiem, że sprawy się pokomplikowały. Co byś powiedziała, gdybym ci oznajmił, że Jezus Chrystus wrócił na ziemię i ja go mogę znaleźć?

– Że powinieneś iść do poradni zdrowia psychicznego.

– Mówię poważnie, Imo. Wiem, że przeszłaś piekło. Nie myśl, że ja nie. Ale to, co odkryłem, to prawdziwy dynamit. Mam historię, która rozsadzi ludziom czaszki. Potrzebuję tylko, żebyś mi trochę odpuściła i zaufała mojej intuicji. Dobrze? Dzięki tej historii będziemy bogaci, bogatsi, niż moglibyśmy to sobie wyobrazić. Spłacimy wszystkie długi i zostanie nam masa pieniędzy na inne wydatki.

Imogen przekrzywiła głowę i upiła wina.

– Opowiesz mi o tym?

– Oczywiście!

Uniósł kieliszek i stuknął się z nią. A potem opowiedział jej wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwóch dni.

– Więc lecisz jutro do Los Angeles?

– Tak.

– I gdzie zaczniesz szukać? To wielkie miasto, a ty masz tylko współrzędne geograficzne kierujące do jakiejś jego części i nic więcej.

– Mam tam trochę kontaktów. Mój stary znajomy pracuje w „Los Angeles Timesie”. Znam też faceta w tamtejszej policji. Pomógł mi, kiedy pisałem artykuł o napastowaniu sławnych ludzi. Wysłałem do obydwu maile.

Imogen skinęła głową.

– O której wylatujesz?

– W południe.

– A co zrobisz z Montym?

– Muszę go zostawić w hotelu dla psów. Znalazłem taki, który wzbudził moje zaufanie, ten, który mijamy, kiedy przejeżdżamy przez Lewes.

– A więc jedziesz do Los Angeles, żeby się spotkać z Jezusem Chrystusem?

– Taką mam nadzieję.

– A co, jeśli nie będzie go w domu?

– Daj spokój, przestań być taka cyniczna.

– Przepraszam cię, Ross, ale powinieneś nagrać to wszystko na dyktafon, a potem sobie włączyć i posłuchać, jak to brzmi.

– Czy Chrystus nie zginął na krzyżu właśnie dlatego, że ludzie w niego nie wierzyli? Albo się go bali? Jesteś wierząca, Imo. Cała twoja religia opiera się na wierze w zmartwychwstanie, więc na czym polega twój problem?

– W mojej religii, Ross, wierzymy, że zanim Jezus Chrystus powróci na ziemię, dowiemy się o tym wcześniej. Będzie o tym głośno. To, co robisz, może najwyżej dać czas antenowy jakiemuś świrowi, a konsekwencje mogą poważnie zaszkodzić całemu chrześcijaństwu.

Ross popatrzył na nią uważnie.

– Nie mogę uwierzyć, że mnie nie wspierasz. Jesteś moją żoną, stanowimy jedność. Teoretycznie nierozzerwalny związek. „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela”.

Przeszył ją wymownym spojrzeniem, a Imogen się zarumieniła.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem...

– Odgrzebywać przeszłości? Rozżarzonych węgielków, które dla ciebie nigdy całkiem nie zgasną?

– Imo, prawdopodobnie trafiłem na największą sensację w moim życiu.

– Nie mogę cię dłużej wspierać, Ross, ponieważ ta sensacja znaczy dla ciebie więcej niż ja i nasze dziecko. Zakochałam się mężczyźnie, który, jak sobie wyobrażałam, będzie mnie w życiu stawiał na pierwszym miejscu. Ale się pomyliłam. Szybko się okazało, że dla ciebie w naszym małżeństwie zawsze najważniejsza będzie twoja praca. Ważniejsza od wszystkiego. Czy w ogóle kiedykolwiek liczyło się dla ciebie coś poza twoimi historiami?

Ross spojrział na nią gniewnie.

– Powiem ci, co się dla mnie liczy bardziej niż wszystko inne: żeby nasze dziecko miało przed sobą przyszłość, a w tym świecie, w tak popieprzonej sytuacji, jaka na nim panuje, nie jestem pewien, czy tak jest. To nie jest żadna powtórka z historii, Imo. Mówię o możliwości zmiany i ocalenia całego świata.

– I ty naprawdę w to wierzysz? W majaczenia starego wariata? Czytałeś kiedyś książki E.M. Forstera?

– *Pokój z widokiem? Drogę do Indii?*

– Tak. „Gdyby przyszło mi kiedyś wybierać między zdradą przyjaciela a zdradą kraju, modłę się, aby starczyło mi odwagi, by zdradzić swój kraj”.

– Więc wolisz, żebym zdradził świat tylko po to, byś ty mogła się poczuć troszkę lepiej? – Ross wziął do ręki kieliszek. – Jak to świadczy o twojej wierze?

– O mojej wierze?

– Mówisz, że powinienem odrzucić szansę udowodnienia światu, że Bóg istnieje, tylko po to, żeby nie rozzłościć żony?

– Nie chodzi o rozzłoszczenie żony. Chodzi o to, czy ja i twoje dziecko zginiemy, czy przeżyjemy. O uznanie, że jesteśmy ważniejsi niż artykuł do gazety.

– Chodzi również o wspieranie swojego partnera, Imo.

– Czyli jesteśmy zgodni co do jednego: mamy odmienne zdania.

Ross pokręcił głową. Coraz bardziej piętrzył się w nim gniew.

– Nie, Imo, w niczym nie jesteśmy zgodni.

Po powrocie do domu Ross poszedł prosto do sypialni i zaczął się pakować. Monty przydreptał za nim i patrzył na niego z opuszczonym ogonem, jak zawsze na widok walizek.

– Nie martw się, piesku, pójdziesz do hotelu, ale tylko na kilka dni, obiecuję.

To dziwne, pomyślał, ale kłótnia z Imogen nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Powinien się nią martwić, tymczasem w ogóle się tym nie przejmował. Bez reszty pochłonęło go pakowanie. Zastanawiał się, czy ze względu na wygodę i sprawność poruszania się lepiej wcisnąć wszystko do jednej dużej torby podróżnej, czy do walizki, którą nada na bagaż i która leżała już przygotowana na podłodze.

Kiedy nad tym rozmyślał, zadzwonił telefon. Odebrał.

– Pan Hunter? – zapytał nieznany męski głos z akcentem ze środkowej Anglii. – Mówi inspektor Simon Cludes z wydziału zabójstw policji Leicestershire.

– Tak?

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale może słyszał pan już o podwójnym zabójstwie pastora Wesleya Wenceslasa oraz Lancelota Pope’a.

– Trudno było nie usłyszeć, trąbiono o nim we wszystkich wiadomościach.

– Chciałbym zapytać: czy znał pan któregoś z tych panów?

– Nie, żadnego z nich nie znałem. Kiedyś próbowałem porozmawiać z pastorem Wenceslasem, ale nie udało mi się nawet ominąć jego obstawy. Wymieniłem go kilkakrotnie w swoim artykule o najbogatszych duchownych ewangelickich na świecie. Przyznaję, że wypowiadałem się o nim bardzo krytycznie.

– Czy mógł ich pan rozzłościć?

– Owszem. Straszili pozwem sądowym mnie oraz moją gazetę, ale zdaje się, że przemyśleli sprawę i zrezygnowali.

– Czy mógł ich pan rozzłościć na tyle, by chcieli pana zabić?

– Obawiam się, że w swojej pracy rozzłościłem wielu ludzi na tyle, że chcieliby mnie zabić – odrzekł Ross. – Ale to było dobre pięć lat temu, może nawet sześć. Myślę, że gdybym wkurzył ich wtedy na tyle, żeby próbowali mnie sprzątnąć, to już dawno by to zrobili.

– Niestety, z moich informacji wynika co innego. Na podstawie tego, co naszym informatykom udało się wydobyć z komputerów denatów, mamy powody podejrzewać, że pańskie życie znajduje się w niebezpieczeństwie.

– Co takiego znaleźliście?

– Przykro mi, ale na obecnym etapie niczego więcej nie wiemy. Czy nie miał pan w ostatnim czasie żadnych kontaktów z Duszpasterstwem Wesleya Wencesłasa albo z samym pastorem, które mogłyby ich na nowo sprowokować?

– Nie, nie miałem z nimi żadnych kontaktów. Czy po śmierci Wencesłasa zagrożenie zostało zażegnane?

– Chcielibyśmy w to wierzyć, panie Hunter, ale tak naprawdę tego nie wiemy. Czy mógłby pan złożyć zeznania? Rozmawiałem z policją z Sussex, wysłał do pana dwóch funkcjonariuszy.

– Chętnie bym się z nimi spotkał, ale jutro wylatuję do Ameryki.

– Podam panu swój numer, niech pan do mnie zadzwoni po powrocie.

– Oczywiście. Proszę mi powiedzieć, czy to znaczy, że Wencesłas wynajął na mnie płatnego zabójcę? Co pan wie na ten temat?

– Nic więcej poza tym, co już powiedziałem. Znaleźliśmy aluzje na ten temat, ale jak dotąd nie udało nam się uzyskać żadnych szczegółów. Nie chcę pana niepotrzebnie niepokoić, ale zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym pana nie ostrzegł. Sugeruję, aby zachował pan wzmożoną ostrożność, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. Oczywiście powiadomię pana natychmiast, gdy tylko zdobędziemy jakieś dalsze informacje. Czy będzie pan dostępny w Ameryce pod tym numerem?

– Przez okrągłą dobę.

Ross zakończył rozmowę.

Wesley Wenceslas wynajął na niego płatnego mordercę? Pięć lat po artykule o pastorach naciągaczach? Podobno zemsta najlepiej smakuje na zimno, ale pięć lat to zdecydowanie za długo, żeby łączyć obie sprawy.

Zajrzał na stronę pastora na Facebooku i zobaczył lawinę żalobnych postów, wyrażających szok, niedowierzanie i smutek. Potem wpisał nazwisko Wenceslasa w Google i kliknął na link do kanału pastora na YouTube. W jego londyńskim kościele odprawiano mszę, kamera pokazywała morze zapłakanych twarzy.

Wyjrzał za okno. Jak na sobotnie popołudnie ulice dziwnie opustoszały. To prawdopodobnie dlatego, że Brighton and Hove Albion grają na wyjeździe.

Czemu Wenceslas czy ktoś z jego firmy miałoby nasyłać na niego zabójcę? Czyżby pastor bał się o losy swojego imperium, gdyby odkrycie Rossa wyszło na jaw?

Otworzył swój plik z artykułem i przez następne dwie godziny pisał. Podjął opis wydarzeń od miejsca, gdzie przerwał w pociągu do Birmingham. Zdawało się, jakby wieki minęły od tamtej pory. Potem to, co napisał, dołączył do maila.

Cześć, Natalie,

wysłałam to nie do publikacji, tylko jako zabezpieczenie. Dostałem właśnie wiarygodne ostrzeżenie, że ktoś chce mnie zabić. Mam nadzieję, że wkrótce napiszę więcej. Na razie to dla mnie przechowaj, a jeśli coś mi się stanie, znajdziesz tu dobry materiał!

Wysłał maila z załącznikiem do swojej redaktorki.

Zszedł na dół, włożył buty, zapiął Monty'ego na smycz, wziął latarkę i wyszedł na dwór, gdzie zapadał już zmierzch.

Przeszedł kładką na drugą stronę drogi i pozwolił psu biegać swobodnie po dzikim terenie, a sam szedł powoli, osłaniając się przed zimnym wiatrem.

Mamy powody podejrzewać, że pańskie życie znajduje się w niebezpieczeństwie.

Wrócił myślami do swojego spotkania z Benedictem Carmichaelem. On też go ostrzegał.

Wiesz, co tak naprawdę, szczerze myślę, Ross? Gdyby człowiek cieszący się poważaniem i autorytetem ogłosił, że ma dowód absolutny istnienia Boga, szybko by zginął.

Wenceslas został zamordowany. Kto go zabił i dlaczego?

Szedł, wdychając zapachy ziemi i trawy i patrząc na dalekie światła jakiegoś gospodarstwa. Poczul się nagle bardzo samotny. Przypomniał sobie lunch z Imogen. Z rozgniewaną obcą kobietą, która była jego żoną. Z rozgniewaną nieznajomą, która nosiła jego dziecko.

Wziąć pieniądze od Silvestriego? Rozwiązać wszystkie finansowe problemy i zacząć wszystko od nowa? Mogliby wystawić dom na sprzedaż i wyprowadzić się na wieś, o czym od dawna oboje marzyli. Lecz jego myśli zatoczyły koło i wróciły do tego samego miejsca co zawsze: czy potrafiłyby żyć dalej, zastanawiając się, co by się mogło zdarzyć, gdyby nie zaprzedał duszy za trzydzieści srebrników?

Godzinę później Ross wracał po trawiastym dzikim terenie, oświetlając sobie ścieżkę latarką. Przy ogrodzeniu po drugiej stronie drogi zawołał Monty'ego, przypiął mu smycz, po czym przeszedł wysoką kładką przez ruchliwą dwupasmówkę i labiryntem uliczek Patcham dotarł z powrotem do domu. Dokładnie kiedy zatrzymał się przed drzwiami, za jego plecami zabłyśły reflektory samochodu.

Obrócił się błyskawicznie na pięcie.

Przed dom podjechała limuzyna z dyplomatycznymi tablicami rejestracyjnymi. Ross rozpoznał ciemnego mercedesa przedstawiciela Watykanu. Otworzyły się tylne drzwi i ze środka wysiadł Giuseppe Silvestri.

– Ach, pan Hunter!

– Dobry wieczór, panie Silvestri.

– Czy moglibyśmy porozmawiać?

– Niezupełnie. Nie.

– Może chociaż kilka minut?

– Przykro mi, ale to niewłaściwy moment.

– Panie Hunter, wiem, co pan robi.

– Doprawdy?

– Czy zdaje pan sobie sprawę, jakie spowoduje szkody?

Proszę mnie wysłuchać.

– Słucham. Jakie dokładnie szkody spowoduję?

Silvestri rozejrzał się niespokojnie wokół siebie.

– Myślę, że to nie jest dobre miejsce na rozmowę. Chciałbym kontynuować naszą poprzednią dyskusję.

– O jakich szkodach pan mówi? – powtórzył pytanie Ross.

– Dla całej naszej religii, dla wszystkich systemów wierzeń na świecie.

– Naprawdę? Dla sikhów? Nie wydaje mi się, aby doznali uszczerbku za sprawą dowodu na istnienie Boga. Ich Bóg jest wszystkim. Oni wiedzą, że istnieje.

– Nie powinien pan prowokować rzymskiego Kościoła katolickiego, panie Hunter.

– Boicie się utracić monopol, panie Silvestri? Rozmawia pan jak negocjator mafii, który przyszedł mi złożyć „propozycję nie do odrzucenia”, a nie jak wysłannik Boży. Zdawało mi się, że dawno już minęły czasy inkwizycji.

– Panie Hunter, nadeszły mroczne czasy dla tego świata. Słyszymy różne rzeczy, wiemy różne rzeczy, wszędzie mamy swoje uszy. Jesteśmy pośrednikiem, przez którego przemawia Bóg.

– Czego ode mnie chcecie? Kielicha i resztek zęba, które może, choć niekoniecznie, zawierają DNA Jezusa Chrystusa? Dlaczego tak koniecznie chcecie je zdobyć?

– Jezus Chrystus jest fundamentem religii chrześcijańskiej. Jest podstawą naszego istnienia.

– A co by było, gdyby powrócił?

– Na ziemię? – Silvestri popatrzył na niego z niedowierzaniem. – Jezus Chrystus ponownie na ziemi? Myślę, panie Hunter, że wiedzielibyśmy o tym pierws.

– Skoro tak, to nie macie się czego obawiać. – Ross uśmiechnął się do niego grzecznie, wpuścił do domu psa i wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi i założył łańcuch.

Odpiął Monty’emu smycz i pobiegł na górę do gabinetu. Nie zapalwszy światła, podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Przez kilka sekund Silvestri stał niezdecydowanie przed wejściem, po czym odwrócił się i wsiadł do limuzyny.

Po chwili samochód odjechał.

Ross zapalił lampkę przy biurku, usiadł i otworzył komputer.

Przyszedł mail od jego znajomego z policji Los Angeles, śledczego Jeffa Cartera

Ross, zadzwoń do mnie, jak będziesz w mieście.

Myślę, że znalazłem faceta, którego szukasz.

Niedziela, 19 marca

Ponieważ Ross nie wiedział, jak długo będzie musiał zostać w Los Angeles, zdecydował się w końcu wziąć przyzwoitą walizkę i nadać ją na bagaż. Miał na lotnisku godzinę do odlotu, więc kupił w WHSmith kilka niedzielnych gazet i poszedł do kawiarni, gdzie wybrał sobie stolik i usiadł przy kawie i rogaliku.

Przejrzał pierwszą stronę „Observera”, po czym zajrzał do środka.

Zobaczył całą stronę poświęconą pastorowi Wesleyowi Wenceslasowi. Zdjęcia rozpaczających mężczyzn i kobiet w czasie mszy w londyńskim kościele, pod spodem artykuł, a w nim kilka wypowiedzi inspektora Simona Cludesa.

W obecnej chwili nie mamy żadnych tropów, które mogłyby wskazać sprawcę tej okropnej zbrodni, dokonanej na znanym i powszechnie lubianym duchownym oraz dyrektorze generalnym jego firmy. Chciałbym zaapelować do osób, które posiadają jakiegokolwiek informacje w tej sprawie, aby zgłosiły się na policję, a jeśli pragną pozostać anonimowe, aby zadzwoniły pod poniższy numer.

Ross nie mógł powstrzymać wrodzonego sceptycyzmu. „Powszechnie lubianym duchownym”. Serio? Raczej odrażającym starym oszuście, zgarniającym dwadzieścia pięć funtów za odklepanie modlitwy nad kawałkiem ścierki, inspektorze Cludes.

Po chwili przerwał mu znajomy kobiecy głos za plecami.
– Cóż to, dzisiaj bez ostryg?

Odkręcił się na stolku.

Za nim stała Sally Hughes.

– Cześć! Co ty tu robisz?

– Prawdopodobnie to samo co ty. Łapię samolot.

– Chodź, napij się ze mną czegoś. Masz trochę czasu? Herbaty? Kawy?

– Nie, nic mi nie trzeba, dzięki.

Wskoczyła na pusty stół obok niego. Miała na sobie zamszowy żakiet, dżinsy i botki, a na ramieniu dużą gustowną torebkę.

– To się nazywa zbieg okoliczności! Więc dokąd lecisz? – spytał Ross.

– Do Los Angeles. A ty?

– Lecisz do Los Angeles? – powtórzył zdumiony.

– Moja stacja chce, żebym zebrała trochę nagrań na temat opinii Amerykanów o obecnym klimacie politycznym.

– Los Angeles to teren zatwardziałych demokratów. Nie znajdziesz tam zbyt wielu zachwyconych trumpowców.

– A ty dokąd się wybierasz?

– Możesz wierzyć albo nie, ale też do Los Angeles!

– Niemożliwe! Którym lotem?

– BA 201.

– Serio?

– Tak.

– Ja też. Pewnie lecisz pierwszą klasą albo biznesową – powiedziała.

– Chyba żartujesz. Ekonomiczną. Czy turystyczną, czy jak ją tam nazywają. Na końcu autobusu. A ty?

– Ja też w slumsach.

Uśmiechnął się szeroko.

– Gdzie siedzisz?

Wyjęła swoją kartę pokładową.

– 43B.

Ross spojrział na swoją, po czym pokazał ją Sally.

– Siedzę dokładnie przed tobą! – zauważyła.

Na jego bilecie widniał numer siedzenia 44B.

To było zbyt niewiarygodne. Nie mógł uwierzyć w taki zbieg okoliczności. Ona musi coś kombinować.

11

Niedziela, 19 marca

– Co to jest? – spytał pogardliwie Bloor, kiedy stewardesa na pokładzie gulfstreama wręczyła mu tacę z kanapkami.

– Pański lunch – odrzekła uprzejmie. – Wędzony łosoś, sałatka z kurczaka, jajka siekane z majonezem, hummus oraz pomidor.

– Czegoś takiego spodziewałbym się w klasie ekonomicznej, a nie w prywatnym odrzutowcu! Jezu!

Julius Helmsley, który siedział naprzeciwko niego, zaczął zdejmować folię ze swojej tacy.

– Na małych odrzutowcach jest inaczej, szefie.

– Tak? – prychnął wściekle Bloor. – Bulimy tyle forsy za prywatny odrzutowiec, żeby dostać jakieś cholerne kanapki?

– Nie miałem czasu na zorganizowanie bankietu z pięcioma daniami.

– Lepsze jedzenie dostalibyśmy w pierwszej klasie British Airways za ćwierć ceny.

– Ainsleyu, chciałeś być w Los Angeles przed Hunterem i właśnie go wyprzedzamy. Wyluzuj! Zrelaksuj się. Następnym razem wyczarterujemy duży samolot.

– Cholerny Hunter ciągle załazi nam za skórę.

– Poczekaj, aż my zaleziemy jemu – powiedział Helmsley. – Ale teraz jeszcze za wcześnie. Jesteśmy na wszystko przygotowani. Wiemy, gdzie się zatrzyma i dokąd się wybiera.

– Mniej więcej – przypomniał mu Bloor.

– Mamy informatorkę, która została odpowiednio wynagrodzona. – Uśmiechnął się Helmsley.

– Tak, pod tym względem doskonale się spisałeś, Juliusie – pochwalił go Ainsley.

– Mamy doskonałą pozycję, żeby go śledzić, a przy odrobinie szczęścia możemy go nawet wyprzedzić o krok, jeśli zajdzie potrzeba.

– A potem?

Helmsley znowu się uśmiechnął.

– Hunter wierzy, że Jezus Chrystus powrócił na ziemię i znajduje się w Los Angeles. Wiemy też, że ktoś z policji w tym mieście pomaga mu go wytropić. Bez względu na to, czy to rzeczywiście Jezus Chrystus, czy tylko wiarygodny samozwaniec, Hunter nas do niego zaprowadzi.

Bloor skinął głową.

– A wtedy my...?

– Żegnaj, Hunter.

– A następnie zaczynamy negocjacje z Jezusem Chrystusem, aby stał się twarzą Kerr Kluge.

– Przekonamy się, ile w tym wszystkim prawdy. – Helmsley ugryzł kanapkę i kawałek jajka upadł na serwetkę. – Ile są warte te geny.

– Szczerze mówiąc, nie mogę uwierzyć, co my wyprawiamy, Juliusie. Czy my nie szukamy wiatru w polu? Nawet jeśli to największy huragan w historii. Lecimy przez pół świata, żeby znaleźć kogoś, kto może jest, a może nie jest nosicielem genów Jezusa Chrystusa?

– Niezupełnie, Ainsleyu. Każdy z nas nosi DNA swoich dalekich krewnych. To, z czym mamy do czynienia, to jedyna w swoim rodzaju genetyczna sygnatura w DNA mitochondrialnym oraz chromosomu Y, identyczna z DNA Jezusa z Nazaretu. To kolosalna różnica.

– No tak, a prawdopodobieństwo takiego zdarzenia wynosi jeden do dziesięciu miliardów czy coś w tym rodzaju?

– Nawet dużo mniej. Przyznaję, że to mógłby być po prostu największy zbieg okoliczności, jaki można sobie wyobrazić, chociaż realistycznie rzecz biorąc, szanse na to, żeby w jednej osobie po dwóch tysiącach lat zbiegły się dwie linie genealogiczne, męska i żeńska, są nieskończenie małe.

– Cały czas się zastanawiam: jeśli to jest naprawdę Syn Boży – ciągnął Bloor – i dobiega siedemdziesiątki, to jak to się stało, że przez całe życie był niewidzialny? Ta idiotyczna książka z bajeczkami, którą czytają chrześcijanie, głosi, że drugie

nadejście Chrystusa będzie poprzedzone wszelkiego rodzaju zapowiedziami. Omeny, wojny, katastrofy, nadciągające zagłady i co tam jeszcze.

Helmsley popatrzył na niego z powagą.

– Nie sądzisz, że tak właśnie wygląda teraz sytuacja na świecie?

– Zawsze tak wyglądała.

– Nie zgadzam się. Cały porządek świata zaczyna się kruszyć. Wracamy do sytuacji z lat trzydziestych dwudziestego wieku: niezadowolenie, gniew, religijne fermenty, ludzie czują się pozbawieni praw, do władzy dochodzą despoci. Ogólny stan wrzenia. Może on czekał na odpowiednią chwilę, która właśnie nadeszła.

– Juliusie, o ile mnie pamięć nie myli, jedna z bajeczek mówi, że Jezus Chrystus przyjdzie powtórnie na ziemię jako król, w chwale i potędze, aby władać przez tysiąc lat. Jeśli dobiega siedemdziesiątki, to powinien się z tym pospieszyć.

– I tak poszło mu lepiej niż poprzednio. Wtedy dociągnął tylko do trzydziestu trzech.

– Fakt. W każdym razie za kilka dni dowiemy się, czy jest prawdziwy, czy nie – podsumował Bloor.

– Tak.

– I czy Bóg jest prawdziwy czy nie, prawda, Juliusie?

– Będziesz miał z tym mały zgryz jako ateista, nie sądzisz?

Po trzecim kieliszku starego roederera Wielki Tony poczuł się bardzo wyluzowany. Wchodząc na pokład samolotu, widział Rossa Huntera stojącego w kolejce do klasy ekonomicznej.

Miłego lotu, stary. Ciesz się ostatnimi godzinami życia na ziemi!

Wydłubał z sałatki schłodzoną krewetkę i włożył ją do ust. Była trochę za zimna jak na jego upodobania, ale kosztowny trunek z bąbelkami pomógł ją gładko przełknąć.

Kusiło go, żeby przejść się na spacer po samolocie i zobaczyć, jak się czuje jego cel, ale ostrożność wzięła górę. Po co podejmować niepotrzebne ryzyko? Ross Hunter nigdzie mu nie ucieknie. Tony ma mnóstwo czasu.

Pstryknął palcami na stewardesę i wkrótce zjawił się kolejny kieliszek szampana.

Magia!

– Magia! – powiedział Ross do Sally, kiedy udało jej się zamienić miejscami z pasażerem siedzącym obok niego. Wzniósł kieliszek szampana, który przed nim postawiła. – Więc jak to się dokładnie stało?

– Nie wiem, ale to bardzo miłe – powiedziała z szerokim uśmiechem. Odwróciła do niego głowę. – Może połączył nas los? Ja się bardzo z tego cieszę.

Położyła elegancko wypielegnowaną dłoń na oparciu między ich fotelami. Ross ścisnął ją lekko, udając, że podjął grę.

– Ja też. Gdybym tylko nie był żonaty... Myślę, że tworzylibyśmy zgrany zespół.

Sally znów odsłoniła zęby w uśmiechu.

– Rozumiem i szanuję twoje zasady moralne. Daj mi znać, jeśli kiedyś zmienisz zdanie.

– Umowa stoi. – Odpowiedział takim samym, szerokim uśmiechem. – Nigdy nie mów nigdy...

Przyjechały ich tace z jedzeniem.

Wkrótce po posiłku Ross zasnął. Kiedy się zbudził dwie godziny później, Sally siedziała obok niego ze słuchawkami na uszach i oglądała jakiś film.

Nogi mu zdrętwiały. Wyjął laptop z kieszeni fotela i otworzył go na kolanach, na ile pozwoliło mu opuszczone oparcie pasażera z przodu. Przeczytał to, co do tej pory napisał do artykułu, po czym kontynuował, poczynawszy od maila od policjanta z Los Angeles z informacją, że chyba znalazł Michaela Delaneya.

Pominał fakt spotkania Sally Hughes w samolocie.

Potem otworzył mapę z fragmentem zachodniego Hollywood, którą ściągnął z Google Earth, i zaczął się przyglądać gęstej sieci ulic.

Jeśli Jezus Chrystus naprawdę powrócił na ziemię, czemu wybrał Los Angeles, a nie Górę Oliwną w Ziemi Świętej, jak to zostało przepowiedziane w Biblii?

Ziemia Święta. Holy Land. Holy Wood? Hollywood? Czy to znacząca zbieżność nazw?

Zauważył, że Sally zagląda mu w ekran. Zdjęła z uszu słuchawki.

– Czego szukasz? Byłeś bardzo tajemniczy w sprawie tego lotu. Mogę spróbować odgadnąć, po co lecisz do Los Angeles?

– Próbuj.

– Trzeci zestaw współrzędnych geograficznych od twojego znajomego, doktora Cooka?

– Możliwe – odparł Ross wymijająco.

– Miejsce powtórnych narodzin Chrystusa?

– Naprawdę uważasz, że ze wszystkich miejsc na ziemi mógłby wybrać akurat Los Angeles?

– Szczerze mówiąc, tak – odrzekła Sally.

– Dlaczego?

– Gdybym była Chrystusem i chciała zmienić świat, to uznałabym Amerykę za jedno z najlepszych miejsc. W ciągu dwóch tysięcy lat odpowiednie do tego celu tereny poważnie

się skurczyły. Wybrałabym naród, który utrzymuje żywą tradycję chrześcijańską i ma największe wpływy na świecie. Gdybym była Bogiem i chciała, aby mój syn miał najłatwiejszą drogę do opinii publicznej, wysłałabym go do jednej z największych stolic medialnych na świecie. Los Angeles spełnia wszystkie te kryteria.

– A gdybym ja był Szatanem i chciał wysłać wielkiego samozwańca w miejsce na ziemi, gdzie mógłby zyskać największy światowy rozgłos, to wybrałabym zapewne dokładnie to samo miasto – odparował Ross.

– Naprawdę tak myślisz? I dlatego lecisz do Los Angeles? Aby zdemaskować samozwańca podszywającego się pod Chrystusa? Szatana udającego powrót Zbawiciela?

– Jestem dziennikarzem, Sally, nie wyrocznią. Idę tropem wątków, historii. Nie wiem, co tam znajdę. Jeżeli w ogóle coś znajdę.

– A kiedy znajdziesz człowieka, którego szukasz, to jak rozpoznasz, co jest prawdą?

– W starożytnej Mezopotamii istniało takie powiedzenie: „Prawdę od kłamstwa oddzielają cztery palce”. Jeśli ją zmierzysz, przekonasz się, że jest to odległość między twoimi oczami i uszami.

Sally spojrzała na niego z uwagą.

– Między tym, co widzisz, i tym, co słyszysz?

– Tak. Trzymałem się tej zasady przez całą swoją karierę zawodową. Pogłoski, które słyszysz, i prawda, którą w końcu widzisz.

– Powiesz mi, jeśli odkryjesz prawdę?

Ross patrzył na nią w milczeniu. W tej samej chwili siedzący przed nim pasażer jeszcze bardziej opuścił oparcie, tak że nie dało się już patrzeć w otwarty laptop.

– Powiem tobie i całej reszcie świata.

Sally podniosła ostrzegawczo dłoń.

– Możesz mi coś obiecać?

– Co takiego?

– Na wypadek gdyby prawda okazała się ciężkostrawna. Nie chcę widzieć wydanej na ciebie fatwy. Tak jak to się przydarzyło Salmanowi Rushdiemu. Proszę, wypróbuj ją najpierw na mnie, dobrze?

- Dobrze.
 - Mówię poważnie.
 - Ja też.
 - Obiecujesz?
- Ross uniósł prawą dłoń.
- Słowo harcerza.

Późnym popołudniem brat Pete Stellos wysiadł z samolotu na lotnisku Heathrow. W dłoni trzymał tę samą skórzaną torbę, z którą po raz pierwszy przyjechał na górę Athos. Była jednak teraz lżejsza niż wtedy, ponieważ wioził w niej niewiele poza Biblią, szczoteczką oraz pastą do zębów. Prawie wszystkie ubrania, jakie posiadał, miał na sobie: czarny habit, *kalymafki* oraz czarne buty.

Szedł w stronę odprawy paszportowej oszołomiony tłumem ludzi, znakami, przejściami odgrodzonymi sznurem. Tak dziwnie się czuł z powrotem w tym świecie pełnym kolorów i dźwięków. Pełnym kobiet. Aż do dzisiejszego ranka, kiedy przyjechał na lotnisko w Salonikach, przez dziesięć lat nie widział kobiety. Ani dziecka. Ani biegnących ludzi. Ani psa.

Stał bez ruchu jak wrośnięty w ziemię. Nie śmiał zrobić ani kroku dalej, ze wszystkich stron napierało na niego rozgorączkowane, gwarne rojowisko, jakby go chciało udusić. W napadzie paniki z trudem chwycił oddech.

W pierwszej chwili miał ochotę odwrócić się, pobiec do samolotu i błagać, żeby go zabrali z powrotem do domu.

Ale złożył obietnicę swojemu kuzynowi, Angusowi.

Uważał, że nie ma większego grzechu niż złamanie obietnicy.

Obietnicy złożonej w obecności Boga.

– Czy mogę panu pomóc? – spytała kobieta w mundurze.

Brat Pete wyciągnął ramiona.

– Myślę, że tak, czuję się trochę zagubiony.

– Czy mieszka pan na terenie Unii Europejskiej?

– Tak, tak, ale mam amerykański paszport, nowy, wydany przez Biuro Pątnicze w Salonikach.

– Proszę iść w tamtą stronę – pokazała ręką – i stanąć w kolejce.

Brat Pete podziękował i ruszył we wskazanym kierunku. Dwadzieścia minut później podszedł do punktu kontroli paszportowej i wręczył urzędnikowi paszport.

Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie.

– Peter Stellos? – zapytał.

– Tak.

– Dobrze. Proszę mi wyjaśnić swój strój.

– Jestem zakonnikiem, proszę pana. Członkiem prawosławnej wspólnoty zakonnej na górze Athos.

– Co pana sprowadza do Anglii?

– Przyjechałem na prośbę kuzyna, który mieszka w tutejszym klasztorze. Jest umierający.

– Przykro mi to słyszeć.

Urzędnik oddał mu paszport i posłał go dalej. Brat Pete skierował się w stronę przejścia z napisem „Nic do oclenia” i wszedł do strefy bezcłowej, gdzie zatrzymał go mężczyzna sprzedający bilety na pociąg do centrum Londynu. Pete kupił bilet, po czym wyszedł do hali przylotów. Przez długą chwilę stał oszołomiony. Mijali go pasażerowie spieszący w różne strony, niektórzy rozmawiali przez małe telefony, niektórzy wyglądali na zmartwionych, inni na szczęśliwych. Mężczyźni w garniturach trzymali tabliczki z nazwiskami. Gdzieniegdzie bliscy zarzucali sobie ramiona na szyję. Biznesmeni szli w kierunku swoich szoferów. W ogromnym holu panowała mieszanina niecierpliwego oczekiwania, powitań i pośpiechu.

Brata Pete’a nic nie nagliło. Dla niego czas stał w miejscu. Dziesięć lat śmignęło w milczeniu jak błyskawica.

W ciągu tych dziesięciu lat świat tak ogromnie się zmienił. A on był dokładnie taki sam. Dziesięć lat spędzonych na służbie Bogu. Na modlitwie za świat.

Rozejrzał się, dźgnięty nagle dawnym, irracjonalnym przyływem gniewu. Czy ktoś z tych ludzi wiedział, że się za nich modlił? Czternaście godzin dziennie? Czy ktoś to doceniał?

Podniósł głowę i zaczął wśród tablic informacyjnych szukać znaku wskazującego drogę na peron kolejowy. Kiedy tak się rozglądał, wpadł na niego rosły mężczyzna wlokący za sobą

walizkę. Pete o mało się nie przewrócił, lecz podróżny minął go bez przeprosin i poszedł dalej.

Przez chwilę miał ochotę za nim krzyknąć, lecz wtedy przypomniał sobie coś, co powiedział mu opat po incydencie z dziennikarzem. To było buddyjskie powiedzenie: Każdy napotkany człowiek toczy własną walkę, o której ty niczego nie wiesz. Bądź dla wszystkich miły.

Uspokoił się, a wtedy poczuł nagle lodowaty dreszcz. Jakby wydarzyło się coś bardzo złego.

Czyżby jego kuzyn...?

Kiedy kilka dni temu rozmawiali przez telefon, Angus sprawiał wrażenie zupełnie innego człowieka, niż go pamiętał. Miał słaby głos, z którego uszła cała energia i radość.

Pete zamknął oczy i przez chwilę się modlił. Modlił się, aby jego kuzyn jeszcze żył.

Ma przenocować dzisiaj w hotelu, który w swojej uprzejmości znalazło dla niego Biuro Pątnicze góry Athos, niedaleko stacji Victoria, skąd rano złapie pociąg do Sussex. Powiedział opatowi, że ma nadzieję wrócić do Grecji jutro po południu.

W rzeczywistości miał jednak inne plany.

Ross wysiadł z samolotu otępiąły ze zmęczenia i rozpoczął długą wędrówkę przez strefę imigracyjną.

W normalnej sytuacji tuż po włączeniu telefonu na lotnisku natychmiast zadzwęczałby SMS od Imogen, lecz tym razem w komórce panowała cisza. W normalnej sytuacji on również wysłałby jej wiadomość, że wylądował bezpiecznie, i dołączył buziaki, ale i on nie miał na to nastroju. Nie był pewien, czy to dlatego, że nadal się na nią złościł za wczorajszy lunch, czy że zbyt dobrze się bawił w towarzystwie Sally.

Kiedy stali przed taśmą bagażową i czekali, aż zacznie się poruszać, liczył w pamięci różnicę czasu. Jedenaście godzin lotu, czwarta po południu w Los Angeles. W Anglii jest późny wieczór. Za późno, żeby do niej pisać, usprawiedliwiał się.

Tuż za nimi stał dyskretnie niski mężczyzna w tweedowej marynarce, koszulce polo i jasnych płóciennych spodniach. Trzymał w dłoniach komórkę z włączonym bluetoothem. Na liście ponad dwudziestu wyszukanych urządzeń widniała nazwa „telefon Rossa”.

Wielki Tony uśmiechnął się i wcisnął kilka komend.

– Masz jakieś plany na kolację? – spytała Sally.

Ross pokręcił głową i stłumił ziewnięcie.

– Zegar biologiczny mi mówi, że dochodzi północ. Nie zastanawiałem się nad jedzeniem. Ale jakiś drink chyba dobrze by mi zrobił.

– Kiedy pracowałam w CNN, kursowałam przez to bajorko tam i z powrotem. Nauczyłam się pokonywać różnicę czasu. Najlepiej trzymać się na nogach jak najdłużej, potem wstać wcześniej rano i iść na długi spacer. Jeśli pójdziesz teraz spać, wstaniesz o trzeciej nad ranem i po południu będziesz się czuł

parszywie. Idź zameldować się w hotelu, a potem spotkajmy się w barze. Zatrzymałeś się w Beverly Hilton, tak?

– Tak.

– Kilka drinków i będziesz spał jak niemowlę, obiecuję.

– Obiecujesz?

– Zaufaj mi, jestem prezenterką radiową.

– I międzynarodowym autorytetem w dziedzinie różnic czasowych?

– To również.

Przed podróżą Ross zarezerwował sobie samochód na lotnisku, zaproponował więc Sally, że ją podwiezie. Jadąc według wskazówek nawigacji satelitarnej, próbował przywyknąć do obcego samochodu i prawostronnego ruchu drogowego, a jednocześnie obserwować krajobraz, tak odmienny od angielskiego. Był już raz w Los Angeles, pięć lat temu, i bardzo mu się tu podobało. W pamięci przewijały się obrazy z tyłu filmów i seriali telewizyjnych.

Wysadził ją przed ekskluzywnym hotelem Shutters na plaży w Santa Monica. Zanim ponownie ruszył, zadzwonił do swojego znajomego z policji.

Po dwóch sygnałach odebrał żywy, przyjazny głos.

– Jeff Carter, słucham.

– Cześć, mówi Ross Hunter.

– Jesteś już w mieście, stary?

– Właśnie wylądowałem.

– Witam w Los Angeles! Masz jakieś plany na wieczór?

– Nie, nic takiego, czego nie mógłbym odwołać.

– Świetnie. Gdzie się zatrzymałeś?

– W Beverly Hilton.

– Spotkamy się o siódmej na piwo, w hotelowym barze?

– Byłoby super. Dziękuję.

– Nie ma za co, stary.

Ross zakończył rozmowę i wysłał SMS do Sally.

Bardzo mi przykro, z wieczoru nici, mój policyjny kontakt ma dla mnie jakieś wieści. Może jutro jakiś obiad?

Chwilę później nadeszła odpowiedź.

Niezły pomysł. Zadzwoń do mnie po spotkaniu, chętnie usłyszę nowe wieści. Może szybki drink przed spaniem, jeśli będziesz w stanie? Trzymaj się. XX

Po zameldowaniu się w hotelu uznał, że powinien odezwać się do Imogen. Wysłał jej SMS.

Wylądowałem bezpiecznie. X

Ku jego zdziwieniu natychmiast zadzwoniła.

– Cześć – powiedziała dużo miłszym głosem niż podczas ich ostatniego spotkania.

– Jeszcze nie śpisz?

– Martwię się o ciebie, Ross. Co się dzieje? Miałeś jakieś wiadomości od tego policjanta?

– Mam się z nim spotkać wieczorem.

– Super. Zadzwońisz do mnie potem?

– To może być u ciebie trzecia albo czwarta nad ranem.

– Słusznie. W takim razie wyślij mi maila. Chcę się wszystkiego dowiedzieć.

– Jasne.

Rozpakował się, rozebrał, po czym przez kilka minut stał pod prysznicem, żeby się odświeżyć.

Sześć pięter wyżej, w większym i znacznie bardziej luksusowym apartamencie, Wielki Tony również brał prysznic. Biorąc pod uwagę nieprzewidywalny ruch drogowy w Los Angeles, uznał, że bezpieczniej będzie trzymać się blisko swojego celu, mimo że teraz za oczy i uszy służył mu telefon Huntera. Słyszał każdą rozmowę dziennikarza, mógł śledzić na mapie każdy jego ruch z dokładnością do trzech metrów. Miał tylko nadzieję, że dziennikarz nie zgubi swojej komórki albo nie upuści jej do toalety. Już raz mu się to przytrafiło.

Kilka minut przed siódmą Ross ubrał się w czyste rzeczy i zszedł na dół do baru. Usiadł w kącie na skórzanym fotelu i zaczął przeglądać menu z drinkami, po czym zamówił piwo.

Niedługo później do baru wszedł spacerowym krokiem mężczyzna po pięćdziesiątce, ostrzyżony po wojskowemu, miał na sobie w dżinsy, kurtkę pilotkę, czarny T-shirt i białe adidas, które wyglądały jak świeżo wyjęte z pudełka. Rozejrzał się, po czym zauważywszy Rossa, ruszył prosto w jego kierunku.

– Cześć, Ross.

Podniósł się z krzesła.

– Cześć, Jeff.

Chociaż kilkakrotnie rozmawiał z policjantem przez telefon, kiedy pracował nad artykułem o prześladowaniu gwiazd, nigdy się nie spotkali.

Zamówił piwo dla Cartera i usiedli naprzeciwko siebie przy stoliku. Dopóki nie przyniesiono policjantowi alkoholu, gawędzili o drobiazgach – o locie, o pogodzie w Anglii. Ross próbował wybadać, co myśli o sprawie kontroli pozwoleń na broń, ale Carter wypowiadał się na ten temat wymijająco. W końcu trzymając w dłoni szklanekę z piwem, powiedział:

– No dobra. Michael Delaney, tak?

– Tak jest.

– Powiedz mi, czemu się interesujesz tym facetem, stary.

– Och, chodzi o artykuł... Piszę tekst dla „Sunday Timesa” – zawahał się – o oszustach, którzy udają ewangelickich duchownych i stosują różne sztuczki magiczne.

– Sprawdziłem wszystkich Delaneyów, nie ma wśród nich żadnego ewangelickiego duchownego. Znaleźliśmy jedną osobę, która pasuje do twojego opisu, i to w całkiem wyjątkowy sposób. Mike Delaney, urodzony w czterdziestym siódmym roku. Był kiedyś iluzjonistą specjalizującym się w mikroiluzji, a także świeckim kaznodzieją. Prowadził nawet własny program telewizyjny pod pseudonimem scenicznym Magic Mickey, dopóki go nie wykopali jakieś dwadzieścia lat temu.

– Wiesz może za co? – spytał Ross.

– Tylko nieoficjalnie: przez alkohol. Tak słyszałem. Podobno nigdy nie trzeźwiał. Nie potrafił wyjść do publiczności, jak się nie napruł. Ale nie powołuj się na mnie w tej sprawie, dobra?

Ross przeciągnął dwoma palcami po ustach, jakby zasuwał zamek błyskawiczny.

– W marcu dwa tysiące czternastego aresztowali go w zachodnim Hollywood za spowodowanie wypadku pod wpływem alkoholu. Przejechał na czerwonym świetle i wpakował się na śmieciarkę.

– Kiepsko wybrał.

Carter uśmiechnął się cierpko.

– Jak wpadasz czołowo w bok samochodu, to śmieciarka jest najsolidniejszym miejscem, w jakim mógłbyś się znaleźć. Kierowca miał szczęście, nie ucierpiał nikt poza Delaneyem i jego prawem jazdy.

– Napisałeś, że go znalazłeś. Wiesz, gdzie mieszka?

– Mogę ci powiedzieć to, co wiem na podstawie danych z pomocy społecznej: Delaney pracuje charytatywnie niedaleko Farmers Market na rogu Fairfax i Trzeciej Zachodniej.

– Charytatywnie?

– W centrum leczenia uzależnień prowadzonym przez zakonnice. Ośrodek Leczenia i Detoksykacji Sióstr La Brea.

Ross zapisał sobie te informacje.

– To interesujące. Dziękuję. Super. Fantastycznie.

Policjant zmierzył Rossa uważnym spojrzeniem.

– Nie sądzę, żebyś wydobył od faceta coś odkrywczego, co zwróci twojej gazecie koszty podróży.

– Faktycznie nie zanoszę się na to. – Ross się uśmiechnął, ale policjant nie odpowiedział mu tym samym. – Naprawdę mi pomogłeś, Jeff.

– Serio? Jak chcesz znaleźć prawdziwych ewangelickich sukinsynów, to mamy ich na radarze całe tony.

– Możliwe, że jeszcze się do ciebie odezwę w tej sprawie.

Carter świdrował go spojrzeniem.

– Ross, czy masz jakiś inny powód, żeby szukać tego faceta?

– Nie. To redaktorka naczelna z mojej gazety ma na jego punkcie fioła. Uparła się, żebym do niego dotarł. Wydawcy tak mają, jak się czegoś uczeplą, to koniec.

Policjant pokiwał głową.

– Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić, dopóki jesteś w Los Angeles?

– Masz może adres Delaney'a?

– Rozmawiałem z zakonnicą z centrum leczenia uzależnień. Uważa, że on wynajmuje pokój gdzieś w pobliżu, ale nie wie gdzie.

– Dziękuję ci, Jeff. Doceniam, że zgodziłeś się ze mną spotkać w niedzielny wieczór.

– Nie ma sprawy.

Carter dopił piwo.

– Jeszcze jedno? – zaproponował Ross.

– Dzięki, ale muszę już iść. Mój dzieciak zaczął chodzić do szkoły, ale nie bardzo za nią przepada. Najbardziej to przeżywa w niedzielne wieczory. Obiecałem mu, że wrócę wcześniej, żeby mu poczytać na dobranoc. Masz dzieci?

– Jedno w drodze.

– To wszystko jeszcze przed tobą.

Uścisnęli sobie dłonie i policjant wyszedł z baru. Ross zamówił sobie jeszcze jedno piwo i również wyszedł na łagodne, wieczorne powietrze, żeby zapalić papierosa. Patrzył na samochody przejeżdżające Wilshire Boulevard, na niekończący się strumień taksówek zatrzymujących się co chwila przed hotelem.

Kiedy skończył, zadzwonił do Sally i przekazał jej najświeższe informacje. Był ciekaw jej reakcji.

– Na pewno nie masz ochoty na drinka przed snem? – spytała.

Ross się zawahał. Kusiło go, ale był naprawdę wykończony.

– Z chęcią bym się napił, ale ledwo żyję. Nie chciałbym zasnąć ci na ramieniu.

– Nie pozwolilibym ci na to – odparła prowokacyjnie.

Uśmiechnął się. Sally umiała go rozweselić, lubił to w niej.

– Umawiamy się jutro na obiad? – spytał.

– Już zarezerwowałam stół – odparła. – Gdzieś, gdzie poradził mi konsjerż.

– Nie mogę się doczekać.

– Ja też.

Wrócił do środka i dopijając piwo, zastanawiał się nad tym, co usłyszał od policjanta. Potem udał się do swojego pokoju i napisał Imogen w mailu wszystko, czego się dowiedział. Kiedy skończył, był kompletnie wykończony. Zdjął ubranie, umył zęby, ustawił alarm i padł na łóżko.

Wielki Tony przez kilka minut nasłuchiwał jego ciężkiego oddechu, dopóki nie upewnił się, że śpi. Potem wyłączył telefon, wyjął sobie małą whisky z minibaru i wykonał kilka telefonów.

Poniedziałek, 20 marca

Dochodziło południe, kiedy zwolniła taksówka, którą brat Pete przybył z dworca Horsham. Jechali wąską, boczną drogą, wijącą się między rzędami żywopłotów po obu stronach.

Zbliżali się do białej tablicy stojącej w trawie na poboczu.

Nad słowami KARTUZJA ŚWIĘTEGO HUGONA widniał prosty krzyż oraz kulisty symbol zakonu kartuzów. Brat Pete pamiętał słowa, które miał on symbolizować.

Stat crux dum volvitur orbis.

Krzyż stoi w miejscu, podczas gdy świat się obraca.

Taksówka skręciła w prawo na podjazd, który niebawem zakręcił łagodnym łukiem w prawo aż pod ozdobnie sklepioną bramę ze stróżówką. Kilkadziesiąt metrów dalej wznosił się wielki, dostojny gmach z długimi bocznymi skrzydłami ciągnącymi się po obu stronach środkowej części, zwieńczonej trzema iglicami.

Zatrzymali się przed dębowymi drzwiami.

Brat Pete zapłacił kierowcy, podszedł do bramy i pociągnął za duży uchwyt dzwonka.

Usłyszał ciche dzwonienie, potem następne. Drzwi otworzył pucołowaty mężczyzna po sześćdziesiątce, ubrany w biały habit. Uśmiechnął się.

– Dzień dobry, jestem ojciec Raphael, przeor klasztoru. W czym mogę pomóc? – spytał.

– Nazywam się Pete Stellos, brat Pete z monasteru Simonopetra na górze Athos. Przyjechałem, żeby spotkać się z moim kuzynem, bratem Angusem.

– Ach tak, rzeczywiście, spodziewaliśmy się brata. – Spowaźniał na twarzy. – Proszę, niechaj brat wejdzie.

Pete poszedł za nim długim, pustym korytarzem, potem po kamiennych schodach i wreszcie następnym korytarzem do przytulnego gabinetu wyłożonego półkami pełnymi książkami. Przeor wskazał mu krzesło.

– Przebył brat długą drogę.

– Owszem, ojcze przeorze.

– Musi być brat spragniony i głodny. Mogę zaproponować bratu kawę lub herbatę? Może coś do zjedzenia?

– Chętnie poproszę o kawę. Bez mleka.

Przeor wyszedł z pokoju i wrócił kilka minut później z tacą, na której stały dwie filiżanki kawy, talerz z ciastkami oraz drugi talerz z kawałkiem cheddara, kilkoma kromkami chleba i nożem. Postawił ją na środku stołu.

– Proszę, niech się brat posili.

Pete wziął czekoladowy herbatnik i ugryzł kawałek. Tymczasem przeor powiedział:

– Obawiam się, że mam dla brata smutne wieści.

Zakonnik znieruchomiał w pół kęsa. Popatrzył kartuzowi w oczy.

– Brat Angus odszedł tej nocy po długiej walce z rakiem.

– Spóźniłem się. Miałem...

Przeor spojrzał na niego pytająco.

– Miałem przeczucie – przyznał Pete.

– Musi brat wiedzieć, że Angus był wiernym sługą bożym.

Pete pokiwał głową.

– Wiem. To on mi wskazał tę ścieżkę.

– Poprosił brata o przyjazd, ponieważ miał pewne nadzwyczaj ważne przedmioty, które chciał powierzyć bratu na przechowanie.

– Dlatego tu jestem.

– Mam te przedmioty. Tak się cieszył, że brat tu jedzie. Poczul ogromną ulgę. Myślę, że robił, co mógł, aby doczekać do waszego przybycia, niestety nasz Pan zdecydował inaczej. – Przeor wziął do ręki małą torbę z juty. – Te rzeczy znajdują się tutaj. Nie wiem, czym są, nie pytałem go o to, ponieważ wszyscy mamy prawo do prywatności. Proszę, weźcie je i przechowajcie w bezpiecznym miejscu, tak jak prosił brat Angus.

Brat Pete włożył pakunek do swojej torby.

– Proszę przyjąć wyrazy głębokiego żalu, bracie Pete. To strata dla nas wszystkich. Angus był prawdziwym wizjonerem.

– Czy mogę zobaczyć jego ciało?

– Oczywiście. Zaprowadzę brata do niego. Czy zostanie brat u nas do jutrzejszego pogrzebu? Przygotujemy kwaterę.

– Dziękuję. Będę bardzo zobowiązany.

– Niech mi brat powie, co słyhać na górze Athos?

– Hm, tak, wszystko dobrze – odpowiedział trochę wymijająco Pete. – Po raz pierwszy od wielu lat rośnie liczba zakonników. Kiedy trzydzieści lat temu w Simonopetrze zmarł poprzedni opat, w monasterze zabrakło ludzi do niesienia trumny. Nowi zakonnicy mogą do nas trafiać tylko tak jak ja: za ustną poradą. Uważam, że w dzisiejszych czasach monaster może zapewnić bezpieczną przyszłość każdemu człowiekowi, który martwi się o losy świata.

– Świętej pamięci Angus opowiadał mi o was. O tym, że pracował brat jako kierowca samochodów dostawczych na długich trasach, a potem na nocne zmiany w restauracjach McDonald's. Czego brata nauczył czas spędzony w monasterze?

– Szczerze? – Brat Pete prześwidrował go wzrokiem.

– Żadna inna odpowiedź nie ma prawdziwej wartości.

– Ciągłe słyszę, że aby być zakonnikiem, trzeba wierzyć, absolutnie i bezwarunkowo. Że jeśli człowiek ma wątpliwości, to znalazł się w niewłaściwym miejscu. Czy nigdy nie zdarzył się ojcu nawet cień zwątpienia?

– Wszyscy rodzimy się, wiedząc tylko jedną rzecz, która nie nasuwa wątpliwości: że pewnego dnia umrzemy.

Pete pokiwał głową i powiedział:

– I wszyscy żyjemy z jednym pytaniem na ustach: Co się wtedy stanie?

– Czy usiądziemy po prawicy Pana?

– Czy będziemy gnić na cmentarzu, który widzę stąd przez okno.

Przeor odpowiedział uśmiechem, a brat Pete zauważył, że spogląda ku górze.

– Modłę się przez czternaście godzin dziennie, ojcie przeorze. Czasem czuję więź z siłą wyższą, a czasem... przykro mi to mówić, ale czasem czuję się kompletnym dupkiem. Jakbym się starzał, a nigdy tak naprawdę nie żył. I boję się, że

pewnego dnia obudzę się jako osiemdziesięcioletni starzec, jeśli tego dożyję, i ogarnie mnie zdumienie, co zrobiłem ze swoim życiem. Czy ojciec czasem czuje coś podobnego?

Przeor pokręcił głową.

– Moja wiara zbudziła się po latach niszczenia ciała przyjemnościami. Życie nie jest darem, tylko odpowiedzialnością spadającą na ludzi obdarzonych inteligencją. W zamian za dar życia Bóg oczekuje od nas tylko jednej rzeczy: abyśmy pozostawili po sobie lepszy świat niż ten, na który przyszedliśmy. Czy możesz to o sobie powiedzieć, bracie Pete?

– Pracuję nad tym.

– Ja również. To samo czynił brat Angus, pokój jego duszy.

123

Poniedziałek, 20 marca

Pokój w Ośrodku Leczenia i Detoksykacji Sióstr La Brea miał podłogę wyłożoną czerwonymi płytkami. Wokół trzech ścian biegły metalowe stoły ze stali nierdzewnej, a na nich leżały, starannie rozłożone niczym zastawa w restauracji na papierowych serwetkach, łyżki i strzykawki.

W powietrzu unosił się mieszany smród środków odkażających i niepranych ubrań. Ross patrzył na mężczyznę w brudnym dresie, z przetłuszczonymi siwiejącymi włosami rosnącymi dookoła głowy niczym mnisia tonsura. Miał prawdopodobnie jakieś czterdzieści lat, choć wyglądał na sześćdziesiąt. Siedział na stołku, pochylony w gorączkowym skupieniu, i przytrzymywał płomień zapalniczki pod bulgoczącym płynem. Dookoła leżały rozrzucone bibułki do papierosów.

Piętro wyżej na galerii obserwacyjnej siostra Marie Delacroix, ubrana niczym matka ziemia, powiedziała do Rossa z łagodnym, południowym zaśpiewem:

– Pozwalamy im na to. Mamy lekarzy wolontariuszy, pracujących na zmianę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chorzy dostają czyste strzykawki, a jeśli przedawkują, możemy im pomóc. Jeśli i tak mają brać narkotyki, to wolimy, żeby to robili w czystych, higienicznych warunkach z ciągłym dostępem do pomocy medycznej.

Ross stłumił ziewnięcie. Był na nogach od czwartej nad ranem. Nie mógł spać, przewracał się z boku na bok, aż w końcu miał tego dosyć i poszedł na spacer, kiedy dopiero świtało. Teraz minęła dziesiąta.

– A co na to policja? – spytał.

– Oni rozumieją, na czym polega nasza praca, i przymykają oko. Widziałam efekty takiej metody w klinikach w Niemczech i Holandii. Ratują życie wielu ludziom.

– Powinienem napisać o tym artykuł. O waszej pracy i o tych klinikach w Europie.

– O tak, przyda nam się każdy życzliwy głos w mediach. Więc co mogę dla pana zrobić, panie Hunter?

– Powiedziano mi, że pracuje u was pewien wolontariusz, Michael Delaney.

Reakcja kobiety go zaskoczyła. Marie Delacroix sprawiała wrażenie, jakby wpadła w jakąś ekstazę.

– Mike Delaney! – zawołała z najgłębszą rewerencją. – Ten człowiek to... jak by to ująć... Święty!

– Naprawdę?

– Zapewniam pana, panie Hunter. – Zniżyła głos do konspiratorskiego szeptu. – Wie pan, jak nazywają go moi pracownicy? Pan Cudotwórca!

– Pan Cudotwórca?

– Och, doprawdy, ten człowiek jest zdumiewający, zupełnie jakby posiadał magiczną moc. Potrafi uleczyć każdego, z kim rozmawia. W ciągu kilku tygodni uzależnieni ludzie, którzy się tu zjawiają, choćby nie wiem, jak długo zażywali narkotyki, wychodzą czysti. Pan Delaney ma stuprocentowy wskaźnik skuteczności. Kilka lat temu po prostu zapukał do naszych drzwi i zapytał, czy może jakoś pomóc. Jest nadzwyczajny. Jeśli pan wierzy w cuda, to on nim jest. Prawdziwy cudotwórca.

– Jak to robi? – spytał Ross, starając się nie zdradzać zbyt dużego podniecenia.

– Po prostu kładzie na nich dłonie, złotko. To wszystko. Po prostu kładzie ręce.

– Kiedy się go spodziewacie? – spytał Ross.

Siostra Marie wzruszyła ramionami.

– Na tym polega problem. Przychodzi wedle własnego uznania. – Zniżyła głos. – Jeśli się nie upije poprzedniego wieczoru.

– To znaczy, że może się dzisiaj nie zjawić? – naciskał Ross.

– Może, złotko. Jest dość nieprzewidywalny.

– Czy wie siostra, gdzie on mieszka?

Kobieta wyraźnie poczuła się niezręcznie.

– Często się przenosi. Wynajmuje mieszkania w różnych miejscach. Ale i tak nie mogłabym podać panu adresu bez jego zgody.

– Oczywiście.

– Jeśli dzisiaj nie przyjdzie, może pan sprawdzić wieczorem w Fairfax Lounge.

– W Fairfax Lounge?

– To bar niedaleko stąd. Pan Delaney był kiedyś dość sławnym iluzjonistą. Dopóki nie dopadł go demon alkoholu. – Wyciągnęła w górę dłoń i zakołysała nią na boki, jakby się zataczała. – Bar płaci mu honorarium za chodzenie od stolika do stolika i pokazywanie sztuczek karcianych. Do tego dostaje napiwki i to mu wystarcza na kolejne drinki. My też mu dajemy drobne sumy. Staram się zawsze przynosić mu coś do jedzenia na lunch, kanapkę lub coś w tym rodzaju.

– Czy każdego wieczoru występuje w Fairfax?

– Prawie. Tak mi przynajmniej mówił. Ale wydaje mi się, że czasami ma na pokładzie tyle alkoholu, że nie wie nawet, jaki to dzień tygodnia. Życzę powodzenia, bo niełatwo będzie przeprowadzić z nim wywiad.

– Wygląda na to, że faktycznie muszę liczyć na łut szczęścia.

– O tak, złotko. On w ogóle niewiele mówi. Myślę, że w sumie to smutny człowiek. Wydaje mi się, że nie ma rodziny. Taka zagubiona dusza. A mimo to... – Zawahała się.

Ross czekał cierpliwie.

– Czasem, kiedy na niego patrzę, mam uczucie, jakbym zaglądała w bezdenną studnię. Jest w nim jakaś ukryta głębia, którą może tylko Bóg umie dostrzec.

– Możliwe – zgodził się Ross.

Poniedziałek, 20 marca

Ross z ulgą opuścił przytłaczające zapachy i atmosferę ośrodka leczenia uzależnień i wyszedł na ciepłą, słoneczną ulicę.

Po głowie galopowały mu myśli.

Cudotwórca! Po prostu kładzie na nich dłonie, złotko.

Rozejrzał się, czy nikt go nie obserwuje, nie śledzi. Stał na szerokiej ruchliwej ulicy, upstrzonej na każdym kroku znakami, szyldami i neonami. Ogromny billboard na suwnicach reklamował jakiś film. Po prawej stronie migał napis MARKET ułożony z kolorowych żarówek, z których kilka dawno się przepaliło. Zawieszona w poprzek ulicy nad pasami żółta tabliczka informowała kierowców o przejściu dla pieszych.

Ross przystanął w cieniu, wpisał w Google Maps „Fairfax Lounge” i po kilku sekundach pojawił się wynik razem z przyciskiem „Wyznacz trasę”. Kliknął i chwilę później zobaczył na ekranie linię prowadzącą do baru, którego szukał. Czas: czternaście minut piechotą.

Kierując się wskazówkami w telefonie, skręcił w ulicę obsadzoną palmami. Po obu stronach stały wysokie bloki mieszkalne. Na następnym skrzyżowaniu skręcił w lewo w szeroką dwupasmową ulicę. Po przeciwnej stronie przy jezdni stał zaparkowany sznur samochodów. Minął koszerny supermarket, piekarnię, Starbucksa, budkę z hamburgerami, Duane Reade oraz sklep z dziwacznymi lalkami. Kilka minut później znalazł się na ulicy Fairfax z instrukcją, aby skręcić w lewo.

Minął Farmers Market i wkrótce dotarł do skrzyżowania z Melrose Avenue. Przeszedł przez ulicę, obok liceum Fairfax

i niebieskiej szopy, którą pamiętał z Google Earth. Nieco dalej po drugiej stronie zobaczył sklep z używanymi ubraniami, potem z walizkami i torbami podróżnymi, a następnie przychodnię. Wreszcie ujrzał bar po drugiej stronie przejścia dla pieszych, między piekarnią i garmazerią oraz sklepem z lampami, gdzie w oknie wisiała tablica z informacją o likwidacji i wyprzedaży. Na murze duży, stary neonowy szyld głosił: FAIRFAX LOUNGE, a poniżej widniała mniejsza nieoświetlona tabliczka: CO WIECZÓR POKAZ ILUZJONISTY!

Począł na przerwę w strumieniu nadjeżdżających samochodów i przeszedł przez jezdnię. Na pierwszy rzut oka zewnętrzna fasada lokalu nie widziała świeżej farmy od kilkudziesięciu lat, okna też były brudne. Ross podejrzewał, że wewnątrz baru musi wyglądać równie obskurnie.

Otworzył drzwi i w nozdrza uderzył go natychmiast zastarzały smród zwiędłego piwa. Musiał odczekać dłuższą chwilę, zanim wzrok przyzwyczaił mu się do półmroku. Po lewej stronie ciągnął się długi bar, za którym stary, smętny mężczyzna w koszuli wycierał rząd szklaneczek do drinków. Po prawej stronie stał rząd kanap obitych wytartą skórą, na końcu znajdowała się scena ze stojącym mikrofonem i głośnikami. Zielone abażury z frędzlami wisiały nisko, w większości wyłączone. Z kiepskich głośników leciała piosenka Sinatry. Dywan kleił się pod nogami.

Obok dużej tabliczki z napisem ZAKAZ PALENIA wisiał mały, spłowiały plakat w taniej ramie, a na nim twarz, którą Ross znał już ze swoich internetowych poszukiwań: krzykliwie ubrany mężczyzna po czterdziestce, z długimi włosami i światłem reflektorów scenicznych, które tworzyły wokół jego głowy aureolę. Pod portretem widniał podpis:

MAGIK MICKEY – CZŁOWIEK PEŁEN TAJEMNIC!

NOWY PROGRAM ABC FAMILY

**LETNIA PREMIERA. 16 CZERWCA, PIĄTKI 21.00 / 20.00
CZASU ŚRODKOWEGO**

Ross pochylił się nad barem i zrobił zdjęcie telefonem. Potem obrócił się do barmana.

– Dzień dobry! – powiedział. – Wie pan może, czy będzie tu dzisiaj wieczorem Mike Delaney?

– A wyglądam na takiego, co wie? – odpowiedział mężczyzna, nie podnosząc głowy.

– Wygląda pan na jedyną osobę w tym miejscu – zripostował Ross.

– Może będzie, a może nie. Jak się pokaże, to w godzinach koktajlowych, kiedy drinki tańsze.

– O której się u was zaczynają godziny promocyjne?

Barman wyciągnął palec nad ramieniem i pokazał na ścianę, gdzie wisiała tabliczka: HAPPY HOURS 17.30–19.30.

Ross podziękował, usłyszał w odpowiedzi nieokreślone mruknięcie i wyszedł na ulicę. Był głodny i rozpaczliwie potrzebował kawy. Na lunch było jeszcze dość wcześnie, ale od śniadania, które jadł o wpół do ósmej, minęło sporo czasu. Rozejrzał się, ale nie zobaczył nic zachęcającego. Przypomniało mu się, jak bardzo Imogen podobała się Melrose Avenue, kiedy tu byli razem, niezliczone kafejki, barki i sklepiki garmazeryjne. Ponieważ miał mnóstwo czasu do wykorzystania, przeszedł z powrotem na drugą stronę ulicy i ruszył w jej kierunku. Skręcił w prawo i ponownie minął liceum.

Wyjął telefon, wybrał numer Sally, ale ponieważ włączyła się poczta głosowa, zostawił jej wiadomość. Pogrążony w rozmyślaniach, rozkoszował się ciepłym słońcem Melrose Avenue. Panowała tu atmosfera wyszukanego luzu i ekscentrycznej elegancji, przypominająca mu niektóre rejony Brighton. Minął krzykliwy afisz reklamujący stylowe damskie ubrania w sklepie Hot Pink, wielką, białą aptekę, potem czarny fronton z napisem TATUAŻE.

Próbował sobie przypomnieć, gdzie wtedy jedli niedzielny lunch z najlepszą pastą jajeczną, jakiej w życiu skosztował. Zobaczył po drugiej stronie zachęcającą restauracyjkę z markizą, przeszedł przez ulicę, minął tabliczkę z menu na chodniku i rozejrzawszy się uważnie wokół siebie, wszedł do środka.

Znalazł się w dużej, prawie kompletnie pustej sali, w której panowała atmosfera cyganerii artystycznej. Usiadł przy stoliku obok okna, skąd widział całą ulicę, a więc również osoby, które

mogły go śledzić, i zamówił podwójne espresso, colę dietetyczną, cheeseburgera i frytki. Potem, obserwując ruch na ulicy, starał się zebrać myśli. Zastanawiał się, co powie Mike'owi Delaneyowi, jeśli go dzisiaj spotka.

Co się mówi... Synowi Bożemu?

Aż mu w głowie szumiało na myśl o doniosłości tego, co być może odkryje. Zaczął drżeć na całym ciele.

A jednocześnie przez cały czas słyszał w głowie głos, który mu mówił, że to nie może być prawda. Że to nierealne.

Obserwował szyldy po drugiej stronie ulicy: Glass Hookah Lounge, Nail Nation, Manic Panic Style Station i La Crème Café.

Nagle w jego rozmyślania wdarł się dzwonek telefonu. To była Sally.

– Cześć! – powiedział.

– No więc? Co słyhać?

Zrelacjonował jej naprędce swoje rozmowy.

– Chcesz, żebym do ciebie przyjechała? Może dwóm osobom łatwiej będzie przełamać lody?

– Nie, to bardzo miłe z twojej strony, ale muszę to załatwić sam.

– Zadzwonisz do mnie zaraz potem? Boże, Ross, to niewiarygodne.

– A może to będzie tylko niewiarygodne rozczarowanie?

– Nie wierzę.

Rozłączył się i po chwili kelner przyniósł napoje, a zaraz potem jedzenie. Wziął do ręki solniczkę i właśnie miał posolić frytki, kiedy po drugiej stronie ulicy zobaczył kobietę niewiarygodnie podobną do Imogen.

Jego dłoń zawisła w powietrzu.

Wierny sobowtór jego żony!

Czyżby miał halucynacje? Może zmęczony, otumaniony umysł płata mu figle?

Nieosiągalne.

A może jednak?

Odstawił solniczkę, wziął telefon i wybrał numer Imogen. Po sekundzie kobieta po drugiej stronie ulicy zatrzymała się, wyjęła telefon z torebki i spojrzała na ekran. Obserwował, jak naciska coś z dala od ucha, po czym wkłada komórkę z powrotem do torebki.

Imogen przekierowała rozmowę na pocztę głosową.

Poniedziałek, 20 marca

Ross poderwał się z krzesła, żeby pobiec za Imogen, lecz po chwili usiadł z powrotem zafrapowany.

Jego numer musiał się jej wyświetlić na ekranie. To znaczy, że zobaczyła, kto dzwoni, a mimo to się rozłączyła. Dlaczego? Ponieważ znajdowała się na ruchliwej ulicy Los Angeles, a nie u swojej siostry w spokojnej wiejskiej okolicy Sussex.

To tłumaczyło również, dlaczego zadzwoniła do niego wczoraj o pierwszej w nocy czasu brytyjskiego. Co ona tu robi? W co pogrywa? Co zamierza?

Czuł się kompletnie ogłupiały.

Zbieg okoliczności, że ją zobaczył w tym ogromnym mieście, wydawał się monstrualny. Chociaż po namyśle stwierdził, że może jednak go wyolbrzymia, skoro oboje lubili tu przychodzić, kiedy byli w Los Angeles. Więc może to naturalne, że ją tu ciągnęło.

Musiał jednak przyznać, że ostatnio zbiegi okoliczności stawały się coraz bardziej zdumiewające: spotkanie Sally Hughes, której wujek pracował w zarządzie fundacji Chalice Well, dosłownie nazajutrz po wizycie Harry'ego Cooka; przypadek, jeśli rzeczywiście nim był, że lecieli tym samym samolotem i dostali prawie sąsiednie miejsca; a teraz niespodziewane spotkanie Imogen. Wystarczyłoby pięć minut, żeby jej nie zauważył.

Albo wpadł na nią na ulicy.

Znów przypomniały mu się słowa Einsteina na temat zbiegu okoliczności. *Boski sposób na zachowanie anonimowości.*

Dokończył posiłek, prawie nie czując smaku tego, co jadł, tak był pochłonięty myślami.

Co się dzieje? Co tu robi Imogen, na miłość boską? Czyżby go szpiegowała? Nabrała podejrzeń i postanowiła sprawdzić, po co tu przyjechał? Kiedy się ostatnio spotkali, rozmawiali wyłącznie o niebezpieczeństwie związanym z całą tą sprawą. Co się od tamtej pory zmieniło? I dlaczego nie powiedziała mu, że leci do Los Angeles?

Kiedy otwierał drzwi baru, nadal nie otrząsnął się jeszcze z szoku. Rozejrzał się uważnie, czy nie zauważy gdzieś Imogen, i dopiero wtedy wyszedł na ulicę. To było bardzo dziwaczne uczucie: ukrywać się przed własną żoną. Potem jednak pomyślał: A co tam. Jeśli na siebie wpadną, zrobi się bardzo interesująco. Już nie może się doczekać jej wyjaśnień, zwłaszcza po tych wszystkich narzekaniach na niedostatek pieniędzy, który najwyraźniej nie przeszkadzał jej kupić biletu do Los Angeles.

Ponieważ zostało mu jeszcze kilka godzin do czasu, kiedy Michael Delaney mógł się zjawić w Fairfax Lounge, wszedł na Farmers Market, dał się skusić wielkim pączkom, zjadł jednego i natychmiast tego pożałował. Wyszedł z bazaru i ruszył szybkim krokiem pod górę w kierunku Hollywood Hills, starając się spalić przekłete ciastko. Ale półtorej godziny później nadal czuł w żołądku tępy ból i wzdęcie, jakby połknął kulę armatnią.

Kiedy wrócił do samochodu na parking niedaleko La Brea, w komórce zadzwieczał SMS od Sally.

**Uważaj, żeby Cię nie zwerbował na jednego ze swoich uczniów. Chociaż jestem pewna, że świetnie by Ci było z brodą i w sandałach. LOL :)
Buziaki**

Uśmiechnął się.

Ha, ha! Buziaki

Ross wszedł do samochodu i zamknął drzwi. Zegar na desce rozdzielczej pokazywał 17.30.

Czy Mike Delaney zjawi się dzisiaj w Fairfax Lounge?

Ogarnęła go fala senności. Dobrze by mu zrobiła mała drzemka, ale za dużo myśli kotłowało mu się w głowie.

Imogen przeleciała pół świata, nic mu o tym nie mówiąc i nie zważając na kłopoty finansowe. Czy planuje jakąś niespodziankę? Na pewno.

Spojrzał na swój telefon, na listę ostatnich połączeń. Na samej górze widniało *Imogen kom.* Jego palec znieruchomiał nad przyciskiem wybierania.

W Anglii dochodziła właśnie północ. Czy odbierze, udając zaspany głos? Czy tak jak poprzednio przełączy go na pocztę głosową? Co jej powie, jeśli jednak odbierze?

Nadal nie podjął decyzji, kiedy naciskał połączenie.

Telefon dzwonił cztery razy, zanim włączyła się poczta głosowa. Krótka, treściwa informacja: „Cześć, tu Imogen, zostaw wiadomość”.

– Cześć, to ja – powiedział lakonicznie. – Przepraszam, że tak późno – dodał zjadliwie. – Zadzwoń.

Przez następne dziesięć minut sprawdzał maile w telefonie. Natalie pytała, czy doleciał spokojnie i jak mu idzie. Zajrzał na Twittera i Facebooka, potem na Sky News. Znosi się na strajk w londyńskim metrze oraz w południowych kolejach, co na pewno dotknie Brighton. Na aukcję idzie telefon Hitlera z czasów wojny. Super! Ciekawe, kto może wydawać pieniądze na takie przerażające trofea. W Kościele anglikańskim po raz pierwszy liczba osób uczestniczących w mszach spadła poniżej miliona tygodniowo.

Nic dziwnego, że Bóg się martwi, pomyślał Ross.

Przypomniała mu się kiedyś wypowiedź noblisty, Maxa Plancka: „Postęp wiedzy w nauce przebiega od pogrzebu do pogrzebu”.

Czy nauka podstępnie zajmuje miejsce Kościoła? Rozgrywając długą grę?

Mimo jakiegoś nerwowego ożywienia znowu spłynęła na niego fala zmęczenia. Ustawił w zegarku alarm, żeby zadzwonił za godzinę, opuścił maksymalnie oparcie fotela i zamknął oczy. Ale i tak pod zamkniętymi powiekami widział tylko Imogen idącą po drugiej stronie Melrose Avenue.

Co ona tu robi? Ma romans? To przygnębiające, ale nie bardzo by go nawet obeszło, gdyby się okazało, że go znowu zdradza. Zdawał sobie sprawę, że nie świadczy to dobrze o ich małżeństwie.

Lecz przecież nawet gdyby miała romans, to nie byłaby na tyle głupia, żeby lecieć w to samo miejsce gdzie on, prawda? Chyba że go śledziła.

Wiedziała, gdzie się zatrzymał, mimo to nie skontaktowała się z nim. Nie odebrała jego telefonu i to dwukrotnie. Ani nie oddzwoniła.

Kiedy zabrzączał alarm, Ross wysiadł z samochodu, nadal gubiąc się w domysłach. Zamknął drzwi i ruszył z powrotem w kierunku Fairfax Lounge.

Poniedziałek, 20 marca

Ross przeszedł przez ulicę w stronę baru Fairfax Lounge. W ciągu ostatniej godziny niebo się zachmurzyło, zerwał się wiatr, który targał go za kurtkę. Kiedy zaszło słońce, lokal wyglądał jeszcze bardziej ponuro niż poprzednio.

Pchnął ciężkie drzwi i wszedł do środka. Paliła się teraz większość żyrandoli, lecz słabe żarówki w zakurzonych abażurach dawały niewiele światła. W telewizorze leciał jakiś mecz, chociaż nikt go nie oglądał. Z trzeszczących głośników płynął głos Dolly Parton. Burkliwy stary barman wyglądał teraz dużo bardziej elegancko w szkarłatnym smokingu z muszką. Stał bez ruchu z rękami na kontuarze i sprawiał wrażenie, jakby nie miał nic do roboty poza spoglądaniem na świat spode łba. Drugi barman, drobny człowieczek w identycznym wieku i ubraniu, mieszał drinka długą łyżką w srebrnym shakerze.

Na jednej z kanap siedziało dwóch biznesmenów z komórkami przy uchu. Przed obydwojema na stoliku stały kieliszki z martini. Poza nimi w lokalu znajdowało się tylko dwoje innych klientów – mężczyzna w średnim wieku w garniturze i towarzysząca mu prowokacyjnie ubrana rudowłosa kobieta. Siedzieli przy barze pochłonięci sobą. Mężczyzna nosił obrączkę, kobieta miała kilka pierścionków, lecz żadnego na palcu zarezerwowanym dla biżuterii ślubnej. Przez chwilę Ross zastanawiał się, jaka jest ich historia.

Trzeci barman postawił przed nimi jaskrawozielony koktajl dla kobiety i piwo dla mężczyzny, po czym podszedł do Rossa.

– Dobry wieczór, czym mogę służyć?

Ross czuł, że dobrze by mu zrobiło coś mocniejszego, ale nie miał pojęcia, jak długo przyjdzie mu czekać i nie chciał

ryzykować, że po dłuższym czasie zrobi się jeszcze bardziej zmęczony i senny.

– Czy mogę dostać wodę?

Barman zmarszczył brwi z dezaprobatą.

– Kranówkę?

– Nie, w butelce poproszę.

– Gazowaną czy niegazowaną?

– Macie może evian?

Ten dźwięk w jakiś tajemniczy sposób poruszył właściwą strunę, bo starszy mężczyzna wyraźnie się rozpromienił.

– Evian, oczywiście, że mamy. Z plasterkiem limonki?

– Idealnie, dziękuję.

– Już się robi.

– Wie pan może, czy pokaże się dzisiaj Mike Delaney? – spytał Ross.

– Tylko dwie osoby znają odpowiedź na to pytanie, proszę pana. Mike Delaney i Bóg Wszechmogący. – Pochylił się, obejrzał konspiracyjnie przez ramię na swoich kolegów, aby się upewnić, że nie słyszą, po czym zniżył głos: – Jeśli interesują pana sztuczki magiczne, to krąży opinia, że najlepszy w mieście jest Black Rabbit Rose na North Hudson. Obawiam się, że nasz pan Delaney... no wie pan, jest trochę zbyt monotony jak na dzisiejsze standardy. – Dotknął palcem ust. – Ale ja panu tego nie powiedziałem. Dobrze, proszę pana, jedna woda Evian z plasterkiem limonki, już się robi!

W ciągu następnej godziny do baru przyszło kilku kolejnych gości. Ross pogryzał orzeszki, które podał mu barman, zamówił drugą szklankę wody, po czym wyszedł do łazienki. Po powrocie zaczął toczyć zacieklą walkę z sennością.

Pomyślał o kolacji z Sally. Niewielki będzie z niego pożytek, jeśli nie poczuje się lepiej. Musi się jakoś rozkręcić!

Ciekawe, gdzie Imogen je dzisiaj kolację. I z kim? Jakie są szanse, że wylądują w tej samej restauracji?

To by była ciekawa rozmowa, psiakość.

Pociągnął kolejny łyk swojego napoju, a kiedy odstawiał szklankę, zauważył starszego, lekko przygarbionego mężczyznę w szarym, wystrzępionym garniturze, wytartych butach i czarnej koszuli z guzikami z kryształu górskiego. Miał

pociągłą twarz pod czupryną siwych, co nieco przerzedzonych włosów, duży nos i policzki usiane siateczką czerwonych żyłek.

Szedł w kierunku dwóch biznesmenów, którzy po drugim, a może trzecim martini toczyli ożywioną dyskusję. Obie komórki leżały przed nimi na stoliku.

Podszedł do nich i rozłożył w wachlarz talię kart, którą trzymał w prawej ręce.

– Proszę wyjąć jedną kartę – powiedział do jednego z mężczyzn. – Wszystko jedno którą.

Miał ujmujący, kurtuazyjny głos z kalifornijskim akcentem.

Jeden z biznesmenów odprawił go machnięciem ręki. Staruszek uniósł przepaszająco dłoń i ruszył w kierunku Rossa zaskakująco zwinnie jak na swój wiek.

Ross zaczął drżeć, nerwy odmawiały mu posłuszeństwa. Wziął kilka szybkich, głębokich oddechów. Zaświtało mu w głowie, że być może całe jego życie zmierzało do tego jednego momentu.

Otrzymałem niedawno niepodważalny dowód na istnienie Boga i powiedziano mi, że jest pewien człowiek, szanowany dziennikarz, Ross Hunter, który mógłby pomóc, aby potraktowano mnie poważnie.

Rzadko mu się w życiu zdarzało, żeby zapomniał języka w gębie, lecz w tej chwili naprawdę zabrakło mu słów. Na szczęście w porę przypomniał sobie swój plan, dyskretnie wcisnął w telefonie dyktafon i rozpoczął nagrywanie.

Chociaż Mike Delaney wyglądał na człowieka zniszczonego przez życie, biła od niego zaskakująca energia. Kiedy podszedł bliżej, Ross poczuł na skórze mrowienie. Orzechowe oczy mężczyzny wydawały się znacznie młodsze niż cała reszta, błyszczały jakimś żarem i magnetyczną siłą zza okularów o powyginanych oprawkach.

Z bliska Ross dostrzegł podobieństwo do znacznie młodszego mężczyzny z plakatu wiszącego na drugim końcu sali. Było w nim to coś, bez cienia wątpliwości, ukryte w łupinie starego człowieka. Jakby nosił kostium i maskę, lecz w środku krył się ktoś inny.

Ross poczuł dziwną, potężną aurę, wrażenie, jakby coś go wsysało w słuszę. Ogarnęła go przemożna chęć, żeby uklęknąć przed tym starym człowiekiem.

– Mike Delaney? – spytał. Jego własny głos zabrzmiał, jakby dobywał się gdzieś z oddali.

– Tak, to ja – odparł mężczyzna, rozkładając karty w wachlarz. W jego oddechu czuć było alkohol. – Czy mogę pokazać panu sztuczkę?

Ross widział oczy migoczące zza maski. Figlarnie, z humorem, jakby mrugały do niego porozumiewawczo na znak wspólnej tajemnicy.

Włos zjeżył mu się na karku. Przeszedł go dreszcz podniecenia i nabożnego lęku, lecz jednocześnie uczucie, jakby śnił na jawie. To nie może dziać się naprawdę.

A jednak się działo. Delaney stał tuż przed nim. Człowiek z genami Jezusa Chrystusa.

Magik nadal się uśmiechał, świdrował go oczami, jakby czytał mu w myślach. Zachęcająco. I prawie zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, Ross poczuł nagle ogromny spokój. Błogość. Energię.

– Czy mogę pokazać panu sztuczkę? – powtórzył Delaney.

Właśnie mi pan pokazuje, chciał powiedzieć Ross. Pokazuje mi pan coś niewiarygodnego. Ale nie powiedział. Odwzajemnił jego uśmiech i wskazał swoją szklankę z wodą Evian.

– Czy mógłby pan zamienić to w wino?

Ich spojrzenia się spotkały. Ross odniósł dziwne wrażenie, jakby oczy tego człowieka wciągały go przez soczewki okularów, w głąb źrenic, w głąb jego duszy. Zobaczył drżący uśmiech. Pomimo kruchej, obdartej powierzchowności w mężczyźnie było coś majestatycznego i rozkazującego.

W tym kimś, kryjącym się w łupinie, pod maską.

– Pinot noir czy merlot? A może wyborne chablis?

– Czy poprzednim razem też dawał pan ludziom wybór? – spytał Ross.

Delaney przelotnie zmarszczył brwi, po czym znów się uśmiechnął, jeszcze cieplej. Rossa ogarnął dziwny, kompletny błogostan. Zmęczenie minęło jak ręką odjął. Był tak przytomny, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Nagle cały oblał się zimnym potem, zakreśliło mu się w głowie, jakby sala wokół niego zaczęła się poruszać.

– Bardzo dobrze – powiedział Delaney z aprobatą. – Ale domyślam się, że nie przyleciał pan tu z Anglii po darmowy kieliszek wina, prawda, panie Hunter?

Zaskoczyło go, że Delaney zna jego nazwisko. Uśmiechnął się, kręcąc głową.

– Miałem nadzieję na coś więcej.

– W pewnym sensie spodziewałem się pana. Był u pana staruszek, prawda?

Ross skinął głową. Cała sala wirowała.

– Doktor Cook.

– Doktor Harry F. Cook.

Zdawało się, jakby w młodym mężczyźnie zamieszkującym ciało starca żył jeszcze młodszy człowiek. A w nim jeszcze młodszy, jakby i tamten był tylko skorupką. Jakby Ross zaglądał w dusze nieskończonych ludzkich istnień, jedno ukryte w drugim, niczym rosyjskie matryoski. Wciągały go do środka. Otulały. Chroniły w tej osobliwej służbie.

– Czemu wybrał pan akurat jego? – spytał Ross.

Głos uwiązał mu w gardle.

– A czemu miałbym wybrać kogoś innego? – odrzekł po prostu Delaney.

Zapadło milczenie. Patrzyli sobie w oczy. Ross czuł się teraz dziwnie swobodnie. Jakby w tej chwili na całym świecie istnieli tylko oni dwaj.

– Przyłączy się pan do mnie, panie Delaney? Czy mogę postawić panu drinka? – zaproponował Ross.

Delaney przysiadł na kanapie, zachowując pewien dystans.

– Nie mogę zatrzymywać się za długo w jednym miejscu, właściciele lokalu tego nie lubią. Chcą, żebym krążył i zabawiał różnych gości. Ale na razie jest dość pusto, więc myślę, że możemy chwilę porozmawiać.

Ross zamówił mu jim beama, a dla siebie piwo. Kiedy barman odszedł, odwrócił się do Delaneya. Mimo zaniedbanego wyglądu staruszek pachniał czysto, świeżo wziętym prysznicem.

– Czuję się jak we śnie – powiedział Ross. – Chcę tylko... chcę pana zapytać...

Przerwał i milczał przez dłuższą chwilę. Nie wiedział, jak zadać te wszystkie pytania, które cisnęły mu się do głowy. O przeszłość, o przyszłość.

– Wiem, kim jestem – odparł Delaney. Spojrzał na Rossa. – O to chciał pan zapytać, prawda?

Ross popatrzył mu w oczy jak zahipnotyzowany.

– Dlaczego akurat Harry Cook? – powtórzył pytanie. – Czemu wybrał pan skromnego, pokornego starego człowieka, kiedy mógł pan... – Znowu umilkł, nie znalazłszy odpowiednich słów.

– Kiedy mogliśmy się skontaktować na inne sposoby? Za pośrednictwem kogoś nowocześniejszego? Bardziej medialnego? Komu wszyscy by uwierzyli? Papieża, arcybiskupa Canterbury, imama, przywódcy sikhów, hinduistycznego bramina, rabina. Wszyscy oni są wierzący, oni wiedzą. Nie muszą uwierzyć. Nie powstrzymają ludzkości zmierzającej prosto w przepaść.

W myśli Rossa wdzierały się ostrzegawcze słowa: Wielki Uzurpator. Czy siedzi obok starego oszusta? Pana Jeden do Dziesięciu Miliardów, który przypadkiem ma identyczne DNA jak Jezus Chrystus?

Czy obok prawdziwego Syna Bożego?

Z wielkim trudem przychodziło mu uwierzyć, że Delaney jest tym, za kogo się uważa. Że to nie rozbuchana wyobraźnia płata mu figle. Kiedy jednak znowu na niego spojrzął, poczuł ten sam dziwny magnetyzm. Jakby patrzył prosto w nieskończoność. Jakby zaglądał w dusze wszystkich ludzi, którzy żyli na tej planecie.

Lecz skąd wiedział o Harrym Cooku? Skąd zna moje nazwisko?

– Więc kto może, jak pan to ujął, powstrzymać ludzkość przed stoczeniem się w przepaść, panie Delaney? – zapytał Ross, ale nie dał mu szansy na odpowiedź, tylko ciągnął: – Według doktora Cooka gdyby ludzie odzyskali wiarę, mogliby zawrócić na bezpieczną drogę. Ale w czasach średniowiecza prawie każdy człowiek wierzył w Boga, co nie zapobiegło przerażającym wojnom, a potem nie powstrzymało Holokaustu, Hiroszimy i Nagasaki. Czemu teraz miałyby być inaczej?

Delaney uśmiechnął się ze smutkiem i na moment zamienił się z powrotem w starego człowieka ze skórą pomarszczoną wokół oczu.

– Może dlatego, że zbyt wielu ludzi słucha garstki aroganckich wpływowych ludzi. Przemądrzałych naukowców,

rzekomych ekspertów, przeżartych pychą, przekonanych, że w całym wszechświecie nie ma nic ważniejszego od nich samych. A jednak chociaż są tacy pewni swoich racji, nie potrafią wyjaśnić, jak powstał świat. Gadają o Wielkim Wybuchu z takim przeświadczeniem, choć nie mają pojęcia, jak to się mogło stać. Dwie drobinki kurzu zderzyły się i puściły wszystko w ruch? Lecz skąd się wzięły? Kto je stworzył? Tych pytań unikają, jak mogą. Podobnie jak pytania: Dlaczego? Dlaczego ktoś umieścił tam te dwie cząsteczki? Na to pytanie nikt nie umie odpowiedzieć, panie Hunter, ponieważ jedyna możliwa odpowiedź brzmi, że zrobił to ktoś potężniejszy od człowieka.

– Ktoś lub coś – zauważył ostrożnie Ross.

Delaney przykuł go wzrokiem. Ktoś obecny w środku też przykuł go wzrokiem. A także ktoś znajdujący się w tym kimś.

– Wyższa inteligencja, panie Hunter. Może to prawda, a może miejska legenda, lecz w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku komisarz Urzędu Patentowego Stanów Zjednoczonych zalecił Kongresowi likwidację tej instytucji, ponieważ, jak stwierdził, wszystko, co można było wynaleźć, zostało wynalezione, i nie będzie już więcej żadnych nowych odkryć. Proszę tylko pomyśleć: miało to miejsce, zanim w niebo poleciał pierwszy samolot, zanim zbudowano pierwszy komputer, zanim powstał internet, cała nowoczesna technika, jaką znamy.

– Prawdziwy wizjoner, jeśli to prawda. – Uśmiechnął się ironicznie Ross. – Ale musi pan przyznać, że Kościół nie odznaczył się zbyt chlubnie na polu nauki. W tysiąc sześćset trzydziestym trzecim inkwizycja uznała Galileusza za heretyka, ponieważ twierdził, że Ziemia krąży wokół Słońca. Czy religia nie była zawsze zbyt protekcyjnistyczna i antynaukowa?

– Możliwe. – Delaney upił whiskey. – Możliwe, że chrześcijaństwo zbyt długo próbowało trzymać się dawnych wierzeń i zamiast zaakceptować odkrycia nauki, odrzuciło. Jak na ironię nauka zadaje pytania, na które potrafi odpowiedzieć tylko religia, lecz zaakceptowanie tych odpowiedzi oznaczałoby dla naukowców przyznanie się do porażki.

– Jakie konkretnie pytania ma pan na myśli? – spytał Ross.

– Wie pan, co to jest splątanie kwantowe?

– Nie.

– W dużym uproszczeniu: jeśli rozdzieli pan dwie połączone ze sobą cząstki elementarne i jedną z nich umieści w laboratorium w Londynie, a drugą na drugim końcu świata, powiedzmy w Sydney, a potem obróci cząsteczkę w Londynie, to ta w Sydney również się obróci. Einstein był zafascynowany tym zjawiskiem, nadał mu nawet własną nazwę: „upiorne działanie na odległość”.

Ross znowu się uśmiechnął i wziął łyk piwa. Nadal nie mógł uwierzyć, że ta rozmowa naprawdę ma miejsce. Coraz głębiej wciągały go miliardy oczu w oczach.

– Kolejną rzeczą, której nikt nie potrafi wyjaśnić, panie Hunter, jest magnetyzm. Nikt panu nie powie, co jest jego przyczyną. Naukowcy wiedzą, jak działa, ale to wszystko. Naprawdę chce pan tłumaczyć te zjawiska, tłumaczyć splątanie kwantowe ewolucją z jakiegoś pierwotnego bagniska? Nie sądzę. Oczywiście ewolucja istnieje. Jest częścią istnienia, ale jako następstwo życia, a nie pierwsza przyczyna.

Delaney upił whisky i popatrzył spokojnie na Rossa.

– Nie jest pan pewny, co o mnie myśleć, prawda?

– Szczerze? Jeśli naprawdę jest pan tym, za kogo pana uważałem, nie rozumiem, dlaczego wcześniej się pan nie ujawnił. Dlaczego czekał pan ponad dwa tysiące lat?

Delaney przez długą chwilę milczał. Potem bardzo cicho, tak cicho, że Ross ledwie go usłyszał przez jazgot muzyki i głosów, spytał:

– Niech mi pan zatem powie, kim według pana jestem?

– Ma pan DNA zgodne z materiałem genetycznym pobranym z zęba uważanego za ząb Jezusa Chrystusa oraz odzyskanym z naczyń, które może być Świętym Graalem.

– Uważasz, że to przypadek, Ross?

Uśmiechnął się, słysząc w ustach mężczyzny swoje imię, jakby stali się sobie bliźsi.

– Nie.

Delaney się uśmiechnął, popatrzyli sobie w oczy. Ross poczuł przebiegający między nimi prąd elektryczny. Zrozumienie. Więż.

– Nie jestem Synem Bożym – powiedział Delaney nadal bardzo cicho. – Owszem, mam takie samo DNA. Jestem

zwiastunem, wysłanym, aby wmieszać się w tłum i dać świadectwo. Aby się przekonać, czy ludzkość jest gotowa na drugie przyjście.

– Nicejskie wyznanie wiary – odparł Ross. – Jezus Chrystus „wstąpił do nieba, siedzi po prawicy ojca i powtórnie przyjdzie w chwale sądzić żywych i umarłych, a królestwu Jego nie będzie końca”.

– Co do słowa.

– I...?

– Nie są gotowi.

– Kogo ma pan na myśli? Kim są „oni”?

– Każdy, kto kieruje się osobistym interesem. Nic się nie zmieniło przez dwa tysiące lat. Świat napędzają próżność, chciwość i strach. Zawsze tak było. Jezus zginął z tych trzech powodów. Żydowscy przywódcy religijni uznali w Nim zagrożenie dla swego autorytetu. Rzymianie oskarżyli Go, że obwołuje się królem, a tym samym rzuca wyzwanie ich cesarzowi. Poncjusz Piłat naprawdę wierzył, że Jezus może być Synem Bożym, ale był egoistycznym politykiem i słabym konformistą. Umył ręce od odpowiedzialności i pozwolił podjąć decyzję motłochowi. A mógł go ocalić.

Ross patrzył na iluzjonistę, znów się zastanawiając: Jesteś prawdziwy? Czy to możliwe, żebyś był prawdziwy?

Delaney jakby czytał mu w myślach:

– Wątpisz we mnie, prawda? Pytasz siebie, czy to możliwe, żeby ten stary zaniedbany facet był prawdziwy. Próbowałem wieść normalne życie... w każdym razie na tyle normalne, na ile to możliwe. Wiem, że jestem inny, ale widzę wyraźnie, jaką mam rolę do spełnienia.

Ross poczuł na skórze mrowienie, jakby ładunek elektrostatyczny. Nie było to nieprzyjemne, dziwaczne, lecz dodawało energii, jakby stał pod gorącym prysznicem. Delaney uśmiechał się szeroko, porozumiewawczo.

Potem, równie nagle, jak się zaczęło, mrowienie ustało.

– Myślę sobie, że może świat potrzebuje przebudzenia, zanim nastąpi powtórne zstąpienie – powiedział Delaney. – Czegoś oczywistego dla wszystkich. Czego żaden naukowiec nie potrafi wyjaśnić. Co zaprzecza prawom fizyki wszechświata.

Ross zmarszczył brwi. Przypomniawszy sobie, od kogo słyszał ostatnio te słowa. Od Benedicta Carmichaela. Biskup Monmouth mówił mu dokładnie to samo.

– Ma pan na myśli cud? Taki jak rozstąpienie się Morza Czerwonego? – zapytał.

– Cud, który ujrzy cały świat, i nikt nie będzie mógł go podważyć.

Ross ujrzał w oczach Delaney'a żelazną determinację. Moc. Niezmierzony tygiel potęgi w ciemnej głębi niezliczonych źrenic w źrenicach. Przerazały go i zachwyciły.

– Co... co pan ma na myśli?

– Domyślisz się, kiedy to się stanie. Cały świat się dowie. Przepowiedziano to w Biblii, w rozdziale dziewiątym Księgi Rodzaju: „To jest znak przymierza, które ja zawieram z wami i każdą istotą żywą, jaka jest z wami, na wieczne czasy”.

– Lecz w jaki sposób zakomunikuje pan znaczenie tego zdarzenia całemu sceptycznemu i nieprzyjaznemu światu?

Delaney wznosił dłonie.

– Właśnie dlatego potrzebuję twojej pomocy, Ross. Na tym polega twoja rola, dlatego zostałeś wybrany. – Wskazał głową komórkę leżącą na stole. – To, co nagrywasz na swoim telefonie, tym samym gadżecie, którego nie wyobrażał sobie pracownik Urzędu Patentowego w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, to nagranie będzie ci potrzebne pewnego dnia w niedalekiej przyszłości. Będiesz mógł je odtworzyć przed wszystkimi niewiernymi Tomaszami.

Rossa ogarnął wstyd, że nie poprosił Delaney'a o pozwolenie na to nagranie. Skąd starzec o tym wiedział? Czyżby zauważył, podchodząc do stolika, jak Ross włącza dyktafon?

Tymczasem starzec ciągnął:

– Zapisano to również w Ewangelii świętego Mateusza, w rozdziale dwudziestym czwartym: „Słońce się zaćmi i księżyc nie da swego blasku; gwiazdy zaczną padać z nieba i moce niebios zostaną wstrząśnięte. Wówczas ukaże się na niebie znak Syna Człowieczego”.

Umilkł i przez chwilę siedział w milczeniu, kiwając głową, potem znów się odezwał z nieobecny wyrazem oczu:

– Wkrótce po tym, jak zostaną wezwani, wydarzy się to, o czym mówię. Masz dostęp do mediów, Ross. Masz moje

nagranie. Dostaniesz dowód absolutny.

Opróżnił szklaneczkę i wstał.

– Muszę wracać do pracy. I zapewnić ci bezpieczeństwo tak długo, jak to będzie konieczne.

Ross wytrzeszczył na niego oczy. Nadal z trudem ogarniał wszystko, co usłyszał.

– Gdzie... gdzie się pojawi ten znak?

Miał jeszcze milion pytań, które chciał mu zadać.

– Wszędzie, dokładnie w tym samym momencie, w każdym kraju, w każdej strefie czasowej. Nie ma na świecie żywej duszy, żadnej żywej istoty, która nie będzie mogła tego zobaczyć.

Ross wziął do ręki swój telefon.

– Czy mogę zrobić panu zdjęcie?

Przez chwilę Delaney wyglądał na niezdecydowanego.

– Dobrze – odparł w końcu.

Czekał cierpliwie, aż Ross pstryknie kilka ujęć.

– Jak się mogę z panem skontaktować? – spytał dziennikarz, kiedy skończył. – Ma pan wizytówkę? Adres mailowy?

– Przykro mi, ale nie mam wizytówek. Nie mam również maila. Najczęściej wieczorami jestem tutaj, prawie codziennie z wyjątkiem niedziel. Jeszcze przez jakiś czas będziesz mógł mnie tu zastać. Ale to nie potrwa już długo.

Kiedy Delaney się odwrócił, Ross po cichu wyjął chusteczkę, chwycił przez nią szklaneczkę po whisky i wsunął do kieszeni. Kiedy wróci do Anglii, może w laboratorium zdołają zebrać z niej materiał genetyczny i przeprowadzić analizę. Potem zatrzymał dyktafon i sprawdził nagranie. Przy sąsiednim stoliku usłyszał głos Delaneya.

– Proszę wybrać kartę. Wszystko jedno którą. Dobrze, proszę mi jej nie pokazywać. Teraz proszę na rewersie napisać tym flamastrem swoje imię.

Ross siedział jeszcze przez kilka minut. Głęboko wstrząśnięty i zadumany dopijał piwo, którego prawie nie tknął w czasie rozmowy, i próbował zrozumieć, co się właściwie stało. Czy Delaney razem z Harrym Cookiem ukartowali jakąś zwariowaną sztuczkę?

Przy sąsiednim stoliku wybuchła salwa śmiechu. Delaney trzymał w dłoni mały młoteczek i uderzył nim mocno w kostkę

lodu.

Zwiastun powtórnego nadejścia?

Obserwował, jak Delaney wyjmuje ze środka złożoną kartę i podnosi ją do góry. Na grzbiecie widniał napis.

– Czy to pańska karta? Pańskie pismo?

Ross usłyszał zbiorowy okrzyk zdumienia.

Poniedziałek, 20 marca

Kilka minut później Ross zapłacił rachunek, zostawił napiwek i oszołomiony ruszył w stronę drzwi. Otworzył je z dużą trudnością, ponieważ na dworze szalała zawierucha, niemal prawdziwy huragan, który musiał się zerwać, kiedy Ross siedział w barze.

Zapadł już zmrok, zaczęło kropić, na jezdniach panował ruch. Po drugiej stronie ulicy dokładnie naprzeciwko był mały sklepik, a obok kawiarnia. Musi przejść przez dwupasmówkę, skręcić w lewo, potem w prawo i dwie przecznice dalej na północ od Melrose dotrze do swojego zaparkowanego samochodu. Zatrzymał się na światłach i wyjął z kieszeni telefon. Niecierpliwił się, żeby opowiedzieć Sally o tym, co się wydarzyło. Zaczął pisać SMS, że jest już w drodze, i jednocześnie wyszedł na jezdnię.

Nagle, kiedy był w połowie ulicy, usłyszał ryk silnika. Podniósł głowę i zobaczył jaskrawe, rażące reflektory wielkiego SUV-a pędzącego na pełnym gazie prosto na niego.

Samochód nie zamierzał zatrzymać się na światłach.

Ross zamarł.

Pojazd się zbliżał. Reflektory rosły w oczach. Coraz jaśniejsze.

Czas nagle jakby zwolnił.

Co powinien zrobić? Pobiec przed siebie? W tył? Obejrzał się i zobaczył Mike'a Delaneyego stojącego na chodniku przed drzwiami Fairfax Lounge.

Ułamek sekundy później Delaney pędził w jego stronę z wyciągniętymi ramionami, stopami zdawał się nie dotykać ziemi, zupełnie jakby jechał kolejką tyrolską.

Ryk SUV-a był ogłuszający. Reflektory świeciły mu prosto w oczy.

Usłyszał wrzask jakiejś kobiety.

Potem, zanim dotknęły go dłonie Delaneya, poczuł, jak niepojęta olbrzymia siła rzuca nim w bok, popycha przez ulicę, jakby jechał na poduszce powietrznej, i ciska nim o ścianę sklepu z siłą, która zaparła mu dech w piersiach. Miał uczucie, jakby połamał sobie wszystkie kości.

Jednocześnie, nadal w zwolnionym tempie, widział, jak SUV z całą siłą rozpędu uderza w Delaneya. Starzec wyleciał w powietrze jak z katapulty i wylądował na ulicy dwadzieścia metrów dalej.

Samochód jeszcze bardziej przyspieszył i kilka sekund później widać było tylko jego tylne światła.

Dookoła ludzie zaczęli krzyczeć. Biegli w kierunku starca leżącego na ulicy. Ross też zatoczył się w jego stronę jak we śnie. Delaney leżał bez ruchu, a wokół jego głowy na jezdni rosła ciemna kałuża krwi.

– Widzieliście to? – zapytał jakiś człowiek.

– W ogóle się nie zatrzymał! – dodał inny.

– Wezwijcie pogotowie! – wrzasnął ktoś jeszcze.

Ross stał bez ruchu, sparaliżowany z osłupienia i grozy.

Poniedziałek, 20 marca

– Co to za idiotyczny korek?

Ainsley Bloor patrzył ze złością przez przyciemnioną tylną szybę limuzyny. Od kilkunastu minut nie ruszyli się z miejsca nawet o pół metra. Naprzeciwko widział stację benzynową Mobil otoczoną krzykliwym płótem. Samochód podjechał odrobinę do przodu.

Bloor popatrzył na jaskrawe szyldy. PLANET HOLLYWOOD. AMOEBIA RECORDS. STARBUCKS. WHISKEY A GO GO.

– Czy nie możemy zjechać z tej cholerniej ulicy? – spytał kierowcy.

Mężczyzna za kierownicą, który nie miał szyi i wyglądał, jakby go wyciosano z bloku granitu, obrócił nadgarstek i w jaskrawym świetle sklepowego neonu zabłyszczał jego złoty zegarek.

– Ósma wieczorem, poniedziałek... nie powinno być problemu. Coś się musiało stać. Ale to Los Angeles, tu się nie da przewidzieć ruchu na drogach. Normalnie o tej porze Sunset Boulevard jest przejezdna.

– Właśnie widzę, superprzejezdna. Daleko jeszcze?

– Bez korków pięć, może dziesięć minut.

– Nie możemy zjechać z tej ulicy?

– Myślałem, że chcieliście po drodze obejrzeć widoki.

– Co? – Bloor odwrócił się do Juliusa Helmsleya, który siedział obok niego, pochłonięty pisaniem maili w telefonie. – Julius, powiedziałeś mi, że chcemy oglądać widoki?

Helmsley pokręcił głową. Bloor zwrócił się do kierowcy.

– Posłuchaj pan, nie przyjechaliśmy tu na jakieś pieprzone zwiedzanie. Chcemy dojechać do Fairfax Lounge najszybszą możliwą drogą.

– Mnie przekazano co innego – odparł kierowca. – Dostałem wiadomość z biura, że chcecie po drodze objechać kawałek miasta.

– Nic podobnego – warknął Bloor, spoglądając na własny zegarek. – Wyszliśmy z hotelu czterdzieści minut temu, dokładnie czterdzieści pięć. Proszę nas jak najszybciej dowieźć na miejsce.

– Ta knajpa to zwykła speluna. Na pewno chcecie tam jechać?

– Tak.

– Uwierzcie mi, że tacy szykowni goście jak wy, co mieszkają w najlepszych hotelach, nie chcą mieć nic wspólnego z taką szcurzą norą jak Fairfax Lounge. Jest mnóstwo lepszych miejsc, mogę was zawieźć...

– Zawieź nas pan do przekłętego Fairfax Lounge i to jak najszybciej – podniósł głos Bloor.

Sekundę później samochód skręcił ostro w prawo i w bocznej uliczce kierowca wściekle wdepnął pedał gazu, aż zapiszczały opony, Bloorem rzuciło na drzwi, a Helmsleyowi wypadł z rąk telefon i musiał go szukać po omacku na podłodze. Chwilę później szofer gwałtownie skręcił w lewo i on również wpadł na drzwiczki.

– Coś pan w poprzednim życiu uciekał z więzienia czy co? – spytał Ainsley, siląc się na dowcip.

Kilka minut później skręcili już spokojniej na światłach w dwupasmową ulicę z dużymi sklepami, tanimi restauracjami i barami szybkiej obsługi. Kierowca zaklął pod nosem i zahamował, bo wszystkie samochody przed nim zwolniły, dojeżdżając do kolejnego skrzyżowania.

– To nie jest wasz szczęśliwy dzień.

Bloor i Helmsley ujrzeli powódź niebieskich i czerwonych świateł. W poprzek najbliższej przecznicy stał radiowóz z migającym światłem na dachu. Ulicę zagradzała trzepocąca na wietrze żółto-czarna taśma policyjna z napisem WSTĘP WZBRONIONY. Za nią dwóch funkcjonariuszy w mundurach pilnowało miejsca przestępstwa. Dalej stała duża, przysadzista karetka pogotowia z włączonymi światłami błyskowymi, a obok kilka innych służbowych pojazdów. Słysząc było syrenę kolejnego samochodu na sygnale.

– Gdzie jest Fairfax Lounge? – spytał Bloor.

– Dokładnie przed nami, w połowie przecznicy po lewej stronie – odrzekł kierowca.

– Co tam się dzieje?

– Dalej nie pojedziemy, tyle wam powiem.

– Pójdę się dowiedzieć.

Bloor otworzył drzwi i zgięty wół przed wiatrem ruszył w stronę jednego z policjantów.

– Muszę się dostać do Fairfax Lounge – oświadczył.

– Gdzie?

Bloor zobaczył podświetlony szyld baru pięćdziesiąt metrów dalej. Prawie przed samym wejściem stał biały sedan z napisem KORONER, a obok biały van z migającymi światłami na dachu i oznakowaniem na przednich drzwiach: KORONER OKRĘGU LOS ANGELES, oraz pod spodem: PRAWO I NAUKA W SŁUŻBIE SPOŁECZEŃSTWA.

Ogarnęło go bardzo złe przecucie, którego nie umiał wyjaśnić.

– Fairfax Lounge. To tam. – Wskazał palcem. – Czy mogę przejść?

Policjant popatrzył na niego i tylko pokręcił głową.

– Ile to może potrwać? Kiedy będzie można tam wejść?

– Wypadek śmiertelny. Nic więcej nie wiem. Nie mam pojęcia, jak długo to potrwa.

W tym momencie z baru Fairfax Lounge wyszedł inny policjant, potężny i dobrze zbudowany, i podszedł do nich pewnym siebie krokiem, jakby cały chodnik należał do niego. Najwyraźniej obaj mężczyźni byli kumplami.

– Trochę tu postoiemy – powiedział cicho do pierwszego policjanta.

– Co się dzieje? – spytał tamten.

– Potrącenie i ucieczka. Bajzel jak zawsze. Jakieś dupki robią zdjęcia komórkami. Kilku wiarygodnych świadków mówi, że stary próbował uratować życie młodszemu facetowi. Odepchnął go sprzed samochodu. Kierowca SUV-a był załany albo naćpany jakimś gównem. Wypruł nie wiadomo skąd, wpadł na nich i nawet nie zwolnił. Może uda się zdobyć numery rejestracyjne z kamery w którymś sklepie.

– Wiadomo, kim jest ofiara?

– Zdaje się, że jakiś Mike Delaney. Jeden z barmanów z Fairfax Lounge wyszedł i rozpoznał gościa, który pracował u nich jako magik.

– Szkoda, że tym razem magia nie podziałała – zauważył pierwszy policjant.

– Przepraszam, powiedział pan „Mike Delaney”? – wtrącił się Bloor.

– Mhm – potwierdził mruknięciem policjant, który przyniósł wiadomości.

Bloor poczuł, jakby wszystkie jego wnętrzności runęły w dół głębokiego szybu.

– Mike Delaney? – powtórzył.

Tym razem żaden z funkcjonariuszy nie odpowiedział.

– Ja... ja właśnie szedłem się z nim spotkać. Muszę go zobaczyć.

– No, raczej niewiele już panu powie – odparł policjant, który wyszedł z baru.

– Nie, nie rozumie pan, ja... ja muszę go zobaczyć... To po prostu... Czy mógłby mnie pan przepuścić tylko na kilka minut? – spytał z rozpaczą w głosie.

– Chyba mnie pan nie zrozumiał. Ten człowiek nie żyje. Nic tam dla pana nie ma.

– Dokąd... dokąd go zabiorą?

– Czy jest pan krewnym zmarłego? – spytał pierwszy policjant.

– Tak... no... tak, to mój kuzyn – skłamał na poczekaniu Bloor. – Przyjechałem z Anglii, żeby się z nim spotkać. To miało być wielkie spotkanie po latach. Rozumie pan, odnaleziony krewny. Dopiero niedawno udało nam się skontaktować. To była dla mnie taka emocjonująca podróż. Dokąd zabierają jego ciało?

– Do kostnicy Zakładu Medycyny Sądowej. Kiepski lokal na zjazd rodzinny.

Bloor się skrzywił.

– Czy na pewno do tej kostnicy go zawiozą?

– Słuchaj, koleś – powiedział pierwszy funkcjonariusz cierpko. – Kostnica to nie hotel. Nie wybierasz sobie po śmierci miejsca na nocleg. Jasne?

– Pan nie rozumie... kim... nie rozumie pan, kim on jest... kim mógł być.

– Doskonale rozumiem – odezwał się drugi policjant. – Proszę stąd odejść, musimy oczyścić tę ulicę.

– Nie, nie, proszę... wy nie wiecie!

– Nikt nie będzie wiedział na sto procent, dopóki zwłoki nie zostaną formalnie zidentyfikowane.

– Gdzie to nastąpi? W Zakładzie Medycyny Sądowej? – dopytywał się Bloor. – W tamtejszej kostnicy, tak?

Obaj policjanci popatrzyli na niego, a pierwszy skinął głową.

– Czy macie panowie adres?

– Znajdzie go pan w *Przewodniku po najlepszych hotelach* – burknął pierwszy funkcjonariusz.

Jego kolega uśmiechnął się pod nosem.

Bloor patrzył na nich sfrustrowany. Nie rozumieli, nie mieli pojęcia, kim jest człowiek, który leży martwy i połamany kilka kroków od ich pyszałkowatych, zadowolonych twarzy.

Kiedy jednak wracał do limuzyny, przyszło mu do głowy, że to może wcale nie jest jakieś wielkie nieszczęście. Wręcz przeciwnie, może właśnie cudowna okazja.

W jego głowie zaczął się formować plan.

Wsiadł z powrotem do samochodu i powiedział do kierowcy:

– Zmiana adresu. Proszę nas zawieźć do Zakładu Medycyny Sądowej.

– North Mission Road.

– Tam się znajduje ten zakład?

– Tak.

– Czy możemy tam pojechać?

– Doskonały wybór. Ja też wolałbym spędzić cały wieczór w kostnicy niż w Fairfax Lounge.

Poniedziałek, 20 marca

Tuż po dziesiątej Ross i Sally siedzieli w chłodnej restauracji azjatyckiej, którą ktoś jej polecił. Sally sączyła margaritę, Ross wypił już podwójną szkocką, a teraz trzymał w drżącej dłoni duże piwo z beczki. W tle leciała piosenka Billy'ego Joela *Piano Man*.

Na stoliku przed nimi leżał bogaty wybór przekąsek dim sum, ale Ross nie miał apetytu. Wszystko go bolało, zwłaszcza żebra, ale i tak prawie tego nie zauważał. Miał ochotę opowiedzieć Sally o wszystkim, puścić jej nagranie, każde słowo. Ale nie wiedział, od czego zacząć, a instynkt podpowiadał mu ostrożność.

– Halo! – powiedziała, machając mu dłonią przed oczami. – Hej, jesteś tu?

Drgnął i popatrzył na nią przytomniej.

– Przepraszam – powiedział. – Byłem...

Gdzie indziej, wiedział o tym. W innym świecie. Próbował coś z tego wszystkiego zrozumieć. Co robiła w Los Angeles Imogen? Kto i dlaczego próbował go zabić? Komu może naprawdę zaufać?

– Opowiedz mi wszystko od początku, Ross. Co się dzisiaj wydarzyło? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Bo może widziałem.

– Ducha Świętego?

Uśmiechnął się blado.

– Chyba tak, nie wiem. Próbuję odtworzyć w pamięci przebieg wypadków. To było niewiarygodne, Sally. Ja... jakby... nie umiem tego opisać. Uczucie jak z innego świata. Wiem, że wszystko, co ci opowiem, zabrzmii jak szaleństwo.

– Spróbuj.

Udało jej się chwycić pałeczkami pierożek i unieść go kilkanaście centymetrów, ale wysliznął jej się i wpadł z powrotem do koszyka.

– Chińczycy najpierw je rozgniatają, a dopiero potem wkładają do ust – odpowiedział.

– Bardzo elegancko – zauważyła. Wzięła pierożek palcami, położyła sobie na talerzyku, a następnie zaczęła go rozgniatać.

– Przepraszam cię, że jestem taka natarczywa, ale umieram z ciekawości. Więc co się właściwie wydarzyło? A przynajmniej co się wydarzyło według ciebie, kiedy wyszedłeś z Fairfax Lounge?

– Zacząłem przechodzić przez ulicę, skupiony na esemesie, który do ciebie pisałem.

– To niezbyt rozsądne – powiedziała z karcącym uśmiechem.

– Pisać esemesa, przechodząc przez ulicę. Masz skłonności samobójcze?

– Byłem na skrzyżowaniu, miałem zielone światło.

– Wolałabym, żebyś się spóźnił kilka minut, niż przybył za wcześnie na tamten świat!

Uśmiechnął się.

– Trafna uwaga.

– Jestem dobra w trafnych uwagach.

– W każdym razie byłem w połowie ulicy, kiedy nagle, ni stąd, ni zowąd, wyskoczył ten SUV. Pędził na mnie jak jakiś nietoperz prosto z piekła. Usłyszałem ryk silnika, zobaczyłem blask reflektorów. Jakby jechał celowo prosto na mnie. Stałem jak słup soli. Na serio myślałem, że już po mnie. Nie miałem dokąd uciec. Wtedy stało się coś... nie umiem tego określić inaczej niż: mistycznego.

– W jakim sensie?

– Delaney. Zobaczyłem go przed wejściem do Fairfax Lounge. Musiał za mną wyjść. W tym ułamku sekundy, kiedy SUV prawie na mnie wpadał, rzucił się w moją stronę. Może jestem w szoku, może umysł płata mi figle, ale on dopadł do mnie dużo szybciej, niż to leży w ludzkiej mocy, a już na pewno człowieka w tym wieku. Poczułem, jak mnie odpycha, dosłownie odrzuca, to było takie wrażenie, jakbym się unosił na poduszce powietrznej. Przez chwilę myślałem, że już nie żyję, że to, wiesz, taki moment, jaki opisują ludzie, którzy

doświadczyli śmierci klinicznej. Byłem przekonany, że właśnie umieram. Trochę tak jak wtedy, kiedy zginął Ricky. Wpadłem na ścianę jakiegoś sklepu i leżałem na ziemi. I...

Przerwał, próbując przypomnieć sobie coś więcej.

– Zobaczyłem tego wielkiego SUV-a pędzącego na pełnym gazie przez skrzyżowanie i Delaneya lecącego w powietrzu jak wielka szmaciana lalka.

Sally wyciągnęła rękę przez stół i delikatnie ścisnęła jego dłoń.

– Miałem wrażenie, jakby na ułamek sekundy czas się zatrzymał.

– Czy takie dziwne rzeczy nie przytrafiają się ludziom na granicy życia i śmierci? Opowiadałeś mi tę historię ze swoim bratem... kiedy umierał.

– To było co innego. Bardziej jak...

– Cud? – podsunęła.

– To był naprawdę cud. Tylko dlaczego on? To ja powinienem być na jego miejscu.

– Myślisz, że próbował cię w ten sposób uratować?

– Możliwe.

– Znaczący... poświęcił dla ciebie życie?

– Nie wiem. Niewykluczone. Ale dlaczego?

Sally popatrzyła na niego wymownie, oczy jej błyszczały, jakby dla niej odpowiedź była oczywista.

– Ponieważ masz do spełnienia misję?

– Nie wiem – odparł. Napił się znowu piwa. – Chyba wiedział, że jego czas się zbliża, sugerował nawet coś takiego, kiedy rozmawialiśmy w barze. Prawie na sam koniec powiedział: „Wkrótce po tym, jak zostanę wezwany, wydarzy się to, o czym mówię. Masz dostęp do mediów, Ross. Masz moje nagranie. Dostaniesz dowód absolutny”.

– Jakże to było wrażenie: widzieć go tam w barze? – spytała Sally. – Rozmawiać z nim?

– Jakby... nie wiem nawet, od czego zacząć, żeby ci to opisać.

– Zastanawiał się przez moment. – Bardzo dziwne. Niewiarygodne. Czuję bijącą od niego energię. Jakby ładunki elektrostatyczne czy coś w tym rodzaju. Jak coś nadnaturalnego. – Wzruszył ramionami. – Ale może to podziałała moja wyobraźnia.

– Może nie. – Pochyliła się nad stołem i przyjrzała mu się uważnie. – Wspomniałeś, że mówił o jakimś znaku?

– Cytował Biblię, fragment Księgi Rodzaju. Mam to wszystko nagrane.

– Czy mogę tego wysłuchać?

– Jasne.

– Może po kolacji?

Ross skinął głową.

– Przywołał też Ewangelię świętego Mateusza, zdaje się, że rozdział dwudziesty czwarty. O słońcu i księżycu, które pociemnieją, i gwiazdach, które spadną z nieba, a potem pojawi się znak od Boga. Będzie wszędzie, dokładnie w tym samym momencie, w każdym kraju, w każdej strefie czasowej.

– A niewidomi? Albo ci, którzy będą spać?

– Powiedział, że nie będzie żywej duszy na świecie ani żadnego stworzenia, które nie mogłoby tego doświadczyć.

Sally patrzyła na niego w milczeniu.

– Jeśli to prawda, jeśli on był „prawdziwy”, to jest...

– ...bardzo interesujące?

Uśmiechnęła się szeroko.

– Tak. „Bardzo interesujące”. To chyba eufemizm roku, co? Albo dwóch tysięcy lat.

Ross poklepał się po kieszeni kurtki i usłyszał brzęk rozbitego szkła. Szklanka, którą zabrał z Fairfax Lounge, stłukła się, kiedy uderzył w ścianę.

– Szklanka, z której pił w barze. Może uda mi się to zweryfikować.

– Sprytnie! – pochwaliła go Sally. – Nie posądzałam cię o kleptomanię.

– Kiedyś tam wrócę i zapłacę im za tę szklankę – odparł z uśmiechem.

– Więc jakie były ostatnie słowa, które do ciebie wypowiedział? – spytała.

– Dopił drinka, wstał i oznajmił: „Muszę wracać do pracy. I zapewnić ci bezpieczeństwo tak długo, jak to będzie konieczne”. Spytałem go, kiedy i gdzie pojawi się znak. Odparł, że wkrótce po tym, jak zostanie wezwany. Chyba do nieba. Powiedział też, że mogę się z nim spotkać, dopóki tu będzie, ale to już nie potrwa długo. Potem poszedł do sąsiedniego stolika

i zaczął pokazywać sztuczki magiczne z kartami. A ja zapłaciłem i wyszedłem.

– A potem zobaczyłeś go przed barem i chwilę później uderzył w niego SUV?

– Tak.

– Uważasz, że to było celowe? Że kierowca tego samochodu próbował cię zabić? Czy może jego?

– Kiedy potem siedziałem w radiowozie i składałem zeznania, policjant powiedział mi, że barman z Fairfax Lounge opowiedział im o jakimś incydencie sprzed kilku dni. Delaney pokazywał sztuczkę jednemu z gości i świsnął mu portfel... miał chyba opanowane wszystkie triki z kradzieżami kieszonkowymi... a kiedy mu go oddawał, tamten oskarżył go o kradzież pięćdziesięciu dolarów. Zrobiło się nieprzyjemnie, wezwano policję. Zabrali Delaneya do pustego pokoju i zrewidowali. Nie znaleźli przy nim żadnego banknotu pięćdziesięciodolarowego. Ale klienta to nie zadowoliło. Odgrażał się, że wróci tu i wyrówna z Delaneyem rachunki. Teraz policja szuka tego faceta, ale...

Umilkł.

– Ale co?

Ross myślał o swojej podróży, o wszystkim, co się wydarzyło, i zastanawiał się, kto mógł nasłać na niego zabójcę. Skoro Wenceslas nie żyje, głównym podejrzanym pozostawało bez wątpienia Kerr Kluge.

– Ross, twój przyjaciel, biskup Monmouth, ostrzegał cię, że człowiek, który afiszuje się z takim dowodem, ryzykuje życiem – zauważyła Sally. – Miałeś już tego przykłady w Glastonbury, potem w Egipcie, a teraz prawdopodobnie tutaj. Może Benedict Carmichael miał rację.

– Może.

– Ale to cię nie powstrzyma, prawda?

– Nie.

– Cieszę się. Nie chcę, żeby coś ci się stało, ale podziwiam twoje zasady. A więc masz świetny materiał do artykułu. Kiedy zamierzasz go napisać?

– Już zacząłem.

– I twoja gazeta potraktuje cię poważnie?

– Mam nadzieję – odrzekł Ross. – Ale przy artykułach zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że ukażą się w dniu, kiedy wybucha jakaś sensacja, i materiał z rozkładówki kurczy się na dwie kolumny.

– Ale to właśnie twoja historia jest sensacją. To ona sprawi, że każdy inny tekst w gazecie wyda się banałem.

– Mam nadzieję, Sally, naprawdę mam taką nadzieję. Dla tej historii położyłem na szali najważniejsze rzeczy w moim życiu. Ale też dzięki niej poznałem niesamowitych ludzi.

Popatrzył jej wymownie w oczy. Sally odwzajemniła jego spojrzenie i skinęła głową.

Teraz Ross podjął wyzwanie nałożenia sobie pałeczkami z koszyka porcji dim sum. Po kilku nieudanych próbach nabił pierożek z krewetkami na pałeczkę i włożył do ust. Dłuższą chwilę przeżuwał w milczeniu. Kiedy go w końcu połknął, poczuł, jaki jest wycieńczony, i natychmiast sięgnął po następnego. Przez cały czas intensywnie rozmyślał.

– Naprawdę wierzysz w to, co powiedział Delaney? – spytała Sally.

– Nie wiem. Nie wiem, w co wierzę. Tyle się dzieje dziwnych rzeczy. Rzeczy, o których ci jeszcze nie wspomniałem.

– Jakich rzeczy?

Przypomniał sobie Fairfax Lounge. Czuł się jak we śnie. Czy tylko sobie wyobraził tego młodego mężczyznę w środku Delaneya? I jeszcze młodszego w środku tamtego? I wszystkie kolejne, niekończące się wcielenia młodych ludzi?

– Halo! – powiedziała Sally. – Znowu gdzieś odleciałeś.

Oszołomiony spojrzał na nią niepewnie. O czym rozmawiali?

– Mówiłeś, że są rzeczy, o których mi nie opowiedziałeś.

– Słusznie. – Skupił się ponownie. – Na przykład że do Los Angeles przyleciała moja żona.

– Co? – spytała Sally zszokowana. – Imogen?

Opowiedział jej o zdarzeniu w południe.

– I nie wiedziałeś, że się tu wybiera? Wie, gdzie się zatrzymałaś, i nie próbowała się z tobą skontaktować? Nie odbiera twoich telefonów?

– Nie. – Pokręcił głową. – A brakuje nam pieniędzy. I bądź tu mądry.

- Ja bym podejrzewała, że ma romans.
- To nie byłby pierwszy – mruknął Ross.
- Naprawdę?

– Jest inteligentną kobietą, Sally. Postaw się na jej miejscu. Wyobraź sobie, że jesteś moją żoną i wiesz, że lecę do Los Angeles. Naprawdę przyjechałaś z kochankiem właśnie tutaj, do tego samego miasta, w tym samym czasie?

– Tylko gdybym chciała zostać przyłapana. Gdybym chciała się rozejść.

Ross patrzył na nią w milczeniu.

– O tym nie pomyślałem – przyznał.

– Niektóre ludzkie umysły działają w bardzo pokrętny sposób, Ross.

– Nie wierzę, żeby Imogen była taka podstępna. Nie aż tak.

Sally skłoniła lekko głowę.

– Sam powiedziałeś, że jest inteligentną kobietą. Musi być, skoro za ciebie wyszła.

– Dziękuję ci za komplement!

– Robiłam w swoim życiu sporo wywiadów z przestępcami – powiedziała Sally. – Nauczyłam się od nich, że najlepsza kryjówka jest pod latarnią.

– To dobra teoria, ale w tym wypadku jej nie kupuję.

– Masz lepszą?

– Nie. Chwilowo wyprztykałem się z teorii. Ale wierzę w jedną rzecz i zamierzam się jej trzymać, nawet jeśli jest to strzał w ciemno. Potem poznamy prawdę, w ten czy inny sposób.

– Masz na myśli znak obiecany przez Delaneyę?

– Tak.

– A jeśli nic takiego się nie zdarzy?

– Zawsze uwielbiałem słowa Marcina Lutra, które brzmią mniej więcej tak: „Nawet gdybym wiedział, że świat jutro się skończy, to i tak posadziłbym swoją jabłónkę”. – Ross popatrzył na Sally. – Tak właśnie się przy tobie czuję, chociaż wiem, że to brzmi jak truizm. Ale tak jest.

– Owszem, brzmi to jak truizm. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Ale to nic nie szkodzi. Truizmy są takie miłe.

Van Morrison śpiewał właśnie: „Czy mówiłem ostatnio, że cię kocham?”.

Ross odpowiedział tak samo szerokim uśmiechem.

– Co takiego powiedział Noël Coward o sile tandetnej muzyki?

Sally przekrzywiła głowę.

– Powiedz mi.

Poniedziałek, 20 marca

– To tu – mruknął kierowca, kiedy zatrzymali się przed kostnicą. – Obawiam się, że nastrój w tym lokalu będzie raczej pogrzebowy.

Minęła prawie dziesiąta, kiedy ospała limuzyna wjechała przez otwartą bramę z tabliczką: OKRĘG LOS ANGELES, ZAKŁAD MEDYCYNY SĄDOWEJ. KORONER.

W świetle reflektorów samochodowych Bloor zobaczył szereg nowoczesnych jednopiętrowych budynków opatrzonych numerami. Na murach widniały wyraźne niebieskie napisy:

URZĄD KORONERA, LABORATORIUM KRYMINALISTYCZNE
URZĄD KORONERA, ADMINISTRACJA

Przed budynkiem stał rząd identycznych białych samochodów osobowych z niebieskim znakiem i napisem na przednich drzwiach KORONER.

Kierowca limuzyny podjechał pod główne wejście i oznajmił:

– Tu się zaczyna impreza.

Nie zwracając na niego uwagi, Bloor wysiadł z samochodu. Helmsley został w środku i nadal pisał swoje maile.

Oślaniając się przed szalejącą wichurą, szef KK wszedł na schody i stanął przed dwuskrzydłowymi, oszklonymi drzwiami, świadom wymierzonych w niego kamer. Napis na drzwiach informował: OSOBOM NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Zajrzał przez szybę do niewielkiej poczekalni z kilkoma dość obskurnymi kanapami, dozownikiem ze środkiem odkażającym oraz wysoką gablotą z oprawionymi w ramki certyfikatami.

Z korytarza za rogiem wyłonił się mężczyzna w średnim wieku z wąsami oraz fryzurą w stylu Beatlesów, w fioletowej koszuli rozpiętej pod szyją. W dłoni trzymał plik fotografii.

Bloor zastukał w szybę. Mężczyzna obejrzał się, pokręcił głową, przejechał dłonią po gardle i pokazał palcem coś za plecami Ainsleya. Bloor rozejrzał się zaintrygowany, a kiedy tamten powtórzył swój gest, wzruszył ramionami. W końcu mężczyzna podszedł i otworzył drzwi. Bloora uderzył w nozdrza silny zapach detergentów.

– Słucham? – spytał mężczyzna życzliwym, rzeczowym tonem.

Z kieszeni na piersi wystawał mu telefon, a na szyi wisiała smycz z identyfikatorem: „Mark Johnson, Kierownik Działu Fotografii i Pomocy Technicznej Kryminalistyki, Urząd Medycyny Sądowej i Koronera Okręgu Los Angeles”.

– Może mógłby mi pan pomóc – powiedział Bloor grzecznie, robiąc żalobną minę. – Widzi pan, przyjechałem z Anglii w odwiedziny do kuzyna. Niestety, kilka godzin temu zginął tragicznie w wypadku samochodowym, potrącony przez kierowcę, który uciekł z miejsca zdarzenia w zachodnim Hollywood. Pomyślałem, że mógłbym wam pomóc i oficjalnie go zidentyfikować.

– Przykro mi z powodu pańskiego kuzyna, ale musi pan się udać do tego budynku za pańskimi plecami i porozmawiać z recepcją.

Bloor obejrzał się na starszy i bardziej elegancki budynek.

– Ale dzisiaj już nie stosuje się formalnej identyfikacji przez członków rodziny – dodał Mark Johnson.

– Nie?

– Prawie wszystko załatwia się analizą DNA i odcisków palców.

– Rozumiem.

– Przykro mi, że odbył pan na próżno taką daleką drogę.

Bloor myślał gorączkowo.

– Widzi pan, rzecz w tym, że przyleciałem tu z Anglii po wielu latach na coś w rodzaju rodzinnego zjazdu. Czy mógłbym chociaż na chwilę zobaczyć Mike’a? Aby się z nim pożegnać?

– Niestety, nie pozwalamy już na oględziny, zbyt duże ryzyko. Będzie pan musiał udać się do kostnicy, kiedy pański

kuzyn zostanie tam przewieziony.

– Sądziłem, że to jest właśnie kostnica.

– W Anglii nazywacie to chyba domem pogrzebowym.

– Gdzie mogę się dowiedzieć, dokąd go zawiozą?

– Jak się nazywał zmarły?

– Mike Delaney.

– Ach, tak, już wiem. Obawiam się, że jego wypadek został zaklasyfikowany jako przestępstwo. W takiej sytuacji ciało będzie można obejrzeć dopiero po podpisaniu przez koronera zgody na wydanie zwłok do domu pogrzebowego.

– Kiedy to nastąpi?

– Musimy poczekać na sekcję, a niestety mamy opóźnienia, na autopsję czeka ponad pięćset ciał. Może to potrwać kilka dni, może nawet tydzień albo dłużej.

– Rozumiem. – Bloor starał się wymyślić coś na poczekaniu.

– Pewnie nie może pan złamać zasad... Przyleciałem z daleka, a za dwa dni muszę wracać do Anglii, nie mógłbym tylko rzucić okiem?

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Jedyne, co może pan zrobić, to przyjechać jutro i przedstawić swoją sprawę koronerowi. – Przez chwilę jakby się nad czymś zastanawiał. – Och nie, przepraszam, koroner i jego zastępca wyjechali na konferencję, wrócą dopiero w czwartek. Naprawdę mi przykro.

Bloor podziękował, odnotował w pamięci nazwisko mężczyzny, po czym odwrócił się i odszedł, lecz zamiast wrócić do samochodu, skręcił w prawo i ruszył w ciemności wzdłuż bocznej ściany budynku. Zaglądał po kolei przez wszystkie okna, za którymi panowała ciemność. Kiedy uszedł kilka kroków, poczuł w powietrzu słodkawy zapach dymu papierosowego, dolatującego od strony piętrowego parkingu.

Zbiegł po schodach, minął rząd samochodów koronera i zobaczył niskiego mężczyznę w niebieskim kitlu i czepku na włosach. Stał przed drzwiami i palił papierosa.

Bloor podszedł do niego stanowczym krokiem.

– Ładnie pachnie – powiedział.

– Zapali pan? – Mężczyzna sięgnął ręką za fartuch i wyjął paczkę papierosów.

– Na pewno mogę? – spytał Bloor.

Nie palił, od kiedy skończył dwadzieścia parę lat.

– My, palacze, musimy się trzymać razem.

– Zgadzam się!

Wyciągnął papierosa z paczki, po czym pozwolił go sobie podpalić.

– Anglik?

– Mhm – mruknął Bloor, zaciągając się.

– Co pana tu sprowadza?

– Jestem patologiem sądowym. Ponieważ mamy w kraju niewiele zgonów od ran postrzałowych, a zagrożenie terrorystyczne rośnie, przysłano mnie tu, żebym zdobył trochę doświadczenia, na zaproszenie Marka Johnsona. Właśnie się z nim widziałem. – Spojrzał ukradkiem na identyfikator mężczyzny: „Dr Wayne Linch”. – Powiedział, że jutro spotkam się z doktorem Linchem. Mam nadzieję, że uda mi się z nim popracować.

– Z doktorem Linchem? To ja!

Uścisnęli sobie dłonie.

– Miło mi pana poznać, doktorze...?

– Porter. Richard Porter.

– Dobrze trafiłeś, Richardzie. Właśnie dlatego ugrzęzłem dzisiaj w robocie do wieczora. Mamy czwórkę zastrzelonych w Orange County. Nieudana transakcja narkotykowa. Chcesz rzucić okiem?

– Jasne – odparł Bloor. – To dla mnie doskonała okazja.

Dokończyli papierosy i weszli do środka.

Bloor podążył za nim do szatni. Patolog wręczył mu niebieski fartuch, czepek i papierową maseczkę, po czym wyciągnął spod ławki parę białych gumowych butów.

– Jaki rodzaj ran postrzałowych chcesz zobaczyć?

– Z pistoletu. Mamy sporo ran od wiatrówek, ale niewiele z broni krótkiej.

Patolog poprowadził go korytarzem, po czym otworzył drzwi i zapalił światła. W środku na metalowym stole na kółkach pod dużym okrągłym skanerem leżał nagi mężczyzna o latynoskim typie urody. Miał na piersi wielki tatuaż, a po obu stronach lewego sutka dwa niewielkie otwory.

– Widzisz te ślady na piersi?

– Obok sutka? – spytał Bloor.

– Tak. Zrobione przez mały kaliber, dum-dum dwadzieścia dwa. Małe rany wejściowe, ale po zderzeniu z ciałem kule eksplodują. Gdybym go obrócił, zobaczyłbyś odstrzelony kawał pleców i narządów wewnętrznych. – Wskazał urządzenie. – To aparat rentgenowski, szukamy wszystkich odłamków, które zostały w ciele.

Bloor popatrzył na tatuaż Latynosa. Napis głosił: JESTEM TU.

Linch zauważył jego zainteresowanie i również spojrzał na ozdobioną pierś. Potem pochylił się i oznajmił zmarłemu w twarz.

– Już cię tu nie ma, stary.

Kiedy wyszli z sali, patolog zgasił światła i zamknął drzwi.

– No, muszę wracać do roboty. Miło było cię poznać, Richardzie.

– Mnie również. Do jutra. O której zaczynasz?

– Ech, od rana. O siódmej.

– W takim razie do zobaczenia o siódmej.

Kiedy Linch odszedł, Bloor stał przez chwilę bez ruchu, nie wierząc we własne szczęście. Ciało Michaela Delaneya przywieziono tu niedawno, gdzie może teraz być?

Poczuł lekki niepokój, kiedy minął go młody, tęgawy mężczyzna z brodą, w takim samym niebieskim fartuchu jak on, tylko bez czepka na głowie.

– Powodzenia – powiedział, przechodząc.

Bloor mruknął coś w odpowiedzi, po czym ruszył szybko w głąb korytarza. Otworzył pierwsze drzwi z brzegu. Z progu zobaczył długie, wąskie pomieszczenie z oświetleniem operacyjnym i rzędem stalowych noszy na kółkach. Na kilku leżały zwłoki pod plastikowymi przykryciami. Wszystkie ciała miały pociemniałą skórę. Na samym końcu stał mężczyzna ubrany podobnie jak patolog, z którym przed chwilą rozmawiał, i pracował przy stole z małymi zwłokami dziecka.

Bloor zamknął drzwi i poszedł dalej. Minął toalety, dystrybutor z wodą, żółty kosz na śmieci i kilka tablic z ogłoszeniami. Podszedł do windy, zastanawiając się, co znajduje się na wyższych piętrach. Potem zobaczył przed sobą następne drzwi.

Otworzył je.

Powitało go uderzenie zimnego powietrza, gęstego i ciężkiego od dławiącego smrodu gnijących ciał. Światła się paliły. Była to wielka, lodowata kostnica, w której panowała atmosfera hali magazynowej. Pod dachem z blachy falistej wisiały rzędy świetlówek, a na metalowych półkach leżały zwłoki poukładane w pięciu rzędach. Rzędy ciągnęły się daleko w głąb sali. W różnych miejscach stało pozornie chaotycznie kilkanaście noszy z kolejnymi zwłokami, przykrytymi przezroczystą lub mlecznobiałą plastikową płachtą. Z palców u stóp każdego ciała zwisały dwie przywieszki, jedna pomarańczowa, druga brudnożółta.

Ponad pięćset zwłok, pomyślał Bloor, przypominając sobie słowa Marka Johnsona. Wśród nich był Mike Delaney.

Światło zamigotało i prawie w tej samej chwili rozległ się grzmot pioruna. Huk rozszedł się echem po hali niczym głęboki, metaliczny ryk.

Ainsley zamknął za sobą drzwi i ruszył w kierunku najbliższych noszy z ciałem przykrytym białym plastikiem. Obejrzał się, drzwi były nadal zamknięte. Popatrzył na przywieszki na dużych palcach stóp, lecz widniały na nich tylko numery, żadnych nazwisk. Uchylił plastikową płachtę, zobaczył czarnego mężczyznę z odstrzelonym czubkiem głowy i obnażonym mózgiem.

Przełknął ślinę z obrzydzenia, przykrył z powrotem zwłoki i poszedł dalej. Musi znaleźć Delaneya, wyrwać mu kilka włosów i zdobyć jego DNA.

Musi!

Znowu zamrugwały światła, huknął grzmot. Po nim drugi i trzeci, jeszcze głośniejszy, aż zadrżała ziemia pod stopami, a ściany zadudniły, jakby znalazł się w środku wielkiego bębna.

Zajrzał pod kilka następnych plastikowych płacht: monstrialnie otyła biała kobieta; młody, szczupły mężczyzna; śliczna, młoda blondynka. Podeszedł do następnych noszy pod białym plastikiem. Uchylił go i zajrzał w otwarte, przestraszone oczy czarnej dziewczyny z otworem pośrodku czoła, pokrytym grubym strupem krwi.

Gdzie jesteś, Delaney? Gdzie się ukryłeś w tej piekielnej norze?

Znowu zamigotały światła, po czym całkiem zgasły, lecz po kilku sekundach ponownie się zapaliły. Nagle powietrze rozdarła eksplozja o sile wybuchu bomby, tuż nad nim, aż cały budynek zadrżał w posadach.

Czując się coraz bardziej nieswojo, Bloor minął kilka następnych ciał pod przezroczystymi okryciami, lecz żadne z nich nie przypominało Mike'a Delaneya, jakim go pamiętał ze zdjęcia. Kiedy doszedł do następnych zwłok pod białym plastikiem, światła ponownie zamigotały i zgasły.

Huknął grzmot, tak głośny i bliski, że budynek znów zadygotał.

Bloor wyjął telefon, włączył latarkę i spojrzał na twarz zmarłego.

Kolejny grzmot.

Podszedł do następnych noszy, uniósł białe plastikowe okrycie i zobaczył jakąś Chinę.

Wtedy usłyszał tuż za sobą rozgniewany, znajomy głos Marka Johnsona:

– Hej! Halo, proszę pana!

Odwrócił się przerażony.

– Co pan, do diabła...

W tym samym momencie rozległ się trzask elektrycznego wyładowania. Cała sala stanęła w powodzi niebieskiego blasku. Po suficie i metalowych stelażach zatańczyły zygzaki niebieskich cieni, niczym wierzchołki i zapadliny wykresu EKG. Mignęła mu wściekła twarz mężczyzny w fioletowej koszuli, potem usłyszał ogłuszający wybuch.

Podniósł głowę. Cały sufit się jarzył.

Odepchnął mężczyznę tak mocno, że tamten poleciał na plecy, dopadł do drzwi i wybiegł na korytarz. W górze huknął następny grzmot. Sufit eksplodował płomieniami. Nagle Bloor uprzytomnił sobie, że biegnie w niewłaściwym kierunku. Odwrócił się i pobiegł na oślep przed siebie. Lał się na niego przyszczyć wody. Dobiegł do recepcji i skręcił w stronę drzwi wejściowych. Popchnął je, potem pociągnął, lecz drzwi ani drgnęły.

Zadudnił kolejny grzmot.

Za plecami Ainsleya zawalił się fragment płonącego sufitu.

Zobaczył przy drzwiach zielony przycisk. Nacisnął, lecz nadal nic się nie wydarzyło. Dopadł z powrotem do recepcji, chwycił fotel obracany i z całej siły cisnął nim w szklane drzwi. Szkło rozprysło się na kawałki. Bloor przegramolił się na drugą stronę, po czym puścił się pędem w stronę limuzyny. Szarpnął tylne drzwi i wpadł do środka.

– Nic ci się nie stało? – spytał niespokojnie Helmsley.

– Wynośmy się stąd! – wrzasnął Ainsley na kierowcę.

– Pioruny – powiedział Helmsley. – Dwie błyskawice z rzędu trafiły prosto w budynek.

Kiedy wyjeżdżali przez bramę, Bloor obejrzał się na kostnicę. Cały budynek stał w płomieniach.

W oddali usłyszał syreny i niecierpliwe klaksony wozów strażackich.

133

Wtorek, 21 marca

O piątej rano, po nieprzespanej nocy, nękany burzą oraz własnymi niespokojnymi myślami, Ross w końcu skapitulował. Po kolacji Sally zaprosiła go do swojego hotelu na drinka przed snem, ale odmówił. Za każdym razem, kiedy się spotykali, coraz bardziej go do niej ciągnęło. Czuł przy niej coś, co nigdy nie zdarzało mu się przy Imogen. Nie potrafił sprecyzować, co to jest. Jakaś więź na bardzo głębokim poziomie.

Prawie bez przerwy kotłowały mu się w głowie myśli o Imogen. Co robiła w Los Angeles? Jaką grę prowadziła? Jej przyjazd tutaj wydawał się nie mieć sensu. Z drugiej strony nic w tej chwili nie miało sensu.

Wyciągnął rękę, wziął telefon i spojrzał na ekran z nadzieją, że zobaczy wiadomość od swojej żony z wyjaśnieniem, co robi w Ameryce.

Lecz przyszedł tylko jeden SMS, od Sally, wysłany o wpół do dwunastej wieczorem.

Dobrej nocy, zbawco świata. XX

Odpisał:

Mówi się: Zbawicielu.

Odpowiedź przyszła natychmiast. Najwyraźniej Sally również nie mogła zasnąć.

No, no, nie daj się ponieść :) XX

Uśmiechnął się. Od razu poprawił mu się humor. Miał uczucie, jakby ktoś wycierał mu oczy papierem ściernym. Wziął pilota, włączył telewizor i zaczął przeskakiwać po kanałach. Jakieś stare odcinki *Ostrego dyżuru*; film dokumentalny o topnieniu lodowców; wreszcie lokalna stacja nadająca relację spod płonącego budynku. Na ekranie widać było kłębówisko wozów strażackich, karetok pogotowia, sprzętu gaśniczego, ludzi w skafandrach. Reporter o perfekcyjnie medialnej aparycji ścisnął w dłoni mikrofon.

– ...walczą przez całą noc z pożarem, który wybuchł wskutek uderzenia pioruna w siedzibę Zakładu Medycyny Sądowej i Urzędu Koronera Los Angeles. Jest ze mną Mark Johnson, kierownik nocnej zmiany zakładu. Jak wygląda sytuacja?

– Źle – odpowiedział ponury mężczyzna z wąsami, ubrany w fioletową koszulę. – Najsilniej piorun uderzył w pomieszczenie nad salą, którą nazywamy Kryptą, gdzie przechowywano ponad pięćset ciał czekających na sekcję zwłok. Za wcześnie jeszcze, aby szacować straty, lecz z tego, co usłyszałem od strażaków, ta część budynku została w dużym stopniu zniszczona.

Ross aż usiadł na łóżku. Przez następną godzinę nie ruszał się przed telewizora, skacząc z kanału na kanał i szukając kolejnych informacji. Wtedy zadzwonił jego telefon.

– Hej, widziałeś wiadomości? – spytała Sally.

– Cały czas oglądam.

– Niesamowite, nie sądzisz?

– Można tak powiedzieć.

– Dziękuję ci za uroczy wieczór.

– To ja ci dziękuję.

– Mimo że zasnąłeś w trakcie kolacji.

– Naprawdę? O cholera, tak mi przykro.

– Wybaczę ci pod jednym warunkiem.

– Mianowicie?

– Dzisiaj też zjemy razem.

Uśmiechnął się. Nadal jej całkiem nie rozgryzł, ale nabierał coraz większej pewności, że może jej ufać.

– Postaram się nie zasnąć.

– Tym razem wezmę to do siebie, jeśli zaśniesz.

Chwilę po zakończeniu rozmowy telefon zadzwonił ponownie. Tym razem to była Imogen.

– Co robisz w Los Angeles? – zapytał Ross.

– Nie mogę rozmawiać o tym przez telefon. Możemy się spotkać o dziesiątej w holu hotelu Serena na Sunset Boulevard?

W jej głosie dźwięczała jakaś stalowa nuta. Jakby rozmawiał z obcą kobietą.

– Tak, ale powiedz mi, co...?

Lecz usłyszał tylko kliknięcie rozłączanej rozmowy.

Oddzwonił do niej od razu, ale włączyła się poczta głosowa.

Nie zostawił wiadomości. Położył się i zaczął rozmyślać, co się, do diabła, dzieje. Jaką grę toczy jego żona? Potem skierował myśli ku ostatniemu wieczorowi. Otworzył aplikację dyktafonu i włączył nagranie swojej rozmowy z Mikiem Delaneyem. Wsłuchiwał się w niuanse jego głosu. W pobrzmiewającą w nim szczerłość.

Zapisano to również w Ewangelii świętego Mateusza, w rozdziale dwudziestym czwartym: „Słońce się zaćmi i księżyc nie da swego blasku; gwiazdy zaczną padać z nieba i moce niebios zostaną wstrząśnięte. Wówczas ukaze się na niebie znak Syna Człowieczego”.

Żałując, że nie zabrał ze sobą butów sportowych, aby skorzystać z hotelowej siłowni, włożył dzinsy, T-shirt, buty i skórzaną kurtkę i wyszedł na spacer. Wiatr wiał jeszcze silniej niż wczoraj, a po ulewie, która w nocy towarzyszyła burzy, powietrze było świeże i czyste. Skreślił na chybił trafił w cichą, obsadzoną drzewami uliczkę i minął kilka wyjątkowo okazałych domów stojących w głębi, potem wszedł do niedużego parku, gdzie mimo wczesnej pory biegało lub spacerowało z psami sporo ludzi, i zrobił dwa szybkie okrążenia.

Po powrocie do hotelu zamówił na śniadanie omlet z trzech jaj, tost na zakwasie, miseczkę owoców leśnych i kawę. Wziął prysznic, ogolił się i zarezerwował taksówkę do hotelu Serena na dziewięć czterdzieści pięć, ponieważ według konsjerża dojazd tam zajmował piętnaście minut.

Dochodziła szósta po południu i brat Pete zaklął pod nosem. Wracając z Sussex, wsiadł do niewłaściwego pociągu. Powinien był pojechać na dworzec Victoria, a zamiast tego, jak mu powiedział usłużny współpasażer, jechał w kierunku stacji London Bridge. Oczywiście mógł się przesiąść.

Po szybie spływały strugi deszczu, lodowaty przeciąg wiał mu prosto w twarz. Jechali przez szare zabudowane tereny. Był przygnębiony i miał w głowie mętlik. Jeszcze niedawno jego plan wydawał się taki słuszny i oczywisty, lecz teraz ogarnęły go wątpliwości. Biblia leżała na kolanach, ani razu nieotwarta podczas podróży.

Nie zamierzał wracać na górę Athos, przynajmniej przez jakiś czas. Chciał zobaczyć większy kawałek świata i wystawić swoją wiarę na próbę. Przekonać się, czy pociągnie go tam z powrotem. Pragnął zrozumieć to coś, co tkwiło w głębi jego duszy. Czy to wiara trzymała go w klasztorze, czy tylko ten szczególny tryb życia, który pozwalał, aby świat zostawił go w spokoju?

Wszystko przez to, co powiedział mu jego kuzyn, brat Angus – minęło czterdzieści lat, zanim odkrył cel swego życia: służyć tylko Panu w całkowitej samotności. Tego popołudnia Pete pomagał nieść jego trumnę na cichy, prosty cmentarz z rzędami drewnianych krzyży.

Było mu smutno z powodu śmierci staruszka, ale zarazem się cieszył, ponieważ w przeciwieństwie do wielu ludzi Angus znalazł prawdziwe zadowolenie i spokój w tym surowym sposobie życia.

Teraz jednak, kiedy siedział w pociągu, przyciskając do piersi torbę, Pete wcale nie miał pewności, co powinien zrobić.

W torbie tkwił pakunek, który przeor wręczył mu na przechowanie. Przedmioty, które Angus tak bardzo pragnął bezpiecznie ukryć. Na zawsze. Na górze Athos na pewno byłyby bezpieczne.

W głębi serca nękało go mnóstwo wątpliwości.

Jeśli wróci na Athos, może nigdy więcej nie uzyskać zgody na opuszczenie klasztoru. Z półwyspu można się wydostać tylko łodzią, a jedynie opat może wydać na nią bilet.

Naprzeciwko niego siedziała kobieta o zmęczonym wyglądzie z wrzeszczącym dzieckiem, któremu z nosa zwisały smarki. Nędzny strzępek ludzkiego gatunku. Obok niego zgarbiony nastolatek o wyglądzie przygłupa słuchał zbyt głośnej muzyki przez słuchawki. Pete słyszał drażniące łup-łup-łup-łup, a młodzik kiwał głową do dudniącego rytmu. Po drugiej stronie przejścia siedziała para starszych ludzi, pulchna kobieta z obwisłymi policzkami i mężczyzna z laską w kościstych dłoniach. Nie wyglądali przez okno, nie rozglądali się po wagonie, tylko patrzyli martwo przed siebie.

– Nudzę się – powiedział starzec.

– Ja też – odparła niewiasta.

– Daleko jeszcze? – spytał.

– Nie wiem – odrzekła.

Pociąg wjechał na stację, Pete zobaczył tablicę z napisem EAST CROYDON. Mógł się tu przesiąść do pociągu jadącego na dworzec Victoria.

Kiedy się zatrzymali, Pete wstał i wyszedł z wagonu, by uwolnić się od tego klaustrofobicznego otoczenia. Na górze Athos miał przestrzeń, nie musiał patrzeć na zasmarkane niemowlęta, znosić czyjejs okropnej muzyki. Tęsknił za samotnością, uprzytomnił to sobie po raz pierwszy od opuszczenia klasztoru.

Krążąc w ulewnym deszczu po labiryncie peronów, znalazł w końcu miejsce, gdzie zatrzymywały się pociągi zmierzające do Victorii. Elektroniczna tablica informowała, że najbliższy odjazd nastąpi za czternaście minut.

Usiadł na pustej ławce pod wiatą, wyjął z torby Biblię i zaczął czytać.

Po kilku chwilach kątem oka zauważył wokół siebie grupę ludzi. Podchodzili do niego. Poczł smród alkoholu

i papierosów.

– Co tam czytasz, kurwa? – odezwał się jeden z nich szyderczo. – Pieprzony Koran czy co?

Pete podniósł wzrok. Zobaczył czterech gęsto wytatuowanych wyrostków – dwóch miało ogolone głowy, jeden irokeza, a jeden zielone włosy, które sterczały jak kolce. Wszyscy ubrani byli w bluzy z kapturem, dresowe spodnie i sportowe buty. W rękach trzymali puszki z piwem, trzech paliło papierosy.

– To Biblia – odparł uprzejmie Pete.

– Serio?

Pete skinął głową.

Nadjeżdżał pociąg. Włożył książkę z powrotem do torby i wstał. Mężczyźni patrzyli na niego z wyrazem tępej nienawiści.

Nie zwracając na nich uwagi, Pete podszedł na skraj peronu, wszedł do pustego wagonu. Z ulgą stwierdził, że młodziki poszły dalej do innego wagonu. Usiadł głęboko wstrząśnięty. Czemu na świecie musi być tyle nienawiści? Może Bóg nas w ten sposób testuje? Tak jak rozpałał gniew w jego piersi. Czasem w nim również złość wybuchwała niepowstrzymanie.

Kiedy pociąg ruszył, wiatr wdmuchnął przez uchylone okno strumienie deszczu. Już miał wstać, żeby je zamknąć, kiedy usłyszał za sobą dźwięk otwieranych drzwi, poczuł smród papierosów, a po chwili dobiegł go głos:

– Co ty, kurwa, pierdolony terrorysta czy co?

Podniósł wzrok i z przerażeniem zobaczył w przejściu tych samych czterech chuliganów. Jeden trzymał papierosa między kciukiem a palcem wskazującym i zaciągał się.

– Tu nie wolno palić – powiedział Pete, zanim zdążył się powstrzymać.

Poczuł, jak znów wzbiera w nim niekontrolowana złość.

– Tu nie wolno wchodzić islamistom, koleś – odpowiedział Irokez.

– Nie jestem islamistą.

– A czym jesteś z tym rozlazłym ryjem i czarną kiecką?

– Jestem prawosławnym zakonnikiem – odparł Pete i uśmiechnął się w nadziei, że to ich udobrucha.

– A skąd mamy wiedzieć, że nie jesteś jebanym terrorystą?
Masz w tej torbie bombę?

– Jestem zakonnikiem.

– To pokaż, co tam masz.

Zielonowłosa wyrostek sięgnął po torbę.

Pete odepchnął go lewym ramieniem, aż chuligan zatoczył się w tył. Potem chwycił torbę za uszy i zamachnął się nią, krzycząc:

– Zostawcie mnie! Jestem zakonnikiem! Nie jestem terrorystą!

Znow się zamachnął na oślepa, nie trafił, za to uderzył torbą w szybę.

Czterej dresiarze popatrzyli na niego dziwnie.

– Kurwa, co za walnięty czubek – stwierdził Irokez.

Zielonowłosa grzmotnęła go w nos. Przez łzy, które nabiegły mu z bólu do oczu, Pete zobaczył, jak młodzik wyrywa mu torbę i przeciska ją przez uchylone okno.

– Nie! – wrzasnął. – Nie, nie, nie!

– No, teraz przynajmniej jesteśmy bezpieczni, wyjebałem bombę za okno!

Wszyscy czterej ryknęli śmiechem i poszli dalej w głąb wagonu.

Pete stał i próbował wyrzeć przez okno. Wiatr i deszcz smagały go w twarz, łzy płynęły mu z oczu, a tymczasem pociąg nabierał prędkości.

Kilka minut przed dziesiątą taksówka skręciła na imponujący podjazd hotelu Serena. No jasne, pomyślał Ross ze złością, zastanawiając się, ile kosztuje tu nocleg. Imogen nie zatrzymałaby się w jakiejś taniej norze, prawda?

Najpierw go poucza, że powinni oszczędzać pieniądze, bo kiedy pójdzie na urlop macierzyński, będą musieli się utrzymywać tylko z jednej pensji, a następnie leci do Los Angeles i używa sobie w jednym z najbardziej luksusowych hoteli w mieście.

Taksówka przejechała kilkaset metrów krętym, obsadzonym palmami podjazdem i zatrzymała się przed kolumnadowym wejściem do hotelu, kłębiącym się od pracowników w liberjach, najdroższych limuzyn, samochodów sportowych i SUV-ów.

Młody, przystojny i nadskakująco usłużny mężczyzna otworzył mu drzwi.

– Witam pana w Serenie!

Ross zapłacił taksówkarzowi, doliczył napiwek, po czym ruszył w stronę wejścia. Po drodze mijał posągi z brązu przedstawiające legendy Hollywoodu. Rozpoznał Johna Wayne'a siedzącego na ławce; roześmianą Marilyn Monroe z papierosem w dłoni; Rocka Hudsona opartego o ścianę. Uśmiechnął się do nich cierpko.

Drzwi rozsunęły się automatycznie i Ross wszedł do ogromnego, pachnącego, białego atrium, którego centralne miejsce zajmowała wielka fontanna z trzema złotymi aniołami pośrodku dużego basenu. Dookoła stały rzędy kanap i foteli.

Przystanął i zaczął się rozglądać, a wtedy zobaczył idącą w jego stronę Imogen w dwuczęściowym kostiumie ze spodniami, jakby wybierała się na służbowe spotkanie.

Razem z nią, po obu stronach, szli dwaj mężczyźni w średnim wieku, ubrani w garnitury i nieszczerólnie atrakcyjni. Jeden średniego wzrostu z błyszczącymi, gładko przyczesanymi włosami, szczupłą, kanciastą sylwetką i uśmiechem samozadowolenia na twarzy o drapieźnych, jastrzębich rysach. Drugi był wysoki i szczupły, nosił okulary w czerwonych oprawkach. Wygląda w nich jak cipa, pomyślał Ross.

Rozpoznał obydwu mężczyzn ze strony internetowej. Gdyby zło miało zapach, ci dwaj cuchnęliby na odległość, dodał sobie w myślach.

Jakby na niewidoczny sygnał obaj mężczyźni zatrzymali się w odległości kilku kroków i Imogen poszła dalej sama.

Im bliżej do niego podchodziła, bez śladu uśmiechu na twarzy, tym bardziej obca mu się wydawała.

– Cześć, Ross – powiedziała, zatrzymując się w odległości, która nie naruszała niczyjej przestrzeni osobistej.

W pierwszej chwili Ross poczuł odruchową chęć, by do niej podejść, objąć ją, pocałować, lecz język ciała Imogen zatrzymał go niczym niewidzialna bariera.

– Co tu robisz, Imo? Nie odbierasz moich telefonów. Czy zechcesz mi powiedzieć, co się dzieje? Odchodziłem od zmysłów.

– O, jasne, a ja twoim zdaniem nie? Całymi tygodniami? Od kiedy postanowiłeś narazić nas oboje na niebezpieczeństwo?

– Ja wykonuję tylko swoją pracę.

– Ludzie wykonują pracę, żeby zarobić pieniądze, Ross.

– Kim są twoi goryle? – Ross wskazał głową mężczyzn stojących z tyłu. – Nabierasz gwiazdorskich zwyczajów, lecisz do Los Angeles, żyjesz ponad stan, wynajmujesz ochroniarzy.

– To nie są ochroniarze, to oni za wszystko płacą. Proponują nam mnóstwo pieniędzy, dużo więcej, niż gazeta kiedykolwiek zapłaci za twój artykuł.

Ross zniżył głos, żeby tylko Imogen mogła go słyszeć.

– Naprawdę? Czy to te same sukinsyny, które próbowały mnie zabić w Egipcie?

– Nie, oni nie chcieli cię zabić. Chcieli tylko dostać to, co znalazłeś. A teraz mają dla nas doskonałą propozycję, dużo

lepszą niż Watykan. Czy możemy porozmawiać w jakimś spokojnym miejscu?

– Tu jest bardzo spokojnie.

Patrzył na nią, zastanawiając się: Czy ja cię w ogóle jeszcze znam?

– Przynajmniej chodźmy gdzieś usiąść.

To powiedziawszy, poszła w towarzystwie obydwu mężczyzn do stolika stojącego blisko fontanny, nieco na uboczu od pozostałych, aby nikt ich nie mógł usłyszeć.

– Ross – powiedziała Imogen – to jest Ainsley Bloor, a to Julius Helmsley.

Niechętnie uściśnął dłoń najpierw mężczyźnie o twarzy jastrzębia, a następnie temu w idiotycznych okularach, po czym usiedli.

– Bardzo nam miło pana poznać, Ross – odezwał się Bloor nieprzyjemnym, zgrzytliwym głosem, w którym brzmiała wysilona, nieszczerza życzliwość. – Napije się pan herbaty lub kawy?

– Americano z gorącym mlekiem.

Bloor pstryknął w powietrzu palcami i po sekundzie zjawił się kelner w beżowej marynarce.

– Zje pan coś? – spytał Bloor. – Jadł pan śniadanie?

– Nic mi nie trzeba, dziękuję.

Złożyli zamówienie, po czym Ross powiedział:

– Czy mają panowie wizytówki?

– Oczywiście.

Bloor wyjął wykwinny srebrny wizytownik i wręczył mu kartę.

– Kerr Kluge?

– Tak jest – odparł Bloor z uśmiechem, jakim nauczyciel obdarza niepojętnego ucznia.

– Jest pan dyrektorem generalnym?

– Tak. A Julius jest naszym dyrektorem operacyjnym.

Ross nie odpowiedział. Imogen patrzyła na niego niespokojnie.

– Czy może żona wyjaśniła panu, po co tu wszyscy jesteśmy?

– Nie, nie mam pojęcia.

– Dobrze – ciągnął Bloor tym samym protekcjonalnym głosem. – Z tego, co wiemy, przyjechał pan do Los Angeles, aby

się spotkać z niejakim Mikiem Delaneyem, który według informacji, jakie pan uzyskał, mógł być, choć brzmi to nieprawdopodobnie, powtórny wcieleniem Jezusa Chrystusa.

– Skąd o tym wiecie?

– Od pańskiej żony – powiedział rozbrajająco Bloor.

– Jak pan widzi, panie Hunter, jesteśmy dość dobrze poinformowani – wtrącił się Julius Helmsley.

Ross zmarszczył brwi na Imogen, potem na obydwu mężczyzn.

– Doprawdy? Wiecie również, że został wczoraj wieczorem zabity przez kierowcę, który uciekł z miejsca wypadku? Czyżbyście nie mieli z tym nic wspólnego?

– Ross! – skarciła go ze złością Imogen.

– My? – powiedział Bloor z wyrozumiałością, jakby mówił do małego dziecka. – Przyjechaliśmy tu, żeby się spotkać z panem Delaneyem, nie żeby go zabić. Kerr Kluge jest powszechnie szanowaną spółką publiczną, o czym z pewnością pan wie. Nie mamy w zwyczaju zabijać ludzi.

– Poza mną w Egipcie i głodującymi Afrykanami – zażartował Ross.

– Wypraszam sobie – obruszył się Helmsley.

– Waszą firmę wielokrotnie krytykowano za sprzedaż przeterminowanych leków do Afryki – oznajmił Ross, nie zważając na piorunujące spojrzenia swojej żony.

– Panie Hunter – zaczął Helmsley – terminy ważności podawane na opakowaniach leków naszej firmy posiadają ogromny margines bezpiecznego użytkowania. Produkty te mogą być przeterminowane dla odbiorców hurtowych w Europie i Stanach Zjednoczonych, mimo to są nadal pełnowartościowymi środkami medycznymi. Jeśli ludziom w uboższych krajach mogą pomóc, sprzedawane po bardzo obniżonych cenach, to nie ma w tym nic złego, prawda?

– Ależ prawdziwi z was święci, panie Helmsley – powiedział Ross.

– Uważam, że ludzie lubią demonizować prawa obowiązujące w przemyśle farmaceutycznym.

– Doprawdy? Ciekawe dlaczego.

– Ross – syknęła Imogen.

– Proszę posłuchać, panie Hunter – odezwał się Bloor. – Nie będę owijać niczego w bawełnę. Chcielibyśmy dostać to, co naszym zdaniem pan posiada, i jesteśmy skłonni sporo za to zapłacić.

– A co waszym zdaniem posiadam? Założyliście podsłuch w moim domu, prawda? Doskonale wiecie, co znalazłem.

Bloor lekko poczerwieniał.

– Od czasu, kiedy wymalowaliście mi graffiti na ścianach, prawda? Podszywając się pod religijnych fanatyków. Sprytne.

Bloor nie odpowiedział.

– Czy to wasi ludzie zabili biednego Harry’ego Cooka i jego notariusza?

– Dużo ludzi stara się zdobyć to, co pan znalazł, Ross, nie tylko my.

– Naprawdę?

– Myślę, że pan o tym wie.

– Czy są tak samo bezwzględni jak wy? Gotowi zastrzelić mnie w Egipcie? Utopić mnie w studni?

– Gra o wysokie stawki jest zawsze obarczona wysokim ryzykiem – stwierdził cynicznie Bloor. – Czasem ludzie płacą najwyższą cenę. Takie prawa rządzą światem i zawsze nim rządziły. Ma pan coś, co mogłoby zmienić świat. Fiolkę płynu, który prawdopodobnie zawiera prawdziwe DNA Jezusa Chrystusa, uzyskane ze skruszonego zęba. Proszę sobie wyobrazić, co się może stać, jeśli wpadnie ono w niepowołane ręce.

Ross popatrzył na Imogen osłupiały.

– Powiedziałaś tym ludziom o fiołce? Tym oślizłym gnidom?

– To nie są oślizłe gnidy, tylko dobrzy ludzie, którzy prowadzą badania, aby pomagać światu.

– Doprawdy? – spytał Ross, pieniąc się ze złości.

Właśnie podszedł kelner z ich napojami i talerzem maleńkich ciasteczek. Kiedy odszedł, powiedział:

– Czy możecie mi powiedzieć, panowie, czemu takie ważne jest dla was DNA Jezusa Chrystusa? Wiem, że jesteście grubymi rybami na polu badań genetycznych. Zamierzacie go sklonować? Czy może raczej się boicie, że zrobi to ktoś inny i na świat wyjdą hordy cudotwórców i uzdrowicieli, którzy wysadzą was z siodła?

– Jestem ateistą, panie Hunter. – Uśmiechnął się Bloor. – Jak pan słusznie zauważył, należymy do najpoważniejszych podmiotów naukowych w dziedzinie badań genetycznych. Nie wierzę, że Jezus Chrystus był Synem Bożym ani uzdrowicielem, ani w żaden inny z tych bzdurnych wymysłów. Ale na świecie żyją ponad dwa miliardy praktykujących chrześcijan, a wielu z nich kupuje produkty mojej firmy. Chodzi wyłącznie o marketing, to proste i oczywiste.

– Chyba za panem nie nadążam.

Na twarzy Bloora znowu wykwitł pogardliwy, wyniosły uśmiech.

– Zwyczajnie, panie Hunter. Jest pan konsumentem i ma pan do wyboru różne produkty. Gdyby był pan wierzącym chrześcijaninem kupującym tabletki na ból głowy albo lekarstwo na przeziębienie, który produkt by pan wybrał, przyjmując identyczną cenę? Firmy, o której niczego pan nie wie, czy tej, która posiada DNA Jezusa Chrystusa?

Ross milczał przez chwilę, analizując to, co usłyszał. W końcu pokręcił głową.

– To cynizm przekraczający wszelkie granice.

– To się nazywa biznes, panie Hunter – zauważył Bloor.

Ross odwrócił się do swojej żony.

– Ile ci zaproponowali, Judaszu... przepraszam, Imogen? Trzydzieści srebrników?

– Ross – powiedziała Imogen. – Oni spłacą naszą hipotekę. Wystarczy na wszystkie nasze długi i jeszcze nam dużo zostanie.

– Jesteśmy gotowi złożyć wam bardzo hojną propozycję.

Ross popatrzył na swoją żonę.

– Nie mogę w to uwierzyć. Mam szansę zrobić coś ważnego dla ludzkości, a ty chcesz mnie sprzedać? Najpierw Silvestriemu, a teraz im? Wlokł się aż tutaj?

– Tak, Ross. Rzeczywiście, nie robię tego dla reszty świata, robię to dla nas.

– I ty się nazywasz wierzącą chrześcijanką?

– Mam czasem prawo przedłożyć praktyczne podejście nad wiarę.

Ross przeniósł wzrok na obydwo mężczyzn.

– O jakiej sumie mówicie?

– Zanim przejdziemy do konkretnych negocjacji, panie Hunter, musimy uzyskać całkowitą pewność co do pochodzenia tych przedmiotów – odparł Helmsley.

Ross wyjął z kieszeni portfel i uniósł go nad głowę.

– Pochodzenie?

Oczy Bloora i Helmsleya aż zaświeciły. Dziennikarz wsunął palce pod podszewkę i wyjął małą fiołkę z naklejką „Zakład Kryminalistyki ATGC”.

– O to pytacie?

Zauważył niepokój w oczach Imogen.

– Zgadza się, panie Hunter – odparł Helmsley. – Musimy przekonać zarząd.

– Ale przecież wasz zarząd już wie, skąd to pochodzi – zauważył Ross.

– Nie rozumiem – przyznał Helmsley.

– Doprawdy? Chcecie powiedzieć, że nie wiedzą, skąd się to wzięło? Przecież próbowali mnie zabić, kiedy pojechałem po to do Egiptu.

– To oburzające! – zaprotestował Bloor.

– Doskonale wiecie, że to prawda. – Popatrzył na fiołkę. – I wiecie co jeszcze? Ten drobiazg naprawdę jest tylko przyczyną problemów.

– Ross – rzuciła ostrzegawczo Imogen.

Trzymając fiołkę w lewej dłoni, prawą wyciągnął koreczek, wstał i podszedł do fontanny.

– Neeee! – zaskrzeczał przeraźliwie Bloor, tak głośno, że ludzie dookoła odwrócili głowy.

– Panie Hunter! – krzyknął błagalnie Helmsley.

– Ross! Nie rób tego! – zawołała rozkazująco Imogen.

Dziennikarz z całej siły rzucił fiołkę w stronę wody. W powietrzu z otwartego flakonika wyciekły kropelki płynu. Po chwili pojemniczek znikł pod wodą.

Ross odwrócił się z powrotem do wstrząśniętych dyrektorów.

– Prędko, panowie, chwytajcie wiadra! Oto mój prezent. Woda święcona, całkiem za darmo!

– Wszystko w porządku?

Sally na sąsiednim fotelu samolotu wyglądała blado. Skinęła głową.

– Tak, dzięki. Za tymi momentami akurat nie przepadam: start i lądowanie.

– Wolę lądowanie niż jego alternatywę.

– Przestań!

Samolot wykołował na pas startowy i czekał w kolejce. Czuli, jak maszyna dygocze pod uderzeniami wiatru, coraz bardziej przybierającego na sile.

Ross spojrział na zegarek. Było dwadzieścia po szóstej. Mieli wylądować na lotnisku Heathrow nazajutrz w porze lunchu.

– Przy jakiej sile wiatru samoloty nie startują? – spytała Sally.

– O, musiałyby się zdarzyć prawdziwy huragan, te maszyny mają haczyki na niebie!

– Szkoda, po cichu miałam nadzieję, że odwołają lot i spędzimy jeszcze jedną noc w Los Angeles.

Ross przyjrzał się jej twarzy. Silniki ryczały, a samolotem trzęsło coraz mocniej.

– Zamierzam cię o coś zapytać i chcę, żebyś mi odpowiedziała szczerze, dobrze?

Uśmiechnęła się trochę szelmowsko.

– Spróbuję.

– Czy naprawdę leciałaś tu służbowo, czy to był kit?

– Czy aż tak łatwo mnie przejrzeć, czy wydają ci się aż taka płytka?

– Ani jedno, ani drugie, ale nie mogę się oprzeć podejrzeniu, że zachowałaś się ciut podstępnie.

– Panie Hunter! – powiedziała Sally z udawanym oburzeniem. – Czy takie rzeczy mówi się damie?

– Jestem dziennikarzem, moją pracą jest zadawanie pytań. Twoją również.

– Dobrze, powiem szczerze. Przyleciałam tu na własny koszt. Zaintrygowałeś mnie. Fascynuje mnie twoja misja, chciałam być na miejscu, żeby się dowiedzieć, co odkryłeś... i może również ci pomóc.

Samolot ruszył. Sally złapała go za rękę z całej siły, aż jej paznokcie wbiły mu się w skórę. Zamknęła oczy.

Nabierali prędkości, koła podskakiwały na pasie startowym, wiatr rzucał samolotem coraz mocniej. Pędzili po ziemi coraz szybciej, podskakując. W końcu Ross też zaczął się niepokoić. Cholera, czy kiedyś w końcu wystartują?

Znaleźli się w powietrzu nie wiadomo kiedy, lecz samolot wcale nie przestał podskakiwać, przeciwnie, miało nim jeszcze mocniej. Sally wbiła mu paznokcie jeszcze głębiej. Wznosili się, trzęśli, podrygiwali. Nagle przestraszyło ich potężne uderzenie, które rozległo się za nimi. Potem wszystko się uspokoiło. To tylko coś się przewróciło w kuchni.

Przez okno za siedzeniem Sally Ross zobaczył niknące w dole miasto, potem smużki chmur, aż wreszcie wszystkie światła znikły. Cały czas się wznosili. I cały czas samolotem lekko telepało.

– Możesz już otworzyć oczy.

Sally nadal była błąda jak śmierć, ale popatrzyła na niego i uśmiechnęła się z ulgą.

– Dziękuję ci – powiedział.

– Za co?

– Za to, że byłeś ze mną szczerą.

– Zawsze do usług.

Wtorek, 21 marca

Dwie godziny po starcie samolotu z Los Angeles, którym lecieli Ross i Sally, kilkanaście kilometrów dalej na północ, na pasie startowym w Santa Monica kołował gulfstream wiozący na pokładzie Ainsleya Bloora i Juliusa Helmsleya z powrotem do Anglii.

Mały odrzutowiec dygotał na wietrze, który przybierał na sile przez cały wieczór.

Obaj mężczyźni byli w fatalnych humorach. Pilot próbował ich przekonać, by przełożyli lot z powodu warunków atmosferycznych, lecz Bloor nie był w nastroju do słuchania czyichś rad. Przypięty do fotela, pił drugi kieliszek szampana i pytał po raz trzeci lub czwarty:

– Powiedz mi, Juliusie, skąd ten gnojek wiedział, że to była nasza robota w Egipcie?

– Już ci mówiłem, że nie wiem, Ainsleyu.

– Ktoś musiał mu to podszeptać, sam by nas z tym nie połączył. Ktoś musiał mu o tym powiedzieć, do cholery!

– Pytałem już pilotów.

Obaj piloci gulfstreama brali udział w akcji w Egipcie, wspierani przez miejscowego przewodnika z Luksoru, który pomagał w nawigacji.

Bloor spojrział przez okno. Ledwo widział światła pasa startowego. Wyglądały jak rozpędzona, wirująca mgła.

W głośnikach zatrzeszczał głos starszego pilota:

– Proszę panów, nadciąga burza piaskowa. To będzie bardzo niemiła podróż. Radziłbym odwołać start i poczekać do rana.

Bloor chwycił mikrofon wbudowany w podłokietnik fotela. Włączył go i warknął:

– Proszę lecieć i więcej nie dyskutować. Nie dam się zastraszyć jakiejś pieprzonej burzy piaskowej. Powiedział pan, że ją wyprzedzimy, jeśli wystartujemy natychmiast.

– Dobra, pan tu rządzi. Ale uprzedzam, że będzie trzęsło.

– Potrząsnę panem dużo gorzej, jeśli nie wystartujemy.

– Dobra. Pan płaci, pan wymaga.

Silniki ryknęły i samolot gwałtownie przyspieszył.

– Jesteś tego pewien, Ainsleyu? – spytał nerwowo Helmsley.

– Ten facet zaliczył chyba sto misji w Iraku. Tam dopiero mają porządne burze piaskowe. Wie, co robić. To dla niego bułka z masłem.

Chwilę później samolot oderwał się od ziemi. Najpierw rzuciło nim na boki, potem maszyna runęła w dół.

Helmsley wrzasnął.

Wyrównali.

Znowu polecili w dół.

Bloor pobladł.

Nagle poczuli, jakby wpadli do miksera. Gulfstream wzniósł się prawie pionowo do góry, a następnie przez kilka sekund równie pionowo spadał, zanim ponownie odzyskał poziom. Potem znów rzuciło nimi na boki. Zaczęły się kręcić w kółko.

– Jezu! – wrzasnął Bloor.

Helmsley zwymiotował.

Głos pilota płynący z głośników wyrwał Rossa z niespokojnej drzemki na ciasnym fotelu. Sally spała z twarzą przyciśniętą do małej poduszki kilkanaście centymetrów od jego twarzy. Usłyszał terkot wózka i poczuł zapach gorącego jedzenia.

– Przykro mi, że mieli państwo taką wyboistą drogę, ale za to z przyjemnością informuję, że wiatr wiejący w plecy posłużył nam pomocą i wylądujemy na lotnisku Heathrow prawie godzinę przed czasem. Pogoda w Londynie jest słoneczna, temperatura: czternaście stopni Celsjusza. Wkrótce podam państwu więcej szczegółów.

Sally otworzyła oczy i uśmiechnęła się do Rossa.

– Przespałaś się porządnie? – spytał.

– Tak porządnie, jak można się przespać na zatłoczonej trampolinie.

Uśmiechnął się i zanim się zorientował, co robi, pocałował ją lekko w czoło.

Sally popatrzyła na niego błękitnymi, ufnymi oczami. Uśmiechnęła się. Ziewnęła.

– Więc... spotkamy się jeszcze kiedyś?

– Mam nadzieję, że niedługo.

– Ja też – odparła. – Oby jak najszybciej.

Wyjeżdżając z parkingu lotniskowego, Ross rozmyślał o wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwóch dni.

Już zaczynało mu brakować towarzystwa Sally.

Ta dziewczyna naprawdę zawróciła mu w głowie.

Musi przestać o niej myśleć, skupić się na dokończeniu artykułu dla „Sunday Timesa” i rozwiązać jakoś sprawę z Imogen. Poczul, jak wzbiera w nim gniew. Co za żmija. Nie mógł tego zrozumieć. Gadała o niebezpieczeństwie, że odchodzi od zmysłów ze strachu, rozpaczy, aż nagle wszystko zaczęło się obracać wokół pieniędzy.

Nie bez powodu, musiał jej to przyznać. Może miała rację, może to on jest upartym, niezyciowym głupcem.

Czy to brak realizmu, jeśli chce się zrobić coś, co może zawrócić świat znad przepaści?

Czyżby tylko koszmarne się łudził? Czy odrzucił szansę na zarobienie dużych pieniędzy na tej całej historii? Nadal może to zrobić. Brat Angus ma zapas, zarówno kielich, jak i flakonik z DNA. W każdej chwili może naprawić to, co zrobił w Los Angeles, jeśli tak postanowi.

Usłyszał wiadomości dobiegające z radia.

Nad Zachodnim Wybrzeżem Stanów Zjednoczonych szaleje sztorm, najmocniej ucierpiała południowa Kalifornia. Lotnisko LAX w Los Angeles zostało zamknięte. Mieli szczęście, że w porę się wydostali.

Może bogowie się rozgniewali z powodu śmierci Mike’a Delaneya? – pomyślał.

Czy może raczej Bóg?

W jego telefonie zadzwieczał SMS. Kilka minut później drugi. Zignorował je. Imogen ciągle go besztala za sprawdzanie SMS-ów w czasie jazdy, a kilka miesięcy temu sam napisał artykuł o wypadkach spowodowanych czytaniem wiadomości w komórce. Policjant z drogowki Sussex opowiedział mu dwie oddzielne historie śmiertelnych zderzeń, którymi się ostatnio zajmował, kobiety i mężczyzny, którzy z niewyjaśnionych powodów zjechali z pasa prosto pod koła nadjeżdżającej z przeciwka ciężarówki. Dopiero później dochodzeniowcy prowadzący śledztwo odkryli, że w obu incydentach z komórek kierowców został wysłany SMS dokładnie o godzinie odpowiadającej wypadkowi.

W końcu parę minut po wpół do trzeciej Ross, zmęczony, głodny i marzący o kawie, wjechał na pusty podjazd swojego domu. Zgasił silnik i spojrzał na komórkę.

Pierwsza wiadomość przysłała od Sally.

Cześć, przepraszam, że jestem trochę natrętna. Naprawdę Cię lubię, ale doskonale zdaję sobie sprawę, że jesteś żonaty, i nie chcę stawiać Cię w niezręcznej sytuacji. Było, co było, rany są jeszcze świeże. Więc jak? Najlepsi przyjaciele? Powodzenia z artykułem, daj znać, kiedy ma się ukazać, już się nie mogę doczekać! Buziaki

Ross uśmiechnął się smutno i wystukał odpowiedź.

Jestem już w domu, moja nowa, najlepsza przyjaciółko. Buziaki

Potem przeczytał drugi SMS, od Imogen. Był długi.

Ross, nie wiem, gdzie jesteś. Może nie słyszałeś, ale Bloor i Helmsley zginęli zeszłej nocy. Rozbił się ich samolot. Tutaj nadają to we wszystkich wiadomościach. Zostaję na kilka dni w Ameryce, chcę odwiedzić starą przyjaciółkę. Nie mogłam Ci o tym powiedzieć, kiedy wczoraj się widzieliśmy, ale niestety straciłam dziecko. Niełatwo o tym pisać, ale obawiam się, że straciłam również Ciebie, czy raczej straciliśmy siebie nawzajem. Nie poznaję Cię. Kochasz swoją pracę bardziej, niż mógłbyś pokochać mnie. Myślę, że lepiej będzie, jeśli się rozejdziemy, jestem pewna, że ta sugestia Cię nie zaskoczy. Przykro mi, mam nadzieję, że ten lakoniczny SMS Cię nie urazi. Kochałam Cię przez długi czas, naprawdę, i wiem, że Ty również mnie kochałeś. Całuję

Przeczytał wiadomość jeszcze raz. Targały nim wzburzone uczucia. Siłą powstrzymywał łzy. Stracił dziecko i żonę. Czy ta historia zniszczyła ich małżeństwo, czy była tylko gwoździem do trumny rozpadającego się związku? Od dawna podejrzewał, że Imogen ma romans. Czy to w ogóle było jego dziecko?

Odpisał.

Czy jest ktoś inny?

Odpowiedź przyszła prawie natychmiast.

Czy to ma znaczenie?

Z pewnością życie przynosi mnóstwo niespodzianek, pomyślał cynicznie.

Rozmyślenia przerwał mu dzwonek w komórce. Odebrał, tłumiąc łyzy. W głośniku usłyszał akcent z okolic Birmingham.

– Pan Hunter?

– Tak.

– Mówi nadinspektor Starr z wydziału zabójstw policji Birmingham.

– Tak, słucham?

– Czy może pan teraz rozmawiać?

Zawahał się, lecz w końcu odparł:

– Tak, oczywiście.

– Chcę tylko przekazać panu kilka informacji. Biuro koronera wydało rodzinie zwłoki Harry’ego Cooka, w najbliższy piątek odbędzie się pogrzeb. Zastanawiałem się, czy będzie pan obecny.

– Właśnie przyleciałem do Anglii ze Stanów Zjednoczonych, muszę zajrzeć do kalendarza, ale wydaje mi się, że nie mam żadnych planów na piątek.

– Czy w takim razie jeśli będzie pan w okolicy, mógłby pan złożyć oficjalne zeznanie?

– Tak, naturalnie. Sprawdzę swój grafik i oddzwonię do pana.

Starr podał mu numer, pod którym najprędzej go złapie, i podziękował.

Ross wysiadł z samochodu, wyjął z bagażnika walizkę i torbę z laptopem, po czym wszedł do domu. Był zbyt zmęczony, żeby się rozglądać, czy nikt go nie śledzi. I nawet o to nie dbał.

Piątek, 24 marca

Ross krążył po Rozjeździe Spaghetti i z trudem mógł uwierzyć, że minęło zaledwie dziesięć dni od czasu, kiedy ostatnio jechał tą samą koszmarną drogą.

Wydawało się niestosowne, żeby pogrzeb odbywał się w taki piękny, słoneczny dzień.

– Myślałam, że na pogrzebach powinna być brzydka pogoda – powiedziała Sally, jakby czytała mu w myślach. – Na wszystkich pogrzebach, na jakich byłam, zawsze wiało i lało.

– Zgadza się.

– O której jesteś jutro umówiony z tym policjantem?

– O wpół do dwunastej.

– To dobrze – powiedziała z zadowoleniem.

– Specjalnie nie umawiałem się zbyt wcześnie.

Sally przekrzywiła głowę.

– Czemuż to?

– To śliczny, malowniczy pensjonat w wiejskiej okolicy. Uznałem, że może warto skorzystać z jego ofert.

– Może!

Patrzyła na niego jeszcze przez dłuższą chwilę, po czym skupiła się z powrotem na nawigacji w swoim telefonie i odnajdywaniu drogi w plątaninie zdradliwych ślimaków. Kiedy się upewniła, że wyjechali na właściwą trasę, odwróciła się z powrotem do Rossa.

– Wiesz, zastanawiałam się nad tym, co zrobiłeś z flakonikiem. Kiedy wrzuciłeś go do fontanny. Było w tym coś... – Urwała.

– Coś...?

– Nie umiem tego wytłumaczyć, w każdym razie w tej chwili. Ale myślę, że postąpiłeś słusznie.

– Może. – Ross kiwnął głową. – Jeśli kiedyś zmienię zdanie, wiem, gdzie jest zapas.

Przez chwilę rozmyślał. Poczł głęboki smutek, kiedy przypomniał sobie o śmierci Angusa, żałował, że nie wiedział o niej aż do powrotu z Los Angeles. Chętnie pojechałby na jego pogrzeb, gdyby mu pozwolono.

– Osobiście mam nadzieję, że nie zmienisz zdania. To tylko intuicja, ale wydaje mi się, że w tych przedmiotach tkwi coś bardzo niebezpiecznego – powiedziała.

– Gdyby wpadły w niepowołane ręce?

– Na przykład Kerr Kluge.

Położyła mu dłoń na ramieniu i delikatnie ścisnęła.

– Jak się czujesz?

Namyślał się nad odpowiedzią. Od kiedy dostał SMS od Imogen, przechodził przez całe spektrum emocji. Na pewno przeżył szok. Mimo to, chociaż nie potrafił wyjaśnić dlaczego, od pierwszej chwili, kiedy powiedziała mu, że jest w ciąży, w głębi serca miał wątpliwości, czy to on jest ojcem. Powinien być smutny, może nawet zdruzgotany, że jego żona straciła dziecko, ale nie był. Chociaż wydawało się to niestosowne, tak naprawdę kamień spadł mu z serca.

Szczerze mówiąc, nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak lekko. Sally wyglądała prześlicznie w czerni. Miał wrażenie, jakby od zawsze siedziała na tym fotelu obok niego, jakby tu było jej miejsce. Może powinien mieć wyrzuty sumienia z powodu Imogen, ale nie miał. Żadnych. Czł się dziwnie wyzwolony, w sposób, którego nie potrafił zracjonalizować.

– Cieszę się, że ze mną jedziesz – powiedział.

– Lubię z tobą podróżować, panie Hunter. Mało kto umie zamienić jazdę na pogrzeb w prawdziwą przygodę. Nie spotkałam Harry'ego Cooka, a mimo to mam wrażenie, jakbym go doskonale znała.

– Dużo mu zawdzięczam.

– Może nie tylko ty. Może cały świat mu coś zawdzięcza?

– Dowiemy się w niedzielę.

– To już postanowione?

– Redaktorze bardzo się podobało. Najpierw prosiła, żebym skrócił tekst do dwóch stron rozkładówki, a potem powiedziała,

że szef był zachwycony i kazał go rozbudować na trzy, a może nawet cztery strony!

Sally promieniała z radości.

– To cudownie! Zasłużyłeś na to.

– Staram się zaledwie nie podniecać, zawsze w ostatniej chwili może wypłynąć większa sprawa. Już mi się to kiedyś przytrafiało.

– Co może być „większą sprawą”?

– Wielka katastrofa lotnicza. Zabójstwo prezydenta Stanów Zjednoczonych. Śmierć członka rodziny królewskiej.

– I co wtedy?

– Różnie. Jeśli będę miał szczęście, artykuł przeskoczy na następny tydzień, jeśli nie, tak jak ci mówiłem, obetną go do dwóch kolumn. A jeśli trafi się prawdziwy pech, materiał spada ze świecznika.

– To znaczy?

– Trafia do kosza.

– Ross, nie mogą ci tego zrobić.

– Witaj w cudownym świecie dziennikarstwa.

– Tym artykułem wywołasz światową sensację. Jestem tego pewna. Wierzę w ciebie.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

Piątek, 24 marca

Czterdzieści minut później podjechali pod ładny normandzki kościół kilka kilometrów od miejsca, gdzie Ross przyjechał miesiąc temu na spotkanie z Harrym Cookiem i znalazł go martwego.

Przed wejściem stało kilka samochodów, Ross zaparkował na końcu. Wyjął z kieszeni czarny krawat i z pomocą lusterka w osłonie przeciwsłonecznej za trzecim razem udało mu się w końcu zawiązać węzeł we właściwym miejscu.

Dochodziła jedenasta czterdzieści.

Wysiedli z samochodu. Dzień był wyjątkowo ciepły jak na tę porę roku, słońce aż piekło, kiedy szli w kierunku kościoła. Ross czuł się nieswojo w granatowym garniturze, zawsze wolał swobodne ubrania.

Odebrali przy wejściu program ceremonii pogrzebowej, przeszli kilkanaście metrów między ławkami i usiedli na końcu niewielkiej grupki składającej się głównie ze starszych ludzi. W pierwszym rzędzie siedziała para w średnim wieku z dwójką nastoletnich dzieci – dziewczyną i chłopcem.

Ross spojrział na program ceremonii i zobaczył na pierwszej stronie zdjęcie młodego Harry'ego Cooka w mundurze RAF-u. Miał na nim dwadzieścia kilka lat, niesforne, zjeżone wąsy i dumny uśmiech na twarzy.

Mszę odprawiał pastor w sutannie, z białą brodą niczym Święty Mikołaj. Najwyraźniej znał Cooka osobiście, przedstawił go jako oddanego ojca, zdruzgotanego śmiercią syna, który zginął w Afganistanie; wiernego męża zrozpaczonego po niedawnej stracie ukochanej żony, Doreen; kochanego wujka bratanicy Angeli oraz jej dwojga dzieci, Alice i Roberta; szanowanego pracownika naukowego, wykazującego przez

długie lata niezmierną cierpliwość w przekazywaniu swojej pasji oraz zamiłowania do sztuki.

– Wszyscy, którzy znali Harry’ego – ciągnął pastor – doświadczyli jego szczerego charakteru oraz poczucia humoru. Kilka lat temu pewien dziennikarz zapytał go, czego się nauczył na temat rozwoju ludzkiej natury widzianego oczami historyka sztuki. Później powiedział mi, co odrzekł dziennikarzowi: „Wiesz, Don, nauczyłem się jednej rzeczy: inwestuj w jedzenie i amunicję. Ludzie zawsze będą musieli jeść i zawsze będą chcieli się zabijać”.

W kościele rozszedł się cichy, nerwowy szmer śmiechu.

– Odrzekłem na to, że jako pastor nie dysponuję nadwyżką gotówki, aby grać na giełdzie, ale zapamiętam sobie jego radę. Miał analityczny umysł, a zarazem pasję dla rzeczy, w które wierzył. A przede wszystkim leżało mu na sercu dobro świata, na którym żyjemy. Wraz z jego śmiercią straciliśmy szlachetnego człowieka, lecz on spotka się w niebie ze swoją ukochaną Doreen oraz synem.

Następnie Alice i Robert odczytali fragmenty Biblii, a bratanica zmarłego wiersz. W końcu wyszli na słoneczny dziedziniec. Ponieważ Ross i Sally czuli się tutaj prawie intruzami, podążyli na cmentarz na samym końcu konduktu pogrzebowego.

Okolica wyglądała niemal sielankowo, pomyślał Ross. Za murami cmentarza ciągnęły się łagodne pagórki, na których gdzieś pasły się owce. Słyszeli nawet ich chóralne beczenie.

Pastor rozpoczął ostatnią część pochówku.

– „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem”, mówi Pan.

Nagle zdawało się, że słońce zaszło za chmury.

Ross podniósł głowę. Niebo było czyste, bez jednej chmurki.

– „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki” – recytował duchowny.

Niebo ciemniało coraz bardziej. W ciągu kilku sekund jego kolor zmienił się z jaskrawokobaltowego na granatowy. Ross znowu popatrzył w górę i zmarszczył brwi.

– „I jestem pewien, że ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani Zwierzchności, ani rzeczy teraźniejsze, ani przyszłe, ani

Moce, ani co wysokie, ani co głębokie, ani jakiegokolwiek inne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym”.

Zupełnie jakby zapadała noc.

Coraz więcej ludzi spoglądało ze zdziwieniem w górę.

A niebo dalej ciemniało.

Stado przestraszonych szpaków wylądowało na dachu kościoła.

Ross i Sally popatrzyli na siebie zaintrygowani.

Wrażenie było takie, jakby zaczynało się całkowite zaćmienie Słońca.

Ross tylko raz w życiu widział to zjawisko. Obserwował wtedy zafascynowany przez ochronne soczewki, jak Księżyc wślizguje się na tarczę słoneczną. Lecz teraz widział blade oblicze Księżycyca daleko od słabnącego blasku Słońca.

– Co się dzieje? – spytała szeptem Sally. – Dzisiaj miało być zaćmienie?

Głos pastora zaczął się zacinać, duchowny również zaczął spoglądać w niebo.

– Jeśli wierzymy, że Chrystus umarł i ponownie zmartwychwstał, przez swego Syna Bóg wezwie do siebie tych, którzy umarli. Tak więc podtrzymujcie się na duchu tymi słowami.

Zrobiło się prawie zupełnie ciemno.

– Ponieważ Bóg Wszechmogący zechciał w swej niezmierzonej łasce wezwać do siebie naszego brata, Harry’ego, przeto oddajemy jego ciało...

Wtedy, jakby ktoś pociągnął na niebie wielki niewidoczny włącznik, w ciemności nad ich głowami zaślniła jaskrawa, opalizująca tęcza.

Ale jest w niej coś niezwykłego, pomyślał Ross.

Pastor umilkł. W tłumie zaległa kompletna cisza. Wszyscy patrzyli w górę.

Tęcza rozciągała się na całym pustym niebie, każdym końcem dotykając dalekiego, widmowego horyzontu.

Nagle Rossowi przypomniała się rymowanka, której uczył się w szkole, aby zapamiętać kolory tęczy we właściwym porządku, jedynym możliwym porządku, w jakim pojawiały się od zarania czasu. Odtworzył w pamięci kolejność barw:

czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski, granatowy, fioletowy.

Tymczasem kolory tęczy nad ich głowami układały się w odwrotnej kolejności.

Fiolet, granat, błękit, zieleń, żółć, pomarańcz, czerwień.

W głowie zadźwięczały Rossowi słowa Mike'a Delaney'a, wypowiedziane w barze w Los Angeles.

Słońce się zaćmi i księżyc nie da swego blasku; gwiazdy zaczną padać z nieba i moce niebios zostaną wstrząśnięte. Wówczas ukaze się na niebie znak Syna Człowieczego.

Czy właśnie patrzyli na ten znak?

Wielki Tony rozparł się na żółtych poduszkach swojej kanapy pod oknem i pałac cygaro oraz popijając whisky, rozkoszował się słonecznym blaskiem, wlewającym się przez okno za jego plecami. Od powrotu z Los Angeles pił więcej niż zwykle. Od pieprzonej wpadki w Los Angeles.

Wielki Tony, pierdzielony partacz.

Trochę się wstawił. Zwykle nie brał do ust alkoholu przed szóstą. Nigdy, może poza jedną okazją, kiedy wyszedł z więzienia. Trochę mu wtedy odpaliło. Każdy by tak się czuł po tylu latach za kratkami.

Na dworze jakby się zachmurzyło, lecz Tony ledwo to zauważył. Myślał o ostatnim poniedziałku i próbował to wszystko zrozumieć.

Albo dostawał szmergla, albo...

Albo?

Ten stary świr na chodniku znalazł się tam za szybko, poruszał się szybciej niż jakikolwiek sprinter na świecie. W dodatku wcale nie popchnął Huntera, nawet do niego nie dobiegł, brakowało mu jeszcze kilka dobrych metrów, kiedy dziennikarz katapultował się na chodnik.

A wtedy stary znalazł się dokładnie przed samochodem Tony'ego. Oświetlony blaskiem reflektorów.

Tony nie miał szans go ominąć.

Jeszcze teraz widział jego oczy. Jego całą twarz. Nie było na niej ani śladu strachu. Uśmiechał się. Jak szaleniec, jak człowiek, który chce umrzeć, który jest gotowy na śmierć.

Poświęcając się.

Tony cholernie się przeraził. Dwadzieścia przecznic dalej zatrzymał się, zmienił tablice rejestracyjne i przesiadł się do

drugiego samochodu, który czekał na parkingu. Potem jechał cztery godziny do Vegas, gdzie spotkał się z kumplem, który załatwił oba pojazdy. Grali w pokera przez całą noc, ale Tony był tak roztargniony, że przegrał z kretelem.

Zapadał zmierzch. W pokoju zrobiło się ciemno. Co? Spojrzał na zegarek. Wpół do drugiej. Stał czy co? Potrząsnął nadgarstkiem, po czym spojrział na zegar w odbiorniku DVD. Trzynasta dwadzieścia pięć.

Popatrzył za okno, na mrugające światła śmigłowca, który schodził do lądowania i właśnie leciał na wysokości jego wzroku. Na dworze było kompletnie ciemno. Jak w nocy. Spojrzał w górę. Co do...?

Zerwał się na równe nogi, otworzył okno i wyszedł na balkon.

I osłupiał. Nie wierzył własnym oczom. Ile on wypił?

Z niedowierzaniem gapił się na tęczę rozciągającą się na atramentowoczarnym niebie. W dodatku była jakaś dziwna. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, dlaczego – kolory biegły w odwrotnej kolejności. Fiolet, granat, błękit, zieleń, żółć, pomarańcz, czerwień.

Wytrzeszczał oczy, zachwycony, a jednocześnie przejęty jakimś mrocznym, nieokreślonym przerażeniem. Co się dzieje, do diabła? Inwazja obcych? Koniec świata? Wziął komórkę i zszedł na dół do konsjerża, żeby go zapytać, czy wie, co się dzieje, ale Francuz nie miał pojęcia. Był tak samo ogłupiały jak on.

Tony wjechał windą z powrotem na górę. Wrócił do swojego apartamentu i od razu wyszedł na balkon. Na wyższych i niższych piętrach inni ludzie również wychodzili z mieszkań, patrzyli na niebywałe zjawisko i robili zdjęcia.

Piątek, 24 marca

Z hukiem otworzyły się drzwi gabinetu Hussama Udina.

– Hussam! – zawołała jego żona, Amira.

W jej głosie słycać było niedowierzenie i trwogę.

Hussam siedział przy swoim biurku z nieodłączną filiżanką kawy i papierosem żarzącym się w popielniczce. Przez cały ranek wymieniał maile z niejaką Hilary Patel. Był to żmudny proces, urządzenie czytało mu na głos wiadomości po jednym słowie.

Hilary była przewodniczącą Zespołu do spraw Wiary w Departamencie Wspólnot i Samorządów. Szczerze mówiąc, Hussam nie był pewien, co właściwie oznacza jej tytuł, ale była niezwykle uroczą i uczynną kobietą. Pomogła mu nawiązać kontakt z kilkoma ważniejszymi przywódcami religijnymi w ramach pracy nad książką, którą pisał – na temat podobieństw między różnymi religiami i wyznaniem na świecie.

– Hussam! O mój Boże, szkoda, że tego nie widzisz! – powiedziała Amira.

– Tak, skarbie? Powiedz mi, o co chodzi!

– Na dworze zrobiło się ciemno, zupełnie ciemno! A nie ma nawet wpeł do pierwszej. Jak całkowite zaćmienie Słońca. Ludzie powychodzili na ulicę. Robią zdjęcia z telefonów, kamer i tabletów!

Udin postukał w telefon, który nosił na nadgarstku i który podawał mu godzinę.

– Dwunasta dwadzieścia siedem – oznajmiło urządzenie.

– Na niebie jest tęcza! – zawołała Amira. – Biegnie przez całe niebo!

– Ja też ją widzę, kochanie – odrzekł cicho Hussam. – Widzę ją w głowie. Ale powiedz mi, czy ta tęcza na niebie też ma odwrócone kolory?

Powrót na górę Athos nie był dla brata Pete'a łatwy. Bóg wystawił go na próbę, wiedział o tym. Wystawił na próbę jego wiarę.

Przez dwa dni Pete gorączkowo przeszukiwał okolice torów kolejowych na północ od East Croydon, aż wreszcie znalazł swoją torbę w rowie między kępami traw. Była przemoczona i pusta. A znajdowało się w niej wszystko – paszport, jego skromne oszczędności, za które miał rozpocząć nowe życie w Anglii, oraz bezcenne przedmioty, które powierzył mu Angus.

Wszystko znikło.

Zrozpaczony upadł na kolana i zrobił jedyną rzecz, jaką umiał – zaczął się modlić o pomoc.

Kiedy pogrążony w rozpacz stał przy drodze, by złapać autostop, Bóg odpowiedział na jego modlitwy. Mokry, zmarznięty, spragniony i głodny Pete znalazł wybawcę, który zawiózł go do greckiej ambasady w Londynie.

Wreszcie teraz, za pięć wpół do trzeciej, płynął promem z Salonik na górę Athos. Jeszcze chwilę temu panował piękny, słoneczny dzień, teraz zaś niebo dziwnie, jakby złowieszczo pociemniało.

Czyżby to zaćmienie Słońca?

W ciągu kilku minut zrobiło się ciemno jak w środku nocy, a na niebie weszła tęcza o odwróconych kolorach. Świeciła jasnym, ciepłym blaskiem. I miłością.

Znak.

Jak wszyscy inni zakonnicy i pielgrzymi na górze Athos, Pete upadł na kolana.

Cholerne mały Ainsleya! – pomyślała Cilla Bloor.

Tuż po pierwszej, kiedy dziwny kolorowy łuk zbladł, a niebo ponownie się rozjaśniło, od strony klatek zaczął dochodzić piekielny wrzask.

Zrozpaczona i wstrząśnięta po katastrofie lotniczej, w której zginął jej mąż, Cilla przez cały tydzień prawie nie wychodziła z domu. Przyjechały ich dzieci – dziewiętnastoletnia córka Lucy, która zrobiła sobie rok odpoczynku od nauki i podróżowała po Europie, oraz syn Jake, który studiował biologię na Oksfordzie. Oboje pojechali do ambasady amerykańskiej, żeby omówić warunki sprowadzenia zwłok ojca, kiedy koroner w Los Angeles wyda zgodę.

Cilla była zbyt przygnębiona, żeby z nimi pojechać. Zastanawiała się, czy Lucy i Jake widzieli to dziwne, niezapowiedziane zaćmienie Słońca i niesamowity kolorowy łuk. Jeszcze do nich nie zadzwoniła.

Zgiełk w klatkach przybrał na sile.

Zamknijcie się, na litość boską!

Odgłosy sprawiały wrażenie, jakby zwierzęta się nawzajem zabijały. Przeróżające dźwięki. Gdzie był ogrodnik? Czemu się nimi nie zajmował?

Od rana Cilla jeszcze się nie umyła ani nie ubrała. Wyszła z domu, chociaż wiedziała, że wygląda okropnie. Nie obchodziło jej to. W aksamitnych kapciach i szlafroku poczłapała po mokrej trawie w kierunku oranżerii.

Kiedy podeszła bliżej, wrzaski jeszcze się nasiliły.

Zaraz po pogrzebie pozbędzie się tych zwierząt, postanowiła. Wyśle je do zoo albo jakiegoś rezerwatu, albo

innej organizacji, która zechce przyjąć sześć hałaśliwych małp z kiepską umiejętnością pisania na maszynie.

Otworzyła drzwi ładnej wiktoriańskiej oranżerii zbudowanej z czerwonej cegły i weszła do środka, starając się jak najmniej oddychać. Skrzek dosłownie przewiercał jej uszy.

Minęła sześć pierwszych klatek i ze zdziwieniem stwierdziła, że ich lokatorzy zachowują się spokojnie. Pierwszy, Jefferson, trzymał w małych łapkach orzech arachidowy i spoglądał na nią obojętnie. Następna, Gwendolina – skąd Ainsley brał pomysły na te idiotyczne imiona? – siedziała na gałęzi pod dachem i wyglądała, jakby była w szoku. Jej laptop tonął w odchodach.

To Borys na samym końcu robił tyle hałasu. Rzucił się po klatce jak oszalały, z gałęzi na podłogę, z podłogi na biurko, gdzie stał komputer, z biurka na siatkę, którą potrząsał i skrzeczał. I skrzeczał. I skrzeczał.

Na widok Cilli otworzył pyszczek, obnażył zęby, znowu zaskrzeczał i skoczył chyba trzy metry w górę, tak wysoko, że wydawało się to fizycznie niemożliwe.

– O co chodzi, Borys? – spytała.

Borys znów zaskrzeczał, zeskoczył na biurko, uderzył w klawiaturę i ponownie dał susa na gałąź pod sufitem.

Doszła do wniosku, że może małpa chce jej coś pokazać.

Zauważyła, że papier wystający z drukarki jest zapisany.

Zmęczona i zniechęcona, otworzyła klatkę i podeszła do komputera.

Wytrzeszczyła oczy.

Podniosła głowę, popatrzyła na Borysa, po czym znowu spojrzała na kartkę. Przyjrzała się dokładniej, żeby się upewnić, czy jej wzrok nie myli. Potem znowu podniosła oczy na małpę i mogłaby przysiąc, że kapucynka się do niej śmiała.

Na arkuszu papieru A4 wersalikami i pogrubioną czcionką widniało bezbłędnie napisane i wydrukowane jedno słowo z wykrzyknikiem na końcu:

TECZA!

Niedziela, 26 marca

Przez ostatnie dwa dni w mediach nie mówiło się o niczym innym. Astronomowie i meteorolodzy perorowali w studiach telewizyjnych na okrągło. Nagłówki gazet przepowiadały nadejście Armagedonu. Co się właściwie wydarzyło o dwunastej dwadzieścia pięć czasu Greenwich i jednocześnie w tej samej chwili w każdej innej strefie czasowej na całym świecie?

Jak mogła się pojawić tęcza, skoro nie padał deszcz? Skąd się wzięła na atramentowoczarnym, nocnym niebie?

W dodatku z odwrotnie ułożonymi kolorami?

Media społecznościowe aż kipiały od teorii i spekulacji. Na każdym kanale telewizyjnym nadawano wywiady z naocznymi świadkami. Ross widział dwoje młodych turystów z plecakami, stojących przed Sydney Opera House i opowiadających z zapartym tchem o niezwykłej, mieniającej się na nocnym niebie tęczy z odwrotnie ułożonymi barwami. Było w niej coś absolutnie mistycznego, mówili.

Widział pasterza na dalekich pastwiskach Andów, próbującego opisać to, co widział; nacierza na arktycznej platformie wiertniczej, który potwierdził, że i w tamtych rejonach doszło do opisywanego zjawiska; marynarzy z japońskiego wielorybnika; żołnierza przed Kremlem; ludzi leżących krzyżem na placu Świętego Piotra w Watykanie; kupców z bazaru w Iraku; imama w Bagdadzie; meteorologa na Hawajach, mówiącego, że to, co widzieli on i jego koledzy, jest po prostu niemożliwe. Najlepszym wyjaśnieniem, jakie potrafili znaleźć, była jakaś nieprzewidziana galaktyczna burza.

Równie niezwykły był fakt, że nie zachowało się ani jedno zdjęcie, ani jeden film spośród milionów zrobionych na całym

świecie, którymi ludzie chcieli uwiecznić to niebywale zjawisko. Wszystkie fotografie i wszystkie nagrania albo z nieznanymi powodami nie zostały zarejestrowane, albo bardzo szybko uległy skasowaniu.

Wyglądało na to, że wszyscy naukowcy – w Chinach, Rosji, Stanach Zjednoczonych, Nowej Zelandii, Japonii, Europie, Skandynawii czy Indiach – byli równie zdezorientowani.

Przywódcy religijni z całego świata głosili własne interpretacje niebywalego zjawiska. Papież oznajmił, że jest to cud, znak od Boga. Arcybiskup Canterbury był bardziej powściągliwy. Wydał oświadczenie w prasie, że zaszło coś, co zaprzecza całej naszej naukowej wiedzy. Wezwał naukowców z całego świata, aby się zebrali i zaproponowali lepsze wyjaśnienie niż jego własny pogląd, że była to boska interwencja w nasz świat fizyczny.

W sobotę Ross pojechał do Monmouth, żeby opowiedzieć Benedictowi Carmichaelowi wszystko, co mu się przytrafiło od ich ostatniego spotkania aż do pojawienia się niezwyklej tęczy. A także by mu przypomnieć jego własne słowa, że dowód na istnienie Boga wymaga czegoś, co zaprzecza fizycznym prawom wszechświata.

– Poczekajmy, co wymyślą fizycy – odrzekł Benedict dyplomatycznie i jak na oczekiwania Rossa, trochę zbyt wymijająco.

W sobotę w nocy Ross prawie nie zmrużył oka na twardym jednoosobowym łóżku w pokoju gościnnym Sally. Patrzył, jak zegar odmierza kolejne godziny: trzecia nad ranem, czwarta, piąta, szósta, szósta piętnaście.

Kioski otwierali wcześniej rano. O której? Szóstej trzydzieści?

Kiedy ponownie spojrzął na zegarek, była siódma dwadzieścia.

Wstając, o mały włos nie nadepnął Monty'ego, który spał obok łóżka na białym dywaniku.

Ross ochlapał twarz wodą, umył zęby, włożył T-shirt i dres, buty sportowe, po czym wsunął portfel do kieszeni.

Pies poderwał się i zaskomlał.

– Ćśśś!

Usłyszał wołanie Sally z sąsiedniego pokoju.

Uchylił odrobinę drzwi.

- Wychodzę po gazety.
- Wracaj zaraz! – wymamrotała.
- Śpij dalej, to nie potrwa długo.

Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy swój artykuł w „Sunday Timesie”. Zawsze niecierpliwie wypatrywał efektów swojej pracy na papierze, lecz nigdy dotąd aż tak bardzo jak tym razem. Zastanawiał się, ile miejsca dostał. Cztery strony, jak obiecał naczelny? To by była rewelacja!

W połowie schodów zapiął Monty’emu smycz, sprawdził, czy ma w kieszeni woreczki na odchody i klucze. Otworzył drzwi frontowe budynku i wyszedł na świeże poranne powietrze przed elegancki dziewiętnastowieczny budynek w kształcie półksiężyca. Było już prawie całkiem widno.

Zaczął biec. Monty przez jakiś czas podskakiwał radośnie obok niego, lecz po chwili nagle stanął i szarpnął za smycz, żeby obwąchać latarnię.

- Nie – powiedział stanowczo Ross. – Później.

Pobiegli dalej ulicą opadającą łagodnie w dół, aż dotarli do deptaka ze sklepami i Ross z zadowoleniem zobaczył wśród nich otwarty kiosk. Przywiązał Monty’ego przed wejściem, po czym wszedł do środka i kupił wszystkie niedzielne gazety, jakie mieli.

Na pierwszej stronie „Sunday Timesa” widniał oczywiście wielki artykuł o tajemniczym ogólnościowym zaćmieniu Słońca i dziwacznej tęczy.

ŚWIAT POGRAŻYŁ SIĘ W CIEMNOŚCI

Dla podkreślenia efektu cała pierwsza strona była czarna i rozcięta przez środek artystycznym kolorowym łukiem.

Ku rozczarowaniu niepokieszonego Monty’ego Ross wrócił prosto do mieszkania Sally.

- Nie martw się, stary, później pójdziemy na dłuższy spacer, obiecuję.

Monty popatrzył na niego wzrokiem, który Ross mógł przetłumaczyć tylko w ten sposób: „Ta, jasne. Zapomnij o tym”.

Kiedy wrócił, Sally już nie spała. W sypialni grał wyciszony telewizor.

– Cześć, przystojniaku – powiedziała. – I co? Jest?

– Właśnie zamierzam sprawdzić.

– Super. Obejrzymy o dziewiątej *Andrew Marr Show*, zobaczymy, co ciekawego powiedzą on i jego goście. To na pewno będzie wielki temat.

Ross rzucił wszystkie gazety na okrągły stół w jadalni przylegającej do kuchni i zaczął przerzucać strony „Sunday Timesa”. Prawie na każdej widniał jakiś artykuł na temat ciemności, która w piątek spowiła świat, i tajemniczej, opalizującej tęczy.

Teorie naukowców z całego świata.

Wypowiedzi zdumionych polityków.

Dopiero na dwudziestej trzeciej stronie znalazł własny artykuł. Skrócony do jednej, krótkiej kolumny.

Patrzył i nie wierzył własnym oczom.

Według naszego reportera, Rossa Huntera, Mike Delaney, dawny magik i iluzjonista, przewidział, że Bóg ześle ludzkości znak jako dowód drugiego nadejścia Chrystusa.

Delaney, który uważał się za posłańca Chrystusa, prowadził w latach dziewięćdziesiątych popularny program telewizyjny w ABC Television, *Magik Mickey, Człowiek Tajemnica*.

W grudniu 2014 r. Delaney został aresztowany za prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu. Zginął w zeszłym tygodniu w zachodnim Hollywood, kiedy wyszedł na jezdnię prosto pod koła nadjeżdżającego samochodu.

Gotując się ze złości i poczucia krzywdy, Ross poszedł z gazetą do sypialni, by pokazać ją Sally.

– Co?! – zawołała po przeczytaniu. – W co oni pogrywają? Masz być może najbardziej sensacyjny materiał od dwóch tysięcy lat, a oni zamienili go w coś takiego? Nie mogą ci tego zrobić!

– Właśnie to zrobili. Mówiłem ci – mruknął kompletnie załamany, kiedy fakty zaczęły do niego docierać z pełną

jasnością. – Cholerne piśmidło.

Nagle wpadła mu do głowy pewna myśl. Czy przypadkiem nie miał z tym czegoś wspólnego ten facet z MI5, Stuart Ivens, który nagabywał go w barze dwa tygodnie temu? Ross nie odezwał się do niego, chociaż tamten zażądał obejrzenia artykułu przed publikacją.

Złapał za telefon i wybrał numer swojej redaktorki. Odebrała prawie natychmiast. Wcisnął głośnik, żeby Sally mogła słyszeć rozmowę.

– Halo, Ross?

– Cześć, Natalie, przepraszam, że dzwonię tak wcześnie.

– Nie szkodzi, już nie śpię.

– Co się stało z moim artykułem, do diabła?

– Jak to, co się stało?

– Mówiłaś, że dostanę cztery strony i prawdopodobnie wielki nagłówek.

– Tak, tak właśnie miało być. Wszyscy się podniecali. Jestem teraz na wsi, gazety jeszcze tu nie dotarły.

– Czy był u was ktoś z MI5?

– Z MI5?

– Niejaki Stuart Ivens.

– Nigdy o nim nie słyszałam, Ross.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie. Czemu pytasz? Coś się stało?

– Czy coś się stało? Owszem.

Kilka minut później Ross rozłączył rozmowę z Natalie McCourt, tak samo zaskoczony jak on. Odwrócił się do Sally.

– Dzieje się coś bardzo dziwnego.

– Chyba się domyślam co.

– Domyślasz się?

– To wszystko, co ci się przytrafiło, ostrzeżenie od biskupa, że człowiek, który zdobędzie dowód na istnienie Boga, prawdopodobnie zostanie zamordowany. Może interweniował Delaney? Żeby cię chronić?

Ross popatrzył na nią dziwnie.

– Mówię poważnie, Ross. To, co się stało, już się stało. Ukazało się. Nie przypiszą ci za to zasług, ale przynajmniej jesteś bezpieczny. Nie sądzisz, że to całkiem korzystna wymiana?

Ross patrzył przed siebie i próbował to wszystko ogarnąć.

– Przynajmniej zostało mi DNA, bezpiecznie ukryte u zakonnika na górze Athos. Może nie teraz, może kiedyś, gdy...

Sally przerwała mu, dotykając łagodnie jego ramienia, i wskazała głową ekran. Właśnie zaczynał się *Andrew Marr Show*. Złapała pilota i włączyła głos.

Znany dziennikarz siedział w ciemnoszarym garniturze z łososiowym krawatem na tle Tamizy, diabelskiego młyna London Eye oraz Parlamentu.

Przed nim rozłożone na stole leżały wszystkie krajowe niedzielne gazety.

– Największą sensacją tego tygodnia – mówił Marr – jest niezwykle zaćmienie Słońca, które nastąpiło na całej kuli ziemskiej w piątek dwudziestego czwartego marca. O ile rzeczywiście było to zaćmienie Słońca. O dwunastej dwadzieścia pięć czasu Greenwich w każdej strefie czasowej na świecie, gdzie panował dzień, zapadła ciemność, a w niej pojawiła się odwrócona tęcza. Pojawiła się również tam, gdzie panowała noc. Miliony, ach, gdzie tam, miliardy ludzi wyszły na ulice, by obserwować to niebywałe zjawisko, które wprawilo wszystkich astronomów oraz meteorologów w całkowite zaskoczenie i osłupienie. To, co rozegrało się na oczach całego świata, nie było bynajmniej nieprzewidzianym całkowitym zaćmieniem Słońca, lecz fenomenem sprzecznym z prawami fizyki, a przynajmniej tymi prawami, jakie znamy! Towarzyszą mi dzisiaj w studiu doktor Susan Meyer, profesor meteorologii z Uniwersytetu Leeds, astronom królewski sir Quentin Ferlinger oraz pułkownik Jeff Hawke z Narodowej Agencji Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej Stanów Zjednoczonych.

Marr przedstawiał kolejnych gości programu, w tym folkowy zespół muzyczny.

Potem przysła kolej na wiadomości.

Zdenerwowany Ross usiadł na łóżku obok Sally i wertował pozostałe strony „Sunday Timesa”, by się upewnić, że nie wydrukowano gdzieś dalszego ciągu jego artykułu, ale niczego nie znalazł.

Po wiadomościach na wizji pojawił się ponownie Andrew Marr na brzoskwiniowym obracającym fotelu naprzeciwko

dwóch mężczyzn i kobiety, siedzących na kanapie takiego samego koloru. Pierwszy z gości wyglądał na niespełna siedemdziesiąt lat, miał długie, siwe i nieco rozwichrzone włosy, a na sobie szary garnitur. Drugi mężczyzna, mniej więcej dziesięć lat młodszy, o krótko ostrzyżonych włosach i wojskowym sposobie bycia, był w nieco workowatej beżowej marynarce nałożonej na koszulę i krawat. Elegancko i gustownie ubrana kobieta o dość surowej twarzy zbliżała się do pięćdziesiątki i nosiła krótko ostrzyżone rude włosy oraz małe, okrągłe okulary.

– Witam panią doktor Susan Meyer, profesor meteorologii Uniwersytetu Leeds, astronoma królewskiego sir Quentina Ferlingera oraz pułkownika Jeffa Hawke'a z NASA. Pierwsze pytanie, jakie chciałbym państwu zadać w związku z piątkowymi wydarzeniami, jest proste: zarówno wy, jak i niezliczone rzesze innych ekspertów dwoją się i troją, aby znaleźć naukowe wyjaśnienie tego, czego byliśmy świadkami. Słyszeliśmy teorie o wybrykach pogody, o nieprzewidzianych zjawiskach astronomicznych, o deszczu meteorów, o próbach nawiązania kontaktu przez pozaziemską cywilizację. Czy nie jest możliwe znacznie prostsze wyjaśnienie, którego nikt nie chce zaakceptować?

– Jakie mianowicie wyjaśnienie? – spytała doktor Meyer.

– Bóg?

Epilog

Niedziela, 26 marca

Po południu Ross i Sally ponownie obejrżeli *Andrew Marr Show*. Kiedy dyskusja w studiu telewizyjnym rozgorzała na dobre, Ross sfrustrowany grzmotnął pięścią w kanapę.

– Mogłem im powiedzieć! To ja powinienem tam siedzieć, mógłbym...

Zadzwoił jego telefon. Numer zastrzeżony. Ross spojrzał na Sally, która złapała pilota i wyłączyła głos.

– Odbierz – zachęciła go.

– Ross Hunter, słucham – powiedział do mikrofonu komórki.

W odpowiedzi usłyszał dobitny głos o amerykańskim akcencie.

– Dzień dobry, panie Hunter, mówi Jim Owen z Owen Media, czy ma pan chwilkę?

Ross zmarszczył brwi. Owen był najbardziej wpływowym agentem reklamowym w świecie mediów, specjalizującym się w najgłośniejszych sprawach.

– Tak, słucham – odparł Ross z wahaniem, zastanawiając się, czego może się spodziewać.

– Dzwonię w sprawie pańskiego artykułu w dzisiejszym „Sunday Timesie”. Dostałem informację, że ma pan znacznie więcej materiału na ten temat, powiązanego z niezwykle, nadnaturalnym zjawiskiem, które ostatnio miało miejsce na świecie. Czy mam rację?

– Tak.

– Rozpocząłem już ostrą licytację z agencjami prasowymi na całym świecie. W obecnej chwili jedna z gazet zaoferowała trzy i pół miliona funtów, ale sądzę, że mogę dla pana zdobyć znacznie więcej. Czy jest pan zainteresowany, by zostać moim klientem?

– A czy papież jest katolikiem? – odpowiedział pytaniem Ross.

Podziękowania

Powieść ta bierze swój początek od niespodziewanego telefonu, który otrzymałem w 1989 roku. Zadzwonił do mnie starszy dżentelmen i zapytał, czy nazywam się Peter James i czy jestem pisarzem. Oznajmił, że posiada niepodważalny dowód na istnienie Boga i otrzymał informację, że pisarz o moim nazwisku może pomóc, aby świat potraktował go poważnie.

Telefon ten stał się początkiem dwudziestoosmioletniej podróży, którą poświęciłem poszukiwaniu tego, co naprawdę można by uznać za „dowód absolutny”, a także rozważań, jakie mogłyby być jego konsekwencje. W tym czasie rozmawiałem z ludźmi różnych wyznań, a także mieszkałem wśród prawosławnych mnichów, aby odkryć, czym jest prawdziwa wiara zakonnika. Odbyłem też liczne dyskusje z naukowcami, wykładowcami, teologami oraz duchownymi wszystkich szczebli.

W ciągu ostatnich czterech lat wraz z moją żoną Larą spotykaliśmy się i rozmawialiśmy z niezliczonymi osobami, a wśród nich wybitnymi naukowcami i teologami. Wszystkim im zadawaliśmy dwa te same pytania: Co uznaliby za niepodważalny dowód istnienia Boga i jakie mogłyby być jego konsekwencje dla ludzkości. Zatwardziałych ateistów pytaliśmy, co mogłoby zmienić ich poglądy, a przynajmniej podważyć ich pewność, tak jak się stało z Antonym Flew i jego słynnym nawróceniem w 2004 roku.

Tak wielu osobom chciałbym podziękować za to, że poświęcili mi czas i zgodzili się na dyskusję. Troje ludzi najbardziej przyczyniło się do powstania tej książki. Pierwszym jest biskup Reading i Monmouth, Dominic Walker z Oratorium Dobrego Pasterza, który nieodwracalnie rozniecił we mnie zapal do napisania tej książki. Drugim jest mój przyjaciel Ken

Owen, który pomógł mi w tak wielu sprawach, że nie sposób ich wyliczyć. I wreszcie David Gaylor, którego niezamordowana praca oraz oko do szczegółów były wprost nieocenione.

Oto osoby, którym dziękuję za pomoc teologiczną:

Doktor Denis Alexander, Faraday Institute for Science and Religion

Jego Ekscelencja biskup Angealos

Qari Muhammad Asim MBE, główny imam Makkah Masjid

Opat oraz mnisi ze Świętej Góry Athos

Profesor Andrew Briggs

Andrew Gosler, FLS, FRSB

Czcigodny Paul Hackwood

Profesor Romy Hasan

Roger Homan

Profesor sir Colin Humphreys

Ojciec Raphael, St Hugh's Charterhouse Monastery

Jego Ekscelencja Richard Jackson, biskup Lewes

Ojciec John O'Leary

Rabin Natan Levy

Profesor Simon Conway Morris, FRS

Profesor John Lennox

Profesor Ard Louis

Alister McGrath, FRSA

Profesor Abid Nasir, Emirates University

Amy Orr-Ewing, Zacharias Trust

Nitin Palan MBE, członek zarządu Swaminarayan Neasden Temple

Jack Palmer-White, doradca arcybiskupa Canterbury do spraw publicznych

Hilary Patel

Wielebny doktor John Polkinghorne, KBE, FRS

Michael Ramsden, dyrektor Ravi Zacharias International Ministries i członek kierownictwa Oxford Centre for Christian Apologetics

David Ryall

Jasvir Sing, City Sikhs

Wielebny Ish oraz wielebna Irene Smale'owie

Rio Summers
Profesor Lionel Tarassenko
Wielebny Mark Townsend
Chloe Trotman
Jego Ekscelencja doktor Martin Warner, biskup Chichester
Przewielebny Justin Welby, arcybiskup Canterbury
Profesor Bob White

**Za bezcenne badania ogólne oraz pomoc
w korekcie:**

Susan Ansell
Maria O'Brien
Tiffany Britt Darling
Mark i Debbie Brownowie
Danielle Brown
Linda Buckley
Rob Cohen
Jane Diplock
Martin Diplock
Jason Edge
Peter Faulding
Larry Finlay
Annabel Galsworthy
David Gaylor
Jack Gaylor
Jane Greenbank
Anna-Lisa Hancock
Christopher i Gill Hayesowie
James Hodge
Tom Homewood
Mark Johnson
Peter Johnson, LGC Forensics
Rachel Kenchington
Richard Kerbajr
Patrick Lahaise
Kitty Logan
Nick Lom
Sarah Middle

Śp. sir Patrick Moore
Susan Opie
Ken Owen
Ray Packham
Julian Quigley, LGC Forensics
Andrew Reeds
Ross Bartlett
Daniel Salter
Susan Sandon
Helen Shenston
James Simpson
James Stather
Guy Swayland
Jolene Thomas, LGC Forencics
Matt Wainwright
Martin Walsh
Arnie Wilson

**Dziękuję również moim wspaniałym agentom
i wydawcom. Oto oni:**

Emanuela Anehcoum
Isobel Dixon
Julian Friedmann
Hattie Grunewald
James Pusey
Conrad Williams
Jonathan Atkins
Sarah Arratoon
Jonathan Atkins
Anna Bond
Wayne Brookes
Geoff Duffield
Stuart Dwyer
Claire Evans
Anthony Forbes Watson
Lucy Hines
Kate James
Daniel Jenkins

Sara Lloyd
Natalie McCourt
Alex Saunders
Jeremy Trevathan
Charlotte Williams

Przede wszystkim zaś dziękuję mojej żonie Larze, która wierzyła w tę książkę od samego początku. Była niewyczerpanym źródłem mądrości i wspierała mnie z nieustającym entuzjazmem dla tego projektu. Była to bez wątpienia najtrudniejsza książka, jaką napisałem, przede wszystkim z powodu ogromnej skali zagadnienia, którego dotyczy, lecz również z powodu tego, ile mnie nauczyła. Jestem nieskończenie wdzięczny jej oraz wszystkim wymienionym tu osobom. Proszę o wybaczenie, jeśli kogoś pominąłem.

Moje źródła bibliograficzne obejmują następujące książki:

John Humphrys – *Bóg, w którego wątpimy*

Richard Dawkins – *Ślepy zegarmistrz*

Richard Dawkins – *Bóg urojony*

Ravi Zacharias, Norman L. Geisler – *Who Made God?*

Edgar Andrews – *Who Made God?*

John C. Lennox – *God's Undertaker*

John C. Lennox – *God & Stephen Hawking*

Antony Flew – *Bóg istnieje*

Alister McGrath – *Why God Won't Go Away*

Alister McGrath – *Inventing the Universe*

Nick Spencer – *Darwin & God*

Pismo Święte

Leon Lederman, Dick Teresi – *Boska cząstka*

Hans Küng, E. Quinn – *Does God Exist?*

Tim Leedom – *The Book Your Church Doesn't Want You to*

Read

Francis Spufford – *Unapologetic*

Colin Humphreys – *The Mystery of the Last Supper*

1)

O ile nie zaznaczono inaczej, wszystkie cytaty biblijne pochodzą z Biblii Tysiąclecia. ↵

2)

Przekład Stanisława Barańczaka. ↵

3)

Przekład z Biblii wydanej przez Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne. ↵